

Brian HAIG

Koń trojański

Z angielskiego przełożył GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

„KB”

Podziękowania

Książki są dziełem wielu rąk i talentów. Weźmy na przykład Alexandra Haiga, mojego brata, doskonałego prawnika, który udzielił mi wielu specjalistycznych rad na temat firm prawniczych, telekomunikacji, a także niejednej lekcji w dziedzinie braterskiej rywalizacji.

Albo mojego agenta i przyjaciela, Lukę'a Jankłowa, który załatwia wszystkie sprawy z niezwykłym wdziękiem, dojrzałością i humorem.

Albo wydawcy i także przyjaciela, Ricka Horgana, człowieka obdarzonego wyjątkową intuicją, błyskotliwym umysłem i cierpliwością.

Albo Mari Okudę i Rolanda Ottewella, redaktorów, ale w moim przypadku nie tylko - także przyjaciół i właściwie współautorów.

Jestem dłużnikiem tych wszystkich ludzi, a także pozostałych osób ze wspaniałego personelu Janklow, Nesbitt oraz Warner Books.

ROZDZIAŁ 1

- Zdaje się, że pani do mnie dzwoniła - powiedziałem do młodej i atrakcyjnej damy, siedzącej za biurkiem.

Udała, że mnie nie słyszy.

— Przepraszam panią, major Sean Drummond... dzwoniłaś do mnie, tak?

— Takie otrzymałam polecenie - odparła poirytowana.

— Gniewasz się?

— Ależ skąd. Nie jesteś tego wart.

— Naprawdę chciałem do ciebie zadzwonić, słowo.

— Cieszę się, że nie zadzwoniłeś.

— Poważnie?

— Tak. Byłam już tobą zmęczona.

Wlepiła wzrok w ekran monitora. Naprawdę była wściekła. Przyszło mi na myśl, że chodzenie na randki z sekretarką szefa to nie jest zbyt dobry pomysł. Ale ona była taka ładna. Miała ciemne jak smoła oczy, uwodzicielskie usta, a pod biurkiem kryły się dwie cudowne nogi, które wciąż dobrze pamiętałem. Właściwie dlaczego do niej nie zadzwoniłem?

Pochyliłem się nad blatem.

— Lindo, spędziłem cudowne chwile.

— Oczywiście. W przeciwieństwie do mnie.

— Naprawdę mi przykro, że nie wyszło.

— To dobrze, bo mnie nie.

Poszukałem w głowie czegoś odpowiedniego i w końcu powiedziałem:

— *Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość.*

— Co takiego? - zapytała Linda, podnosząc wreszcie głowę.

— *Wielki Gatsby...* ostatnia linijka.

— Odpieprz się... To z Jackie Collins, jeśli cię to interesuje - odparła i dodała zjadliwie: - I zabierz łąpska z mojego biurka. Właśnie je wyczyściłam.

O rany. Teraz przypomniałem sobie, czemu nie zadzwoniłem do niej po pierwszej randce. Dokładnie rzecz biorąc, nie zadzwoniłem do niej nawet przed pierwszą randką - to ona zadzwoniła do mnie. Ale już dawno się nauczyłem, że nie jest ważne, kto zaczyna, tylko kto kończy.

Wyprostowałem się.

— No dobra, więc dlaczego stary chce mnie widzieć?

— Sam go spytaj.

— Wolałbym zapytać ciebie.

— Dobrze. Ale postaraj się zrobić to grzeczniej.

— Zgoda. Proszę cię, Lindo... Po co tutaj przyszedłem?

— Nie mam prawa ci tego wyjawić - odparła z uśmiechem. Co jeszcze mogłem powiedzieć, skoro dama za biurkiem zachowywała się tak małostkowo i niemądrze?

Obszedłem ją szerokim łukiem, żeby nie mogła przyczepić mi spinaczem ręki do krocza czy coś w tym rodzaju. Ale jej uśmiech nie dawał mi spokoju. „*Absit omen*”, wymamrotałem. Oby to nie był zły omen.

Podjejrzałem jednakowoż, że tak właśnie jest. Dałem więc sobie chwilę, żeby o tym pomyśleć. Przypomniało mi się, że od mojej ostatniej sesji z

szefem minęły dwa miesiące. Te spotkania nigdy nie są przyjemne. Nasze stosunki można określić jako powikłane, zaś szef nabrał dziwnego przekonania, że jeśli będzie mi dawał w tyłek dość mocno i dość często, sytuacja sama się poprawi. Nazywa te spotkania „sesjami prewencyjnymi”. Ja nazywam je stratą czasu. Nie sprawdziły się do tej pory, a jak wszyscy wiemy, uparczywie powtarzające się fiaska nie są żyznym gruntem dla przyszłych sukcesów. Ale on się tego trzyma. Właśnie tak musi być w małżeństwie.

- Zaczekam tutaj, aż będzie gotowy - poinformowałem Lindę. Wszystko do siebie pasowało: generał Clapper przypiecze mi trochę uszy, a wścibska, mściwa Linda przyciśnie ucho do drzwi i będzie się napawała moją udręką. A ja uspokoję go, jak zawsze, i na koniec zapewnię, też jak zawsze, że poczynił kilka bardzo interesujących uwag i że Sean Drummond nie będzie już więcej sprawiał kłopotów.

Nic wielkiego, prawda?

Nieprawda. Gdzieś tam czyhały morderstwa, skandale i czyny tak odrażające i brudne, że moje życie - i życie całego miasta - miało przewrócić się do góry nogami. Bo kiedy ja szurałem obcasami w tym przybytku sprawiedliwości, morderca już planował pierwsze spośród wielu zabójstw. Zaś ci, którzy mieli paść jego ofiarą, spokojnie zajmowali się swoimi sprawami, nieświadomi tego, że potwór wziął ich na cel.

Ale nie sądzę, żeby Linda to przewidziała. Nie sądzę też, żeby tego pragnęła.

Nawiasem mówiąc, nie pracuję w Pentagonie, gdzie ów przybytek się znajdował i nadal znajduje. Kapelusz wieszam w małym budyńeczku z czerwonej cegły w bazie wojskowej Falls Church w Wirginii - malutkiej, ogrodzonej wysokim parkanem, z mnóstwem

wartowników, pozbawionej tabliczek z oznaczeniami i mylących numerów na drzwiach pokoi. Ale jeśli kogoś interesują mylące oznaczenia, to powiem, że na drzwiach biura Clappera widnieje taki oto numer: 2E535. 2 znaczy, że to drugie piętro, E oznacza, iż biuro mieści się w zewnętrznym, najbardziej prestiżowym kręgu, a 535 wskazuje tę stronę gmachu, w którą łupnęli chłopcy Osamy. W dawno minionych czasach zimnej wojny dziedziniec w środku Pentagonu zwany był Epicentrum, wewnętrzny pierścień A nazywano Aleją Samobójców, zaś zewnętrzny, E, był tym miejscem, w którym chciało się być. Ale żyjemy w nowym świecie i wszystko się zmienia.

- On jest gotowy i czeka na ciebie - oznajmiła Linda, ponownie się uśmiechając.

Zerknąłem na zegarek: siedemnasta zero zero, albo inaczej piąta po południu, koniec oficjalnego dnia pracy, wczesny wieczór ciepłego grudniowego dnia. Uwielbiam tę porę roku. Mam na myśli to, że między Świętem Dziękczynienia i Bożym Narodzeniem nikt w Waszyngtonie nawet nie udaje, że pracuje. Nieźle, co? Ja też postanowiłem nie zostawać w tyle, w związku z czym ostatnia sprawa przewędrowała z najbliższej szuflady mojego biurka do najdalszej.

W każdym razie wszedłem do gabinetu Clappera, a on tak się ucieszył na mój widok, że powiedział:

- Sean, tak się cieszę, że cię widzę. - Machnął ręką w stronę dwóch foteli obitych miękką skórą i zapytał: - I co tam słyhać, stary przyjacielu?

Stary przyjacielu?

— Świetnie, generale. Miło, że pan pyta.

— No dobrze. Jak dotąd doskonale sobie radziłeś i jestem z ciebie bardzo dumny. - Posadził tyłek na fotelu, a mnie przyszło do głowy, że od tej słodczy

zaraz roboli mnie brzuch. - Sprawa Albioniego została już zamknięta? - spytał.

— Tak. Dzisiaj rano ustaliliśmy wspólne stanowisko dla sądu.

Z jakiegoś powodu miałem nieprzyjemne wrażenie, że Clapper już o tym wie.

A tak przy okazji: jestem w armii tak zwanym prawnikiem do spraw specjalnych. Jeśli was to interesuje, pracuję jako obrońca w wyspecjalizowanym wydziale prawników i sędziów. Jesteśmy wyspecjalizowani, ponieważ zajmujemy się stroną prawną ciemnych operacji wojskowych - stanowimy menażerię ludzi i komórek tak tajnych, że właściwie nikt nie powinien wiedzieć o naszym istnieniu. Istny gabinet luster i cieni, a my jesteśmy jego częścią.

Ściśle rzecz biorąc, nie istnieje nawet moje biuro i ja właściwie też, więc często się zastanawiam, po jaką właściwie cholerę w ogóle wstaję rano z łóżka. Żartowałem. Uwielbiam tę robotę. Naprawdę. Jednak powaga i delikatność naszej pracy oznacza, że podlegamy bezpośrednio sędziemu adwokatowi generalnemu, a ten układ organizacyjny bardzo doskwiera Clapperowi, gdyż jesteśmy, a ja szczególnie, wielkim kolcem w jego tyłku.

Co jeszcze? Mam trzydzieści osiem lat, jestem samotny od zawsze, i wygląda na to, że moja przeszłość była prologiem do przyszłości. Uważam się za niezłego adwokata, mistrza wojskowego kodeksu prawnego, człowieka bystrego, zaradnego i tak dalej. Mój szef mógłby zgłosić obiekcje do któregoś z wyżej wymienionych określeń - albo wszystkich - ale co on tam wie? W moim biznesie liczą się klienci i rzadko ktoś się na mnie skarży.

Ale wróćmy do mojego powierzchownie uroczego gospodarza.

— Więc powiedz mi, Sean, jaką karę dostał w zamian za przyznanie się do winy? - zapytał.

— No, wie pan... Słuszną i sprawiedliwą.

— Świetnie. Wobec tego opisz mi łaskawie, co znaczy według ciebie słuszną i sprawiedliwą karą.

— Dwa lata w Leavenworth, honorowe zwolnienie ze służby, pełne świadczenia.

- Rozumiem. - Clapper nie wyglądał na zadowolonego.

Rozmawialiśmy o sierżancie pierwszej klasy Luigim Albionim, członku oddziału zbierającego informacje na temat zagranicznych obiektów, wysłanym z kartą American Express do Europy, gdzie miał śledzić dyktatora kraju, którego nazwa nie może zostać wymieniona. Jeśli kogoś to jednak ciekawi,

niech pomyśli o dużym zadupiu, piekącym się między Egiptem i Tunezją, zbombardowanym po tym, jak wysłano stamtąd terrorystę, który wysadził w powietrze niemiecką dyskotekę pełną amerykańskich żołnierzy, w związku z czym wciąż nie zapraszamy się wzajemnie na grilla. Ów dyktator, jak się zdaje, lubi czasem paradować w przebraniu, by odłożyć na bok krępujące zwyczaje swojego kraju i zanurzyć się w zachodniej dekadencji. Zadaniem Luigiego było włóczyć się za nim i robić zdjęcia pogromcy wielbłądów w kasynach Monako i w amsterdamskich burdelach.

Możecie być pewni, że chciałbym odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właściwie przywódcy naszego kraju zapragnęli takich nieapetycznych zdjęć. Ale w tym biznesie lepiej nie pytać, bo oni zwykle nie odpowiadają. A jeśli już odpowiadają, to łżą.

Tak czy owak, tydzień po odlocie z lotniska Kennedy'ego Luigi oraz sto kawałków na jego karcie kredytowej rozplynęli się w powietrzu, cokolwiek znaczy ten oklepany zwrot. Minęło pół roku, zanim Luigi zrobił coś zaskakująco głupiego: wysłał e-maila do byłej żony. Ona zaś, żeby dowiedzieć się, czy za jego tyłek wyznaczono nagrodę, zadzwoniła do Wojskowego Wydziału Spraw Kryminalnych, który z kolei zawiadomił nas, a my błyskawicznie wzięliśmy go za ów tyłek w» znanym szwajcarskim kurorcie i odstawiliśmy do kraju. Właśnie w ten sposób wszedłem w tę sprawę.

Luigi okazał się porządnym gościem, jak na łajzę, która olała swój kraj. Kiedy trochę się poznaliśmy i zbliżyliśmy, wyznał mi, że w celu uwiarygodnienia swojej przykrywki zagrał w blackjacka, poniosło go i przerznął dziewięćdziesiąt tysięcy. Później los się odwrócił, Luigi wygrał pięćdziesiąt tysięcy. To był cynk od pana Boga, Luigi

nie miał wątpliwości: po siedemnastu latach lojalnej i pełnej poświęcenia służby przyszedł czas, by spakować manatki i zrobić coś na własny rachunek.

Ale wróćmy do Clappera.

— Co się stało z pieniędzmi, które twój klient ukradł... naszemu rządowi? - zapytał logicznie generał.

— Ma pan na myśli sto tysięcy, które sobie pożyczył - sprostowałem. - Zamierzał przysłać czek wraz z odsetkami. Reszta to była wygrana. Jego wygrana.

— Drummond, dajże spokój... - Z prokuratorem ten numer się udał, ale to całkiem inna historia.

— Reszta została przekazana na Dom Starego Żołnierza.

— Doprawdy? - Clapper uniósł brwi. - Wielkoduszny gest człowieka dręczonego wyrzutami sumienia, jak rozumiem?

— Powiedział, że to bardzo niewiele, zważywszy na przestępstwa, które popełnił, jego przywiązanie do armii...

— Złagodzenie kary o dziesięć lat nie odegrało pewnie żadnej roli? - Clapper najwyraźniej wiedział o sprawie więcej, niż ujawnił. - A co my dostaliśmy za dziesięć lat jego życia?

— Siedemset tysięcy, może trochę mniej, może trochę więcej. I powinien pan być wdzięczny. Gdybym pracował w sektorze prywatnym, połowa tego trafiłaby do mojej kieszeni jako honorarium.

— Połowa? Tak, pewnie masz rację - rzekł ze śmiechem generał. - Ale nie miałbyś ogromnej satysfakcji, że służysz ojczyźnie. - To był stary żart, który nigdy nie brzmi dobrze. - Właściwie to zakrawa na ironię, że o tym wspominałeś.

Clapper nie rozwinął jednak tej tajemniczej myśli, tylko powiedział:

— Sean, przypomnij mi, kiedy dostałeś przydział do wydziału zadań specjalnych?

— Niech pomyślę... W marcu przyszłego roku będzie osiem lat.

— Chyba we wrześniu ubiegłego roku, zgadza się? Cztery lata byłeś oskarżycielem i cztery lata obrońcą. Prawda?

Skinąłem głową. Tak właśnie było.

Jeśli o mnie chodzi, z całego serca wierzę w jedenaste przykazanie, które mówi: „Tego, co zepsute nie zostało, naprawiał nie będziesz”. Jednak armię stworzono po to, by rozpieprzała rzeczy, które nie są zepsute, i to nastawienie rozciąga się na politykę personalną. Tak naprawdę, w wojsku nikt nie wierzy w istnienie polityki personalnej, tylko w nieustannie obowiązujący rozkaz, wedle którego jeśli żołnierz przywyknie do jakiegoś miejsca, opanuje jakąś pracę albo sprawia wrażenie zadowolonego z miejsca, w którym się znajduje, trzeba go czym prędzej złapać za tyłek i rzucić w jakąś nową dziurę.

Pod względem zawodowym miejsce, w którym się znajdowałem, bardzo mi odpowiadało. Na płaszczyźnie osobistej miałem poważne kłopoty.

— Oficerowie JAG muszą być wszechstronni - ciągnął Clapper. - Umowy, negocjacje... istnieje kawał prawniczego świata, którego nigdy nie widziałeś.

— Ma pan rację. I niech tak zostanie.

— Hm, rozumiem. - Generał odchrząknął i mówił dalej z mniejszą wyrozumiałością: - Wiem też, że w tym roku masz dostać awans. - Skinąłem głową. - Czy muszę ci przypominać, że komisja ma skłonność do awansowania oficerów z większą wiedzą i doświadczeniem prawniczym?

— A kogo to obchodzi? - Prawdę mówiąc, mnie. Jestem tak samo ambitny, jak każdy inny; idzie

mi tylko o to, żeby odnieść sukces na moich warunkach.

Nie była to ani właściwa, ani pożądana odpowiedź. Clapper wstał, odwrócił się do mnie tyłem i spojrzął przez okno na Cmentarz Narodowy Arlington po drugiej stronie autostrady. Wyraźnie miał coś w zanadrzu i czułem, że za chwilę wciśnie mi to w tyłek. A tak na marginesie, człowiek musi się czasem zastanowić, jaka to logika kazała umieścić tuż obok siebie Pentagon i cmentarz - żywych i martwych, szczęściarzy i tych, którym szczęście nie dopisało, tych, którzy żyli kiedyś, i tych, którzy żyją teraz. Widok niekończących się szeregów białych kamieni nie rozbudza ambicji i nie inspiruje zbytnio do pracy i sumienności. Ale ważniejsze chyba jest to, że ten widok przypomina ludziom, którzy w tym budynku rządzą, o cenie, jaką się płaci za głupie pomyłki. Być może taka właśnie intencja przyświecała temu, kto umieścił obok siebie te dwa obiekty.

Pomyślałem, że Clapper spogląda na drugą stronę autostrady i rozmyśla o swojej śmiertelności. Było to dość głupie, bo on tymczasem rozmyślał o mojej.

— Słyszałeś kiedyś o PPP? - spytał przez ramię.

— Jasne. Miałem kiedyś kumpla, który to złapał. Kiepska sprawa. Fiut mu odpadł.

Generała to nie rozbawiło.

— Pełna nazwa brzmi Praca w Programie Przemysłowym, Sean. Oficer uczy się i poznaje najnowsze osiągnięcia w sektorze prywatnym, a później przynosi tę wiedzę do wojska. Jest to wysoko ceniony program dla naszych najbardziej obiecujących oficerów, pożyteczny dla obu stron.

— Powiem, że brzmi super. Mogę nawet wymienić nazwiska dziesięciu facetów, którym by się bardzo spodobał. - Po chwili dodałem: - Mnie nie byłoby na tej liście.

— A ja ci powiem, że twoje nazwisko jest jedynym na tej liście. - Odwrócił się do mnie i rzekł tonem rozkazu: - Jutro rano stawisz się do pracy w kancelarii Culper, Hutch i Westin. Mieści się tutaj, w Waszyngtonie, i jest to cholernie dobra firma.

Milczałem.

- I nie patrz tak na mnie. Przyda ci się taka robota. Pracowałeś przy wielu trudnych sprawach, przerwa dobrze ci zrobi.

Prawdę powiedziawszy, zazdroścę ci.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że kwestią sporną pozostaje, komu potrzebna była przerwa. Miałem do czynienia z paroma delikatnymi sprawami, ostatnio ze śledztwem dotyczącym wysokiego oficera oskarżonego o zdradę. Przy tej okazji nadepnałem na kilka bardzo ważnych, przeczulonych palców.

Nie przysłużyłem się też sobie, kiedy w końcowym raporcie odmalowałem JAG jako podstępного drania, który wystawił mnie do wiatru. Nie była to dla Clappera żadna nowość, rzecz jasna. Mimo to takie postawienie sprawy nie musiało przypaść mu do gustu, a ja miałem tego świadomość.

A skoro już mówimy o Clapperze, to jak wspominałem, jest on szefem wojskowych prawników,

sędziów i asystentów prawnych, adwokatem z zawodu, w swoim czasie doskonałym. Gwiazdki na jego ramionach zaświadczą o świetnym opanowaniu prawniczego rzemiosła, a także o sile przebiccia, gdyż sama kompetencja nikogo nie zaprowadzi wysoko po szczeblach drabiny wynagrodzeń w armii. Został wychowany na Południu, gdzie cnoty wojskowe i bezinteresowność wpajane były chło - pakom z jego pokolenia od maleńkości. Jest wysoki, plakatowo przystojny i ma dworskie maniery, które opuszczają go jednak, kiedy ktoś go wkurzy - a ja, niestety, mam taki zwyczaj.

Jeśli o mnie chodzi, to jestem dzieckiem armii, a takie życie pozbawia człowieka korzeni, zostawia mętne nawyki i sposób mówienia i, o dziwo, nie budzi w nim większego szacunku dla tej wspaniałej instytucji niż ten, który żywią nowicjusze. My traktujemy wojsko jak rodzinny interes, jesteśmy trochę bardziej wyczuleni na jego wady i braki, i z o wiele większą ostrożnością powierzamy nasz los jego profesjonalnym kaprysom.

— Proszę wybrać kogoś innego.

— Sean, wszyscy musimy robić to, co musimy.

W dolinę śmierci wjechało na koniach sześciuset, tak? -

Tak. Generał zapomniał dodać, iż żaden nie wyjechał.

Odchylił się na fotelu, przypuszczalnie obmyślając nową linię ataku.

- Znacie się z kapitan Lisa Morrow, o ile wiem - rzekł po chwili. - Chyba nawet się przyjaźnicie, prawda?

Czy naprawdę spodziewał się, że odpowiem na to pytanie? Musicie wiedzieć, że nie dalej jak dwa lata temu Clapper osobiście przydzielił kapitan Morrow i mnie do bardzo delikatnego śledztwa w Kosowie, dotyczącego artykułu 32, po którym Lisa została

przeniesiona do mojej widmowej jednostki. Później wielokrotnie ścieraliśmy się w sądzie i chciałbym powiedzieć, że były to równorzędne walki, że otrzymałem tyle samo ciosów, ile zadałem. Ale walki nie były równorzędne. Szczerze mówiąc, z pewną ulgą dowiedziałem się, że Lisa została przeniesiona. Nie żebym liczył punkty, ale armia liczy, i owszem. Lisa jest niesamowicie atrakcyjną blondynką i, co nie powinno być zaskoczeniem, jest błyskotliwa, inteligentna i diabelnie lubi wygrywać. Jest też doskonale wychowana i czarująca. Lecz nie rozwódźmy się zanadto nad jej licznymi przymiotami.

Zbliżyliśmy się do siebie na gruncie zawodowym. Ja myślałem o zbliżeniu emocjonalnym, a później fizycznym - niewykluczone, że pomyliła mi się kolejność - ale nic z tego nie wyszło. Choć mogło. Właściwie można powiedzieć, że ta

pogawędka z Clapperem nie była całkowitą stratą czasu, bo przypomniał mi, że miałem zadzwonić do Lisy.

- Chcę, żebyś z nią pogadał, Sean - rzekł generał, kiedy stało się jasne, że nie zamierzam odpowiedzieć. - Powinieneś skorygować nieco swoje nastawienie, a ja uważam, że taka rozmowa ci w tym pomoże. Lisa pracuje w kancelarii Culper, Hutch i Westin od roku. Bardzo jej się tam podoba. Oni uwielbiają ją, a ona ich.

Bez wątplenia obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy ciągnąć tę grę jeszcze przez godzinę, więc żeby nam tego oszczędzić, postanowiłem przejść do sedna.

— Czy to podlega negocjacji?

— Nie.

— Czy pańska odmowa negocjacji podlega negocjacji? Wyglądało na to, że nie.

— Wiesz, jakie mam opcje. Pomyślałem o moich opcjach.

Pierwsza: powiedzieć mu, żeby wsadził sobie gdzieś tę zawodową szansę, a później złożyć rezygnację. Jednym z problemów wynikających z takiego rozwiązania było palące pytanie, kto będzie mi co miesiąc przysyłał czek.

Druga: dobry żołnierz nie kwestionuje rozkazów, tylko trzaska obcasami i dziarsko maszeruje na spotkanie przeznaczenia, udając przynajmniej, że wierzy, iż ci, którzy noszą gwiazdki na pagonach, obdarzeni są niebiańską mądrością i wszechwiedzą. Parę sektorów białych pomników po drugiej stronie autostrady świadczy o zdumiewającej popularności tej opcji.

Była jeszcze trzecia opcja, lecz tak wstydliva, że waham się, czy w ogóle o niej wspominać, i

oczywiście nigdy jej poważnie nie rozważałem. Polegałaby ona na tym, że po stawieniu się do pracy w kancelarii spieprzyłbym wszystko, czego się tknę - nie wyłączając żony jednego ze współników - nasikał rano do kawy i został odesłany z powrotem do armii z etykietką „Niezdolny do Pracy w Cywilu”.

Ale, jako się rzekło, nawet o tym nie pomyślałem. Właściwie, o co ten cały raban? Dostałem podły wyrok. Nikt, kto nie

potrafi przez rok czy dwa stać na głowie, nie jest w stanie zaliczyć trzech pełnych etapów kariery wojskowej. A może okaże się, że będzie zabawnie? Że doznam oświecenia i tak dalej, jak obiecywał Clapper? Jeśli chodzi o Clappera, to może źle oceniłem jego motywy. Pewnie troszczył się o mnie, moją karierę i szansę przetrwania następnego posiedzenia komisji promocyjnej.

- Może zbyt szybko odpowiedziałem - rzekłem po zastanowieniu i dodałem: - Ma pan rację. Przyda mi się... no, wie pan... rozwój zawodowy, szansa spróbowania czegoś innego... nowe horyzonty.

Uśmiechnąłem się do generała, a on do mnie.

— Sean, bardzo się bałem, że będziesz robił trudności. Cieszę się, że rozumiesz.

— Tak, rozumiem. - Spojrzałem mu prosto w oczy. - I zapewniam pana, generale, że pan i armia będziecie ze mnie dumni.

PS Do zobaczenia za tydzień, najwyżej dwa, ważniaku.

ROZDZIAŁ 2

Fotografia była wyraźna, pokazywała śliczną twarz o wyrazistych rysach. Pełne usta, zadarty nos, oczy, których głęboka zieleń zapadała w pamięć. Kobieta uśmiechała się w czasie robienia zdjęcia; i był to przyjemny uśmiech, naturalny, przychodzący bez wysiłku. Oczy przepelnione empatią, żadnej biżuterii. Była piękna, lecz o to nie dbała, a w każdym razie nie starała się podkreślać. Podobało mu się to, podobnie jak wiele innych jej cech.

Będzie pierwsza.

Rzucił jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na okno jej sypialni; światło wciąż się paliło. Popatrzył znów na zdjęcie, jak gdyby mogło mu dostarczyć wskazówki, którą w jakiś sposób przeoczył.

Wyglądała na mniej niż trzydzieści lat: twarz pozbawiona zmarszczek i worków pod oczami, jędrna skóra, jeśli można to było ocenić. On jednak wiedział na pewno, że w maju przekroczyła tę granicę wiekową, nie ma stałego partnera i mieszka na przedmieściu Waszyngtonu od trzech lat.

Przed dwoma dniami stanął za nią w kolejce w pobliskim Starbucksie i powąchał jej perfumy. Przypadły mu do gustu: drogie i wybrane ze smakiem. Miała około metra siedemdziesięciu wzrostu, ważyła jakieś pięćdziesiąt dwa kilo. Nosila się godnie, lecz bez cienia wyniosłości czy szorstkości, której można

by się spodziewać po kobiecie z jej urodą i inteligencją. Zwraçała się grzecznie do dziewczyny za ladą, dała jej siedemdziesiąt pięć centów napiwku, choć rachunek za kawę wyniósł dolara dwadzieścia pięć centów. Uznał napiwek za zbyt szczodry. Nie używała cukru ani śmietanki. Nie miała kręćka na punkcie zdrowego odżywiania; dwa razy widział, jak je mięso. Mimo to wydawało się, że nie ma złych nawyków.

Ona musiała być pierwsza.

Obracał w mózgu tę myśl kilkadziesiąt razy, miał wszystkie za i przeciw, zastanawiał się tak intensywnie, że omal nie rozboleła go głowa.

To musiała być ona.

Bez niej wszystko by się zawaliło.

Ale jak?

Z całej grupy to właśnie ona narażała go na największe ryzyko. Z konieczności postępował metodycznie i opracował nawet specjalny program komputerowy, który miał mu pomóc w ocenie tych spraw. Wystarczyło wrzucić odpowiednie czynniki, a algorytmy odprawiły swoje czary i wypluwały liczbę. Dziesiątka oznaczała najwyższy poziom trudności. Ona dostała osiem, a współczynniki powyżej siedmiu budziły jego zaniepokojenie. Program nie był idealny, a z pewnością istniały czynniki, które przeoczył, cechy, których nie wyczuł, współczynnik mógł więc być zaniżony. Nigdy nie porwał się na dziewiątkę czy, Boże broń, dziesiątkę. W ciągu tych lat zastanawiał się nad kilkoma i zawsze rezygnował. Ryzyko popełnienia błędu było diabelnie wysokie, a kara za pomyłkę wprost nie do pomyślenia. Na liście zdarzyła się jedna siódemka, prawie ósemka, lecz reszta to były szóstki lub mniej. Jego metoda zakładała odsuwanie najtrudniejszych na sam koniec, ponieważ błąd na początku mógł spowodować fiasko całego planu.

Ale nie było wyboru.

To musiała być ona.

Więc znów pytanie: jak?

Na wierzchu stosu teczek leżących obok niego na siedzeniu samochodu znajdowała się jedna pełna szczegółów z jej życia, które bez trudu zdobył z publicznie dostępnych źródeł oraz w ciągu paru dni ostrożnego węszenia. Kilka informacji o kluczowym znaczeniu pochodziło z innych źródeł.

Miała nawyki. O piątej trzydzięci każdego ranka zapalało się światło w jej sypialni. Kwadrans później wybiegała przez frontowe drzwi w obcisłych spodniach, a jej figura zdecydowanie do nich pasowała: długie szczupłe nogi i fantastyczny tyłek. Ciemna koszulka ładnie kontrastowała z krótkimi blond włosami. Porannego stroju dopełniały praktyczne, choć drogie buty do biegania. Była w doskonałej kondycji i biegła bardzo, bardzo szybko. Dwa razy zmierzył jej czas: osiem kilometrów w trzydzięci dwie minuty pagórkowatą, trudną trasą. Ani razu nie zboczyła z drogi ani nie zmieniła tempa.

W szkołę średniej i na studiach była gwiazdą długich dystansów. W uniwersyteckiej gazecie opisano ją jako solidną zawodniczkę, pewnie wygrywającą z rywalkami ze słabszych uczelni, lecz często rozczarowującą w konfrontacji z najsilniejszymi ośrodkami sportowymi. Uznał tę ocenę za niesprawiedliwą. Biegła na Wschodzie, gdzie dominowali czarni, i jak na białą dziewczynę radziła sobie całkiem nieźle. Na Uniwersytecie Wirginii miała średnią trzy i dziewięć dziesiątych, a specjalizację prawniczą na Harvardzie ukończyła na piętnastym miejscu. Uznał, że to wielka szkoda, iż nie mogli się poznać w mniej złożonych okolicznościach. Preferował inteligentne, wykształcone i wysportowane kobiety i był

pewien, że pasowałiby do siebie doskonale.

Mieszkała w dzielnicy zamieszkiwanej przez ludzi, których status ekonomiczny i styl życia był zwyczajny i monotony. Okolica była jednak czysta, bezpieczna i znajdowała się niedaleko kancelarii. Utrzymywała kontakty towarzyskie z sąsiadami, ale nic poza tym. Przyjaźnie zawierała w pracy i gdzie indziej.

Jej dom stał ostatni w szeregowcu, był piętrowy, po bokach obłożony sidingiem, z frontem z cegły i garażem pod pokojem stołowym. Na tyłach kompleksu rósł gęsty las; najwyraźniej przewidujący inwestor zadbał o to, by zapewnić mieszkańcom poczucie prywatności. Uznał to za ironię i docenił ją. Dwa razy wdrapywał się nocą na wysokie drzewo i obserwował ją przez noktowizor.

Po bieganiu poświęcała pół godziny na prysznic, ubranie się i zjedzenie śniadania. Kwadrans po siódmej rozsuwały się drzwi garażu i na podjazd wyjeżdżał tyłem lśniący szary nissan maxima. Robiła krótki przystanek w Starbucksie trzy przecznice od domu, a potem jednym skokiem docierała do kancelarii. Jej życie płynęło według notesu wypełnionego notatkami i terminami spotkań. Jadła lunch przy biurku, a zakupy robiła tylko w weekendy. Jedynym chaotycznym i nieprzewidywalnym elementem rozkładu jej zajęć były wieczory. Często pracowała do późna, czasem kończyła nawet po północy.

Z tego, co wiedział, spotykała się kiedyś z pewnym mężczyzną, w kwestii romansów była wymagająca i staroświecka. Spontaniczne podrywy i jednorazowe sesje łóżkowe to nie jej styl. Szkoda, bo myślał o scenariuszu wykorzystującym taką okoliczność, ale o wiele łatwiej można było sobie wyobrazić szorstką odmowę, która pociągnęłaby za sobą niemożliwe do przyjęcia komplikacje.

Była ostrożna i miała wzorowe nawyki dbania o bezpieczeństwo. Wziąwszy pod uwagę jej wygląd, należało przyznać, że postępowała słusznie. Przy wysiadaniu zawsze zamykała samochód. Wdarcie się do miejsca jej pracy nie wchodziło w grę. W domu zainstalowała system bezpieczeństwa, który pieczołowicie uruchamiała za każdym razem, gdy wychodziła. Całkiem niezły system, według niego, a on umiał to ocenić: z awaryjnym zasilaniem z baterii i okablowaniem drzwi i okien. W pokoju stołowym działał system wykrywania ruchu. Podejrzewał, że prawdopodobnie co najmniej jeden przycisk alarmowy znajduje się w sypialni. Miała jednak zwyczaj zostawiać otwarte okienko w łazience na piętrze, pewnie po to, by zapobiec powstawaniu przykrego zapachu i wilgoci.

Jednak to uchybienie nic mu nie dawało. Scenariusz był na pierwszym miejscu, i bez względu na to, jak chciałby go przekręcić i zafałszować, nie mógł wykorzystać tego rażącego zaniedbania.

Przez chwilę miętosił palcami skórę na szyi, a potem zgasił górne światło w wozie i rzucił teczkę na siedzenie. Podjął decyzję. Była sensowna, jakkolwiek by na nią patrzeć.

Weźmie ją tam gdzie ona najmniej się tego spodziewa. Wkroczy do akcji, kiedy jej czujność i instynkt obronny będą najstabsze. Zbliży się w taki sposób, że ona opuści gardę i dopuści go do siebie.

Będzie jego wizytówką, i to taką, o której niełatwo zapomnieć.

ROZDZIAŁ 3

- Jestem Sally Westin - powiedział chrapliwie głos w telefonie. - Wyznaczono mi zadanie przywitania pana w kancelarii Culper, Hutch i Westin. - Nie odpowiedziałem, więc dodała: - Firmie, w której będzie pan pracował.

Wskazówka zegarka wciąż tkwiła na czwartej trzydzięci rano.

— Wie pani, która jest godzina? - zapytałem.

— Oczywiście. A pan wie, gdzie mieści się nasza kancelaria?

— Jestem pewien, że znajdę adres w książce telefonicznej.

— Świetnie. Proszę o mnie zapytać, kiedy pan dotrze. Wspólnicy przychodzą do pracy przed ósmą i dobrze jest być przed nimi. Nie ma u nas zegara kontrolnego... ale takie rzeczy się zauważa. A nie wątpię, że już na początku będzie chciał pan zrobić odpowiednie wrażenie.

Skoro o tym wspomniała, to owszem, jak najbardziej. Odłożyłem słuchawkę i zamknąłem oczy.

O ósmej trzydzięci włączyłem telewizor, pozwoliłem Katie i ferajnie zbombardować się tryskającą radością, potem dałem tę samą szansę Diane z jej wojną notowań giełdowych, wziąłem prysznic, ogoliłem się i tak dalej.

Powinniście zrozumieć, dlaczego nie palę się do udziału w tym programie. Kocham wojsko, to dla mnie całe życie. PPA, powiadają żołnierze, i w zależności od dnia znaczy to Przygoda, Podróż, Aleubaw, albo Pieprzyć Pieprzoną Armię. A w pewne szczególne dni i jedno, i drugie. Co jeszcze... Ciekawa praca, prostota w szafie, uporządkowany wszechświat i poczucie służenia

wyższemu celowi. Jestem zbyt rogaty na księdza, i to wyczerpuje sprawę.

Poza tym istnieje głęboka przepaść między prawem wojskowym i cywilnym, a zwłaszcza rozmięczonym prawem korporacyjnym. My nie prowadzimy gierki z rachunkami, nie bijemy się o klientów i ich sobie nie wyrywamy. Niestety, wiąże się to również z tym, że na gwiazdkę nie znajdujemy w skrzynkach tłustych czeków z tytułu premii. Jednak z moich niefortunnych doświadczeń wynika, że wielu prawników z dużych kancelarii patrzy na nas z góry. Uważają nas za ciemniaków na państwowym garnuszku, miękkich, leniwych i pozbawionych intelektualnej zadziorności. Ale nie czuję się urażony: w końcu wszyscy oni są zepsutymi, aroganckimi, grubo przepłacanymi tępakami.

Jeśli idzie o zapewnienia Clappera dotyczące doświadczeń Lisy Morrow w firmie, generałowie nie kłamią, lecz prawda czasem wymyka się z ich ust w dość osobliwy sposób. Na przykład nie powiedzą ci: „Cóż, chłopcy, trzy plutony, które próbowały zdobyć to wzgórze, zostały rozpieprzone w drobny mak, a ja chcę, żebyście wy poszli ich śladem i niech was Bóg błogosławi”. Nie, oni będą ci wciskali dyrdymały w rodzaju: „Jesteście najlepszymi żołnierzami, jacy chodzą po ziemi, i dlatego wyznaczyłem wam szczytne i prestiżowe zadanie zdobycia tego małego, słabo bronionego pagórka”.

Posadzą mnie w najciemniejszym kącie suterenu i przez rok będę obliczał, ile spinaczy potrzeba do tego, żeby kancelaria mogła prawidłowo funkcjonować. A na koniec dostanę dyplom z błędnie wpisanym nazwiskiem, bo z wyjątkiem stróżów nikt w firmie nie będzie miał bladego pojęcia, co ze mnie za jeden.

Poza tym Clapper nie jest taki bystry, jak mu się wydaje. Jak większość generałów ma wprawę w nie odkrywaniu kart i jak większość prawników umie owijać w bawełnę. Trochę mnie dotknęło, że nie przyszło mu do głowy, iż przejrzę tę grę.

Najwyraźniej miał jakiś większy plan; coś mi mówiło, że według tego planu Sean Drummond ma skończyć za biurkiem w Biurze Kontraktów Pentagonu, negocjując prawne aspekty funkcjonowania baz wojskowych, umów na dostawy broni i inne rzeczy zbyt straszne, bo o nich wspominać.

Ktoś pewnie musi to robić. Ale nie ja, panie generale, nie ja.

Tak czy owak okazało się, że wspomniana firma mieści się przy Connecticut Avenue, sześć przecznic od Białego Domu, w okolicy słynącej z drogich restauracji, powolnego ruchu kołowego i bajonkich czynszów. Znalazłem podziemny garaż, zaparkowałem samochód i ruszyłem do dziewięciokondygnacyjnego biurowca. Z tablicy informacyjnej przy windzie dowiedziałem się, że kancelaria zajmuje trzy najwyższe piętra. W ten sposób poznałem też odpowiedź na pierwsze pytanie. To była duża firma. I - czego nie trzeba dodawać - fabryka forsy.

Drzwi windy otworzyły się na ósmym piętrze, a to, co zobaczyłem, dobitnie potwierdzało ostatnią z wyrażonych wcześniej opinii: wykładane mahoniową boazerią ściany, kinkiety rzucające przyciemnione światło i nazwiska Culper, Hutch i Westin wypisane obrzydliwie złotymi literami na ścianie. Wszedłem z windy i puściłem pawia na dywan. Żartuję.

Było też parę skórzanych kanap z mosiężnymi ówiekami, małe stoliki i lampy, a na ścianach obrazy przedstawiające statki pod pełnymi żaglami. Za długim drewnianym biurkiem siedziała atrakcyjna pani w średnim wieku, z tyłkiem w gustownym ciuchu.

— Czy mogę panu w czymś pomóc? - zapytała od razu z rwanym akcentem angielskich klas wyższych, tak bezbłędnie harmonizującym z klimatem

otoczenia.

— Może pani - odparłem. - Sally Westin.

— Pana godność?

— Drummond.

Dystyngowana paniusia nacisnęła guzik małego mikrofonu podłączonego do interkomu, szepnęła coś, a potem powiedziała:

- Proszę spocząć. Panna Westin niebawem po pana przyjdzie.

-Jaka jest różnica między prawnikiem korporacyjnym i kłamcą? - spytałem z uśmiechem. Nie odpowiedziała, więc zrobiłem to za nią: - Ortograficzna.

Lekko zirytowana damulka poinformowała mnie:

- Doprawdy, jestem zajęta. - Potem wskazała mi fotel, nacisnęła guzik i zaczęła udawać, że z kimś rozmawia.

Usiadłem. Trzeba było coś zrobić dla rozluźnienia atmosfery w tym lokalu. W holu panował spory ruch; przeważnie mężczyźni, zadowoleni z siebie ważniacy w garniakach za dwa tysiące dolców, z aktówkami od Gucciego. Skrzywiłem się, żeby też wyglądać jak ważniak. Bardzo się starałem dopasować do otoczenia. Może powinienem się szarpnąć na teczkę od Gucciego... Ale chyba jednak nie.

Wreszcie podeszła do mnie młoda kobieta i powiedziała:

- Sally Westin. Hm, spodziewałam się pana wcześniej... Prawdę mówiąc, o wiele wcześniej.

Hm. Zacznijmy od aparycji: trzydzieści lat, zdrowy wygląd, delikatne, ale przyjemne rysy twarzy. Chyba ładna, ale schludna i ufryzowana w sposób budzący niechęć. Kasztanowe włosy ciasno upięte w kok, okulary w złotych oprawkach, bez makijażu. Cycki, biodra i wszystkie inne damskie akcesoria były na posterunku, ale schowane, gdzieś upchnięte i zakamuflowane, żeby się nie wyróżniały. Cisnęło się na usta słowo „sztywniaczka”, ale może się pospieszyłem.

I twarz: napięta, zdecydowanie pełna wyrzutu. Więc może jednak się nie pospieszyłem.

- No cóż, jak pan widzi - zaczęła, gdy stało się jasne, że nie rwę się do usprawiedliwień - mamy tu wspaniałe warunki. Pod względem wykorzystania

elektroniki jesteśmy najbardziej zaawansowaną firmą prawniczą na świecie, mamy asystentów i personel z najwyższej półki, a w naszej bibliotece znajdzie pan wszystkie najnowsze orzeczenia mające jakikolwiek związek z prawem korporacyjnym.

Bez dalszej zwłoki mszyła przed siebie, mówiąc:

- Pozwoli pan, że pokażę gabinet, który panu wyznaczono.

Jestem pewna, że pana usatysfakcjonuje.

Poszliśmy więc długim korytarzem. Ścianę pokrywała tapeta w przygaszonych kolorach, a na podłodze leżał orientalny puszysty chodnik. Szyk i sznyt. Wreszcie panna Westin skręciła do narożnego gabinetu sześć metrów na dziewięć. Na ścianach wisiało kilka obrazków z żaglowcami, a na ogromnym orientalnym dywanie rozsiadło się ręcznie rzeźbione drewniane biurko oraz dwie skórzane kanapy. Z okien rozpościerał się panoramiczny widok na centrum miasta.

Gabinet, w którym zwykle urzęduję, jeśli kogoś to ciekawi, to cela bez okien trzy na sześć metrów z pokancerowanym metalowym biurkiem i szarym metalowym sejfem w ścianie; wojskowe wyobrażenie sztuki ilustrują plakaty rekrutacyjne, które w biurze adwokata sprawiają wrażenie oksymoronów albo czegoś jeszcze gorszego, jeśli chcecie znać moje zdanie. Przyszło mi do głowy, że mogę zostać w firmie tak długo, aż któryś z kumpli wojaków przyjdzie zobaczyć, jak żyje... no wiecie, druga połówka. Odrażające, naprawdę odrażające...

Panna Westin zrobiła kolisty ruch ręką.

- Należało do kogoś pracującego u nas szósty rok; ten ktoś był blisko stanowiska wspólnika. Został zwolniony w zeszłym tygodniu. Jest pańskie do następnego spotkania naszej rady zarządzającej.

Rozejrzałem się.

- Mój gabinet nie jest tak imponujący. - Po chwili panna Westin spytała głosem, w którym, jak mi się zdawało, usłyszałem rozdrażnienie: - No i co? Może

pan tu pracować?

- Jest ekspres do kawy? Gospodyni przewróciła oczami.

- Tak, do cappuccino i espresso też. Jeśli to pana nie zadowoli, to któraś sekretarka z przyjemnością pobiegnie do sklepu i przyniesie, czego pan sobie zażyczy.

O rany, to jest życie, no nie? Gdybym kazał mojej asystentce prawnej, sierżant pierwszej kategorii Imeldzie Pepperfield, skoczyć po filiżaneczkę cafe latte, to dałaby mi takiego kopa, że trzeba byłoby wezwać pogotowie, żeby lekarz wyciągnął jej stopę z mojego tyłka. Lecz armia jako instytucja publiczna, odpowiadająca przed społeczeństwem, marszczy srogo czoło, gdy w taki sposób wykorzystuje się pracującą dla niej kobietę. Jak wspominałem, istnieją znaczne różnice między sektorem publicznym i prywatnym. Ale nie powiedziałem, że to źle.

Usiadłem na sofie i parę razy podskoczyłem: solidne sprężyny, miękka skóra, porządna rama. Na tej kozetce można sobie uciąć niezłą drzemkę.

— A pani co robi w firmie? - zapytałem pannę Westin.

— Jestem współpracowniczką od trzech lat. Właśnie zostałam przydzielona do obsługi naszego największego klienta korporacyjnego. A pan w czym się specjalizuje w armii?

— Wyłącznie w prawie karnym.

— Ach, rozumiem. - Przeniosła ciężar ciała z lewej nogi na prawą. - Jeśli chce się pan zapoznać z prawem korporacyjnym i kontraktowym, to z pewnością trafił pan we właściwe miejsce, panie Drummond. Firma Culper, Hutch i Westin ma w tej dziedzinie doskonałą reputację.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszałem

kaszlnięcie, które skierowało moją uwagę na postać w drzwiach: był to mężczyzna pod siedemdziesiątkę, w jednym ze wspomnianych już garniturów za dwa tysiące, z gęstymi, falującymi, białymi włosami, z dokładnie przyciętymi czarnymi brwiami, ściągniętymi ustami i czerstwą cerą świadczącą o częstym przebywaniu na powietrzu. Każdy atom jego istoty i cała postawa krzyczały: dupek w białych lakierkach! Jeśli nie wiecie, kto to taki, wyjaśniam, że tak właśnie nazywamy gości z kancelarii adwokackich, którzy nigdy nie wchodzi do rynsztoka i dzięki temu na ich butach nigdy nie uświadczysz ani odrobiny gówna.

— Jestem Harold Bronson, wspólnik zarządzający - oznajmił, kiwając głową. - Pan Drummond, jak sądzę?

— Chyba na to wygląda.

Nie podał mi ręki ani w żaden inny sposób nie dał do zrozumienia, że cieszy się z mojej obecności.

— Wpadłem, żeby pana poznać. Wyznaczyliśmy pannę Westin, żeby z panem pracowała i wprowadziła w tajniki naszej kultury. Jest dobrze zaznajomiona ze sprawami, nad którymi będzie pan pracował. - Przyjrzał mi się dokładniej. - A pan?

— A ja?

Zsunął niżej okulary.

— Oczywiście, że pan, Drummond. Jakie jest pańskie doświadczenie w dziedzinie prawa korporacyjnego i roszczeń?

— Moja działka to kryminalni.

— Sprawy karne?

— Zgadza się.

Pan Bronson raz czy dwa wciągnął powietrze, bez wątpienia po to, by sprawdzić, czy nie spryskałem mu drogich skarpetek psim gównem przywleczonym z ulicy.

- My nawet nie tykamy spraw karnych, panie Drummond. Ani my, ani nasi klienci nie chcemy nawet mieć do czynienia z tą dziedziną prawa. - Po chwili dodał: - A nasza praca, o czym się pan przekona, jest... bardziej wymagająca intelektualnie.

Rozumiecie, co miałem na myśli, mówiąc o typach w białych lakierkach? Niech mnie ktoś stąd zabierze. Ale Pan Białe Lakierki już się rozbujał.

- Zajmujemy się dochodzeniem roszczeń, prawem korporacyjnym, zarządzaniem i doradztwem, umowami, papierami wartościowymi, ubezpieczeniami, telekomunikacją i zniesławieniami, a także, jak każda duża firma o znacznym kapitale, lobbingiem politycznym na rzecz naszych klientów. W ciągu ostatnich kilku lat, ze względu na pogarszający się stan gospodarki, znacznie wzrosła liczba spraw związanych z bankructwami. W rzeczy samej to moja dziedzina. Obecnie tym głównie się zajmujemy.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem. Może zwracałbym większą uwagę na to, co mówi pan Bronson, a może nawet byłbym serdeczniejszy, gdyby nie miał spiętej, nieprzyjemnej facjaty! Odniosłem też wrażenie, że nie jest taka ze względu na moją obecność, lecz zawsze, a ponadto bije z niej przytłaczająca arogancja. Miał też lakoniczny, protekcyjny sposób mówienia, który z pewnością robił wrażenie na klientach, ale mnie działał na nerwy.

Jakby tego było mało, panna Westin chłonęła każdy jego gest i słowo. Po prostu czuło się jej strach, niepewność i dyskomfort.

Pan Bronson umieścił okulary na pierwotnym miejscu i rzekł:

- Co za niefortunna dla nas okoliczność, że brakuje panu doświadczenia w którejkolwiek z dziedzin, jakimi się zajmuje my. A będzie pan zaangażowany w sprawy delikatne i istotne dla naszej firmy, panie Drummond... - Bla bla bla, bla bla bla. Dalsze omawianie oczywistych niedostatków moich kwalifikacji oraz konieczności oduczenia się niechlujnych nawyków wojskowego prawa. I jeszcze o tym, jaki to zaszczyt mnie kopnął, że mogę się uczyć u stóp wielkich mistrzów sztuki prawniczej.

W czasie całego tego wykładu siedziałem nonszalancko i słuchałem grzecznie, pokonując przemożną chęć powiedzenia mu, żeby się walił. Żałowałem, że nie ma tu Clappera. Byłby ze mnie naprawdę dumny. Zastanawiałem się, co robi w tej chwili śliczna kapitan Morrow, myślałem o tym, że mam do niej zadzwonić... Przypomniałem też sobie, że mam pranie do odebrania, że muszę oddać książkę do biblioteki, że...

- Panie Drummond, czy pan mnie słucha?

Ups.

- Jestem bardzo zapracowany, młody człowieku
- oznajmił pan Bronson. - A jeśli pana zanudzam...
Usłyszał pan chociaż słowo z tego, co mówiłem?

Poczułem się naprawdę okropnie. Teraz należało okazać potulną skruchę i zapewnić go, iż jego słowa były szalenie pouczające i inspirujące.

- Przepraszam - powiedziałem szczerze. -
Zdawało mi się, że skończył pan jakieś dziesięć zdań wcześniej.

Pan Bronson zaczął manipulować przy swoim krawacie. Ale czy nie byłoby głupio, gdyby ten facet nabrał idiotycznego przekonania, że jestem jakimś młodszym współpracownikiem, którym można pomiatać? Tak - o wiele lepiej dla niego i dla mnie byłoby, gdyby szybko doszedł do wniosku, że w tej firmie nie ma miejsca dla nas dwóch, i czym prędzej mnie wykopał. Nie spodziewałem się, że dojdzie do tego przy pierwszym spotkaniu. Ale zawsze warto spróbować.

Najwyraźniej jednak miał mnie dość. Skinął głową panie Westin i szybko opuścił lokal.

Gabinet napełnił się powietrzem, które wypuściła z płuc.

— To było naprawdę głupie - powiedziała, ścigając brwi.

— Niech się pani nim nie przejmuje. To tylko zwyczajny prawnik.

— Nie jest zwyczajnym prawnikiem. W tej firmie jest Bogiem, idioto.

— Czy może mi podstemplować karnet na parking?

— Co z panem jest? - Skrzyżowała ręce na piersi i zrobiła nadzwyczaj zatroskaną minę. - Przy pozostałych wspólnikach niech pan się postara zrobić lepsze wrażenie. To przechodzi na mnie.

— Co...?

— Już powiedziałam. Jestem za pana odpowiedzialna, póki pan tutaj pracuje.

— Proszę to wyjaśnić.

— Zarząd firmy jest zdania, że skoro mamy w naszych szeregach wojskowego prawnika, to należy zapewnić mu kulturę i edukację. Moim zadaniem jest wygładzenie go.

— Co to dokładnie znaczy? - spytałem, chociaż właściwie nie było to potrzebne.

— Posłuchaj, Drummond...

— Mam na imię Sean...

— Dobrze. Pozwól, że...

— A ja mogę ci mówić Sally, tak?

— Jeśli to dla ciebie takie ważne. Drummond, twoja niekompetencja jest oczywista...

— Usiądź, proszę cię - przerwałem jej z uśmiechem, wskazując kanapę naprzeciwko. - Zacznijmy od początku. Ja jestem Sean, a ty jesteś Sally. Nie jesteś moją mentorką ani niańką, tylko koleżanką. Powinniśmy traktować się z szacunkiem, a nawet jak przyjaciele...

W drzwiach pojawiła się kolejna postać.

- Dzień dobry, majorze Drummond. - Posłał mi błady uśmieszek i dodał: - Jestem Cy Berger... jeden ze starszych wspólników w naszej firmie.

Nie była to dla mnie nowość.

W mieście pełnym rozpoznawalnych twarzy oblicze Seymoura albo Cya Bergera należało do najbardziej znanych. Był kongresmanem przez dwie kadencje i dwukrotnie senatorem rozdającym karty na Kapitolu, zanim doszło do tej niefortunnej wpadki z młodszą asystentką w Senacie - a właściwie z tabunem asystentek, żon innych senatorów i wielu innych dam - która złamała jego karierę. Zręczność i polityczne

wpływy Cya Bergera były tak ogromne, że nazywano go Królem Kapitolu, zanim jedna zapłakana babka, a potem cała ich gromada, wyszła z cienia i zeznała, że Cy wciskał jej się do majtek. Przypominam sobie kilka przesłuchań przed kamerami, doniesienia o wyciszonych sprawach o ojcostwo, o porzuceniu Bergera przez zdradzaną, świeżo poślubioną żonę... Wreszcie senator Berger ogłosił na konferencji prasowej, że rezygnuje z ubiegania się o reelekcję, by „zająć się prywatnymi sprawami”.

Jeśli chcecie znać moje zdanie, mógł ująć to inaczej.

Tak czy owak Waszyngton to przedziwne miasto, w którym obowiązuje inny stosunek do pojęć politycznej hańby i zawodowej ruiny. Tak więc Cy postąpił zgodnie z waszyngtońskim kodeksem: odszedł do wielkiej kancelarii prawniczej, gdzie zarabiał dziesięć razy tyle, co w Senacie, a gdy Jayowi Leno wyczerpały się żarty na jego temat, został czymś w rodzaju nestora-męża stanu, który pojawiał się w talk-show w niedzielne poranki, poklepywał po plecach byłych kolegów za wyświadczenie mu przysług, a jego życie prywatne znów stało się prywatne.

Ale powinniście zrozumieć, że Waszyngton niczego nie kocha tak, jak efektownego skandalu politycznego. Dzięki temu przez dwa miesiące Cy Berger był na ustach wszystkich.

Króla Kapitolu ochrzczono Kogutem Wybiegu i zaczęto opowiadać dowcip o farmerze, który zapłacił fortunę za koguta imieniem Cy, słynącego z bajecznego wprost wigoru i wytrwałości. Przywozi ów farmer Cya do domu, wypuszcza na podwórko i patrzy, jak kogut zabiera się do roboty. I nie może wyjść ze zdumienia, bo nie dość, że Cy okazuje się niestrudzony, to jeszcze nie dyskryminuje żadnej kury. Przed lunchem załatwił trzysta kokoszek i czterysta krów, a gdy wskoczył do chlewu, farmerowi znudziło się oglądanie. Nazajutrz rano farmer wychodzi na podwórze i z przerażeniem widzi swojego bezcennego koguta leżącego sztywno z nogami do góry; wygląda na to, że czempion padł z wyczerpania. Nad farmą krążyło stadko jastrzębi. Farmer poczuł się oszukany i zaczął głośno kląć, ale nagle Cy otwiera jedno oko i szepcze: „Może byś się tak zamknął, co? Już prawie udało mi się je zwabić”.

Ale, wracając do rzeczywistości.

— Dzień dobry, senatorze - powiedziałem.

— Daj sobie spokój z senatorem. Wystarczy Cy. - Nigdy nie spotkałem się z nim twarzą w twarz. Cy był wyższy, niż przypuszczałem, i masywnie zbudowany; miał różową zniszczoną twarz, szpakowate włosy i gruby nos, prawie bulwiasty. Nie był przystojny, nawet nie atrakcyjny, właściwie był brzydki, lecz jego feromony pachniały władzą, a w Waszyngtonie to przepustka do sklepu z cukierkami.

- Mogę wejść? - zapytał.

Skinąłem głową.

Cy Berger spojrzał na pannę Westin, uśmiechnął się do niej ciepło i powiedział:

— Dzień dobry, Sally. Jak się dziś miewasz?

— Doskonale, Cy. Miło, że pytasz.

— Czy w czymś przeszkodziłem? - spytał, zwracając się do mnie.

— Panna Westin tłumaczyła właśnie, że jest moją opiekunką.

— Czy to stanowi dla ciebie problem?

— A dla ciebie by nie stanowiło?

— Tak, pewnie tak. - Pomyślał nad tym przez chwilę, a potem rzekł: - Jestem współnikiem, który ma nadzorować twoją i Sally pracę. Poza tym to właśnie ja przekonałem firmę, żeby wzięła udział w tym wojskowym programie. Naturalnie, musiałem o to zapytać.

— Dlaczego?

— Pomyślałem, że to będzie pożyteczne dla wizerunku firmy.

- Ja nie jestem pożyteczny nawet dla własnego wizerunku.

Cy zachichotał.

- Jestem pewien, że masz nam bardzo dużo do zaoferowania.

Błąd. Cy mimochodem zdjął jakąś nitkę ze spodni i rzekł:

- Sally, zrób coś dla mnie. Idź do Hala i powiedz mu, że przyszedł Drummond. - Odwrócił się do mnie i wyjaśnił: - Chodzi o Hala Merriweathera. Zajmuje się sprawami personalnymi, ma spory temperament i tendencję do terytorialnej zaborczości.

Załatwił to gładko; doświadczenie daje człowiekowi wycucie w tych sprawach. Jak tylko Sally wyszła, Cy zamknął drzwi i zlustrował mnie od stóp do głów.

— Sean, zgadza się?

— Tak.

— Cóż, Sean... Trzeba będzie dokonać paru korekt. Właśnie rozmawiałem z Harrym Bronsonem. A biedna Sally wygląda na skołowaną.

Nie oczekiwał odpowiedzi, więc milczałem. Po

chwili podjął:

- Widzisz ten gabinet? - Było oczywiste, że widzę. - Jimmy Barber był najlepszym współpracownikiem, jakiego mieliśmy od lat. Wydział prawa w Yale, pierwsza lokata, wzmianka w gazecie branżowej, nasz najlepszy nabytek tego roku. Był na dobrej drodze, żeby w ciągu sześciu lat zostać wspólnikiem. Latem zeszłego roku w jednym z programów naśladowujących *Sześćdziesiąt minut* obsmarowano podsekretarza w rządzie. Powiedziano, że przyjmował darmowe loty od prywatnego sponsora, który finansował też naukę jego dziecka i czynsz za mieszkanie kochanki.

— Ten, który...

— Taak, ten sam. Namówiłem go, żeby złożył pozew o zniesławienie. Namówiłem też radę kancelarii, żeby przydzielić sprawę Jimmy'emu, jako coś w rodzaju ostatniego testu przed przyjęciem na wspólnika. Jimmy zaczął od dokładnego sprawdzenia finansów podsekretarza. Znalazł rachunki za loty i za naukę syna w college'u. Kochanka okazała się Peruwianką, której żona tego człowieka pomagała w staraniach o obywatelstwo i opłacała czynsz. Nawet sama podpisywała czeki. Powiedz mi, Sean, postępowałbyś tak z kochanką?

- A ty? - wymknęło mi się impertynenckie pytanie.

Cy przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Facet najwyraźniej został oddelegowany, żeby palnąć mi biurokratyczne kazanie, i był też moim nowym szefem, a korekty nastawienia wychodzą najlepiej, kiedy jest to ruch obustronny. On miał być autorytetem, a ja odgrywałem cwaniaka. Gdzieś pośrodku musieliśmy znaleźć wspólne pole, na którym mogła odbywać się współpraca.

- Pytanie było czysto teoretyczne, oczywiście - dodałem.

Cy się roześmiał.

— A niech mnie. Nie, ja sam podpisywałem swoje czeki. Ale próżny trud. Żony i tak dowiadywały się o moich romansach z wieczornych wiadomości.

— To musiało ci działać na nerwy.

— Tak, rzeczywiście. Ale wracając do Jimmy'ego. Okazało się, że sieć telewizyjna dostała całą historię od byłego oszusta. Okazało się też, że w swoim poprzednim wcieleniu podsekretarz był prokuratorem okręgowym, który załatwił facetowi dziesięć lat bez możliwości odroczenia. Co gorsza,

dziennikarze nie zweryfikowali informacji ani nie dali podsekretarzowi możliwości obrony.

— Więc mieliśmy mocne dowody.

— Tak się wydawało.

Cy wpatrywał się przez chwilę we wzór na dywanie, jak gdyby to, co miał powiedzieć, było zbyt bolesne. W końcu, rzecz jasna, zebrał się w sobie.

— Fields, Jason i Morgantheau wyznaczili do obrony Silasa Jacklera, swoją pierwszą strzelbę. Jak pewnie wiesz, najtrudniejszym elementem w sprawach o zniesławienie postaci publicznej jest udowodnienie złych intencji. Po tygodniu chodzenia wokół sprawy Jimmy powiedział nam, że trafił na informatora w telewizji, który był przy tym, jak zastępca redaktora programu zapytał przełożonych, czy nie powinni chociaż zweryfikować tej wersji wydarzeń. Kazano mu się zamknąć. Informator Jimmy'ego podsłuchał, jak starszy redaktor chwalił się, że już załatwił jednego kongresmana, a teraz chce sobie zawiesić na ścianie drugi skalp. To są złe intencje, prawda?

— Tak. Ale mam nadzieję, że dokładnie sprawdziliście tego informatora.

— Właśnie tak powinno się zrobić. - Cy uniół brwi. - Kilka sekund po tym, jak Jimmy przesłuchał w sądzie naszego świadka, Jackler przytoczył masę dowodów świadczących o tym, że facet został wylany z telewizji za fałszowanie rachunków za koszty, a potem wezwał kilku świadków, którzy słyszeli, jak przysięgał, że się zemści. Świadek załamał się podczas repliki Jacklera i przyznał do wszystkiego.

— Bardzo filmowy moment.

— O, tak. A Jimmy przyznał się później, że nas okłamał. Chciał nam zaimponować swoją detektywistyczną robotą. W rzeczywistości było tak, że to informator przeczytał o sprawie w gazecie, znalazł naszą kancelarię i zaproponował swoje usługi.

— Podstawiony?

— Przypuszczalnie tak.

— Ale co z tego?

— No właśnie, co z tego? Oskarżenie zostało oddalone. Kazano nam nawet zwrócić koszty sprawy pozwanym. Wieści szybko się rozchodzą - to było

wielkie upokorzenie dla firmy, a Jackler kasuje sześćset
dolców za godzinę. Pazerny drań trafił nas na dziesięć
milionów.

 Nie wątpię, że z tej opowieści płynie jakiś
morał.

 - Będę miał do czynienia z tą samą firmą? -
spytałem.

— Otóż to.

— A wy chcecie krwi?

— Ależ skąd. - Spojrzał mi w oczy i dodał: -
Wszyscy tutaj jesteśmy profesjonalistami, Sean. W
sprawach zawodowych nigdy nie kierujemy się
pobudkami osobistymi.

Zachichotaliśmy obaj. Zaczynałem lubić tego
gościa.

- Ale nasze sprawy są warte ciężką forszę -
ciągnął Cy. - Wielkie koncerny tego świata, takie jak
General Electric czy Pepsi, wynajmują najlepszych
prawników, płacą im fortuny i mają gigantyczne
wymagania. Trzeba się nieźle narobić.

To, rzecz jasna, był cel tej rozmowy.
Psychologia motywacyjna, strona sto pierwsza: Cy
przeprowadził porównanie stawek w prawie
korporacyjnym i karnym - pieniądze i reputacja na
jednej szali, a życie i los jednostki na drugiej.

Oczywiście, nikt nie osiągnąłby tego, co
osiągnął Cy, bez silnego, a nawet charyzmatycznego
charakteru. Przez dłuższą chwilę z dużym szacunkiem
zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. Nic z tego:
mimo wszystko, chrzanienie.

Uznałem, że nadeszła moja kolej. Oparłem się o
biurko i zapytałem:

- Dlaczego nazwisko Sally Westin widnieje na
waszym sztandarze?

Cy westchnął.

- Historia Sally jest... intrygująca. Jej dziadek
był jednym z założycieli tej kancelarii. Zmarł jakieś
dwadzieścia lat temu, ale nadal jest tutaj legendą. Jego
odciski palców są wszędzie, bo wierzymy, że to klucz
do naszego sukcesu. Był ekscentrycznym starym
zgreдем, który wierzył w zwycięstwo za wszelką cenę.
Doprowadzał do obłędu współników, a z tego, co

słyszę, współpracownicy mieli jeszcze gorzej. Każda firma lubi chętnie się tym, że przepuszcza współpracowników przez piekło. Szczerze powiedziawszy, w porównaniu z naszą inną kancelarię to żłobki. My zmuszamy naszych współpracowników do tego, żeby pracowali dwa razy ciężiej, wywieramy na nich jeszcze większy nacisk i jesteśmy mniej wyrozumiali niż jakakolwiek inna znana firma. Mówimy aspirantom, że mają jedną szansę na siedem, że zostaną wspólnikami, a ponieważ studenci prawa mają przewrotną skłonność do rywalizacji, więc lecą do nas jak muchy do miodu.

— A jaki to ma związek z Sally Westin...?

— Właśnie do tego zmierzam. Sally skończyła prawo w Duke i ledwie zmieściła się w górnej połowie grupy. Możemy sobie pozwolić na to, by być bardzo wybredni, i tacy jesteśmy. Praktycznie nie prowadzimy naboru w Duke, wybieramy tylko pięć procent z pierwszej piątki uczelni. Dla niej zrobiliśmy wyjątek.

W tym momencie na miejscu wydawało się pytanie:

— Dlaczego?

— Z poczucia winy.

— Winy?

— Tak. Ojciec Sally też był współpracownikiem w firmie, kiedy stary Westin był wspólnikiem zarządzającym. To jeden z przewrotnych przykładów antynepotyzmu. Stary dawał synowi trzy razy więcej roboty niż innym, prawie doprowadził go do śmierci i gnębił bez litości. Trwało to przez siedem lat. A potem go wylał.

— Uroczy gość.

— Ostatni z prawdziwych zimnokrwistych drani. Działo się to na długo, zanim przyszedłem, ale podobno stary był też kutym na cztery nogi i

utalentowanym prawnikiem. Syn przeniósł się do innej firmy, ale był zdruzgotany. Pięć lat później, kiedy Sally miała dwa lata, jej ojciec znów nie został przyjęty na wspólnika.

— Wskazówka, że należałoby się zastanowić nad zmianą profesji.

— Może się zastanawiał, ale tego nie zrobił, tylko się zabił. - Cy dał mi chwilę na przemyślenie tych słów. - Sally pracuje jak szatan. Wątpię, czy przespała więcej niż cztery godziny na dobę od czasu, gdy zaczęła pracować. A my bynajmniej nie ułatwiamy jej życia. To nie w naszym stylu. Wszyscy współpracownicy muszą się wykazać.

— I jak jej idzie?

Cy pokiwał ręką.

- Za parę miesięcy zdecydujemy, których trzech z siedmiu współpracowników z jej grupy zatrzymać. Dwoje to złote dzieci... prawdziwi geniusze. A ponieważ połowa prowadzonych przez nas spraw dotyczy bankructw, preferujemy współpracowników, którzy posiadają stopnie naukowe zarówno z prawa, jak i z księgowości. Sally nie ma dyplomu z księgowości i szczerze powiedziawszy, jeśli ma smykałkę do liczb, to do tej pory skrzętnie ją ukrywała.

Wydawało mi się, że Cy ma jeszcze coś do powiedzenia, i rzeczywiście po chwili dodał:

- To ja przekonałem zarząd, żeby dano ją pod moją opiekę. Możesz odnieść wrażenie, że jest trochę sztywna i spięta, więc uznałem, że warto pewne rzeczy wyjaśnić.

Cóż, istnieje wiele motywów, dla których ludzie wybierają prawo: fascynacja moralna lub intelektualna, oczekiwania rodziców bądź chciwość, lecz listę otwiera całkowite zagubienie. Pannę Westin najwyraźniej prowadziły duchy. Nie byłem przekonany, że to dobre dla zdrowia. Gdybym ja kierował tą firmą, postawiłbym przy drzwiach psa wytresowanego do szukania bomb na wypadek, gdyby panna Westin postanowiła troszeczkę wyrównać rachunki. Ale to tylko moje zdanie.

— Nie powtarzaj tego Sally - poprosił Cy. - Ani nikomu innemu. Staramy się szanować naszą prywatność i tylko garstka starszych wspólników zna tę historię. Nasi współpracownicy są wychowani do rywalizacji i któryś bez wątpienia znalazłby sposób, żeby wykorzystać tę wiedzę jako broń. - Po chwili z poważną miną dodał: - Ale ty nie gonisz za stanowiskiem wspólnika i powinieneś wiedzieć, że twoje zachowanie może mieć wpływ na jej przyszłość.

— Postaram się sam ponosić odpowiedzialność za to, co spieprzę.

— Postawa ze wszech miar godna podziwu. - Zbliżył się, uśmiechnął i kumplowskim gestem położył rękę na moim ramieniu. - Założę się, że jesteś ciekaw, dlaczego armia zgodziła się skorzystać z usług tej firmy.

— Właściwie to nie.

— Na pewno jesteś. - Spojrzał na mnie porozumiewawczo. - Poszedłem na prawo, żeby dostać się do polityki... Na Uniwersytecie Katolickim. W mojej grupie znalazł się młody oficer nazwiskiem Tommy Clapper. I muszę powiedzieć, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Serio?

- I nadal się przyjaźnimy - dodał, wychodząc.

Abstrahując od tego, polubiłem Cya, a on, zdaje się, na swój sposób polubił mnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że byliśmy dla siebie jak chleb i masło; ja trafiłem tutaj, bo wkurzyłem szefa, a on, bo wkurzył naród amerykański. Przyszło mi na myśl, że - pomimo dysproporcji tych przewinień - coś nas łączy. Poza tym, było w nim coś z czarującego łobuza. Podoba mi się, kiedy facet ma parę poważnych wad. Potrafię z takim nawiązać kontakt.

Przekazanie groźby w białych rękawiczkach i ze stylem wymaga godnych podziwu umiejętności. Każdy kretyn umie powiedzieć: „Tylko spróbuj nadepnąć mi na odcisk, gnoju, to ci pokażę”. Dyplomata uśmiecha się i mówi: „Dobry piesek, dobry”, trzymając za plecami ciężki kamień.

Największe wrażenie zrobiła na mnie przypowieść o Sally Westin. Jeśli mówimy o sile motywacji, to czy można coś takiego zignorować? Biedna dziewczyna ma w głowie tyle demonów i teraz tylko od starego Seana zależy, czy nie wyląduje tyłkiem na ulicy.

ROZDZIAŁ 4

Sally wróciła do gabinetu kilka sekund po wyjściu Cya. Przyszedł czas na obchód terenu. Zaczęliśmy od biblioteki, która zajmowała jedną czwartą powierzchni siódmego piętra. Całe kilometry drogich dywanów, drewniane stoły, skórzane fotele i mocne półki wypełnione grubymi tomami. Jakaś zmysłna dusza postarała się, żeby wystrój wnętrza przypominał angielski klub dla dżentelmenów. Zapach skojarzył mi się z męską szatnią w klubie sportowym. Zaczynały mnie ogarniać mdłości.

— Większość kancelarii korzysta z elektronicznych serwisów i książek na dyskach - mówiła Sally. - To pozwala zaoszczędzić miejsce i pieniądze. Ale my zrobiliśmy głosowanie i postanowiliśmy zachować prawdziwą bibliotekę.

— Dlaczego?

— Czas. Serwisy elektroniczne są ogromne i bardzo aktualne, ale traci się mnóstwo czasu na logowanie i czekanie na wynik wyszukiwania. Wspólnikom oczywiście wszystko jedno, ale nam, współpracownikom, wcale nie.

Mnie też było w zasadzie wszystko jedno.

- Następny punkt, proszę.

Następnym punktem okazało się dziewiąte piętro, gdzie rezydowali wspólnicy. Okazało się także, że do tego, byśmy mogli wjechać tam windą, potrzebny jest klucz znajdujący się pod kontrolą angielskiej damy zasiadającej przy biurku koło wejścia. Czyja muszę znieść cały ten szajs? Kiedy podeszliśmy, uśmiechnąłem się i puściłem do niej oko, ale była zbyt dobrze wychowana, żeby zareagować na taki gest. Mosiężna tabliczka umieszczona koło jej prawego

łokcia informowała, że dama ma na imię Elizabeth. Z tego, co mi wiadomo, prawie trzy czwarte angielskich dam nosi imię Elizabeth, co wydatnie ułatwia życie angielskim dżentelmenom, bo kiedy budzą się rano i widzą obok siebie nieznaną twarz, mówią „Dzień dobry, Lizzie”, i mniej więcej w sześciu przypadkach na dziesięć reszta poranka upływa fajowo.

- Siedmiu starszych wspólników i osiemnastu młodszych urzęduje tu, w Waszyngtonie - wyjaśniła Sally w windzie. - W Nowym Jorku, Filadelfii i Houston jest ich dwa razy więcej. A w biurze w Los Angeles, specjalizującym się w rozrywkach i sporcie, jest trzy razy tyle. W Bostonie panuje zastój, bo uważa się nas za biedną sierotkę, ale robimy wszystko, żeby zmienić tę sytuację.

Innymi słowy: współpracownicy w Waszyngtonie chcą więcej stanowisk wspólników i tłuściej szych czeków.

Drzwi windy się rozsunęły. Żadnej recepcjonistki, tylko ściany wyłożone ciemnym drewnem, kinkiety i kosztowne dywany. To stawało się nużące jak podrasowana wersja czarno-białego filmu. Hol miał kształt prostokąta. Drzwi znajdowały się wyłącznie na zewnętrznych ścianach. Na drzwiach nazwiska wspólników wypisane stylizowanymi złotymi literami. Jest coś diabelnie fajnego w tym, że twoje nazwisko widnieje na drzwiach - świadczy to o pozycji, stabilności zawodowej i bezpieczeństwie. A na dodatek nikt nie myli twojego gabinetu z toaletą i nie sika ci na ścianę.

- Okna gabinetów wychodzą na zewnątrz - mówiła Sally. - Starsi wspólnicy mają okna od wschodu, a nowi od zachodu. Środek zajmuje sala konferencyjna oraz jadalnia. Tylko wspólnikom i klientom wolno z niej korzystać.

Szliśmy dalej korytarzem, a Sally wskazywała drzwi.

- To jest gabinet Cya. A ten obok, Harolda Bronsona. - Maszerowaliśmy tak obok siebie, a Sally gestykulowała i sypała nazwiskami, które natychmiast starannie puszczałem w niepamięć. Wreszcie dotarliśmy do punktu wyjścia, czyli do windy.

— Co to za sprawa, przy której będziemy pracowali? - spytałem.

— Dowiesz się za chwilę. Starsi współpracownicy są zwykle odpowiedzialni za sprawy i podlegają bezpośrednio wspólnikom. - Spojrzała na mnie i dodała: - Ty i ja będziemy podlegali Barry'emu Bosworthowi. A on podlega Cyowi. Jak w wojsku, prawda?

Skinąłem głową. Cywile wyobrażają sobie, że tak właśnie działa armia. Tak też przedstawia to Hollywood, a w rzeczywistości jest całkiem inaczej. Nikt nie wtyka nosa w moje sprawy, jeśli nie dam mu powodu. Ogarnęła mnie nostalgia.

Znów przeszliśmy koło Elizabeth i znów zaliczyłem twarde jak kamień spojrzenie. Przypuszczalnie chciała mi wydrapać oczy, lecz była zbyt małomówna, żeby się do tego przyznać. Anglicy słyną z rezerwy w tych sprawach.

Trzy parujące filiżanki kawy, które stały na stoliku, świadczyły jednak o tym, że Barry Bosworth nas oczekuje. Wkładał niemało wysiłku w to, żeby zrobić wrażenie gościnnego. Wyszedł zza biurka, szczerząc idiotycznie zęby, i powiedział:

- Witam, witam, Sean. Mogę cię tak nazywać, prawda?

- Już to zrobiłeś - zauważyłem.

Zachichotał. Nie było to ani trochę zabawne, ale on się roześmiał. Jeśli jesteś upierdliwy, to wieść o tym

szybko się rozchodzi.

Nawiasem mówiąc, nie znoszę, kiedy ludzie nadskakują mi przy pierwszym spotkaniu. Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy odwrócisz głowę, pierwsi naplują ci do zupy.

Barry ruszył w stronę kanapy.

- Usiądźmy sobie wygodnie i się poznajmy.

Kilka spostrzeżeń o moim nowym nadzorcy, Barrym Bosworcie: nieco po trzydziestce, przystojny brunet z idiotycznym, trzydniowym zarostem. Najbardziej zwracały uwagę jego lekko przymrużone ciemne oczy, w których błyszczała zimna inteligencja i jeszcze zimniejsza ambicja. Miał na sobie lśniący, drogi garnitur, w garażu bmw 760, żonę i jedno do trojga dzieci w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy na przedmieściu, ratę za wóz i kredyt, które krzyczały, że albo awansuje na wspólnika, albo spakuje rodzinę i znajdzie sobie gorszą oprawę. Ale to mnóstwo domysłów na temat kogoś, kogo się dopiero poznało. Możliwe, że umknął mi jakiś szczegół, na przykład kochanka w apartamentowcu, a bmw w garażu mogło być serii 5 i marzyło o tym, by być siódmką.

Barry nachylił się do mnie i powiedział:

— Mam nadzieję, że Sally oprowadziła cię po terenie?

— Tak. Co to za sprawa, przy której mam pracować? Uśmiechnął się.

— Od razu do rzeczy, co? Czas to pieniądz?

- Twój czas to pieniądz, Bany. W tej chwili mój czas to marnowanie pieniędzy podatników.

Znów zachichotał, jakbym powiedział świetny żart. A ja nie żartowałem. Barry wziął filiżankę, upił kilka odmierzonych łyków i przyjrzał mi się.

- Słyszałeś kiedyś o Morris Networks?

Czasem dobrze jest podtrzymać fałszywe

wrażenie, więc na wypadek gdyby Barry jeszcze nie doszedł do wniosku, że w każdym calu jestem palantem, tak jak mu to powiedziano, pokręciłem głową. On zaś skinął uprzejmie, jak gdyby to było całkiem naturalne, że dorosły człowiek z telewizorem w domu i dostępem do gazet mógł nie słyszeć o Morris Networks. Jak już wspomniałem, prawnicy z wielkich firm uważają nas, swoich wojskowych pobratymców, za niedojdy.

— Hm, cóż. Wobec tego może zaczniemy od początku? Dwadzieścia lat temu, w połowie drugiego roku studiów, Jason Morris udał się do rektora uniwersytetu Stanford i oznajmił mu, że odchodzi, ponieważ uczelnia nie jest w stanie nauczyć go niczego wartościowego. Ja jestem absolwentem Stanford... Ukończyłem tam kursy podstawowe i prawo. Wyobrażasz sobie, jak uczelnia to przyjęła?

— Wyobrażam.

— To nie był pierwszy lepszy uniwersytet, Sean. To był

Stanford, prawda? - Podkreśliwszy to, Barry kontynuował: - Morris znalazł pracę w AT&T i w wieku dwudziestu sześciu lat został wiceprezesem. Odszedł jednak do WorldCom, gdzie szykowano go na dyrektora naczelnego. I nagle pewnego dnia Jason odszedł z pracy, ponieważ nie znajdował w WorldCom żadnych nowych wyzwań ani niczego, co byłoby warte poznania.

— Wygląda na to, że Jason ma pewne priorytety, którymi lubi się trzymać.

— To bardzo zabawne - powiedział Barry, ale się nie roześmiał. - Następnie wszedł do prywatnej grupy kapitałowej w Nowym Jorku, okazał się świetny i w wieku trzydziestu trzech lat był wart około miliarda dolarów. Wycofał gotówkę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku i otworzył własną firmę. Miał dwa bardzo dobre pomysły: że połączenia szerokopasmowe to przyszłość telekomunikacji i że przyszłością połączeń szerokopasmowych są światłowody. Inni inwestowali w satelity albo metody upychania większej liczby gigabajtów informacji w kablach miedzianych. Jason uważał ich za idiotów. Jego pomysł polegał na zbudowaniu globalnej sieci światłowodowej, która zrewolucjonizuje przemysł. Sława Jasona przyciągała inwestorów jak lemingi.

— Morris Networks - przypomniałem szybko.

— To właśnie jego firma. Reprezentujemy ją od kilku lat. Jeśli nie liczyć spraw o bankructwo, przynoszących obecnie ponad połowę rocznych dochodów kancelarii, Morris jest naszym największym klientem. Prowadzimy prawie całą zewnętrzną obsługę prawną Morris Networks i wierz mi, to właśnie ta robota sprawiła, że waszyngtońskie biuro kancelarii zaistniało na mapie. - Przechylił głowę i dodał: - Na przykład zeszłoroczny dochód przekroczył pięćdziesiąt

milionów dolarów.

Chryste. No dobrze, podzielmy pięćdziesiąt milionów dolarów między dwudziestu pięciu wspólników na górze i pensje za ubiegły rok mamy załatwione. A jeśli to źródło nie przestanie tryskać, zarząd wkrótce zwiększy liczbę wspólników w Waszyngtonie - to właśnie ta myśl rozpałała wzrok Barry'ego.

— Jaki rodzaj pracy wasza firma wykonuje dla Morrisa? - zapytałem.

— Nasza firma, Sean - poprawił Barry, wbijając we mnie wzrok. - Jesteśmy jedną drużyną.

Taak? Więc porównajmy nasze wypłaty, koleżko. Ale nie powiedziałem tego na głos.

— No dobrze... To co robimy dla Morrisa?

— Morris dokonał ponad dwudziestu fuzji i przejęć, żeby położyć łapę na technologiach, które uznał za konieczne dla funkcjonowania sieci. Wszystkim tym zajmowaliśmy się właśnie my. A także patentami, umowami, licencjami, kontaktami z Komisją Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń oraz Komisją Nadzoru Sieci Telekomunikacyjnej, operacjami zagranicznymi, szeroko rozumianymi zagadnieniami korporacyjnymi i finansowymi oraz prawami autorskimi. Prowadzimy dla nich także lobbying w Waszyngtonie i instytucjach państwowych.

— Czego nie robimy?

— Niewiele tego jest. Ich własny radca zajmuje się wewnętrznymi sprawami prawnymi, zewnętrzne to nasza działka. Utrzymują pięciu wspólników i armię współpracowników tyrających dla nich jak opętani, a my mamy w odwodzie trzy zewnętrzne kancelarie.

— A jaką sprawą ja będę się zajmował?

— Nie gorączkuj się, Sean.

— Ja się nie gorączkuję, Barry.

— Nie, oczywiście, że nie - mruknął lekceważąco. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę. Wyraźnie się nie lubiliśmy i było jasne, że nasze kontakty będą trudne.

— Morris ma podpisane umowy z agendami rządowymi na obsługę telekomunikacyjną, między innymi z Departamentem Zdrowia, Edukacji i Opieki Społecznej, Departamentem Pracy, FBI oraz trzy czy

cztery kontrakty z Departamentem Obrony. Właśnie wygrał przetarg ogłoszony przez agencję rządową o nazwie DARPA.

— Agencja Zaawansowanych Programów Badawczych Obronnych.

— Dobrze. Wiesz też zapewne, że stamtąd wychodzi mnóstwo najtajniejszych programów. Departament Obrony ogłosił przetarg na stworzenie telekomunikacyjnej sieci szkieletowej dla DARPA, która pozwoliłaby komunikować się wszystkim naukowcom i badaczom za pośrednictwem bezpiecznego łącza, tak by mogli wymieniać się pomysłami i osiągnięciami. Wygrał Morris, a dwóch przegranych dostało jakieś spady. AT&T i Sprint złożyły protesty, co jest regułą w takich sprawach. Ostatnią nadzieją uczestników przetargu jest zabieganie o zmianę decyzji. Dziesięcioletni kontrakt wart jest miliard dwieście milionów dolarów.

Zastanowiłem się nad tym.

— A wy... - Barry już otwierał usta, żeby mnie poprawić. - Tak, tak. A co my robimy?

— Bronimy się przed protestami. Po trosze jest to współpraca z Departamentem Obrony, a po trosze misjonarska robota w Kongresie, który finansuje te projekty.

Wszystko, co Barry dotąd powiedział, miało sens. Właśnie to sprawia, że Stany są takim wspaniałym krajem, a Waszyngton takim wspaniałym miastem dla prawników. Urząd Federalny zbiera rocznie około dwóch bilionów z podatków, które trzeba wydać, a prawnicy stoją na czele kolejki, spisując umowy, i na końcu, ścigając wszystkich za ich łamanie. To wielka wałka o dostęp do koryta, a prawnicy wyzerają z niego najlepsze kąski.

— Dlaczego ja?

— Dobrze pytanie. Lisa Morrow pracowała przy tej samej sprawie. Jej znajomość Departamentu Obrony okazała się dla nas cenna, a dla niej owocna.

Dowiedziała się bardzo dużo o tym, jak działa procedura zdobywania kontraktów. To dość żalosne - westchnął.

— Co mianowicie?

— No, wiesz... masz do czynienia z wojskowymi i fajansiarzami z rządu.

— Rozumiem. - To słowo po rozwinięciu brzmiało: sam jesteś fajansiarzem.

— Poza tym, skoro są to rządowe pieniądze, polityka wtyka we wszystko swój wstrętny nochal. AT&T i Sprint mają spore wpływy.

— I mnie wolno przy tym pracować? Nie zachodzi tu konflikt interesów?

— Będziemy cię trzymali z daleka od kwestii, które mogą stanowić problem. Żadnego lobbingu w Pentagonie czy na Kapitolu. Ale bez wątpienia możesz spotykać się z radcą prawnym Morris Networks w celu przygotowania materiału dowodowego. - Odstawił kawę. - Jakies pytania?

Barry zakładał, rzecz jasna, że będę w firmie na tyle długo, by udzielać się przy tej sprawie. Najwyraźniej nie był taki bystry, za jakiego się uważał.

— Nie w tej chwili - odparłem.

— Dobrze. I ostatnia rzecz. Ten koszmary mundurek musi zniknąć. Tak, mamy świadomość, że to może stanowić zbyt duże obciążenie finansowe, więc przyjmujemy tę samą procedurę, którą stworzyliśmy dla Lisy.

— Mianowicie jaką?

— Bądź o szesnastej w sklepie Brooks Brothers. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebował. Kancelaria zapłaci rachunek i odda ci garderobę w leasing za dwadzieścia dolarów miesięcznie. A na koniec roku będziesz mógł ją sobie zatrzymać. Czasem będziesz też musiał jeździć do klientów, więc firma pozwoliła sobie wziąć w leasing jaguara do twojego użytku. - Popatrzył na mnie z wyrazem samozadowolenia i dodał: - Są to wymagania profesjonalne niespełnialne przy twojej pensji.

Popatrzyłem na niego, a on na mnie.

— Mam już kilka garniturów - oznajmiłem.

— Nie wątpię. I jestem pewien, że są super, ale... jednak nie pasują do naszych standardów. Nie możemy pozwolić, żeby członek tej firmy chodził ubrany jak kłown, prawda?

— A jak żigolak?

Barry się roześmiał.

— Nie bądź idiotą. Ci, których reprezentujemy, nie chcą być widziani w obecności zabiedzonych prawników. Wszyscy nowi współpracownicy dostają taki pakiet.

— Sprawdziliśmy to w biurze twojego inspektora generalnego - wtrąciła Sally. - To absolutnie zgodne z prawem.

I co miałem powiedzieć? Gdybym się zgodził, byłbym jak facet na utrzymaniu, który jest winien firmie coś w zamian. Ale najwyraźniej nikt nie pytał mnie o zgodę. Więc nic nie powiedziałem.

Sally odstawiła mnie do gabinetu, gdzie jakiś dureń zawałił mi biurko stertą podręczników.

— To zbiór naszych procedur postępowania i zasad etycznych - wyjaśniła Sally i spojrzawszy na mnie znacząco, dodała: - Przeczytaj je do rana. Zostanie przeprowadzony krótki test sprawdzający, czy zrozumiałeś materiał.

— Żartujesz, prawda?

— Nie, skądże. Jeśli nie zdasz, będziesz musiał odbyć trzydniowy kurs.

— A później?

— Drugie podejście do testu. Firma poważnie traktuje kwestię znajomości tych zasad przez swoich prawników.

— I słusznie. A jeśli znów obleję?

— Współpracowników się wyrzuca. W twoim przypadku kancelaria prawdopodobnie zawiadomi wojsko, że nie jesteś w stanie ukończyć programu.

Nagle zrobiło się ciekawie.

— Naprawdę?

— Tak.

Wygoniłem ją i zadzwoniłem do Lisy Morrow na numer, który podała mi Clapper. Odebrała sekretarka

i powiedziała, że zawoła Lisę.

Po chwili odezwał się nieco zdegrustowany głos:

- Dziękuję za telefon, ale jestem zadowolona z
mojego obecnego abonamentu i dzielenie numeru z
kimś innym w ogóle mnie nie interesuje.

Roześmiałem się.

— Zdaje mi się, że miałeś zadzwonić jakieś pół roku temu - rzekła Lisa. - W sprawie kolacji? Albo drinka czy czegoś w tym rodzaju.

— Jeśli pozwolisz mi wyjaśnić...

— Nie, Sean. - Usłyszałem, że głęboko wciąga powietrze. - Nie okłamuj mnie.

— Liso, jestem... dotknięty. Nigdy cię nie okłamałem - zapewniłem bardzo poważnie.

Po chwili nabrzmiałego milczenia Lisa powiedziała:

— Masz rację. To było niesprawiedliwe. Przepraszam.

— To dobrze. Podobno byłem w stanie śpiączki przez pół roku. Lekarz mówi, że bez przerwy mamrotałem twoje imię. Tylko dlatego nie odłączyli mnie od aparatury podtrzymującej życie. Liso, słuchaj... dzięki tobie żyję.

Po chwili tkliwego milczenia powiedziała:

— Spróbuj jeszcze raz.

— Hm, jeszcze raz... No dobrze, słyszałem, że z kimś chodzisz, i nie chciałem zawracać ci głowy. - Nawiasem mówiąc, była to prawda.

Lisa zachichotała.

- Chodziłam z kimś.

Zwróćcie uwagę na zastosowany czas. A także na to, z jaką łatwością wy dobyłem z niej tę informację. O rany, ale jestem dobry w te klocki.

— Zgadnij, gdzie jestem? - spytałem.

— Nie obchodzi mnie, gdzie jesteś. Miałeś zadzwonić. Umiem sobie radzić z zawrotami głowy.

— Więc może ja nie umiem. Siedzę w moim nowym gabinecie w szpanerskiej firmie prawniczej Culper, Hutch i Westin.

— To ty jesteś tym nowym studentem?

— Taki ze mnie szczęściarz. Clapper mówi, że poprzednia studentka twierdzi, że było jej tutaj cudownie.

— Łże. Nawet jeszcze ze mną nie rozmawiał. -
Zrobiła pauzę. - Ale ty...? Co mu strzeliło do łba?

— Nienawidzi mnie.

— Nie sądzę. Myślę, że to ich nienawidzi.

— No cóż, jutro firma będzie o wiele niniejsza. Przynoszę gnata do pracy. Ułożyłem listę ludzi, których zamierzam rozwalić.

— Mogłabym ci to i owo podpowiedzieć. Nad czym pracujesz?

— Morris Networks. Podobno ty też się tym zajmowałaś.

— Więc poznałeś już Cya?

— To ten, który pouczał mnie w kwestii manier, a przy okazji wspomniał mimochodem, że jest starym kumplem Clappera?

Lisa parsknęła śmiechem.

— Gładki jak pupa niemowlęcia, co? A jak Barry?

— Hm, Barry... Pierwsze miejsce na mojej liście typów do odstrzału.

— Dobry wybór. Ale nie wolno ci go nie doceniać, Sean. Jest złośliwy. I bardzo, bardzo cwany. Pierwsze miejsce na roku wśród absolwentów Stanford. Wspomniał ci o tym?

- Właśnie do tego zmierzał, kiedy mu przerwałem.

Nastąpiła druga długa pauza.

— Naprawdę się cieszę, że zadzwoniłeś. Mogę ci powiedzieć kilka rzeczy, które powinieneś wiedzieć o firmie Culper, Hutch i Westin.

— To nie będzie potrzebne. Mam zdawać jakiś test na znajomość zasad etycznych i procedur, a jeśli obleję, wrócę na łono Clappera. To za łatwe, wiesz? A tak przy okazji, czy kancelaria wystawiała klientom rachunki za twój czas, za który płacił rząd? - zapytałem z czystej ciekawości.

— Trzy stowy za godzinę.

- Czy można oblać ze względu na zbyt wysoki

poziom moralny?

— Właśnie w ten sposób się oblewa. I szczerze ci to radzę. Możemy spotkać się dziś wieczorem?

— U mnie czy u ciebie?

— Nie przeginaj, Drummond. - Roześmiała się.
- Parę drinków na neutralnym gruncie.

— Ach, rozumiem.

— I nie dąsaj się.

— Skądże znowu... Słuchaj, dla ciebie będzie to spotkanie dla przyjemności czy służbowe?

— Czysto służbowe.

— Ach, rozumiem.

Nastąpiła dłuższa pauza, po której Lisa powiedziała:

- Ale to, co się stanie po drinkach, jest do negocjacji.

Roześmiałem się, a ona dodała:

— Tak się niestety składa, że mam pewną robotę do skończenia w związku z firmą Culper, Hutch i Westin. Pogadamy o tym. Pentagon, parking północny... dziewiąta może być?

— Jasne. Rozglądaj się za eleganckim przystojniakiem w jaguarze.

— Dobrze. A ty czym przyjedziesz? Ha, ha.

— Sean... Nie wygłupiaj się, przyjmij od nich te garnitury.

— Jasne.

Odłożyliśmy słuchawki, a ja z błogim uśmiechem rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Już dawno powinienem był do niej zadzwonić. Lubiłem ją, lubiłem jej głos, gardłowy, od którego przechodzą po grzbiecie przyjemne ciarki. Był to zmysłowy, seksowny głos, który stanowił element hipnotycznego wpływu, jaki wywierała na męską część ławy przysięgłych. Piękna twarz, świetne nogi i fantastyczny tyłek też pewnie odgrywały jakąś rolę. Ale ja, przedstawiciel nowej fali w armii, jestem tak politycznie poprawny, że nawet nie zauważam płci drugiego żołnierza. No właśnie.

A tak naprawdę, to kręciłem - przed nią i być może przed sobą. Moje przedłużające się gierki i

wybiegi miały bardzo prymitywną i uzasadnioną podstawę: lęk. Z niektórymi kobietami się chodzi, oboje świetnie się bawicie, i czasem coś wypali, a czasem nie. Z innymi tylko świetnie się bawisz - rano pamiętacie swoje imiona albo nie, nie komplikujecie sobie życia i wszyscy są zadowoleni. Lisa Morrow należy do takiego rodzaju kobiet, na które nie trafia się często. Nie wolno rzucać się w taki związek bez poważnego zastanowienia, bo wiesz, że jeśli się nie ułoży, to później długo i mozolnie będziesz się wygrzebywał z bardzo głębokiego i ciemnego lochu. Ale może doszedłem do takiego etapu w życiu, do tego poziomu dojrzałości, emocjonalnego płaskowyzu, na którym mężczyzna jest gotowy na coś więcej? Pamiętam rozmowę z panną Morrow, w której stwierdziła, że jest zwolenniczką monogamicznych, długotrwałych związków i prawnie usankcjonowanej kastracji niewiernych partnerów. To zabrzmiało jak ostrzeżenie. Czy na to też jestem gotowy?

W każdym razie oboje daliśmy sobie jasno do zrozumienia, że nasze wcześniejsze ciepłe, koleżeńskie kontakty staną się czymś więcej.

ROZDZIAŁ 5

Przez długą, przyjemną chwilę podziwiał jej tyłek, kiedy pochyliła się, żeby obejrzeć usterkę. Wiedział, że jest to przedziurawiona dętka.

Wtorkowy wieczór, godzina dwudziesta pięćdziesiąt dziewięć. Prawie trzy godziny kręcił się i kluczył po monstrualnym parkingu. Nieco mniej niż dwieście wozów wciąż stało rozrzuconych na ponad dwóch kilometrach kwadratowych czarnego asfaltu. Parę godzin temu olbrzymia przestrzeń była zastawiona samochodami, bez kawałka wolnego miejsca. Tysiące pojazdów. Naprawdę niesamowite. I pomyśleć, że przy pozostałych bokach pięciokątnego kompleksu były jeszcze dwa ogromne i trzy mniejsze parkingi. Obok niego przesunęło się tysiące ludzi zmierzających do swoich wozów. Szli, ściskając aktówki i planując wieczór, biegli, żeby zdążyć odebrać dzieci ze żłobków i przedszkoli. Przeważnie go ignorowali.

Ci nieliczni, którzy spojrzeli na niego drugi raz, zapamiętają rosteo, tęgiego faceta z ciemną czupryną, gęstymi wąsiskami jak u morsa i oczami całkowicie ukrytymi za ogromnymi okularami. Niech utrwala go sobie w pamięci. Później odklei wąsy, spali perukę i zdejmie z siebie grubą warstwę waty, dzięki której wyglądał na nieruchawego grubasa.

Co zrobiłaby policja, gdyby ktoś ją wezwał? Pewnie bardzo niewiele. Nazajutrz rano prawdopodobnie postawiliby dwóch funkcjonariuszy na chodniku prowadzącym na parking. A ci migaliby przechodniom odznaką i pytali, czy wczoraj wieczorem na parkingu pojawiła się jakaś podejrzana osoba lub czy coś się wydarzyło. Czy był tam ktoś, kto sprawiał wrażenie obcego? Jakiś włóczęga, który zdradzał

dziwne zainteresowanie przechodzącymi kobietami?

Mogli pytać do woli. Niewielu świadków przypomnieliby go sobie wyraźnie, a i ci odruchowo skreśliliby go z listy podejrzanych.

Szedł wzdłuż rzędu samochodów, sprawdzając, czy są zamknięte, zaglądając przez okna do wnętrza; wszystko wskazywało na to, że pilnie wykonuje swoje obowiązki. Między piątą a szóstą parking zalała powódź ludzi. Wokół przetaczała się fala za falą. Pierwsze pojawiły się źle opłacane sekretarki w tenisówkach, machając rękami i podniesionymi głosami skarżąc się na głupie wymagania szefów. Później na parking wtargnęły stada urzędników o znudzonych twarzach, wszyscy nosili tanie, pogniecione garnitury. Na końcu przyszli ludzie w mundurach, z poważnymi minami, wyglądający tak, jakby na ich zmęczonych ramionach spoczywał cały świat. Między szóstą i siódmą ruch zmniejszył się niczym strumień krwi płynący z wiotczącego ciała. Po ósmej strumień zamienił się w wąską strużkę. W ogromnym gmachu zostali tylko ci, którzy pracowali na nocną zmianę, oraz pracodawcy. Takich nie było wielu.

Zbliżył się i zaświecił jej latarką w twarz.

- Jakiś problem, psze pani?

Gwałtownie podniosła głowę, ale zaraz uspokoiła się na widok munduru.

- Tak, złapałam gumę.

Skierował światło na prawe tylne koło.

— No faktycznie. A to dopiero. Wygląda na nową.

— Nic dziwnego. Nie przejechałam na nich więcej niż piętnaście tysięcy kilometrów.

Roześmiał się.

- Niczego już nie robią tak jak kiedyś, co? – Zapomniał dodać, że każda opona tak by wyglądała po

kilkukrotnym energicznym pchnięciu szpikulcom.

- Nie jestem tak stara, żeby to wiedzieć – odpowiedziała ze śmiechem i skrzyżowała ramiona. Nie wyglądała na tak zaniepokojoną, jak się spodziewał. A na to właśnie liczył.

Przysunął się bliżej.

— Ma pani potrójne ubezpieczenie?

— Mam.

— Tak, ale...

- No właśnie, ale... Przyślą ciężarówkę za godzinę.

Zobaczył, że zerka na zegarek i rozważa, co może zrobić.

Uniósł brwi.

— Robiła to pani kiedyś sama? Znaczący, czy zmieniała pani koło?

— Nigdy.

— Za pierwszym razem to nie jest łatwe.

Pomogę pani.

— Dzięki, ale to nie będzie konieczne.

Uśmiechnął się szerzej.

— Żaden problem. I tak muszę tu sterczeć całą noc.

— Naprawdę? - Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. - Nie wiedziałam, że stawiają strażników na parkingu.

— Pracuje pani tutaj? - spytał.

— Tymczasowo.

— Więc to wszystko tłumaczy.

— Co tłumaczy?

— Wie pani, jak to jest po jedenastym września.

Stoimy tutaj i mamy oko na rozczochranych drani z walizkami.

— Ach, oczywiście.

— Strata czasu, jak na mój gust. Przez rok nakryłem dwóch złodziei samochodów i paru łobuzów z

okolicy. - Poklepał się po grubym brzuchu i zachichotał. - Dałem masę pouczeń na temat parkowania, ale coś mi się zdaje, że terroryści zwęszyli, że duży wredny John pilnuje parkingu.

Roześmiała się razem z nim, a potem spytała:

— Był pan tutaj tego dnia, kiedy to się stało?

Kiedy spadł samolot?

— Nie miałem wtedy służby, dzięki Bogu.

Widziałem wszystko w telewizji. Istne piekło.

— *Okropna tragedia.*

— *Jasne. Zaczynamy? Uśmiechnęła się.*

- *Naprawdę nie potrzebuję pańskiej pomocy. –
Znów zerknęła na zegarek. - Przyjaciel po mnie
przyjedzie. Powinien być lada chwila.*

*On też się uśmiechnął, choć z pewnością nie
tego oczekiwał i pragnął. Gość wszystko zepsuje, a ona
okazywała się uparta i niechętna do współpracy. Już
powinna siedzieć we własnym wózku z rękami skutymi
za plecami, trzęsąc się ze strachu i wyobrażając sobie
straszne rzeczy, które dla niej obmyślił.*

*Rozejrzał się, jak przystało na strażnika pilnie
wypełniającego swoje obowiązki.*

Nikogo, w którąkolwiek stronę spojrzeć.

Ani żywej duszy.

Znów popatrzył na nią.

— *Mogę dotrzymać pani towarzystwa do czasu
przybycia znajomego? O tej godzinie robi się tu nudno.*

— *Będzie mi miło. Lubię towarzystwo.*

— *Ja też. Więc co pani porabia w tym
pięciokątnym wariatkowie?*

— *Jestem adwokatem. Pracuję w JAG.*

— *Poważnie? - Nonszalancko pogmerał przy
pasku. - Podoba mi się ten serial.*

Uśmiechnęła się.

— *W rzeczywistości wygląda to inaczej.*

— *Tak?*

— *Całkowicie. Oficer JAG odlatujący z pokładu
lotniskowca to...*

*Zamarła. Nagle całą jej uwagę pochłonął
ogromny pistolet wymierzony w jej brzuch. Popatrzyła
na twarz mężczyzny. Już się nie uśmiechał, a na jej
twarzy malowało się osłupienie.*

- *Nie ekscytuj się - powiedział chłodnym,
starannie kontrolowanym głosem. - To zwykły napad*

rabunkowy. Ani mniej, ani więcej.

Strzelała oczami na wszystkie strony, a on wyczuł jej desperację, gdy zauważyła, że są całkiem sami na ogromnym placu. Nic prócz pustych samochodów i wrednego typa ze spluwą.

Wolną ręką zdjął jej z ramienia torebkę i aktówkę, którą ścisnęła w dłoni. Żadnego oporu.

— Prawie skończyłem - powiedział. - A teraz otwórz samochód i schowek.

— Nie mam w samochodzie niczego cennego.

— Może i nie, ale sam wolę ocenić.

Popatrzyła na jego twarz. Był pod wrażeniem jej opanowania. Niektóre babki już wrzeszczałyby wniebogłosy i wszystko spieprzyły. On zmienił pierwotny pian i działał spontanicznie. Był ogromnie zadowolony, że właściwie ją ocenił.

Machnął pistoletem.

- No, otwieraj drzwi i schowek.

— Nie mogę. Zmarszczył groźnie brwi.

— Nie wkurzaj mnie, paniusiu.

— Ma pan moje kluczyki.

— Aa... W torebce?

— No właśnie.

Wyciągnął rękę i pozwolił jej pogrzebać w środku. Znalazła kluczyki i podsunęła mu pod twarz. Zaryzykowała i miała nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Oboje się rozluźnili.

Odwróciła się do niego tyłem i otworzyła drzwi wozu. Bezszelestnie położył na ziemi torebkę i aktówkę i schował pistolet do kabury. Ona pochyliła się i wsunęła głowę do samochodu, żeby sięgnąć do schowka. Zrobił krok w jej stronę, jedną ręką złapał ją za gardło, a drugą zacisnął na szczęce. Zaczęła się prostować i napierać na niego, próbując stawiać opór, lecz miał nad nią przewagę zaskoczenia, wzrostu i siły.

Przekręcił gwałtownie szczękę w prawo i poczuł charakterystyczne chrupnięcie w szyi. Z jej gardła wydobył się zdławiony jęk. Ciało osunęło się na siedzenie - jeśli jeszcze nie wyzionęła ducha, to była na najlepszej drodze. Pociągnął ją do tyłu i pozwolił upaść na asfalt.

Zatrzasnął drzwi samochodu, zamknął je na klucz i wrzucił kluczyki do jej torebki. Wyjął z kieszeni fiolkę i pochylił się nisko. Trwał przez kilka sekund w tej pozycji, niewielkimi ruchami korygując ułożenie jej ciała. Potem wziął torebkę i aktówkę i spokojnie odszedł. Zostawił samochód na południowym parkingu. Okrążył monstrualny gmach nieniekójony.

Wielka szkoda, że musiał improwizować i zostawić taką niepełnowartościową wizytówkę. Będzie musiał to sobie powetować przy numerze drugim. A dobrze wiedział, jak się do tego zabrać.

ROZDZIAŁ 6

Krawiec w Brooks Brothers miał na ustach pazerny uśmiech. Nic dziwnego, bo na wieszaku wisiało siedem garniturów, pięć sportowych kurtek i dopasowanych do nich spodni. Wygląda na to, że istnieje zestaw standardowy, tak jak w przypadku wojskowych mundurów: granatowy w prążki, szary w prążki, jodełka i tak dalej. Czarne i brązowe buty, odpowiednie do nich paski, dwadzieścia koszul i szelki, w których nie chciałbym zostać pochowany. Zaczęło się jednak od idiotycznego wykładu o tym, które koszule, spodnie i krawaty pasują do których kurtek i garniturów - dlaczego podejrzewałem, że Barry maczał w tym palce? Krawiec przez dwadzieścia minut pracowicie spinał mnie szpilkami i zaczył kredą, a ja powiedziałem mu, żeby wstrzymał się z poprawkami dwa dni. Nie podzieliłem się z nim moimi moralnymi wątpliwościami co do tego, czy przyjęcie ubrań za trzydzieści tysięcy dolarów za kilka dni pracy jest etyczne.

Ale, prawdę mówiąc, nie odczuwałem ambiwalencji.

Mając kilka wolnych godzin, poczłapałem z powrotem do siedziby firmy i przekartkowałem podręczniki. W armii też są podręczniki, lecz dotyczą przeważnie innych spraw: na przykład, jak ustawić minę kierunkową, żeby siała śmierć i zniszczenie wśród tamtych, a tobie nie zepsuła dnia, albo jak odblokować karabin maszynowy M16, który zaciął się akurat wtedy, kiedy banda wrednych skurczybyków szturmuje twoją pozycję. Tematyka ma pewną, by tak rzec, wagę, która sprawia, że nie zwracasz uwagi na monotonię stylu, czytasz uważnie i zapamiętujesz najdrobniejsze szczegóły. Ale trzeba się zastanowić nad

firmą zatrudniającą do pracy najlepszych i najbystrzejszych absolwentów czołowych uczelni prawniczych, a później dającą im do poczytania książkę, w której z drobiazgową dokładnością tłumaczy się, jak napisać oficjalny list, jakie warunki trzeba spełnić, żeby wystawić klientowi rachunek, a w jakich warunkach zrobić tego nie wolno.

Na moim piętrze był ekspres do kawy, bajerancki model, jaki widuje się w szpanerskich restauracjach, z miedzianymi rurkami i kawą w kuleczkach, z różnymi wajchami i przyciskami - a jeśli nacisnę niewłaściwy guzik i całe to p-lone gmaszysko wyleci w powietrze? Na wszelki wypadek namówiłem przechodzącą sekretarkę, żeby zaparzyła mi filiżankę, a później powlokłem się do biblioteki. Było koło ósmej. Mniej więcej trzydziestu współpracowników garbiło się nad książkami lub wertowało stosy dokumentów w poszukiwaniu takiego czy innego mętnego orzeczenia. I nie była to nocna zmiana. Wszyscy wyglądali na zmęczonych i ponurych. To naprawdę wkurzający lokal.

Byli to przeważnie młodzi, atrakcyjni ludzie przed trzydziestką albo tuż po, głodni i ambitni - a tak naprawdę, to potrzebowali gdzieś wyjść, zabawić się, urznąć i z kimś przespać, zwyczajnie pożyć.

Zawsze powinno się postępować zgodnie ze swoją radą, więc wyszedłem o wpół do dziewiątej, dając sobie pół godziny na dotarcie w leniwym tempie do Pentagonu. Pomykam więc sobie radośnie ulicami Waszyngtonu błyszczącym jaguarem z radiem włączonym na cały regulator, pełen nadziei, napalony i chyba trochę zamyślony, i nagle widzę za sobą migające niebieskie światełko. Naprawdę te bzdury nie były mi na rękę.

Trzeba było przejść cały program: osiem minut

zajął gliniarzowi przepuszczenie moich numerów rejestracyjnych przez komputer, pięć minut tłumaczyłem, dlaczego wóz nie jest zarejestrowany na moje nazwisko, dwie minuty odgrywałem adwokata i próbowałem się wykpić z zapłacenia mandatu za przekroczenie prędkości, a potem dziesięć minut potrwało załatwienie transakcji. Nawiasem mówiąc, panna Morrow otrzymała dobre wychowanie, zawsze przynosi na kolację drogie wino, nigdy nie zapomni o wysłaniu kartki z podziękowaniem i jest punktualna aż do bólu. Zerknąłem na zegarek - ups! Panna Akuratna będzie akuratnie wkurzona.

Wpadłem na północny parking Pentagonu o dziewiątej dwadzieścia sześć i zobaczyłem mgłę niebieskich i czerwonych świateł. Nie miałem ochoty na spotkanie z kolejnym gliniarzem, więc zaparkowałem samochód i ruszyłem piechotą chodnikiem prowadzącym w stronę bastionu strzegącego zachodniej cywilizacji. Trzaskały radiotelefony, mundurowi spisywali numery rejestracyjne stojących pojazdów. Naliczyłem trzy radiowozy oraz dwa nieoznakowane samochody, i zauważyłem zgrupowanie glin wokół szarego nissana maximy.

Wreszcie spostrzegłem wojskowy mundur na zwłokach należących, jak oceniłem, do jakiegoś zwiotczącego pułkownika, który przed chwilą wyszedł z sali gimnastycznej Pentagonu. Latami ignorował sterczący bęben, a potem z szaleńczym zapalem, za który tak podziwiał się wojaków, nadwyrężył pikawę zasilaną zwężonymi arteriami. To było dość pospolite. Może właśnie dlatego cmentarz umieszczono po drugiej stronie autostrady. Wygoda dla wszystkich, no nie?

Zbliżył się do mnie ochroniarz Pentagonu,

machając rękami.

— Śledztwo policyjne.

— Przepraszam. - Mimo wszystko spróbowałem zerknąć z bliższej odległości, na wypadek gdyby jakimś cudem leżącym był Clapper. Może pan Bóg wysłuchał moich modlitw i spuścił piorun na jego tyłek? Ale może nie. Powiedziałem przecież całkiem jasno, że chcę zobaczyć ten cud boski na własne oczy.

Tok moich myśli zakłóciło wycie karetki pędzącej ulicą w stronę parkingu. Przechodziłem właśnie obok młodego detektywa gadającego do radia:

- ...Biała kobieta, wiek około trzydziestu lat, w wojskowym mundurze. Nazwisko na plakietce brzmi Morrow. M-O-R-R...

Znieruchomiałem, moje myśli stanęły. Zamarłem. Detektyw wlepił we mnie wzrok i powiedział:

— Proszę przejść dalej, proszę pana.

— Powiedział pan Morrow, tak?

— Proszę przejść dalej.

— Ale nie Lisa Morrow? - zapytałem struchlały. Gliniarz rzucił mikrofon do wnętrza samochodu i podszedł do mnie groźnie.

- Zna ją pan?

- Czy ty mnie nie słuchasz, człowieku? Jeśli to Lisa Morrow, to ją znam. Rozmawiałem z nią przed kilkoma godzinami.

Policjant machnął na dwóch funkcjonariuszy w mundurach. Podbiegli, a on coś do nich szepnął.

- Proszę tu zostać - rzucił do mnie. - Zaraz wracam.

Gliniarze zajęli stanowiska obok mnie, a detektyw podbiegł do nissana. Podszedł do starszego, znacznie mocniej zbudowanego detektywa. Zamienili kilka słów, a później obaj skierowali się w moją stronę. Starszy detektyw był czarny, miał nalaną twarz i blade, nabiegłe krwią oczy. Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

Zawahał się przez chwilę, a potem rzekł:

- Jestem porucznik Martin z dzielnicy Alexandria. – Po krótkiej pauzie dodał: - Detektyw Williams mówi, że zna pan ofiarę.

Nie spuszczałem wzroku z szarego samochodu.

- Tak. Możliwe, że znam.

Wymienili z Williamsem spojrzenia.

- Jedyne dokumentem identyfikacyjnym, jaki

przy niej znaleźliśmy, jest tabliczka z nazwiskiem - powiedział Martin. - Torebki nie ma, być może została skradziona. To mogłoby nam zaoszczędzić godzinę. Zechce pan?

Nie chciałem. Chciałem trzymać się kurczowo wątej szansy, że to nie ona, że to jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że w każdej chwili Lisa pojawi się na parkingu z promiennym uśmiechem, podejdzie sprężystym krokiem, weźmie mnie pod ramię i stąd odejdziemy.

Ale to gliniarz wziął mnie pod rękę i poprowadził. Kiedy byliśmy piętnaście kroków od nissana, zauważyłem jasne włosy... potem szczupłe ciało zwinięte na asfalcie, rozrzucone ręce, jak gdyby runęła gwałtownie na ziemię, i nogi skurczone pod dziwnym kątem, jakby się pod nią załamały.

Szeroko otwarte zielone oczy patrzyły prosto na mnie. Walczyłem z odruchem, który kazał mi przyklęknąć i wziąć ją w ramiona. Na ustach Lisy malowały się szok i ból. Leżała na lewym boku, a spojrzenie skierowane było pod niemożliwym kątem nad prawym ramieniem.

Nic nie powiedziałem, bo nie mogłem. Wzrok Martina także utkwiony był w twarz Lisy.

- To ona? - spytał.

Skinąłem głową.

Odprowadził mnie, a dwóch mundurowych gliniarzy zaczęło rozciągać żółtą taśmę wokół samochodu i Lisy. Załoga ambulansu rozłożyła nosze. Jeden z detektywów zakładał małe foliowe torebki na dłonie Lisy, drugi mówił beznamiętnie do mikrofonu, opisując swoje pierwsze wrażenia.

Doszliśmy do nieoznakowanego samochodu porucznika Martina. Dał mi chwilę na ochłonięcie, a potem spytał:

— Jak brzmi jej pełne nazwisko?

— Kapitan Lisa Morrow.

— Skąd pan ją zna?

— Jesteśmy oficerami JAG. Pracowaliśmy razem.

— Jako przyjaciele czy współpracownicy?
Wlepiłem w niego wzrok.

- Przepraszam - rzekł. Był to przyzwoity gość.
Odczekał chwilę, a potem dodał: - Williams powiedział mi, że rozmawiał z nią pan kilka godzin temu.

Skinąłem głową.

- Zostałem przydzielony do kancelarii, w której Lisa spędziła ubiegły rok. Chcieliśmy porównać notatki.

— O tej godzinie?

— Lisa pracowała do późna.

Jego następne pytanie zostało przerwane wyciem silnika ciemnego forda crown victoria, który wpadł jak burza na parking i zaparkował koło nas. Wyskoczyło z niego dwóch facetów w tanich garniturach i błysnęło odznakami. Jeden ruszył pędem w naszą stronę.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

Martin podszedł do niego, zachowując się jak palant, i odparł:

- Jestem porucznik Phil Martin z policji w Alexandrii.

Dostaliśmy zawiadomienie o zwłokach.

Po krótkich włosach, kiepskich garniturach i jeszcze gorszych manierach poznałem, że przybysze są z Wojskowego Wydziału Spraw Kryminalnych, w skrócie CID. Czyli wojskowi detektywi.

— Przeliteruj terytorium federalne, dupku - warknął starszy agent do Martina. Machnął niecierpliwie na drugiego, żeby podszedł do miejsca, gdzie leżała Lisa. Pewnie miał potraktować odpowiednio gliniarzy, którzy się tam kręcili.

— Nie usłyszałem pańskiego nazwiska - rzekł Martin.

— Bo ci go nie podałem. Twoje patałachy paskudzą mi miejsce zbrodni.

Wyraźnie poirytowany Martin odparł:

- To ja zadzwoniłem na waszą nocną zmianę w Fort Myer i poprosiłem, żeby przysłali tutaj ludzi.

Jego irytacja skierowana była na kurdupla o brzydkiej, złej twarzy z dużym, zakrzywionym nosem, grubymi wargami, wąskimi oczkami i oliwkową cerą usianą bliznami po trądziku. Nie wyglądał na miłego gościa, ani nie robił takiego wrażenia. Zbliżył palec na

dwa centymetry do nosa Martina i zapytał z wściekłością:

- Taak? Jeśli wiedziałeś, że mamy przyjechać, to czemu twoje palanty zbierają dowody, które ja mam zebrać?

Miałem tego dość. Lisa Morrow leżała martwa na asfalcie, a ten kutas przyjechał i chełpi się władzą na swoim terytorium. Wkroczyłem między niego i Martina i powiedziałem:

- Proszę podać nazwisko.

Cofnął się.

- Starszy chorąży Spinelli. - Szybko jednak wrócił do złych manier i warknął: - A pański stopień gównu mnie obchodzi. Wejź mi pan w drogę, a wlepię panu zarzut utrudniania śledztwa.

Świetnie. Potrzebowałem kogoś, na kim mógłbym wyładować złość, a on doskonale się do tego nadawał.

- Panie Spinelli, czy wojskowa etykieta nie wymaga, żeby młodszy oficerowie salutowali starszym?
- wycodziłem zimno.

Jego oczy zwęziły się jeszcze bardziej, ale ręka powoli powędrowała do czoła. Począłem pięć sekund i odwzajemniłem gest. Władza to zabawna rzecz: w jednej chwili należy do ciebie, a w następnej zjawia się większy pies i paskudzi na twój ulubiony trawnik.

— Poruczniku, jak zostaliście zawiadomieni o domniemanym przestępstwie? - zapytałem Martina, który z trudem ukrywał uśmiech.

— Ktoś zatelefonował z komórki na dziewięćset jedenaście. Połączenie zostało przekazane na mój posterunek.

— Wiecie, kto dzwonił?

— Nie. Ten człowiek najwyraźniej nie chciał,

żeby go w to mieszano.

— O której godzinie zawiadomiliście policję wojskową o tym, że ciało kapitan Morrow leży na parkingu?

— Natychmiast po odebraniu telefonu. Prawie pół godziny temu.

Pozwoliłem, by zawisło to na chwilę w powietrzu, po czym odwróciłem się do Spinellego; Fort Myer jest pięć minut drogi stąd.

— Przyjechałem, kiedy dostałem telefon. To nie pańska sprawa, majorze.

— Poruczniku, chciałbym wyrazić serdeczne podziękowanie w imieniu sił zbrojnych - powiedziałem do Martina. -

Chorąży Spinelli zwlekał z reakcją, a pańskie zachowanie świadczy o profesjonalizmie. - A zwracając się do Spinellego, dodałem: - A pan postara się teraz postępować w równie profesjonalny sposób. Proszę przejąć dowody i obowiązki w należyty sposób. Z taktem i wdzięcznością. Czy wyraziłem się jasno?

Porucznik Martin dotknął głowy palcami i ruszył w stronę swoich ludzi.

Ja zaś nie odrywałem wzroku od Spinellego.

— Ofiarą jest kapitan Lisa Morrow, moja koleżanka po fachu. Więc słuchaj uważnie, Spinelli, bo drugi raz tego nie powtórzę: spieprz to śledztwo, a ja spieprzę ci życie. To nie jest czeza pogróżka.

— Zna pan ofiarę?

— A co przed chwilą powiedziałem? Jego oczy się zwężyły.

— Jest pan świadkiem?

— Nie. Usłyszałem, że któryś z policjantów wymienia jej nazwisko i zgłosiłem się, żeby ją zidentyfikować.

— Co za kurewski zbieg okoliczności. - Powędrował wzrokiem w stronę zwłok Lisy. - Więc co się stało?

— Została zamordowana.

— Skąd pan wie?

— Bo widziałem jej ciało, w przeciwieństwie do pana. Jej głowa jest skrzycona pod nieprawdopodobnym kątem. Ktoś złamał jej kręgosłup.

— Aha. - Odwrócił się i popatrzył na mnie. - Proszę tu zaczekać. Niech pan nawet nie myśli o tym, żeby odejść.

Oparłem się o samochód. Był wyjątkowo ciepły grudzień, dni wilgotne i deszczowe, niebo szare i

ponure. Lecz ładna pogoda skończyła się wczoraj. Noc była zimna i piękna, księżyc w pełni, niebo gwiaździste. Wpatrywałem się w nie i kląłem.

Wyrzuty sumienia. Okoliczności były nieistotne. Przytłaczającego poczucia winy nie dało się uniknąć. Gdybym przyjechał na czas, siedziałbym z Lisa w przytulnym barze, sącył drinki, śmiał się i wymieniał z nią opowieściami. Zastanawiałem się, czy stała i czekała na mnie, kiedy to się stało. Zastanawiałem się, co by było, gdybym zjawił się dwadzieścia minut wcześniej.

Usłyszałem dudniący głos Spinello, który ochrzaniał miejscowych gliniarzy. Ludzie Martina zaczęli się zwijać. Pojawiało się coraz więcej wojskowych policjantów, którzy otoczyli kordonem miejsce zbrodni i zabrali się do sporządzania opisu morderstwa. Czułem się tak, jakbym połknął pęknięty kieliszek. Kobieta o niezwykłym talencie i urodzie leżała na mokrym asfalcie jak śmieć.

Myślałem o twarzy Lisy, ale z jakiejś przyczyny nie mogłem przypomnieć jej sobie takiej, jaką chciałem pamiętać: wesołej, roześmianej, pełnej życia i pewności siebie. W mojej głowie utkwiała pośmiertna maska i nie mogłem jej stamtąd usunąć. Powiadają że oczy są oknami duszy. Wierzę, że to prawda. Tym, co uderzyło mnie najbardziej, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, były jej oczy o głębokim, prawie nienaturalnym odcieniu zieleni. To były intrygujące oczy, wiele razy widziałem, jaki wpływ wywierają na mężczyzn, kobiety i - co nieraz bardzo mnie złościło - na sędziów przysięgłych.

Miałem dziwne, budzące niesmak podejrzenie, że zabójca upozował po fackie ciało Lisy. Jak już wspomniałem, wydawało się, że po prostu upadła, ale morderca mógł przekręcić szyję o kilka stopni, tak aby

ci, którzy zobaczą ciało, nie mogli nie zauważyć oczu - oczu, które nie były już pełne życia i empatii, lecz wyrażały szok i zaskoczenie podstępą zdradą.

Shok mogłem zrozumieć. Jej śmierć była prawdopodobnie nagła, lecz nie bezcelowa. To właśnie zostało zapisane w wyrazie twarzy Lisy. Moją duszę dręczyło spojrzenie, które wyrażało zaskoczenie zdradą.

ROZDZIAŁ 7

Upłynęła bardzo długa i zimna godzina, zanim wrócił Spinefli. Podszedł z obrzydliwym uśmiechem, wyjął z kieszeni mały notes i go otworzył. Zauważyłem, że w drugiej ręce nie ma ani długopisu, ani ołówka.

— Więc skąd zna pan ofiarę? - zapytał.

— Już powiedziałem... pracowaliśmy razem. Miałem się z nią spotkać, żeby porozmawiać o nowym przydziale.

Uśmiechnął się.

- O cholera, rzeczywiście, mówił pan... - Zasalutował. - Jest pan wolny.

Gdybym miał kilof w kieszeni, wbiłbym mu go w czoło. A tak musiałem się zadowolić tym, że wsiadłem do samochodu i wyjechałem z parkingu z gniewnym piskiem opon.

Po powrocie do domu od razu zadzwoniłem do centrali Pentagonu i poprosiłem operatorkę, żeby połączyła mnie z kwaterą generała Clappera w forcie McNair, maleńkiej bazie nad brzegiem Potomacu od strony Waszyngtonu, w której mieści się Narodowy Instytut Obrony i pewna liczba generalskich kwater.

Clapper podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku.

— Generale, mówi Drummond. Długa pauza.

— Oby to było coś ważnego.

— Dziś wieczorem została zamordowana Lisa Morrow. Generał nie zareagował na tę przerażającą wiadomość.

— Właśnie przyjechałem z miejsca zbrodni - dodałem. Clapper wciąż milczał.

- Do zabójstwa doszło około dwudziestej pierwszej - ciągnąłem. - Ktoś skręcił jej kark. Ciało znaleziono na północnym parkingu, obok samochodu. Nie było przy nim torebki.

Po dłuższej przerwie Clapper wreszcie się odezwał, zadając czysto formalne pytanie:

- Kto prowadzi śledztwo?

Nie odebrałem tego jako przejawu emocjonalnego chłodu. Wiedziałem, że Clapper bardzo cenił Lisę i że przygotowywał jej wspaniałą przyszłość, więc ta wiadomość musiała być dla niego głęboko szokująca. Ale w wojsku procedury mają pierwszeństwo i przed przyjemnością, i przed żalem.

— Zawiadomienie odebrała policja w Alexandrii, a potem zjawili się ludzie z CID i przejęli sprawę.

— Gdzie jest ciało?

— Nie wiem, dokąd ją zabrali. - Dałem mu chwilę na przetrwanie tej informacji, a potem powiedziałem: - Chcę prosić o przysługę.

— Jaką?

— Chciałbym zawiadomić rodzinę. Chcę też, żeby przydzielił mi pan rolę oficera opiekuńczego.

— Dobrze. - Obaj wiedzieliśmy, że trudno to uznać za przysługę.

Pewnie nie zdziwicie się, jeśli powiem, że niewiele instytucji dorównuje armii w radzeniu sobie ze śmiercią. Praktyka czyni mistrza, zaś wojsko miało kilkanaście stuleci i miliony okazji, by przeciwyczyć każdy szczegół. Oficer kontaktowy to ten, który staje

na progu domu, żeby zawiadomić rodzinę małżonka o tym, że bliska im osoba została przeniesiona z wojskowej listy „gotowy do służby” na listę „zmarli”. Oficer opiekuńczy przychodzi później, by pomóc zorganizować wojskowy pogrzeb, załatwić sprawy spadku, ubezpieczenia, zapomogi i tym podobne.

Nie są to obowiązki, które ściągają rzesze ochotników. Oficer kontaktowy musi być przygotowany na spojrzenia pełne szoku, później żal i wybuch, który zawsze wytrąca z równowagi, a czasem bywa bardzo nieprzyjemny. Sytuacja może się stać drażliwa, zaś armia dysponuje, rzecz jasna, odpowiednim podręcznikiem uczącym, jak poinformować rodzinę, że w następane Boże Narodzenie będzie potrzebne jedno nakrycie mniej. Dowiadujesz się, że masz zachować stoicki spokój, być grzeczny i zdecydowany, a rozmowę ograniczyć do niezbędnego minimum: „Z przykrością informuję, że mąż (albo żona, dziecko) poległ na służbie w (tu wstawić datę)”. Pamiętaj, żebyś prawidłowo wypełnił puste miejsca. Czytasz też, żeby zabrać ze sobą kapelana, jeśli sytuacja robi się śliska.

Zaraz po rozmowie z Clapperem zadzwoniłem do rejestru ofiar w dyrektoriacie personalnym, przedstawiłem moje zamiary i usłyszałem, że wkrótce zadzwoni do mnie oficer dyżurny. Anonimowy major rzeczywiście zadzwonił. Powiedział, że kurier przyniesie mi teczkę osobową Lisy, podał mi numer biletu na lot do Bostonu i przypomniał, że mam się trzymać odpowiedniej wojskowej instrukcji i zwyczajów, a później życzył powodzenia.

Po trzech godzinach niespokojnego snu, przerwane przez niewesołego posłańca, wstałem i o szóstej piętnaście wsiadłem na pokład samolotu na Narodowym Lotnisku Ronalda Reagana. Nie przyjąłem proponowanej kawy i otworzyłem teczkę Lisy. Wojskowateczka osobowa to kompendium wiedzy o życiu żołnierza, zawierające informacje o wyznaniu, grupie krwi, wcześniejszych przydziałach, szkoleniu, nagrodach i tym podobnych. Wojskowy system awansów działa tak, że oficerowie, których nigdy nie

widziałeś na oczy, wybierają cię na podstawie dorocznej oceny i teczki osobowej i stwierdzają, czy Wujek Sam potrzebuje twoich usług na wyższym poziomie.

Od żołnierzy wymaga się, żeby raz w roku dostarczyli zdjęcie całej sylwetki. Na jego podstawie ocenia się, czy spełniasz wojskowe wymogi wzrostu oraz wagi i czy nie wyglądasz na takiego kretyna, że należy cię wykluczyć spośród kandydatów

do awansu. Oficjalna wykładnia jest taka, że wygląd i wojskowa postawa nie odgrywają najmniejszej roli i nie są nawet brane pod uwagę, zaś zdumiewający brak wśród najwyższych oficerów ludzi brzydkich lub fizycznie zdeformowanych to rzecz jasna czysty przypadek. Zdjęcia są czarno-białe, bez wyrazu, zrobione w sztywnej postawie na baczność.

Przyglądałem się przez chwilę fotografii Lisy. Wojsko przestrzega żołnierzy, żeby nie uśmiechali się w czasie robienia zdjęć, a Lisa Morrow była dobrym żołnierzem, więc się nie uśmiechała. Należała jednak do ludzi mających w sobie pokłady wewnętrznej radości, których obiektyw aparatu fotograficznego nie jest w stanie zneutralizować. Była też oczywiście piękna i tego aparat również nie mógł ukryć. Miała oczy pełne niewiarygodnej empatii, z lekko opadającymi kącikami, oczy, które pochłaniały cię i kołysały udręczoną duszę. Już za nią tęskniłem. Wyrwałem zdjęcie z koszulki i schowałem do portfela, żeby przypominało mi o tym, co trzeba zrobić.

O ósmej siedziałem w wypożyczonym samochodzie, przeklinając ruch uliczny w Bostonie i przedzierając się do dzielnicy Beacon Hill. Przypominałem sobie wszystko, co wiedziałem o Lisie i jej rodzinie. Ojciec był adwokatem, miała trzy siostry, byli zamożni. Wszystkie cztery, w zbliżonym wieku, bardzo się z sobą przyjaźniły. Wiedziałem, że Lisa chodziła do ekskluzywnej szkoły dla dziewcząt w Bostonie, skończyła Uniwersytet Wirginii, a następnie harwardzki wydział prawa, z którego bardzo niewielu absolwentów trafia do armii, gdyż firmy takie jak Culper, Hutch i Westin oferują im soczystsze pensje i ładniejsze ciuchy.

Pamiętałem też, że jej matka zmarła, kiedy Lisa była nastolatką. Jako najstarsza z rodzeństwa wypełniła

puszkę po niej. Łączyły ją bardzo silne więzy z ojcem, tak silne, jakie powstają między ojcami wdowcami i najstarszymi córkami. W sumie zapowiadało się na to, że moje zadanie będzie bardzo podłe.

Imponujący dom z brązowej cegły stał na stoku wzgórza pośród wielu podobnych. Ładna dzielnica, a sądząc po mercach, jaguarach i beemkach stojących przy krawężnikach, także

enklawa profesjonalistów, którzy nie marzą o odniesieniu sukcesu, bo już go odnieśli. Dziesięć minut szukałem miejsca do parkowania. O ósmej czterdzieści pięć stanąłem na progu domu państwa Morrow.

Wciągnąłem głęboko powietrze i spróbowałem wziąć się w garść. Oficer kontaktowy zwykle nie zna zmarłego, więc nie jest mu trudno zachować stoicki spokój. Opanowałem nerwy i nacisnąłem dzwonek; po upływie pół minuty drzwi otworzyły się i stanął w nich dżentelmen w eleganckim ciemnym garniturze. Przed siedemdziesiątką, zadbany i wysportowany, z kosmykami srebrnych włosów i srebrnymi łukami brwi nad bardzo zielonymi oczami. Skóra twarzy była ogorzała i pokryta zmarszczkami. Twarz człowieka, który wiele czasu spędza na świeżym powietrzu, miła twarz, naznaczona silnym charakterem i inteligencją, ale która mogła stwardnieć, jeśli wymagała tego sytuacja.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund. Zanim zdołałem wykrztusić słowo, mężczyzna osunął się na futrynę i z jego ust wydobyło się długie, straszne westchnienie. Ci, których bliscy służą w wojsku, wiedzą, że stało się coś złego, gdy na progu ich domu stanie nieznany oficer w zielonym mundurze.

Na próżno starałem się opanować emocje.

- Panie Morrow, jestem major Sean Drummond. Lisa i ja... byliśmy przyjaciółmi. - Słowo „byliśmy” wyrwało mi się z ust za wcześnie, więc czym prędzej dodałem: - Przykro mi.

Lisa zmarła wczoraj wieczorem.

Kiedy powiedziałem „zmarła”, mężczyzna omal nie upadł, więc wyciągnąłem ręce, żeby go podtrzymać. Obaj milczeliśmy. Zamknął oczy, po jego policzkach popłynęły łzy. Mocniej zacisnąłem dłoń.

- Kto przyszedł, papo? - spytał kobiecy głos z

wnętrza domu.

Z gardła mężczyzny wydobył się chrapliwy jęk. Pojawiła się młoda kobieta, która zobaczyła mnie, ojca przytłoczonego żalem i krzyknęła:

- O Boże... nie Lisa?

Pan Morrow oderwał się ode mnie; on i młoda kobieta osunęli się w swoje ramiona. Trwało to mniej więcej minutę. Oni zawodzili, a ja stałem żałośnie na progu, nie wiedząc, co zrobić i co powiedzieć.

- Jest mi strasznie przykro - wybąkałem wreszcie. - Pracowałem z Lisą. Zaprzyjaźniliśmy się. Była utalentowaną prawniczką i... wspaniałym człowiekiem.

Odpowiednie słowa. Ale w uszach ojca, który zmieniał córce pieluchy, nosił ją, żeby jej się odbiło po jedzeniu, dzielił radość z jej licznych triumfów i żal po niewielu porażkach, musiały zabrzmieć pusto i sucho.

Musiał wyczuć mój dyskomfort, bo zapytał:

- Wejdzie pan?

Wziął córkę pod rękę, a ja ruszyłem za nimi przez hol do gabinetu na tyłach domu. Dom - przestronny, z wysokim sufitem, umeblowany ze smakiem ciężkimi drewnianymi sprzętami, skózanymi fotelami i orientalnymi dywanami - był „męskim” domem, z ledwie widocznymi śladami lżejszej ręki, świadczącymi o obecności czterech córek. Wszędzie widać było ich zdjęcia w różnym wieku: jako dzieci, jako absolwentki, ślubne, wszystkie cztery na statku z panem Morrowem, rozwiane włosy, uśmiechnięte buzie. Na gzymsie nad kominkiem stał portret kobiety tak pięknej, że jej widok zapierał dech w piersi. Domyśliłem się, że to matka Lisy. Miała blond włosy i zielone oczy, którymi patrzyła wprost na malarza, emanowała z nich dobroć. Podobieństwo do Lisy było tak uderzające, że doznałem wstrząsu.

Ojciec i córka usiedli na kanapie, wciąż się obejmując. Ja usiadłem na wytartym skórzanym fotelu stojącym naprzeciwko. Nic nie mówiłem, bo wiedziałem, że padną pytania.

— Jak zginęła? - zapytał w końcu pan Morrow.

— Pouczono mnie, bym powiedział, że okoliczności dopiero zostaną ustalone - odparłem. - Zostanie pan zawiadomiony, gdy tylko uzyskamy pewność.

Ojciec Lisy stuknął palcem w kolano.

- Jak zginęła?

-Została zamordowana. Skręcono jej kark. Umarła tak szybko i bezboleśnie, jak to możliwe.

Zaszokowane twarze obojga ściągnęły się żałośnie. Śmierć to śmierć, bez względu na przyczynę. Lecz wypadek samochodowy, katastrofa lotnicza, atak serca czy uderzenie pioruna pozwalają przynajmniej czuć, że to Bóg albo przeznaczenie wybrało na ślepo kogoś, kogo kochasz. Morderstwo - to co innego. Ma inny smak. To nie przypadkowa czy nadprzyrodzona siła rozdała w ten sposób karty, lecz jakiś podły, odrażający śmiertelnik okradł cię z czegoś nieskończenie cennego.

— Złapano mordercę?

— Nie, jeszcze nie. - Pan Morrow świdrował mnie oczami, więc dodałem: - Lisa wyszła z Pentagonu i wsiadała do samochodu. Nie znaleziono jej torebki, więc mógł to być rabunek. Ale nie sądzę, żeby policja znalazła dotąd jakieś dowody prowadzące do sprawcy.

Zapadła nabrzmiała szokiem cisza. Ojciec i córka starali się ogarnąć sytuację. Wreszcie pan Morrow powiedział:

- Zadzwońię do Carol i Janet i poproszę, żeby zaraz przyjechały.

Zostawił mnie z córką, która mogła mieć jakieś dwadzieścia trzy lata. Była szczupła, prawie zwiewna, ładna i miała ciemne włosy. W tej chwili była też głęboko wstrząśnięta. Przypomniałem sobie, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni, więc powiedziałem:

- Jestem Sean Drummond. Byłem przyjacielem Lisy. Często mi o was opowiadała.

Dziewczyna stłumiła pociągnięcie nosem.

- Przepraszam, ale nie chcę w tej chwili rozmawiać. - Uciekła.

Wstałem i zacząłem gapić się na tytuły książek. To ostateczna ucieczka w każdej stresującej,

przerastającej człowieka sytuacji. Zauważyłem, że pan Morrow jest wielbicielem klasyki. Książki na półkach miały zniszczone grzbiety. Każda rodzina ma swój ulubiony pokój, a ja odnosiłem wrażenie, że ten gabinet pełni właśnie taką rolę.

Frontowe drzwi otworzyły się jakieś dwadzieścia minut później. Usłyszałem szmer głosów, bolesny krzyk, potem płacz. Drzwi otworzyły się po raz drugi po pięciu minutach i wszystko zaczęło się od nowa.

Po chwili dały się słyszeć kroki i cała rodzina weszła do gabinetu. Pan Morrow błędnym wzrokiem po pokoju. Podejrzewałem, że przeżywa na nowo to, co jeszcze przed godziną było szczęśliwym wspomnieniem, a teraz stało się bolesnym. Może stanął mu przed oczami obraz Lisy odrabiającej lekcje przy jego biurku lub przeglądającej Dickensa przed kominkiem.

Odwrócił się do mnie.

- Majorze, chciałbym... zapomniałem pańskiego imienia.

Już zaczynałem otwierać usta, kiedy uprzedziła mnie jedna z córek:

- Sean, tatusiu... Sean Drummond.

Pan Morrow skinął głową.

- Dziękuję, Janet. Sean, to są siostry Lisy: Elizabeth, Carol i Janet.

Zerknąłem na Janet, która pamiętała moje imię. Dziwne, bo byłem pewien, że nigdy się nie spotkaliśmy.

Wszystkie trzy siostry były identycznego wzrostu... Poza tym różniły się wszystkim. Elizabeth, jak wspomniałem, była szczupła i miała ciemne włosy, zaś Carol była brunetką z kręconymi włosami, masywniej zbudowaną, ale też ładną. Poza tym miała bezbarwne, nieciekawe spojrzenie naukowca.

Ale wróćmy do Janet. Była atrakcyjna, a nawet bardzo atrakcyjna, miała kruczoczarne włosy i błękitne oczy, wygięte w łuk brwi, zadarty nos, wyraziste kości policzkowe i dwa dołeczki, które przydawały ciepła jej

urodzie. Była ubrana w prosty elegancki kostium, który ukazywał sylwetkę podobną do sylwetki Lisy: szczupłą, zaokrągloną w odpowiednich miejscach, wysportowaną, pociągającą.

— Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - spytał nagle pan Morrow.

— Tak. Zostałem także wyznaczony na państwa oficera opiekuńczego. To oznacza, że zajmę się sprawami spadkowymi.

— Nie, ja to zrobię - odparła Janet.

— To nie jest zalecane. Lisa ma wojskowe ubezpieczenie na życie z odpowiednimi pakietami pośmiertnymi... Proszę się nad tym zastanowić. Zobaczy pani, że lepiej będzie, jeśli wojskowy prawnik zagłębi się w te sprawy. - Spojrzałem na jej ojca i dodałem: - Panie Morrow, jest pan wymieniony w dokumentach Lisy jako spadkobierca. Jeśli chodzi o pogrzeb, to zakładam, że chciałby pan, by została pochowana na cmentarzu w Arlington.

— Obawiam się, że... Nigdy o tym nie myślałem.

— Oczywiście. Proszę się nie spieszyć.

Cała czwórka spuściła wzrok. Słowo „pogrzeb” nieodwołalnie uświadomiło im, że śmierć Lisy jest faktem i nic już tego nie zmieni.

Wyczuwając, że jestem w tym domu za długo, powiedziałem:

- Zostawię numer telefonu i adres na stoliku przy drzwiach. Jeśli będę potrzebny... Proszę dać mi znać.

Nikt mnie nie zatrzymywał, więc wyszedłem sam. Byłem już u stóp zewnętrznych schodów, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i na ganku stanęła Janet. Wyciągnęła wizytówkę, a ja podszedłem posłusznie i przyjąłem karteczkę.

— Proszę do mnie dzwonić, jeśli będzie miał pan jakieś pytania czy wątpliwości.

— Dobrze.

— Nie chcę, żeby zwracano głowę tacie.

— Oczywiście.

Odwróciła się i już miała wejść do domu, ale nagle zmieniła zdanie.

— Powiedział pan ojcu, że nie ma żadnych śladów.

— Tak było wczoraj wieczorem. Nie wiem, jakie postępy zrobili śledczy od tego czasu.

— Kto prowadzi śledztwo?

— Wojskowy Wydział Spraw Kryminalnych.

— Kto dowodzi?

— Śledztwo jest w dobrych rękach, panno Morrow. CID to bardzo kompetentna jednostka.

Tego rodzaju zapewnień oczekuje od ciebie armia w takich trudnych sytuacjach. Ale jest to prawda. Śledczy wojskowi mają znacznie wyższy odsetek zamkniętych spraw aniżeli cywilne siły policyjne. Rzecz jasna, odnoszą te sukcesy w dużej mierze za sprawą specyfiki wojskowego życia: CID ma do czynienia z małymi, klanowymi społecznościami, których prawie wszyscy członkowie jedzą szarlotkę na śniadanie, lunch i kolację. Popęlenie zbrodni w wojskowym ośrodku przypomina puszczenie bąka w kościele - nie należy liczyć na życzliwych świadków.

Nie wspominałem jednak o tym, że z perspektywy wojskowej to przestępstwo miało nietypowy charakter. Zdarzyło się na ogromnym, otwartym parkingu kilka kilometrów od centrum miasta, które ma jeden z największych na świecie współczynników zbrodni, więc podejrzanych było pod dostatkiem. Nie powiedziałem też, że sposób, w jaki zginęła Lisa - na miejscu przestępstwa nie znaleziono noża ani kuli - szalenie utrudniał sprawę. Możliwe, że Lisa zostawiła w domu kartkę, na której napisała: „Gdybym została przypadkiem zamordowana, proszę aresztować (tu wpisujemy odpowiednie nazwisko)”. Ale życie, a zwłaszcza śmierć, nigdy nie są tak proste. Znalezienie sprawcy będzie piekielnie trudne.

Janet popatrzyła na mnie, a potem rzekła nieco szorstko:

— Nie traktuj mnie jak nowicjuszek, Drummond. To była moja siostra. Jej morderca zostanie złapany.

— Słusznie. CID znajdzie zabójcę i doprowadzi go przed oblicze sprawiedliwości.

Trzaśnięcie drzwiami nasunęło mi myśl, że moja odpowiedź nie przypadła Janet do gustu.

Spojrzałem na wizytówkę. U góry było

napisane: „Janet Morrow”, a poniżej: „Asystentka
Prokuratora Okręgowego, Boston, Massachusetts”.

O cholera.

ROZDZIAŁ 8

Wróciłem do młyna chciwości nieco po czwartej. Czekala tam na mnie lapidarna wiadomość od Sally, że mam się z nią zobaczyć, jak tylko przyjdę. Pod nią znajdowała się druga kartka od Clappera. Miałem do niego zadzwonić.

Zwykle trzymam się zasady: panie mają pierwszeństwo przed panami. Wyjątek robię wtedy, kiedy pani jest suką, a pan podpisuje moje czek.

Clapper chciał wiedzieć, jak mi poszło, a ja powiedziałem, że było parszywie i żałuję, iż poleciałem do Bostonu, ale z drugiej strony uważam, że dobrze zrobiłem. Powiedział, że doskonale rozumie. Zdarzają się chwile, kiedy zachowujemy się wobec siebie życzliwie, a nawet jesteśmy tego samego zdania. Obu nam dobrze to robi, tak mi się zdaje.

Tak czy owak, ostrzegłem go, że może do niego zadzwonić jedna z sióstr Lisy. On na to, że już to zrobiła i że grzecznie usiłował ją namówić, żeby trzymała się od tego wszystkiego z daleka. Zgodziliśmy się, że prawdopodobnie obu nas zignoruje, a później Clapper przekazał mi, czego dowiedział się CID - a nie było się nad czym rozwodzić, bo nie znaleźli żadnych włókien ani odcisków palców, a śladów opon, jak to na publicznym parkingu, było tyle, że nie dało się ustalić, którym wozem uciekł sprawca. Poinformowałem go, że zajmę się zorganizowaniem pogrzebu, a Clapper powiedział: dobrze, tylko się postaraj i bądź w kontakcie.

Teraz Sally. Skierowano mnie do kojca w ogromnej stodole pełnej podobnych kojców. Dowiedziałem się, że w kancelarii Culper, Hutch i Westin istnieje ziejąca przepaść między starszymi i młodszymi współpracownikami. Ale dowiedziałem się też, że młodszy współpracownicy zaczynają od stu trzydziestu tysięcy dolarów rocznie, więc mój wskaźnik współczucia zatrzymał się na pozycji „wisi mi to”.

Wsunąłem głowę do środka i odkaszlnąłem. W odpowiedzi Sally zmarszczyła czoło, wskazała na zegarek i rzekła:

— Drummond, wczoraj było bardzo źle, a dzisiaj... To po prostu absurdalne. Cy i Barry kilkanaście razy pytali, co się z tobą dzieje. Masz poważne kłopoty.

— Wczoraj wieczorem zamordowano Lisę Morrow. Poleciałem do Bostonu, żeby zawiadomić rodzinę..

Nie byłem pewien, czy mnie usłyszała, bo daleko gapiała się na zegarek.

— Zamordowano ją?

— Tak. Ktoś skręcił jej kark.

— Wiadomo kto?

— Nie, jeszcze nie. Wygląda na to, że był to napad rabunkowy.

Sally pomyślała chwilę, a potem stwierdziła:

- Mimo wszystko powinieneś był zadzwonić. Przyszło mi do głowy, że chyba organizuję pogrzeb niewłaściwej osobie.

— Zostałem też wyznaczony na oficera opiekuńczego rodziny - poinformowałem ją. - W ciągu kilku następnych dni będę potrzebował czasu na zorganizowanie pogrzebu Lisy i zajęcie się jej sprawami.

— Wyjaśnij swoje problemy Barry'emu i Cyowi.

— Tak zrobię. - Suka.

Zajęła się lekturą, ale zapytała jeszcze mimochodem:

- Uczyłeś się do testu czy nie?

Więc sytuacja wygląda tak. Ona ma wszystkie pretensje modelowego młodszego adwokata: jest ambitna, pracowita, poukładana, oddana pracy i tak dalej. A mimo to nie zrobiła na mnie wrażenia szczególnie inteligentnej - nie znaczy to, że jest tępa czy głupia, ale po prostu nie jest bystra. Co więcej, brakowało jej kilku ludzkich pierwiastków, takich jak współczucie, poczucie humoru czy empatia.

Tak czy owak, miałem do wyboru albo ciągnąć w ten sposób tę rozmowę, co skończyłoby się tym, że udusiłbym kobietę, albo zmienić temat.

— Co porabiasz? - zainteresowałem się.

— To, co ty powinienesz porabiać. - Wskazała stos papierów. - To oferta Morris Networks wysłana do przetargu DARPA... - Sally wskazała drugą stertę. - To protest AT&T, a ten drugi złożył Sprint.

— Żeby złożyć protest, trzeba zadrukować dwieście stron?

- Prawdopodobnie im się spieszyło.

Usłyszałem za plecami śmiech.

- To standard w biznesie, dzięki Bogu. Nie podejrzewasz chyba renomowanych firm o rozdmuchiwanie rachunków?

Odwróciłem się. Cy się uśmiechał, choć nie swoim typowym, radosnym uśmiechem.

— Może Sally zapomniała zaznaczyć, że lubimy, kiedy nasi pracownicy przychodzą do pracy przed południem.

— Owszem, wspomniała. Lisa Morrow została

zamordowana.

— Ach...

— Wygląda na to, że ktoś próbował ją obrabować i tak się skończyło.

On przynajmniej miał tyle przyzwoitości, żeby nie spojrzeć na zegarek. W rzeczy samej sprawiał wrażenie wstrząśniętego i poruszonego. Po chwili wahania rzekł:

— Jest mi bardzo przykro, Sean... Byliście bliskimi przyjaciółmi?

— Tak.

Znów odniosłem wrażenie, że nie wie, co powiedzieć. Było to u niego nietypowe. Złotouści faceci, tacy jak Cy, nigdy nie zapominają języka w gębie i zawsze wiedzą, w jaki ton uderzyć.

-To była niesamowita kobieta - powiedział wreszcie. - Miała ikrę i głowę na karku.

Zauważył moje zmieszanie, więc odciągnął mnie na bok tak, aby inni obecni i Salty nie mogli słyszeć, co mówimy.

- Zrobiła na nas spore wrażenie - ciągnął. - Zapropono waliśmy jej stanowisko współpracownicy.

Chyba wyglądałem na zaskoczonego, bo Cy dodał szybko:

- A ona przyjęła propozycję. Poprosiła o kilka tygodni na złożenie rezygnacji i załatwienie wszystkiego z wojskiem. Miała zacząć od przyszłego miesiąca.

- Nie wierzę.

Cy skinął głową.

- Pensja trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów, kawałek rocznych dochodów kancelarii i typowy zestaw bonusów, którymi firma szczerze obdarowuje współpracowników. Zamierzaliśmy przenieść Lisę do bostońskiego biura, gdzie byłaby blisko rodziny.

No dobra, uwierzyłem. Właściwie tłumaczyło to jego reakcję oraz fakt, że Lisa chciała rozmawiać ze mną o firmie. Do armii idzie się po to, by być wszystkim, czym możesz być, ale na każdego przychodzi czas, żeby spróbować zdobyć wszystko, co można zdobyć, i pewnie Lisa dotarła do tego punktu.

— Wiesz coś o pogrzebie? - zapytał Cy.

— Ja mam go zorganizować. Mam też załatwić jej sprawy spadkowe i podtrzymywać rodzinę na duchu.

— Poświęć na to tyle czasu, ile potrzebujesz. Lisa zdobyła tu sobie wielu przyjaciół, więc informuj nas o wszystkim. I jeszcze jedno, Sean... jeśli mogę coś zrobić, daj mi znać.

Usłyszałem pełen dezaprobaty pomruk Sally.

Obiecałem, że dam znać, a Cy oddalił się, by poinformować współników, że w Bostonie nadal jest miejsce dla nowego współnika.

Wróciłem do biura i natychmiast zadzwoniłem do kwatery żandarmerii w Fort Myer, żeby zapytać, czy pracuje tam pewien kutafon nazwiskiem Spinelli. Dyżurny oficer potwierdził, że faktycznie jest to kutafon pierwszej wody, ale wróci do bazy dopiero o siedemnastej.

Domyślałem się, że Spinelli ma za sobą długą noc i jeszcze dłuższy poranek. Zabójstwo kobiety, oficera JAG na wojskowym terenie powoduje, że wielu ludziom w Waszyngtonie marszczą się czoła, a są to czoła, których nie chciałoby się oglądać zmarszczonych, gdyż okręg wojskowy Waszyngton to coś w rodzaju pastwiska generałów. Niektórzy z nich nie mają nic lepszego do roboty, niż wtykać wielkie generalskie nochale w twoją robotę.

Rzecz jasna, miałem w gabinecie telewizor, więc postanowiłem złapać wiadomości o siedemnastej. Po piętnastu minutach pogawędki parki nadmiernie rozweselonych prezenterów spiker mężczyzna powiedział: „A teraz pozostałe wiadomości. Na parkingu Pentagonu znaleziono zwłoki kapitan Lisy Morrow, która prawdopodobnie została zamordowana. Policja prowadzi śledztwo”.

Pozostałe wiadomości? Co to ma do cholery...? Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę.

— Major Drummond? - spytał kobięcy głos.

— A mam jakiś wybór?

— Mówi Janet Morrow. Poznaliśmy się rano.

— Ach, tak... Co mogę dla pani zrobić?

— Właśnie zameldowałam się w Four Seasons w George-town. Zastanawiałam się, czy moglibyśmy zjeść razem kolację.

— Mm...

— Proszę. Chciałabym omówić kilka szczegółów pogrzebu Lisy i kwestię spadku. Mówił pan, że się tym zajmuje.

Nie: wyraźnie pamiętałem, że powiedziała, iż ona zajmie się pogrzebem i spadkiem. To robiło się ciekawe.

Jej słowa zabrzmiały jednak absolutnie szczerze, więc może mówiła szczerze. Oczywiście, nie

postawiłbym na to pieniędzy.

Ale odmowa nawet nie wchodziła w rachubę.

ROZDZIAŁ 9

Popędziłem do domu i wśliznąłem się w granatowy blezer i brązowe spodnie. Był to odpowiedni strój do „1789”, restauracji w Georgetown, którą zaproponowała panna Morrow na miejsce spotkania. Wśród wtajemniczonych „1789” jest wysoko cenionym lokalem ludzi władzy. Chociaż, wedle ścisłych reguł towarzyskiej poprawności, jest to lokal wieczorny, a nie południowy, bo w południe przychodzą tam pewnie na śniadanie same ochlapusy. Może być, byleby tylko nikt nie kazał mi pić sherry.

Kiedy byłem dzieckiem, ojciec pracował trochę w Pentagonie i dzięki temu odbyłem inicjację w stolicy, poznałem jej dziwaczne i zwariowane obyczaje. Mieszkaliśmy na przedmieściu w północnym Arlington, jakieś pięć kilometrów od centrum. W owym czasie Waszyngton był rządowym miastem zamieszkanym głównie przez biednych czarnych, ciułających grosz do grosza biurokratów i niewielką koterię politycznej arystokracji. Nawet wtedy Waszyngton uchodził za drogie miasto, lecz mama była czarodziejką, jeśli chodzi o zakupy w Green Stamps, więc żyliśmy jak królowie. Żartuję. Ale za to ojciec nie musiał dojeżdżać daleko do pracy.

Jakiś czas temu Waszyngton stał się ryczącym centrum przemysłowym, które przyciągnęło całkiem nowy gatunek mieszkańców: przedsiębiorców, bogatych biznesmenów i ban-

kierów. A skoro zapachniało forszą, pojawili się też prawnicy. Teraz wojskowi mieszkają w Karolinie Północnej i dojeżdżają do pracy. Miasto nigdy nie udawało egalitarnego tygla, lecz nagły przypływ pieniędzy i klasy bogaczy zakłócił chwiejną równowagę, która kiedyś w nim istniała.

Wróciłem do Waszyngtonu, żeby uczęszczać na uniwersytet Georgetown dzięki ufundowanemu przez Wuja Sama stypendium pod nazwą ROTC, a pięć lat później zawleczono mnie w śpiączce do wojskowego ośrodka medycznego imienia Waltera Reeda po tym, jak dowiedziałem się, że armia kłamała: otóż nie byłem szybszy od lecącego pocisku. Służyłem w piechocie, w jednostce wykonującej w armii brudną robotę, na przykład zabijanie drani w czasie wojny, a w czasie pokoju malowanie skał.

Pocisk uszkodził organ wewnętrzny - śledzionę, jeśli was to interesuje - który musi skutecznie funkcjonować, jeśli odbywasz długie marsze ze znacznym obciążeniem na grzbiecie. Postępują tak frajerzy pierwszej klasy oraz żołnierze piechoty, między innymi. Byłem już wtedy kapitanem, a dział personalny armii zaczął się doszukiwać niedostatków w moim stopniu i stażu. Musicie wiedzieć, że armia postrzega siebie jako wielką maszynę, a gdy jakiś trybik nie jest w stanie dłużej być trybikiem, może zostać wpakowany do pralki, ale nie może zostać śrubką ani nakrętką. Zdolności i pragnienia delikwenta są, rzecz jasna, sprawą drugorzędną. Pamiętam, jak powiedziałem personalnemu rozpatrującemu mój przypadek, że skoro jestem rannym bohaterem wojennym, armia została moją dłużniczką i powinna spłacić dług, pozwalając mi wybrać. Facet uśmieł się po pachy.

Powiedziano mi więc, że mogę zostać

kapelanem, intendentem, prawnikiem albo cywilem. Nie, nie, może, i nie. Jak już wspomniałem, jestem katolikiem i choć pociągają mnie uniformy i wymyślne ceremonie, ślub czystości to dla mnie o jeden most za daleko. Intendent...? Bądźmy realistami. Nie byłem gotów na życie w cywilu, więc zrejterowałem na prawo, co wiązało się z powrotem na łono alma mater.

A to z kolei oznaczało, że spędziłem w Waszyngtonie piętnaście lat życia z przerwami. Uwielbiam to miasto. Uwielbiam inspirujące pomniki wielkich czynów i wielkich ludzi, strzeliste katedry władzy, które dzień w dzień przypominają, że to miasto zaiste jest Światłem Jaśniejącym na Wzgórzu. Ludzie mogą zostać albo odejść. Miasto dostało większą niż należy dawkę śliskich łotrów oraz typów o pompatycznie górnolotnych umysłach i czasem trudno odróżnić jednych od drugich albo stwierdzić, którzy bardziej brużdżą. Tak czy owak, wkroczyłem do „1789” o wpół do siódmej, a *maitre de* skierował mnie do stolika, przy którym panna Morrow beznamiętnie sączyła koktajl. Poprosiłem go, żeby przysłał mi kelnera z piwem, i usiadłem.

Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie. Była sztywnie ubrana w kostium ze spodniami; nie miała makijażu ani biżuterii. Nawet obrączki ani pierścionka zaręczynowego, co zauważyłem mimochodem. Nie dostrzegalem żadnego fizycznego podobieństwa między nią i Lisa, jeśli nie liczyć wzrostu i niebagatelnego faktu, że obie wyglądały oszałamiająco i miały wszystkie atrybuty związane ze swoimi chromosomami, takie jak zaokrąglenia i wgłębienia w odpowiednich miejscach. Były jednak jak sól i pieprz: jedna miała jasne włosy, a druga kruczoczarne. Poza tym, jak wspomniałem, Lisa miała najbardziej współczujące oczy, jakie widziałem. Oczy Janet były... mniej wyrozumiałe.

Zaszczyciła mnie czymś, co można by nazwać bladym uśmiechem, i powiedziała:

— Dziękuję, że pan przyszedł. Rano zachowałam się szorstko, przepraszam. Byłam... wstrząśnięta.

— To zupełnie zrozumiałe.

— Bardzo miło z pana strony, że przyleciał pan do Bostonu i osobiście nam powiedział. Sam pan o to poprosił?

— Tak.

Przez chwilę błądziła wzrokiem po restauracji, a potem znów spojrzała na mnie.

- Jak długo znał pan Lisę?

— Kilka lat. Prowadziliśmy razem śledztwo w Kosowie. Później ścieraliśmy się parę razy w sądzie.

— To musiało być interesujące.

— I było. Dostałem w tyłek. Za każdym razem... Janet zachichotała.

— Jaka była Lisa w sądzie?

— Bystra, przebiegła i... bezwzględna. Umiała wymyślić najtwardszą linię obrony i przekonać do niej sędziów.

— Więc była dobra?

— Nie. Była najlepsza.

Janet zapatrzyła się w kieliszek i nad czymś zamyśliła... Z jakiegoś powodu przypominała mi Lisę. Musiałem dobrze pomyśleć, zanim udało mi się to zidentyfikować: to był ten sam gardłowy, wyrazisty głos, o którym wspomniałem. Podobieństwa między żywymi i zmarłymi potrafią być przedziwne. Poza tym mogą wywołać złudne poczucie, że kogoś znasz, i sprawić, że przenosisz na niego uczucia. To może być mylące, a w pewnych okolicznościach niebezpieczne.

— Nie jesteśmy pewni, czy chcemy, by Lisa spoczęła na Cmentarzu Narodowym Arlington - powiedziała Janet. - Jej rodzina i znajomi są w Bostonie.

— Rozumiem. Honory wojskowe będą tak czy inaczej, ale proszę się zastanowić nad Arlington. Warta honorowa daje wspaniały popis, miejsce jest piękne, a Lisa będzie w najlepszym towarzystwie.

— Przedstawił pan dobre argumenty - rzekła uprzejmie. - Pomyślimy o tym.

Na moment zapadła przyjacielska cisza. Zostawiliśmy za sobą poranną nieuprzejmość, ustaliliśmy, że śmierć Lisy dotyka nas oboje, i powstała

między nami jakaś niepisana więź. Zauważyłem, że panna Morrow jest bardzo zręczna, jeśli chodzi o popychanie spraw do przodu.

Popijaliśmy wolno drinki i gawędziliśmy życzliwie przez kilka minut. Na żadne głębokie czy naprawdę ważne tematy; po prostu dwoje nieznajomych przypadkowo połączonych żalem, szukających wspólnego gruntu. Dowiedziałem się, że ma

dwadzieścia dziewięć lat, skończyła prawo na Harvardzie, że lubi żeglować, świetnie biega, woli czerwone wino od białego, w wolnych chwilach lubi czytać i tym podobne. Nie zachowywała się defensywnie ani wymijająco. Zachwycała doskonałymi manierami, elokwencją, postawą damy, a poza tym, jeśli was to interesuje, miała wspaniałe nogi. A mimo to nie była szczególnie gadatliwa czy otwarta. Najwyraźniej miała ustalony porządek i nie zamierzała odsłaniać się bardziej niż to konieczne.

Nie byłem pewien, czego dowiedziała się o mnie. Zauważyłem jednak, że jej pytania są bardziej wnikliwe i penetrujące niż moje i przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie ma wprawę w wyciąganiu informacji od świadków w sądzie. Podejrzałem też, że potrafi ocenić, czy facet, z którym umówiła się na randkę w ciemno, nie jest przypadkiem kiepską podróbką.

Jej oczy miały niesamowicie błękitny odcień wody morskiej, cudownie kontrastujący z czarnymi włosami; była też w nich lisia przenikliwość, świadcząca o tym, że ta kobieta potrafi dostrzec i wyciągnąć na wierzch rzeczy, które niekoniecznie chciałbyś ujawniać.

Ogólnie rzecz biorąc, zostawiała mnie w tyle, a ja dowiadywałem się tylko o jej zainteresowaniach.

— Na pani wizytówce znalazłem informację, że jest pani asystentką prokuratora okręgowego.

— Zgadza się. Od pięciu lat.

— Podoba się to pani?

— Lubię wsadzać drani za kratki.

— Praca na chwałę Pana.

— Amen. - Po chwili dodała z uśmiechem: -

Oczywiście, obyłabym się bez polityki i biurokracji.

Uśmiechnąłem się. Otworzyłem jej drogę.

— Jeśli wolno zapytać, Sean, jak pan sądzi, dlaczego Lisa została zamordowana? - Zadała to pytanie rozbijająco, mimochodem, jakby powiedziała: Mógłby mi pan podać sól? Pierwsza klasa.

— Dlaczego uważa pani, że to nie był zwykły rabunek?

— Brałam udział w prawie trzydziestu śledztwach w sprawie zabójstw. Wydaje mi się, że mam wycucie.

— Słucham.

— Zacznijmy od ofiary. Lisa była zbyt sprytna w tych sprawach. Oddałaby torebkę.

— Może zobaczyła twarz rabusia, a on nie chciał świadków. Albo miał coś przeciwko kobietom, był podminowany, albo po prostu stuknięty.

— Wszystko to jest możliwe. Ale proszę zwrócić uwagę na sposób, w jaki zginęła. Po południu wsiadłam do taksówki i kazałam się przewieźć koło parkingu Pentagonu. Mnóstwo świateł, samochody jeżdżące w jedną i w drugą stronę... żaden złodziej z głową na karku nie wybrałby tak eksponowanego miejsca.

- Słusznie. Więc może był idiotą.

Janet skinęła głową, ale zaraz dodała:

— Poza tym, szyję złamano od tyłu, a złodziej raczej nie podchodzi z tej strony do ofiary. - Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. - To nie wygląda na rabunek, tylko na coś innego.

— A na co?

- Na morderstwo z premedytacją.

Zastanowiłem się nad tym.

— Proszę podać motyw, pani mecenas. Lisa nie była zaangażowana w żadne niebezpieczne procesy. Niedawno przestała pracować w cywilnej kancelarii, w której prowadziła niegroźne, zwykłe sprawy.

— Wcześniej zajmowała się prawem karnym. Z iloma sprawami kryminalnymi miała do czynienia?

— Z całym mnóstwem. Mogły ich być setki.

— W zeszłym roku kilku prawników zostało zamordowanych dlatego, że reprezentowali jedną ze stron w sprawie rozwodowej. Mnie też grożono

śmiercią, śledzono. Czy nie jest możliwe, że narobiła sobie wrogów?

— Nie mieszajmy tego, co możliwe, z tym, co prawdopodobne.

— Ale trzeba to brać pod uwagę. Czy CID będzie wiedział, czego szukać?

— Lisa prowadziła sprawy karne przez sześć lat. Ja bym nie wiedział, czego szukać.

— Tak, ale czy nie byłoby rozsądne, żeby w aktach Lisy pogrzebało dwoje doświadczonych prawników, a nie jakiś chorąży, który nigdy nie prowadził śledztwa w sprawie morderstwa i nie potrafi odróżnić tortu od tortilli?

— Co takiego?

— Rozumie pan, o czym mówię.

— Tak, rozumiem. - Zakręciłem palcem w piance na piwie. - I nie jest to dobry pomysł. Prawnicy nie prowadzą śledztw, tylko bronią i oskarżają, kiedy opadnie kurz.

— Jestem świadoma drobnych różnic.

— To nie są drobne różnice.

— Więc zmieńmy tę kolejność - zaproponowała. - Twierdzi pan, że Lisa była pańską przyjaciółką.

A zatem doszło do tego. Powinna się wstydzić.

Wszystko wskazywało na to, że panna Morrow jest bystra, zdyscyplinowana, a także, o czym świadczyły obecne okoliczności, uparta i zdolna do manipulacji. Dodajmy do tego urodę i jestem gotów się założyć, że nieczęsto słyszała słowo „nie” z ust przedstawicieli płci odmiennej. Takie jak ona nie grają czysto. Mobilizują przeciwko sobie obydwaj męskie mózgi, a ten, który znajduje się niżej, szachruje, wysysając całą krew z tego na górze. I wtedy facet zaczyna popełniać głupstwa, które wcale a wcale nie leżą w jego interesie.

Szczerze powiedziawszy, zamierzałem wetknąć swój nos w śledztwo w sprawie morderstwa Lisy. Nie odchodzę potulnie w noc, kiedy zostaje zamordowany

ktoś, na kim mi bardzo zależy. Profesjoniści tacy jak ja, i przypuszczalnie Janet, wiedzą z doświadczenia, jak rozkładają się szanse w takich przypadkach. Mniej niż jedna trzecia śledztw zostaje uwieńczona sukcesem, a tylko połowa z tych drugich kończy się skazaniem. Nie spodziewałem się, że rozwiążę zagadkę, ale

zamierzałem wtykać nos, dociekać i w ogóle dawać się śledczym we znaki.

Poza tym chorąży Spinelli mi dopiekł, więc teraz moim boskim posłannictwem było dopiec mu jeszcze bardziej. To jest mściwość i małostkowość, wiem, ale taki jest właśnie godny pożałowania kodeks, którym się kieruję.

Głównym powodem, dla którego zaproponowałem swoje usługi jako oficer opiekuńczy, było to, że taka rola dawała mi prawną możliwość węszenia w osobistych rzeczach Lisy; chciałem zobaczyć, czy uda mi się znaleźć coś podejrzanego. Dlaczego spośród tysięcy ludzi, którzy w ten chłodny wieczór wyszli z Pentagonu, zginęła właśnie ona? Poza tym uderzył mnie sposób, w jaki została zabita - to było zbyt osobiste. Pomyślałem, że morderca chciał poczuć z nią bliskość, chciał uczynić z morderstwa doświadczenie intymne.

Rabunek? Może. A może nie.

Szybko rozważyłem za i przeciw współpracy z panną Morrow. Po stronie plusów znalazła się jej bliska znajomość ze zmarłą, doświadczenie i umiejętności prokuratora z wielkiego miasta. Poza tym była piękna i seksowna. Inni faceci nie są tak odporni na niewieście uroki i czary jak ja, a jej uroda mogła otworzyć wiele drzwi. Poza tym podobał mi się jej głos. I miała wspaniałe nogi.

W kolumnie minusów zapisałem, że Janet Morrow brakuje dystansu. Kardynalną zasadą śledztwa w sprawie o morderstwo jest skupienie się na sprawcy, a nie na ofierze. Potrzebny jest też pewien chłód, żeby oddzielić fakty od fikcji, a bywa, że to wady lub błędy ofiary prowadzą do jej śmierci. Konieczna jest obojętność, a nie można oczekiwać obojętności od siostry ofiary.

- To nie wchodzi w grę - powiedziałem. -
Przykro mi.

Popatrzyła na mnie.

— Zastanawia się pan, czy mam odpowiednie
nastawienie psychiczne, żeby poradzić sobie z tą
sprawą?

— Przyszła mi do głowy taka myśl.

— To nie będzie problem.

— Oczywiście, że będzie.

— Nie.

— Nikt nie potrafi odciąć się od swoich emocji.

— Ja potrafię. - Starając się sprawić wrażenie szczerzej, dodała: - Wypłakałam łzy dziś rano. Nie będę płakała, dopóki ta sprawa nie zostanie rozwiązana.

— Nie, przykro mi. Machnęła ręką. Przybiegł kelner.

— Poproszę rachunek - rzuciła.

— Niech pani nie traktuje tego osobiście.

— Nie będę. - Uśmiechnęła się i położyła na stoliku dwadzieścia dolarów. Następnie wstała i zapytała:

— Od czego zaczniemy?

— My niczego nie zaczynamy. Wzięła mnie pod ramię.

— Ty prowadzisz. Ja przyjechałam taksówką.

— Jasne. W którym hotelu się pani zatrzymała?

ROZDZIAŁ 10

Fort Myer to mała baza na wzgórzu Arlington, wielkim kopcu ziemi, z którego rozpościera się szeroka panorama majestatycznego, stołecznego miasta Waszyngton. Ten kawałek ziemi był kiedyś częścią dziedzicznej posiadłości niejakiej Anny Washington Custis, która wyszła za niejakiego Roberta E. Lee, którego sympatia dla Południa sprawiła, iż przyjazd do Waszyngtonu w celu opłacenia podatku gruntowego nagle okazał się dlań trudny. Posiadłość stała się zadłużona i ktoś z rządu federalnego, obdarzony specyficznym poczuciem humoru, przekształcił rodzinne gniazdo Washingtonów w bazę i cmentarz Unii. Wcale tym nierozbawiony generał Lee zrobił wszystko, żeby jak najlepiej zapełnić cmentarz.

Baza stała się dziwnym wojskowym zabytkiem, pełnym staroświeckich, zbudowanych z czerwonej cegły kwater dla wyższych oficerów, stajni dla koni i koszar jednostek reprezentacyjnych. Właśnie tam bracia Wright przeprowadzili pierwszą próbę z wojskowym samolotem, który spadł i się spalił. Tam też, choć pobrzmiewa w tym oksymoroniczna nuta, powstały siły lotnicze Stanów Zjednoczonych. W tejże samej bazie pewnego zimnego grudniowego dnia przerwano konną przejażdżkę generałowi George'owi C. Marshallowi, by poinformować go, że Japończycy rozpieprzają w drobny mak Pearl Harbor. Spory kawał historii, dobrej, złej i jeszcze innej, został

zapisany lub pogrzebany w obrębie jej murów i na sąsiadującym z nią cmentarzu.

Posterunek żandarmerii wojskowej bazy jest zwodniczo małym budyneczkiem stojącym nieopodal centrum oświatowo-rozrywkowego dla żołnierzy.

Na nasz widok młody sierżant zerwał się i spytał z rzadko spotykanym entuzjazmem:

— Dobry wieczór pani. Czy mogę pani jakoś pomóc?

— Tak, dziękuję - odparła Janet. - Szukamy pana Spi-nellego.

— Zobaczę, czy jest. - Sierżant nacisnął guzik na tablicy, porozmawiał chwilę i poinformował nas: - Będzie za minutę. - Po czym spytał bardzo grzecznie: - Czy mogę podać pani coś do picia? Kawę? Wodę sodową?

Nie da się zliczyć, na ilu posterunkach żandarmerii byłem i nigdy nie zaproponowano mi nawet, żebym usiadł. Pół minuty później z korytarza wynurzył się Spinelli.

— A, to wy - mruknął, salutując od niechcienia.

— Taak, to ja. - Zwykle jest przyjemnie, kiedy cię pamiętają, lecz ten przypadek najwyraźniej był inny. - Panie Spinelli... To jest Janet Morrow, siostra ofiary.

Janet rozejrzała się po holu.

— Czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut na osobności? - spytała.

— Może. - Spinelli skierował na mnie paluch. - Dlaczego on tu jest?

Dobre pytanie. Dlaczego się tam znalazłem? Czyżby dlatego, że byłem cieniem bez jaj, który nie potrafi trwać przy swoich postanowieniach?

Ale Janet tego nie powiedziała.

- Zajmuje się sprawami spadkowymi.

Zaproponował, że mnie odwiezie, a ja się zgodziłam. Proszę nie zwracać na niego uwagi.

Spinelli uśmiechnął się. Chyba przypadła mu do gustu ta odpowiedź. Przyjechaliśmy po to, by zyskać jego zaufanie i skłonić do współpracy, więc pomyślałem, że jeśli trzeba, jestem gotów odegrać potulną owieczkę. Poczułem się dobrze ze świadomością, że dla Janet potrafię schować do kieszeni dumę.

Później, rzecz jasna, dobiorę się do Spinellego.

Nie uszło też mojej uwagi, jak łatwo Janet wykorzystwała złe powietrze między mną i Spinellim, jak instynktownie spożytkowała panujący klimat. Ta babka miała doskonałą orientację sytuacyjną i świetnie wyczuwała idiotyzmy w relacjach męsko-męskich.

- Proszę za mną - powiedział Spinelli.

Poszliśmy więc do jego maciupkiego, ciasnego biura na tyłach, obwieszzonego od podłogi do sufitu przedmiotami samouwiebienia. Rozejrzałem się za listami od byłych dziewczyn, „Drogi Johnie!...”, monitami w sprawie opóźnionych rat kredytu mieszkaniowego etc. Ale jakoś nie przedarły się na tę ścianę. Pewnie wisały na innej.

Kiedy usiedliśmy, poświęciłem chwilę na analizę tego, co tam się znalazło: listy pochwalne od rozmaitych generałów, nagrody za zamknięte sprawy, świadectwa ukończenia różnych kursów technicznych, w tym Akademii FBI. Te pierwsze świadczyły o tym, że Spinelli jest dobry w swojej robocie, a to ostatnie, że nie jest niekompetentnym bucem, za jakiego w pierwszej chwili go uznałem. Nie jest nim na papierze, oczywiście.

- Ma pani coś szczególnego na myśli? - zapytał Spinelli, opadając na krzesło.

Janet wręczyła mu wizytówkę i zamiast wstępu

powiedziała:

- Nie będę owijała w bawełnę. Wzięłam miesiąc urlopu, żeby dowiedzieć się, kto zamordował moją siostrę.

Spinelli przyglądał się chwilę wizytówce.

— Jest jakiś powód, dla którego miałbym się na to zgodzić?

— Bardzo dobry powód. Może pan potrzebować mojej pomocy w tej sprawie.

— Bez jaj.

— Mówię całkiem poważnie.

- Wciska mi pani kit jak nic - odparł chorąży.

Błąd, Spinelli, ta babka nie wie, co to znaczy odmowa.

Mogłem go o tym uprzedzić, ale chciałem zobaczyć tę scenę na własne oczy. Do diabła z męskim szowinizmem - po prostu moje żałośnie wątle ego bardzo ucierpiałoby, gdybym odkiął, że jestem jedynym, którego Janet potrafi ciągać za worek mosznowy.

Lecz Spinelli wciąż kręcił głową.

- Nie chcę odgrywać gliniarza - mówiła Janet. - Chcę z panem pracować. Mamy sobie sporo do zaoferowania.

- Gównu mnie to obchodzi.

Uśmiechnęła się i zapytała:

- Ale czy zechciałby pan przynajmniej odpowiedzieć na kilka pytań?

Nie wyglądał na uszczęśliwionego tą perspektywą, lecz w końcu zgodził się niechętnie.

— Na kilka, bo jest pani krewną zmarłej.

— Dziękuję. - Janet zrobiła krótką pauzę. - Wrócił pan za dnia na miejsce zbrodni i obejrzał wszystko jeszcze raz?

— Taak. Wieczorem zrobiliśmy dokładny przegląd, a później wróciliśmy z całym zespołem technicznym. Zabraliśmy nawet psy.

— Udało się znaleźć jakieś nowe dowody?

— Nic a nic. Sterylne miejsce.

— Rano zadzwoniłam, żeby poprosić o przeprowadzenie autopsji. Czy już została wykonana?

— Dzisiaj po południu. Ale wyniki z laboratorium i z toksykologii będą dopiero w przyszłym tygodniu.

— Był pan przy tym obecny? Spinelli skinął głową.

— Takie są wymogi.

— I co się okazało?

- Zaczerwienienie wokół źrenic, wyraźne sińce na obojczyku po prawej i lewej stronie... Wstępne orzeczenie, które może zostać skorygowane po uzyskaniu wyników z laboratorium, mówi o śmierci z powodu niedotlenienia spowodowanej pęknięciem i przesunięciem kręgów szyjnych.

Obserwowałem Janet, żeby zobaczyć, jak zareaguje na kli-

niczny opis śmierci siostry. Był to trudny teren; przełknąłem głośno ślinę. Ale Janet skinęła spokojnie głową i powiedziała:

— Pozwoli pan więc, że spróbuję odtworzyć przebieg wypadków. Jedną ręką morderca trzymał ją za gardło, tak aby uniemożliwić krzyk, a drugą przekreślił głowę, żeby złamać kręgosłup szyjny, tak?

— Chyba tak to wyglądało.

— W którą stronę skrecono głowę?

— W prawą.

— To wskazuje, że morderca był praworęczny, zgadza się?

— Najprawdopodobniej.

— Wskazuje również na to, że był mężczyzną, prawda?

— Trzeba wielkiej siły, żeby skreślić komuś kark. - Innymi słowy, tak.

— Czy pod paznokciami Lisy znaleziono jakieś cząsteczki? - zapytała Janet.

— Tak, owszem.

— Skóry?

— Tak. Jeleniej.

— W takim razie zabójca był w rękawiczkach. - Spinelli znów skinął głową. - Włożył je po to, by nie zostawić odcisków. - Policjant nie odpowiedział. - Czy można na tej podstawie założyć, że było to morderstwo z premedytacją?

— Można założyć, że było zimno. Ja też byłem w rękawiczkach.

Przerwali na chwilę pojedynkę, żeby zaczerpnąć tchu.

Umiejętności i doświadczenie sądowe Janet robiły wrażenie. Rozumiała, na czym polega budowanie łańcucha dowodów w śledztwie w sprawie o morderstwo, wiedziała, jakie pytania zadawać, a

jakich unikać. Niektórzy prawnicy są w tym świetni. A niektórzy powinni zastanowić się nad zmianą pracy.

Spinelli, też nie kiej, uporczywie trzymał się faktów i okazywał godną podziwu wstrzeźliwość, kiedy Janet próbowała go nakłonić lub naprowadzić na wysnuwanie wniosków i przypuszczeń. W sumie był z niego twardy orzech do zgryzienia.

Ale ja lubię wyścigi jak każdy inny facet. Przeczesalem myśli, sprawdzając, czy Janet czegoś nie pominęła.

— Przeszukaliście już jej samochód? - zapytałem.

— Taak, samochód. Na boku były jakieś niewyraźne smugi, pewnie ślady po przepychance. I tyle.

— Żadnych odcisków palców czy stóp, żadnych włosów?

— Chyba powiedziałem, że tylko smugi.

— Tak. - Kutas. - A jaki był motyw pańskim zdaniem?

— Rabunek. Kobieta pracowała do późna... wyszła na pusty parking... ukradziono jej torebkę...

— Naprawdę doszedł pan do takiego wniosku? - przerwała Janet.

— To naprawdę jest moja hipoteza robocza... i wszystko, co z tego wynika.

— Ale dlaczego złodziej zabijałby ofiarę, atakując od tyłu?

— A kto powiedział, że złodziej był jeden? Mógł mieć wsparcie. Na publicznym parkingu, żeby złamać w ten sposób kręgosłup, po cichu, bez zwrócenia na siebie uwagi i zostawiania śladów... Trzyma się kupy, co?

Racja.

— Może - mruknęła Janet.

— I co dalej, panie Spinelli? - spytałem. - Co pan zamierza zrobić, żeby znaleźć mordercę?

Żaden gliniarz nie lubi tego pytania. To pachnie odpowiedzialnością, a funkcjonariusze służb publicznych dostają alergii na samą myśl o odpowiedzialności, zwłaszcza prawnej. Czasem dlatego, że mają dobrze obmyślane plany i nie chcą ich

zdradzać. A czasem dlatego, że nie mają zielonego pojęcia, co robić. Chcą tylko powiązać wszystkie proceduralne węzłki i kokardki i czekać na kolejne przestępstwo, by móc schować pierwsze do szuflady z etykietą „Nierozwiązywalne”.

Spinelli przyglądał mi się przez chwilę, a potem odparł:

- Jeśli to rabunek, to zabójcą jest pewnie jakiś szmacciarz ze stolicy albo z przedmieść. Zawiadomiłem lokalne władze i poprosiłem o listę znanych bandytów, którzy działają w ten sposób. Ustaliłem numery kart kredytowych ofiary i wojskowego dowodu tożsamości i zwróciłem się do poczty i komisarza, żeby mieli na nie oko. Zawiadomiłem banki i poprosiłem, żeby poinformowano mnie, jeśli ktoś spróbuje skorzystać z tych kart. Krótko mówiąc, Spinelli dopełnił wszystkich procedur wymaganych w przypadku kradzieży. Pewnie miał już przygotowane miejsce w szufladzie na akta nierozwiązywalnych spraw.

— Spodziewa się pan, że to coś da? - zapytała Janet.

— Jestem optymistą.

Zerknąłem na Janet, a ona na mnie. Chrzanienie.

— Naprawdę uważa go pan za idiotę, który posunie się do korzystania z kart kredytowych Lisy?

— Oszuści robią najrozmaitsze głupstwa. Właśnie dlatego są oszustami. - Spinelli pochylił się w naszą stronę. - Skończyliśmy?

- Tak, dziękuję - odparła Janet. - Bardzo mi pan pomógł.

Spinelli się uśmiechnął.

- Pomogę jeszcze bardziej. Jeśli przyłapię panią albo jęgo na wtykaniu nosa w tę sprawę, wlepię wam obojgu oskarżenia o utrudnianie śledztwa. Czy to

jasne?

— Bardziej być nie może - zapewniła Janet.
Spinelli skierował na mnie szturczy oczka.

— Jasne?

— Dla mnie...? Ja jestem tylko szoferem, nie?
Zmierzył mnie wrednym, nieufnym spojrzaniem, a potem przeniósł wzrok na Janet.

- Poza tym bardzo się wkurzę, jeśli odkryję, że zatajacie ważne informacje lub dowody. Czy mam wyjaśnić, w jakie gównno może was to wpakować?

- Jestem świadoma kar, które za to grożą, panie Spinelli.

Zanim się spostrzeżliśmy, ściskaliśmy sobie ręce, szczęśliwi, że mogliśmy spędzić trochę czasu w swoim uroczym towarzystwie. Gównno prawda, oczywiście. Spinelli nie zaproponował też, że odprowadzi nas do wyjścia, co doskonale pasowało do jego charakteru. W sumie spotkanie, zgodnie z moimi przewidywaniami, okazało się stratą czasu, a Spinelli był dokładnie tym samym nieprzyjemnym palantem, którego zapamiętałem.

Na parkingu zapytałem Janet:

— Usłyszałaś to, czego się spodziewałaś?

— Właśnie tak.

— Czyli co?

— Potwierdzenie.

— Mów dalej.

— Zmierzają w niewłaściwym kierunku.

Zastanowiło mnie, że panna Morrow ma co do tego większe przekonanie niż ja. Gdyby jutro lub pojutrze przyłapano w Waszyngtonie jakiegoś ciemniaka na płaceniu kartą Lisy za wieżę stereo lub coś w tym rodzaju, nie wytrąciłoby mnie to z równowagi. Osiem lat pracy przy sprawach karnych nauczyło mnie, że pierwsze wrażenia często bywają mylne, a wskazówki,

które wydają się bardzo złożone, prowadzą czasem do prostego rozwiązania. Lecz u panny Janet Morrow nie zauważyłem ani cienia wątpliwości, więc oczywiście zastanawiałem się dlaczego. Chcąc się tego dowiedzieć, zaprosiłem ją na drinka, ale się wymówiła. Powiedziała, że był to dla niej bardzo trudny i wyczerpujący emocjonalnie dzień.

Bez wątpienia.

Powinienem wtedy podzucić ją do hotelu, życzyć wszystkiego najlepszego i się zmyć. Ale ja chciałem dopaść zabójcę Lisy. I z przyjemnością słuchałem głosu Janet, mimo że należał do innej kobiety o innej osobowości. Zawiozłem ją więc do hotelu. Umówiliśmy się, że pozostaniemy w kontakcie i będziemy sobie mówili o wszystkim, czego się dowiemy.

ROZDZIAŁ 11

Zaczął śledzić Julię Cuthburt, kiedy wyjechała o piątej trzydziści z podziemnego garażu pod biurowcem przy Connecticut Avenue, w którym pracowała. Jeździła srebrną toyotą 4Runner z sześciocylindrowym silnikiem i napadem na cztery koła, który prawdopodobnie nigdy nie został wykorzystany od dnia, kiedy kupiła wóz. Wybrała samochód zgodnie ze swoim ogólnym profilem charakterologicznym: praktyczny, bezawaryjny i najlepszy na rynku, jeśli chodzi o zachowanie wartości. Wóz był odzwierciedleniem wizerunku, który Julia Cuthburt szczerze podziwiała i od którego była bardzo daleka: osoby wysportowanej, twardej i kochającej przygodę. Biedna Julia, wysoko postawiona urzędniczka, która pragnęła być księżniczką z filmu Disneya. Siedzenie jej okazało się aż nazbyt łatwe.

W Waszyngtonie trwały właśnie godziny szczytu, ruch był duży i powolny. Julia jeździła ostrożnie i pedantycznie, rzadko zmieniała pasy i sygnalizowała każdy manewr ze znacznym wyprzedzeniem. Jeździła jak ślimak.

O osiemnastej piętnaście zjechała w lewo z M Street w Georgetown, przejechała jeszcze pół przecznicy i skręciła w prawo do podziemnego garażu. Począł piętnaście sekund, nim zjechał za nią w samą porę, by zobaczyć tylne światła jej wozu skręcające w prawo. Zjechała trzy poziomy w dół. Zaparkowała na wolnym miejscu, a on postawił wóz dwanaście stanowisk dalej.

Już sobie po cichu gratulował, kiedy nagle wszystko diabli wzięli. Zamknęła wóz i zamiast do schodów ruszyła prosto do windy dla niepełnosprawnych. Właśnie wysiadał z samochodu,

kiedy winda zamknęła się i jej pełen poczucia winy uśmiech zniknął za drzwiami. Leniwa suka powinna chodzić schodami, a nie nadużywać windy nieprzeznaczonej dla niej.

Rzucił się pędem do schodów, pokonał sprintem trzy piętra, docierając do poziomu gruntu, i wbiegł do środka przez ciężkie podwójne drzwi, wpadając na matkę z małymi dziećmi i przyciskając ją do ściany.

„Przepraszam”, wymamrotał, rozglądając się gorączkowo. Matka zmierzyła go wrogim spojrzeniem, a jedno z dzieci zaczęło podskakiwać na bolącej nodze. Znalazł się we wnętrzu dwukondygnacyjnego centrum handlowego pełnego drogich, ekskluzywnych sklepów. Julia Cuthburt miała na sobie elegancki granatowy kostium. Wytropienie jej nie powinno być trudne, gdyż w środku nie było wielu ludzi. Jeśli Julia tam jest. Pięć minut później rozglądał się z narastającą rozpaczą.

Zacisnął zęby, zaklął pod nosem i ruszył biegiem do wyjścia na M Street. Wypadł na ulicę zatłoczoną młodymi ludźmi, przeważnie studentami włączającymi się hałaśliwie po barach. Popatrzył w jedną i drugą stronę. Granatowego kostiumu Julii wciąż nie było widać.

Nie spodziewał się tego po niej. Komputer ocenił ją na trójkę. Małe dzieci, skore do zabawy i ufne wobec obcych, dostawały dwójkę. Julia Cuthburt o dwa stopnie przewyższa zaślinionego paraplegika w fotelu na kółkach, myślał, wzruszając ramionami i rozważając, jakie ma opcje. Najprościej byłoby pójść z powrotem do garażu, pokręcić się koło samochodu, dopóki ona nie wróci, i spróbować czegoś innego. Odrzucił ten pomysł od razu. Wystarczy, że musiał zmienić scenariusz z Lisa Morrow. To mogło się zdarzyć raz. Julii przydzielił rolę, która była nienaruszalna.

Zaczął zastanawiać się gorączkowo, co mogło

ją tu przywieść.

Możliwe, że zakupy, ale kiedy rozglądał się, analizując otoczenie, przyszło mu do głowy, że to mało prawdopodobne.

Szpanerskie, drogie sklepy w Georgetown nie pasowały do skneruski, lubującej się w polowaniu na wyprzedaje i chwalącej się przed przyjaciółkami, jakie to wspaniałe przecenione rzeczy udało jej się dostać w sklepach WalMart, Kmart i Dollar. Jeśli odsunąć na bok pretensje, Julia miała duszę księgowej. Życie było dla niej nieustającą walką o najwyższy procent zysku.

O tej porze powinna być głodna. Wątpił jednak, czy przedzierałaby się czterdzieści minut przez gąszcz samochodów w godzinie szczytu tylko po to, by znaleźć idiotycznie drogą restaurację w najbardziej zatłoczonej dzielnicy miasta. Być może umówiła się na randkę. Ta ewentualność mocno go zaniepokoiła. Wszystko by się pogmatwało. A tego wieczoru Julia miała wzejść i zabłyśnąć.

Przypomniał sobie pozostałe szczegóły z jej dossier i w jego głowie zaczęło nabierać kształtu pewne przeczucie. Znów się rozejrzał, a potem szybko przeszedł przez ulicę i znalazł się w Clydes. Bar pełen był młodych mężczyzn w garniturach i kobiet w kostiumach, rozmawiających i śmiejących się z drinkami w dłoniach. Pożerali się nawzajem wzrokiem, zachowując się w sposób, który miał zwabić przedstawicieli drugiej płci. Ruszył w stronę baru, udając, że szuka kogoś, z kimś miał się spotkać. Lecz Julii w granatowym kostiumie wciąż nie było. Może jest w toalecie? Pokręcił się w pobliżu, poświęcając na to pięć minut, a później wyszedł wściekły.

Przecznice dalej znajdował się Nathans, więc ruszył w tamtą stronę. Prawie identyczna scena: jeszcze jeden szpanerski targ z żywym mięsem pełen napalonych młodzieńców, gotowych płacić siedem dolarów za piwo z wątlą nadzieją, że dopisze im szczęście. Zerknął na stoliki, przy których Julia mogła jeść z kimś kolację. Ale i tam nie było granatowego

kostiumu. Podeszedł do baru, gdzie gromadziły się kobiety Uczące na to, że ktoś je poderwie. Po dwóch minutach bezowocnego rozglądania się uchwycił wzrokiem mignięcie czegoś granatowego na końcu baru, tuż pod parą starych wioseł zawieszonych na ścianie, które miały nadać lokalowi całkowicie fałszywy charakter klubu dla sportowców. Przesunął się trochę, żeby mieć lepszy widok.

Bingo! To rzeczywiście była Julia w granatowym kostiumie z serży. Przysiadła na wysokim barowym stołku, delikatnie trzymając szklanką między dwoma palcami lewej ręki. Obok niej jakiś mężczyzna z butelkowym piwem bąkał się nerwowo na obcasach i z czegoś śmiał.

Łysiejący mężczyzna dobiegał czterdziestki. Miał puciołową twarz z długim, ostrym nosem, a jego postawa i gesty świadczyły o tym, że bardzo się stara. Za to postawa Julii i wyraz jej twarzy sugerowały, że facet stara się za bardzo.

Przedzierał się przez gęsty tłum, aż znalazł się za mężczyzną gawędzącym z Julią. Czyżby randka, która nie wypaliła? A może próbował ją poderwać obcy facet? To była istotna różnica. Bardzo istotna.

Mężczyzna wymachiwał butelką.

- Więc ten senator najeżdża na mnie, żebym to załatwił. Mam masę znajomych w Białym Domu, i wiesz co? Gdyby mnie nie wkurzył, podniósłbym słuchawkę i wszystko ustawił.

Julia skinęła głową.

— Aha.

— Wiesz, co zrobiłem?

— Nie.

— Powiedziałem temu senatorowi, że nie podoba mi się sposób, w jaki się do mnie zwrócił. I że nie kiwnę palcem. Szkoda, że go nie widziałaś. Facet

ma wszczepione włosy, wiesz? Przysięgam na Boga, zaczerwienił się odtąd dotąd.

Zakołysał się na piętach i zachichotał krótko. Julia pociągnęła długi łyk drinka.

— Więc jak masz na imię, bo nie dostyszałem? - zapytał mężczyzna.

— Julia.

— Aha. Byłaś kiedyś na Kapitolu, Julio? Mógłbym cię wprowadzić, pokazać korytarze władzy, przedstawić cię paru senatorom.

— Ale odjazd - mruknęła Julia, choć wcale nie wyglądała na podekscytowaną.

Najważniejsza wątpliwość została rozwiana. Nachylił się nad barem, odepchnął łokciem faceta uderzającego do Julii i ryknął:

-Julia? Wielkie nieba! Ile to już?! Chyba z dziesięć lat!

Julia przeniosła na niego wzrok i zamrugła kilka razy. Puścił do niej oko.

- Nie pamiętasz mnie? Na promie? Ostatnia klasa w liceum.

Zrobiła jeszcze bardziej zmieszaną minę, więc uśmiechnął się szerzej.

- O rany... Tom Melborne... Może nie poznajesz mnie bez dżinsów.

Wydawało się, że Julia załapała.

- Tom? O Boże. Przepraszam.

Przysunął się bliżej, odpychając urzędasza z Senatu.

— Co porabiasz w Waszyngtonie? - zapytał. - Kiedy ostatnio o tobie słyszałem, byłaś na... ojej, zapomniałem... Tak mi głupio...

— Na uniwersytecie Delaware - dopowiedziała z uśmiechem.

— Oczywiście. - Spojrzał na senackiego urzędnika. - Strasznie przepraszam, nie chciałem przeszkadzać. Jest pan narzeczonym Julii? Mężem? A może się pan z nią umówił?

- Mm, nie, właśnie się poznaliśmy.

Położył dłoń na ramieniu urzędnika.

- Chodziliśmy z Julią do liceum, a później moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym... Tuż po tej wycieczce promem. - Zerknął na Julię. - Właśnie dlatego rzuciłem szkołę. Na pewno się zastanawiałaś... Powinienem być ci po wiedzieć, ale... Słuchaj, nie chciałem twojego współczucia. Miałaś swoje życie, swoją wielką przyszłość, a ja musiałem się zajmować moimi czterema młodszymi siostrami. Nie było ci to potrzebne. A propos, wszystkie świetnie sobie radzą. Pamiętasz Jessie, najmłodszą? Tę na wózku

inwalidzkim? Właśnie zaczęła college.

Julia ukryła twarz za drinkiem. Zagryzła wargę, podniosła głowę i odparła:

- Ciągłe się zastanawiałam, co się stało z biedną, małą, kochaną Jessie.

Przestępując niezręcznie z nogi na nogę, urzędniczyna wyglądał jak dziurawe zapasowe koło. Przyjrzał się intruzowi, swojemu konkurentowi, i uświadomił sobie ponad wszelką wątpliwość, że ma do czynienia z numerem jeden ligi. Zobaczył wysokiego, barczystego mężczyznę z jasnymi włosami, nieco starszego od Julii, z kanciastą szczęką, niebieskimi oczami i rzeźbionymi rysami twarzy. Taki jak on bez wątplenia mógł zdobyć każdą kobietę w tym barze. I nie tylko. Urzędnik wycofał się, mówiąc:

- Miło było cię poznać, Julio. Propozycja oprowadzenia po Kapitolu pozostaje aktualna.

Julia spojrzała na podłogę i odparła:

- Dzięki... naprawdę.

Facet rozplynął się w tłumie. Oboje się roześmiali.

- Naprawdę mam na imię Tom - rzekł. - Jestem Tom Me l borne.

- A ja naprawdę jestem Julia... Julia Cuthburt.

Znów się roześmiali.

- Jesteś moją dłużniczką - powiedział. - Za trzy minuty zasypałby cię opowieściami o tym, jak w niedzielę grywa w golfa ze spikerem Izby Reprezentantów. Właśnie wtedy podpowiada mu, jak rządzić krajem.

Julia zachichotała.

— Naprawdę masz cztery młodsze siostry?

— Oczywiście. A ty naprawdę zamierzasz odwiedzić go na Kapitolu?

Upiła kolejny łyk drinka. Widział, jak mu się

przygląda i podoba jej się to, co widzi. Zastanawiała się, czy na tym się skończy, czy rycerz na białym koniu, który uratował ją ze szponów napalonego smoka rozplynie się w nocy, zostawiając ją następnemu wygłodniałemu urzędasowi, prawnikowi czy nudziarzowi ze służby cywilnej. Kiszki miasta były ich pełne, a Julię już dawno przestało bawić towarzystwo przedstawicieli tych trzech ras.

Uśmiechnął się.

- Masz ochotę na drugiego drinka? Może chcesz posłuchać, jak naprawdę powodzi się biednej Jessie?

Obdarzyła go uśmiechem, wyrażając nim jednocześnie zgodę i wyraźną ulgę.

- Rum z colą będzie w sam raz.

Machnął ręką na barmana, zamówił drinka dla Julii i scotcha z wodą sodową dla siebie.

— Więc czym się zajmujesz?

— Jestem księgową w kancelarii, tu, w Waszyngtonie. Johnson i Smathers. Może słyszałeś?

— Nie, raczej nie. Ja jestem w innym biznesie.

— Pracujesz dla rządu?

— Mniej więcej. Nie odpowiedział, więc zapytała.

— Nie rozumiem. Gdzie pracujesz? Wziął drinki od barmana, podał Julii kieliszek i wzruszył ramionami.

— Po drugiej stronie rzeki.

— Gdzie dokładnie?

— W takim sporym lokalu, który mieści się w gmaszysku przy GWParkway. Właściwie nie pracuję w tym biurówcu, ale trzymam dom niedaleko w mieście, żeby mieć się gdzie przespać, kiedy tu jestem.

— Ach, jesteś w CIA?

— Tak. Ale nie wolno nam mówić nic więcej.

— Więc o czym porozmawiamy?

— W tej chwili udaję profesora na urlopie naukowym, który podróżuje za granicą i przeprowadza badania publicznych systemów opieki zdrowotnej. Jeśli fascynują cię zagadnienia zdrowia publicznego, możesz spokojnie pytać.

Na twarzy Julii odmalowało się przerażenie.

— Zdrowie publiczne?

— Wiem - rzekł z uśmiechem. - Też nie cierpię mojej przykrywki.

— Zły wybór, w każdym razie. Nie wyglądasz na profesorka z uniwersytetu.

— Nie?

— *Ani się tak nie ubierasz.*

- Mam szafę pełną wytartych tweedowych marynarek. I okulary w szylkretowych oprawkach. Nie uwierzyłabyś, jak niewielu drobnych poprawek trzeba, żeby zmienić wygląd. – Naprawdę by nie uwierzyła, pomyślał.

Julia oblizła wargi.

— *To fascynujące.*

— *Czasem. Ale jak powiedziałem, nie wolno nam opowiadać o swojej pracy.*

— *Masz kłamać?*

— *Tak, jeśli trzeba.*

Julia niepewnie pomieszała palcem drinka.

— *Na przykład mówiąc, że płynąłeś z kimś promem, rzuciłeś szkołę i wychowałeś cztery osierocone siostrzyczki?*

— *Strzał w dziesiątkę.*

Zachichotała i przycisnęła do siebie kostki nóg. Julia Cuth-burt okazała się dokładnie taka, jak obraz, który wyłaniał się z dossier: kobieta znudzona monotonną pracą, w wieku, w którym nie marzyła już o tym, że wyjdzie za mąż i będzie miała trójkę dzieci. Żywa parodia bohaterki W poszukiwaniu pana Goodbara, włócząca się po barach dla samotnych i polująca na dreszcz podniecenia.

Wysoki, muskularny, absurdalnie wręcz przystojny agent CIA, który przed chwilą wyszedł z okopów, był dokładnie tym, co zaordynowałby pan doktor.

Znów oblizła usta.

— *Nie żartujesz, prawda? Jesteś prawdziwym szpiegiem?*

— *Tym się zajmuję.*

— *Pracujesz teraz?*

— *Przyjechałem na odprawę.*

Julia poczuła skurcz w żołądku. Koniec z

biuralistami z Kapitolu, adwokatami za pięć centów i cywilnymi urzędasami. Ojej stołek opierał stopy prawdziwy James Bond z neseserem u stóp i stawiał jej drinki.

Co może być w tej walizeczce? Plany obrony Phenianu, a może rozkaz usunięcia chciwego, wrednego premiera Botswany, który robił pod stołem interesy z terrorystami?

— *Nigdy nie spotkałam nikogo, kto pracuje w...*
- *Zauważyła, że jego czoło się marszczy. - No, tam.*

— *Skąd wiesz?*

— *Ach, oczywiście. - Skinęła głową, jakby powiedział coś oczywistego.*

— *Ale dość o mnie. Wolałbym pomówić o tobie. Skąd pochodzisz?*

— *Z małego miasteczka w Kansas. Ale wyjechałam stamtąd dawno temu.*

Wiedział o tym, rzecz jasna. I wiedział, że nie tyle wyjechała z Kansas, ile uciekła przy pierwszej nadarzającej się okazji. Wiedział również, że była genialna z matematyki, miała dwie siostry, wyjechała z Kansas w wieku siedemnastu lat, skończyła matematykę na uniwersytecie Delaware i zrobiła magisterium z rachunkowości w Boston College. Skończyła z dobrym wynikiem. Posypały się oferty z najlepszych firm. Specjalizowała się w opodatkowaniu firm i miała szczególny talent do zakładania lewych rachunków zagranicznych. Brała trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę, czyli dużo, jak na współpracownika. W firmie przedstawiano ją klientom jako czarodziejkę od luk wprawie podatkowym. Półki w jej mieszkaniu uginęły się od grubych podręczników księgowości, przemieszanych z romansami w miękkich okładkach ozdobionymi wizerunkami zagubionych kobiet ściskanych w ramionach przez opalonych na brązowo, muskularnych mężczyzn. Uznał, że wybrała pracę w Waszyngtonie, ponieważ w tym mieście pełno jest wpływowych mężczyzn, a ona właśnie za takiego chciała wyjść.

Przez następną godzinę precyzyjnie zadawał pytania pozwalające Julii przedstawić się w najkorzystniejszym świetle, co nie jest łatwym zadaniem dla księgowej. Lubiła o sobie opowiadać i była

*podniecona do szpiku kości, że zainteresował się nią
taki mężczyzna.*

*Szczebiotła wesoło, kiedy on o wpół do
dziewiątej zerknął dyskretnie na zegarek.*

— O Boże, Julio... Patrz, co narobiłaś.

— Co?

— *Nigdy nie tracę rachuby czasu. Nigdy.*

— *Jest dopiero wpół do dziewiątej - zaprotestowała. Spojrzał na nią zawstydzony.*

- *Mam odprawę o szóstej rano. Muszę mieć jasny umysł. Powiniennem odprowadzić cię do samochodu. Gdzie zaparkowałaś?*

Zaproszenie było sprawdzianem, nie miała co do tego wątpliwości. Powie nie, dziękuję, a on uzna, że Julia wciąż szuka. Nastąpi niezręczna chwila, a później sayonara. I nigdy więcej nie zobaczy swojego agenta CIA.

Uśmiechnęła się szeroko i złapała torebkę.

— *W podziemnym garażu po drugiej stronie ulicy.*

— *Ja też. - Rzucił pięćdziesiątaka na blat, dając sowity napiwek, podniósł neseser i wziął Julię pod ramię.*

Gawędzili swobodnie po drodze do garażu. Otworzył jej drzwi, zaszurał nogami, a potem powiedział trochę niezręcznie:

— *Julio... Było mi naprawdę miło, naprawdę.*

— *Mnie też.*

Piłka była po jego stronie. Wyglądał tak, jakby nie wiedział, co ma dalej powiedzieć albo zrobić. Jakie to wszystko złudne. Nieustraszony mężczyzna, który potrafi stawić czoło największym niebezpieczeństwom, nagle zamienił się w zagubionego psiaka.

— *Zaprosiłbym cię do siebie na wieczornego drinka, ale... nie dzisiaj.*

— *Dlaczego?*

— *Wpakowało mi się tam dwóch znajomych agentów. Większość z nas nie ma tutaj mieszkań. Kiedy przyjeżdżają na odprawę, pożyczam im mieszkanie. - Uśmiechnął się smutno i dodał: - W terenie żyjemy w ciągłym strachu i niepewności. Czasem... czasem miło*

*jest zrobić sobie coś do jedzenia, pobyć z przyjaciółmi,
z ludźmi, którym ufasz.*

*Julię znów ścisnęło w brzuchu. Była tak
pochłonięta opowiadaniem o sobie, tak egoistycznie
zajęta swoimi romantycznymi pragnieniami, że prawie
zapomniła, jakie niebezpieczne jest jego życie. Ten
facet mógł w każdej chwili zginąć.*

Ścisnęła go za ramię i popatrzyła głęboko w soczewki kontaktowe nadające jego oczom cudowny morski odcień.

- Moje mieszkanie jest niedaleko - powiedziała.

- Wiem, że dla ciebie jest już późno, ale... jeden drink na dobranoc?

Ogarnęło ją przytłaczające poczucie winy. Jaka z niej egoistka.

Uśmiechnął się.

— Ale tylko jeden. Pojadę za tobą.

— Może u mnie poczujesz się swobodniej i będziesz mógł więcej o sobie opowiedzieć. Jesteś taki tajemniczy. Umieram z ciekawości, jaki jesteś naprawdę.

Uśmiechnął się szeroko. Zobaczysz, obiecuję.

ROZDZIAŁ 12

Po powrocie do domu znalazłem na sekretarce wiadomość od oficera warty reprezentacyjnej, który prosił o sprecyzowanie szczegółów pogrzebu: ilu będzie gości, w kaplicy jakiej wiary odbędzie się ceremonia, kto weźmie flagę; zwykłe menu wojskowego pogrzebu. Armia działała z typową dla siebie wybiórczą skutecznością. To zadziwiające, w jak różny sposób wojsko traktuje żywych i zmarłych. Jeśli źle naliczają ci pensję, możesz odejść na emeryturę, zanim skorygują pomyłkę, ale jeśli umrzesz, to grudy ziemi spadną na twoją trumnę szybciej, niż wyschnie tusz na nekrologu.

Wiadomość numer dwa, nagrana przez Clappera, brzmiała: „Cy Berger dzwonił w sprawie jakiegoś zakichanego egzaminu, który masz zdać. Nie pogrywaj ze mną, Dmmmond. Spróbuj nie zdać, a zrobię cię oficerem prawnym w bazie na atolu Wyspy Johnstona. Rozkaz leży na moim...”.

O rany! Moja sekretarka zeskoczyła nagle ze stolika i wyrznęła w ścianę.

No bo tak: myślisz sobie, że sprytnie sobie coś wykombinowałeś, a tu jakiś cwaniak odgaduje twoje zamiary i toniesz w gnojówce. Było po dziesiątej. Rzeczony podręczniki pokrywały się kurzem na moim biurku w kancelarii.

Czterdzieści minut później siedziałem za wspomnianym biurkiem i studiowałem gruby segregator zatytułowany „Przygotowanie i obróbka rachunków”, czyli „Jak zadbać o prawidłowy przepływ życiodajnych soków”. Około czwartej, wiedząc o standardach etycznych i procedurach administracyjnych wielkiej firmy prawniczej więcej, niż kiedykolwiek

chciałem, mogłem wczłgać się na komfortową skórzaną kanapę.

Nie minęło wiele czasu, gdy poczułem, że jakaś ręka z irytującym uporem potrząsa moim ramieniem. Spojrzałem w górę i zobaczyłem rozplywającą się z radości buźkę Sally Westin.

— Czas, żebyś wciągnął się w nurt.

— Sypnęłaś mnie.

— Tak. Dla twojego własnego dobra.

Popatrzyliśmy na siebie wrogo.

- Dwóch facetów, Sam i Bill, siedzi obok siebie w samolocie i nagle Bill widzi, że Sam ma podbite limo, więc pyta: „Hej, co się stało z twoim okiem?”. A Sam na to: „Miałem drobny wypadek werbalny”. „Jak to?”, pyta zaciekawiony Bill. „Ano, jem sobie śniadanie z żoną i próbuję jej powiedzieć: «Kochanie, czy mogłabyś nałożyć mi na talerz tych apetycznie wyglądających płatków?»». Ale wyszło mi: «Zmarnowałaś mi życie, ty tłusta, wredna, egoistyczna suko»,,,

Sally przyglądała mi się przez chwilę, a potem orzekła:

— To nie jest śmieszne. - Skrzyżowała ręce na piersi i zlustrowała mnie taksującym wzrokiem. - Nie podoba ci się tutaj, prawda?

— Co zdradziło mój sekret?

— A co go nie zdradziło? - odpowiedziała pytaniem. - Dlaczego?

— Lepiej, żebyś tego nie usłyszała.

— Rozegraj dobrze swoje karty, a może zaproponują ci przystąpienie do firmy. Podobno Morrow dostała taką ofertę. Większość prawników wiele by dała, żeby znaleźć się na twoim miejscu.

— Chcesz powiedzieć: czy nie jest ambicją wszystkich prawników z sektora publicznego załapać

się do wielkiej firmy?

— Ja tego tak nie ujęłam. - Ale z pewnością to miała na myśli. W przepychance na trzecim roku prawa chodzi właśnie

o kolejność dziobania: najpierw są wielkie prestiżowe firmy, później te niniejsze, mniej prestiżowe, a na końcu jest rodzinna firma stryjka, zajmująca się prawami własności działek.

Nieliczni szczęściarze, którzy dostaną się do wielkich prestiżowych kancelarii, zakładają, że ci, którym się nie udało, to zawistne świnię, zdolne do wszystkiego, byle tylko wyrwać się ze swoich nędznych posadek z lilipucimi pensjami. Jest w tym jakaś prawda, lecz ja zaliczam się do wyjątków. Prawie ubóstwo doskonale mi odpowiada. Uwalnia mnie od tak wielu obciążeń, pokus i trudnych wyborów.

Zrzuciłem stopy z kanapy; siła pędu postawiła mnie na nogi. Nawiązując do słów Sally, powiedziałem:

- Prawo to nie tylko wielka forsa i prestiżowe tytuły.

Ups! Rozejrzałem się, czy aby ściany nie runęły. Ale wyglądało na to, że fundamenty bunkra tkwią tak głęboko w bagnie chciwości, że nic ich nie ruszy.

— Czemu zajmujesz się prawem? - zapytałem Sally.

— Co to znaczy?

— Ta firma to harówka dwadzieścia cztery godziny na dobę, włączający ci na głowę wspólnicy, wyścig po rachunek... Więc dlaczego? - Zauważcie, jak zręcznie udało mi się uniknąć wzmianki o ojcu i dziadku.

— Kocham prawo.

— Co w nim kochasz?

— Ja... W gruncie rzeczy nie zastanawiałam się nad tym.

— Więc zastanów się teraz, Sally. - Odwróciła głowę, a ja dodałem: - Nie wyglądasz mi na taką, która

świetnie się bawi.

— Naprawdę?

— Sprawiasz wrażenie przepracowanej, zagonionej i wewnętrznie pustej.

Jej nozdrza się rozszerzyły.

- Dziękuję. - Zawsze do usług, Sally.

Przeciagnałem się i ziewnąłem. W nocy przyjechałem ubrany w wygodne dżinsy i koszulkę, więc zdjąłem je z siebie i sięgnąłem po świeżo nabyte oksfordzkie nudziarstwa. Sally wskazała na trzy czy cztery blizny na moim torsie i spytała:

— Skąd to masz?

— Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas...

Typowa sprawa.

— Uprawianie prawa w wojsku jest aż tak niebezpieczne?

— Zanim moje życie zeszło na psy, byłem piechurem.

— Zabrzmiało tak, jakbyś to lubił.

— Hm, no cóż. - Potarłem się po czole. - Piechociarze czasem kogoś rozwalają. No wiesz, ktoś cię wkurzy, a ty... Wiem, że to brzmi strasznie... Ale zdziwiłabyś się, jaką daje satysfakcję... Nie żebym myślał o tym przez cały czas.

Odsunęła się ode mnie.

— Mówisz poważnie?

— Moja psychoterapeutka... Na pewno słyszałaś o traumie pola walki... Ale ona twierdzi, że robię wspaniałe postępy. Jeśli tylko nic nie pogarsza mojego stanu... Proszę cię, nie wspominaj o tym nikomu. To trochę krępujące.

Gapiała się na ścianę, więc zasugerowałem:

— Może byś wyszła, tobym się ubrał.

— Tak, oczywiście. - Wróciła po kilku minutach, położyła na biurku zestawienie finansowe i z nieznaną wcześniej kurtuazją oznajmiła: - A propos, lecisz o dziewiątej.

— Kto leci?

— Zespół zajmujący się sprawą protestu. Pewnie będziesz się chciał ogolić i wykapać. Jason Morris przysyła swój prywatny odrzutowiec. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale... Pierwsze wrażenie jest szalenie ważne.

- Tylko nie mów mu o moim stanie, dobrze?

Popatrzyła na mnie długo, uważnie, po czym wyszła, a ja zacząłem się zastanawiać nad tą nową

możliwością. Rzecz jasna, było tylko kwestią czasu, zanim wszyscy dowiedzą się, że wojsko podesłało firmie świra z morderczymi instynktami. Mimo to nasikać na but największemu dostawcy gotówki dla firmy na pewno nic zaszkodzi.

ROZDZIAŁ 13

Cy, Barry, Sally i ja zebraliśmy się na prywatnym terminalu międzynarodowego lotniska Dullesa i szybko wprowadzono nas na pokład dwusilnikowego learjeta. Wnętrze odrzutowca zostało specjalnie przygotowane dla bogatych i wychuchanych: był tam stół konferencyjny z czterema miękkimi skózanymi fotelami. Była też młoda, energiczna stewardesa imieniem Jenny, która z dumą obnosiła wspaniałą opaleniznę, cudowne nogi, twardy jak skała tyłeczek i zadziorne maniery instruktorki aerobiku. „Siadamy wszyscy raz, dwa i zapinamy pasy”. Szeroki uśmiech, klaśnięcie w dłonie, pełny zestaw. Zabierzcie mnie stąd.

Śliczna panna Jenny pasowała do tego, co przeczytałem i usłyszałem o jej pracodawcy. Otóż pan Jason Morris cieszył się opinią jurnego koguta, który przeleciał połowę najlepszych lasek w Hollywood i parę innych sławnych dam. Jeśli wierzyć brukowcom z efekciarskimi tytułami na pierwszej stronie, informującym, kto wymykał się z czyjego buduaru, to z pana Morrisa był obrotny gość.

Ale w jaki sposób biedny Jason zdołał nachapać tyle forsy między wycieczką na Bimini z napaloną laską w jednym tygodniu a wypadem do Hamptons z inną w następnym, tego nie wiem, choć słowo daję, że chciałbym. Podobno istniał nawet podniebny klub jego byłych kochanek. Ciekawe, czym

szalowa panna Jenny zajmowała się, kiedy szef posuwał swoich wystrzałowych gości na delikatnej skórze fotela, w którym siedziałem. Śniadanko na pokładzie: jajko Benedict, do tego łososie, szynka, francuskie rogaliki i sok pomarańczowy obficie zaprawiony ginem. To jest życie, co?

Cy i Barry faktycznie się opychali, popijając nawoltowane soczki i gawędząc sobie przyjemnie, a ja i Sally odgrywaliśmy ambitnych młodszych współpracowników i wertowaliśmy pliki dokumentów, które wczoraj leżały na biurku Sally. Teksty były rozwlekłe i napisane morderczym prawniczym żargonem, służącym do zrobienia wody z mózgu klientom i usprawiedliwienia wysokich honorariów, lecz sprawa była prosta. Oto, do czego w gruncie rzeczy się sprowadzała:

Ogłoszony przez DARPA przetarg opierał się na trzech głównych wymogach. Po pierwsze sieć, albo mówiąc technicznym żargonem, magistrała, miała przenosić sygnał wideo na szesnastu kanałach jednocześnie, aby naukowcy z DARPA mogli wspólnie pracować. To tak, jakby upakować szesnaście różnych stacji telewizyjnych na jednym kablu i wyświetlić je wszystkie na ekranie telewizyjnym. Po drugie, sieć miała być całkowicie bezpieczna, odporna na zatkanie, podsłuch, włamania i przecieki. Po trzecie, personel administrujący siecią musiał posiadać uprawnienia dostępu do informacji *top secret*.

Szybko przekartkowałem techniczne ględzenie o gigabajtach, częstotliwościach, routerach, przekaźnikach i tym podobnych. Dalej następowały zestawienia i szacunki finansowe oraz biznesplany, z których jasno wynikało, że chłopcy Jasona wykukali konkurentów. Druga w kolejności oferta była o dwadzieścia pięć procent droższa od oferty Morrisa. A

następna jeszcze droższa.

Piętnastego listopada Departament Obrony ogłosił, że zwycięzcą przetargu została firma Morris Networks. Nazajutrz adwokat reprezentujący AT&T złożył wizytę w urzędzie zamówień Pentagonu i wystosował pewną liczbę zapytań dotyczących kwestii proceduralnych. Dowiedział się, że dla firmy Morris Networks uczyniono niezrozumiały wyjątek, mianowicie zniesiono wymóg posiadania przez administratorów sieci dostępu do ściśle tajnych informacji.

To właśnie stało się podstawą pierwszego punktu protestu AT&T i Sprinta. Dlaczego zrezygnowano ze wspomnianego wymogu?

Punkt drugi był o wiele szerszy i bardziej rozwlekły, a sprowadzał się do tego, że kwestionowano, czy Morris Networks jest w stanie wykonać zadanie za przedstawioną cenę.

Zamknąłem ostatni dokument i spojrzałem na Sally, która siedziała obok i wciąż przewracała kartki. Zaczęła wczoraj albo nawet wcześniej i jeszcze nie skończyła. Dobrzy prawnicy szybko czytają - to fakt. Przypomniałem sobie, jak Cy powiedział, że ledwie zmieściła się w górnej połówce absolwentów prawa na swojej uczelni, i zacząłem się zastanawiać, jak jej się to udało.

- To bardzo ciekawe - powiedziałem, spoglądając na Cya. - Roześmiał się. - Należy nam się sześć stów za godzinę tylko za przeczytanie tego przegadanego gówna.

O rany. Cy zarabiał w ciągu jednego poranka więcej niż ja przez miesiąc.

- Czy mogę zadać kilka pytań?

Barry uśmiechnął się nieszczercze i odparł:

— Oczywiście, Sean. Która część jest dla ciebie

niezrozumiała?

— Barry, czy ja powiedziałem, że coś jest dla mnie niezrozumiałe?

— Hm, nie. Przykro mi, jeśli cię uraziłem.

Wcale nie było mu przykro, a ja właśnie zastanawiałem się, w jaki sposób go ukatrupić, kiedy Cy posłał mi ostre spojrzenie.

Nie byłem w nastroju, by wysłuchiwać kolejnego wykładu o tym, że wszyscy powinniśmy być kumplami, kibicować jednej drużynie i tak dalej, więc zapytałem:

- Dlaczego Departament Obrony zrezygnował z klauzuli dotyczącej dostępu do tajnych informacji?

-To nie było konieczne - odparł Barry. - Ten, kto określił warunki przetargu, najwyraźniej nie rozumiał, w jaki sposób zarządza się sieciami. To typowe dla ludzi z rządu i wojskowych.

Może garota? Stopniowo zaciskana, cudownie bolesna...

— Czy Morris zwrócił się do Departamentu o zniesienie wymogu?

— Przeczytałeś całą listę wymogów? - zapytał Cy.

— Tak.

— Widziałeś, że jest to sieć działająca non-stop przez siedem dni w tygodniu i obejmująca tysiąc pięćset stron?

— Tak.

— Pamiętasz wymogi dotyczące liczby pracowników?

— Pod tym względem oferty wahały się w granicach od stu pięćdziesięciu do pięciuset menedżerów i administratorów.

— Bardzo dobrze. - Proszę odnotować w aktach, że nie potrzebowałem ani jego pochwał, ani protekcjonalnych uwag. Zrezygnowałem z garoty. Postanowiłem, że powieszę go za krawat od Gucciego. Akurat przebierał nogami i wytrzeszczał oczy, gdy dodał: - Uprawnienia *top secret* kosztują około dwustu pięćdziesięciu tysięcy na głowę i trzeba roku, żeby je uzyskać. To podnosi koszty programu o dziesiątki milionów.

— Więc?

— Więc Morris zauważył po prostu, że wymóg jest nieracjonalny. Absurdalne marnowanie pieniędzy podatników.

— I to wszystko?

— W kontrakcie zawarte są procedury

pozwalające Departamentowi Obrony sprawdzić bezpieczeństwo w firmie Morrisa, więc wymóg jest zbyteczny - wyjaśnił Barry. - Nikomu nie mogło zaszkodzić, że ogłoszeniodawca przetargu wolał niższą ofertę.

— To brzmi przekonująco - stwierdziła Sally, podnosząc głowę.

Ale mnie wciąż to nie przekonywało, więc zapytałem:

- W takim razie dlaczego AT&T i Sprint składają protest?

Cy i Barry wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Po krótkiej pauzie Cy odparł:

— Mniej więcej rok temu Jason zatrudnił Daniela Nasha jako członka zarządu.

— Rozumiem.

— Ale Daniel nie ma z tym nic wspólnego - dodał szybko Cy. - Nie jest głupcem. Ani Jason, który dobrze rozumie, że między Dannym a Departamentem Obrony trzeba postawić zaporę ogniową.

Tak na marginesie, wspomniany przed chwilą w rozmowie Daniel Nash przez dwa lata był sekretarzem obrony w poprzednim rządzie. Wcześniej był kongresmanem, którego najbardziej godną uwagi cechą był całkowity brak cech godnych uwagi. Długą karierę na Kapitolu poświęcił na wtykanie nosa w sprawy obrony, a potem wyskoczył z niego jako ekspert od obronności. Jako sekretarz obrony okazał się wielkim niewypałem. Pan Nash zabłysnął umiejętnością bombardowania Pentagonu młotami i oszczepami, lecz uchylanie się przed nimi szło mu nieco gorzej.

Nie był jednakowoż człowiekiem tak zupełnie pozbawionym talentów. Okazało się, że jest całkiem dobry, jeśli idzie o upajanie się wystawnym stylem życia: latał luksusowo wyposażonym boeingiem 747, mieszkał w pięciogwiazdkowych hotelach, obracał się w towarzystwie arystokratów, liderów przemysłu i zagranicznych szycy. Jego zastępca uchodził za najbardziej zapracowanego frajera w Waszyngtonie.

Ktoś cynicznie usposobiony mógłby nawet podejrzewać pana Nasha o to, że przygotowuje sobie grunt pod zamożne życie po życiu, gdyż zapychał sobie segregator wizytówkami biznesmenów. Po powrocie do sektora prywatnego wylądował miękko jako członek zarządu Morris Networks, gdzie z pewnością nie zatrudniono go ze względu na umiejętności

menedżerskie.

Zapewnienie Cya uczciłem stosowną chwilą
milczenia, po czym zapytałem:

- Ale jest możliwe, że mamy do czynienia ze
znamio-

nami poważnego nadużycia, prawda? Dwa lata, tyle chyba wynosi okres karencji, kiedy to Nashowi nie wolno wywierać wpływu na departament, w którym wcześniej pracował? Cy zachichotał.

— Tamci na pewno będą to podnosili. Ale Danny przysięga, że trzymał się z daleka od całej tej zakichanej sprawy.

— Nie wątpię.

Trochę zdegowany, że nie połączyłem zapewnień cenionego w kancelarii wspólnika, Barry poinformował:

- Daniel zgłosił się nawet na ochotnika do próby na wykrywaczu kłamstw. Odradzaliśmy mu to, ale propozycja wciąż jest aktualna. Czy zrobiłby to, gdyby był winny?

Uwielbiam to pytanie. I coś kazało mi podejrzewać, że gdyby władze powiedziały: No dobra, Danny, podłączmy twój tyłek do pułapki na kłamczuszków, chłopcy i dziewczęta z firmy Culper, Hutch i Westin wyperswadowaliby mu, co należy, i oferta zostałaby błyskawicznie wycofana.

Ale nie wyraziłem głośno tego podejrzenia. Tymczasowo stałem w jednym szeregu z tymi chłopcami i dziewczętami i miałem wiedzieć, kto smaruje mój chleb. Ale to ich chleb był smarowany. A sektor, dla którego pracowałem, był rolowany. Nawet nie potrafię wyrazić, jak uwielbiam być rzucony w sytuacje prowadzące do konfliktu lojalności.

Należało przejść do następnego punktu.

— Jak to właściwie możliwe, że Morris Networks przedstawił o tyle tańszą ofertę?

— Złożyło się na to kilka czynników - odparł Barry. - Po pierwsze, Morris Networks jest nowszą firmą.

— Ach tak.

Barry uśmiechnął się cwaniacko.

— Cała jego sieć jest na najwyższym poziomie technologicznym, nieobciążona spuścizną starych systemów, tak jak Sprint czy AT&T. Nowe systemy są bardziej niezawodne, tańsze w kierowaniu i obsłudze.

— I to tłumaczy dwudziestopięcioprocentową różnicę między Morris Networks i najbliższym konkurentem?

-Częściowo. Struktura firmy Jasona jest szczuplejsza i bardziej płaska. Jest skuteczniejszym menedżerem, nie ma takiego nawisu, jak wielkie firmy. Wystarczy zrzucić ten tłuszcz i nie ma potrzeby rozciągania kosztów. - Uśmiechnął się i dodał: - Ale ty nie masz doświadczenia w przemyśle, więc pewnie i tak tego nie zrozumiesz.

Cy najwyraźniej chciał zapobiec morderstwu, więc zapewnił szybko:

- Ale to są dobre pytania, Sean. Kiedy pobędziesz trochę z ludźmi Jasona, uwierzysz.

- Na pewno masz rację - odparłem. Ale kłamałem.

Bo jeśli firma mająca w kieszeni byłego sekretarza obrony doprowadza do tego, że zniesiono dla niej kluczowy wymóg, to taki zbieg okoliczności naprawdę stanowi poważne wyzwanie dla wyobraźni.

Jeśli chodzi o kontrakty Departamentu Obrony, przemysłowcy lubią uprawiać swoistą grę, która zaczyna się od wystrzelenia najtańszej oferty. Parę lat później zwycięzca wraca do Departamentu i mówi: „O, rany, chłopaki, ale się narobiło przy realizacji kontraktu. Pojawiło się parę, no, wiecie... nieprzewidzianych problemów... dodatkowych kosztów w związku z rzeczami, których nie przedstawiliście dokładnie w specyfikacji przetargu... jedna czy dwie boskie interwencje... Wspominaliśmy już, że to głupia sprawa, tak? No więc, czy moglibyście odkręcić trochę bardziej kurek przy tej beczce z pieniędzmi?”.

Czasem Departament każe im wetknąć sobie kontrakt gdzieś, albo, jeśli sprawa naprawdę śmierdzi, spuszcza im na kark oddział kontrolerów federalnych. Zdaje mi się, że raz nawet doszło do wyroku skazującego. Ale prawie zawsze rząd bierze pod uwagę, że udowodnienie fałszerstwa jest prawie

niemożliwe, i mówi: „Tak, to faktycznie głupia sprawa... Ale chodzi o bardzo ważny program, którego nagłe przerwanie może skończyć się katastrofą dla bezpieczeństwa narodowego, Boże broń... A gdybyśmy postarali się, żeby nie trafiło to na pierwsze strony gazet, co wy na to?”.

Lśniąca, czarna przedłużona limuzyna, czekająca na nas na lotnisku w Palm Beach, przewiozła nas błyskawicznie przez miasto. Autostradą prowadzącą przez most dotarliśmy na wyspę Jupiter, która, sądząc z wielkości i bogactwa domów, powinna raczej nosić nazwę Olimp, bo wyglądało na to, że właśnie tutaj bogowie wielkiego przemysłu chronią się, by odpocząć po ciężkim trudzie wrzucania łopatami dolarów do pancernych sejfów.

Skręciliśmy w bramę i po przejechaniu stu metrów znaleźliśmy się przed ogromną różową szkaradą, która rozsiadła się jakieś dwadzieścia metrów od oceanu. Połowa ludności Salwadoru przycinała krzaki i żywopłoty oraz pielęgnowała grządki kwiatowe. Można było doznać wrażenia, że wkroczyło się do innego świata, na plantację w południowych stanach, której biały właściciel siedzi w środku, popijając syrop miętowy, a „chłopcy” dbają o to, by stary ranczer opływał we wszelkie luksusy.

Czasem wydaje mi się, że jestem republikaninem, a czasem, że jestem demokratą. W tej chwili zmagalem się z atakiem marksistowskiej pasji. Poczułem dziwne pragnienie, by wyskoczyć z limuzyny i ryknąć: „Juan, Paco, Jose, łapcie za maczety i sekatory... *Viva la Revolución!*”

Ale zanim zdążyłem pójść za tym impulsem, ogromny facet otworzył frontowe drzwi i wyszedł nam na powitanie. Czarny jak smoła garnitur świadczył o tym, że jest wynajętą siłą roboczą, zaś tajemnicze wybrzuszenie pod lewą pachą kazało przypuszczać, że jest siłą szczególnego rodzaju. Czyż to nie dziwne?

Dryblas uśmiechnął się do Cya. Było jasne, że go zna, bo powiedział:

- Dżin dobry, senatorze. Fajnie znów pana widzieć. - Przenicował wzrokiem resztę naszej grupki i

chyba wyglądaliśmy niegroźnie, bo rzekł: - Pan Morris jest na tyłach. Spóźniliście się trzy minuty, więc nie marudźcie dłużej. - Miał naprawdę dworskie maniery.

Przyspieszyliśmy więc trochę. Przeprowadzono nas przez hol i salon, a później przez bardzo wysokie drzwi balkonowe. Wycieczka trwała prawie dwie godziny, bo ten zakichany salonik był ciut większy od Europy. Naliczyłem dwadzieścia kanap ustawionych w rozmaitych konfiguracjach. Albo pan Morris uwielbiał duże prywatki, albo miał kręćka na punkcie kanap.

Zwykle unikam oceniania książki po okładce, ale czasem, gdy coś mi odbije, ulegam tej pokusie. No, bo prywatne odrzutowce, rozciągnięte jak guma do żucia limuzyny i zamczyska nad brzegiem morza to sól na ranę ubóstwa klasy średniej. Właśnie powtarzałem sobie: „Dorośnij, Drummond, nie bądź taki małostkowy”, kiedy zobaczyłem zaparkowany w doku na tyłach domu liniowiec Queen Mary. Jakieś pięćdziesiąt metrów długości, trzy lśniące pokłady bogactwa w najczystszej postaci, od którego tyłek sam się zaciska.

Widziałem buźkę Morrisa na okładce niejednego magazynu, więc od razu poznałem faceta rozwalonego niedbale na leżance koło basenu i gapiącego się na ocean. Gawędził przez telefon, sącząc kawę i wodząc palcem po jakimś zestawieniu finansowym - podzielność uwagi granicząca z wariactwem.

Wyłączył telefon i ruszył w naszą stronę. W gazetach podawano, że Jason Morris ma trzydzieści dziewięć lat, a on wyglądał tak, jakby miał osiemnaście: muskularny, opalony, z jasnymi włosami, jasnoniebieskimi oczami i promiennym uśmiechem. Że nie wspomnę o książeczce czekowej, dla której damy gotowe są na wyścigi wyskakiwać z bielizny. Wcale

nie wyglądał na przemysłowego barona - raczej na modela od Ralpa Laurena: kwadratowa szczęka, koścista twarz, bermudy, wyblakła koszulka polo i plażowe sandały. W naszych biurowych mundurkach wyglądaliśmy jak banda osłów.

Wysunął sławną dłoń i powiedział:

- Cy, dzięki, że tak szybko przyjechałeś. Mam nadzieję, że nie sprawiłem wam kłopotu?

Równie sławna dłoń Cya pomknęła na powitanie dłoni gospodarza.

-Kłopot? Co ty, Jason, ja wprost uwielbiam ten twój sakramencki odrzutowiec. Powiedz mi tylko... ta Jenny... Ona bierze od godziny?

Uderzyło mnie, że panowie Berger i Morris dzielają namiętność do pań; przez chwilę zastanawiałem się, czy Cy pyta poważnie.

— Niereformowalny skurczybyk z ciebie, Cy. A co do odrzutowca, to faktycznie ma ostentacyjny wystrój, ale zarząd mojej firmy utrzymuje, że jest potrzebny, by robić odpowiednie wrażenie na gościach. Mam się z nimi kłócić? - Wszyscy się roześmiali, choć moim zdaniem żart wcale nie był zabawny. Nagle przyszło mi do głowy, że kiedy jesteś obrzydliwie bogaty, nigdy nie możesz być pewny, czy jesteś naprawdę czarujący, seksowny albo zabawny. Załóżę się, że bogaci cierpią z tego powodu na bezsenność. Jasne. Pan Morris odwrócił się do pana Boswortha i powiedział: - Jak się masz, Barry?

— Świetnie, Jason.

— Takiego wała. - Jason popatrzył na Cya. - Spójrzcie na te worki pod oczami. Cy, przyjmijcie tego biedaka na wspólnika, zanim go wykończycie.

— Właśnie to rozważamy - zapewnił Cy. - Pozycja Barry'ego jest bardzo mocna.

— Oby. Ale poważnie, Cy... Barry zarobił dla mnie masę forsy. Spodziewam się, że weźmiecie to pod uwagę i wynagrodzicie.

Pan Bosworth rozpromienił się niczym pudel, obwąchany od tyłu przez zdrowego niemieckiego doga. Cy skinął lekko głową głównemu dostawcy gotówki dla firmy, a panna Westin bez wątpienia myślała o tym, że pół metra od niej stoi szansa błyskawicznego zdobycia stanowiska wspólnika.

Ja zaś wlepiłem wzrok w wielką łajbę i zacząłem główkować, czy łatwo byłoby posłać ją na

dno.

Moje destrukcyjne mrzonki przerwał Morris:

— Obawiam się, że z panią i z panem jeszcze się nie spotkałem.

— Jestem Sally Westin - zaszczebiotała moja współpracowniczka, po czym dodała: - Właśnie zostałam przydzielona do sprawy pańskiej firmy i bardzo, bardzo się z tego cieszę. Naprawdę podziwiam pana i wszystko, co pan osiągnął.

Nie padła przed nim na kolana, ale niewiele brakowało. Jezu Chryste.

— A to jest Sean Drummond, wypożyczony z armii - oznajmił Cy. - Dołączył do nas przedwczoraj.

— Z armii? Tak jak Lisa Morrow?

— Ten sam program. Nawiasem mówiąc, biedna Lisa... To zła wiadomość, Jason... Lisa została zamordowana.

Morris cofnął się o krok.

— Zamordowana?

— Próbowano ją obrabować i źle się skończyło. Zgadza się, Sean?

- Tak twierdzi policja - odparłem.

Morris pokręcił głową.

— Żyjemy w okropnie smutnym świecie - powiedział do mnie. - Czy mogę coś zrobić?

— Pewnie. Umiesz kopać doły?

Wlepił we mnie gały, a ja klepnąłem go po ramieniu i się roześmiałem. On też zarechotał. Po chwili przestał, uświadamiając sobie poniewczasie, że właśnie oblał test na autentyczność smutku.

— Nie znałem dobrze Lisy... - rzekł szybko. - Ale sprawiała wrażenie uroczej osoby. Bardzo inteligentnej i kompetentnej.

— Taka właśnie była. Ale to za mało powiedziane.

W ten sposób zostałem przyłapany na niegrzeczności. Grzecznościowe pogawędki są zabawne tylko wtedy, kiedy wszyscy grają zgodnie z zasadami, a ja je zламаłem. Przeszliśmy dalej i rozsiedliśmy się na kanapach. My jako prawnicy utworzyliśmy krąg niczym pijawki wokół żywiciela i wprawnie otworzyliśmy aktówki. Jakby znikąd zjawiała się wyglądająca na Latynoskę służąca, przyjęła zamówienia na drinki i bezszelestnie zniknęła w kabinie plażowej tak ogromnej, że mogłaby pomieścić dziesięcioosobową rodzinę.

Morris dał nam czas na umoszczenie się i zagał:

- Jakież uwagi na początek w związku ze sprawą?

Barry, który nigdy nie tracił okazji, odparł:

— Nie przewiduję problemów. Protesty są oparte na oskarżeniu o niedozwolone oddziaływanie i znaczną różnicę w wysokości ofert.

— Zgadzam się - powiedziała Sally, wyraziście zaznaczając swoją obecność. - Naprawdę nie widzę większych problemów.

Jason skinął głową, kwitując ten pokaz bezmyślnego entuzjazmu.

— Jak zamierzacie to rozegrać?

— Jeśli chodzi o pierwszy zarzut - odparł Barry - to omówimy wszystko z twoim biurem prawnym i przedstawimy strategię. Co do drugiego, na początek powinieneś potwierdzić, że wysokość oferty jest autentyczna.

— Taka właśnie jest - zapewnił Morris.

— Jesteś pewien, Jason? - spytał Cy.

— Cy, mógłbym zaproponować sumę niższą o jedną piątą i jeszcze zostałby mi tłusty zysk. Te stare telekomy są tak cholernie nieefektywne, że to skandal, że jeszcze nie wyleciały z rynku.

Cy zerknął na mnie z ukosa i spytał:

— Nie ma takiej możliwości, że twoi ludzie podrasowali ofertę i za parę lat suma podskoczy?

— Nonsens. - Machnął w powietrzu ręką jak siekierą. - Słuchaj, jeśli to popchnie sprawę do przodu, możecie powiedzieć wojsku, że jestem gotów zgodzić się na karną klauzulę, jeżeli wyskoczą dodatkowe koszty.

— To by pomogło - zauważył Barry. - Taka deklaracja świadczy o szczerości intencji i pewności

swego.

— Jestem pewny swego, do jasnej cholery. Jeśli chodzi o niedozwolone oddziaływanie, to, na miłość boską, oskarżają mnie ci, którzy od pokoleń zgarniali ludzi z Departamentu Obrony. To ich gra, zgadza się? Jak, do cholery, mogą robić mi z tego zarzut?

Wszyscy kiwali głowami, jak gdyby Jason ogłosił niepodważalny fakt, a świat okazał się podły, bo takie oskarżenie nigdy nie powinno ujrzeć światła dziennego. Chociaż, jeśli chodzi o ścisłość, nie wszyscy.

- Może podejrzenie bierze się stąd, że trzymasz w kieszeni byłego sekretarza obrony - zasugerowałem.

Cy, Sally i Barry tak głęboko włązili mu w tyłek, że Jason pierwszy raz na mnie popatrzył.

— Taak, masz rację, Sean. Jestem tego boleśnie świadomy. Żałuję, że w ogóle go zatrudniłem.

— Tak? A to czemu?

— Podwójne ryzyko. Nie możemy wykorzystywać go do prac przy projektach związanych z obronnością, a wszyscy uważają, że tak właśnie robimy.

— Jesteś pewien, że do nikogo nie dzwonił, nikomu niczego nie podszeptował?

— Jak można być pewnym czegokolwiek? - Najwyraźniej była to szczerza odpowiedź, bo Jason zaraz dodał: - Widzisz, Dan nawet nie wiedział o tym, że startujemy w przetargu. Jest członkiem zarządu, a nie pracownikiem firmy. Płacę mu sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie za to, żeby przychodził na posiedzenia i słuchał księgowych opowiadających o stanie zdrowia firmy. - Pokręcił głową. - A ten skubaniec przespał dwa ostatnie posiedzenia.

Cy zachichotał.

— Powinieneś się cieszyć. Danny robi lepsze wrażenie, kiedy śpi, niż kiedy jest przytomny.

— Hej, czy to nie ty mi go podsunąłeś?

— Tak. A czy nie ostrzegałem cię, że to grubo przepłacany idiota?

Teraz Morris się roześmiał.

- Faktycznie, ostrzegałeś.

Pokpiwali sobie z Danny'ego, a ja, choć nie jestem szczególnie naiwny, trochę się wkurzałem, słuchając o tym, że ktoś kupuje i sprzedaje byłego sekretarza obrony jak używany opiekacz do tostów.

Jason wstał na chwilę i zaczął się przechadzać, najwidoczniej zbierając myśli. Wreszcie ustawił się tyłem do jachtu w fotogenicznej pozie: on na pierwszym planie ze skrzyżowanymi muskularnymi ramionami, a w tle kołyszący się kolosalny pomnik oszałamiającego bogactwa. Możliwe, że stanął tak przypadkowo, ale możliwe też, że nie.

Patrzył przez chwilę na nasze twarze, a potem powiedział:

— Zaprosiłem was tutaj, żeby poinformować, że sprawa jest cholernie ważna. Istnieje pewien powód, dla którego AT&T i Sprint postanowiły złożyć ten protest. Z moich źródeł wiem, że Departament Obrony ma ogłosić w tym roku jeszcze trzy przetargi. Wydaje mi się, że informatorzy moich konkurentów też o tym wiedzą. Jeśli wytną nas raz, to może zaistnieć efekt domina. Całkowita wartość wszystkich czterech przetargów wynosi około czterech miliardów rocznie.

— To ogromna suma - zauważył niepotrzebnie Bany.

— Naprawdę ogromna - dodała równie niepotrzebnie Sally. Choć nie całkiem niepotrzebnie, jeśli wziąć pod uwagę, że ona też chciała zostać współniczką.

— Tak, to kupa forsy. - Morris popatrzył na twarz każdego z nas i mówił dalej: - Jestem prostym biznesmenem. Tworzę doskonały produkt i sprzedaję go za doskonałą cenę. Właśnie dlatego te dinozaury wloką się za mną. Jestem zagrożeniem dla ich egzystencji, więc wszyscy postanowili mnie zniszczyć. Chcę, żebyście ich powstrzymali. Zapewniam wypłaty ośmiu tysiącom ciężko pracujących ludzi, którzy liczą na to, że wasza firma dopilnuje czystości gry. Jeśli wypchną nas z rynku wojskowego, przetrwamy, ale Wall Street domaga się ciągłego wzrostu i przez kilka

lat, póki gospodarka nie stanie na nogi, musimy pozostać w tej grze. Ciągnijcie ze mnie aż do bólu... tylko nie przegrajcie tej bitwy.

Zdanie „Ciągnijcie ze mnie aż do bólu” adresowane było do Cya, który entuzjastycznie kiwał głową. Barry, rzecz jasna, już siedział na tej łódce, z podkrążonymi oczami, głodny, i tylko jeden skok dzielił go od stanowiska współnika, więc nie po-

trzeba mu było dalszych zachęt. Tak więc zasadnicza część mowy przeznaczona była dla Sally i dla mnie, czyli, jeśli można tak powiedzieć, młodszej części zespołu, który wykona większą część najcięższej roboty. Zerknąłem na Sally, która kiwała zawzięcie głową, jakby chciała powiedzieć: „Tak, Jason, z tobą na koniec świata, zaharuję się na śmierć, mój ty bohaterze. PS Tak jak mój kumpel Barry, też tęsknię do stanowiska współnika. PPS A jeśli chodzi o ten klub podniebnych kochanek, to ja też nie mam nic przeciwko lataniu”.

Trzeba oddać Morrisowi, że wyczuł hurraoptymistyczny charakter jej entuzjazmu, spojrział na mnie przepraszająco, poklepał Sally po ramieniu i zerknął na zegarek.

- Cy, mam spotkanie z grupą inwestorów - rzekł. - Muszę uciekać. Mam nadzieję, że mi wybaczą.

Zgodnie stwierdziliśmy, że wybaczymy, a Morris podszedł do każdego z nas i krzepko uściskał nasze dłonie niczym generał zagrzewający żołnierzy do boju. Spoglądał nam znacząco w oczy, oceniając wysokość współczynnika olewczosci.

Kiedy doszedł do mnie, uściskałem mu rękę i zapytałem:

— Znajdziesz czas, żeby odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie?

— Jasne.

— Dlaczego przy drzwiach stoi uzbrojony strażnik?

— On? Tak na wszelki wypadek.

— Rozumiem. Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego możesz spodziewać się wszelkich wypadków?

Zamiast powiedzieć mi, żebym się walił, odparł:

— Jak pewnie wiesz, jestem bardzo znaną osobą. Nie podoba mi się to, ale firma została zbudowana wokół mnie, i każdy artykuł w gazecie to korzyść dla właścicieli akcji i pracowników. To dobra strona darmowej reklamy. Ale tak się niefortunnie składa, że wiele z tych artykułów opisuje moją fortunę.

— Więc nie ma żadnej szczególnej przyczyny?

— Kilka listów z pogrózkami. Jak tylko wszyscy się dowiadują, że masz forszę, wariaci i czubki ustawiają się w kolejce. Byłbym głupi, gdybym się narażał.

— Parszywie jest być bogatym, co?

W

— Nie, Sean. - Morris puścił do mnie oko. - Ja ięc
nawet nie dopuszczam innej możliwości. abstrah

Upłynęło mniej niż pięć minut od chwili, gdy ując od
facet z opuchlizną pod pachą odstawił nas na tyły forsy,
domu, a już siedzieliśmy z powrotem na miękkich wyglą
fotelach długiej limuzyny. Wyobraźcie sobie: lot ał na
odrzutowcem, jazda samochodem i trzyminutowa normal
pogawędka z trzema adwokatami kosztowały pana nego,
Monisa mniej więcej pięć razy tyle, ile wynosi moja bezpret
roczna pensja. Bogacze mają naprawdę dziwne ensjon
zwyczaje. alnego

Jak tylko samolot oderwał się od ziemi, gościa,
zamknąłem oczy i udałem, że śpię. Był to, rzecz jasna, który
grzeczny sposób uniknięcia rozmowy. Nie miałem nic nieźle
wspólnego z kolegami: Sally była skłoną do przyjął
manipulacji suką bez serca, Barry był idiotą, a Cy, żart
którego w zasadzie lubiłem, zajął się uszlachetnionymi zahacz
sokami pomarańczowymi i panną Jenny. ający o

Poza tym chciałem pogłówkować o Jasonie jego
Morrisie. W gruncie rzeczy miałem z nim problem. Po bogact
pierwsze, był bogaty, sławny i zaliczył prawie każdą wo.
laskę z Hollywood - imponująca lista osiągnięć, Jeśli
którymi ja, niestety, nie mogłem się poszczycić. No brało
cóż, życie nie jest sprawiedliwe i czas się z tym się te
pogodzić, Drummond. „Forbes” wycenił Morrisa na sprawy
cztery miliardy zielonych, a ja, zaglądając głęboko w zbyt
swoją duszę, musiałem przyznać, że jeśli ktoś zarobił serio,
tyle szmalu, to zasłużył na tyle kapitalistycznych tak jak
sprawności, że ma prawo pozwolić sobie na kilka fajb i Sally,
pałacyków. A gdyby moi pracownicy mieli na tym która
skorzystać, to ja też zdobyłbym się na poświęcenie i wiercił
zniósł weekend na egzotycznej wyspie z Jolie Jak-Jej- a się
Tam skaczącą wokół mnie w skąnym bikini. obok
Szlachectwo zobowiązuje, tak czy nie? mnie,

zżerana ambicją, to trudno. Ale on nie traktował ich aż tak poważnie. To mi imponuje.

Tekst na bardzo popularnej w okolicach Wall Street nalepce na zderzak brzmi: „Wygrywa ten, kto umrze z największą ilością zabawek”. *Au contraire* - według nieśmiertelnych słów Napoleona, wygrywa ten, kto ma największe bataliony. Kapitalistyczne świny powinny to sobie dobrze zapamiętać.

Jeśli idzie o Nasha, to zatrudnienie byłego sekretarza obrony po to, by zaklepać sobie kontrakt wojskowy, przekracza granice korporacyjnej głupoty. Bo wszyscy właśnie tego się spodziewają, prawda? A zgodnie z przewrotną logiką właśnie warto go zatrudnić, jako że głupota to najlepszy kamuflaż. Jednak ludzie rzadko bywają aż tak przebiegli.

Wreszcie musiałem się zastanowić nad śliskimi zagadnieniami etycznymi związanymi z całym tym baj ziem. Amerykańskie Stowarzyszenie Prawnicze dałoby mi za to klapsa, ale ja mam prostoduszną potrzebę moralnej jasności. Właśnie to lubię w prawie karnym: prawnicy wkraczają do akcji po fakcie, kiedy przestępstwo zostało dokonane, a oni spierają się tylko, na czyje konto je zapisać. W prawie korporacyjnym, jeśli twój klient postanawia przekroczyć cienką linię oddzielającą to, co legalne, od tego, co mniej legalne, ty też możesz trafić do kolejki. W podręczniku nazywa się to współudziałem i współsprawstwem w przestępstwie. Poza tym, wszystko to są rozgrywki białych kołnierzyków, w których zasady są mgliste i w sumie rzecz polega wyłącznie na tym, że jedni chciwi dranie żrą się o dolara z innymi chciwymi draniami.

Więc gdzie szukać moralnej jasności w sprawie oskarżenia Jasona? Czy w ogóle coś takiego istnieje? Po kilku minutach żonglowania w rozrzedzonym powietrzu przysłowiowymi za i przeciw, doszedłem do wniosku, że firma Morris Networks chce zapewnić wojsku ważną usługę za ułamek ceny zaproponowanej

przez konkurencję. Jeśli dzięki temu zostanie parę wolnych szekli na zakup, powiedzmy, czołgów i samolotów dla naszych chłopców i dziewcząt walczących w terenie, to można powiedzieć, że i wilk syty, i owca cała, zgadza się?

Ułożywszy to sobie w głowie, przeszedłem do drugiej wątpliwej kwestii zawodowej. Rano zadzwoniła Janet, a ja zgodziłem się spotkać z nią wieczorem i obejrzeć dokładnie mieszkanie Lisy. Nie miałem pojęcia, co spodziewa się znaleźć, o ile rzeczywiście było tam coś, co warte jest znalezienia. Z tonu jej głosu wywnioskowałem jednak, że bardzo jej na tym zależy - i na czasie też - dlatego odniosłem dziwne wrażenie, że Janet wie o czymś, o czym ja nie wiem.

Po tym pytaniu nieuchronnie musiało pojawić się drugie: Jakie miejsce zajmuje w jej planach Sean Drummond?

ROZDZIAŁ 14

Ostatni człowiek, którego spodziewałem się zastać w moim nowym gabinecie i którego bym chciał tam zastać, leżał rozwalony na skórzanej kanapie z nogami na stoliku, popijając espresso i oglądając w telewizorze *Sędzią Judy*.

Chorąży Spinelli podniósł głowę i zapytał:

— Jak było na Florydzie?

— Ciepło, za drogo i roilo się od starych pierdzieli. Co pan tu robi?

Spinelli wyłączył telewizor i się rozejrzał.

— Ładnie tu, co?

— Właściwie do kitu. Ale meble ładne.

— Rozpieszczają tu pana jak jasna cholera.

- Cóż, jestem najlepszy. Zasługuję na to.

Zachichotał.

- Nie będzie kłopotu z powrotem do domu, kiedy to się skończy?

Jeśli Spinelli w taki sposób wyobrażał sobie niezobowiązującą pogawędkę, to było to kiepskie wyobrażenie.

— Na pewno pytałem już, co pan tu robi?

Wzruszył ramionami i odstawił kawę.

— Słyszał pan kiedyś o Julii Cuthburt?

— Nigdy.

— Jest pan pewien?

- Jestem.

Wstał i podszedł do okna.

— Ładny widok, prawda?

— Pierwszorzędny. Jeśli jeszcze raz będę musiał zapytać, co pan tu robi, to poczuje pan czubek mojego buta w tyłku.

Spinelli nadal podziwiał widoki.

- Dzisiaj rano policja z dzielnicy Alexandria znalazła zwłoki panny Julii Cuthburt. W jej mieszkaniu. Napastowano ją seksualnie, okradziono i zabito.

- Ja tego nie zrobiłem. Mam świadków.

Spinelli odwrócił się do mnie.

— Ofiara miała dwadzieścia osiem lat, była samotna i pracowała jako dyplomowana księgowa w dużej firmie w mieście. Johnson i Smathers. Zanim skrecono jej kark, przeżyła długą, straszną godzinę.

— Kark...? W którą stronę odwrócona była głowa?

— W tę samą, co Lisy Morrow.

— Przyszedł pan, żeby zapytać mnie, czy istniał jakiś związek między nią i Lisa Morrow, tak?

— A istniał?

— Nie mam pojęcia.

Zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział:

— Dwie kobiety mniej więcej w tym samym wieku, samotne profesjonalistki, atrakcyjne. Podobne wizerunki ofiar... zabite w taki sam sposób...

— A napastowanie seksualne?

— Taak, myślałem o tym. Spróbujmy takiego scenariusza. Morderca czeka na Morrow na parkingu, próbuje wciągnąć ją do samochodu, ona się broni, grozi mu, a on postanawia pozbyć się kłopotu.

Skinąłem głową, ale nic nie powiedziałem. Spinelli uprawiał jakieś gierki, co mnie złościło. Goście

z CID w ogóle są małymi podstępными draniami. Dla niektórych to element roboty, garnitur, który muszą nosić, a jeśli wlejesz w nich dostateczną ilość piwa, to nawet przyznają, że ich to mierzi. Spinelli należał do tego drugiego rodzaju. Poza tym, ta wiadomość zaskoczyła

mnie i zaszokowała. Potrzebowałem dobrej chwili, by przyswoić ją emocjonalnie i intelektualnie, by wpasować śmierć Lisy w ten nowy kontekst, w nową perspektywę. Wcześniej wyobrażałem sobie wiele różnych scenariuszy i prawdopodobnych motywów. Listę otwierały zemsta, kradzież i zazdrość. Ale żaden z nich nie zakładał udziału nieznanego. Nie brałem pod uwagę, że Lisa mogła zostać wybrana przez jakiegoś maniaka, jak kartka z kapelusza.

Jednak sposób, w jaki zginęła, zgadzał się z moją skromną wiedzą o seryjnych zabójcach, którzy faktycznie polują na nieznane sobie ofiary, i z wyobrażeniem morderstwa jako aktu zrytualizowanego, osobistego, a nawet logicznego. Poza tym Lisa miała urodę, która wyróżniała ją z tłumu. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej logiczne się to wydawało. Była dzieckiem z plakatu dla seryjnych morderców i ich dziwacznych chuci, oni bowiem marzą o atrakcyjnych młodych kobietach, które same podróżują, żyją i chodzą na zakupy. Dzięki temu łatwo mogą paść ofiarą gwałtu i umrzeć w samotności.

— W porządku, rozumiem - mruknąłem. - Ale ta hipoteza wymaga ulepszenia.

— Jak to?

— Pan nie znał ofiary. Ja ją znałem. Lisa była doskonałą biegaczką. Poza tym była bardzo bystra i czujna, nie należała do tych, które opuszczają gardę. Jak zdołał się do niej zbliżyć na wystarczającą odległość? Dlaczego przed nim nie uciekła?

— Wzbudził jej zaufanie - zasugerował Spinelli. Pomyśleliśmy o tym przez chwilę.

— Może miał na sobie mundur? - podsunąłem.

— Może.

Chyba żaden z nas nie miał ochoty robić

następnego kroku w tym kierunku. Mundur wojskowy, zwłaszcza oficerski, wzbudza zaufanie i szacunek. Inni oficerowie, tacy jak Lisa, uważają go za symbol wspólnoty i braterstwa. Nawet dla cywilów, takich jak Julia Cuthbert, jest to oznaka cnoty, dojrzałości i profesjonalizmu. W mniejszym stopniu, lecz odnosi się to również do innych mundurów, na przykład policyjnych, a także doręczycieli

FedEx-u czy śmieciarzy. Uniform oznacza przynależność do organizacji, a to z kolei wiąże się z selektywnością i kontrolą, które to pojęcia wzbudzają zaufanie albo przynajmniej poczucie, że ma się do czynienia z czymś znanym i przyjaznym.

— Rozmawiał pan już z siostrą Lisy? - spytałem.

— Zamierzam to zrobić. Myślałem, że może pan wie, jak ją znaleźć.

Zerknąłem na zegarek.

- Mam się z nią spotkać za pół godziny. Może pan pójść ze mną, skoro ma pan ochotę.

Zaproponowałem mu to wyłącznie przez grzeczność, ale drań się zgodził. Jechaliśmy w milczeniu, bo jedyne pytanie, które chciałem mu zadać, brzmiało: W jaki sposób stałeś się takim palantem? A gdybym zapytał, on mógłby odpowiedzieć.

Janet czekała przed hotelem, za co byłem jej bardzo wdzięczny, bo w ten sposób oszczędzałem sześć dolarów za parkowanie. I choć pracowałem w bogatej firmie, jechałem droгим wozem i nosiłem drogie ubranie, wszystko to było opakowaniem pozbawionym treści.

Możecie domyślić się z tego, że postanowiłem zostać nieco dłużej z rozbójnikami z kancelarii Culper, Hutch i Westin. Chciałem tropić zabójcę Lisy. Gdyby wyrzucono mnie za złe zachowanie, Clapper wlepiłby mi parszywą robotę w jeszcze bardziej parszywym miejscu, a czego jak czego, ale tych dwóch rzeczy w armii nie brakuje. Jeśli chodzi o firmę, to rozpatrzenie kilku protestów nie mogło być aż tak czasochłonne, poza tym Barry i Sally wyprują sobie żyły, żeby zażegnać kizys u Jasona, wywalczyć uznanie, stanowiska wspólników i działkę w rocznym dochodzie. A sprytny mały Sean dojedzie na ich ogonkach do samej mety.

Poza tym słyszałem masę przychylnych komentarzy na temat mojej nowej garderoby.

Ale wracajmy do rzeczywistości. Janet zajrzała do samochodu, zobaczyła Spinellego i wsiadła.

- Cześć, Danny - powiedziała jak do kumpla, którego zna przez całe życie. - Jak się masz?

Spinelli wyszczerzył zęby.

- Zarobiony jak diabli. Mamy coś nowego w sprawie twojej siostry.

Przedstawił jej szczegóły i zapytał o drugą ofiarę. Janet odparła, że nigdy nie słyszała o Julii Cuthburt, ale owszem, związek ze śmiercią jej siostry jest prawdopodobny i sam się nasuwa.

Spinelli skierował wzrok na mnie i zapytał:

— Pamiętasz tego dupka Martina, którego poznałeś na parkingu?

— Dupek na parkingu? - Spojrzałem na niego. - A, taak. Tylko nie jestem pewien, czy nazywał się Martin.

Spinelli mruknął coś pod nosem, a potem odparł:

- Chce z tobą pogadać. Znasz drogę na komendę w Alexandrii?

Znałem drogę. Jazda upłynęła przyjemnie, bo Janet zajęła Spinellogo rozmową o życiu agenta CID. On chwalił się, ilu drani złapał i wsadził za kratki, a ona wyrażała swój podziw. Ego małego gnojka nadymało się jak balon.

Więc chyba jednak skłamałem: jazda nie była przyjemna.

Mimo to było dla mnie pouczające i budujące obserwowanie profesjonalisty przy pracy - to znaczy jej. Obecnie zdarza się dość często, że konusy albo, jak teraz się mówi, mężczyźni o wzroście poniżej średniej, miewają rozmaite kompleksy, od braku poczucia bezpieczeństwa do wybujałej, napoleońskiej megalomanii. Peany na własną cześć, śpiewane przez Spinellogo, świadczyły o tym, że plasował się gdzieś w tym spektrum. Odniosłem wrażenie, że panna Morrow po naszym pierwszym, trudnym spotkaniu ze Spinellim trochę się nad nim zastanowiła i wybrała strategię

zdobycia jego serca i umysłu. Nawiasem mówiąc, uwielbiam kobiety umiejące knuć i manipulować. Poza tym, jak już wspomniałem, miała wspaniałe nogi.

Tak czy owak w końcu dotarliśmy do komendy i okazało się, że Spinelli wie, którądy iść. Trafiliśmy do dużej sali, wyglądającej jak biuro detektywów, z mniej więcej dwudziestoma drewnianymi biurkami. Przy połowie z nich siedzieli jacyś faceci. Jedni kogoś przesłuchiwali, inni rozmawiali przez telefon, a jeszcze inni jedli kolację z torebek.

Zauważyłem, że w zasięgu wzroku nigdzie nie ma pączków, co mogłoby świadczyć o tym, że trafiliśmy w niewłaściwe miejsce. Spinelli nie uznał tego za śmieszne. Może faktycznie takie nie było.

Weszliśmy do przeszklonego biura na tyłach sali. Porucznik Martin wygonił dwóch detektywów. Przez chwilę mierzyli się ze Spinellim niepewnym wzrokiem, a potem Martin powiedział do mnie:

— Miło pana znów widzieć, majorze. A to panna Morrow, jak przypuszczam?

— Proszę mi mówić po imieniu. Janet. - Podała mu wizytówkę, którą porucznik szybko przeczytał i schował do kieszeni.

Później zapytał, czy wiemy, dlaczego się u niego znaleźliśmy. Powiedzieliśmy, że tak, więc rzekł:

- To dobrze. Usiądźmy.

Wziął z biurka zdjęcie i podał Spinellemu, który podał je mnie; zerknąwszy szybko, przekazałem zdjęcie Janet. Ona zaś nikomu go nie oddała, tylko przyglądała się uważnie przez prawie pół minuty. Jej oczy zwężyły się, lecz wydawało mi się, że jest emocjonalnie oderwana od tego, na co patrzy. Nie spodziewałem się, że zwymiotuje lub coś w tym rodzaju, ale cichy jęk bądź zmarszczenie czoła byłyby jak najbardziej na miejscu.

Czarno-białe zdjęcie przedstawiało nagie ciało opierające się na łokciach i kolanach, ze sterczącymi w górę, obnażonymi pośladkami. Ręce i stopy były związane, a głowa przekręcona okropnie w tył, tak że twarz widoczna była nad prawym ramieniem. Kobieta klęczała na dywanie, a obok stał stolik ze stosem kolorowych magazynów. Rzecz jasna, panna Cuthburt nie została zamordowana w takiej pozycji. Znowu przyszło mi do głowy, że morderca upozował w ten obsceniczny sposób zwłoki, by pokazać policji, że sobie z niej kpi. Ofiarą była młoda brunetka, posiniaczona w wielu miejscach, a jej twarz stanowiła istne studium przerażenia.

— Nie znam jej - oznajmiła Janet porucznikowi Martinowi, rzucając zdjęcie na biurko.

— Ani ja - powiedziałem.

— Proszę spojrzeć na to. - Podał nam drugie zdjęcie, kolorowe, w mosiężnej ramce, przedstawiające młodą kobietę w toczce, ściskającą w dłoniach dyplom. Stała między mamą i tatą, którzy puszyli się z dumy i pewnie snuli marzenia o wspaniałej przyszłości córki. Najwyraźniej Martin zgarnął tę fotkę z mieszkania panny Cuthburt. Ale komu to mogło przeszkadzać? Jej na pewno nie.

Julia Cuthburt nie była oszałamiająco piękna, ale na pewno ładna. Była szczupła i miała kremową skórę. Jak na mój gust, sprawiała wrażenie trochę nieobecnej myślami i naiwnej. Miała wygląd dziewczyny prosto z farmy, którego alfonsi szukają na twarzach młodych uciekinerek z domu, błakających się na stacjach benzynowych. Następny przystanek nazywa się koszmar. Dlaczego niewinny wygląd prawie zawsze jest zaproszeniem dla zła?

— Nie znam tej dziewczyny - powtórzyła Janet, a ja skinąłem głową na znak, że mogę powiedzieć to

samo.

— Przepraszam, że państwa tu ściągnąłem - rzekł Martin. - I za to - dodał, wskazując fotografię. - Ale musiałem się upewnić.

— Nic nie szkodzi - zapewniła Janet. - Jestem tu po to, żeby pomóc, jeśli tylko mogę. Kiedy zginęła?

— Wczoraj około godziny dwudziestej pierwszej. - Martin popatrzył na zdjęcie panny Cuthburt. - Wynikł jakiś problem z hydrauliką, więc właściciel mieszkania zajrzał tam rano.

— To wskazuje, że zabójca wiedział, gdzie mieszkała ofiara - zauważyła Janet. - Może samochód Lisy też znał?

— Niech pani nie zakłada, że to ten sam człowiek.

— Ale pan tak uważa, prawda?

— Proszę nie naciągać podobieństw. - Westchnął i potarł czoło. - Jakikolwiek wnioski na tym etapie są przedwczesne.

Co w policyjnym żargonie oznacza: „Tak, to ten sam facet”. Martin wyglądał mi na porządnego i uczciwego gościa, a jego

kontrolowana małomówność, lub, by użyć cywilnego języka, ordynarna bujda, były zrozumiałe. Jeśli publika dowie się, że po ulicach grasuje morderca, maniak seksualny, robota Martina stanie się sto razy trudniejsza.

— Jakież dowody w mieszkaniu ofiary? - chciała wiedzieć Janet.

— To właśnie jest dziwne - odparł Martin. - Zabójca posprzątał po sobie. Powycierał stoliki, a nawet odkurzył podłogę. Ale technicy znaleźli jakieś włókna i substancje świadczące o dokonaniu gwałtu, to znaczy nasienie, mówiąc wprost, i cząsteczki wyprawionej skóry pod paznokciami ofiary. Laboratorium prowadzi badania. Za kilka dni będziemy mieli jego DNA, a potem zaczniemy szukać odpowiedników.

Janet zerknęła w stronę Spinellego.

— Więc miał rękawiczki?

— Tak - odparł Martin. - Ze skóry jelenia. - Bingo.

— A wy oczywiście przekażecie FBI wyniki z laboratorium? - upewniłem się.

— To standardowa procedura w takich przypadkach.

— Czy gwałt był tylko waginalny? - spytała Janet.

— Nie jesteśmy pewni. Próbki z otworów ciała są w laboratorium. - Martin wskazał zdjęcie. - Nasienie było na jej plecach. Dokładnie w tym miejscu.

— Co może wskazywać, że gwałticiel onanizował się nad nią? - zasugerowała Janet. - A może doszło do mimowolnego wytrysku?

— Lub kropla spermy skapnęła albo gwałticiel nie trafił. Wytłumaczenia można mnożyć. Dowiemy się po zakończeniu badań.

— A tymczasem mamy dwa morderstwa w ciągu trzech dni - zauważyłem. - Napady zdarzyły się mniej więcej o tej samej porze, a skręcona szyja i rękawiczki z jeleniej skóry wskazują, że sprawcą jest ten sam człowiek.

— To poszlaki - zaznaczył Martin. - Jeszcze za wcześnie, by wyciągać wnioski.

— A wszystko to wskazuje - ciągnąłem - na pewien

schemat, którego kontynuacja może być paskudna. Zabójca wyruszył na łów. Możliwe, że następne ofiary już czekają w kolejce...

— Nie ma powodu... - zaczął Martin.

— A jeśli jest potworem o ustalonych nawykach - przerwałem mu - a dwudziesta pierwsza jest jego ulubioną godziną, to mniej więcej za pół godziny dojdzie do kolejnej odsłony spektaklu.

— To nie może wyjść poza ściany tego biura - powiedział Spinelli, który zachowywał się wyjątkowo cicho.

- Chyba że morderca postanowi inaczej - zauważyłem.

Sądząc ze spojrzeń, które wymieniali Spinelli i Martin, odbyli już podobną rozmowę. Jeśli zginie następna kobieta, trzeba będzie zawiadomić opinię publiczną i zacznie się zabawa: samotne kobiety dostaną kręćka, politycy uderzą w bębny, federalniacy wkroczą do akcji, zostaną utworzone specjalne oddziały, co godzina będą się odbywały konferencje prasowe, a skołowani gliniarze będą się starali robić pewne miny, co prawie zawsze świadczy o tym, że nie mają żadnego tropu. Janet podeszła do biurka, wzięła zdjęcie i przyjrzała mu się jeszcze raz.

— Jak dostał się do jej mieszkania? Spinelli podrapał się po nosie.

— Sforsował zamki.

— Możesz powiedzieć coś więcej?

— Panna Cuthburt miała dwa zamki. Zastosował specjalne narzędzie, żeby otworzyć masywny zamek... a łańcuch przeciął nożycami.

— Dziękuję - powiedziała Janet, a następnie zapytała inteligentnie: - A jak sprawił, że nie krzyczała?

— Za pomocą kagańca - odparł Martin. - Takiego jak dla psa, tylko lekko zmodyfikowanego, z

paskiem na gardło i częścią wsuwaną do ust. Zabójca wykazuje skłonność do seksualnego zniewalania ofiary, upokarzania, a możliwe, że również sadyzmu. Rano psycholog z FBI zajmie się analizowaniem tego przypadku.

Janet rzuciła zdjęcie na biurko i stwierdziła:

— Trafił wam się najgorszy możliwy koszmar.

— A to dlaczego? - spytał Spinełli, choć podejrzewam, że już wiedział.

— W obu miejscach zbrodni sprawca zostawił bardzo skąpe dowody. Nosił rękawiczki, żebyście nie mogli dopasować jego odcisków, dając do zrozumienia, że to dla niego ważne. Wiedział, że zbadacie jego DNA, więc wykazuje pewność, że nie ma go w waszej bazie danych ani w bazie FBI. Nie znajdziecie go też pewnie w bazach przestępców seksualnych. Ale jego odciski palców mogą być w kartotece. Powinniście się zastanowić, co to oznacza.

— Może jest po prostu głupi - wzruszył ramionami Spinełli.

— Wiesz, że nie jest.

— Naprawdę?

— Danny, ten facet działa według planu. Dokonuje rozpoznania ofiar i się przygotowuje. Jakoś udaje mu się do nich zbliżyć. Zabiera ze sobą zestaw narzędzi do seksualnego dręczenia ofiar i wie, jak się nimi posługiwać. To seksualny łowca, lecz kiedy ofiara krzyżuje mu plany, wyłącza odruchy pożądania i kończy sprawę na zimno.

— A co z tego wynika?

— Że już to wcześniej robił. A umiejętność kontrolowania żądz musi martwić. - Janet zrobiła krótką pauzę. - Niewielu się takich spotyka.

Imponujący pokaz dedukcji. Obaj gliniarze kiwali z uznaniem głowami. Ja też byłem pod wrażeniem. Ale byłem też zdumiony, i to bardzo. Gdybyście zapomnieli: trzy dni temu została zamordowana jej siostra, a ona pojawia się, opanowana i zimna jak lód, i wślizguje się do ekipy dochodzeniowej. A teraz z profesjonalną wprawą snuje

hipotezy na temat człowieka, który być może zamordował brutalnie jej siostrę. Trzyma emocje na wodzy, a jej mózg pracuje pełną parą.

Dziwne, co? Ano, dziwne.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stało za nimi trzech znie-

cierpliwionych detektywów, którzy czekali na nasze wyjście. Spełniłmy swoje zadanie, a tego wieczoru policjanci z dzielnicy Alexandria, oprócz zwykłych kłopotów i koszmarów, mieli na głowie zabójstwa dwóch kobiet, dokonane przez maniaka. Martin i Spinelli bez wątpienia stali nad przepaścią.

Wyszliśmy więc, zostawiając Martina ze Spinellim. Nie uważałem, żebyśmy wyświadczyli temu pierwszemu przysługę.

— Jadłaś już? - spytałem, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz.

— Nie. I umieram z głodu. - Opatuliła się mocno płaszczem. Drżała. Było zimno, ale nie aż tak.

— Ja też. Znam idealne miejsce.

Prawdę powiedziawszy, zdjęcie Julii Cuthburt zepsuło mi apetyt. Wszyscy pracujący w komendzie policji starają się traktować takie sprawy lekko i bez wrażliwości. Częściowo to zasługa idiotycznego kultu macho, ale prawdą jest też, że emocje przeszkadzają logice - a właśnie za pomocą logiki rozwiązuje się zagadki kryminalne - więc ludzie na wyścigi narzucają sobie schemat dyskusji akademickiej. Wszystko to blaga. Myślę, że każde z nas wyobrażało sobie ostatnią godzinę życia Julii Cuthburt i mózgi trochę nam się lasowały. Zabójca zmienił żywą istotę z bijącym sercem w wulgarną wizytówkę krzyczącą: „Pieprzyć was”, „Jestem tutaj”, „Macie do czynienia z mistrzem”, i „Jeszcze nie skończyłem”.

Musieliśmy zatem wypuścić z siebie napięcie i oczyścić umysły, a ja znałem świetny lokal z ceglanyimi piecami, prawdziwą pizzą i niezłym wyborem substancji zatykających arterie. Krótka jazda upłynęła nam w pogodnym nastroju.

Bertolucci, nawiasem mówiąc, to popularna restauracja, z klimatem, choć niektórzy uważają, że

wystrój jest przerysowany: na ścianach namalowani są goście w śmiesznych wdziankach, zasuwający gondolami, weneckie pałace i ziejące ogniem wulkany - w sumie kolaż z innego świata, innych okolic, ale tak obłąkańczo śmieszny, że prawie spełnia swoje zadanie. Lecz tak jak wszystko na przedmieściach, jest częścią pasażu handlowego. Do tego kelnerzy i kelnerki mówią do siebie

z kretyńskim, niedowarżonym włoskim akcentem i przedstawiają się jako Dom Jakiś-Tam, Dom Jakiś-Tam-Inny, co jest jeszcze śmieszniejsze, bo są to miejscowe nastolatki o nazwiskach w rodzaju O'Donnell albo Smith, Możliwe tylko w Ameryce. Ale było późno i typowa klientela złożona z całych rodzin przeredziła się, więc nie było ani kolejki, ani rozwrzeszczanych bachorów, dzięki czemu dostaliśmy przyjemny stolik koło kominka z huczącym ogniem.

Siadając, zamówiłem butelkę wina. Przyszedł jakiś chłopak i powiada:

- *Buon giorno*, nazywam się Dom Jimmy Jones i dzisiejszego wieczoru będę państwa kelnerem i sommelierem. - Odkorkował flaszkę, nalał wina do kieliszków i oddalił się, by przy innym stoliku odegrać ten sam Disneyowski numer. Przynajmniej pizza była prawdziwa.

Janet upiła kilka długich łyków wina i zapytała:

— Co myślisz o Julii Cuthburt?

— W śmierci nie ma ani krzty godności.

— Wiem, że to zabrzmie dziwnie - powiedziała szybko - ale może Lisa miała szczęście. Gdyby nie zmusiła go do pośpiechu...

— Tak, wiem.

— Nie zniosłabym, gdyby zginęła w taki sposób.

— Amen.

— Zgraja obcych siedzi i ogląda jej zdjęcie... obnażonej... Sposób, w jaki Julia została upozowana...

— Napij się wina i śnij, że jesteś w Italii. Janet upiła następny łyk. Po chwili spytała:

— Miałeś kiedyś do czynienia z taką sprawą?

— Nie. Nasi seryjni mordercy mają kufry pełne orderów i nazywa się ich bohaterami. Niektórzy nasi absolwenci stają się sławni po odejściu ze służby, lecz życie w wojsku zniechęca do realizowania takich

fantazji.

— Ale prowadziłeś sprawy związane z gwałtami
i przestępstwami na tle seksualnym?

— Tak. Kilka.

— A Lisa?

— Przypuszczalnie. Korpus JAG lubi wszechstronność. Podejmuje się szeroko zakrojone starania, żeby poszerzać nasze doświadczenie procesowe.

— Czy Lisa mogła brać udział w sprawie, w którą zamieszany był morderca?

Było to przenikliwe pytanie, na które sam powinienem być wpaść.

— Nie wykluczałbym tego. Na pewno nie miała do czynienia z wieloma takimi sprawami, bo w wojsku na ogół popełnia się przestępstwa innego rodzaju. Nie powinno być trudności ze sprawdzeniem jej akt.

— To mogłoby pomóc.

— A może nie. Nawet gdyby Lisa i jej zabójca spotkali się na gruncie zawodowym, to niekoniecznie musiało chodzić o przestępstwo seksualne.

— Co masz na myśli?

— Znasz się na portretach psychologicznych przestępców. Ci, którzy dopuszczają się morderstw i gwałtów, gardzą wszelkim prawem. Taki człowiek mógł być ścigany za jazdę pod wpływem alkoholu, kradzież w sklepie, kłopoty dyscyplinarne w wojsku. Przejrzę jej akta pod kątem przestępstw seksualnych, ale nie rób sobie wielkich nadziei. - Ale ponieważ poruszyła tę kwestię, dodałem: - Teraz, kiedy wszystko wskazuje na to, że Lisa zginęła z rąk seryjnego mordercy, ty i ja chyba niewiele możemy zdziałać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wiesz, co chcę powiedzieć. Typowe motywy, takie jak zazdrość, chciwość, zemsta czy tuszowanie jakiejś ciemnej sprawy, zostały wyeliminowane. Nie jest już tajemnicą, dlaczego została zamordowana. Schwywanie seryjnego mordercy wymaga zdecydowanych działań policji zgodnych z

odpowiednimi procedurami.

— Sugerujesz, żebym pojechała do domu?

— Tak. Oddaj się żałobie razem z rodziną. I czekaj, aż policja złapie tego łotra.

Popatrzyła na mnie przez kilka sekund, a potem spytała:

— A jeśli to nie był seryjny morderca?

— Czyżbym się przesłyszała? Czy to nie ty zasypałaś Martina i Spinellogo hipotezami na temat mordercy?

— A jeśli są błędne?

— Ale wierzyłaś w nie.

— Nie słuchałaś uważnie. Ani wierzyłam, ani nie wierzyłam. Spekulowałam.

— W porządku. Masz powód, żeby podejrzewać kogoś innego?

— Mam otwarty umysł.

Nic nie odpowiedziałem, więc ciągnęła:

- Zwróć uwagę na różnice między morderstwami Lisy i Julii Cuthburt. W przypadku Julii był to bez wątpienia mord na tle seksualnym. Zakładamy, że takim samym motywem kierował się zabójca Lisy. Cuthburt została napadnięta w domu, a Lisa na publicznym parkingu. Mogłabym wymieniać dalej. - Zrobiła pauzę, a potem dodała: - Właściwie jedynymi podobieństwami były fragmenty wizerunków psychologicznych ofiar i skręcony kark. A to mógł być zbieg okoliczności.

Miała rację, ale nie brzmiało to przekonująco.

— Wydaje mi się, że asystentka prokuratora okręgowego powinna mieć zaufanie do gliniarzy.

— Czyżby? Ta praca pozwoliła mi zostać ekspertem od ich pomyłek. Przegrałam przez nie mnóstwo spraw. Poza tym policjanci są tylko ludźmi. Kiedy żywy człowiek śledzi codziennie postęp w śledztwie, mocniej naciskają na gaz i zwracają uwagę na szczegóły.

No dobra, zgodziłem się z jej logiką. Jeśli przez kilka lat wykorzystujesz błędy gliniarzy jako obrońca

albo starasz sieje maskować jako oskarżyciel, jest pewne jak w banku, że będziesz zamykał drzwi na zamek i spał z gnatem pod poduszką. Jednak prawda i szczerść to dwie różne rzeczy.

Dom Jimmy Jones zjawił się z naszą pizzą i okropnym włoskim akcentem, który wziął z *Ojca chrzestnego* albo innego filmu.

Powiedziałem:

-*Grazie*. - Chłopak spojrzał na mnie, zdezorientowany. - Dziękuję - poprawiłem się. *Mamma mia* - witajcie na przedmieściach.

Janet się roześmiała.

— Może to przez twoją wymowę.

— Nic dziwnego, że we Włoszech czułem się beznadziejnie. Nawiasem mówiąc, byłem tam z twoją siostrą.

— Chyba nigdy o tym nie wspominała.

— To było parę lat temu. Zbieraliśmy zeznania żołnierzy, których trzymano tam w areszcie.

— Ach, w związku z Kosowem. Tak, rzeczywiście mówiła. Zadzwoiła zaraz po powrocie. Zrobiłaś na niej kolosalne wrażenie.

— Kolosalne?

— Tak się mówi w kręgach bostońskiej socjety. To znaczy...

— Wiem, co to znaczy. Co jeszcze ci o mnie powiedziała?

— Wszystko? Dobre, złe i okropne? Uśmiechnąłem się.

— Mam silne ego.

— To zabawne, ale o tym właśnie wspomniała na samym początku. Nie, powiedziała, że masz wybujałe ego.

— Dobre, złe i okropne. Zaczęłaś od dobrego.

— Tak. - Roześmiała się i był to pierwszy szczerzy śmiech od chwili, gdy się poznaliśmy. Nie chcę przez to powiedzieć, że była ponura, zgryźliwa czy coś w tym rodzaju - umiała marszczyć czoło i ładnie przy tym wyglądać. Ale ukrywała swoje uczucia, tłumiła żal po to, by osiągnąć cel, który sobie postawiła. Mimo to czuło się, że pod spodem sprawy mają się krucho.

Ucieszyłem się, że przyprowadziłem ją do tego lokalu.
Choć przez jakiś czas będzie myślała o czymś innym.
Byłem prawie pewny, że ją lubię.

— Lisa przedstawiła cię jako kawał
mężczyzny, który przy śniadaniu tryska
testosteronem... Uparciucha, mającego poważne
kłopoty z przełożonymi... Mam mówić dalej?

— Zdawało mi się, że zrobiłem na niej
wrażenie... Jakiego to słowa użyłaś?

— Kolosalne. Powiedziała też, że jesteś bystry, inteligentny, seksowny i bardzo zabawny mimo woli.

— Co to znaczy?

— Trudno wyjaśnić. Ale chyba wiem, co miała na myśli. - Spojrzała na mnie znacząco i spytała: - Dlaczego nie zaprosiłeś jej na randkę?

— Miałem wiele powodów.

— Jasne. Podaj mi jeden, ale dobry.

— Po Bośni była długa sprawa w Korei, trzy w Europie, a potem taka, która na długo zatrzymała mnie w Rosji. I tak dalej, i tak dalej. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale życie w wojsku nie sprzyja związkom.

— Oczywiście. Wymyśliłeś już dobry powód? No właśnie. Milczałem kilka sekund, a potem wyznałem:

— Twoja siostra napędzała mi diabelnego stracha. Janet odstawiła kieliszek i popatrzyła na mnie uważnie.

— Dlaczego?

— Znasz powód.

— Chcę go usłyszeć. - Ale już go znała. Roześmiała się. - Może nie jesteś tak odważny, jak twierdziła Lisa.

— Nie widzę pierścionka zaręczynowego na twoim palcu, siostró.

— Mam wymówkę.

— Jaką mianowicie?

— Jestem o wiele młodsza od ciebie. - Znow się roześmiała. - Powinieneś był zaprosić ją na randkę. Związała się z innym mężczyzną. Nie byliśmy z tego powodu zbyt szczęśliwi.

— Na czym polegał jego problem?

— Problemy. Starszy, wcześniej dwa razy

żonaty... czarujący, człowiek sukcesu, zdecydowanie nie dla niej. Mój ojciec nie przespał ze zmartwienia wielu nocy.

Z jakiegoś powodu, może z poczucia winy albo z chęci, by przestać mówić o zmarłych i zacząć o żywych, spytałem:

— A jaka jest twoja opowieść? Chyba rozbawiło ją to pytanie.

— Taka sama, jak Lisy.

— Wiem, że byłyście siostrami, ale...

— Nie, Sean. Historie naszego życia są prawie identyczne, w dosłownym sensie. Urodziłyśmy się w odstępie jedenastu miesięcy, jak irlandzkie bliźniaczki. A mimo to przysięgłbyś, że wyskoczyłyśmy z tego samego jajka. Ten sam wzrost, rozmiar ubrań, gusty, stopnie na tych samych kursach... Może zauważyłeś, że nawet mówimy podobnie? Wszystko robiłyśmy razem. Ona była gwiazdą bieżni i ja też. Ona chodziła do szkoły dla dziewcząt, ja chodziłam z nią. Potem ten sam uniwersytet i wydział prawa na Harvardzie.

— Coś podobnego.

— Miałam ciemniejsze włosy, a ona wyprzedzała mnie o rok, więc nazywano mnie jej cieniem. Wiem, że to brzmi dziwnie. Byłyśmy siostrami, ale łączyło nas jeszcze więcej.

— Tęsknisz za nią.

- Ten drań wyrwał mi serce. Tak jakby zabił mnie.

Milczałem. To, co powiedziała Janet, wyjaśniało jej obecność tutaj, dawało wyobrażenie o skali jej emocjonalnego zaangażowania.

Przypomniawszy sobie, że przyszliśmy na tę kolację, by oderwać się od poważnych spraw, spytałem:

- Skoro mowa o podobieństwach... czy podobali wam się ci sami mężczyźni?

— Nie. Biedną Lisę zawsze pociągali wariaci i dziwolągi. Ciekawe.

— Więc nigdy nie kłóciłyście się o chłopaków?

— Prawdę mówiąc, jeszcze do niedawna byłam z kimś poważnie związana.

— I co się stało?

— Stara historia. Pomieszanie spraw zawodowych z uczuciowymi. Po prostu nie wyszło i

już.

— Inny prawnik?

— Ma dyplom prawnika, ale nie praktykuje.

Pracował w FBI. Poznałam go przed paroma laty, zamieszkaliśmy razem, zaręczyliśmy się... - Odgarnęła kosmyk włosów z czoła. - Lepiej, żebyś tego nie wiedział.

— Zadałem zbyt osobiste pytanie?

— Nie. To taka pospolita historia.

— Te rzeczy nigdy nie są pospolite. Co się stało?

— George był gwiazdą bostońskiej placówki FBI. Szybkie awanse, szuflada pełna pochwał, naprawdę przebojowy facet. Pracowaliśmy przy tej samej sprawie, chodziło o morderstwa mafijne. George rozbił grupę i przygotował materiał. Ja wkroczyłam do akcji dopiero na etapie oskarżenia, to była moja pierwsza ważna sprawa. Potrzebowałam pomocy, a on mnie przeprowadził od początku do końca.

— Słucham dalej.

:- Byłam w nim szaleńczo zakochana. Żyliśmy razem przez trzy lata. - Odwróciła głowę. - To ja zerwałam.

— Dlaczego?

— Pracowaliśmy przy następnej sprawie i nie wyszło.

— Twój problem czy jego?

— George był bardzo ambitny - wyjaśniła Janet po chwili milczenia. - Im więcej mu się udawało, tym ambitniejszy się stawał. Wiesz, jak to jest?

— Zdarza się niektórym.

— Pracował nad tą sprawą przez rok. Burmistrz i zwierzchnicy George'a wywierali na niego ogromny nacisk, żeby zakończył śledztwo. Kradzież samochodów stanowi poważny problem w Bostonie, wszyscy za to płacą wysokimi stawkami ubezpieczeniowymi. W tym przypadku za kradzieżami stała olbrzymia międzystanowa szajka złodziei. Ten, kto doprowadziłby do jej rozbicia i skazania, zostałby bohaterem. George zdołał jakos dotrzeć do wnętrza siatki, potraktował sprawę jak spisek i za pośrednictwem jednego informatora zdobył drugiego.

Na moim biurku wylądował plik oskarżeń, które miały trafić przed wielką ławę przysięgłych.

Skinąłem głową, ale Janet nie oczekiwała komentarza, więc milczałem.

- Siatka była rozbudowana, kilkuset ludzi, od szczeniaków z ulicy, którzy podprowadzali samochody, przez dziuple aż do milionerów kontrolujących całość. Skontaktowało się ze mną

paru adwokatów. Powiedzieli, że George złamał zasady, że materiały dowodowe, które im przekazano, są niepełne, gdyż niektóre kluczowe dowody zostały zatajone. Mówili o wymuszaniu zeznań, brutalności i być może nieautoryzowanym podsłuchu. Zebrało się tego tyle, że musiałam pójść do George'a i go zapytać. Twierdził, że obrońcy łąą. Aleja znałam George'a: to on kłamał. Nazajutrz z jego biura zadzwoniono do prokuratury okręgowej i poproszono prokuratora, żeby odsunął mnie od sprawy, bo nie wykazywałam dość entuzjazmu i zaangażowania.

— I twój szef to kupił?

— Kupił tę część, która sprowadzała się do tego, że żaden prokurator okręgowy nie odniesie sukcesu bez pełnego i przyjaznego poparcia lokalnego biura FBI. Poza tym to była gorąca sprawa. Chciał zebrać punkty za obniżkę rat ubezpieczeniowych.

— Przykro mi.

— No cóż, wielka ława przysięgłych potwierdziła zarzuty, a George dostał awans i przeniesienie do kwatery głównej FBI.

— Kiedy to się stało?

— Jakies pół roku temu.

— Co mu powiedziałaś później?

— Nic nie powiedziałam. O dziwo, wciąż byłam w nim zakochana i nie wiedziałam, czy sobie poradzę, kiedy stanę z nim oko w oko. Zostawiłam mu kartkę, wyprowadziłam się i wzięłam sobie miesięczny urlop. Kiedy do mnie dzwonił, odkładałam słuchawkę.

— Oczyszczające rozwiązanie takich spraw polega na tym, że trzeba temu drugiemu spojrzeć w oczy i odesłać do diabła.

Janet się uśmiechnęła.

- Następnym razem zadzwonię do ciebie i zapytam, jak to załatwić.

Unikanie trudnych tematów wychodziło mi
średnio, więc spróbowałem jeszcze raz:

- Czemu nie poszłaś w ślady Lisy i nie wstąpiłaś
do korpusu JAG?

-Nawet o tym myślałam. Ale ojciec się starzeje, najmłodsza siostra właśnie zaczynała liceum, mama nie żyje... Rozumiesz? Ktoś musiał zostać w pobliżu. Kiedy dorastałyśmy, to Lisa dźwigała największe ciężary. Przyszła jej kolej, żeby pójść w świat za swoimi snami.

Czasem w trakcie przyjemnej rozmowy padnie niepozorne zdanie, które wcale nie jest niepozorne. Chyba oboje uzmysłowiliśmy sobie nieprzyjemną, bolesną prawdę, że sny Lisy zakończyły się koszmarem. W tym momencie nastrój zginął gwałtowną śmiercią.

Janet wypić kilka łyków wina, ja też. Unikaliśmy nawzajem swojego wzroku.

Wreszcie powiedziałem:

— Janet, przyznaj się szczerze, jaki masz interes w złapaniu tego człowieka?

— Czy chodzi mi o sprawiedliwość, czy o zemstę? - Skinąłem głową. - Pracuję w wymiarze sprawiedliwości. Jestem częścią systemu i wierzę w niego, wierzę we wszystko, co za nim stoi.

— Przyjmuję to z ulgą. Nie chciałbym usłyszeć innej odpowiedzi.

Oboje wypowiedzieliśmy właściwe słowa. Według mnie, sprawiedliwość polega na zemście, zwłaszcza jeśli uda się posadzić tyłek zabójcy na parzącej desce. Ale nie byłem pewien, czy Janet odpowiada ten porządek. Zajęliśmy się jedzeniem pizzy i niezobowiązującą pogawędką, lecz nastroju nie udało się wskrzesić. Wreszcie taca była pusta i zjawił się Dom Jimmy Jones, żeby zabrać brudne naczynia i przedstawić nam rachunek.

— Odwiozę cię do hotelu - zaproponowałem po wyjściu z restauracji.

— Jeszcze nie - odparła Lisa. - Chciałam

najpierw przeszukać mieszkanie Lisy.

— Co takiego?

— To niedaleko. Chciałabym je teraz przeszukać.

— Myślałem, że uzgodniliśmy, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

— A ja myślałam, że zgodziliśmy się, że są to spekulacje. Tamten wątek zbadają Martin i Spinelli.

— Przetłumacz mi to.

— Podejmujemy kroki zapobiegawcze.

— Zapobiegawcze?

— Tak. Ktoś powinien przynajmniej wziąć pod uwagę inne motywy i możliwości.

To było diabelnie niejasne. Zacząłem się zastanawiać, czy Janet Morrow wie coś, czym jeszcze się ze mną nie podzieliła. Czy ma jakieś istotne powody, by podejrzewać, że znane nam do tej pory fakty są niepełne.

Jeśli tak, to z jakiejś przyczyny nie powiedziała mi o tych powodach. Było to dziwne, ale spędziłem z tą damą dość czasu, by wiedzieć, że gra według własnych reguł. Krótko mówiąc, jeśli chciałem dotrzeć do dna tej sprawy, musiałem jechać na wózku Janet. To zaś przywiodło mi na myśl stare porzekadło: Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Ale ja jestem piekielnie sprytny. Z pewnością nic mi nie groziło.

ROZDZIAŁ 15

Dozorca kompleksu, w którym znajdowało się mieszkanie Lisy, miał na imię Felix. Lisa mieszkała w przyjemnej, lecz ogromnej i poszatkwanej dzielnicy szeregowców w Alexandrii, kilka zakrętów od zjazdu z autostrady między stanowej 395 w Duke Street. Kompleks wyglądał nowocześnie, miał może z piętnaście lat, czysty, zadbane i dobrze utrzymany. Doskonały punkt startu dla ambitnych, pnących się w górę profesjonalistów. Roilo się tu od saabów i volvo, rosło dużo drzew i krzewów, a gdyby to nie był grudzień, dzielnica tętniłaby ufryzowaną urodą i mnóstwem roześmianych japiszonów, obracających szaszłyki na grillach za domami.

Pokazałem rozkaz mianujący mnie oficerem opiekuńczym, a Janet mignęła identyfikatorem świadczącym, że jest siostrą ofiary. Felix, życzliwie nastawiony, wpuścił nas do mieszkania Lisy. Wyglądał, nawiasem mówiąc, jak stara świeca zapłonowa i miał aparycję byłego boksera o niezbornych, ślamazarnych ruchach, który dostał więcej ciosów, niż zadał.

Przeszliśmy kilka metrów z Feliksem, kierując się w stronę szeregowca Lisy.

— Wie pani co, pani siostra to była wyjątkowa. Naprawdę urocza babka, jak słowo daję - powiedział Felix.

— Dziękuję.

Felix wydawał się niepokieszony.

— Kolegowaliśmy się.

— Och, nie wiedziałam. Nie wiedzieliśmy, jak Lisa tutaj żyje. Zwykle to ona przyjeżdżała, żeby nas odwiedzić.

— Taak, wiem. Zawsze miałem oko na mieszkanie, kiedy jej nie było. Wszyscy ją tutaj lubili, wie pani. Naprawdę lubiana dziewczyna. - Po chwili zastanowienia spytał: - Będzie pogrzeb?

— Tak. Ale jeszcze nie zdecydowaliśmy gdzie.
- Pani o mnie pamięta, dobra?

— Będę pamiętała, panie Feliksie. Przeszliśmy kawałek w milczeniu.

- Zapraszała mnie na grilla, jak była pogoda – mówił Felix. - Większość mieszkańców... Odzywają się tylko, jak mają skargi, wie pani. Zawsze byłem za to wdzięczny Lisie.

Była naprawdę wyjątkowa.

Janet uśmiechnęła się ciepło.

- Pan też musiał być dla niej kimś wyjątkowym.

Felix wyszczerzył zęby, popatrzył na swoje wielkie stopy i zaprowadził nas do drzwi mieszkania Lisy. Wydobył z kieszeni pęk kluczy, popatrzył na nie i wybrał jeden. Wsunął klucz do dziurki i spróbował przekręcić. Na próżno.

Pochylił się i obejrzał uważnie klucz.

— Nie kapuję. To dobry klucz.

— Może zmieniła zamek - podpowiedziałem.
Pokręcił głową.

- Otworzyłem nim, żeby wejść tego dnia, kiedy zginęła.

Odciałem ogrzewanie i gaz, żeby nie nabiło na rachunku.

Wyciągnął z pętli przy pasku latarkę, zapalił i skierował strumień światła przez okno do środka.

Przysunął głowę do szyby i wymamrotał:

- Chryste panie... Popatrzcie na to.

Zerknąłem nad jego ramieniem. Na podłodze leżały rozrzucone ubrania i poprzewracane krzesła.

— Pewnie tak nie było, kiedy pan wszedł?

— Lisa trzymała porządek w mieszkaniu. Pod tym względem też była z niej dobra lokatorka.

Moje pytanie zostało najwyraźniej źle zrozumiane, ale odpowiedź pozwalała stwierdzić, że włamanie dokonano po śmierci Lisy.

— Umie pan wymienić szybę? - spytałem.

— Ja to zrobię - odparł. - Nikt pana nie obciąży. Felix wyciągnął z paska klucz francuski, wybił szybę w oknie jadalni, a potem powiększył otwór, zdradzając, że jest człowiekiem czynu, a nie tytanem intelektu. Wzdłuż futryny drzwi znajdował się szereg mniejszych okienek. Wystarczyło wybić szybę w jednym z nich, sięgnąć ręką do środka, otworzyć drzwi i droga wolna. Felix wspiał się na parapet, podszedł do drzwi, otworzył je i nas wpuścił. Janet zapaliła światło w holu, a Felix zrobił to samo w pokoju stołowym i kuchni.

To było skutecznie dokonane spustoszenie. Janet chodziła po pokoju, przekraczając połamane obrazy i meble.

— Czego szukali? - zapytałem.

— O mój Boże... - jęknęła Janet. - Chodźmy do sypialni. Krótkim korytarzem ruszyliśmy do pokoju, który znajdował się na końcu. Pokój został potraktowany tak samo jak reszta mieszkania. Z łóżka zerwano materac, przewrócono regał z książkami, ściągnięto obrazki ze ścian. Na podłodze leżała szkatułka na biżuterię. Ruchem stopy przewróciłem ją na bok. Była pusta.

- Tym się nie przejmuj - powiedziała Janet i wskazała niewielkie biurko w kącie. - W tym miejscu powinien stać komputer.

Wróciliśmy do saloniku.

— Czy Lisa miała sprzęt grający, telewizor, mikrofalówkę? - zapytałem.

— Oczywiście.

— Wszystko znikło. - Rzuciła mi się w oczy

fotografia Lisy z ojcem i siostrami; ta sama, którą widziałem w jej domu rodzinnym. Cała piątka na jachcie, roześmiana, z rozwianymi włosami. Zdjęcie leżało na podłodze przykryte odłamkami szkła. Janet podążyła za moim wzrokiem i też to zauważyła. Na chwilę oboje zamarliśmy.

— Adres Lisy jest w książce telefonicznej - zasugerowałem. - Wiadomość o jej zabójstwie podano w wiadomościach. Niektórzy rabusie tylko czekają na takie informacje.

— A może ktoś specjalnie się postarał, żeby tak to wyglądało?

— Może. - Spojrzałem na nią. - Masz powód, żeby coś takiego podejrzewać?

Nie odpowiedziała.

Felix przestępował z nogi na nogę.

— Bardzo mi przykro - wymamrotał. - Powinienem mieć oko na mieszkanie.

— Takie rzeczy zdarzają się bardzo często, panie Feliksie - uspokoiłem go. - Nic pan nie mógł poradzić.

Znów przestąpił z nogi na nogę. Nie wyglądał na uspokojonego.

Janet pokręciła się po pokoju jeszcze minutę, a potem powiedziała:

— Chciałabym, żebyście zostawili mnie na chwilę samą.

— To nie jest dobry pomysł - zaprotestowałem. - Jesteśmy na miejscu przestępstwa.

— Jesteśmy w mieszkaniu mojej siostry, na miłość boską.

— Ale jest to też miejsce przestępstwa. Nie powinnaś niczego dotykać, a my powinniśmy wezwać policję.

— Oszczędź mi wykładu. Chciałam tylko... To

była moja siostra. To są jej rzeczy, wszystko, co mi po niej zostało. Proszę... tylko chwilę...

Co miałem powiedzieć? Wiesz, podejrzewam, że coś knujesz, i bardzo chciałbym wiedzieć co, a jeśli stąd wyjdę, to się nie dowiem? Ale cóż, trzeba wiedzieć, kiedy ustąpić pola.

Spojrzałem na Feliksa, a on na mnie. Wyszliśmy. Przez chwilę patrzyliśmy w niebo.

— Był pan pięściarzem? - spytałem.

— Dawno temu. I to całkiem niezłym.

— Walczył pan z kimś, o kim słyszałem?

— Aż taki dobry nie byłem. Wzruszyłem ramionami.

- Brakuje panu tego?

- E, nie. Jak mówią, nie byłem aż taki dobry. Pod koniec ciężko obrywałem. - Patrzył przez chwilę na chodnik, a potem spytał: - Kolegował się pan z Lisa?

- Tak, lubiliśmy się.

- Aha. Ona była wyjątkowa, wie pan?

- Wiem. - Przedłużając rozmowę z byłym bokserem, trzeba płynąć z prądem. Zbyt wiele mocnych ciosów w puszkę skutkuje lekkim poplątaniem obwodów.

To było jego usprawiedliwienie. A moje pożarł mój pies.

— Robiła mi przysługi - poinformował mnie Felix. - Była prawniczką, wie pan.

— Taak. Starłem się z nią parę razy w sądzie. Też oberwałem, tak jak pan na ringu.

Roześmiał się.

Po chwili spytałem:

- Jakie przysługi panu wyświadczała?

- Prawne. Ja nie umie za bardzo czytać, wie pan. Oczy... pewnie dostałem za dużo mocnych ciosów. Złożyła za mnie papiery w Urzędzie do Spraw Weteranów, postarała się dla mnie o pieniądze na świadczenia medyczne... zainwestowała trochę moich oszczędności. Dużo nie dostałem, ale Lisa dopilnowała, żeby były bezpieczne. Nigdy nie byłem dobiy w tych sprawach.

— Jest pan weteranem?

— Taak. Wojna koreańska.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem wizytówkę.

— Ja też jestem prawnikiem. Gdyby pan czegoś potrzebował, chętnie pomogę.

— Dziękuję - powiedział, wsuwając wizytówkę do kieszeni.

Popatrzyliśmy jeszcze trochę w niebo. Noc była jasna, chłód rozpędził miejskie spaliny i zanieczyszczenia.

Błyszczące gwiazdy, kredowobiały księżyc w drugiej kwadrze, pełny i niezakłócony widok olśniewającego kosmosu. Ale wydaje mi się, że

obu nas dręczyło poczucie winy, kiedy tak staliśmy przed mieszkaniem Lisy, relaksując się i spoglądając na gwiazdy, podczas gdy jej ciało spoczywało w kostnicy.

Janet wyszła wreszcie ze spuchniętymi, zaczerwienionymi oczami. Wróciliśmy do kwatery Feliksa. Nikt się nie odzywał.

— Proszę nie wzywać policji, dopóki panu nie powiemy - rzekła Janet, kładąc rękę na jego ramieniu. - Może pan to zrobić?

— Muszę naprawić okno.

— Dobrze. Ale niech pan jeszcze nie dzwoni na policję, dobrze?

— No dobra...

Felix wyjął z kieszeni moją wizytówkę i zaczął się w nią wpatrywać. Przypomniałem sobie, że nie umie czytać.

— Nazywam się Sean Drummond - powiedziałem. - Zadzwoń za kilka dni, dobrze?

— Mhm, dobrze.

Odjechaliśmy. Możliwe, że, tak jak powiedziałem Janet, mieszkanie Lisy zostało splądrowane przez rabusiów, którzy zwęszyli łatwy łup, dobytek zmarłej. Świat pełen jest zepsutych dusz, czerpiących korzyści z nieszczęścia innych. A może przewróciły je do góry nogami ćpuny na haju.

Jeśli jednak miało się umysł bardziej dociekliwy, można było podejrzewać, że bałagan zostawiono po to, by zamaskować ślady dokładnej, drobiazgowej rewizji w rzeczach Lisy. Ale po co zostawiać taki chaos? Bezpieczniej byłoby odłożyć wszystko na miejsce i zostawić idealny porządek, taki jak za życia lokatorki, prawda?

Chyba że...

Chyba że włamywacz musiał zabrać coś, co

wymagało dokładnego przestudiowania w domowym zaciszu. Na przykład komputer Lisy. Wojskowi prawnicy są notorycznie przepracowani, a Lisa prawdopodobnie zabierała pracę do domu. Pewnie postarała się też o wszelkie nowoczesne zabezpieczenia programowe, takie jak hasło, których obejście wymaga czasu i umiejętności komputerowego maniaka. Jeśli tak było, to

telewizor, mikrofalówkę, biżuterię i inne rzeczy zabrano po to, by ukryć prawdziwy cel włamania.

Prawo uczy prawników szanować fakty i zachowywać sceptycyzm wobec domysłów, przeczuć i tym podobnych. Wniosek A prowadzi do wniosku B, a ten z kolei do wniosku C, lecz od A nie można przeskoczyć do Z. A ja uznałbym to za naciąganie, gdyby Janet nie przekonała Feliksa, żeby poczekał ze zgłoszeniem włamania. Od A do Z, zgadza się? Właśnie wplątała go w przestępstwo, nie wspominając o tym, że i mnie. I siebie samą, nawiasem mówiąc.

Siedzieliśmy więc w moim eleganckim jaguarze z leasingu, ona ze swoimi podejrzeniami, ja ze swoimi. O dzieleniu się nimi na razie nie było mowy. Nie podobała mi się ta głupia gra, ale byłem zmuszony przyjąć jej warunki. Do czasu.

Miałem jednak wrażenie, że Janet Morrow jest zbyt bystra na takie zabawy. W mieszkaniu Lisy nie zwróciła uwagi na brak rozmaitych przedmiotów i spustoszenie, tylko ruszyła prosto do sypialni i zwróciła moją uwagę wyłącznie na to, że ukradziono komputer. Wybiórcze spostrzeżenie? Nie sądzę. Okruchy dla skołowanego Seana Drummonda? Możliwe.

Lecz jeśli Lisa zginęła z ręki zwykłego seryjnego mordercy, to dlaczego miałby włamywać się do jej mieszkania i kraść jej rzeczy? Jako trofea? A może włamania dokonał kto inny? Czy włamanie miało związek z morderstwem? Od tych wszystkich wątpliwości zaczynała mnie boleć głowa.

Poza tym wiedziałem teraz więcej o panie Janet Morrow. Za aparycją damy, wspaniałymi bostońskimi manierami i poprawnymi, przemyślanymi odpowiedziami krył się naprawdę bystry umysł. Jej siostra, Lisa, powiedziała mi kiedyś, że w życiu charakteryzuje mnie upór. Uznałem to za komplement,

ale nie jestem pewien, czy takie były intencje Lisy. Janet MORROW była pająkiem snującym sieć, podstępnie gromadzącym mężczyzn, których potrzebowała do rozwiązania zagadki.

Ale przyszło mi do głowy jeszcze coś. Dotąd wydawało mi się, że dobrze znałem Lisę. Pracowaliśmy razem wiele dni i nocy przy śledztwie, które było trudne i rodziło wiele napięć, i w końcu zmusiło nas, żebyśmy zajrzeli głęboko w swoje dusze i odpowiedzieli sobie na pytanie, kim jesteśmy i w co wierzymy. Widziałem ją na sali sądowej i przy pracy mnóstwo razy, flirtowałem z nią z przerwami przez dwa lata, a mimo to, jak teraz błyskawicznie sobie uświadamiałem, ledwie musnąłem powierzchnię.

Od dnia jej śmierci poznałem jej rodzinę, dowiedziałem się, że za mną szalała, że zamierzała odejść z armii i przyjąć pracę w prywatnej kancelarii, że była osobą, która wzięła pod swoje skrzydła kaczkę z połamanymi skrzydłami.

Poniewczasie zakochiwałem się w Lisie Morrow.

ROZDZIAŁ 16

Nazajutrz rano na moim biurku leżała kartka od Barry'ego informująca mnie o spotkaniu w jego gabinecie o dziesiątej. A także długa szara koperta, zawierająca lotnicze zdjęcie kilku małych plamek na środku wielkiego, błękitnego oceanu. Na obrzeżu było napisane: „Atol Johnstona. Zobacz w Internecie i zachowuj się. Clapper”.

Ten facet ma chyba poczucie humoru, prawda? Tak naprawdę to go nie ma, więc zajrzałem do Internetu. Przeciętna liczba ludności wynosi około stu osób, z których ogromna większość to cywilni pracownicy kontraktowi, pracujący rotacyjnie po dwa, trzy dni. Na wyspie znajdował się zakład utylizacji broni chemicznej. Proces niszczenia miał tyle zabezpieczeń, że wojsko gwarantowało, iż jest w 99,999 procentach odporny na wypadki. Ta jedna tysięczna procenta, jak przypuszczam, była powodem, dla którego nie umieszczono ośrodka koło Nowego Jorku. Z opisu dowiedziałem się jeszcze, że po zniszczeniu do końca broni chemicznej atol zostanie przeznaczony na rezerwat dla ptaków. Jeśli jakiś ptak kretyn zapragnąłby miejsca na prestiżowej liście gatunków zagrożonych wyginięciem.

Clapper potrafi być bardzo irytujący.

To jednak o czymś mi przypomniało. Zadzwoiłem do biura Clappera i poprosiłem jego głównego asystenta, żeby przygotował dla mnie listę byłych przydziałów Lisy i zlecił placów-

kom, w których Lisa kiedyś pracowała, zgromadzenie informacji o sprawach związanych z przestępstwami seksualnymi, prowadzonych przez Lisę lub takich, z którymi miała jakąś styczność. Dałem do zrozumienia, że występuję w imieniu CID.

Najciekawsze było to, że asystent nie powiedział, że już przyjął taką prośbę - dziesięć ujemnych punktów dla Spinellego.

Ja tymczasem byłem pewny, że całe to ćwiczenie jest stratą czasu. Ale w śledztwach w sprawie o morderstwo najbardziej nieprawdopodobne linie postępowania czasem okazują się tymi, które prowadzą do zabójcy.

A skoro mowa o marnowaniu czasu, to Pentagon ma naturalnie podręcznik opisujący szczegóły procedur składania protestów. Przed spotkaniem z Barrym spędziłem trzy godziny, czytając go od deski do deski. Miałem dość tego, że pan Bosworth wciska mi nos w gnój, a jeśli chce się pokonać przeciwnika na jego własnym boisku, to trzeba trochę potrenować.

Wszedłem do gabinetu Barry'ego punktualnie o dziesiątej, a on podniósł głowę i powiedział:

- Patrzcie, patrzcie, kto nas wreszcie zaszczycił.

Co jest...? Przy stole konferencyjnym siedziało już czworo ludzi. Marynarki wisiały na oparciach krzeseł, wszędzie stały filiżanki z resztkami kawy i butelki.

Podły mały kutas specjalnie podał mi zły czas. Nie przeszkadza mi, kiedy wychodzę na idiotę, ale wolę to robić na własnych warunkach.

Uśmiechnąłem się do zebranych.

- Więc słuchajcie. Wchodzi facet do baru i siada na stołku obok pięknej kobiety. Zamawia sobie drinka. Po chwili ślicznotka nachyla się do niego i szepcze do ucha: „Hej, wielki ogierze, zerznę cię w każdej chwili,

w dowolnym miejscu i w dowolny sposób”. Facet zastanawia się chwilę, a potem pyta: „Przepraszam, bo nie dosłyszałem. W której kancelarii pani pracuje?”.

Barry i Sally omal nie puścili pawia. Dwoje pozostałych rechotało tak, że omal się nie popłakali. O rany, dobry jestem w te klocki. Już zdążyłem się zorientować, kim są ci dwoje: klientami.

Duża kobieta na końcu stołu powiedziała:

— Jestem Jessica Moner z departamentu prawnego Morris Networks. Pan musi być Drummond.

— Ano muszę. - Jeśli chodzi o pannę Jessicę Moner: wiek około czterdziestu pięciu lat, platynowe włosy z brązowymi odrostami i mięsiste, nieatrakcyjne rysy twarzy, które wydawały się jeszcze bardziej nieatrakcyjne z powodu kilku galonów różu i niesamowicie kiczowatej pomarańczowawej szminki. Poza tym panna Moner wcisnęła się w granatowy kostium, który albo był o trzy rozmiary za mały, albo ona była rybą najeżką udającą kobietę. Znajac apetyt Morrisa na kociaki, nie bardzo widziałem w jego haremie miejsce dla Jessiki. Ale może zatrudnił ją ze względu na kompetencje. Cóż za śmiały i nowatorski pomysł.

Jessica tymczasem wskazała faceta siedzącego obok i oznajmiła:

- Marshall Wyatt z działu finansowego. - Marshall był łysiejącym facetem, chudym prawie jak szkielet, ubranym w tani, szary garnitur w prążki i niewyprasowaną białą koszulę. Jak można się domyślić, z jego kieszeni wystawał futerał na ołówek. Za milion lat nie odgadłbym, że jest księgowym.

Usiadłem i powiedziałem:

- Przepraszam za spóźnienie, ale Barry błagał mnie, żebyśmy przyszedł trochę po czasie, bo chociaż przez kilka minut chciał wyglądać na

najinteligentniejszego faceta w zasięgu wzroku.

Nawet Sally się roześmiała. Barry natomiast wolał się lekko zarumienić.

- Straciłeś już godzinę rozmowy, Drummond, ale nie bę dziemy z twojego powodu niczego powtarzali.

O rany. Barry naprawdę wie, jak ukarać winowajcę. A jeszcze lepiej, że pamiętając, iż czas to pieniądze klienta, zebrani nie protestowali, kiedy Bany wrócił do przerwane go wątku:

- No więc Cy zajmie się komisjami rozdzielającymi budżet na Kapitolu. Wierz mi, Jessico, że nikogo lepszego nie moglibyście znaleźć. Cy zasiadał w takiej komisji, dlatego...

— Wiemy, na co stać Cya, Bosworth - poinformowała go Jessica. - Przyszliśmy do waszej firmy po smar, z którego Cy słynie. Ale nie w tym widzimy problem, do jasnej cholery.

— A w czym widzicie problem? - zainteresowałem się.

— W waszych ludziach. - Zdaje się, że patrzyła na mnie.

— W moich ludziach?

— Taak - odparła. - Jeśli chodzi o potyczki z Kongresem, wszystko zależy od tego, kto wynajmie największe strzelby. Gdyby Cy trzymał fiuta w spodniach, wciąż by tam rządził. Ilekroć pokaże się na Kapitolu, stu facetów biegnie w te pędy, żeby pocałować go w tyłek. Nie bierz tego do siebie, Drummond, ale to twój zasrany Pentagon pieprzy nam sprawę.

Naprawdę lubię babki, które nie uprawiają podchodów i rzucają karty na stół. Poza tym było oczywiste, że Jessica nie cierpi Barry'ego, więc już prawie się w niej zakochałem.

— Uściślij to - poprosiłem.

— To jasne, że wygraliśmy kontrakt, bo przedstawiliśmy najlepszą ofertę. Ale protesty zmieniają reguły.

— W jaki sposób?

— Teraz chodzi o to, kto potrafi sięgnąć pod stół i najmocniej ścisnąć.

— Jest jakiś przekręt?

— Nie. Ale można przegiąć, przeciągnąć.

— W jaki sposób?

— Bo to oskarżenie pod adresem Danny'ego Nasha może wywołać burzę. Pentagon nie chce, żeby coś wyglądało podejrzanie, bo w Kongresie zaraz zaczynają przebąkiwać o śledztwie i wszystko idzie w

diabły.

— Więc chodzi o to, jak sformułować naszą odpowiedź, żeby nie wywołać podejrzania o brudną grę? - upewniłem się.

— Myślisz, że to łatwe? Prasa, opinia publiczna i w ogóle wszyscy uważają, że wszystko i tak zostało ukartowane. Oskarżenie pasuje do wcześniejszych uprzedzeń. Sprint i AT&T wiedziały, co robią.

Barry skinął głową, jakby myślał dokładnie tak samo, a potem rzucił:

- Ktoś ma pomysł, jak to rozegrać?

- Ja - odparłem. Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem. - Zignorować.

Wszyscy patrzyli na mnie, jakbym puścił baka. Wszyscy oprócz Marshalla, który wyciągnął z kieszeni kalkulator i zapamiętałe walił w klawisze, ignorując obecnych.

— To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem - skomentował Barry.

— Nic nam to nie da - dodała Sally.

— Zakładam, że nie jesteś pieprzonym kretyńcem, więc proszę, żebyś to wyjaśnił - powiedziała Jessica.

— Czy AT&T i Sprint wspomniały w swoich protestach o Nashu? - zapytałem. - Czy padło tam jego nazwisko?

— Może to dla ciebie zbyt subtelne, Drummond, ale było to bardzo wyraźnie zasugerowane.

— Dla kogo?

— Chciałeś powiedzieć, komu - poprawiła mnie Sally. Był to niesłychanie cenny wkład w dyskusję.

— Och... - mruknęła Jessica.

— Jaś Publika nie ma zielonego pojęcia, że na szachownicy pojawił się Nash - wyjaśniłem. - Nie powinniśmy definiować postawionego przez nich zarzutu niewłaściwego postępowania i eliminować ich ryzyka.

— Jakiego ryzyka? - zapytała Sally.

— Masz rację, Drummond - stwierdziła Jessica, najlotniejsza z całego towarzystwa. - Mogą wdepnąć w głęboką kupę prawnego gówna.

— Jaką kupę? - dopytywała się Sally, coraz bardziej dezorientowana.

— Zadaj sobie pytanie, dlaczego nie wymienili nazwiska Nasha - odparłem.

— Boją się zarzutu o zniesławienie, prowadzącego do oskarżenia o oszczerstwo - wyjaśniła Jessica, zwracając się do Sally i Barry'ego.

— Poza tym nie wymienienie nazwiska świadczy o braku podstaw - dodałem. - Oni modlą się o to, żebyśmy zareago-

wali konkretną obroną. Jeśli wymienimy nazwisko Nasha, sami wprowadzimy je do rozmów, a oni będą mieli okazję, żeby je publicznie zmieszać z błotem.

- Dokładnie o tym samym myślałem - rzekł Barry, kiwając mądrze głową.

Jessica zignorowała tego idiotę i powiedziała do mnie:

— Ale w taki czy inny sposób nazwisko wypłynie.

— Prawdopodobnie. Lecz to ich trzeba zmusić do jego ujawnienia. Jeśli przegną, można im wlepić wniosek o zniesławienie. W ten sposób będą musieli ujawnić, ile naprawdę wiedzą.

Jessica zastanowiła się przez chwilę, a potem stwierdziła:

— Drummond, jesteś dobry.

— Właśnie dlatego przyszedłeś do naszej firmy, Jessico - odezwał się Barry. - My wiemy, jak rozgryzać twarde orzechy.

To chyba znaczyło, że zostałem członkiem drużyny. Przyszło mi do głowy, żeby wstać i przybić piątkę z Barrym. Było mi bardzo głupio, że mam ochotę go udusić.

- I ostatnia rzecz - powiedział Barry do Jessiki. - Kwestie finansowe. Przyślemy wam po prostu stare zestawienie i sprawa załatwiona.

Niestety, słowo „finansowe” pobudziło do życia Marshalla, który podniósł głowę znad kalkulatora i mruknął:

— Nic z tego.

— Co? - zdziwił się Barry.

— Nic z tego. Pierwotne zestawienie oparte było na audycie wewnętrznym.

— No i co?

— Zanim Pentagon przyzna komuś wieloletni kontrakt, taki jak ten, musi zgodnie z prawem upewnić się, że zwycięzca posiada ekonomiczne podstawy do utrzymania się w biznesie dostatecznie długo, by wywiązać się z umowy. Teraz, kiedy zostało to zakwestionowane, musimy przedstawić o wiele bardziej wiarygodny audyt i analizę przepływu gotówki... - I tak dalej, i tak dalej.

Ziewałem i przeciągałem się, a kiedy Marshall zagłębił się w niuanse dochodu przed opodatkowaniem, płacenia podatków, deprecjacji i amortyzacji oraz inne, uderzyłem głową o blat stołu. Trwało to dłuższą chwilę; wszyscy czterej prawnicy zaczęli przysypiać.

- Przepraszam... przepraszam... pytam jeszcze raz - powiedział głośno Marshall - czy są jakieś pytania?

Rozległo się kilka nerwowych kaszlnięć. Zaczęliśmy wymieniać między sobą zmęczone spojrzenia. To mogło się źle skończyć.

— Tak w skrócie, Marshall, co to oznacza? - spytałem wreszcie.

— Cóż, opierając się na...

— Po angielsku.

Popatrzył na nasze twarze i zdawało mi się, że dostrzegł niebezpieczeństwo. Jeszcze jedno zdanie tego finansowego bełkotu i zdarlibyśmy mu usta z twarzy.

— Mm... No cóż, oznacza to zewnętrzny audyt.

— Wyjaśnij nam to, jeśli łaska.

— Tak, obawiam się, że ta kwestia wymaga wyjaśnienia. Zewnętrzna firma audytorska musi potwierdzić, że jesteśmy dochodowi i w dającej się przewidzieć przyszłości tacy pozostaniemy.

— Ile to potrwa? - spytał Barry.

— No cóż, spodziewaliśmy się tego, toteż przygotowaliśmy wszystko, żeby audyt przebiegł

błyskawicznie. Zakładając, że...

— Jak długo? - zapytałem groźnie.

— Mm... może ze dwa tygodnie.

— Najpóźniej do przyszłego tygodnia - rzekł

Barry.

— Ojej. Nie sądzę, żeby to było... - Obrócił kalkulator w dłoniach, a potem powiedział: - Może gdybyśmy podwoili liczbę audytorów i pracowali siedem dni w tygodniu po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wtedy... może... Nie wiem, może dziesięć dni.

— Drummond, jesteś odpowiedzialny za audyt - oznajmił Barry. - Masz tydzień.

— Co?

— Sally i ja zajmiemy się sprawą Nasha -
dodał.

— Nie. Po pierwsze, jestem z prawnego punktu
widzenia niekompetentny, żeby nadzorować audyt. Po
drugie, zamierzam taki pozostać.

— Ani ty, ani my nie mamy wyboru -
stwierdziła Sally. - Tylko w taki sposób możesz
pracować, jeśli nie chcemy doprowadzić do konfliktu
interesów.

— Nie bądź cipą, Drummond - powiedziała z
uśmiechem Jessica. - Prawdziwą robotę wykona kto
inny. Jeśli powstanie jakiś problem prawny, który
przekroczy twoje kompetencje, przekażesz go
Barry'emu.

O rany, naprawdę wyglądało na to, że
spóźniając się, nie usłyszałem czegoś bardzo ważnego.

Barry posłał mi przyjemny uśmiezek typu:
Pieprzyć cię, a potem rzekł:

- Płyniesz albo toniesz, Drummond, tak tutaj
jest. To pierwsza liga. Ale jeśli się boisz, znajdę innego
młodszego współpracownika, który się tym zajmie.

Żaden cwany prawnik nie bierze na siebie
zadania, które przekracza jego kompetencje. Nie
miałem też najmniejszych wątpliwości, dlaczego Bany
chce mi wcisnąć ten audyt. Właściwa reakcja była
oczywista i niepodlegająca kwestii. Należało
zignorować jego infantylne podpuszczanie i
powiedzieć, żeby wsadził sobie tę robotę w tyłek.

Wstałem, wziąłem notes, spojrzałem wszystkim
po kolei prosto w oczy i powiedziałem:

- Jasne, nie ma problemu.

ROZDZIAŁ 17

Z pełnym rozbawienia dystansem obejrzał

wiadomości poświęcone swoim morderstwom. Dwa krótkie artykułiki na trzeciej stronie stołecznej części „Posta” i kilka dziwnie luźnych wzmianek w lokalnej stacji telewizyjnej - to było wszystko.

Policja wychodziła z siebie, żeby zapobiec panice. Zdołała nie dopuścić do powiązania ze sobą morderstw i ujawnienia kilku zatrważających i bardzo znaczących szczegółów. To rozbawiło go najbardziej ze wszystkiego.

Mieli nadzieję, że uciekł albo że zaspokoił swoją żądzę i przestał zabijać. Powtarzali sobie, że trzymanie buzi na kłódkę w sprawie owych szczegółów leży w interesie społeczeństwa - było to najbardziej odpowiedzialne posunięcie, jakie mogli wykonać. Podgrzanie nastrojów miejscowej ludności nie służyłoby niczemu dobremu. Poza tym ujawnienie szczegółów skłoniłoby imitatorów do skrzętnego notowania i byłoby zaproszeniem do ogólnej zabawy. Ciała zaczęłyby pojawiać się wszędzie i nie dałoby się już odróżnić ofiar prawdziwego zabójcy od fałszerzy. Do tego nie można dopuścić, mówili sobie.

Wymyślili najrozmaitsze głupie wymówki i teorie, i będą się ich trzymali dopóty, dopóki pozwolą na to okoliczności. Tak działa ludzka natura i instykt biurokratyczny.

Niebawem ich fart miał skończyć się z hukiem. Zakładał, że już utworzyli specjalną grupę operacyjną, która miała poddać analizie metody jego działania i go dopaść. Zawsze tak robią. Na razie grupa jest jeszcze mała, składa się z miejscowych fajtłap, którzy starają się, jak mogą, lecz ich kompetencja w takich sprawach jest żałośnie ograniczona. Pewnie wykonali już kilka telefonów do FBI, lecz jeszcze nie błagają na kolanach o pomoc.

To dziwne, że zawsze potrzebna jest trzecia

ofiara. Pierwszą prawie zawsze uważano za rzecz codzienną lub aberrację, która pewnie się nie powtórzy. Straszne, tragiczne i w ogóle, ale cóż, wypadki chodzą po ludziach. Stojąc nad drugą ofiarą, dłużej drapali się po brodach i rozmyślali, czy nie warto zacząć szaleć, ale zawsze jakoś udawało im się okiełznać ten impuls. Trzy była złotą liczbą, była jak wykopnięcie stołka spod stóp skazańca.

A to będzie pamiętny numer trzy. Po południu miejscowi gliniarze poczują, że zostali rzućeni na zbyt głęboką wodę i jak wszyscy śmiertelnicy, zaczną wołać o pomoc do wyższej władzy - o wskazówki, wytyczne, specjalistyczną wiedzę, o kogoś, na kogo mogliby zrzucić część winy. Będą dzwonili histerycznie, a federalni zaczną się wszędzie wciskać. Tu mieszka ich dyrektor. Prawdopodobnie dzień w dzień doręczyciel podrzuca mu pod drzwi „Washington Post”. I właśnie tam, na progu domu, zanim zdąży wypić pierwszy łyk porannej kawy, fakty uderzą go prosto w oczy: na jego podwórku zboczony seksualnie maniak dokonuje swojego brudnego dzieła. Jego żona i dzieci zobaczą to w telewizji, na miłość boską!

Ścisłe rzecz biorąc, im prędzej FBI zostanie wciągnięte w sprawę, tym lepiej. Według jego scenariusza, właśnie nadeszła pora.

Ściągnie ich Carołyn Fiorio - zbiegną się ze wszystkich stron, potykając się o siebie. Dzięki niej nie będzie już żadnych wątpliwości co do tego, że Waszyngton jest prześladowany przez zdeprawowanego potwora.

W tej chwili podziwiał jej chłodną pozę na maleńkim ekranie telewizyjnym, siedząc na tylnym fotelu długiej limuzyny. Dyskutowano o karze śmierci, debata była zaciekle i namiętna. Carołyn miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, a rozmawiała

z dwoma złotoustymi senatorami i tłustym republikaninem o ciętym języku, tubą propagandową partii, i radziła sobie całkiem dobrze.

Gruby republikanin był niegrzecznym i natrętnym adwokatem, który często wpadał rozmówcom w słowo i wywrzaskiwał każdy argument. Jeden z senatorów, kolejny zatracony prawnik, wykorzystywał swój wiek i prestiżowy tytuł, próbując traktować Carolyn protekcyjnie, co było inną formą niegrzeczności, bardziej zakamuflowaną, lecz równie zjadliwą. Drugi senator był obserwatorem, zbyt szczwanym, by zająć konkretne stanowisko, jego głowa obracała się to w jedną, to w drugą stronę. Carolyn sama musiała zmagać się z adwersarzami, ale wyglądało na to, że nie potrzebuje pomocy.

Była śliczna jak anioł, a im bardziej niegrzeczny stawał się republikański agitator, tym lepiej wypadła na jego tle. Siła kontrastu była po jej stronie. Ilekroć republikanin zaczynał wykrzykiwać głupstwa, kamera pokazywała to jego, to ją, przez co republikanin sprawiał wrażenie grubszego i bardziej nikczemnego. Obserwując ich, nie miało się ochoty podzielać jego opinii. A za każdym razem, gdy senator protekcyjnym tonem, przeciągając leniwie słowa, mówił: „Cóżżż, droga pani”, Carolyn zerknęła do kamery, zaś widownia nie mogła go postrzegać inaczej niż jako napuszonego, rozhukanego idiotę.

Carolyn okazała się sprytną sztuką i oponenci zapłacili wysoką cenę za to, że jej nie docenili. Telewizja CNN płaciła jej sześć milionów zielonych rocznie za prowadzenie najchętniej oglądanego talk-show, liberalnego odpowiednika programu Czynniki O'Reilly'ego, a ona okazała się warta każdego centa. Wskoczyła poza skalę wskaźnika Nielsena, reklamodawcy ustawiali się w kolejce i sypali grubą

forsą. Miała zadziorność króliczka i potrafiła zręcznie zastawiać intelektualne pułapki, a do tego unieszkodliwiała zaproszonych otoczką niewinności, za którą polityczni skrytobójcy oddaliby wszystko.

„Dziewczę Ameryki”, nazywano ją w spotach reklamowych. Magazyny „Newsweek”, „Time” i „People” oraz mnóstwo pomniejszych szmatławców umieszczało jej buzię na okładkach: bystra dziewczynka, którą wszyscy z przyjemnością uwielbiali. Przyszła znikąd i szturmem zdobyła dziennikarski świat. Ta babka była prawdziwym fenomenem.

Patrzył, jak kończy program, odwracając się do kamery, patrząc prosząco, ze smutnym uśmiechem na ustach. „Przedmiotem dyskusji jest kara śmierci. Czy jest słuszne, by cywilizowany naród zabijał z zemsty? Proszę pamiętać, że kiedy wykonawca kary śmierci pociąga dźwignię, która przepuszcza prąd o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów przez inną ludzką istotę, czyni to w państwa i moim imieniu. Jeśli to, co robi, jest złe, to czy wszyscy nie jesteśmy winni?”.

Pokręcił głową i wyłączył pięciocalowy telewizor. Taak, ta dziewczyna była dobra, miała czarodziejski dar. Wziął z siedzenia obok czarny kapelusz, wsunął go na perukę i wysiadł. Dwie minuty później, ubrany w czarny garnitur, stał wyczekująco obok długiego samochodu przed studiem.

Carolyn Fiorio otrzymała zaszczytny tytuł Dziennikarki Roku, który miano jej przyznać w czasie eleganckiej kolacji w Narodowym Klubie Prasy. Ze wszystkich stron zjechała się na raut śmietanka amerykańskich dziennikarzy, by pławić się w jej cudownym blasku. Program kończył się o dziewiętnastej, a kolacja zaczynała o dziewiętnastej piętnaście, więc Carolyn wypadła ze studia i pobiegła prosto do tylnych drzwi błyszczącej, czarnej limuzyny.

Otworzył drzwi i powiedział grzecznie:

—Dobry wieczór, panno Fiorio. Świetny program.

—Dziękuję - wymamrotała, wsiadając. Nawet na niego nie spojrzała. One nigdy nie patrzyły. Limuzyna pochodziła z firmy przysyłającej takie same wozy i anonimowych kierowców bogatym klientom z całego miasta.

Zamknął delikatnie drzwi, z podziwem spojrzął na swoje odbicie w przyciemnionej szybie, obszedł szybko samochód, wsiadł, uruchomił silnik i płynnie ruszył. Miguel Martinez, prawdziwy szofer, leżał na podłodze limuzyny obok jego stóp, z dziurą od kuli w głowie.

Zerknął za siebie.

— Narodowy Klub Prasy, zgadza się, pszepani?

— Tak. I naprawdę muszę tam być za dziesięć minut. Zaśmiał się gardłowo.

— Więc powinienem się spieszyć?

- Tak, byłabym wdzięczna. - Otworzyła torebkę i zaczęła wyciągać różne rzeczy. - Czeka na mnie komitet powitalny i kilka ekip telewizyjnych.

Z szacunkiem odczekał minutę, a potem powiedział, odwracając lekko głowę w prawo:

- Ma pani ciężkie życie.

Jej śmiech zabrzmiał bardziej melodyjnie niż z ekranu telewizora.

— Siedzę w wielkiej limuzynie, pławię się w forsie, a pan uważa, że mam ciężkie życie?

— Taak. Chyba ma pani rację.

Znów poczekał minutę. Takie chwile ciszy były absolutnie naturalne między wynajętym szoferem i grubym portfelem na tylnym siedzeniu.

- Oglądałem pani program w telewizji, kiedy na panią czekałem - powiedział.

Carolyn trzymała w palcach wacik nasączony alkoholem i wściekle zmywała gruby telewizyjny makijaż. Zerknęła na niego przelotnie, a potem znów zapatrzyła się w małe lusterko, które trzymała w dłoni.

— Naprawdę pani w to wierzy? Że niby kara śmierci jest niemoralna i w ogóle?

— Tak, wierzę. Nigdy nie prezentuję poglądów, w które nie wierzę.

— Pytam, bo mi się kara śmierci podoba.

— Wielu ludziom się podoba. Dlatego jest prawem.

— Pewnie tak. - Lekko przestawił lusterko i spojrzał na nią. - Ale widzi pani, ja podchodzę do sprawy inaczej.

Carolyn obrysowywała kredką oczy, wciąż patrząc w lusterko.

— Jak to?

*— Niech pani pomyśli w ten sposób.
Powiedzmy, że przyła-*

pono panią na robieniu czegoś naprawdę złego i ma pani do wyboru: dożywocie albo kara śmierci. Co by pani wybrała?

— Dożywocie - odparła krótko.

— Za szybka odpowiedź, panno Fiorio. Niektóre rzeczy są gorsze niż śmierć.

— Jakie na przykład? - spytała, nie skupiając się na rozmowie, nakładając makijaż i machinalnie zbywając gadatliwego, przemądrzałego szofera. Płacono jej grubą forszę za roztrząsanie tych problemów z profesjonalistami z pierwszego szeregu, więc nie miała ochoty robić tego za darmo z żółtodziobem.

— Na przykład siedzenie przez resztę życia w klatce w towarzystwie morderców, oszustów i ulicznych mętów. Jak się czyta te książki... Chryste, co ci kryminaliści wyprawiają za kratkami. - Znów zerknął w lusterko. - Niedobrze się od tego robi, wie pani? Bezbolesna śmierć musi być lepsza, no nie?

— Nie patrzę na to z punktu widzenia kryminalisty - odparła, przesuwając po ustach wiśniową pomadką.

— Może pani powinna.

— Nie. Oni są odpowiedzialni za swoje czyny, a ja za swoje. Jeśli popieram karę śmierci, biorę na swoje barki część winy.

— Taak. Słyszałem, jak pani to mówiła pod koniec programu. Naprawdę elokwentnie.

Milczał dłuższą chwilę, a potem zapytał:

— Ale czy pomyślała pani kiedyś, że mogą istnieć ludzie naprawdę uzależnieni od zabijania? To znaczy, po prostu to robią. Raz po raz. I nie można ich powstrzymać, jeśli się ich nie zabije.

— Ma pan na myśli jednostki socjopatyczne?

— Nie wiem, jak to się tam naukowo nazywa,

ale chyba tak.

— Mają zaburzenia umysłowe. Powinno się ich leczyć, a nie zabijać.

Najwyraźniej przewalkowała już te wszystkie kwestie i na wszystko miała gotową, gładką odpowiedź. Tak samo jak w telewizji, mówiła bez najmniejszego cienia wątpliwości.

Skończyła nakładać makijaż i oglądała swoje dzieło w lus-

terku, nieświadoma faktu, że znajduje się dwadzieścia przecznic od Narodowego Klubu Prasy. Ani tego, że limuzyna skręciła w dzielnicę Waszyngtonu nieczęsto odwiedzaną przez wielkie lśniące limuzyny, jeśli za ich kierownicami nie siedzieli dilerzy narkotyków i alfonsi.

W innych częściach stolicy dogorywały właśnie godziny szczytu. W tej dzielnicy niewielu ludzi miało pracę, w każdym razie nie taką, od której płaci się podatki, dlatego ruch był odpowiednio mniejszy. Grupki wyrostków kręciły się koło latynoskich sklepików, pociągając z butelek colta 45 i kombinując, jak by tu zdobyć skręta, lecz większość mieszkańców siedziała w domach przed telewizorami, roztropnie trzymając się z dala od niebezpiecznych ulic.

— Wie pani co, założę się, że gdybym mógł spędzić z panią powiedzmy dwie godziny, zmieniłbym pani poglądy - powiedział. - Idę o zakład, że całą duszą i sercem stałaby się pani zwolenniczką kary śmierci.

— Nie ma mowy - odparła ze śmiechem. - Moje poglądy są twarde jak skała.

Nagle skręcił w łewo i ostrożnie wjechał limuzyną w wąską uliczkę, którą wybrał przed trzema dniami. Wrzucił luz, odwrócił się i zaczął przechodzić przez oparcie fotela. Spojrzała na niego zaskoczona, upuściła lusterko i na moment zamarła.

- Co to ma... - wybąkała osłupiała i wtedy zobaczyła wyraz jego twarzy. Próbowała rozpaczliwie otworzyć drzwi, ale przekonała się, że ściana domu jest za blisko.

ROZDZIAŁ 18

Była jedenasta trzydzieści rano mojego pierwszego dnia, kiedy bogowie zesłali swego sługę, by

uratował mi tyłek. Kwatera główna Morris Networks, nawiasem mówiąc, mieści się w wieży wyglądającej jak trzydziestopiętrowa butelka scotcha, stojącej jedną przecznicę od trasy 123 na przedmieściu Virginii zwanym Tysons Corner.

Jakieś trzydzieści lat temu banda dalekowzrocznych inwestorów zbudowała w tym miejscu pasaż handlowy, bo do centrum było piętnaście kilometrów, a ziemia była rolnicza i tania. Kilka lat później obok pasażu stanęło kilka szklanych wież, później drugi pasaż, potem hotele, i niebawem wszyscy dostali kręćka - to, co zaczęło się od małego centrum handlowego, zamieniło się w miasto pełną gębą z wszelkimi miejskimi niewygodami, które są następstwem porażającego braku planowania i szaleńczego rozrostu. Jako teren rolniczy było to bardzo miłe miejsce.

Tak czy owak, siedziałem uwięziony w ogromnej sali konferencyjnej z grupą świrusów obojga płci, z których większość nosiła grube okulary i mówiła w jakimś dziwnym obcym języku. Wszyscy bębnili zapamiętane w klawisze kalkulatorów, przerzucali się zestawieniami finansowymi jak konfetti, rozmawiali o odpisach, sprzedaży asekurowanej i amortyzacji aktywów. Gdybym miał przy sobie gnata, rozwalilibym wszystkich co do jednego.

A gdybym miał jedną kulę, rozwalilibym siebie. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka weszła młoda dama, uśmiechnęła się wesoło i powiedziała:

- Czy ktoś mógłby mi pomóc? Szukam Seana Drummonda.

Właściwie poczułem się lekko urażony, że musiała o mnie pytać. Ale ktoś wskazał palcem biednego idiotę siedzącego w kącie z palcem przystawionym do czoła i ćwiczącego rosyjską ruletkę.

Jeśli chodzi o nią, to miała około dwudziestu pięciu lat, niebieskie oczy, blond włosy i była tak absurdalnie doskonała, że zastanawiałem się, czy oddycha.

Wyszliśmy na korytarz, wyciągnęła do mnie rękę.

— Jestem Tiffany Allison, główna asystentka Jasona.

— Rozumiem. A ja jestem Sean Drummond. Uśmiechnęła się.

- Tak, domyśliłam się. Jason pyta, czy znalazłby pan czas, żeby zjeść z nim lunch.

O włosach i oczach już mówiłem. Była mniej więcej mojego wzrostu, wąska w biodrach, wąska w biuście, i miała na sobie granatowy kostium. Byłem pewien, że widziałem ją mniej więcej na trzydziestej trzeciej stronie najnowszego katalogu Victoria's Secret. Właśnie przypominałem sobie resztę...

— Majorze Drummond?

— Słucham?

— Co z lunchem?

— Ee... tak, tak.

— Świetnie. Pozwoli pan, że pana zaprowadzę.

— Co to za okazja? - spytałem.

— Okazja? - Przewróciła oczami. - Ach, pyta

pan, dlaczego Jason chce zjeść z panem lunch?

— Właśnie.

— Wspomniał, że poznał pana w domu na Florydzie. Zrobił pan dobre wrażenie.

O ile mnie pamięć nie myliła, to zrobiłem wrażenie, ale na pewno nie było ono dobre.

- Poważnie?

— Jason bardzo dobrze się o panu wyraża. Powiedział, że wali pan prosto z mostu. Jason bardzo wysoko ceni szczerłość i charakter.

— Rozumiem. - Właściwie nie rozumiałem, ale chciałem zaprezentować się jako spolegliwy gość. Chodziło o to, żeby panna Allison uznała mnie za prawdziwego dżentelmena.

— Do gabinetu Jasona są tylko trzy piętra - oznajmiła. - Woli pan pójść schodami czy wjechać windą?

— Schodami, oczywiście. To pomaga utrzymać kondycję, prawda?

- Ja też wolę schody - odparła z uśmiechem.

Otworzyłem więc drzwi i jak przystało na dżentelmena, powiedziałem:

- Pani pierwsza.

Właściwie to wolę windy, ale chciałem zobaczyć jej tyłek, a w windzie nie byłoby to łatwe.

— Jason powiedział, że spotkanie z panem było „odświeżające” - rzuciła przez ramię. - Pozwoli pan, że podzielę się pewnym sekretem. Przekleństwem życia Jasona jest to, że ludzie ciągle mówią mu rzeczy, które ich zdaniem chce usłyszeć.

— To znaczy włożą mu w tyłek, bo jest wart trzy czy cztery miliardy dolarów?

— Można to tak ująć. - Oprócz oczywistych przymiotów, Tiffany miała ogładę i doskonałą dykcję, była elokwentna i świetnie wychowana. Stanowiła ludzki odpowiednik francuskiego pudelka. A jej tyłek, nawiasem mówiąc, wart był pokonania trzech kondygnacji schodów. - Zaś prawda jest taka, że Jason Morris to bardzo normalny mężczyzna. Ludzie uważają, że miliarder nie może być zwykłym facetem, ale Jason taki właśnie jest.

— O rany, życie jest takie niesprawiedliwe,

prawda? - Pokręciłem głową, a Tiffany zrobiła to samo.

- Jaka jest ulubiona drużyna futbolowa Jasona?

— Mm... Nie jestem pewna, czy Jason ma ulubioną drużynę... Prawdę mówiąc, nie ogląda sportu w telewizji.

— A jego ulubiony gatunek piwa?

— Bardzo dba o kondycję, dlatego nie pije piwa. - Zerknęła przez ramię i powiedziała: - Ale jeśli chce pan zasugerować, że jest manekinem, to się pan myli.

— Tak?

— Jest znanym wielbicielem wina. Magazyn „Wino i Ser” zrobił ostatnio duży artykuł poświęcony jego kolekcji... Może pan czytał?

— Nie. Ale dziękuję, że przypomniała mi pani o odnowieniu prenumeraty.

Tiffany pokręciła głową i roześmiała się cicho. Wyszliśmy z klatki schodowej i przemierzaliśmy korytarz. Potem minęliśmy zgrupowanie siedmiu czy ośmiu biur, przy których siedziały sekretarki; przed każdą z nich stały dwa lub trzy monitory komputerowe. Wszystkie rozmawiały przez telefon albo stuknęły zapamiętałe w klawiaturę. To niesamowite, że ktoś trzyma pluton sekretarek, które bez przerwy używają dwudziestu czy trzydziestu komputerów. Ja mam jedną asystentkę, która połowę czasu spędza na pogaduszkach z psiapsiółkami. Nie mam pojęcia, co robi poza tym.

Poszliśmy krótkim korytarzem, który prowadził do czarnych, lśniących dwuskrzydłowych drzwi. Tiffany najpierw pchnęła drzwi, a potem pchnęła mnie i w ten sposób znalazłem się w środku.

Pomieszczenie było mamucich rozmiarów. Jason Morris siedział daleko, na samym końcu, za ogromniastym, okrągłym białym biurkiem, na którym

stało dziesięć monitorów. Zerknął w moją stronę, podniósł palec, a potem znów zajął się stukaniem w klawiaturę; jednocześnie w tempie staccato mówił do mikrofonu o nadmiernie wysokich cenach pochodnych, załamujących się krzywych rynkowych i tym podobnych rzeczach. Zakręciło mi się w głowie od samego patrzenia. Wszystko, co znajdowało się w tym pomieszczeniu, należało do kategorii hi-tech. Fotele przypominały rzeźbione miski. Trzy czy cztery duże obrazy wiszące na ścianie wyglądały, jakby słoń wyrzygał się kolorowo na płótno. Wykładzina, dopasowana kolorem do mebli, była czarno-biała, w wirujący wzór; można było odnieść wrażenie, że wgramoliła się tu jakaś monstrualna zebra i wyciągnęła kopyta.

Moje gusta skłaniają się w stronę tradycji, ale wydaje mi się, że supermodernistyczny gabinet Jasona pasował do wizerunku czołowej firmy na rynku nowych technologii. Jason rozłączył się i wyskoczył zza biurka. Miał na sobie białą koszulkę, sweter i dżinsy. A ja odstrzeliłem się w ciemnogrnatowy garnitur od braci Brooks. Znowu poczułem się jak idiota.

— Sean, miło znów cię widzieć - rzekł Morris, wyciągając rękę. - Cieszę się, że mogłeś się urwać i wpaść do mnie na lunch.

— Cóż, wybór był niełatwy. Naprawdę nie mogłem się doczekać kolejnego lunchu z pudełka w sali pełnej księgowych.

— Naprawdę?

— Obiecywali, że podyskutujemy o skryptach dłużnych i indeksowaniu walut.

Roześmiał się.

- Nie jest tam za wesoło, co?

- Obracają na wszystkie strony każdą cyferkę.

Rozmawialiśmy, a Jason kierował mnie w stronę szklanego stolika w drugim końcu pomieszczenia. Mój tyłek właśnie opadał na krzesło, kiedy drzwi się otworzyły i wparowało dwóch kelnerów z wózkiem. Coś niesamowitego.

- Zamówiłem dla ciebie, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza - powiedział Jason. - Odniosłem wrażenie, że jesteś facetem mięsno-kartoflanym.

Nie byłem pewny, jak to rozumieć.

Tak czy owak, usiedliśmy i patrzyliśmy na siebie, a tymczasem kelnerzy błyskawicznie rozkładali serwetki, sztućce, potrawy i sosy. Przyszło mi na myśl, że Jason ma kręcka na punkcie czasu; był jednym z tych, którzy urodzili się z amfetaminą w tyłku. Drugie, co przyszło mi na myśl, to że Jason nie zaprosił mnie do siebie dlatego, że równy ze mnie gość i że warto mnie lepiej poznać. W jego pojęciu długa, trwała przyjaźń polega pewnie na wymianie wizytówek.

Zanim kelnerzy odeszli od stołu, Jason już kroił mięso. Ciach, ciach, jak w japońskim barze. Nie do wiary.

Podniósł głowę.

— Podobał mi się twój pomysł załatwienia sprawy z Nashem, nawiasem mówiąc. To doprowadzi tych ze Sprinta i AT&T do szału.

— Miejmy nadzieję.

— Oby. Dużo od tego zależy. - Skierował na mnie widelec i dodał: - Zabawne, że nikt inny na to nie wpadł. To musi być zasługa twojego doświadczenia w prawie karnym.

— Jak to?

— Niech prokurator wszystko udowodni... Czy nie w ten sposób myślicie?

— Czasami... Chyba że podejrzewasz, że jest w stanie to zrobić.

Popatrzył na mnie przez chwilę, a potem się roześmiał.

— Nasha w ogóle nie było na tapecie. A nie można udowodnić winy komuś, kogo nie ma, zgadza się? - Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rzekł: - Właściwie nie zaprosiłem cię tutaj, żeby rozmawiać o Nashu.

— Więc o czym porozmawiamy?

— O tobie. Zrobiłeś na mnie wrażenie.

— Więc może zechciałbyś szepnąć słówko mojemu szefowi. On mnie nienawidzi.

Jason znów się roześmiał.

— Zrobię coś lepszego.

— Co mianowicie?

Wsunął do ust dwa plasterki steku. Pytony dłużej żują ofiarę.

— Chcemy, żebyś pomyślał, czy się do nas nie przyłączyć.

— Do was?

— Tak, do nas... Do Morris Networks. Jessica od roku szuka bystrego prawnika. Uważa, że byłbyś doskonały.

— Mów dalej.

— To proste. Jessica nigdy nie była do końca zadowolona z twojej firmy. W niektórych sprawach są dobrzy, ale ona uważa, że przez brak doświadczenia w sprawach kryminalnych mają ograniczone pole widzenia.

— Jeśli mieszkasz w tropikach, nie powinieneś kupować futra. Dlaczego uważasz, że potrzebny ci karnista?

Jason odłożył nóż i widelec. Jego talerz był pusty, a ja żułem trzeci kęs.

. - Czy nie jest prawdą, że karańci myślą w inny sposób? - zapytał.

- Pewnie jest.

Zanim zdążył powiedzieć następne słowo, czarne drzwi znów się otworzyły i wpadł kelner, pchając następny wózek. Na jego blacie piętrzył się ogromny czekoladowy tort.

Jason wskazał ciasto.

- Ciemna Strona Księżyca. Robią go w New Jersey w piekarni o nazwie „Klasyczne Desery”. Facet, który ją prowadzi, to geniusz. Sami wyrabiają autentyczną belgijską czekoladę. Spróbuj. Dwa razy w tygodniu dostarczają mi je samolotem.

Jak już wspominałem, bogacze naprawdę mają dziwne zwyczaje. Skąd kelner wiedział, żeby wejść dokładnie w chwili, gdy Jason odłożył widelec - to była dla mnie zagadka. Rozejrzałem się za ukrytą kamerą, a kelner tymczasem zebrał naczynia ze stołu i postawił przed każdym z nas talerzyk z kawałkiem tortu. W tym pomieszczeniu świat wirował z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę. Wbiłem łyżeczkę w tort, żeby coś połknąć, zanim Jason wyrzuci mnie stamtąd na zbity pysk. Nawiasem mówiąc, miał rację: tort był wyśmienity.

— Sean, potrzebujemy twojego sposobu myślenia - mówił. - W firmie musimy czasem prowadzić dochodzenia w sprawach kryminalnych, takich jak sprzeniewierzenie, drobne kradzieże i tym podobne. Ty się tym zajmiesz.

— I potrzebny wam do tego prawnik na cały etat?

— Jessica uważa, że byłoby to wskazane. - Wrzucił do pieca kolejne dwa kawałki i dodał: - Chodzi

mi o twoje spojrzenie na kwestie korporacyjne i negocjacje.

— Nie wiem nic ani o jednym, ani o drugim, i nie obchodzą mnie.

— Jak dotąd idzie ci świetnie. Jeśli twój pomysł rozwiązania tej sprawy wypali, pomożesz firmie zarobić jakieś trzy miliardy rocznie.

Tort był już historią. Jason odsunął się od stołu.

-Oto moja propozycja. Tysiąc akcji jako dodatek przy podpisaniu umowy. Przy dzisiejszych cenach rynkowych to sto trzydzieści tysięcy dolarów. Pensja pięćset tysięcy z możliwością premii w wysokości pięćdziesięciu procent. Umowa na trzy lata, a jeśli ją zerwę, za pozostały okres dostajesz pełne wynagrodzenie bez premii.

W moim mózgu wirowało. To było dziesięć razy więcej, niż zarabiałem, a z premią - piętnaście.

Jason uśmiechnął się i popatrzył na mnie uważnie.

— Za kilka lat będziesz bardzo zamożnym człowiekiem, Sean - rzekł. - Byłbyś głupcem, odrzucając taką propozycję.

— Prawo to coś więcej niż zarabianie pieniędzy - bąknąłem bez przekonania. - Muszę się zastanowić.

Jason pokręcił głową i zachichotał.

- Widzisz, szukam kogoś, kto dokładnie tak rozumie wartości i zasady. - Zerknął na zegarek i dodał: - Słuchaj, muszę uciekać. Mam się spotkać z paroma klientami. Gdyby nie to, z przyjemnością pogadałbym o tym jeszcze kilka minut. Złożyłem ci wspaniałą propozycję... Przemyśl ją.

Poderwał się z krzesła i ruszył w stronę flotylli monitorów na biurku. Najwyraźniej lunch jako taki się skończył, więc wstałem posłusznie i skierowałem się do drzwi. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Jasona maszerującego wzdłuż szeregu ekranów, spoglądającego na każdy z osobna, analizującego Bóg wie co...

Wyszedłem. Tiffany już na mnie czekała.

- Ojej, pięć minut - zdziwiła się. - Naprawdę przypadliście sobie do gustu. Zwykle trwa to trzy minuty i do widzenia.

Pokręciłem głową.

— Może poszłaby pani ze mną na lunch?

— O Boże. - Nieskazitelną dłonią uderzyła się w nieskazitelne czołko. - Och, zapomniałam powiedzieć panu, że trzeba szybko jeść, tak?

— Nieważne. I tak nie miałem szans.

— Nikt nie ma. - Roześmiała się, a potem powiedziała: - Jason poprosił mnie, żebym pana oprowadziła. Wyjaśnił, że być może będzie pan u nas pracował, i kazał dopilnować, żeby wiedział pan, w co się łąduje.

Uszczypnąłem się. Prawie surrealistycznie piękna Tiffany Allison przychodzi po mnie, kręcąc ślicznym kuperkiem, jem lunch na wyścigi z miliarderem, dostaję od niego nieziemską propozycję, a teraz ta nadmuchana laleczka Barbie będzie mnie oprowadzała po firmie. Właśnie dla takich dni Sean Drummond wstaje rano z łóżka.

W drodze do windy zapytałem:

— Tiffany, dlaczego na biurku Jasona stoi aż tyle monitorów?

— Wie pan, czym zajmuje się firma, prawda?

— W zasadzie tak.

— Na trzech z tych ekranów pokazywane są informacje telewizji Bloomberg. Jason przywiązuje wielką wagę do tego, co dzieje się na Wall Street. Nasze fuzje przeprowadzane są za pomocą akcji, a pracownicy intensywnie inwestują, więc Jason uważnie śledzi ceny.

— A czy większość pieniędzy Jasona też jest w akcjach firmy?

— Tak.

— Oczywiście. Co z pozostałymi monitorami?

— Pięć z nich służy do śledzenia ruchu na naszych łączach. Dwa w Internecie, a pozostałe trzy monitorują łącza specjalne, takie jak sieć Departamentu

Obrony, na którą wygraliśmy przetarg w ubiegłym roku.

— Dlaczego Jason miałby się tym interesować?

— Jesteśmy jak zarząd dróg. Musimy wiedzieć, skąd pochodzi ruch i dokąd zmierza. Dzięki obserwacji tych monitorów wiemy, gdzie jest największy przepływ, i możemy skierować go do innych linii światłowodowych, żeby uniknąć korków.

— Kim jest Jason, czarodziejem z krainy Oz?

— O Boże, Jason tego nie robi. - Roześmiała się. - Wszystko to załatwia się za pomocą routerów i przełączników. Jason lubi tylko widzieć, że działają skutecznie. Ostatnie dwa monitory są do wideokonferencji. To właśnie nasze wielkie

źródło dolarów i przyszłość korporacji, więc Jason używa go do załatwiania wszystkich wewnętrznych spraw firmy.

Zjechaliśmy dziesięć pięter w dół. Drzwi windy otworzyły się na ogromne, zaciemnione pomieszczenie. Temperatura spadła o jakieś dwadzieścia stopni. Za konsolami siedziało w skupieniu ze sto osób. Na ścianach wisiały trzy wielkie ekrany, na których migotały linijki z danymi. Czwarta ściana zbudowana była z dużych, szarych metalowych skrzynek, z których wychodziły zwoje kabli. W każdej chwili spodziewałem się ujrzeć Dartha Vadera, który wychynie skądś i rozkaże podwładnym zniszczyć wszechświat.

- Sala operacyjna numer sześć - wyjaśniła Tiffany. - Tutaj wykonujemy umowy z liniami lotniczymi. Dajemy łącza internetowe i zapewniamy przepływ danych dziewięciu głównym przewoźnikom. - Wskazała maszyny stojące przy ścianach. - Gdybyś rzucił w tej sali bombę, całe lotnictwo cywilne Stanów Zjednoczonych przestałoby funkcjonować.

Nagle pożałowałem, że nie zabrałem ze sobą bomby. Tiffany podeszła do konsoli.

— Mark zajmuje się obsługą klientów. Jeśli linie American Airlines chcą się dowiedzieć, dlaczego wiadomość, która została wysłana do dostawcy części zamiennych, nie doczekała się odpowiedzi, Mark ustala, na czym polega problem.

— Możecie odczytać wszystkie przepływające wiadomości?

— Oczywiście. Każdy klient i każda wiadomość jest zakodowana, więc Mark ściąga ją z serwera. Zwykle problem polega na tym, że wiadomość została wysłana pod zły adres albo operator linii lotniczych zakodował ją w niewłaściwy sposób.

— Jakie macie obroty?

— Trzy miliardy w ostatnim kwartale. W tym samym kwartale ubiegłego roku zanotowaliśmy dwa i sześć dziesiątych miliarda. Nieźle, jeśli wziąć pod uwagę podły stan gospodarki. Dysponujemy najlepszą techniką na świecie i mamy najlepiej zmotywowaną załogę.

— Dlaczego wasza załoga jest najlepiej zmotywowana?

— Bo wierzymy w Jasona.

— Rozumiem. A dlaczego wierzycie w Jasona?

— Hm... Dlatego że jest... wyjątkowy. W ciągu ostatnich czterech lat cały przemysł telekomunikacyjny przechodził załamanie. Kilkadziesiąt firm musiało zwinąć interes i ogłosić upadłość. To walka o przetrwanie najlepiej przystosowanych, a my jesteśmy nie tylko najlepiej przystosowani, ale pozostaliśmy dochodowi i notujemy wzrost. Jason to geniusz. - Przyjrzała mi się uważnie i spytała: - Ale pan jest sceptykiem, prawda?

— Wstrzymuję się z oceną.

— Nie przeszkadza mi to. Każę przygotować pakiet z naszym rocznym rozliczeniem i kilkoma artykułami o firmie. Proszę je przeczytać. Jeśli nadal będzie pan „wstrzymywał się z oceną” albo będzie pan miał pytania, niech pan do mnie zadzwoni. Porozmawiamy o tym... Może jutro w czasie lunchu?

Byłoby to wysoce nieszlachetne, gdybym nie omówił z panną Tiffany przynajmniej kilku kwestii.

Tymczasem kontynuowaliśmy obchód. Przeszliśmy przez kolejne sale operacyjne i biura, by wreszcie dotrzeć do pomieszczenia, w którym znajdował się - jak wyjaśniła Tiffany - rewolucyjny układ kompresji i dekompresji wideo. Działanie systemu polegało na spakowaniu miliardów bitów

informacji, na przykład głosów, obrazów albo jeszcze czegoś innego, w czymś w rodzaju cyfrowej ubijarki, zamianie ich w światło, puszczeniu po światłowodzie, a później wyciągnięciu tych wszystkich kawałeczków z ubijarki i odtworzeniu w pierwotnej, nieskazitelnej postaci.

Tak w każdym razie zrozumiałem jej tyradę, lecz zwykle podobne wywody zanudzają mnie do łez. Cały ten cyfrowy galimatias to wspaniała rzecz, prawda? Bez niego nie mógłbym cieszyć się w niedzielne popołudnie oglądaniem meczów w telewizji. Ale oszczędźcie mi zakichanych szczegółów, dobrze? Lecz propozycja warta trzy czwarte miliona dolarów rocznie plus premia zaostrzyła moje zainteresowanie szczegółami technicznymi. Obecność Tiffany natomiast jakby zaostrzyła coś innego.

Ale wszystko co dobre musi się kiedyś skończyć, więc Tiffany odstawiła mnie z powrotem do sali konferencyjnej. Pakiet, który obiecała, dotarł do mnie niebawem i pozwolił oderwać się od bełkotu księgowych.

O czwartej drzwi się otworzyły i podniosłem głowę z nadzieją, że zobaczę moją nową kumpelkę. Lecz nie była to Tiffany, tylko recepcjonistka z dołu, prowadząca paskudnego małego pokurcza, który dziwnie przypominał Daniela Spinellego w bardzo złym humorze.

ROZDZIAŁ 19

Wokół długiej, lśniącej czarnej limuzyny odbywała się poważna konferencja policyjna. Pluton funkcjonariuszy straży miejskiej z Virginii i tłumek miejscowych policjantów w mundurach i w cywilu - wszystkimi pomiatali krótko obcięci, szorstcy w obejściu faceci w szarych i granatowych garniturach, którzy mogliby w zasadzie mieć na czołach stempel FBI. W pobliżu stało piętnaście vanów sieci telewizyjnych i gazet, zaś niesforna armia reporterów, operatorów i fotografów słuchała wypowiedzi przystojnego federalniaka w eleganckim garniturze. Ponad głowami całego towarzystwa krążyło kilka dziennikarskich śmigłowców.

Tylko dwie rzeczy mogły przyciągnąć dziennikarzy w takiej sile: darmowa gorzała i szczególnie krwawe zabójstwo.

Stałem koło Spinellego na małym parkingu z pomnikiem Iwo-jimy na skraju. Przyszło mi do głowy, że pomnik nie przyciągnął takiego tłumu od dnia, kiedy go odsłonięto. Pięć minut po naszym przyjeździe na ulicy nieco dalej zatrzymała się taksówka, z której wysiadła Janet Morrow. Przyjechałem tutaj jaguarem za Spinellim. Dobrze się złożyło, bo dzięki temu miałem pretekst do ucieczki.

Widząc wyraz twarzy zbliżającej się Janet, odniosłem wrażenie, że oboje mamy to samo przecucie: we wnętrzu limuzyny doświadczał *rigor mortis* ktoś, kogo nazwisko warto było

umieścić na pierwszej stronie gazety. Muchy przylecą do każdego trupa, ale reporterzy są trochę bardziej wybredni.

Spinelli gapił się ponuro na swoje buty, ściskając i rozluźniając mięśnie szczęki. Wydawało mi się, że jest bardzo zirytowany mną i nią, a ta limuzyna dopiekła mu do żywego. Nie naciskałem go jednak. Kiedy stoi się obok wkurzonego faceta, który ma broń, cierpliwość jest szczególnie wartościową cnotą.

Janet skinęła grzecznie głową i zapytała:

- Kto zginął, Danny?

Spinelli zignorował pytanie i powiedział sztywno:

- Chodźcie za mną.

Zaprowadził nas prosto do limuzyny, migając odznaką i bluzgając na dwóch naiwnych strażników miejskich, którzy próbowali go zatrzymać przy żółtej taśmie. Przednie i tylne drzwi limuzyny wisiały na zawiasach, otwarte. Podeszliśmy najpierw do drzwi od strony kierowcy. Na podłodze wozu zobaczyłem dobrze zbudowanego mężczyznę o latynoskim wyglądem w ciemnym garniturze. Leżał zwinięty, a na jego czole zakrzepła wąska, czarna strużka krwi. Rana była zaklejona czarną taśmą izolacyjną.

Zajrzeliśmy przez tylne drzwi. Na siedzeniu rozpostarte było nagie ciało młodej kobiety. Siedziała wyprostowana. Wydawało mi się, że zwłoki, tak jak ciało Julii Cuthburt, zostały upozowane: szeroko rozłożone ręce i nogi stanowiły przerażający obraz całkowitej bezbronności. Prawdopodobnie było to kolejne przesłanie dla policji. Jej kostki i nadgarstki były zaczerwienione, na podłodze leżała szminka i lusterko. Była naga, a ubranie leżało obok, starannie złożone. Sądząc z okoliczności, przez mordercę. Wyglądało na to, że była skrępowana i zaciekle się

bronila, ale nie widziałem ani linki, ani niczego innego. Zabójca, tak jak poprzednio, nie zostawił żadnych wskazówek. Podejrzewałem, że zaparkował samochód na asfalcie, żeby policja nie mogła zebrać odcisków butów.

Nachyliłem się i dokładniej przyjrzałem ofierze. Na jej piersiach, rękach i nogach widać było liczne sińce. Zauważyłem też na ramionach i torsie ślady oparzeń po czymś małym i bardzo gorącym, papierosie albo zapalniczce. Skóra była woskowata, a wnętrze samochodu okropnie cuchnęło, bo zwłoki zaczęły wypełniać się gazem. Na tej podstawie należało sądzić, że ona i kierowca nie żyli co najmniej od dwunastu godzin. Kobieta była dość ładną brunetką, jej twarz z czymś mi się kojarzyła, choć nie potrafiłem sprecyzować. Obrazu dopełniała głowa skrzycona w prawo pod nienaturalnym kątem. Tak zakończyło się jej życie. Twarz wyrażała warknięcie, jeśli można tak powiedzieć.

- Znasz ją? - spytał Spinelli, zwracając się do Janet.

Nie odpowiedziała.

Głowę wciąż trzymała we wnętrzu limuzyny, oglądając uważnie miejsce zbrodni. Pomyślałem, że Spinelli sprowadził nas tutaj i zaaranżował wszystko tak, by wywołać szok albo zdumienie. Wyraz jego twarzy wskazywał, że w tej chwili jest zły i sfrustrowany.

— Pytałem, czy ją znasz? - powtórzył. Janet spojrzała przez ramię i odparła chłodno:

— Wszyscy ją znają, Danny. To Carolyn Fiorio.

— Czy ty ją znasz? - zapytał z rozdrażnieniem.

— Widziałam ją w telewizji i czytałam o niej w gazetach. To wszystko.

— A ty, majorze?

— Słyszałem o niej. Ta dziewczyna z talk-show, tak?

— A twoja siostra ją знаła? - zapytał Spinelli Janet.

— Jeśli tak, to nic o tym nie wiedziałam. Spinelli wyglądał, jakby przeżuwał swój język.

— Chodźcie ze mną - rozkazał.

Podeszliśmy do kilku dębów stojących jakieś czterdzieści metrów od limuzyny. Spinelli rozejrzał się na wszelki wypadek, nie chciał, żeby ktoś nas usłyszał.

Położył dwa palce na czubku nosa, jakby coś skubał, i spojrzał groźnie na Janet.

- Wczoraj o dziewiętnastej piętnaście Fiorio miała być na jakiejś wielkiej balandze. Limuzyna została zamówiona przez personel stacji telewizyjnej, miała ją zabrać spod studia mniej więcej pięć po siódmej. Ten nieboszczyk na podłodze, to Miguel Martinez... szofer, który jeździł zwykle tą limuzyną. Żona, troje małych dzieci. Fiorio nie dojechała na przyjęcie, więc ze studia zadzwoniono do firmy taksówkowej, a tamci spróbowali połączyć się z Martinezem przez radio. Około północy sieć telewizyjna zadzwoniła do stołecznej policji i zgłosiła zaginięcie dziennikarki i limuzyny. Trzy godziny temu placówki NBC i CBS w Waszyngtonie odebrały anonimowy telefon z informacją, że limuzyna jest tutaj.

Z tonu głosu Spinellego można było wywnioskować, że zajmujemy wysokie miejsce na jego czarnej liście albo niskie na liście jego ulubieńców, co w jego przypadku wychodziło na jedno.

Janet otworzyła usta.

- Ja...

Spinelli podetknął jej palec pod nos.

— Słuchaj mnie, paniusiu.

— Słucham.

— Ty coś wiesz, czuję to.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Stąпам po cienkim lodzie. Jako oficer śledczy w sprawie pierwszego morderstwa należę do grupy operacyjnej i spada na mnie masa gówna, więc przestań sobie ze mną pogrywać.

— Co twoim zdaniem wiem, Danny? - spytała spokojnie Janet.

— Mam dość tej zabawy.

— Zabawy?

— Ty wiesz, o czym mówię.

— Nie, oświeć mnie.

Spinelli kopnął w ziemię. Na wydziałach prawa uczą nas, jak wkurzać ludzi. Podejrzewam, że panna Morrow miała z tego przedmiotu bardzo dobre stopnie.

- Nie rozumiesz? - zapytał sfrustrowany Spinelli. – Po twojej siostrze zostały zamordowane jeszcze dwie kobiety. Jeśli nie zgarniemy tego bydlaka z ulicy, będzie ich więcej. - Spojrzał na nią przenikliwie i dodał: - No, słucham. Ty coś wiesz, prawda? Więc gadaj.

— Co, na przykład?

— No nie, kurwa.

Staliśmy więc we trójkę, Spinelli, Janet i ja, nie odzywając się przez pół minuty. Z drzewa spadł żołądź i wylądował u naszych stóp, przeleciał samolot, zostawiając za sobą długą smugę.

— To ten sam człowiek, tak? - spytała w końcu Janet.

— Tak, tak, ten sam zasraniec. Ustaliliśmy, że ofiara zginęła wczoraj około dziewiątej wieczorem. Tak samo jak twoja siostra i Julia Cuthburt.

— Uważacie, że to morderca zadzwonił do NBC i CBS? - zapytałem.

— Tak myślimy.

— Więc rozmyślnie podgrzewa atmosferę - zauważyła Janet. - Wybrał Fiorio, bo jest sławna. Sam robi sobie reklamę, by zmusić was do publicznego przyznania, że na ulicach szaleje potwór.

Spinelli nie musiał na to odpowiadać, więc milczał.

- Ale dlaczego? - zastanawiała się głośno Janet. Popatrzyła na limuzynę i sama odpowiedziała na swoje pytanie: - Bo chce zasiać panikę.

Spinelli skierował palec na armię reporterów.

— A ona już się zbliża.

— Co jeszcze wiadomo? - zapytała Janet, a ja popatrzyłem na nią zdziwiony. Teraz Spinelli odpowiadał na jej pytania. - No, Danny, czego nam nie powiedziałaś?

— Ten kutas ujawnił prasie całą masę gówna, więc i tak się dowiecie. Na dłoniach ofiar były cyfry napisane atramentem. Na ręce twojej siostry była jedyńka łamana przez dziesięć, a na dłoni Fiorio trójka przez dziesięć.

Janet skrzyżowała ręce i zapytała:

— Dlaczego nam o tym wcześniej nie powiedziałeś? Spinelli wzruszył ramionami, ale ja dla pewności spytałem:

— Więc on je numeruje?

— Taak. Poza tym spuszcza się na nie. Janet spojrzała surowo na agenta i spytała:

— Na Lisę też?

— Na nogawce spodni twojej siostry znaleźliśmy spermę. Ale mamy duży kłopot... I tego nie usłyszycie w wiadomościach.

— No mów.

— DNA się różni.

— Różni się...? Wyjaśnij to dokładniej.

— Wiem, że to dziwne - odparł Spinelli. - Spermę na ubraniu kapitan Morrow nie pasuje do spermy na ciele Julii Cuthburt. Na nodze Fiorio też jest. Jutro będziemy wiedzieli, czy pasuje do spermy na spodniach twojej siostry lub na zwłokach Cuthburt. Ale w tej chwili zakładamy, że mamy do czynienia z parą świrów.

Janet myślała przez chwilę, a potem powiedziała:

— To nie ma sensu, Danny. Seryjni zabójcy to samotnicy i społeczne wyrzutki. Oni uważają to, co robią, za rzecz bardzo intymną.

— Czytam podręczniki. Ale jest jak jest.

— Znalaziono jakieś włosy łonowe na miejscach zbrodni? - spytała.

— Tylko należące do ofiar. Janet pokręciła głową.

— To też nie ma sensu.

— Niby dlaczego?

— Chyba że zabójcy się golą... - zasugerowałem. Spinelli spojrzał na mnie zaskoczony.

- Taak. O tym nie pomyśleliśmy, że te typy mogą się golić na dole. No bo co za facet...?

Przeszedłem się parę kroków, próbując przetrwać najnowsze informacje.

- Więc morderca wiedział, że Fiorio miała wczoraj być na tym wielkim przyjęciu. Może pisano o

tym wcześniej? - Spinelli skinął głową, więc
ciągnąłem: - Prawdopodobnie śledził przez kilka dni
Fiorio i dowiedział się, że korzysta z usług firmy
taksówkowej. Czekał przed studium na limuzynę.

Spinelli wskazał palcem punkt między oczami i
powiedział:

— Martinez przyjechał jakieś pół godziny przed czasem, zadzwonił do centrali i stanął jedną lub dwie przecznice od studia. Podejrzewamy, że zabójca podszedł do okna limuzyny, jakby chciał zapytać o drogę albo poprosić o ogień, a niczego nieświadomy Martinez otworzył okno. Pistolet miał prawdopodobnie tłumik. Ślady prochu na czole Martineza wskazują, że strzelono z odległości mniej więcej sześciu centymetrów. Lufa była skierowana w dół. Martinez miał podniesioną głowę, a zabójca chciał, żeby pocisk przeszedł przez gardło i do klatki piersiowej. Chodziło mu o to, żeby nie nabałaganić, bo Fiorio mogłaby coś zauważyć przy wsiadaniu. Zakleił nawet otwór po kuli taśmą izolacyjną, żeby krew się nie lała.

— Jaki typ pistoletu?

— Sądząc z wielkości otworu, kaliber czterdzieści pięć.

— Z bezpośredniej odległości, lufa skierowana w dół?

— Tak.

— Profesjonalna technika i dobór broni. Mała prędkość i duży kaliber powodują katastrofalne spustoszenie. Przymuszczałnie zabójca użył miękkiego pocisku, żeby ten nie odbił się od kości i nie wyleciał z ciała, robiąc mnóstwo bałaganu. - Spinelli znów skinął głową. - Prawdopodobnie otworzył jej drzwi, kiedy wsiadała. Zginęła koło dziewiątej, tak?

— Taak.

— A my zobaczyliśmy ślady tego, co robił przez dwie godziny, które z nią spędził?

Janet pomyślała chwilę i rzekła:

— Wygląda na to, że zabójca lubi poznawać swoje ofiary. Albo lubi, jak ofiara poznaje jego.

— To dwie różne rzeczy - zauważył Spinelli.

— Tak - potwierdziła Janet. - Przymuszczałnie

to drugie. To, że doprowadza się później do wytrysku, coś oznacza... Ale co? - Zastanowiła się nad swoim pytaniem i ciągnęła: - Cuthburt i Fiorio były związane i torturowane. Bóg jeden wie, co zabójca planował dla Lisy, pewnie coś podobnego. Skręca im karki, ponieważ jest to dzieło rąk, coś osobistego... Ostateczne świadectwo dominacji. Punkt szczytowy następuje tuż po

zabójstwie. Nie udało mu się dręczyć Lisy, a mimo to miał wytrysk.

— Ciągłe mówisz o jednym zabójcy - odezwał się Spinelli. - Wątpisz, by było ich dwóch?

— Zdecydowanie w to wątpię.

— Więc wyjaśnij, skąd różnica w DNA.

— Nie potrafię. Ale wszystko pasuje do wizerunku samotnego mordercy. Dominacja, czas spędzany z ofiarą, szczytowanie po fakcie, wszystko.

— Może dwóch zdrańców zawarło jakieś przymierze? - zasugerował Spinelli. - Zabijają osobno, ale koordynują swoje działania.

Janet pokręciła głową.

— Jakie są szanse zejścia się dwóch maniaków?

— FBI zaprzęło dwóch psychologów do sporządzenia wizerunku - powiedział Spinelli. - Wieczorem będziemy mieli ich raport.

— Coś jeszcze? - zapytałem.

Popatrzył na nas uważnie. Najwyraźniej uznał nas za stracone przypadki, ale nie mógł się powstrzymać przed podjęciem jeszcze jednej próby.

- Taak. Jeśli któreś z was coś przede mną ukrywa, powieszę was za jaja.

Skinąłem głową, a potem odprowadziłem Janet do jaguara. To dziwne, ale mój szacunek dla Spinellego wzrósł. Szacunek, nie sympatia. Gliniarzy uczy się analizowania faktów i wyciągania wniosków. Ale ci naprawdę dobrzy mają nosa do tego co niewidzialne i intuicję pozwalającą oceniać ludzi. Spinelli miał rację: Janet coś ukrywała.

Ale nie tylko przed nim. A ja miałem tego dość.

Obracał w palcach zdjęcie Annę Elizabeth Carrol, wsłuchując się jednocześnie w telewizyjną relację z miejsca brutalnego morderstwa Carolyn Fiorio.

Relacja była przyjemnie perwersyjna: paplanina na kanałach informacyjnych, ciąg zgrzytliwych raportów specjalnych na innych programach. Panujący nastrój można było określić jako zimny szok. Na wszystkich kanałach dziennikarze zwracali uwagę na straszną ironię faktu, że zaledwie kilka minut przed swoją przerażającą śmiercią Fiorio odważnie wypowiadała się przeciw karze śmierci. Dwie stacje telewizyjne przygotowały na wieczór emisję filmów dokumentalnych o życiu i imponujących osiągnięciach dziennikarki. Zanotował sobie w pamięci, żeby obejrzeć program o dwudziestej pierwszej, zapowiadało się dość intrygująco. Przeskakiwał z jednego kanału na drugi. W końcu, czując, że rozboleł go kciuk, włączył CNN, gdzie co kwadrans podawano najnowsze wiadomości.

Dyrektor FBI o zaczerwienionej twarzy sprawiał wrażenie poirytowanego, a zarazem wyniosłego, gdy pędził na miejsce zbrodni; wygładzał włosy i garnitur, stojąc przed kamerami, i usilnie starał się stworzyć wrażenie, że on i jego agenci zduszą tę potworność w zarodku.

Długa czarna limuzyna została sfotografowana ze wszystkich stron pod każdym możliwym kątem. Świadomość, że w środku

znajdują się zwłoki zamordowanej młodej kobiety, sprawiała, że wóz wyglądał posępnie i pogrzebowo. Był gotów iść o zakład, że miejscowe firmy wynajmujące limuzyny zanotują okrutny spadek obrotów. W górze krążyły helikoptery z kamerzystami - mechaniczne ścierwojady, pokazujące gliniarzy snujących się z notatnikami w rękach i próbujących nie sprawiać wrażenia skołowanych. A tacy właśnie byli, nie miał co do tego wątpliwości.

Wystanie w bój przez FBI najbardziej wygadane demona wcale nie poprawiło sytuacji. W gruncie rzeczy zabawnie było patrzeć, jak się wije. Wyglądał, jakby kopnięto go w żebra, gdy reporterzy NBC i CBS zaskoczyli go informacjami, których nie powinni byli znać. Rzecznik Biura stwierdził w końcu, że to przegrana sprawa, i umknął przed natrętnymi kamerami i przenikliwymi głosami dziennikarzy.

A pismaki były wściekłe i pełne pasji. Fiorio, jedna z nich, zginęła okrutną śmiercią. Tragiczny koniec dziennikarki, początek apokalipsy. Zgraj a farbowanych lisów. Niejeden dzwonił już do swojego agenta, błagając o szansę zastąpienia Fiorio i marząc o umowie na sześć milionów dolarów. To straszne, co j spotkało biedną Carolyn, ale cóż, życie musi toczyć się dalej.

Na ekranie pojawiła się facjata, na którą czekał, więc momentalnie zrobił głośniejsze. Jerry Rosen, wysłannik CNN na miejsce zbrodni, mówił, marszcząc posępnie czoło: „...A policja dopiero teraz przyznała, że między trzema morderstwami istnieje związek. Od naszych informatorów dowiedzieliśmy się, że Carolyn Fiorio była brutalnie torturowana i napastowana seksualnie, zanim morderca złamał jej kręgosłup. Pierwsza ofiara, Lisa Morrow, uniknęła dręczenia, być może dlatego, iż zabójca bał się, że może zostać

przyłapany. Lecz druga ofiara, Julia Cuth-burt, również była dręczona i napastowana seksualnie”.

Rosen skinął głową, słuchając pytań dziennikarza prowadzącego program w studiu. „Tak, Harvey zabójca napisał cyfry na dłoniach ofiar. Jeden, dwa i trzy. Po każdej postawił ukośnik i liczbę dziesięć”.

„To brzmi złowieszczo, Jerry”, odparł gospodarz programu. „Czy są jakieś hipotezy dotyczące znaczenia tej dziesiątki? „.

„Istnieją teorie, że morderca planuje zabicie dziesięciu młodych kobiet i że... odhacza je po kolei. Ale to nie musi być prawda. Rzecznik FBI ostrzegął, by nie wyciągać pochopnych wniosków. Twierdził, że liczby mogą oznaczać jakiś kod bądź talizman, mogą być nawiązaniem do ustępów z Biblii albo datami”.

„Naprawdę...?”.

„To, co teraz powiem, może wydać się dziwne. Otóż wysoko postawiony agent FBI, członek grupy dochodzeniowej, poinformował nas, że trzy lata temu w Los Angeles zdarzyła się seria krwawych morderstw. Były zastanawiająco podobne do tych, które mieliśmy tu, w Waszyngtonie. Zabójca również oznaczał swoje ofiary, nadając im kolejne numery, od jednego do pięciu”.

„Czy został złapany? „, spytał gospodarz wiadomości, świadomie naprowadzając reportera na odpowiedź.

„Nie”, odparł ze smutkiem Rosen. „Zabił pięć młodych kobiet i wymknął się FBI. Do tej pory uważano, że zmarł lub uznał po prostu, że ma dość. Teraz wydaje się możliwe, iż trwał w hibernacji „. Rosen zrobił pauzę i spojrzał melodramatycznie w obiektyw kamery. „Wiele wskazuje na to, że morderca przeniósł się do Waszyngtonu”.

W CNN zaczęto mówić o czymś innym, więc wyłączył głos. Od tej pory błędy są niebezpieczne. Nie należy nie doceniać FBI. Nie bez powodu są drużyną A wymiaru sprawiedliwości.

Dokonał szybkiego przeglądu swoich postępów i uznał je za satysfakcjonujące. Zabójstwa spadały na nich szybko i uderzały mocno. Zanim gliny zdołały zebrać i zanalizować dowody z jednego miejsca, już zalewała je fala materiałów z następnego. Są tylko ludźmi. Każde nowe zabójstwo odciąga ich uwagę od wcześniejszych. Szkoli się ich w szukaniu podobieństw i cech szczególnych, w dopasowywaniu wszystkiego do określonego wzoru. Próbują zrozumieć wypaczony umysł, który je zrodził, i w trakcie tych poszukiwań coraz bardziej oddalają się od prawdziwych podobieństw.

Spojrzał na zdjęcie Annę Carol i znóws zdziwił się, że jej nos jest tak nieproporcjonalny w stosunku do rysów twarzy. Ogromny i zniekształcony, wyraźnie świadczył o jakimś zranieniu, stanowił dominującą cechę twarzy, która poza tym była szczupła i wąska. Zdumiewało go, że nie naprawiła sobie nosa. Jego ostatnia operacja nosa kosztowała zaledwie trzy tysiące i została przeprowadzona przez specjalistę uznawanego za jednego z najlepszych. Za dwa tysiące mogła kazać zmniejszyć kość, zwęzić nozdrza i mężczyźni by się za nią oglądali. Piękne blond włosy, słiczne błękitne oczy. Usta trochę za wąskie i surowe jak na jego gust, lecz kobiecie niewiele brakowało, by uznać ją za naprawdę urodziwą.

Stanowiła poważne wyzwanie, ale uznał zadanie za wykonalne. Solidna szóstka - jedynymi sygnałami ostrzegawczymi był związek z wymiarem sprawiedliwości, choć nikły, i skłonności homoseksualne. Bez tych czynników miałyby o jeden

punkt mniej. Nagłe przyszło mu na myśl, że to właśnie lesbijskie skłonności najprawdopodobniej tłumaczyły, dlaczego nie naprawiła sobie nosa. Nie lubił uogólnień, ale tym wszystkim lesbijkom wydawało się, że są zwolnione z typowych obciążeń związanych z byciem kobietą.

Nigdy przedtem nie zaliczył lesbijki. To mogło się okazać trudne. Był przekonany, że rozumienie ofiar jest jego cechą charakterystyczną, kluczem do sukcesów.

Z grubej książki, którą wczoraj w pośpiechu przeczytał, wynikało, iż kobiety o takich skłonnościach dzielą się na dwie kategorie: dominujące, o cechach męskich, i bierne owieczki. Nie ufał stereotypom, lecz podręcznik został napisany przez znawcę zagadnienia i zasługiwał na uwagę.

Annę Carrol była gwiazdą piłki nożnej w liceum i w college'u, twardą stoperką. Jeździła granatowo-czarnym jeepem wrang-lerem ze srebrnymi chlupaczami i potężnymi, za dużymi oponami. Uprawiała wspinaczkę, rok temu zimą wybrała się do Tybetu na dwutygodniowy kurs wspinaczkowy. Kiedy nie była w pracy, zwykle nosiła spodnie, flanelowe koszule i martensy. Regularnie gościła w pobliskiej siłowni i podnosiła spore ciężary. Stał w kącie i widział, jak Annę Carrol, leżąc na ławeczce, dźwiga siedemdziesiąt kilo. Szczerze się zdziwił, że kobieta o tak kościstej, ptasiej posturze zdołała dokonać czegoś takiego.

Nie obnosiła się ostentacyjnie ze swoim stylem życia, ale też w żaden sposób nie próbowała go ukrywać czy kamuflować. Przed dwoma miesiącami rozstała się z dziewczyną, z którą mieszkała, i przeprowadziła się do małego mieszkania w Crystal City w Wirginii. Nie piła, a narkotyki przestała

zażywać, kiedy skończyła prawo i dostała pracę w administracji.

Wcześniej zrobiła dyplom z zarządzania. Miała naturalne zdolności analityczne: w Komisji Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń uważano ją za cudowne dziecko. W sześciokondygnacyjnej siedzibie tej instytucji pracowała czternaście godzin na dobę. Należała do Partii Demokratycznej, dawała pieniądze na liberalne zgromadzenia, a jej specjalizacją i pasją były oszustwa korporacyjne i defraudacje. Na swoje nieszczęście była też niecierpliwa, arogancka i sarkastyczna, więc często zdarzało jej się nadepnąć komuś na odcisk. Dlatego Komisja trzymała ją z daleka od dochodzeń, po godzinie spędzonej w jej towarzystwie przysięgli bez najmniejszych wątpliwości stanęliby po stronie obrony. Szefostwo roztropnie skierowało ją więc do jednej z sal na tyłach, gdzie zajmowała się analizą transakcji giełdowych i dorocznymi sprawozdaniami firm oraz wybierała cele dochodzeń dla grubych ryb na górze.

Rzucił zdjęcie na stół i wyjrzał przez okno na podwórze przed apartamentami kierowniczymi. Jego pokój był w istocie apartamentem składającym się z salonu, małej kuchenki i przestronnej sypialni. Kuchenka była niezbędna, stanowiła enklawę, w której zaszywał się, kiedy nie działał. Im mniej śladów zostawiał, tym lepiej. Płacił gotówką za produkty spożywcze i zanosił je do domu. Wszystkie trzy wynajęte samochody, wzięte z miasta, stały w garażu. Jego ostatni bilet lotniczy był na lotnisko Waszyngtonu do Filadelfii, gdzie wsiadł do wynajętego wozu i przyjechał z powrotem. W tym czasie wspólnik posługiwał się jego kartą płatniczą i kartą identyfikacyjną, zostawiając liczne ślady w północnej części New Jersey i w Nowym Jorku. Nie istniały żadne elektroniczne ślady

*świadczące o jego pobycie w samym Waszyngtonie lub
w pobliżu.*

Ściany sypialni oklejone były zdjęciami ofiar, tabelami i spostrzeżeniami dotyczącymi ich nawyków i przyzwyczajień. Nie pozostaną takie długo: wkrótce będą gołe, a ostatni dowód zostanie spalony. Przejdzie po pokojach z butelkami pine-solu i windeksu, zmyje wszystko i zetrze odciski palców. Wynajął apartament na miesiąc i zamierzał wynieść się tydzień przed czasem.

Wszedł do łazienki, rozebrał się i spojrzął w lustro. Jego głowa była ogolona, a mimo to wszedł do wanny i rozprowadził piankę do golenia prawie na każdym centymetrze kwadratowym potężnego ciała. Od ostatniego golenia minął dopiero jeden dzień, ale niczego nie wolno zostawiać przypadkowi. Gliny mogłyby przyjść na miejsce zbrodni z odkurzaczem, a i tak nie znalazłyby niczego, co pozwoliłoby ustalić DNA i odciski palców. Jedynymi włosami na jego ciele były brwi i rzęsy, ale tych nie mógł się pozbyć, gdyż za bardzo rzucałby się w oczy. A na to nie mógł sobie pozwolić.

Wieczorem psychologowie FBI z pewnością orzekną, że jest tym samym zabójcą, który trzy lata temu wywołał panikę w Los Angeles. Profile psychologiczne ofiar, bezbłędne plany i ich wykonanie, tortury i sposób zabijania - przestudiują wszystko i bez wątpienia dojdą do tego właśnie wniosku. Wszystko się zgadzało, łącznie ze skręceniem karku w prawą stronę i wytryskami.

Laboranci zauważą, że sperma nie pasuje do próbek znalezionych na miejscach zbrodni w Los Angeles, ale poszczególne próbki z Waszyngtonu też do siebie nie pasowały.

Dodadzą ofiary z LA i założą, że Carolyn Fiorio była ofiarą numer osiem, a nie trzy, i będą rwali włosy z głowy, żeby zrozumieć logikę jego działania.

Agenci FBI przypomniał sobie z pewnością, że zabójca z Los Angeles również miał irytujący zwyczaj dzwonięcia do prasy i podawania szczegółów, co doprowadzało detektywów do szału. To była wielka gra, a szachownica znajdowała się w jego rękach; właśnie dlatego zadzwonił do NBC i CBS, podając im miejsce postoju limuzyny i kilka smakowitych szczegółów, którymi mogli zaskoczyć rzecznika FBI. Wielka szkoda, że nie widział twarzy zaszokowanych gliniarzy, którzy wpadli na miejsce zbrodni z piskiem opon i zastali tam już ekipy z kamerami.

O północy pluton rozwścieczonych federalniaków zostanie wpakowany do samolotu lecącego na wybrzeże. Wylądują w Los Angeles i będą gorączkowo analizowali wszystkie szczegóły tamtych zabójstw.

Przesunął maszynką po klatce piersiowej i zachichotał. To zabawne, ale na długo przed upływem obiecanych dwóch godzin Carolyn Fiorio całkowicie zmieniła zdanie w kwestii kary głównej. Zanim z nią skończył, była prawdopodobnie najbardziej żądnym krwi rzecznikiem kary śmierci w całym tym cholernym kraju.

ROZDZIAŁ 21

Słońce zachodziło łagodnie, gdy wyjechaliśmy z parkingu, a potem ruszyliśmy szerokimi alejami Rosslyn w stronę Waszyngtonu, oddalając się od zatłoczonego miejsca śmierci Carolyn Fiorio. Na pierwszych czerwonych światłach odwróciłem się do Janet i zapytałem:

- Nie odniosłaś wrażenia, że Spinelli jest na nas wściekły?

Janet wołała nie odpowiadać.

Uściśliłem pytanie:

— W gruncie rzeczy jest wściekły na ciebie. Myślę, że mnie lubi i uważa, że robisz go w konia.

— Ciebie nikt nie lubi - odparła z uśmiechem. - I nie zapominaj, że to on do mnie ciągle wydzwaniał.

Przez chwilę oboje patrzyliśmy na drogę.

— Co ukrywasz i dlaczego? - spytałem.

— Zauważyłaś ślady po oparzeniach na jej nogach i rękach? - odpowiedziała pytaniem Janet.

— I sińce, odciski od sznura i skręcony kark. Zbierało mi się na mdłości. Do czego zmierzasz?

— Policja ocenia, że z Cuthburt spędził około trzydziestu minut, a z Fiorio prawie dwie godziny. Różnica w okrucieństwie jest olbrzymia.

— Może ma coś przeciwko sławnym ludziom? Może podniecą go kolor włosów? Może w czwartki strzyka go w tyłku? Ja też nie przepadam za czwartkiem.

— Nie chcesz się dowiedzieć, jak myśli ten facet? Dostać się do środka jego głowy?

— Nie. Świrusy żyją w ciemnym świetle deprawacji i skrzywionych odruchów. Tę wycieczkę zostawiam zawodowcom. Ty powinnaś zrobić to samo.

Janet spojrzała w okno.

— Wydaje mi się, że... - Nie dokończyła.

— Co?

— Że coś tu się nie zgadza... Niepasujące do siebie DNA. Lisa zostaje po prostu zabita, Cuthburt pobita, a później zamordowana, a Fiorio... - Przerwała na chwilę. - Ta biedaczka została tak zmaltrretowana, jak gdyby zabójca chciał przy jej pomocy coś udowodnić.

— Co na przykład?

— Jakby chciał zwrócić na siebie uwagę i wywołać poruszenie. Przesadził z nią, to było cyrkowe zabójstwo.

- Czemu miałby to robić?

Janet zignorowała moje pytanie.

— Julię Cuthburt upokarzał i dominował nad nią. Smycz, straszliwe sińce na tyłku, nawet poza, w której ją zostawił, jakby impertynencka. A Fiorio była metodycznie dręczona, torturowana. Widzisz różnicę?

— Tak.

— Ta rozbieżność powinna być dla nas wskazówką. Wydaje mi się, że zabójca dozuje.

— Dozuje?

— Nie działa pod wpływem impulsu, tylko właśnie... dozuje.

— Dlaczego?

— Nie wiem. - Popatrzyła przed siebie i spytała: - Myślisz, że jest ich dwóch?

— Czy to nie tłumaczyłoby różnic? Ogólne cechy morderstwa są podobne, ale ich indywidualne patologie wydostają się na powierzchnię, różni się to, co robią z ofiarą przed zabójstwem. - Odwróciłem się do niej. - Tak czy nie?

— A tempo? Jest sprytny i musi wiedzieć, że im szybciej zabija, tym większe jest prawdopodobieństwo, że popełni błąd.

— Czy to także nie świadczy o tym, że jest ich dwóch? Wówczas zabijaliby tylko co cztery, najwyżej sześć dni.

— A jak wybiera ofiary?

Rozmawialiśmy, ale kierowały nami sprzeczne cele: ja próbowałem coś od niej wyciągnąć, a ona świadomie odwracała moją uwagę, mnożąc zagadki. Stara adwokacka sztuczka: utrzymujesz panowanie nad sytuacją, zadając pytania.

Miałem tego dość, tak jak Spinelli. Skręciłem gwałtownie i zjechałem na parking Orleans House restauracji przy Wilson Boulevard, i zatrzymałem samochód.

- Co ty wyprawiasz?

Sięgnąłem do aktówki, wyciągnąłem kilkadziesiąt wydruków i rzuciłem Janet. Popatrzyła na nie i spytała:

- Co to jest?

- Sprawy o przestępstwa seksualne, prowadzone przez Lisę.

W milczeniu patrzyłem, jak układa kartki na kolanach.

Po dłuższej chwili położyła na czymś palec i powiedziała:

— To wygląda ciekawie. Porucznik John Singleton. Zgwałcił kobietę i pociął ją nożem. Seks i przemoc, czyli elementy, których szukamy, prawda? Poza tym był oficerem. Przypuszczalnie jest inteligentny i zaradny, jak zabójca.

— Coś jeszcze?

Janet położyła palec na następnym arkuszu i rzekła:

- Tutaj. Kapral Harry Goins. Gwałt i usiłowanie

Lisa, żeby przysłali na ślepo dokumenty wszystkich spraw związanych z seksem w każdej postaci i we wszystkich odmianach. Wynikła z tego ciekawa mieszanka dziwactw i perwersji. Seks wyzwala w ludziach to, co najlepsze, i to, co I najgorsze, a adwokaci widzą to drugie.

Janet wyprostowała się w końcu i oznajmiła:

— Singleton i Goins... tylko te dwie sprawy noszą znamiona podobieństw.

— Jesteś pewna?

— Jeśli te listy są kompletne, to tak.

— Są kompletne. Wybrałem te same dwie sprawy.

- Sprawdziłeś tych ludzi?

Skinąłem głową.

— Zacząłem od porucznika Williama Singletona. Lisa go broniła. To była jej druga sprawa.

— Mów.

— Dziewczyna z Fayetteville koło Fort Bragg uprawiała jogging. Ktoś wciągnął ją w krzaki, trochę pociął, a potem zgwałcił. Podała policji dokładny rysopis: czarny, około metra osiemdziesięciu wzrostu, wystające górne zęby, brzydka blizna na prawej dłoni. Jakies dwa tygodnie później porucznik Williams został zatrzymany za jazdę z nadmierną prędkością przez Fayetteville. Policjant zauważył na jego ręce bliznę, kiedy zatrzymany podawał prawo jazdy. Zobaczył też, że jest czarny, ma sterczące zęby i metr osiemdziesiąt wzrostu. Spisał go.

— I jak to się skończyło?

— Lisa doprowadziła do niewinnienia.

— W jaki sposób?

— Brak dowodów. Próbkę nasienia pobrana od ofiary w jakiś sposób znikła. Przed sądem ofiara zeznała, że było ciemno, ona była przerażona, nie miała okularów i nie może być absolutnie pewna, że to był Williams.

— Ale to mógł być on, prawda?

— Na to wygląda.

— Więc on hasa wolny.

— Niezupełnie.

— Dlaczego?

— Zginął w wypadku na ćwiczeniach dwa lata temu. Janet pokręciła głową.

— Wykreślamy go.

- Tak. Harry Goins włamał się do mieszkania niejakiej Clare Weatherow, której mąż, sierżant sił specjalnych, służył akurat w Bośni. Goins zgwałcił panią Weatherow, strzelił jej w głowę i zostawił, uważając za martwą. Ale ona nie była martwa. Laboratorium balistyczne dopasowało broń, którą miał, DNA też się zgadzało, sprawca został rozpoznany przez ofiarę - sprawa przesądzona. Lisa zrobiła w jego obronie wszystko, co mogła, ale uznano go za winnego i skazano na trzydzieści lat w Leavenworth, bez prawa do zwolnienia warunkowego.

— Wciąż tam siedzi?

— W bloku C. Uruchomiłem silnik i wycofałem.

— Masz to, o co prosiłaś?

— Tak, dziękuję.

- Świetnie. Cieszę się, że się cieszysz. Miło było z tobą pracować.

Odwróciła się do mnie.

— Co to znaczy?

— Rezygnuję. A może ty zostałaś wyrzucona. Jak wolisz.

— Och, przestań. Nie odpowiedziałem.

— Czy nie chcesz znaleźć zabójcy Lisy? Wciąż nic nie mówiłem.

— O co chodzi?

Czasem, żeby się z kimś porozumieć, trzeba milczeć. Więc milczałem.

Cisza trwała naprawdę długo. Wreszcie Janet powiedziała:

— Sean, przestań. Nie mogę tego zrobić bez

ciebie.

— Słucham.

— Potrzebuję cię.

— Do czego?

- Bo... bo jestem prawie pewna, że Lisa została zamordowana z innego powodu niż te, które znamy.

Już to wszystko słyszałem. Zmarszczyłem czoło na znak, że cofnęliśmy się na pole numer jeden.

- Lisa zadzwoniła do mnie dwa dni przed śmiercią - powiedziała Janet.

- I co mówiła?

— Była przestraszona. Wydawało jej się, że ktoś obserwuje jej dom.

— Mów dalej.

— Któregoś wieczoru zobaczyła samochód zaparkowany przed jej domem. Kilka dni wcześniej w nocy miała dziwne wrażenie, że ktoś podgląda ją przez okno na piętrze.

— Wrażenie?

- Tak. Ale Lisa była bardzo opanowana. Przecież ją znasz.

- Tak, znałem ją.

- Nie wiedziała, kto ją obserwuje? Janet pokręciła głową.

— Zapytałam, czy jest jakiś powód, dla którego powinna się bać. Powiedziała, że nie ma żadnego szczególnego powodu. Spytałam, czy ktoś może żywić do niej urazę w związku z jakąś dawną sprawą. Odparła, że gdyby miała czas, żeby to dokładnie zbadać, może... - Janet wzruszyła ramionami.

— A my właśnie to zrobiliśmy.

— Tak. - Po chwili dodała: - Wspomniała też, że w firmie są sprawy, które ją martwią. Zapytałam jakie. Powiedziała, że wciąż to bada i jeszcze przez kilka dni nie będzie mogła niczego powiedzieć na pewno.

— I co...?

— To było wszystko.

— Żadnych wskazówek, tropów?

— Wyczułam, że nie chce o tym mówić. Albo żeby zachować tajemnicę zawodową albo dlatego że wszystko to było zbyt mgliste. Ale jej zdaniem nie miało to nic wspólnego z tym, że ktoś ją śledził.

— Jednak było to wyłącznie jej przypuszczenie.

— Tak, ale wyczułam, że jest o tym

przekonana. - Twarz Janet zaczerwieniła się lekko. -
Powinnam była mocniej naciskać.

A ja powinienem był być na parkingu o
dziewiątej, parking powinien być lepiej oświetlony, a
świat lepszy. W lepszym świecie wszyscy dorastaliby
szczęśliwi i przystosowani i nie byłoby chorych
skurwieli mordujących młode kobiety.

Lecz światu daleko do doskonałości, więc zastanowiłem się nad tym, co Janet właśnie powiedziała. W ciągu roku, który Lisa spędziła w firmie Culper, Hutch i Westin, pracowała przy wielu sprawach na rzecz wielu klientów. Myślą przewodnią tego zasranego programu pracy w sektorze prywatnym było zapewnienie prawnikowi kontaktu z pełnym spektrum korporacyjnych zagadnień prawnych, toteż Lisa co miesiąc była przesuwana do innej sprawy i innego klienta. Ostatni miesiąc spędziła w zespole Cya, pracując wyłącznie dla Morris Networks. Zakładając, że firma była jakoś wplątana w jej zabójstwo - a ja tego nie zakładałem - pozostawał szeroki margines spraw, z którymi miała styczność.

W czasie mojej ostatniej rozmowy Lisa wspomniała, że chce podzielić się ze mną informacjami o firmie. Lecz w jej głosie nie słyszałem zaniepokojenia, strachu czy niepewności. Zakładałem wtedy - i teraz - że chciała poinstruować mnie, którym piraniom i rekinom lepiej nie podstawiać tyłka.

— Nie bardzo to widzę - powiedziałem do Janet.

— Może Lisa też tego nie widziała.

— Właśnie odjechaliśmy z miejsca trzeciej zbrodni, gdzie zamordowano trzecią kobietę w prawie identyczny sposób. Twoja siostra została oznaczona liczbą i spryskana spermą.

— Dziękuję. Wiem o tym.

— Więc o co chodzi?

— Tego wieczoru, gdy zamordowano Lisę, Spinelli przyjął założenie, że to był rabunek. Dlaczego?

— Skradziono jej torebkę.

— Czy ukradziono coś Cuthburt lub Fiorio?

— Nie wiem... Nikt o tym nie wspomniał.

— Torebka Fiorio leżała na podłodze

samochołu. Widziałam ją.

— Mów dalej.

— A teraz pomyśl o Lisie. Była prawniczką, zawsze nosiła ze sobą aktówkę. Gdzie ona jest?

— Skąd mam wiedzieć?

— Przeszukałam mieszkanie. Nie było jej tam.

Dzwoniłam

do biura w Waszyngtonie i tam też nie było aktówki. Myślę, że ją również ukradziono. - Po chwili dodała: - Az mieszkania zniknął komputer, prawda?

— Istnieje wiele możliwych wyjaśnień. Oczywiście przy założeniu, że aktówka została skradziona. Dlaczego nie zwróciłaś na to uwagi Spinellemu?

— Bo jeśli się nie mylę, policja zawali tę sprawę.

— Dlaczego?

— A jak myślisz, co zrobi policja?

— Standardowa procedura. Zaczną wypytywać w firmie, w jakich sprawach brała udział Lisa.

— A jak zachowa się firma?

Zaczynałem dostrzegać, do czego to wszystko zmierza.

— Tak jak każda. Powiedzą glinom, że są to informacje poufne, chronione prawem, i każą im się wypchać.

— A jeśli ktoś z firmy jest w to wplątany?

— Rozumiem. W ciągu kilku następnych dni z siedziby firmy wyniesionych zostanie dużo worków z popiołem.

Janet najwyraźniej wszystko to przemyślała.

— Nie zostanie najmniejszy nawet ślad dowodu.

— Właśnie dlatego potrzebujesz mnie?

. Nie odpowiedziała, więc wypełniłem puste miejsce:

— Chcesz, żebym szpiegował firmę.

— Szpiegowanie to brzydkie słowo. - Przyglądała włosy i dodała: - Chodzi o to, żeby trochę powęszyc. Ale tylko pod warunkiem, że zechcesz to zrobić.

— Że zechcę? Przepraszam bardzo, ale czy w

prawniczym kanonie nie jest to zakazane? - Zrobiłem krótką pauzę. - Tego pytania nie było.

— Morderstwo też jest zakazane.

— Zginął komputer, istnieje możliwość, że zginęła aktówka. Wyjaśnień może być dziesiątki, a twoim zdaniem oznacza to, że w jednej z najbardziej prestiżowych kancelarii prawniczych w kraju jest seryjny morderca?

— Czy ja powiedziałam, że w kancelarii jest morderca?

— Zasugerowałaś to.

— Nie. Zasugerowałam tylko, że może istnieć związek.

— Nie - powiedziałem z naciskiem. - Po prostu nie...

— Cóż, szanuję twoją decyzję - odparła Janet. - Kradzież komputera świadczy o tym, że zabójca martwił się istnieniem jakiejś wiadomości elektronicznej bądź pliku. Wprowadź mnie, żebym mogła zajrzeć do komputera Lisy.

— Świetnie. Wejdziemy razem, a ja powiem: „Przepraszam, ale moja znajoma chciałaby się dowiedzieć, kto zamordował jej siostrę. Więc jeśli pozwolicie, zaloguje się w naszym bezpiecznym systemie komputerowym, przejrzy nasze poufne informacje i może dojdzie, który z was, drani, to zrobił”.

— Myślę, że bezpieczniej byłoby, gdybyś pokazał mi swoje biuro i wyszedł na minutę.

— A jeśli cię złapią?

— Powiem, że potrzebuję jej adresu elektronicznego, żeby zaprosić przyjaciół na pogrzeb. Okay?

Zdecydowanie nie okay. Każdy najdrobniejszy dowód wprost krzyczał, że Lisa padła ofiarą maniaka, który wybrał ją, gdyż demony w jego głowie powiedziały, że tego dnia akurat ona będzie najsmaczniejszym kąskiem. Spojrzałem Janet prosto w oczy i odparłem:

- Wykluczone.

No cóż. Elizabeth, recepcjonistka, podniosła głowę, kiedy wszedłem z Janet.

— Majorze Drummond, nie było pana od kilku dni - stwierdziła.

— Byłem aresztowany.

— Aresztowany?

— Taak. Ponoć jakiś typ, bardzo do mnie podobny, obrobił bank trzy przecznice stąd.

— Bank?

— Taki niewielki oddział banku. Ukradziono tylko dziesięć tysięcy. Mój adwokat mnie wyciągnął.

Elizabeth opadła na fotel.

- Ale tego dnia byłem w Cleveland - dodałem. - Mam na to świadków... Będzie ich ze dwudziestu.

Recepcjonistka zaśmiała się i dusznym brytyjskim głosem stwierdziła:

- Och, ale z pana żartowniś.

Z poważną miną powiedziałem:

- Elizabeth, to jest Janet Morrow. Proszę ją wpisać na listę jako mojego gościa.

Elizabeth mruknęła coś, gdy ruszyliśmy korytarzem w stronę mojego gabinetu. Podszedłem do biurka i włączyłem komputer; oboje milczeliśmy, czekając, aż się uruchomi. Zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że dałem się na to namówić. Jakie ćwiczenia trzeba stosować, żeby wyrobić sobie kręgosłup?

Pojawił się ekran.

— Nie znam hasła Lisy - ostrzegłem.

— Mogę? - zapytała Janet, wskazując mój fotel. Usiadła i zapatrzyła się w ekran. Ustawiła magiczną strzałkę, stuknęła lekko i pokazały się dwa pola: jedno z nazwą użytkownika, a drugie z miejscem na hasło. Wystukała imię Lisy, a potem spróbowała wpisać hasło. W polu ukazało się kilka gwiazdek, lecz cokolwiek wpisała, na ekranie ukazywał się komunikat: „Błędne hasło”.

Janet wyprostowała się, pomyślała kilka sekund, wpisała kilka kolejnych kombinacji, a potem jeszcze sześć. Wszystko na próżno.

— Pozwól mi spróbować - powiedziałem, nachylając się nad jej ramieniem. Wpisałem: J-A-G, i

bingo! Program się uruchomił.

— To było oczywiste - stwierdziła Janet.

— Nie, to było genialne. Po prostu genialne.

Janet się roześmiała. Lecz w skrzynce Lisy były tylko trzy e-maile. Janet otworzyła je, były to wiadomości administracyjne dla pracowników firmy. Lisa była pedantyczna, więc nic dziwnego, że zanim wróciła do pracy w wojsku, usunęła wszystkie prywatne wiadomości. Gdzieś w brzuchu serwera istniały prawdopodobnie elektroniczne odciski wszystkiego, co kiedykolwiek napisała na tym komputerze, lecz ich odzyskanie przekraczało nasze kompetencje.

Janet poruszyła myszką i wyszukała elektroniczną książkę adresową Lisy. Jeśli do tej pory o tym nie wspomniałem, to teraz mówię, że Lisa była bardzo lubianą dziewczyną. Janet rozwinęła listę; oceniłem, że jest tam, lekko licząc, około dwustu adresów.

- Prześlę list ze wszystkimi adresami na mój osobisty komputer - powiedziała Janet. - Kiedy ustalimy szczegóły pogrzebu, wyślę po prostu zbiorowe zaproszenie na te wszystkie adresy.

Zajęło jej to kilka minut. Potem odwiozłem ją do Four Seasons.

ROZDZIAŁ 22

Kolejny dzień w piekle.

Późne niedzielne popołudnie, dokładnie mówiąc, powtórka z babiego lata, promienie słońca wpadające kaskadami przez okna, klikanie kalkulatorów i troje księgowych na końcu stołu, gorąco debatujących na temat współpracy z jakąś szemraną firmą z Bermudów.

Miasto i przedmieścia rozciągające się za oknami doświadczały zbiorowego ataku paniki. Morderca z LA, jak go nazwano, nie zabił przez dwie noce z rzędu. Mnożą się hipotezy. Może się nasycił? Może kolejny trup z przetrąconym karkiem czeka na odkrycie? Może następną ofiarą miała być jedna z wielu kobiet, które w popłochu nagle poszły na niezaplanowany urlop? W ten sposób morderca został zmuszony do znalezienia odpowiedniej zastępczyni.

Linie telefoniczne w stolicy były przeciążone, bo rodzice dzwonili do córek, a znajomi dzwonili nawzajem do siebie, żeby sprawdzić, czy żyją. Posterunki policji były zasypywane prośbami o sprawdzenie, czy młodym kobietom, które nie odebrały telefonu, nie grozi niebezpieczeństwo. Uruchomiono gorącą linię. Dzwoniły na nią setki przerażonych ludzi oraz ci, którzy widzieli mordercę.

Seryjni zabójcy to w zasadzie zjawisko Zachodniego Wybrzeża. W Kalifornii i miastach na Północnym Zachodzie

pojawiają się z zegarową regularnością. W jednym tygodniu jest to czubek w Seattle, który odcina ręce, a w drugim świr w San Beraardino, podpalający prostytutki. Od dnia, w którym Charlie Manson zasiał strach w sercach, społeczeństwo reaguje swoistym oswojonym przerażeniem i tego się trzyma.

Od czasu do czasu potwór pojawia się w Filadelfii, Chicago czy w Nowym Jorku. Lecz Waszyngton, poza odosobnionym przypadkiem snajpera, był w zasadzie wolny od tej plagi. My, mieszkańcy stolicy, uważamy ją za metropolię wojen narkotykowych, szaleństw podniebnych terrorystów, Watergate i Monicagate. Mamy dość problemów, seryjni mordercy nie są mile widziani.

Miasto ogarnęła histeria, a media wbijały mu szpile w serce. W kanałach informacyjnych pojawił się ogromny popyt na emerytowanych psychologów z FBI. Wczoraj wieczorem w *Nightline* wyemitowano program ze specjalistą od tworzenia wizerunków psychologicznych, który twierdził, że przed trzema laty pracował przy śledztwie w sprawie Zabójcy z LA. Powiedział, że bez wątpienia jest to ten sam człowiek, najtrudniejszy przypadek, z jakim zetknął się w swojej karierze. Jego zdaniem morderca modyfikuje zachowania, dostosowuje plan do ofiary, i podnieca go jej przerażenie. Prawdopodobnie jest samotnikiem i cechuje go brak poczucia bezpieczeństwa. Dodał, że dwoje świadków widziało Zabójcę z LA w czasie uprowadzania ofiary. Opisali go jako niskiego, silnie umięśnionego mężczyznę wzrostu około metr sześćdziesiąt pięć, przypominającego sylwetką byłego zapaśnika lub gimnastyka, o grubych ramionach i karku, z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon.

Lecz cały ten harmider i podniecenie szalały

daleko od pomieszczenia, w którym siedziałem. Bo tutaj muchy padały martwe z nudów.

Ja zaś siedziałem na fotelu w rogu jak katatonik, śniąc na jawie o tym, jakie mam opcje. Siedemset trzydzieści tysięcy rocznie. Sto trzydzieści kawałków przy podpisaniu umowy. Prawie milion w ciągu pierwszego roku, a Tiffany dwa razy zaprosiła mnie na lunch, żeby wychwalać „oszałamiające”

korzyści płynące z pracy w firmie: plan zdrowotny, opcje na coroczny zakup akcji, darmowe lunche - najlepsze, co ma do zaoferowania sektor prywatny. W czasie drugiego lunchu położyła dłoń na mojej ręce, trzepocząc sarnimi rzęsami i sugerując, że mogą być jeszcze inne, dodatkowe korzyści.

To rozumiem.

W gruncie rzeczy odpowiedziałem już sobie na pytanie, jaką podjąć decyzję, i fantazjowałem, co zrobić z tymi pieniędzmi, i co zrobić z Tiffany.

- Przepraszam.

Podniosłem głowę. Księgowa imieniem Martha, która była istnym taranem kruszącym zamczyska liczb, stała przede mną z teczką w ręku. Mówiła płaskim, metalicznym głosem, raptownie ucinając słowa; tak wyobrażamy sobie mowę robotów.

- Jaka jest pańska znajomość współpracy zagranicznej?

To miał być żart? Jak dotąd księgowi przedstawili mi trzy zagadnienia prawne wymagające rozstrzygnięcia. Mój wkład w wielkie dzieło sprowadzał się do sporządzenia krótkich streszczeń i przesłania ich faksem do firmy komuś, kogo to głównie obchodziło. Ani moja zatrwazająca ignorancja, ani totalna apatia nie uszły niczyjej uwagi. Nikt w tym pomieszczeniu nie traktował mnie poważnie, co całkiem mi odpowiadało.

- Hm, chodziłem na randki z kilkoma niemieckimi dziewczynami.

Z gardła Marthy wydobyło się gulgotanie.

— Nie, głuptasie. Nie to miałam na myśli.

— A więc co miała pani na myśli, Martho?

— Wiele firm wchodzi w partnerskie układy z zagranicznymi spółkami, żeby uzyskać dostęp do rynku, do sieci sprzedaży, albo żeby wspólnie

zainwestować.

— Proszę mówić dalej.

— Morris Networks współpracuje ze spółką z Bermudów o nazwie Grand Vistas. Współpraca rozpoczęła się dwa lata temu.

— Byłem na Bermudach - poinformowałem z dumą.

-Więc z pewnością wie pan o tym, że jest to bardzo popularny kraj, jeśli chodzi o podejmowanie takiej współpracy. - Martha poprawiła okulary, wyraźnie się rozgrzewając. - Liberalna polityka księgową, przyjazne banki i zerowa stawka podatkowa czynią go ośrodkiem biznesu.

- Właśnie z tego powodu wybrałem się tam na urlop.

Martha pokręciła głową.

— Pańska firma prowadziła obsługę prawną współpracy z Grand Vistas. Jest to inwestycja joint venture.

— Ależ oczywiście. Teraz pani wie, dlaczego połączyliśmy jedno z drugim. - Martha była pod wrażeniem, ale przeszło jej to, gdy spytałem: - Co to u diabła znaczy?

— Znaczy to, że Morris Networks i Grand Vistas się wymieniają.

— Ach, tak... Próbowałem wymienić się śliną z tymi młodymi Niemeczkami. Później zamierzaliśmy pójść dalej i wymienić się niektórymi organami... Ale pani to chyba nie interesuje, prawda?

Martha przewróciła oczami.

— Ja mówię o wymianie akcji i zdolności prawnych. Zgodnie z powszechnie akceptowanymi zasadami księgowości wymiana zdolności prawnych pozwala obu firmom traktować takie wymiany jak sprzedaż i księgować bezpośrednie dochody.

— I to jest zgodne z prawem?

— Tak właśnie powiedziałam...

— Och...

— Grand Vistas to holding posiadający udziały w kilku zagranicznych firmach telekomunikacyjnych. W ramach wymiany zdolności prawnych obie firmy zgodziły się na wymianę wykorzystania zasobów

swoich sieci.

— A jakie to ma znaczenie...?

— To bardzo ważna współpraca dla Morris Networks. W ubiegłym roku Morris zaksięgował trzysta milionów dochodu od Grand Vistas.

Było to szalenie fascynujące, ale moje myśli już zdążyły

odpłynąć ku wizjom Tiffany obranej jak cebulka z tych wszystkich idiotycznych fatalaszków, które kazano jej nosić w pracy.

- Jak długo jeszcze potrwa ten wykład?

Martha przestąpiła z nogi na nogę.

— Morris Networks zaksięgował około osiemdziesięciu milionów z wymiany z Grand Vistas w pierwszym kwartale tego okresu rozliczeniowego. Zakładamy, że współpraca wciąż trwa.

— Tak?

— Musimy wiedzieć, jak długo ma potrwać. Pańska firma przygotowywała umowy.

To stawało się denerwujące. Była niedziela i, w zależności od upodobań, inni pracownicy firmy albo krzywili kręgosłupy, wbijając piłkę do dziury przy grze w golfa w klubie, albo krążyli po Dupont Circle, zaglądając do kabin z gołymi laskami.

— Czy to nie może poczekać do jutra? - spytałem.

— Jeśli pańska firma zgodzi się na przedłużenie audytu o dwa dni. To oczywiste, że nie możemy dokończyć liczenia spodziewanych wpływów, skoro nie będziemy znali długości trwania kontraktu.

To oczywiste. Pokręciłem głową i podszedłem do banku telefonów, który mieścił się w kącie. Moja aktówka zawierała listę telefonów domowych pracowników firmy. Wybrałem numer wystrzałowego domu Barry'ego na wystrzałowym przedmieściu.

- Jessica Bosworth - powiedział kobiecy głos. - Czym mogę służyć?

Mówiła z akcentem absolwentki ekskluzywnego prywatnego liceum z Północnego Wschodu. Jej głos wydał mi się trochę zawodzący, co mogło oznaczać, że facetka wpadła w głęboką depresję z powodu nieudanego małżeństwa i faktu, iż mąż ma

krótkiego fiuta i moczy się w łóżko. Ale czasem zdarza mi się przeholować w dedukcjach. W tle słychać było wrzask dzieci. Nic dziwnego, zważywszy na to, że mają takiego ojca.

Przedstawiłem się i powiedziałem, że chcę mówić z jej mężem. Barry podszedł po dwóch minutach. Wyjaśnił, że

urządzają z żoną przyjęcie urodzinowe dla dziecka i że zadzwoniłem w wyjątkowo nieodpowiednim momencie. Zapytał jeszcze, czy możemy załatwić to bardzo szybko. Powiedziałem, że jasne, możemy, a później wytłumaczyłem, czego chcą księgowi.

— Żaden problem - odparł Barry. - Ja przygotowałem te umowy i negocjowałem kontrakt, więc znam całą sprawę bardzo dobrze.

— Wiedziałem, że uderzyłem do właściwego człowieka. Więc na czym polega ta umowa?

— Jest to krzyżowa inwestycja, wymieniają się wykorzystaniem sieci.

— Jak długo będzie obowiązywać?

— Cztery lata i jest odnawialna. Została podpisana przed dwoma laty, więc potrwa jeszcze co najmniej dwa.

— W jakich warunkach strona może się wycofać?

— W żadnych. W umowie nie ma takiej klauzuli.

- W żadnych warunkach? Czy to nie jest dziwne?

Dziecięcy głosik wciąż dał się w tle.

- Drummond, mnie się spieszy - przypomniał Barry.

Usłyszałem niecierpliwe westchnienie. - Zostałeś teraz ekspertem od kontraktów handlowych?

Uwielbiam, kiedy rzuca mi się w twarz moją ignorancję.

— Pytam, czy to nie jest dziwne? - powtórzyłem.

— Obie... - Wrzask dzieci stał się tak głośny, że Barry musiał podnieść głos. - Mm... Obie firmy są bardzo zadowolone z układu. Nie zaprzataj tym sobie

głowy, dobrze?

Nie zaprzętałem sobie. W gruncie rzeczy gówno mnie obchodziła ta umowa. Ale była niedziela po południu, a ja tkwiłem w tej salce z tabunem księgowych, bo Barry mnie tak urządził. A jego dzieciak miał pewnie w pielusze kupę wielkajak stodoła i ciągnął ojca za nogawkę. W pewnych okolicznościach, nie zadając sobie wielkiego trudu, potrafię być naprawdę upierdliwy. Właściwie bez żadnego trudu.

- Dobrze, więc powiem wszystkim, żeby poszli sobie do domu i poczekali do jutra, kiedy będzie ci bardziej pasowało odpowiedzieć na moje pytania.

- Pierdol się.

O rany, to zaczynało mi się podobać. „Barry... Barry...!”, krzyczała jakaś kobieta coraz bardziej gniewnym głosem.

— Wiesz co? Właśnie przypomniałem sobie, że natychmiast muszę ci zadać jeszcze kilka bardzo ważnych pytań. Na początek...

— Drummond, do jasnej cholery! Nie wpierdalaj się w tę umowę. Rozumiesz? Nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

— Nie mam?

Dzieciak wył, a żona też wrzeszczała na cały głos. Barry starał się przekrzyczeć oboje.

— Jest absolutnie zgodna z prawem. Ob... - Nie dokończył słowa, tylko krzyknął: - Zamknijcie się! Obie strony zgodziły się na warunki. To wszystko, co ty i księgowi potrzebujecie wiedzieć.

— Co masz na myśli, mówiąc, że umowa jest zgodna z prawem?

— Nic. Chciałem tylko powiedzieć, że współpraca jest... o, kurwa. - Wziął głęboki oddech i zachichotał. - Sean, stary, ja próbuję ci pomóc. - Znów

zrobił pauzę, bo głos dziecka podniósł się jeszcze o kilka tonów. Barry musiał zakryć ręką głośnik, bo wyraźnie usłyszałem kląśnięcie i stłumiony głos Barry'ego: „Zamknij gębę, ty mały potworze!”.

Rany Julek. Pomyślałem, że warto byłoby zgłosić kandydaturę Barry'ego do nagrody Tatusia Roku. Kobięcy głos zaczął warczeć, a Barry coś odwarknął, nie pozostając dłużny. Wyraźnie usłyszałem słowa „suka” i „palant”, a potem trzaśnięcie drzwi w tle.

Cisza.

Potem Barry powiedział:

- Nikt nie przystawiał nikomu pistoletu do głowy, Drummond. Wszystko jest zgodne z prawem do kurwy nędzy, jasne? Firma Morris Networks zgłosiła informację o współpracy w przypisie razem z dorocznym sprawozdaniem dla Komisji Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń. Kapujesz? A teraz powiedz księgowym, żeby dopisali te zakładane przychody i zamknęli mordy.

Ani razu nie wyraziłem najmniejszej wątpliwości co do tego, czy umowa o współpracy jest zgodna z prawem. Barry sam podniósł tę kwestię.

- Miłego dnia - rzuciłem.

Telefon zamilkł.

To było ciekawe. Barry do niczego się nie przyznał - właściwie to wszystkiemu zaprzeczył. Sęk w tym, że nikt go nie prosił o zaprzeczanie czemukolwiek.

W takiej sytuacji człowiek musi zastanawiać się dlaczego. A skoro o tym mówimy, to nie zapominajcie, że za ten audyt odpowiedzialność ponosi Sean Drummond i to jego nieskazitelne nazwisko w razie czego trafi na listę winowajców. Gdyby jakikolwiek element sprawozdania okazał się fałszywy czy

niegodny ze stanem faktycznym, to Komisja Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń oraz Amerykańskie Stowarzyszenie Prawników złapałyby za tyłek wyżej wymienionego. Czy to możliwe, że Barry wyznaczył mnie do nadzoru audytu właśnie ze względu na moją niekompetencję?

To było daleko posunięte przypuszczenie, Barry był pod silną presją i bardzo zdenerwowany, a ja, jako się rzekło, czasem przeholowuję w wyciąganiu wniosków.

Ale nie zawsze.

Powiedziałem Marcie, że ona i jej koledzy mogą bezpiecznie założyć, iż współpraca z firmą z Bermudów potrwa jeszcze dwa lata.

Skinęła głową, a ja wróciłem do swojego kącika i zacząłem rozmyślać.

ROZDZIAŁ 23

Annę Carrol pedałowała zawzięcie, a on trzymał się jakieś dwieście metrów za nią. Temperatura była idealna, około pięciu stopni, niska wilgotność i brak wiatru. Przejechał dwadzieścia kilometrów i ledwie się spocił. Doskonały wieczór na dłuższą przejażdżkę. Jechała ze średnią prędkością nieco poniżej dwudziestu kilometrów na godzinę, więc był pewien, że może przyspieszyć i dopaść ją w każdej chwili.

Pół godziny wcześniej zaparkowała samochód w bocznej uliczce nieopodal uniwersytetu Georgetown, wyjęła osiemnasto-biegowego srebrnego cannondale'a z jeepa i rozciągała się przez dziesięć minut. Następnie ruszyła na zachód dróżką wzdłuż kanału biegnącego równoległe do koryta Potomacu. Kanał i droga były charakterystycznymi cechami krajobrazu stolicy od

prawie dwustu lat. Kiedyś ładowano żywność i inne towary na płytke barki ciągnięte przez konie i muły i wwożono do miasta. Później dróżkę dla zwierząt pociągowych przerobiono na ścieżkę dla biegaczy i rowerzystów, która ciągnęła się ponad trzydzieści kilometrów na zachód.

Ruch na ścieżce był mniejszy niż zwykle, bez wątpienia wskutek rosnącej paranoi w związku z Zabójcą z LA. Nieliczne fntode kobiety, które widział, jechały lub biegły w towarzystwie mężczyzn lub grupkami. Nie ryzykowały. Wiedziały, że morderca gdzieś tam się czai i jest głodny.

Annę Carrol zignorowała ostrzeżenia, tak jak się spodziewał. Była zbyt uparta i arogancka, by pozwolić, żeby jakiś zabójca miał jakikolwiek wpływ na jej życie. Prawdopodobnie wierzyła, iż maniacy seksualni nie są zainteresowani nią i kobietami w jej typie. Heteroseksualnym dziewczynom przytrafiały się wszystkie nieszczęścia: niechciane ciążę, choroby weneryczne i zbrodnie. Lesbijki były ponad to wszystko.

Jeździła rowerem w każdy niedzielny wieczór, od marca do grudnia, dopóki nie zrobiło się zbyt zimno. Śledził ją w ubiegłą niedzielę, zmierzył tempo, zbadał teren i obmyślił plan. Podobnie jak tydzień temu, przejechała spokojnym tempem dwadzieścia kilometrów, zawróciła i ruszyła ostro z powrotem.

Byli już półtora kilometra za miejscem, w którym zawracała. Nadszedł czas.

Obejrzał się przez ramię, zobaczył, że nikogo nie ma, i przyspieszył do trzydziestu kilometrów na godzinę. W ciągu trzech minut zbliżył się na niecałe sto metrów. Patrząc na jej plecy, pedałowal jeszcze szybciej. Kiedy zbliżył się na dwadzieścia metrów, usłyszała go. Zerknęła szybko przez prawe ramię; na jej twarzy nie było zaniepokojenia, nie zmieniła tempa ani pozycji. Zjechała uprzejmie w lewo, dając mu miejsce do wyprzedzenia.

Dogonił ją. Spojrzeli na siebie. Uśmiechnął się, podniósł lewą rękę, pomachał przyjaźnie i pomknął dalej. Pedałowal zawzięcie, aż znalazł się dwieście pięćdziesiąt metrów przed nią. Minął ostry zakręt, a potem nacisnął mocno na hamulec. Tylne koło ześliznęło się w lewo, wysunął prawą nogę, żeby nie upaść.

Annę Carrol nadjechała po kilku sekundach i musiała mocno skręcić, by uniknąć kolizji. Jego rower

leżał w poprzek ścieżki, koła się obracały. On leżał nieruchomo pięć metrów dalej.

Annę nacisnęła hamulec jeszcze raz i zatrzymała się powoli. Zsiadła z roweru i obejrzała się. Zacisnęła powieki i leżał bez ruchu.

Usłyszał, jak Annę mamrocze: „O cholera „i podchodzi do niego.

- Hej! - krzyknęła. - Nic panu nie jest?

Cisza.

- Słyszysz mnie pan?

Zbliżała się, a on wciąż leżał sztywno na ziemi. Będzie czekał, aż podejdziesz na metr. Dopiero wtedy... Gdyby była za daleko, zdążyłaby wskoczyć na rower i uciec.

Słyszał jej ciężki oddech i kroki. Musiała być już blisko. Stęknął cicho, żeby wiedziała, że żyje. Ranny i rozpaczliwie potrzebujący pomocy, lecz żywy.

Upłynęło jakieś dwadzieścia sekund, kiedy znów jęknął. Dał jej więcej czasu, niż było trzeba. Już powinna się nad nim schylić i sprawdzać puls...

Otworzył oczy i podniósł głowę, krzywiąc się niemiłosiernie. Stała jakieś sześć metrów dalej z dłońią w torebce na biodrach i patrzyła na niego.

— Jestem ranny - wymamrotał.

— Co się stało?

— Wpadłem w poślizg... Może mi pani pomóc?

Proszę...

— Nie. Proszę wstać samemu.

— Nie wiem, czy...

— Może pan poruszać nogami?

— Mm... Nie wiem.

Cofnęła się jeszcze o kilka kroków i powiedziała:

- Niech pan to zrobi, bo ja panu nie pomogę.

A przecież wszystkie kobiety powinny być

opiekuńcze i troskliwe jak Florence Nightingale. Przyszło mu do głowy, że być może źle ocenił cel. Spodziewał się, że jako lesbijka może zachowywać się zaskakująco, lecz taki straszliwy brak współczucia wytrącił go z równowagi.

Wydał kilka jęków i stęknąć bólu, a później uniósł się powoli na rękach i podciągnął kolana. Stała dziewięć metrów od niego, ale on był szybki i silny. Gdyby się wyprostował i oparł dobrze stopy, dopadłby jej w mgnieniu oka.

Spojrzał na nią jeszcze raz przed skokiem... i zamarł. Nie szukała już niczego w torebce biodrowej. Teraz trzymała przed kroczem tęponosy pistolet specjal kaliber trzydzieści osiem. Nie mierzyła do niego, lufa skierowana była w dół.

Wyprostował się i strzepnął ziemię z koszuli i spodni.

- Nie może być aż tak źle, kolego - mruknęła.

Podniósł głowę.

— Mm... Upadłem na głowę. Chyba straciłem przytomność na minutę albo dwie. To, co pani trzyma, to pistolet?

— Możliwe. Jak się pan teraz czuje?

— Do dupy. - Poruszył rękami i rozciągnął nogi, kręcił kończynami, jakby szukał zranień. Po chwili dodał: - Pierwszy raz w życiu wpadłem w poślizg.

— To cena za głupotę - odparła. - Jechał pan za szybko. Po gruntowej drodze nie jedzie się szybciej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. A założę się, że wyprzedzając mnie, jechał pan ponad trzydzieści.

Boże, ale niemila i zrzędliva. Nic dziwnego, że trzymano ją z daleka od sędziów przysięgłych.

— Taak, pewnie ma pani rację. - Zrobił przestraszoną minę i zapytał ponownie: - Czy... Czy to, co ma pani w ręku, to pistolet?

— Taak, to pistolet. I nie jest zrobiony z plastiku.

— Nie myśli pani chyba mnie zastrzelić, co?

— To zależy. - Zachichotała. - Niech tylko pan się zachowuje i wszystko będzie cacy.

— Poważnie?

— Masa świrów kręci się po świecie. Nigdy nie wiadomo. Pokręcił głową.

— No cóż, mnie nie musi się pani obawiać.

Widział, że mu się przygląda, lecz nie było w tym ani cienia fascynacji seksualnej. Była to chłodna ocena. Miał na sobie obciste kolarskie spodnie i koszulkę bez rękawów; jego widok na pewno nie mógł jej uspokoić. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu,

szerokie, muskularne bary, grube ręce i umięśnione nogi. Wyglądał jak środkowy stoper.

Cofnęła się jeszcze o krok i spytała:

- Skąd mam wiedzieć, że nie muszę się pana obawiać?

- Bo... Jestem gejem. Przykro mi, po prostu nie jest pani w moim typie.

— Gejem, tak?

— Tak, to nie zbrodnia. Skinęła głową.

— Nie, to nie zbrodnia. - Ruchem brody wskazała jego rower. - Niech pan zobaczy, czy nie jest uszkodzony.

— Racja. - Podeszedł i podniósł rower. - Wpadła pani kiedyś w poślizg?

— Raz czy dwa. Ale miałam wtedy cztery latka.

Suka. Dźwignął rower, uderzył kołami o ziemię i udał, że ogląda ramę.

— Pewnie głupio się zachowałem, co?

— Pewnie tak.

Rozejrział się. Miał szczęście, że do tej pory nikt jeszcze obok nich nie przejechał. Gdyby tak się stało, tej zimnokrwistej dziwce upiekłoby się dziś wieczorem. Nie mógł sobie pozwolić na to, by jakiś świadek przypomniał sobie rosnącego muskularnego faceta, który stał z zamordowaną na ścieżce rowerowej. Musiałby podejść ją jeszcze raz, a to byłaby bardzo niesprzyjająca okoliczność. Czy dopisze mu szczęście? Pewnie już niedługo.

— Rower jest w porządku - rzekł. - Ale ja nie bardzo. W głowie mi się kręci.

— To źle. - Skinęła głową w stronę Waszyngtonu i dodała: - Długi spacer. Pewnie z piętnaście kilometrów.

Przyszło mu coś do głowy.

— Nie ma pani przypadkiem komórki? Mam

przyjaciela, Dana. Zadzwońiłbym do niego, a on by po mnie przyjechał.

— Nie mam komórki.

Niech to diabli. Pretekst, żeby się do niej zbliżyć, diabli wzięli. Gdyby mógł podejść do niej na dwa, trzy metry, zacisnąłby potężne ręce na jej chudym gardle. Boże, jak on marzył o tym, by skrócić jej kark.

— A czy mogłaby pani chociaż towarzyszyć mi przez kilka minut? Na wszelki wypadek, gdyby było ze mną coś nie tak.

— Wygląda pan na zdrowego.

— Proszę. - Wyciągnął ręce i uśmiechnął się. - No, niechże się pani nie wyglupia. Ja jestem gejem, a pani ma pistolet. Co za połączenie. Tylko kilka minut. Popatrzyła na niego zimno.

— Jak panu na imię?

— Mikę... Mikę Nelson.

— Okay, Mikę, zrobimy tak: pan zostanie na swojej stronie ścieżki, a ja na swojej. Jasne? - Skinął głową. - Trzy minuty i już mnie nie ma. Pistolet zostaje w mojej ręce. A radzę sobie z nim cholernie dobrze. Bardzo stara się pan do mnie przylepić, a ja tego nie cierpię.

— Przecież mówiłem, że nie jest pani w moim typie. - Dlaczego nie bierze się na homoseksualizm, który ciągle jej podsuwa? Czy wszystkich homoseksualistów nie łączy jakaś ciepła, kumplowska solidarność? Przeklinał się teraz, że nie poświęcił więcej czasu na zbadanie tych spraw.

Przesunął się naprawą stronę drogi, prowadząc rower prawą ręką, żeby go od niej nie oddzielał. Ona przesunęła się na lewą stronę i bardzo niefortunnie dla niego też prowadziła rower po prawej stronie. Dzieliło ich mniej więcej siedem metrów, a ona trzymała pistolet blisko talii, tak że wystarczyło, przesunąć rękę, by

przeszyć go kulą. Nie wątpił, że wie, jak to zrobić. Cholerna lesba pewnie nosi ochraniacz na podbrzuszu.

Ruszyli.

— Więc jak ci na imię? - spytał przyjaźnie.

— Annę.

— Tylko Annę? Nie masz nazwiska?

— Nie usłyszysz go.

- Nie rozumiem, czemu jesteś taka podejrzliwa.

Spojrzała przed siebie.

— Zostałam kiedyś zgwałcona. To było bardzo nieprzyjemne i więcej się nie powtórzy.

— Och... Przykro mi.

— Dlaczego ci przykro? To nie ciebie zgwałcono. - Po chwili dodała rzeczowo: - Rzecz w tym, Mikę, że jesteśmy sami na tej samej ścieżce, a ja gównem o tobie wiem. Nie wyglądasz, jakbyś się mocno rozwalił, nie ma krwi ani zadrapań.

Twierdzisz, że jesteś gejem, ale skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

— No cóż...

— Poza tym - wpadła mu w słowo - w zeszłym tygodniu jechał za mną jakiś facet, który wyglądał tak samo jak ty. To byłeś ty, prawda, Mike?

Cholera, to wszystko tłumaczy. Trzymał się dość daleko i był pewien, że Annę go nie zobaczy. To musiało się stać tuż po tym, jak zawróciła. Mogła tylko spojrzeć na niego przelotnie, kiedy mijali się, jadąc w przeciwnych kierunkach. Większość ludzi nie ma tak dobrego wzroku i nie jest spostrzegawcza. Niech to szlag, niech to szlag. Myślał gorączkowo, jak to teraz rozegrać. Wyprzeć się? Nie, to nie wypali. Widział po jej oczach, że pamięta go dokładnie.

— Taak, byłem tutaj w zeszłym tygodniu - przyznał. - I co z tego?

— Ja jeżdżę tędy w każdą niedzielę wieczorem i nigdy przedtem cię nie widziałam. Trochę dziwny ten zbieg okoliczności, co? Jedziesz za mną w niedzielę, a tydzień później... no właśnie.

— Można to wytłumaczyć.

— Jasne.

— Przed trzema tygodniami przeprowadziłem się do Waszyngtonu.

— Czyżby?

— Z San Francisco. Mieszkałem tam z jednym facetem, Paulem, ale zerwaliśmy ze sobą. - Zrobił pauzę i po chwili ciągnął bolesnym tonem: - Właściwie to Paul mnie rzucił... Dla krytyka filmowego. Musiałem się przenieść, wiesz. Wszystkie miejsca mi o nim przypominały.

Chciała się odezwać, ale on mówił dalej zawodzącym głosem:

- Ten facet, dla którego mnie rzucił, też był

ciotą. Cholerną ciotą. Nigdy nie myślałem, że Paul leci na cioty, wiesz?

To powinno zadziałać, pomyślał. Duży naiwniak ze złamanym sercem. Wystarczy dorzucić trochę pedalskiego żargonu i od razu wyglądasz na pedzia. Przedstawić swoje referencje i spra-

wić, by opuściła gardę. W każdej chwili na ścieżce może się pojawić jakiś rowerzysta.

Wzruszyła ramionami. Zerknęła na zegarek, najwyraźniej pragnąc, by trzy minuty jak najszybciej dobiegły końca.

— A ty? - spytał.

— Co ja?

— Czym się zajmujesz? - Podrapał się w głowę, jakby usilnie próbował sobie coś przypomnieć. - Cathy, tak?

— Annę.

— Przepraszam.

— Wiesz, Mikę, to nie twój zakichany interes.

Gdyby udało się nakłonić ją, by schowała ten przeklęty pistolet. Chryste, ależ utrudnia mu sprawę.

— O rany, nie można powiedzieć, że jesteś przyjaźnie nastawiona.

— No cóż, podła sprawa. Chyba trafiłeś na niewłaściwą samarytankę.

— Nie, jesteś bardzo wyrozumiała, doceniam to.

— Cofnij się, palancie - rozkazała, zauważywszy, że przesunął się z rowerem na środek drogi.

— Przepraszam. - Wykonał polecenie. - Jezu, ale mi się w głowie kręci. Musiałem mocno przywalić czaszką o ziemię. Nie mogę prosto iść.

- Musisz się bardziej starać, Mikę. Po moim pierwszym strzale będziesz sikał tyłkiem. Będziesz mógł chodzić na randki, ale koniec wieczoru może się okazać wielkim rozczarowaniem, bo nie będziesz już miał fiuta.

Otworzył szeroko usta.

— Chwileczkę...

— Byłam ciekawa, czy po mnie przyjdiesz, pierdolony świrze. - Mierzyła z pistoletu prosto w jego krocze.

—Annę, ja nie...

—Myślisz, że nie oglądam wiadomości?
Myślisz, że jestem zbyt głupia, żeby dodać dwa do
dwóch? Spieprzyłeś, Mikę. - Przesunęła dłonią po
włosach i spytała: - Tyle że wcale ni jesteś Mikę,
prawda?

Nadjeżdżał jakiś rowerzysta. Był już pół kilometra od nich i szybko się zbliżał. Pedałował zawzięcie, nisko pochylony nad kierownicą. Annę wskazała ręką w jego stronę.

- Masz poważny problem, dupku. Nadjeżdża towarzystwo.

Zatrzymał się i stanął obrócony twarzą w jej stronę. Bawiła się z nim, czekając, aż ktoś nadjedzie. Teraz to sobie uświadomił.

Nie docenił jej, i to jak.

Uśmiechnął się.

— Nie mogę się doczekać, kiedy skręcę ci kark, lesbo.

— Szkoda.

— Jak to było, kiedy tamten cię rznął, lesbo? Jej twarz poczerwieniała.

— Wał się.

— Przygotowałem dla ciebie coś takiego, że będziesz błagała, żebym wreszcie skręcił ci kark.

— Na miłość boską, jesteś odrażający. - W jej głosie pojawił się gniew.

Stali i patrzyli na siebie z nienawiścią, a rowerzysta był coraz bliżej. Lufa pistoletu wciąż mierzyła w jego krocze.

Nowo przybyły nacisnął hamulec, jego rower prześliznął się po ziemi i zatrzymał kilka metrów od nich. Mężczyzna był młody, dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa lata, pewnie studiował na uniwersytecie Georgetown albo George'a Washingtona. Miał blond włosy, kędzierzawą bródkę, grube uda namiętnego rowerzysty i gogle.

Spojrzał uważnie na pistolet w dłoniach Annę i zapytał:

- Co się dzieje? Potrzebuje pani pomocy?

Usta Annę właśnie się otwierały, kiedy Mikę

wyrzucił ręce w górę i powiedział:

- O rany, tak się cieszę, że akurat nadjechałeś, stary. Ta porąbana dziwka myśli, że jestem Zabójcą z LA.

- Co?

— Zwariowała. Jadę sobie spokojnie i chcę ją minąć, a ona mnie przewraca. Mogła mnie zabić. Boli jak jasna cholera.

— Zamknij się - rozkazała Annę. - On kłamie -
powie-

działa do nieznanego. - Udał, że się przewrócił. To on jest Zabójcą z LA.

Nieznanomy popatrzył na niego. Mikę wzruszył potężnymi ramionami i pokręcił głową, jakby oskarżenie było absurdalne.

- Bzdura. Kompletna bzdura. Wie pan, jak się teraz zachowują babki. Tej tutaj całkiem odbito.

Annę pokręciła głową, jakby nie obchodziło jej to, co słyszy.

— Nieźle kombinujesz, bydlaku. Będziesz się piekł.

— Widzi pan? - spytał Mikę. - Tej paniusi odwalilo. Na miłość boską, spróbuj pan jej przetłumaczyć.

Nieznanomy wyglądał na całkowicie bezradnego.

— Chryste, ja... Ja nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje.

— Spójrz na mnie, człowieku - mówił Mikę. - Słyszałeś, jak podawali rysopis Zabójcy z LA, tak? Wszędzie o tym mówią, w radiu i w telewizji. Niski i krępy, z końskim ogonem, zgadza się? Czy ja jestem niski i krępy? Widzisz u mnie koński ogon?

Młody mężczyzna odwrócił się w stronę Annę.

— To prawda. Rysopis podano we wszystkich wiadomościach. Jest taki, jak on powiedział.

— Gównu mnie to obchodzi - warknęła Annę, spoglądając na niego. - To ten człowiek.

— Zaatakował panią? - spytał chłopak, nie kryjąc sceptycyzmu.

- Jeszcze nie. Ale tylko dlatego, że nie dałam mu szansy.

Mikę zacisnął mocno ręce na kierownicy roweru. Rowerzysta spojrzął na Annę.

- Jeśli pani nie zaatakował, skąd może pani

mieć pewność?

Annę zaczynała się denerwować.

- Po prostu wiem. Wydawało mi się, że po mnie przyjdzie, i jest.

- Wydawało się pani, że przyjdzie?

Annę stała teraz twarzą do rowerzysty.

Właśnie otworzyła usta, żeby wytłumaczyć, kiedy rower Mike'a pofrunął w jej stronę jak zdeformowany oszczep. Odwróciła się i podniosła rękę, lecz dwunastokilogramowa rakietka trzasnęła ją w tors i twarz.

Mikę skoczył w ślad za rowerem i schylił się po pistolet. Ręka Annę była uwięziona pod rowerem, więc wyszarpnął jej broń z ręki i rąbnął pistoletem w czoło.

- Spokojnie, człowieku! - wrzasnął rowerzysta. – Nie musisz tego robić!

Mikę odrzucił pistolet. Annę była ogłuszona, jęczała. Zszedł z niej i ruszył w stronę rowerzysty.

— Słuchaj, stary, ona nie dała mi wyboru. Ta laska mogła mnie zastrzelić albo nie wiem co.

— Tak, ale...

— Żadnych ale. - Mikę pokręcił głową. - To wariatka. Jezu, ale miałem stracha.

Był dwa metry od rowerzysty. Mógł go zastrzelić, ale huk ściągnie jakichś wścibskich gości. Przesunął dłonią po czole.

- Widziałeś, jak było, prawda? Nie mogłem ryzykować.

Nagle jego pięść wystrzeliła do przodu i trafiła rowerzystę prosto w nos. Trysnęła krew i chłopak runął na plecy, spadając z roweru. Mikę podszedł spokojnie i podniósł go z ziemi. Zerwał mu z głowy kask i rzucił na ziemię. Rowerzysta ważył jakieś siedemdziesiąt pięć kilo, ale Mikę był niesamowicie silny. Wziął wrzeszczącego chłopaka na rękę i ruszył sprintem w

stronę dębu rosnącego obok szlaku. Głowa trzasnęła o pień niczym czubek tarana i rozprysła się jak melon. Ciało zwiotczało momentalnie, Mikę zostawił je pod drzewem. Schylił się i sprawdził puls. Rowerzysta nie żył.

Kiedy wrócił, Annę próbowała zsunąć z siebie rower. Z głębokiej ciętej rany na czole i drugiej na ramieniu lała się krew. Annę spojrzęła na Mike'a i zaczęła krzyczeć, lecz on skoczył, zatkał jej usta dłonią i podniósł tak samo jak rowerzystę.

- Trochę nam nie wyszło, co, Annę? - szepnął jej do ucha. - Ale dość tych kłamstw. To będzie bardzo, ale to bardzo bolało.

Wytrzeszczyła oczy ze strachu, kiedy włożył ją w zarośla, wolną ręką podnosząc porzucone na drodze rowery.

ROZDZIAŁ 24

Poniedziałek rano, punktualnie siódma. Babie lato przyleciało i odleciało, a ja siedziałem przy biurku w firmie i uruchamiałem komputer. Liczby zostały rozgryzione i zmielone, księgowi pisali raport z audytu, a ja miałem kilka godzin dla siebie.

Pomyślałem więc, że wykorzystam czas i dokładniej przejrzę akta Lisy. Nie kupiłem podejrzeń Janet, lecz możliwość, że komputer i aktówka Lisy zostały ukradzione, rzeczywiście była zastanawiająca. Przeszukaliśmy jej pocztę, a ja pomyślałem, że warto przejrzeć plik roboczy, może coś wpadnie mi w oko. Miałem do wyboru to albo poranek z księgowymi. Nie musiałem długo się zastanawiać.

Na ekranie pojawiły się dwa małe pola. Wpisałem imię Lisy, a potem J-A-G i wyskoczył ten denerwujący komunikat „Błędne hasło”. Dziwne.

Właśnie zastanawiałem się, jakie to dziwne, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

— Drummond.

— Proszę wyłączyć komputer i przyjść do mnie - rozkazał lakonicznie głos. - Natychmiast.

— Z kim...

— Hal Merriweather. Dziewiąte piętro. Za trzy minuty, albo poślę tam ochroniarza.

Odłożył słuchawkę. Nienawidzę, kiedy ludzie się tak zachowują.

Kiedy przechodziłem korytarzem, Elizabeth zamrugała kilka razy. Ale wydaje mi się, że zaczynała lubić nasze rzadkie spotkania. W kraju ślepców jednooki jest królem. Albo jakoś tak.

Uśmiechnąłem się.

- Dzień doberek, Elizabeth. Oszłamiająco dziś

pani wygląda.

Zachichotała.

— Flirciarz z pana, majorze Drummond.

Obrabował pan ostatnio jakiś bank?

— Dałem sobie z tym spokój. Za dużo kamer i strażników.

— Znaleźliśmy sobie nowy hobby?

— Jeszcze nie. Ale zastanawiam się nad wyłudzeniem korporacyjnym i wymuszaniem. Chłopcy z góry przysięgają, że właśnie w tym sektorze kryje się największy potencjał.

Elizabeth się roześmiała. Nachyliłem się nad jej biurkiem.

— Hal Merriweather?

— Hal? - Dotknęła ręką czegoś na biurku. -

Chyba nie nadepnął mu pan na odcisk, co?

— Kim on jest?

— Szefem administracji. Lepiej mu nie podpadać.

— Dlaczego?

— Ma dużą władzę. Jest moim zwierzchnikiem. Kieruje bezpieczeństwem, administracją i personelem.

Anglicy mają skłonność do mówienia skrótami, jakby tylko idioci potrzebowali pełnego wyrażania myśli. No cóż, jestem idiotą.

Postukałem palcem w blat.

- Hm. Młody, nieco po trzydziestce. Bardzo sprawny i kompetentny, choć powiedziałabym, że trochę trudny we współżyciu - dodała.

Drugą charakterystyczną cechą Anglików jest subtelność, więc słowa Elizabeth przetłumaczyłem sobie tak, że Hal to

palant pierwszej klasy. Zresztą już wcześniej doszedłem do tego wniosku.

— Potrzebuję klucza, żeby wejść na górę i się z nim zobaczyć.

— Zadzwoił do pana, tak?

— Dowiedział się, że świetny ze mnie gość, i chce mnie poznać.

Elizabeth znów się roześmiała.

- Niech pan będzie czujny, majorze. Halowi przydałoby się nieco oglądy.

Wręczyła mi klucz do klatki schodowej i okazało się, że siedzibę Hala nietrudno znaleźć. Jego nazwisko było wypisane złotymi literami na drzwiach, tak jak nazwiska współników. A biuro znajdowało się w korytarzu między gabinetami starszych i młodszych współników. Mnóstwo ludzi z dyplomami prawa zabijało się, żeby dostać biuro na tym piętrze, a reszta personelu administracyjnego upakowana była na siódmym piętrze, więc przyszło mi do głowy, że pozycja Hala w firmie jest nieco wyższa, niż sugerowałaby to jej nazwa.

Drzwi były zamknięte. Zapukałem, odezwał się dzwonek. Wszedłem. W wąskim zewnętrznym biurze nie było nikogo, stały tylko dwa puste biurka. Podeszedłem do następnych drzwi i znów zapukałem. Może znalazłem się w czymś w rodzaju dwunastu pudełek w pudełkach i będę wchodził do coraz to mniejszych pomieszczeń, a Hal jest karzełkiem pracującym w malutkiej szufladzie?

Rozległ się kolejny dzwonek i wszedłem do wewnętrznego sanktuarium, gdzie za biurkiem siedział facet, który wyglądał jak Hal. Tak jak ostrzegła Elizabeth, był nieco po trzydziestce, niski i pulchny, miał przerzedzone ciemne włosy, płaskie, czarne świńskie oczka i gruby, dominujący nad całą twarzą

nos.

Nie był sam. Tuż za nim stał Harold Bronson, wspólnik zarządzający, oraz Cy, mój zwierzchnik tytułarny. Cy grał w gierkę pod tytułem unikanie wzroku, a Bronson w inną, którą można by nazwać stary-wesoły-gość-wyjątkowo-niewesoły.

- Proszę siadać - rozkazał Hal, marszcząc czoło.

Miłe powitanie. Stałem.

— Rób, jak ci pasuje - mruknął Hal.

— Zawsze tak robię, kolego. - Jeśli chodzi o siedzibę Hala, to biurko, segregatory i regały wyglądały na zakupione na wyprzedaży w Office Depot. Na ścianach nie było obrazów z żaglowcami, a na podłodze puszystych orientalnych dywanów. Nie było też ogólnego rozgardiaszu, który kojarzy się z prawdziwym gabinetem roboczym. Wskazywało to, że albo Hal nie ma dużo pracy, albo ma dupościsk na punkcie porządku. Ciekawe były też monitory rozmieszczone na ściennych uchwytych. Jeden pokazywał wejście, gdzie siedziała Elizabeth, energicznie polerując paznokcie, drugi pustą klatkę schodową, przypuszczalnie tę, która prowadziła na piętro wspólników, a trzeci - wnętrze windy.

Hal miał widać wiele talentów, a jednym z jego obowiązków było pilnowanie bezpieczeństwa wspólników. Pewnie trzymał w szufladzie gnata i nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż rozwalenie komuś łba za bezprawne wejście na teren firmy czy puszczenie bąka w windzie.

Tak czy owak, uśmiechnąłem się i przypomniałem mu:

- Ty do mnie zadzwoniłeś, Hal. - Spojrzałem na zegarek. - Mój czas jest płatny. Masz trzydzieści sekund, a później wracam do roboty.

Wyglądało na to, że jesteśmy o krok od bardzo

przykrej konfrontacji, a ja chciałem zadać pierwszy cios.

Brew Hala drgnęła. Otworzył szarą kopertę i popatrzył na coś z wielką uwagą i zainteresowaniem. Bez żadnych wstępów powiedział:

— W piątek wieczorem o godzinie siedemnastej czterdzieści sześć wprowadziłeś na teren firmy pannę Janet Morrow. Zgadza się?

— Czy tak jest napisane w formularzu wpisów?

— Tak.

— Więc dlaczego pytasz?

— O siedemnastej pięćdziesiąt pięć zalogowałeś się na firmowym serwerze. Zgadza się?

— Na jakim formularzu jest to napisane?

— Centralny serwer monitoruje wszystkie operacje. Dwa razy dziennie otrzymuję pełny wydruk. A więc piąta pięćdziesiąt sześć, zgadza się?

- Jesteś pewien, że to nie była piąta pięćdziesiąt siedem?

Świńskie oczka zrobiły się jeszcze bardziej świńskie.

— Serwer jest kalibrowany co cztery sekundy zgodnie z zegarem w Greenwich. Chodzi z dokładnością do trzech milionowych sekundy. I nie popełnia błędów.

— Ale ty popełniasz, Hal? - Zdawało mi się, że zostałem teleportowany do bardzo kiepskiego odcinka serialu *Hogan's Heroes*, w którym sierżant Schultz mówi: *Achtung, Herr pułkownik Hogan. Komendant jezd wzdziegfy, że gdoś narryzował bryźdze na portrecie fuhrera.*

— Od godziny siedemnastej pięćdziesiąt osiem następowały liczne próby wejścia z twojego terminalu na konto pocztowe Lisy Morrow - ciągnął po swojemu Hal. - Siedem bezowocnych prób, po których nastąpiła skuteczna.

— O której nastąpiła ta skuteczna? Hal wlepił wzrok w wydruk.

— To było o osiemnastej zero cztery.

— I ile mikrosekund? Gęba Hala poczerwieniała.

- Twoja skłonność do niewłaściwych zachowań jest powszechnie znana. Nie próbuj tego tutaj. - Złożył arkusz i poinformował mnie: - Włamywanie się do pliku innego pracownika to złamanie zasad obowiązujących w firmie. Te zasady znalazły się w egzaminie dla współpracowników firmy, który zdałeś.

Powinieneś też wiedzieć, że jest to przestępstwo ścigane przez prawo federalne.

Podjeźrzałem, że obecność dwóch wspólników, którzy zaglądali mu przez ramię, ograniczało nieco styl Hala. To mechaniczno-legalistyczne przesłuchanie było zbyt przepisowe, jak na pucołowatego, małego bufona. Wskazywało na to, że ktoś mu podpowiadał. Doszedłem do wniosku, że Hal dostał wcześniej scenariusz.

Oparł łokcie na stole i pochylił się w moją stronę.

— Co robiłeś w tym pliku?

— Zapytaj swojego wszystkowiedzącego serwera.

Hal spojrział na wy diuk i, o psiamać!, nie znalazł odpowiedzi.

— Ściągnąłeś informacje i wysłano e-mail. Wiemy, że była przy tym Janet Morrow. - Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy i zapytał: - Czy pozwoliłeś, żeby osoba spoza firmy dostała się do naszej poufnej bazy danych?

— A pozwoliłem?

Bronson postanowił się wtrącić.

- Odpowiedz, Drummond. - Po czym skrzyżował ręce i dodał: - Jak się dowiedzieliśmy, panna Morrow jest prokuratorem w Bostonie, a jej biuro bierze obecnie udział w dwóch sprawach przeciwko klientom naszej kancelarii.

Nagle przyszło mi na myśl, że Hal jest typem paranoidalnego biurokraty, który lubi niszczyć ludzi, a obecność dwóch starszych wspólników świadczy o tym, że firma potraktowała poważnie idiotyczną obsesję Hala.

Postanowiłem więc kierować odpowiedzi do wspólników.

— Sprawdziliśmy książkę adresową Lisy, żeby jej siostra mogła poinformować znajomych o pogrzebie.

— Ale zalogowałeś się, używając imienia Lisy Morrow i jej hasła?

— Czy jest inny sposób, Hal?

— A Janet Morrow była przy tym obecna, tak?

— Jest siostrą Lisy i widziała tylko jej adresy e-mailowe. - Spojrzałem na współników i dodałem: - Sprawa zamknięta, akta odłożone, czas wracać do płatnej roboty. Każda minuta się liczy.

Bronson wyglądał na poirytowanego. Ale najwyraźniej Hal nie skończył, bo wyjął z teczki drugi wydruk i rzucił na biurko.

- Wytłumacz to, Drummond.

„To” okazało się długą kolumną elektronicznych bazgrołów z dwoma zakreślonymi na żółto ciągami znaków: „LF:BosVS-Paragon” i „LF:BosVSMurray”.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie udawaj przede mną głupka. Wiesz, że LF to skrót od „legal file”. I wiesz, że pod tymi nazwami kryją się sprawy „Miasto Boston kontra Paragon Ventures” i „Miasto Boston kontra William Murray”.

— Czyżby?

— I wiesz, że firma Paragon Ventures została postawiona w stan oskarżenia przez bostońską prokuraturę za defraudację i pobieranie zbyt wysokich opłat za opiekę medyczną w systemie Medicare. A William Murray został oskarżony o defraudację pocztową i spisek. Są to klienci tej firmy, a oba pliki zostały ściągnięte z pliku pocztowego Lisy Morrow.

Oparł się na fotelu i z zadowoloną miną zaczął się bujać w tył i w przód. Dlaczego taka firma zatrudniła takiego buca?

Po wyrazie jego twarzy widziałem, że jeszcze nie skończył.

— W jaki sposób te pliki wylądowały w poczcie Lisy Morrow, pozostaje tajemnicą. Ale ona już nie żyje, więc nie może tego wytłumaczyć, prawda?

— Ale taki mózg jak twój na pewno już wyprodukował jakieś wyjaśnienie, Hal.

— Właściwie tak. Założyłem, że Lisa Morrow zamierzała pomóc siostrze. Byłeś jej przyjacielem, prawdopodobnie współnikiem. Albo mogłeś umieścić te pliki w e-mailu kapitan Morrow, głupio zakładając, że nie zwrócimy uwagi na operacje w koncie elektronicznym nieboszczki. W każdym razie obydwie pliki zawierają poufne informacje, które pomogą bostońskiej prokuraturze.

Opuszczone ramiona Cya wyrażały rezygnację i rozczarowanie. Bronson wcale nie wyglądał na rozczarowanego; miał pół skrzywioną, pół zadowoloną minę wicedyrektora liceum, który właśnie nakrył szkolnego łobuziaka na wierceniu dziurki j w ścianie

toalety dla dziewcząt.

- Dlaczego, Sean? - spytał Cy. - Wiedziałem, że nie jesteś zadowolony z powodu tego przydziału, ale dlaczego...?

Otóż to, dlaczego? Czyżbym przeoczył te dwa pliki w poczcie Lisy? Janet tak bardzo paliła się, żeby zobaczyć pliki siostry.

Ale ta teoria byłaby do przyjęcia tylko pod warunkiem, że Lisa też brała udział w przekręcie.

Było też możliwe, że serwer miał usterkę elektroniczną i zapisał pliki w niewłaściwym miejscu. Ale to było mało prawdopodobne.

W takim razie pozostawała jedna możliwość: ktoś próbował mnie zrobić, wykorzystując technikę. Ale kto? I dlaczego? Przypomniałem sobie rozmowę z Barrym. Czyżby istniał jakiś związek? Skoro tak, to wiadomo kto... A być może także dlaczego. Ale jak?

Prawo Parszywych Koincydencji mówi, że jeśli zdarzają ci się dwie naprawdę dobre rzeczy naraz, to jest to przypuszczalnie zbieg okoliczności. Ale kiedy zdarzają się dwie patszywe rzeczy, istnieje między nimi bezpośredni związek, wystarczy go tylko znaleźć.

— Co dalej? - spytałem.

— Nasza komisja etyki spotka się we wtorek wieczorem w celu ustalenia twoich dalszych losów i zdecydowania, czy przełożymy tę sprawę do systemu sądowego - odparł Bronson, po czym dodał z żalem: - Oczywiście, będziesz mógł się bronić.

— Oczywiście.

— Do tego czasu twój dostęp do informacji elektronicznych zostaje zawieszony - poinformował. - Jeśli wejdiesz na teren firmy, musisz mieć eskortę z biura pana Merriweathera. Czy to jasne?

— Świetnie.

Przyszpilił mnie złym spojrzeniem, zniżył głos i rozkazał:

- A teraz wrócisz do firmy Morris Networks i dokończysz audyt.

Czy to miał być żart? Nie ufają mi na tyle, by pozwolić włączyć komputer albo przejść korytarzem bez psa z gnatem, ale nadal mam wystawiać rachunki klientowi?

Z drugiej zaś strony audyt prawdopodobnie kosztował Morris Networks parę milionów dolarów i byłoby diabelnie przykro poinformować klienta, że pracownik nadzorujący pracę ma poważne problemy z etyką zawodową, więc całą operację trzeba powtórzyć. Klient mógłby bardzo logicznie zauważyć, że skoro firma mnie wyznaczyła, to niech teraz firma płaci. Ale wracając do Prawa Parszywych Koincydencji - audyt miał się skończyć we wtorek, a dyscyplinarne bla bla bla zostało wyznaczone na ten dzień.

Rozumiecie, co mam na myśli? Te typy z sektora prywatnego uważają, że my z sektora państwowego jesteśmy tak głupi, że nie umiemy się sami wysikać.

ROZDZIAŁ 25

Jadąc do siedziby Morris Networks, zadzwoniłem z samochodowego telefonu na komórkę Janet. Po pięciu dzwonekach mechaniczny kobiecy głos zaproponował mi szereg opcji: wybierz jeden, żeby połączyć się z pocztą głosową, wybierz dwa... i tak dalej. Wcisnąłem więc jedynekę i powiedziałem: „Mówi Drummond. Zadzwoń do mnie. *Prontó*”.

Wjechałem windą na górę i wszedłem do sali konferencyjnej. Martha siedziała w kącie i patrzyła z powątpiewaniem na długi arkusz papieru. Po krótkiej wymianie uprzejmości ni stąd, ni zowąd przyszło mi do głowy, że to ona mogła nagrać wiadomości dla firmy realizującej połączenia bezprzewodowe. Monotonny, bezbarwny głos... A zresztą, kogo to obchodzi?

— Wczoraj pytała pani o firmę o nazwie Grand Vistas - przypomniałem jej.

— Tak?

— Jakie ma pani o niej informacje?

— Czy jest jakiś problem?

— Nie, skądże znowu. Muszę poinformować ich, że znaleźli się w naszym raporcie finansowym. To standardowa procedura grzecznościowa.

Martha skinęła głową, weszła do przyległego gabinetu i wróciła z cienką szarą kopertą.

- Tutaj są informacje kontaktowe. To prywatna firma za-

graniczna. Firma rozliczająca Morris Networks zna ją z pewnością, ale ponieważ my wykonujemy tylko audyt, nic o niej nie wiemy.

Podziękowałem jej i wróciłem do samochodu.

Janet zadzwoniła, kiedy jechałem do domu. Podałem jej namiary i umówiłem się na spotkanie w porze lunchu.

Nie dalej niż dwa tygodnie temu moje życie było proste, uporządkowane i ogólnie przyjemne. Miałem pracę, którą lubiłem i rozumiałem, w organizacji, którą lubiłem, ale której nikt nie rozumiał. Fakt, w kontaktach z szefem pojawiały się pewne zgrzyty, ale byłem panem swego losu, oczywiście w granicach, na jakie pozwala armia.

I nagle stałem się zabawką w rękach wielu ludzi. Janet manipulowała mną, nakłaniając do śledztwa idącego tropem jej podejrzeń; Spinelli szarpał mnie, gdy tylko pojawiły się zwłoki nowej ofiary. Barry być może szykował mnie na przyszłego kozła ofiarnego. A teraz ktoś, kogo nie znałem, a może już znałem, wrabiał mnie w coś jeszcze gorszego. Przeznaczenie zdawało się rozdawać kupony na kawałki tyłka Seana Drummonda, a ja chciałem wiedzieć dlaczego.

W mieszkaniu włączyłem komputer, wszedłem na stronę google.com i wstukałem „Janet Morrow - Boston Globe”.

Trzy bezpośrednie trafienia i długa lista częściowych. Pierwsze było artykułem poświęconym wyrokowi skazującemu, który Janet uzyskała dla członka gangu Crips. Gangster zastrzelił trzech bandziorów z konkurencyjnego gangu. Autor zacytował słowa Janet, która powiedziała: „Sprawiedliwości stało się zadość”, a obrońca naturalnie przysięgał, iż proces był okropnie niesprawiedliwy, i obiecywał, że złoży apelację. Druga informacja była podobna: dotyczyła

wyroku dożywocia dla bigamisty, który zgładził dwie żony, żeby zgarnąć forszę z ubezpieczeń. Trzecia mówiła o wyroku skazującym dla alfonsa, który w morderczym szale zabił dwie ze swoich dziewczyn.

Było to ciekawe i pouczające: trzy sprawy o zabójstwo w ciągu siedmiu miesięcy. Zwykle do spraw z oskarżeniem o morderstwo prokuratorzy okręgowi wysyłają swoich najlepszych wymiataczy albo, jak mówimy w branży, magnesy medialne. To świadczyło, że Janet była ulubienicą szefa, kiedy gra toczyła się o dużą stawkę.

Przeskoczyłem kolejne pozycje i dotarłem do tytułu „Janet Morrow otrzymuje Nagrodę Patriotów”, będącego częścią listu od organizacji, która nazywa się „Liga Patriotów, Odpowiedzialnych Obywateli Oddanych Przestrzeganiu i Poprawianiu Prawa i Porządku w Wielkim Mieście Boston i Jego Lokalnym Otoczeniu”. Bez wątplenia słuszna sprawa, cokolwiek, do cholery, miała oznaczać ta nazwa. W artykule podana była data kolacji, lista zaproszonych gości i tak dalej - ważniacy czytają takie rzeczy tylko po to, żeby zobaczyć, czy ich wymieniono. Przewodniczący Ligi Patriotów, Jack Jakiś tam, wygłosił mowę, w której wynosił pod niebiosa osiągnięcia zawodowe Janet jako prokuratorki oraz jej niezrównane poświęcenie dla pracy. Na koniec ogłosił ją Aniołem Mścicielem Bostonu. Pięknie.

Następne poszukiwanie dotyczyło firmy Grand Vistas. Była to nazwa jak z plasteliny, która zdawała się pasować do wszystkiego, od pornograficznej strony „dla miłośników latynoskich pań z dużymi tyłkami” po agencję turystyczną. Wreszcie trafiłem na firmową stronę.

Na ekranie wyskoczyło typowe korporacyjne logo z ogromnym Z jak w Zorro i szereg linków, pod

którymi kryło się wszystko, od informacji o firmie po listę wolnych stanowisk. Pomyślałem, że dobrze byłoby zacząć od wolnych miejsc, bo być może niedługo będę musiał zacząć szukać pracy.

Firma przedstawiała się jako międzynarodowy holding zarejestrowany na Bermudach, dokonujący znacznych inwestycji i mający udziały w branży telekomunikacyjnej, kopalniach cynku, diamentów, złota, przemyśle okrętowym i leasingu ciężkiego sprzętu. Wyglądało na to, że firma ma kłopoty z tożsamością. Nie było nic o właścicielach i inwestorach, o strukturze korporacyjnej i personelu. Kilka zdjęć statków i kopalni miało ilustrować szeroki zakres jej działalności.

O rany. Więcej informacji można znaleźć na opakowaniu od kondoma.

Znalazłem w segregatorze numer telefonu kontaktowego. Długi szereg cyfr zaczynał się od 0011; był to numer do jakiegoś kraju, ale nie wiedziałem do jakiego.

Połączyłem się i po kilku sekundach metaliczny głos podał mi dziesięć osób, z którymi mogłem porozmawiać, ale żadna nie była tą, o którą mi chodziło. Pewnie dlatego, że nie miałem zielonego pojęcia, z kim chcę mówić. Wreszcie pozwolono mi wcisnąć dziesięć, żeby usłyszeć głos żywego człowieka.

— Grand Vistas. Czym mogę służyć? - powiedział kobiecy głos po angielsku, ale z jakąś europejską domieszką, której nie umiałem rozszyfrować. Powiedziałem, że chcę mówić z kimś, kto wie, jak działa firma. Poinformowała mnie, że istnieje szereg biur, których pracownicy wiedzą, jak firma działa, i poprosiła, żebym sprecyzował, o co mi chodzi. Księgowość? Wykluczone, odparłem. Dział prawny? Nie, prawnicy to palanty. Dział operacyjny? Tak, świetnie.

— Philippe Jardeau - odezwał się wreszcie głos.

— Cześć, Philippe. Mówisz po angielsku?

— Throszczkę. Czy mogę w czymś pomóc?

— Mam nadzieję. Bill mam na imię... Bill Clinton, pracuję w Morris Networks.

— Cliiinton? - zdziwił się, kalecząc angielskie samogłoski tak, jak tylko Francuzi potrafią.

— Ale nazwisko, co?

— No, tak.

— Zawsze mówię ludziom, że ja jestem tym, który właśnie się zaciągał.

— Przepraszam, ale...

— Słuchaj, to jeszcze nie wszystko. Mojej

żonie na imię Monica. Ale ją obrabiają! - Uznałem, że dosyć już namieszałem. - Jakie stanowisko zajmujesz w firmie? - spytałem Philippe'a.

— Jestem asystentem dyrektora operacyjnego.

— A więc trafiłem na właściwego człowieka. Rzecz w tym, że przeprowadzam audyt firmy i wyszła nazwa waszego holdingu. Wiesz, co rok robimy machniom.

— Machniom?

— No, wymieniamy się akcjami i wykorzystaniem swoich sieci.

— Aa, taak... Wiadomo mi coś o tym.

— Ten audyt ma dla nas kluczowe znaczenie, bo ubiegamy się o duży kontrakt Departamentu Obrony.

— Okay, rozumiem.

— Zaksięgowaliśmy spory przychód od was. Osiemdziesiąt milionów w ubiegłym kwartale.

— Tak?

— Ale okazuje się, że nasz Departament Obrony nie ma o was żadnych informacji.

— A dlaczego to jest problem?

— Kwestia zwykłej weryfikacji. Biurokracji, rozumiesz? Nastąpiła dłuższa pauza, po której usłyszałem:

— Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

— To nic wielkiego, stary. Wymień mi tylko telekomy, z którymi Morris dokonuje wymian.

— Ja... chwileczkę.

Philippe musiał zakryć mikrofon dłonią, bo usłyszałem stłumione głosy. Nie mówiono po angielsku, ale nie był to też francuski.

— Jesteśmy prywatną firmą, tak? - rzekł po chwili. - Nie ujawniamy naszych holdingów na zewnątrz.

— Wiesz, ciągle powtarzam Jasonowi, że zrobił głupstwo, nie pozostając prywatną spółką. Teraz musimy nosić majtki na spodniach.

— To wasz problem, panie Cliiton, nie nasz.

— Racja, racja. Czy łatwiej byłoby ci rozmawiać, gdybym poleciał do was i spotkał się na miejscu? Powiedz mi tylko gdzie, i jeszcze dzisiaj wsiadam w samolot.

— Nie, my...

— Philippe, ten kontrakt jest wart dwa miliardy zielonych. Jason dostanie wścieku dupy, jeśli go przegramy tylko dlatego, że macie taki szczękościsk w drugorzędnej kwestii poufności.

Ponownie nastąpiła długa pauza. Philippe znów z kimś rozmawiał. Wreszcie spytał:

— Jakie jest twoje stanowisko w Morris Networks?

— Pracuję z firmą przeprowadzającą audyt. I z Barrym Bosworthem. Znasz go?

— Mm... nie. Chwileczkę. - Po chwili powiedział: - Proszę kierować swoje pytania do pana Boswortha. Proszę nie męczyć nas więcej telefonami. - Trzask i cisza na linii.

O rany, nie pozostawił żadnych wątpliwości.

Można powiedzieć, że nie wiedziałem więcej niż na początku. Ale to oznaczało, że wiem o wiele więcej.

Niektóre firmy pozostają prywatne i nie biją się o publiczne pieniądze, bo są firmami rodzinnymi i nie chcą, żeby ktoś grzebał im w rodzinnych klejnotach. Inne z powodu ego właścicieli, a jeszcze inne dlatego, że właścicielami są paranoicy władzy, tacy jak Howard Hughes, którzy uważają publicznych akcjonariuszy za wstrętne mikroby. Ale nawet te firmy nie ukrywają swoich holdingów. W pewnym sensie gra w kapitalizm to wielki konkurs, więc co w niej fajnego, jeśli nie można pochwalić się wszem wobec wielkością swojej piaskownicy?

Firma Grand Vistas była więc tajemniczym holdingiem z siedzibą na wyspie słynącej z zerowych podatków i zasad *laissez-faire* dla biznesu. Pracownicy, z którymi rozmawiałem, byli cudzoziemcami. Mimo to wspólnym językiem firmy nie był ani angielski, ani francuski, ani też hiszpański czy azjatycki. Zostaje jakieś sto kilkadziesiąt języków, lecz dobra robota detektywistyczna często sprowadza się raczej do eliminacji niż do dodawania.

Bardziej intrygujące było to, że Philippe

zasłaniał dłonią słuchawkę, żeby poradzić się tego, który nim kierował w czasie naszej rozmowy. Są trzy gatunki stosujące takie sposoby: wojsko, szpiedzy i oszuści.

Wszedłem do kuchni, wyjąłem z lodówki dwa steki, znalazłem w szafce dwa ziemniaki i zacząłem przygotowywać lunch.

ROZDZIAŁ 26

Annę Carrol jeszcze nie trafiła na pierwsze strony gazet i do dzienników telewizyjnych. Mimo to był pewny, że za godzinę jej nazwisko będzie wymieniane w każdym małym sklepiku, w rozmowach starszych pań, które zebrały się, żeby poszydełkować, i na wszystkich komisariatach policji w kraju. To niewiarygodne, co ten potwór jej zrobił, będą mówili ludzie, kiwając głowami, z przerażeniem na twarzach.

Fiorio przykuła uwagę, bo była sławna i lubiana, lecz ból zadany Annę Carrol sprawi, że cały naród zaciśnie zęby i wielkim krzykiem będzie się domagał złapania bestii, która się tego dopuściła.

To niesmaczne, ale trzeba było ją zatłwić właśnie w taki sposób. Pryszył windekssem na lustro i zaczął energicznie usuwać najmniejsze drobiny pasty do zębów lub śliny, które mogły trafić na powierzchnię. To było szóste czyszczenie. Ale w końcu spędził przed lustrem dużo czasu, więc popełnienie błędu na tym etapie nie miało sensu. Przy dzisiejszym stanie techniki można ustalić DNA dzięki cząsteczkom znalezionym na czubku szpilki. Salon był zrobiony, wszystkie powierzchnie zostały wyszorowane i wyczyszczone najlepszymi środkami, jakie można kupić. Kuchnia błyszczała. Wypożyczył nawet odkurzacz i jeździł nim przez cztery godziny w tę i z powrotem, zbierając każdą

drobinę pyłu i brudu. Wrzucił worki ze śmieciami do kolektora

w pasażu pięć kilometrów dalej. Ubrania, które nosił przez ostatnie trzy tygodnie, pościel, w której spał, poduszki, wszystko zostało spalone. Rower zakopał w dwumetrowym dole w gęstym lesie.

Na nieskazitelnie czystym stole w salonie stała lśniąca nowa teczka, w której znajdowały się profile dwóch ostatnich ofiar. Jego następne zabójstwo nie zostanie jednak dokonane w tym mieście. Zaplanował, że tutaj rozpali strach, a załatwi ją gdzie indziej. Jej śmierć będzie inna, i nikt nie powiąże zabójstwa z przerażającym mordercą szalejącym w stolicy. Wszak to nie było jej rodzinne miasto, prawda? To, że tutaj przyjechała, nie zostało uwzględnione w jego planach i uważał ten fakt za szalenie niesprzyjający. Cóż, będzie musiał znaleźć sposób, żeby ją wyciągnąć.

W porannych wiadomościach usłyszał, że piętnaście kilometrów od stolicy, na ścieżce rowerowej nad kanałem, znaleziono ciało dwudziestoletniego studenta Uniwersytetu George'a Washingtona nazwiskiem John Negroponte. Policja znalazła uszkodzony rower, a na głowie denata była straszliwa rana. Na tej podstawie uznano, że student jechał bardzo szybko, stracił panowanie nad rowerem i rozbił się o drzewo. Tragiczny wypadek: biedak prawdopodobnie wjechał w koleinę i kask zsunął mu się z głowy. W kaplicy uniwersyteckiej miała się odbyć msza ku czci zmarłego.

Dwa z trzech wynajętych samochodów stały na parkingu sąsiadującym z hotelem, dokładnie wyczyszczone; drzwi były otwarte, kluczyki wsunięte pod dywaniki po stronie kierowcy. Za trzy godziny zjawi się dwóch współników, którzy odstawią samochody do wypożyczalni w Filadelfii. Jego dawno już nie będzie. W tym czasie ostatnim z wynajętych wozów będzie jechał na północ, do Bostonu, gdzie

zabije następną ofiarę.

Miasto Waszyngton wstrzyma oddech na dwa lub trzy dni, nie wiedząc, gdzie uderzy po raz kolejny. Za tydzień agenci FBI i gliniarze zaczną się drapać po głowach. Na dłoniach ofiar zapisał deklarację, że zabije dziesięć ofiar. Zabójca z LA obiecał, że będzie ich pięć, i wywiązał się z tego. Policjanci psychologowie powiedzieli, że morderca traktuje to jak chorobliwą grę i postawi wszystko, żeby wygrać.

Tacy już są: przystosowują się do swoich technik i procedur i zawsze się dziwią, gdy zabójca nie gra według reguł, które sami wyznaczyli.

ROZDZIAŁ 27

Janet przyjechała w południe. Weszła, rzuciła płaszcz przy drzwiach i od razu zaczęła chodzić i węszyć. Czemu kobiety to robią? Kiedy my wchodzimy do ich mieszkań, ciekawi nas najwyżej, jakie piwo trzymają w lodówce. Zwykle jest to coś ze słowem *Lite* w nazwie, w gruncie rzeczy woda z bąbelkami, dlatego zawsze przynoszę swoje. Jeśli wydaje im się, że nie zostaną przyłapane, zaglądają nawet do szuflad z bielizną. A kiedy już taką nakryjesz, mówi: „Nie, tu nie widzę żadnych serwetek. Gdzie je trzymasz?”.

Moje mieszkanie jest bardzo zwarte: składa się z malutkiego saloniku, aneksu kuchennego, sypialni i ciasnej łazienki. Jestem dosyć schludny i porządny, choć były sugestie, że dekorator wnętrz mógłby zaproponować kilka drobnych zmian. Nie jestem znawcą, ale mam wrażenie, że styl mojego mieszkania nazywa się „Ta Nora Nadaje Się do P-ego Remontu”, bo damy, które mnie odwiedzały, właśnie coś takiego

mamrotały pod nosem. Trudno - mnie odpowiada.

Wiem na przykład, że główną zasadą dekoracji wewnątrz jest umieszczenie w każdym pokoju dominującego elementu. W moim saloniku tym elementem jest sześćdziesięciocalowy telewizor. Wyposażenia dopełnia kilka sfatygowanych regałów na książki i dwa składane fotele, umieszczone w strategicznych miejscach dwa metry przed ekranem. Mam hopla na punkcie gołych białych ścian i odrazę do bibelotów, dywaników, roślinek, stolików i stoliczków, lamp i tym podobnych. Wniesienie sprzętu zajęło dwóm facetom trzy kwadranse, a wyprowadzka potrwa pewnie jeszcze krócej. Oszczędne pakowanie się jest praktyczną umiejętnością w wojsku, a nieodzowną, kiedy masz trudności ze znalezieniem szefów, którzy cię lubią. Janet kręciła głową.

- Ty tu naprawdę mieszkasz? - Ale szybko się poprawiła: - Och, przepraszam... Pewnie dopiero się wprowadziłeś.

— Bardzo zabawne. Roześmiała się.

— Tej norze przydałby się remont. - Racja.

Nie zważając na nic, oddaliłem się do wnęki w saloniku, gdzie piekły się w kuchence dwa steki. Janet przyglądała się chwilę mamuciemu telewizorowi, a potem wzięła pilota i go włączyła.

— Oglądałeś? - spytała.

— A powinienem?

— Tym razem wygląda to bardzo źle, Sean. Telewizor był nastawiony na kanał sportowy, więc Janet musiała trochę poskakać po kanałach, żeby znaleźć Fox News. Powalająca urodą reporterka stała z mikrofonem przyciśniętym do ust; tło stanowił wysoki szary biurowiec oraz zdezelowany ogromny pojemnik na śmieci w kolorze zielonym, z napisem „Dumpster”.

„...kiedy w budynku naszego waszyngtońskiego

studia, który widzą państwo za mną, odebraliśmy telefon z informacją, że w pojemniku na zewnątrz znajduje się ciało. Leslie Jackson, szef studia, udał się do pojemnika w towarzystwie pracownika ochrony, a następnie zadzwonił na policję. Choć miejscowe władze nie podają żadnych szczegółów, z relacji Lesliego wiemy, że ostatnia ofiara została straszliwie okaleczona. Ciało było nagie, kończyny strzaskane wielokrotnymi ciosami ciężkim, tępym przedmiotem. Straszny był widok twarzy kobiety z odciętym nosem”.

Reporterka wysłuchiwała pytania prezentera w studiu i odparła:

„Nie, Mark, ciało nie zostało jeszcze zidentyfikowane, ale FBI spodziewa się, że jej tożsamość będzie znana dzisiaj późnym popołudniem. FBI potwierdziło także, że kręgosłup kobiety został złamany, tak jak...”.

Janet wyłączyła nagle telewizor i powiedziała:

- Wcześniej potwierdzono, że morderca napisał na jej dłoni cztery przez dziesięć.

Przewróciłem steki. Janet podeszła bliżej mnie, stanęła przed oknem i zapatrzyła się w dal. Dzień był chłodny i rzeński. Po niebie pędziły ciemne chmury, nadciągała ulewa. Typowy dla Waszyngtonu dzień w środku grudnia, a kolejna kobieta go nie zobaczy.

Rzuciłem steki na talerz. Janet ruszyła za mną do kuchni. Wyjąłem ziemniaki z piecyka. Butelka czerwonego wina stała otwarta, żeby wino mogło pooddychać, jak to mówią. W jaki sposób martwe winogrona oddychają, pozostaje dla mnie zagadką i nie chcę znać odpowiedzi na to pytanie. Nalałem wina do kieliszka Janet, a sobie otworzyłem piwo. W mojej kuchence jest blat, przy którym oboje wygodnie się usadowiliśmy.

— A propos, jakie są szanse, że William Murray zostanie skazany? - zagałem.

— Słucham?

— William Murray. - Chciałem ją powalić tym pytaniem, a ona tymczasem spoglądała na mnie pustym wzrokiem. - Oszustwo pocztowe i spisek.

— Nie wiem, o czym mówisz. - I rzeczywiście wyglądała na zdezorientowaną.

— Paragon Ventures?

— Firma oskarżona o duży przekręt z Medicare?

— Znasz tę sprawę?

— Tak, wszyscy ją znają. W „Boston Globe”

rozpisywano się o niej tygodniami. Prowadzi ją bostońska prokuratura okręgowa.

— Bierzesz w tym udział?

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Bierzesz udział?

Janet pokręciła głową.

— Paragon Ventures oskarżono o przestępstwo korporacyjne. Ja zajmuję się sprawami karnymi, przeważnie ścigam morderców. O co ci chodzi?

— Dziś rano zawleczono mnie w firmie przed dwóch starszych wspólników. Serwer, na którym zalogowaliśmy się przedwczoraj, pokazał, że ściągnęliśmy dwa pliki z aktami spraw. Tak się składa, że kancelaria Culper, Hutch i Westin występuje jako obrońca w obu tych sprawach.

— Ach... I ty...

— Tak. Wpadłem w głębokie gówno. Zarzucono mi pomaganie ci w kradzieży poufnych informacji firmy, co może się okazać bardzo szkodliwe dla dwóch cenionych klientów.

— To bardzo głębokie gówno.

— Więc włóż buty z długimi cholewami, bo jesteś moją wspólniczką.

Janet się zastanowiła.

— I te pliki miały być w poczcie Lisy?

— Taką informację podał serwer. Zapewniono mnie, że serwer nie kłamie. Wiedziałaś, że jest podłączony do jakiegoś odjazdowego zegara w Greenwich, który chodzi z dokładnością do trzech... jakichś tam?

— Co takiego? - spytała trochę rozkojarzona. - To bzdura. Widziałeś to samo co ja.

— Tak mi się zdawało.

— Widziałeś. Zatem... Ktoś majstrował przy plikach później. To jedyne wyjaśnienie.

— Nie, to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Czy Lisa wspominała ci o Barrym Bosworcie?

— Dlaczego pytasz? Myślisz, że jest w to wmieszany?

— Nie mam powodu tak myśleć?

Przyglądała mi się przez kilka sekund, a potem powiedziała:

- Przez ten rok Lisa mówiła mi o kilku osobach, z którymi pracowała w firmie. Odniosłam wrażenie, że jest to... wyjątkowo nieprzyjazne środowisko. Bosworth zajmował wysoką pozycję na liście tych, którym nie ufała i któiyh nie lubiła.

— Jego żona i dzieci też mu nie ufają i go nie lubią. Proszę o szczegóły.

— Lisa skarżyła się na niego kilka razy. Uprzykrzał jej życie, parę razy przypisał sobie jej zasługi, ogólnie próbował kopać pod nią dołki. Postrzegał ją jako zagrożenie i za wszelką cenę starał się jej zaszkodzić.

— Ten sam Barry, którego znam i Kocham. A Sally Westin?

— Była jeszcze wyżej na czarnej liście niż Barry.

- Mówimy o tej samej Sally?

Janet skinęła głową.

- Lisa kilka razy wspominała, że coś wydaje jej się dziwne... Powiedziała, że jest w niej coś fałszywego. Miałam wrażenie, że jej antypatia do Westin miała charakter bardziej osobisty niż niechęć do Boswortha. Wydaje mi się, że uważała Sally za bardziej niebezpieczną. Ale nie wiem dlaczego.

Trochę mnie to zdezorientowało.

Sally zrobiła na mnie wrażenie beznadziejnego przypadku: niezbyt bystra, niskie umiejętności współpracy z klientem. Była dla mnie jedną z tych osób, które dosłownie wykańczają się, dając z siebie wszystko. W każdej firmie jest taki facet lub dziewczyna, która wylewa za dużo potu, pracuje za długo i za bardzo podlizuje się wspólnikom, klęcząc na kolanach. Wydaje im się, że starania i podlizywanie przyniosą nagrodę. Ale tak nie jest. Po prostu. W świecie prawa, w którym panuje ostra konkurencja, tylko talent i bystrość dają przepustkę do beczki z miodem. U panny Sally Westin nie zauważyłem ani jednego, ani drugiego.

Ale, jak już wspominałem, wyczułem również u Sally coś dziwnego, stłumionego, jakby przyczajonego.

Znając jej tragiczną historię, przypuszczałem, że wlecze ze sobą bagaż gorzkiego żalu, gniewu, poczucia winy i Bóg wie jakich jeszcze trujących składników. Dzieci rodziców, którzy popełnili samobójstwo, często muszą nieść ciężki krzyż pustki, niespełnienia i niepewności co do swojego przeznaczenia. Lecz jeszcze nie rozgryzłem, co sprawiało, że ta mieszanka stała się niebezpieczna.

- Czy powinienem uważać na kogoś jeszcze albo o kimś wiedzieć? - spytałem.

Janet podniosła kieliszek i spuściła wzrok na wino.

- Hm... Cy Berger.

Teraz byłem naprawdę skołowany, więc Janet zapytała:

— To ty wciąż nie wiesz?

— Czego nie wiem?

— Myślałam, że już się dowiedziałeś... -

Odstawiła kieliszek. - Pamiętasz, że Lisa spotykała się z kimś przez większą część ubiegłego roku?

Milczałem, więc mówiła dalej:

— Chyba wspomniałam też, że mój ojciec, siostry i ja bardzo się tym martwiliśmy. Po pierwsze, jest o wiele starszy. Ale wiedzieliśmy też o jego reputacji, a ta nie była zachęcająca.

— Co Lisa w nim widziała?

— Jest czarujący i odniósł sukces. - Janet zastanowiła się głębiej nad moim pytaniem, a potem powiedziała: - Ale wydaje mi się, że chodziło o wizerunek niegrzecznego chłopca. Czy to ma sens?

— Nie.

— Całe życie Lisy było bardzo... Brakuje mi słowa. Jeśli na coś się nastawiła, zawsze była w tym najlepsza. Pierwsza w klasie we wszystkim, gwiazda bieżni, telefony od chłopców. To może uczynić kobietę

słabą.

— Słabą?

- Tak, słabą... Nie znasz zbyt dobrze kobiet, prawda?

Cóż, znałem je dość dobrze, by nie odpowiadać na to pytanie.

- Niektóre kobiety - ciągnęła Janet - być może Lisa była jedną z nich, są bardzo pewne siebie i to wywołuje w nich silny instynkt reformatorski. - Przez chwilę błądziła wzrokiem po moim mieszkaniu. - Możliwe, że ciebie też właśnie dlatego polubiła.

Hmm.

— Mów dalej.

— Większość kobiet ma tę cechę. Jak myślisz, czemu mężczyźni tacy jak Richard Gere i Vin Diesel są gwiazdorami? Bo

kobiety widzą takich na ekranie i marzą o tym, żeby ocalić ich przed samymi sobą.

To było dziwne. Życie pełne jest tych osobliwości w rodzaju mali-mężczyźni-są-z-marsa-a-kobiety-z-wenus. Jeśli facet widzi niegrzeczną dziewczynę, to czy pomyśli o tym, żeby ją zreformować? Nie. Zastanawia się, jakie są szanse, żeby się załapać, a później wyniknąć tylnymi drzwiami, zanim dziewczyna pozna jego prawdziwe imię i numer telefonu. Jeśli kiedykolwiek będę miał córkę, będziemy musieli odbyć długą rozmowę o facetach. To świnię. Skończone świnię.

Wracając do tematu rozmowy, spytałem:

— Jak to się skończyło?

— Mówimy o Cyu.

— Lisa przyłapała go na zdradzie?

— Tak.

— Z kim?

— Nie powiedziała. Powiedziała tylko, że Cy zaczął romans z inną kobietą. Lisa zapytała go o to wprost, a on zaproponował, żeby się nim dzieliła.

— Domyślam się, że zrobiło to doskonałe wrażenie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

Coś mi w tym nie grało.

— Cy powiedział, że Lisie zaproponowano stanowisko wspólniczki w bostońskim biurze firmy. Przyjęła ofertę i szykowała się do rezygnacji z pracy w wojsku.

— Tak powiedział?

— Tak.

— Hm, nic o tym nie wiem.

— Ale wiedziałabyś, prawda?

— Niekoniecznie.

— Myślałem...

— Pierwszy raz o tym słyszę.

Spojrzałem na nią nie rozumiejącym wzrokiem. No bo jak to: Lisa opowiadała siostrze, gdzie jej facet myszkuje ze swoim eks-senatorskim kabanosem, a nie powiedziała, że zaproponowano jej pracę w rodzinnym mieście? To było dziwne, po prostu dziwne.

Ale był bardziej interesujący temat.

— Słyszałaś kiedyś o firmie Grand Vistas?

— A powinnam? Czy to kolejna sprawa prowadzona przez bostońską prokuraturę okręgową?

— Nic mi o takiej sprawie nie wiadomo. Niewykluczone. To międzynarodowa firma z holdingami w najrozmaitszych gałęziach przemysłu, od statków do metali szlachetnych i telekomunikacji.

— Czemu miałabym o niej słyszeć?

— Nie ma powodu. - Napełniłem kieliszek Janet. - Byłem ciekaw, czy Lisa wspominała o tej firmie.

— Nie.

- Znasz kogoś, kto mógłby ją zlustrować?

Janet pomyślała chwilę.

— Bostońską prokuratura ma wydział przestępstw gospodarczych. Często współpracują z Komisją Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń. John Andrews, szef tego wydziału, jest moim przyjacielem.

— Jak bliskim?

— Chciałby być czymś więcej niż przyjacielem.

— Więc możesz go poprosić...

— A on chciałby wiedzieć dlaczego. Johnny zajmuje się tym nie bez powodu. Nie nagina zasad dla nikogo... nawet dla kobiety.

— To byłoby kłopotliwe.

— Rozumiem. - Janet upiła łyk wina. - Firma publiczna czy prywatna?

— Prywatna. Zarejestrowana na Bermudach.

Właśnie miała zadać następne pytanie, kiedy zadzwonił telefon. Daniel Spinelli przedstawił się i powiedział, żeby spotkał się z nim na komendzie policji w Alexandrii, i to tak szybko, jak zdołam dowieźć tam swój tyłek. Później zapytał, czy nie wiem

przypadkiem, gdzie można znaleźć śliczną pannę Janet
Morrow. Wiedziałem, a jakże.

Nietrudno było zgadnąć, o co chodzi.

ROZDZIAŁ 28

W sektorze śledczym komendy Alexandria nie było wolnych biurek. Wszystkie ręce były na pokładzie, by użyć marynarskiej terminologii, co wskazywało, że porucznik Martin i jego posępni gliniarze zasuwali w trybie kryzysowym. Dzwoniły telefony, przesłuchiowano masę ludzi, detektywi biegali od biurka do biurka, wymieniając się wskazówkami i notatkami oraz typami na niedzielny mecz Czerwonoskórych z obrzydliwymi Kowbojami z Dallas. Innymi słowy była to sala pełna pracujących z poświęceniem zawodowców, pragnących złapać łotra, zanim ten znów uderzy.

Porucznik Martin był w swojej szklanej klatce i wyglądał na wyczerpanego: rozpięte guziki pod szyją, luźny krawat, podwinięte rękawy, wory pod przekrwionymi oczami - tak wyglądał człowiek dźwigający na barkach parszywe brzemie. Zauważyłem też Spinello i mężczyznę w szarym garniturze, siedzieli obok siebie przy ścianie. Wszędzie widać było czarno-białe zdjęcia zwłok w okropnych pozach, przyklejone do szklanych ścian, rozłożone na biurkach, ułożone w stosach na podłodze.

Z doświadczenia wiedziałem, że im bardziej gliniarze są sfrustrowani, tym bardziej nadrabiają brak postępów w śledztwie, tworząc pozory szaleńczej aktywności. Są w tym doskonali. Zdjęcia zabitych kobiet były rodzajem malowniczego kamuflażu, a może ilustracją poczucia winy. W każdym razie, po ulicach miasta wciąż chodził człowiek, który uznałby tę galerię za wspaniałe świadectwo pracy swoich rąk.

Janet skinęła Martinowi, potem odwróciła się do Spinello i mężczyzny, który obok niego siedział.

Znieruchomiła.

Mężczyzna wstał, uśmiechnął się i powiedział:

— Cześć, Janet.

— George.

Aha. Chyba słyszałem już gdzieś to imię.

Podszedł i pocałował Janet w policzek.

- Naprawdę mi przykro, Janet - rzekł George. - Przygotowywałem się, żeby objąć tę sprawę, od chwili gdy o niej usłyszałem. Oczywiście musiałem poczekać, aż śledztwo stanie się federalne.

Janet patrzyła na niego jak na nieboszczyka, który wyskoczył z trumny.

— Bierzesz w nim udział?

— Od wczorajszego wieczoru. Ale dyrektor postanowił, że skoro dwie ofiary mieszkały w Alexandrii, a trzecią tutaj podrzuciono, ogólne dowodzenie pozostanie u tubylców. Zostałem wyznaczony SAN grupy dochodzeniowej FBI.

SAN, gdybyście nie wiedzieli, to w żargonie FBI starszy agent nadzorujący. Tak skauci wymawiają WDN, czyli Wielki Drań Nadzorujący, które to określenie byłoby bardziej adekwatne, gdyż FBI traktuje miejscowych gliniarzy jak idiotów i pozostawia po sobie mnóstwo złych uczuć.

Agent specjalny George Meany, który wystrychnął swoją narzeczoną, żeby dostać awans, był wysoki i dobrze zbudowany, oskrobany i odstrzelony jak przerośnięty ministrant. Miał urodę przypominającą Johna Wayne'a i nawet poruszał się i stał w podobny sposób. Bardzo przypominał też Eliota Nessa, albo jego późniejsze wcielenie, czyli Roberta Stacka. Miał nawet przecięty podbródek i zmarszczone czoło, które świadczyło o wiecznym zamyśleniu i powadze zamiarów. Albo o tym, że męczą go gazy żołądkowe.

W oryg. SAC - Senior Agent in Charge.

Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją.

- Agent specjalny George Meany. A ty jesteś pewnie major Drummond.

— Cóż, ktoś musi nim być. Przyjrzał mi się uważnie i wyjaśnił:

— Janet i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

— Powinieneś się cieszyć.

— Bardzo drogimi sobie przyjaciółmi.

Uśmiechnąłem się do niego i w tej samej chwili, tak mi się wydaje, doszliśmy do wniosku, że się nie polubimy. Z facetami jest trochę tak jak z psami: szybkie, dokładne obwąchanie i bingo! Uważaj na tyłek, kiedy będziesz obsikiwał moje drzewo. Ale ja wiedziałem, dlaczego go nie lubię. Rznął, a potem orznął moją kumpelkę, a to było wstrętne. Poza tym nie podobało mi się, że nazwał Martina i Spinellogo tubylcami. Miało to nieprzyjemny, protekcyjny wydźwięk, jakby mówił o tępym wieśniakach, a my wszyscy powinniśmy całować go w anielski zadek.

Bardziej intrygujące było pytanie, dlaczego on od razu zniechęcił mnie. Domyślałem się, że przyczyna stała pół metra ode mnie. By tak rzec, drzewo, które wciąż gapiło się na George'a z rozdziawionymi ustami.

Żeby wszystko poszło jak należy, zamierzałem powiedzieć coś naprawdę cierpkiego i niemilego, ale Janet mi nie pozwoliła.

- George, cieszę się, że tu jesteś. Naprawdę. To niezwykle trudna sprawa i dla mnie bardzo osobista. Jestem wdzięczna, że poprosiłeś o ten przydział. - Janet spojrzała na mnie i dodała: - George jest jednym z najlepszych agentów operacyjnych.

Pracowaliśmy razem w Bostonie.

Mówiła mi o tym już wcześniej, rzecz jasna. Uznałem to więc za ostrzeżenie: nie wtrącaj się, Drummond. Cóż, jestem dżentelmenem, a to nie była

moja sprawa, więc postanowiłem się dostosować. Będę się zachowywał wzorowo względem George'a, dopóki nie wymyślę, w jaki sposób kopnąć go w dupę tak, żeby naprawdę poczuł.

Porucznik Martin tymczasem zaczął przeproszać, że znów zawraca nam głowę, następnie pokazał zdjęcia ostatniej ofiary. Zgodnie z informacją podaną przez telewizję Fox, odcięto jej nos, toteż cała twarz była zbryzgana krwią. Identyfikacja kobiety na podstawie tego zdjęcia byłaby trudna nawet dla jej matki. Nie muszę dodawać, że ani Janet, ani ja jej nie rozpoznaliśmy.

Podetknięto nam pod twarz czarno-białą fotografię tej samej kobiety, *pre mortis*, że się tak wyrażę. Domyśliłem się, że jest to zdjęcie paszportowe. Dość atrakcyjna dziewczyna, poza nosem, dużym jak przerośnięta bulwa, przesłaniającym wszystkie inne rysy. Powtórzyliśmy oboje, że nie znamy ofiary.

- Nazywa się Annę Carrol - poinformował nas Martin ponurym głosem. - Ofiara była lesbijką, mieszkała sama. Była cenioną prawniczką w Komisji Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń.

To było interesujące: dwie prawniczki, księgowa i telewizyjna katarynka. Mniej więcej w tym samym wieku, atrakcyjne lub bardzo atrakcyjne, wykształcone, samotne, cenione w swoich zawodach. Wspólne wątki, jak mówimy w branży. Ale czy była jakaś szczególna nić, ludzki pierwiastek, który przyciągał zabójcę? Kobiety sukcesu? Urodziwe? Praworęczne?

Snucie przeze mnie hipotez było stratą czasu, bo FBI i miejscowi gliniarze mielili te same porównania, a sądząc po naszej obecności tutaj, przewracali każdy kamień. Oprócz Lisy zginęły trzy ofiary, a my za każdym razem wracaliśmy jak

bumerang na komendę w Alexandrii.

— Czy jest możliwe, żeby twoja siostra знаła ofiarę? - zapytał Spinelli, przerywając zastój.

— Tak - odparła Janet, po czym zastanowiła się i dodała: - Ale nigdy o niej nie wspominała.

— Carrol została zabita wczoraj koło dziewiątej - wyjaśnił Spinelli. - Parę minut po dziesiątej świr zadzwonił do Foksa i powiedział, żeby zajrzeli do pojemnika na tyłach. Wciąż nie wiemy, gdzie ją załatwił.

— Jesteście pewni, że to zabójca dzwonił? - zapytałem.

— Powiedział, że próbował naprawić jej nos.

— Aha...

— Media donoszą, że podejrzewacie robotę Zabójcy z LA.

— Taka panuje opinia - potwierdził Martin, a następnie zerknął na Spinellego. - Ale on się nie zgadza.

— Dlaczego, Danny? - spytała Janet.

Pytanie nie było skierowane do niego, ale Meany podskoczył i oznajmił:

— Janet, jesteśmy prawie w stu procentach pewni, że to on.

— Ale nie w stu procentach?

— Wiesz, że z taką pewnością niczego nie da się powiedzieć. Wszystko wziąłem pod uwagę: to on.

Janet spojrzała na Spinellego i zapytała:

— Czy sperma znaleziona na ciele Fiorio pasuje do spermy na pozostałych ofiarach?

— Sperma na jej udzie nie pasuje do żadnej innej próbki - odparł Spinelli.

— Czy to nie dziwne? - spytała Janet, a potem zasugerowała: - Sperma należąca do trzech różnych osób.

— To jest tajemnicze, ale nie wnioskuj z tego zbyt wiele.

— Nie wnioskuję, George, jestem tylko ciekawa. Według doniesień dziennikarzy Zabójca z LA zostawiał własną spermę.

— Zgadza się, tak wtedy myśleliśmy. Uważamy, że uznał to za błąd i tym razem lepiej zaciera ślady.

Janet uśmiechnęła się do niego dziwnie.

— Jestem zdezorientowana.

— Dlaczego?

— Czyja jest sperma na tych zwłokach?

— Czyja? Nie mam pojęcia. Ale to oczywiste,

że nie jego. Wydaje nam się, że pryska na ciała próbkami.

— Próbkami?

— Tak. Uważamy, że nosi ze sobą fiołki, uzyskane prawdopodobnie z banków spermy albo z gabinetu lekarskiego. Zabójstwo Cuthburt świadczy o tym, że jest ekspertem od włamań, a takie placówki nie słyną z dobrych zabezpieczeń.

— Ale czy Zabójca z LA nie tryskał własną spermą?

— Jak już powiedziałem, tak właśnie sądziliśmy. Ale nie

został złapany, więc nie dopasowaliśmy DNA.
Może on też spryskiwał obcą spermą.

- Jednak mówicie, że zabójca spryskuje ciała spermą różnych mężczyzn. Skąd taka różnica?

Meany podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

- Przypomnij sobie pierwszą sprawę, przy której razem pracowaliśmy. Albo inną, którą prowadziłaś. Zawsze pojawiają się jakieś niespójne tropy.

Miałem ochotę zapytać Meany'ego, czy przez niespójne tropy rozumie wymuszanie zeznań na świadkach, nielegalny podsłuch i tym podobne rzeczy. Ale zanim zdążyłem uczynić to pomocne spostrzeżenie, Janet odparła:

— Dla dobra dyskusji załóżmy, że znacie już DNA Zabójcy z LA dzięki temu, że przed trzema laty zostawiał swoją spermę na ofiarach. Dlaczego ukrywałby je teraz?

— Sama powiedziałaś, że to tylko założenie - odparł Meany. - Tak czy inaczej wiemy na pewno, że ten człowiek to świr. Kto potrafi stwierdzić, jaka skrzywiona logika kieruje jego postępowaniem tym razem? Prawda jest taka, że nie dowiemy się tego, dopóki go nie złapiemy. - Wciąż trzymając rękę na jej ramieniu, dodał: - Ale złapiemy go, Janet. Nie miej co do tego wątpliwości.

Janet spojrzała na Spinellego.

— Danny, jakie jest twoje zdanie?

— Moje? - Spinelli spojrzał znacząco na Meany'ego. - Mamy do czynienia z facetem, który naśladuje Zabójcę z LA.

- Imitator?

Spinelli skinął głową.

— Tamten z LA lubił wydzwaniać do miejscowych gazet i chwalić się co bardziej pikantnymi szczegółami swojej roboty, zgadza się?

— Sugerujesz więc, że imitator miał się do czego dopasować?

— Miał zasrany podręcznik.

— A dlaczego uważasz, że to nie ten sam człowiek?

— Sperma. Ten popapraniec z LA nie rzucał czyjejs, tylko swoją. A ten sobie z nami pogrywa.

Meany, który wciąż nie zdjął ręki z ramienia Janet, powiedział:

- Oczywiście braliśmy pod uwagę możliwość, o której mówi Spinelli. Sam dyrektor bezpośrednio zaangażował się w to śledztwo, pracują przy nim nasi najlepsi ludzie. Dokładnie... - Bła, bla, bla. Wygłosił długą przemowę o tym, jak wszechwiedzące, kochane FBI wszystko bierze pod uwagę, rozpatruje różnice i podobieństwa i na tej podstawie dokonuje oceny. Wyłączyłem się.

Nie znaczy to, że nie podziwiam FBI, uważam, że to wspaniały zespół i w ogóle, ale skoro są tacy dobrzy, to dlaczego nie nakryli Rosenbergów, zanim ci przekazali komuchom szkice urządzeń do produkcji bomby atomowej? Skoro sadza się dwoje ludzi na krześle elektrycznym po tym, jak wskazali Sowietaom sposób na spalenie setek milionów istot? Jeśli istnieje coś takiego, jak spóźniony wytrysk, to ci goście z FBI właśnie na to cierpieli.

Jednak wzrok Janet ani na chwilę nie oderwał się od jego twarzy, a jego ręka ani na chwilę nie oderwała się od jej lewego ramienia. Z jakiegoś powodu mnie to rozzłościło. Ten sam typ, który wbił jej nóż w plecy, zjawia się nagle, cały w uśmiechach, i odgrywa rycerza obiecującego, że zabije złego smoka. Dajcie spokój! Ten fagas tylko dlatego błagał szefów na kolanach o przydzielenie do tego śledztwa, by znów wśliznąć się w majtki Janet. A ona na pewno przejrzała tę grę, prawda?

Meany zakończył wykład o tym, że FBI wie wszystko, i wszyscy obecni siedzieli i rozważali jego słowa. A może wyłączyli się, tak jak ja, i potrzebowali chwili, żeby znów włączyć silniki.

- Dziękuję, George - rzekła wreszcie Janet.

Znów upłynęło kilka sekund, a potem Janet

przypomniała:

— Hipoteza była taka, że Zabójca z LA miał ejakulacje. Podniecało go albo dręczenie, albo zabijanie ofiar, zgadza się?

— Taki wniosek wysnuli nasi psychologowie - odparł Meany. - Torturowanie ofiar i zabijanie spełniały jego seksualne fantazje. Uważamy, że dostawał orgazmu w czasie tortur, a potem łamał ofiarom kręgosłupy. Z grubsza rzecz biorąc, teraz mamy do czynienia z takim samym postępowaniem.

— Więc czy na ofiarach nie powinno się znaleźć jego nasienie?

— Wiem, że to może zabrzmie głupio, ale nasi specjaliści uważają, że zabójca zakłada teraz prezerwatywę.

Głupio. Wyszepiałem coś w rodzaju:

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, to wydaje się takie oczywiste.

Meany wlepił we mnie wzrok - zarobiłem trzy ujemne punkty. Janet znów na niego spojrzała.

— A czym wytłumaczyć coraz większe okrucieństwo w stosunku do ofiar?

— To się zdarza. Sukces uderza im do głowy - stwierdził Meany. - Często się z tym spotykamy. Zaczynają z pewnymi zahamowaniami. Coraz więcej uchodzi im na sucho, więc na więcej sobie pozwalają. Poza tym coraz trudniej im osiągnąć podniecenie. Posuwają się coraz dalej i eksperymentują.

Janet milczała przez chwilę, jakby się zastanawiała, po czym spytała:

— Myślisz, że to wszystko tłumaczy?

— Zmagamy się z drugą teorią. On może uważać to za grę, za współzawodnictwo... Kobiety są bierkami na szachownicy. Prowokacyjne pozy ofiar, telefony do redakcji, plamy nasienia jako wizytówki...

Cały ten proces fizycznej eskalacji może oznaczać, że zabójca traktuje to jako mecz. On ustanawia zasady, może je nawet zmieniać, a my musimy postępować zgodnie z nimi.

Zauważyłem, że Spinelli pochylił się i wbił wzrok w podłogę, stukając butami, jego twarz przybrała sardoniczny wyraz. Przyszło mi na myśl, że parę rzeczy nas łączy. Obaj uważaliśmy George'a Meany'ego za dupka. Po drugie, ta przydługa dyskusja o spermie i DNA stanowiłaby doskonały temat do rozmowy przy koktajlu - choć niekoniecznie - ale poza tym nie miała większej wartości. Debaty o szalonych zwyczajach tego świra

nie doprowadzą do złapania go. Może wszyscy czuli się z tym lepiej, ale było to równoznaczne z rezygnacją. Wynik brzmiał cztery zero dla mordercy. Gliny nie miały żadnych materialnych dowodów łączących sprawcę z przestępstwami, nie miały pojęcia, gdzie jest, ani wyobrażenia, jak chcą go złapać. Wszyscy próbowali tylko zgadnąć, czy zakryje sobie fiuta ręką i przestanie.

Wreszcie uznano, że temat został wyczerpany. Nastąpiły komentarze podsumowujące, Martin gorąco podziękował nam za przyjęcie i grupa zaczęła się rozpraszać. Uściski dłoni, gorące *adieu*. W końcu Meany, klucząc między biurkami detektywów, odprowadził Janet i mnie na parking.

Kiedy znaleźliśmy się koło mojego samochodu, Meany powiedział:

- Wybacz, Drummond, ale Janet i ja chcemy pomówić o kilku sprawach. W cztery oczy.

Odprowadził Janet piętnaście metrów dalej. Stanęli półtora metra od siebie. Nie miałem najmniejszego zamiaru podsłuchiwać, bo nie była to moja sprawa. Uważam, że szacunek dla prywatności innych osób to niemal boski przymiot. Jednak lewym uchem słyszę lepiej niż prawym, a gdy trzymałem głowę lekko przekręconą, strzępy rozmowy same wpadały do mojej małżowiny usznej.

Usłyszałem na przykład, jak Meany mówi zawodzącym głosem:

- ...a ty po prostu zniknęłaś z mojego życia... nie dając mi szansy się wytłumaczyć.

A Janet odparła:

— Czego się spodziewałeś, George? Nie powinienesz skarżyć na mnie mojemu szefowi. Zdradziłeś mnie.

— Nie, przysięgam. To moi zwierzchnicy z

Waszyngtonu dzwonili. Przysięgam...

Nagle zerwał się wiatr i nastąpił dłuższy fragment rozmowy, którego nie usłyszałem. Ale dobrze czytam mowę ciała. Meany nachylił się nad nią, wymachując rękami i marszcząc czoło, ze szczerością wypisaną na twarzy. Poza tym Meany jest jednym z tych, którzy zbliżają się coraz bardziej do rozmówcy, i odległość między nimi stopniała z półtora metra do kilkunastu centymetrów.

Wiatr ucichł i usłyszałem, jak mówi:

— ...a ja wciąż cię kocham.

— Mm... A ja nie jestem pewna, co do ciebie czuję.

O rany. Proszę cię, Janet, obudź się. Ten facet łąze. Widziałem to z odległości piętnastu metrów, czytałem z ruchu warg.

Janet rozmawiała z Meanym jeszcze kilka minut i widać było, że rozmowa staje się coraz serdeczniejsza; wreszcie skończyli i ruszyli w moją stronę. Nie mogę powiedzieć, że byli cali w skowronkach, ale z wyrazu ich twarzy i swobody ruchów domyśliłem się, że Meany jakoś zdołał ją przekabacić i wkradł się z powrotem w jej łaski.

Nawet położył rękę na jej ramieniu i szeptał coś do ucha.

Chiyste, trzeba było coś zrobić, więc przerwałem tę sielankę.

- George, wspomniałeś, że jesteś pewny, że złapiesz tego faceta. Jak to zrobisz?

Jak już wcześniej powiedziałem, gliniarze nie znoszą, kiedy przygważdża się ich pytaniem wprost. Poza tym należało obudzić Janet i pokazać, że ten typ to zero.

Agent specjalny Meany nie ucieszył się z mojego pytania, bo jego oczka się zwężyły.

— Dobrą robotą śledczą, wspaniałą techniką i potęgą mózgów. Czemu pytasz? Co cię to obchodzi?

— No, wiesz, z ciekawości...

— Pięknie. Uwielbiam ciekawych świadków. Mam na głowie siedemdziesięciu pięciu agentów pracujących przez okrągłą dobę, media, ludzi z public relations i szefów, którzy skaczą mi po tyłku i jeszcze powinienem znaleźć czas, żeby odpowiadać na pytania pajaca takiego jak ty.

Rany boskie. Janet spojrzała dziwnie na George'a i powiedziała:

— To było jak najbardziej uzasadnione pytanie.

Meany rzucił mi krótkie spojrzenie i odparł:

— Przepraszam. Masz rację. Niewiele spałem, od kiedy

przejąłem to śledztwo. Chyba łatwo wpadam w irytację. - Nachylił się do okna samochodu i powiedział: - No dobrze, zapytałeś, więc się dowiesz, co ustaliłem. Odtworzyłem wszystkie miejsca przestępstw i zrobiłem przegląd dowodów i raportów. Zawsze powinno się to robić, zgadza się?

— Tak.

— Bo czasem... Czasem zauważa się rzeczy, które inni przeoczyli. Nie dlatego, że są niekompetentni, ale w bitewnej gorączce, jak wy to nazywacie, niektóre szczegóły mogą wylecieć szparami.

Nie zamierzałem wysłuchiwać następnego wykładu tego palanta.

— To bardzo ciekawe, ale...

— Oglądając wszystko ponownie - ciągnął - zauważa się takie rzeczy. Dam ci przykład. Z notatek porucznika Martina wynika, że wieczorem tego dnia, w którym zamordowano Lisę, przyjechałeś na parking koło Pentagonu o dwudziestej pierwszej dwadzieścia siedem. Ludzie Martina ocenili, że Lisa została zabita pół godziny wcześniej. Powiedziałeś Martinowi, że mieliście się spotkać na parkingu. Widzisz, na czym polega problem?

Już miałem wyjaśnić mu, na czym problem polega, kiedy dodał z niemiłym uśmiechem:

- Oczywiście nie obwiniam cię, ale zastanawiałem się, dlaczego Lisa stała na tym wielkim pustym parkingu wieczorem, bezbronna wobec potwora. Słynęła z ostrożności, punktualności i sprawnego działania. Więc dodaję dwa do dwóch. I jaki płynie z tego wniosek? Oczywiście zgaduję, ale coś mi mówi, że człowiek, z którym się umówiła, nie zjawił się na czas. - Po krótkiej pauzie dodał: - Gdybyś przybył na czas, to by się nie stało.

Janet patrzyła na mnie dziwnie. Spojrzałem na nią i wyjaśniłem:

- Byłem spóźniony, bo gliniarze wlepiali mi właśnie mandat.

Meany położył mi ciężko rękę na ramieniu i powiedział:

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć, kolego. Już mówiłem, że nikt cię nie obwinia.

Odwrócił się do Janet.

- Może odwieźć cię do hotelu? Będziemy mogli pogadać i omówić szczegóły kolacji.

Kiedy patrzyłem, jak odjeżdżają, przyszło mi do głowy, że nie doceniłem pana George'a Meany'ego. Czyżby właśnie kopnięto mnie w tyłek?

ROZDZIAŁ 29

Festiwal księgowości wydawał właśnie ostatnie tchnienie, kiedy wpadłem do sali konferencyjnej. Dwa tuziny księgowych, którzy zamieszkiwali tę salę, zniknęły w hobbicznej norze, z której wypęzły. Trzech facetów w szarych kombinezonach wkładało pliki bezużytecznych papierów do niszczarek, a technik hałaśliwie rozmontowywał telefony w kącie.

Koniec audytu to smutny i nieprzyjemny widok. Po moim policzku spłynęła łza żalu.

Powiedzmy.

Martha, główny młot na liczby, konferowała w rogu z Jessicą Moner, krzepką radczynią prawną Morrisa i być może moją przyszłą szefową, a obok niej ze zdziwieniem zobaczyłem Barry'ego, mojego kumpla, który tak lubił wbijać noże w plecy. Poza tym był chwilowo moim szefem.

Zauważyli mnie i rozmowa zamarła. Gdyby Brutus i jego kumple tak obnosili się ze spiskowaniem,

nigdy nie zadźgaliby Cezara, Wizygoci pozostałoby plemieniem zagubionym w odmętach czasu, a my wszyscy mówilibyśmy po włosku. Ale prawnicy, wyćwiczeni w sztuce zdrady, zareagowali instynktownie i zamachali niewyraźnie. Martha wbiła wzrok w podłogę i poruszyła nogami. Wyglądała jak obraz nieczystego sumienia.

— Kontrolujesz mnie? - spytał Barry'ego.

— Co? Nie... Wpadłem tylko zobaczyć, jak idzie. - Poklepał mnie po ramieniu i dodał: - A idzie doskonale. Gratuluję. Zmieściłeś się w czasie.

— Wiesz, Barry, to była wspaniała praca zespołowa. Mój wkład jako prawnika był szalenie istotny i błyskotliwy, ale Martha i jej ludzie też to i owo zrobili. - Puściłem do niej oko.

— Aha, no dobra... - Spojrzał na Marthę. - Może przyniesiesz audyt?

Martha z widoczną ulgą wyszła po dokument. Jessica, wciąż się uśmiechając, powiedziała:

— Cieszymy się, że przyszedłeś. Doskonale wyczucie czasu. Zadziałało świetnie.

— Co?

— Twoja strategia obrony zadziałała perfekcyjnie.

— Jasne. Niezły ze mnie gość, co?

— Departament Obrony zorganizował dzisiaj konferencję prasową - wyjaśniła. - Silas Jackler od Fieldsa, Jasona i Morgantheau stał na czele zespołu reprezentującego Sprint i AT&T. Naszą stronę reprezentowali Barry i ja.

Barry zachichotał i dodał:

- Dzisiaj rano zapisaliśmy nową kartę historii, Drummond.

Silas Jackler dostał nagłego szczękościsku.

Jessica też się roześmiała i powiedziała:

— Prawnicy z Departamentu Obrony poprosili Jacklera, żeby sprecyzował swoje obawy.

— I zrobił to? - spytałem.

— Stwierdził, że sprawa tylko wyglądała podejrzanie. Wychodzi na to, że on i jego ludzie mieli świadomość ryzyka prawnego.

Jako ten, który zawsze musi mieć ostatnie słowo, Barry dodał:

— Próbował rzucać jakieś mało znaczące uwagi na temat Nasha, a my siedzieliśmy i udawaliśmy głupków.

— To musiało sprawić ci ogromną trudność - powiedziałem do Barry'ego, trzymając język na wodzy.

— Dobra robota - podsumowała Jessica. - Jesteśmy z ciebie dumni jak wszyscy diabli.

— Kurza twarz.

— A najlepsze jest to - podjął Barry - że przekonaliśmy prawników z Departamentu Obrony, żeby zdecydowali o losach protestu do piątku.

— O rany... Coś takiego.

— Ale musieliśmy zagwarantować, że natychmiast dostarczymy raport z audytu. A Jackler musi do czwartku przedstawić resztę dokumentacji, bo w przeciwnym razie kwestia Nasha schodzi z porządku.

Jessica się uśmiechnęła.

- Kapujesz, Drummond? Podpisujesz audyt, my go dostarczamy i koniec zaszranego historii.

Otworzyły się drzwi i wpadła Martha, ściskając cienki czarny brulion. Wręczyła go Barry'emu, który podniósł okładkę, zerknął na nią i ogłosił:

- Doskonale. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

Wyciągnął z kieszeni potężne pióro Mont Blanc i podetknął mi brulion pod nos.

- Na dole trzeciej strony, ciachnij swoje nazwisko i mamy to z głowy.

Wziąłem zeszyt, otworzyłem i przeczytałem trzy pierwsze strony. Jessica i Barry siedzieli ze skrzyżowanymi rękami, uśmiechając się i czekając cierpliwie.

Wiedziałem, co tam znajdę, ale w takich sytuacjach trzeba wykonać program obowiązkowy. Było to typowe pieprzenie pro forma: że potwierdzam zgodność audytu z wymogami prawa - górnolotne zapewnienie, które można dość swobodnie interpretować. W ulicznym slangu znaczyło tyle, że jeśli doszło do złamania prawa bądź etyki, moja szyja trafi na pień.

Zamknąłem zeszyt i powiedziałem:

- O rany... Bardzo dużo rzeczy gwarantuję

swoim pod pisem, co?

Barry i Jessica wymienili zaniepokojone spojrzenia.

— Nie ma się czym denerwować - zapewnił Barry. - Podpisuj.

— Nie.

- Nie? - Uśmiech znikł z jego twarzy. - Do jasnej cholery, rób, co ci każe, Drummond.

Jessica położyła dłoń na jego ręce.

— Drummond, w czym problem, kurwa mać?

— Nie jestem pewien, czy istnieje jakiś problem. - Spojrzała na mnie zdezorientowana, więc wyjaśniłem: - Nawet nie widziałem wyników audytu. Kiedy wychodziłem wczoraj wieczorem, nie był jeszcze gotowy.

— Och... Chcesz zobaczyć końcowy wynik?

— W końcu pod nim się podpisuję, prawda? To nie powinno długo potrwać... Dzień, może dwa.

Jessica kiwała głową i patrzyła ostro na Barry'ego, jakby chciała powiedzieć: „No i co, dupku, czy to nie był twój wspaniały pomysł, żeby zaprząć tego tępaka do tej roboty? Ściśnij go za jaja, zrób cokolwiek, ale zdobądź jego podpis. Natychmiast”.

A Barry powiedział gładkim tonem:

— Jessico, czy mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? Mój współpracownik i ja musimy porozmawiać.

— Żaden, kurwa, problem.

Błąd, Jessico, błąd, ogromny, kurwa, problem. Wyszliśmy z Barrym na korytarz. Sporo nóg szurało tam po podłodze, więc Barry wskazał ręką drzwi toalety.

— Ruszaj dupę, Drummond, i to już. - Weszliśmy do środka, drzwi się zamknęły. - Barry przycisnął mnie do ściany. - Co się tu, kurwa, dzieje?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Takiego wała. Twoje kłopoty w firmie nie mają tu żadnego znaczenia.

— O rany... Wieści się rozchodzą, co?

— Jesteś w moim zespole, kretynie.

Oczywiście, że zostałem poinformowany.

— A musieli cię informować?

— Co to ma znaczyć?

— Co to ma znaczyć?

— Ty złamany kutasie. - Walnął mnie pięścią w klatkę. - Zrobisz, co ci każę. Nie próbuj mnie szantażować, Drummond.

Tylko że ja nie próbowałem. Próbowałem dokonać wymuszenia. Ale trudno oczekiwać od prawnika korporacyjnego, żeby rozumiał subtelne rozróżnienia kodeksu karnego.

- A jeśli spróbuję?

Znów rąbnął mnie w klatkę i warknął:

- Nie wkurwiał mnie, śmieciu, bo...

Nagle Barry zamilkł. Pewnie ogarnął go wstyd i poczuł głębokie wyrzuty sumienia z powodu swoich postępów. Chyba zauważył też, że moja lewa ręka zacisnęła się mocno na jego jądrach.

Obróciłem go plecami do ściany. Potem przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, jak gdyby przystosowując się do straszliwego położenia, w jakim się znaleźliśmy. Żeby mieć pewność, iż Barry w pełni to położenie rozumie, poinformowałem go:

- Podobno wystarczy szarpnięcie o sile dwudziestu kilogramów, żeby wyrwać z ciała uszy i jaja. Uwierzyłbyś?

Barry wykonał kilkukrotne, bardzo energiczne kiwnięcie głową. Osobiście w to nie wierzyłem. Ale ważne było to, w co wierzył Barry.

Krótkie szarpnięcie sprawiło, że Barry stanął na palcach.

- Powinienem cię ostrzec, że uszy już wrywałem bez problemu. Ale z jajami... to trochę krępujące... Próbowałem raz i... chyba je zgmiotłem, zanim zdążyłem wyrwać. Jezu, trochę przypominają winogrona, wiesz? Są takie miękkie.

Usta Barry'ego się otworzyły.

- Ciii - szepnąłem.

Choć raz naprawdę się zamknął. Barry okazał rozsądek. Może mimo wszystko źle go oceniłem.

- To ty umieściłeś te pliki w poczcie Lisy Morrow? - spytałem.

Pokręcił głową, ale ważne jest, żeby w takich sytuacjach nadawać na tej samej fali, więc pociągnąłem jeszcze raz.

— Auu, auu... przysięgam. Wyglądało to na szczerą odpowiedź.

— Dobrze, pomówmy teraz o Grand Vistas. Co to jest?

— Ty nie... proszę...

— Myślisz, że głos ci się podwyższy?

— Tak jak ci powiedziałem... holding.

— Kto jest właścicielem?

— Nie... nie wiem.

Barry nagle uniósł się jeszcze wyżej na palcach. Byłoby dla niego lepiej, gdyby umiał lewitować.

— Przysięgam... przysięgam, że nie wiem. O Boże... to boli... proszę, nie.

— Czy to przykrywka?

— Nie... to prawdziwa firma. Próbowałem ci powiedzieć... to jest... legalna współpraca.

To wymagało zastanowienia. Pomyślałem, że Barry jest na tyle szczerzy, na ile potrafi. Trudno wymagać czegoś więcej od kogoś takiego. Ale byłem też pewien, że ze strachu dostaje kręćka. Najciekawsze było, skąd się ten strach bierze.

- Czego się boisz? - drążyłem.

Popatrzył na mnie. Myślę, że rozważał w głębi duszy, co jest gorsze: tłumaczyć swojej połowicy, że nie będzie więcej małych Barrych kicających po przedmieściach, czy wyjawienie, co wie o Grand Vistas. Według mnie łatwy wybór. Ale to tylko moje zdanie.

— Nie wiem, kim oni są. Spotkałem się z ich prawnikami i przywiozłem umowę. Tak mi kazano... i tyle zrobiłem.

— Kto ci kazał?

— Cy. I Jason.

— Nie sprawdzałeś wiarygodności?

— Nie.

— Dlaczego?

— Zapewniono mnie, że firma jest w porządku.

— Czego mi nie mówisz, Barry?

— Ja, kurwa... proszę... auuu.

Barry zdołał jakoś podnieść się jeszcze o pół centymetra, ale obaj wiedzieliśmy chyba, że to już ostatnie milimetry.

- Auuu... o Boże, to boli... Au, au... - Potem wykrztusił: - Dobrze... proszę...

Opuściłem go o dwa centymetry. Wziął głęboki oddech.

- Przysięgam, że nie wiem, kim oni są. Ale to nie są goście, z którymi chciałoby się zadzierać.

- Oszuści? Szpiedzy? Kto?

Barry kręcił głową.

— Nie wiem... Spotkaliśmy się w tajnym miejscu w Locarno we Włoszech. Przyszli z ochroną.

— Wielu bogatych palantów ma prywatną ochrona.

— Ale nie taką, Drummond. Ci strażnicy to byli twardzi dranie. Byli inni, rozumiesz?

Podejrzewam, że rozumiałem.

— Narodowość?

— Rozmawiałem tylko z prawnikami. Jeden był Francuzem, drugi Niemcem. Spotkanie trwało mniej niż pół godziny. Dali mi umowę i kazali przywieźć podpisaną. Żadnych zmian, żadnych negocjacji.

Puściłem gonady Barry'ego, który momentalnie opadł na posadzkę. Tarł się po kroczu i było wiadomo, że pani Bosworth przez następnych kilka tygodni nie będzie musiała udawać orgazmów. Podszedłem do umywalki i umyłem ręce.

— Pójdiesz do Jessiki i poinformujesz ją, że moje wątpliwości co do audytu są uzasadnione i że wyjaśnię je w ciągu jednego lub dwóch dni. Zrozumiano?

— Nie mów mi...

Zrobiłem krok w jego stronę, a Barry błyskawicznie zakrył rękami krocze.

- Powiedz Cyowi i Bronsonowi, że zachowuję się bezsensownie. Wytłumacz im, że jestem bardzo wkurzony. Załóż swój prawniczy kapelusz i przekonaj ich, że nie podpiszę audytu, jeśli podejmą jakiekolwiek działania przeciwko mnie. Zrozumiano?

Spojrzał na mnie.

— Nie możesz... Cały kontrakt może pójść do kosza.

— Tak, zdecydowanie tak.

— Nie bądź idiotą. Jeśli przegramy ten kontrakt, Morris da kopa naszej firmie. To nas zrukuje.

- Słuszna uwaga. - Wytarłem ręce. - To też wyjaśnij Cyowi i Bronsonowi.

Zostawiłem go mamroczącego coś pod nosem na posadzce łazienki. Znalazłem Marthę, wziąłem kopię audytu i wyszedłem.

Tak, byłem bardzo, bardzo bezwzględny wobec Barry'ego i jego jaj. Czasem sam nie wiem, co we mnie wstępuje. Ale w mojej głowie przesuwiał się korowód okropnych myśli. Przypominały hipermodernistyczne, a może impresjonistyczne malowidło pełne rozpryśniętych kolorowych plam, spływających po płótnie i zlewających się ze sobą.

Ale wzmożonym wysiłkiem głów i rąk uda się rozjaśnić ten obraz.

ROZDZIAŁ 30

Obrońca praktykujący prawo karne winien jest lojalność klientowi - sprawa zamknięta. I nie ma znaczenia, że większość owych klientów jest winna, nawet jeśli o tym wiesz. Z wyjątkiem sytuacji, gdy klient chce przyznać się do winy, jest etyczne, a wręcz obowiązkowe udawać niewinność i próbować powstrzymać, spowolnić i utrudnić szukanie prawdy i sprawiedliwości.

Prawo korporacyjne jest takie samo... Ale nie jest. Firma Morris Networks była moim klientem, przeto byłem jej winien lojalność i wierną służbę. W pewnych granicach. Ale gdzie przebiega ta linia, trudno stwierdzić, gdyż skrywają półmrok.

Jak już wspomniałem, prawnicy korporacyjni mogą stać się współsprawcami przestępstwa. Jeśli na przykład współpracownik w kancelarii wie, że klient siedzi po nogawki majątek w nielegalnych interesach, oczekuje się od niego, że podzieli się tą wiedzą ze współnikiem z tejże kancelarii. Wtedy współnik kontaktuje się z klientem, ostrzega dyrektorów, że źle czynią, i każe im się poprawić, a jeśli ci odmawiają, wówczas współnik powinien zakończyć współpracę z klientem. Wszyscy są zadowoleni i dalej robią swoje.

Bardziej wątpliwa jest sytuacja, gdy współpracownik tylko podejrzewa, że coś jest nie w porządku. Najwygodniej, rzecz jasna, jest odnowić ubezpieczenie od złamania zasad praktyki

i dalej wystawiać rachunki. Nigdzie w kanonie prawa nie jest zapisane, że powinno się zbadać działalność klienta. A od nas, jako od prawników, oczekuje się, oczywiście, że uszanujemy zasadę poufności obowiązującą między prawnikiem i klientem aż do gorzkiego końca.

Te właśnie wątpliwości gnębiły mnie, kiedy odjeżdżałem sprzed butelkowatej wieży firmy Morris Networks, mojego klienta, być może przyszłego pracodawcy, a także partnera w interesach międzynarodowej firmy, która wyglądała podejrzanie.

Poza tym nie ufałem Barry'emu, Sally, Cyowi ani Bronsonowi, co czyniło sytuację jeszcze bardziej skomplikowaną. Cała czwórka mogła siedzieć po uszy w machlojkach.

Tak więc ogólna sytuacja była ciężka. Jak dotrzeć do sedna tej gry?

Potrzebowałem kogoś, komu mógłbym naprawdę zaufać. Krew jest gęściejsza niż woda, jak to mówią, a moi rodzice mieli dwoje dzieci: przystojnego, uroczego ogiera, wyposażonego jak nosorożec, i mojego brata Johna - o rok starszego, o niebo bystrzejszego, ale tu możecie mi zaufać, krótszego w miejscu, w którym długość naprawdę się liczy.

Jeśli was to ciekawi, mój ojciec był zawodowym oficerem, który dochrapał się stopnia pułkownika. Prowadził tyralierą swoją brygadę w Wietnamie, kiedy nagle wypadła mu mapa, a on schylił się, żeby ją podnieść. Wtedy jakiś wietnamski wieśniak ze starą łamaną strzelbą i przewrotnym poczuciem humoru wpakował mu kulę w tyłek. Pułkownik Drummond był jednak twardym gościem i przeżył, lecz musiano mu przekonstruować układ wydalania odpadów organicznych. Nowy zaś wymagał kontaktów z nocnikiem raz na godzinę, a dodatkowo sprawił, że

dzielny pułkownik musiał zdjąć wojskowe moro i odejść ze służby z powodu fizycznej niesprawności. Można powiedzieć, że z kariery zostało gównno.

Ale wracając do Johna. Między nim i ojcem istniała szczególna więź, która często łączy surowych, ambitnych ojców żołnierzy i najstarszych synów. Tatko chciał ulepić z Johna

najlepszego wojaka, a John chciał zrobić z ojca rodzica sieroty. Ale układ, który był zły dla Johna, okazał się dobry dla mnie, bo mogłem się ukryć w jego cieniu.

To było jak oglądanie starożytnego greckiego mitu, gdy wiadomo, że tragedia wisi tuż nad horyzontem. Przyzwyczailiśmy się do wizyt żandarmów, którzy przywlekali Johna pijanego, naćpanego i nieprzytomnego, groźnego dla siebie i otoczenia. I jak łatwo było przewidzieć, John źle skończył. Założył firmę internetowa, zainkasował gotówkę w samym szczycie boomu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, sto pięćdziesiąt milionów, a teraz mieszka w wielkim jak krater wulkanu domu nad Pacyfikiem. Gdyby tylko miał lepsze dzieciństwo, może coś by z niego było.

Wysyłamy sobie życzenia na Boże Narodzenie. On śle kartki z egzotycznych miejsc, na wyjazd do których mnie nie stać i on o tym wie. Jeśli się kiedyś ożenię, będzie moim drużbą. Poza tym nasze życie będzie różnymi ścieżkami.

John ma to, czego mnie brakuje - abstrahując od pieniędzy, wielkiej chaty i sukcesu zawodowego - czyli umiejętność czytania zestawień finansowych. Zadzwoiłem z telefonu w samochodzie, nagrałem się na sekretarkę i ostrzegłem, że idzie do niego długi faks. Potem stanąłem przed punktem pocztowym Kinko, zamazałem ciemnym markerem nazwę Morris Networks i wysłałem mu podsumowanie audytu. Ujawnienie poufnej informacji osobie trzeciej było naruszeniem prawa i zasad etyki, lecz usunięcie nazwy firmy było krokiem we właściwym kierunku.

Ale wracając do przeszłości: kiedy John i ja byliśmy dziećmi, łączyło nas to, co psychologowie nazywają chorobliwą rywalizacją między

rodzeństwem. W młodym wieku rzecz sprowadza się do tego, kto komu nakopie do tyłka. Ja byłem silniejszy i szybszy, ale on przebiegły i bardziej podstępny. On częściej wygrywał, ale moje zwycięstwa były dla niego bolesniejsze. Braterstwo to bardzo prymitywny związek i uważam za cud, że obaj je przetrwaliśmy. Z wiekiem wyrasta się z tego wszystkiego. Nie z pędu do rywalizacji, oczywiście. Po prostu czym innym mierzy się zwycięstwo. Na obecnym etapie naszego życia, na przykład, John wyprzedzał mnie o jakieś sto pięćdziesiąt milionów punktów.

Tak czy owak, siedziałem w mieszkaniu godziną później, kiedy zadzwonił mój ukochany braciszek.

Przebrnęliśmy jakoś przez wstępną pogawędkę o mamie, tacie, jego nowym ferrari i wodospadzie w basenie. Potem John powiedział:

— Przysłałeś mi ciekawe podsumowanie finansowe. Morris Networks, tak?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Ale na pewno nie jest to Morris Networks - zapewniłem.

John się roześmiał.

— Znam tę firmę, Sean. Ulokowałem pieniądze w Morrisie.

— Ach tak. Znów zachichotał.

— Przed kwadransem mój makler pozbył się ostatniej akcji.

— Aż tak źle?

— Właściwie to liczby prezentują się świetnie.

— Więc w czym problem?

— To, czego nie widać w rocznym sprawozdaniu, wychodzi w audycie.

— Co to znaczy?

— Nie mogę uwierzyć, że mamy te same geny. Naprawdę muszę ci to tłumaczyć? - Widać musiał. -

Zajrzyj na dół drugiej strony i połóż palec na linijce, gdzie jest napisane „Zysk operacyjny”. - Tak też zrobiłem i znalazłem liczbę 42 630 323,00. - Tyle zarobił Morris po odjęciu wydatków, odpisów i paru innych rzeczy, których i tak nie zrozumiesz. A teraz zajrzyj na stronę osiemnastą, wiersz dwudziesty.

Spełniłem polecenie.

— Połóż tam ten sam paluszek. Tu jest pokazane, ile Morris zaksięgował jako wymianę. Osiemdziesiąt milionów... Rozumiesz?

— Nie.

— Dzięki wymianom firma Morris Networks przynosi zyski

i spełnia założenia wzrostu. W zeszłym roku też się to zdarzyło. Morris byłby na minusie, gdyby nie zaksięgowali trzystu baniek z wymian.

— Nie kapuję.

— Wymiana jest jak barter - ciągnął John. - Morris oraz firma, z którą współpracuje, określają wartość wymian według wymyślonych przez siebie kursów, a później księgują to jako zysk. - Dał mi chwilę na zastanowienie, a potem dodał: - Ale to nie jest zysk.

— Czy to zgodne z prawem?

— Z prawem...? Tak. Prawie wszystkie telekomy tak robią.

— Więc w czym problem?

— Po pierwsze, niekoniecznie stoją za tym prawdziwe pieniądze. Po drugie, można na tym szachrować.

— W jaki sposób?

— Weźmy Morrisa. Założmy, że ma nadwyżkę pojemności, bo nie spełnia własnych założeń wzrostu. To tak, jakby zbudować autostradę, którą przejeżdża dziennie milion samochodów, ale tylko pół miliona uiszcza opłatę. Jasne?

— Słucham dalej.

— Firma zwraca się więc do innej firmy i mówi: „Słuchajcie, daję wam powierzchnię drogi dla ćwierć miliona samochodów w zamian za powierzchnię dla stu tysięcy samochodów. Wartość netto dla każdej z naszych firm to osiemdziesiąt baniek”.

— Na tym polega wymiana?

— To interpretacja dla idioty. - Zrobił pauzę, po czym spytał: - No jak, łapiesz?

— Tak. - Palant.

— Firmy wykupują swoje usługi - ciągnął John - ale nie wiadomo, czy jest w tym jakaś wartość.

— Dlaczego?

— To może być wymiana na papierze. Żadna z firm nie wysyła w rzeczywistości samochodów na drogę drugiej, więc handlują tylko nieużywaną przestrzenią drogową, która wciąż pozostaje nieużywana.

— Więc to widmo?

— Możliwe. A jeszcze gorzej, jeśli stosują schowki.

— Schowki?

— Tak. Zwykle chodzi o ukrytą wymianę w umowie. Obie firmy wymieniają się usługami, więc jedna lub druga rozdmuchuje wartość tego, co daje. Na przykład Morris może dostarczyć usług za dwadzieścia milionów, ale policzyć za osiemdziesiąt, a pozostałych sześćdziesiąt zaksięgować jako zysk. Albo odwrotnie. Jako inwestor czułbym się lepiej, wiedząc, z kim Morris się wymienia.

Błąd, braciszku, wielki błąd.

— Znasz Jasona Morrisa? - spytałem.

— Taak, ale niezbyt dobrze. Poznaliśmy się, kiedy on miał jeszcze prywatną firmę, a ja rozglądałem się za inwestorem, który byłby gotów wyłożyć kasę na mojego internetowego nowicjusza.

— Jakie zrobił na tobie wrażenie?

— Wizjoner. Bystry jak diabli, mnóstwo energii. A ja oddałbym wszystkie pieniądze za listę lasek, które zaliczył. Facet śpi mniej więcej trzy godziny na dobę. Przez resztę czasu zarabia pieniądze albo się pieprzy. - Po chwili zastanowienia dodał: - Mniej więcej to samo piszą o nim w prasie.

- Czy jest honorowy?

John parsknął śmiechem.

— W biznesie nie ma czegoś takiego jak honor. Jest prawo i liczy się tylko to, jak blisko się o nie ocierasz. A co ważniejsze... Jest zysk.

— Lubisz go?

— Kupiłem jego akcje. Czemu pytasz?

— Bez szczególnego powodu. Znów się roześmiał.

— Skoro mówimy o Morrisie, słuchaj uważnie.

— Słucham.

- W ten interes wchodzi trzy rodzaje facetów. Pierwszy to pasjonat techniki, który buduje coś i nie może się doczekać, kiedy inni to zobaczą i pokochają. Drugi to pasjonat forsy, któremu chodzi o to, żeby jak najwięcej zarobić.

John zamilkł.

— Mówiłeś o trzech rodzajach -
przypomniałem mu.

— Trzeci rodzaj to goście tacy jak Jason. W tej firmie jest cała jego osobowość, całe ego. Firma jest jego przedłużeniem.

W tym miejscu warto dodać, że mój brat wycofał się w samym szczycie boomu, zabrał forszę i odszedł na emeryturę w podeszłym wieku trzydziestu sześciu lat. Jego firma zbankrutowała rok później. Czy to coś o nim mówi?

— To jest dobra firma? - zapytałem.

— Wiesz, pewnego dnia telefony będą zakurzonymi eksponatami w muzeach. Ludzie będą pokazywali je sobie palcami i się śmiali... że kiedyś rozmawiano ze sobą, nie widząc swoich twarzy. Uznają to za staroświeckie dziwactwo. Wideofony, chłopcze... to następny wielki szal.

— John, czy to jest dobra firma?

— Nie słuchasz mnie.

— Ależ słucham.

— Jason zamierza wprowadzić tę nową technologię na rynek. Nie zajmuje się wyłącznie światłowodami, opracowuje systemy kompresji i dekompresji, które umożliwią przesyłanie filmów liniami telefonicznymi. Jest bardzo możliwe, że Morris Networks stanie się odpowiednikiem AT&T dwudziestego pierwszego wieku. Jason dziesięć razy kupi i sprzeda Billa Gatesa.

— Przesadzasz.

— Dwadzieścia razy.

— Jeśli facet ma dojście do takiej żyły złota, dlaczego ucieka się do wymiany?

— Zajrzyj na stronę szóstą, wiersz piąty -
odparł John. Zrobiłem, co kazał. - Badania i rozwój,

czterdzieści procent przychodów. Jason uczestniczy w wyścigu. Musi zdobyć wynalazki i patenty pozwalające zbudować wideofony szybciej niż konkurencja. Widzisz problem?

— Musi utrzymać się w biznesie dostatecznie długo.

— A menedżerowie telekomów padają jak muchy. Global Crossing, WorldCom, Qwest to tylko najwięksi gracze. Nie

realizują celów wzrostu, cena akcji zaczyna się chwiać, banki obniżają zdolność kredytową, zjawiają się prawnicy z formularzami bankructwa i roszczeniami akcjonariuszy.

— Więc to te wymiany pozwalają Morrisowi utrzymać się na powierzchni?

— Właśnie uzyskałeś dyplom menedżera. Słuchaj, muszę lecieć. Właśnie kupiłem nowy jacht i nie mogę się doczekać, kiedy go wypróbuję.

Fajnie jest mieć brata, któremu się powiodło. Naprawdę.

Więc co wiedziałem? Przetrwanie firmy Jasorta Morrisa zależy od szemranej firmy, która spotyka się z jego prawnikami w potajemnych miejscach, posługuje się nieprzyjemnie wyglądającymi zbirami i dyktuje warunki umów. A szefowie tegoż koncernu nabierają wody w usta, kiedy pytam o części ich holdingu.

I co to wszystko oznacza?

W głowie ukazał mi się obrazek z *Ojca chrzestnego*: Jason marzy o dniu, w którym będzie mógł kupić i sprzedać wszystkich miliarderów z listy Forbesa, a przed nim stoi skorumpowany starzec, dźga go w pierś paluchem niczym sztylet i cedzi słowa o propozycji nie do odrzucenia.

Forsa, forsa, forsa, źródło wszelkiego zła. Forsa przyczepiona do ego, źródła najbardziej subtelnej odmiany zła.

ROZDZIAŁ 31

Na mojej sekretarce nagrane były trzy wiadomości od Cya Bergera. Prosił, żebym zadzwonił w najbliższej dogodnej chwili, a ja uznałem, że chodzi o chwilę dogodną dla mnie. Nie obchodziło mnie, co Cy ma na myśli. Zadzwonię, kiedy będę gotowy. A jeszcze nie byłem.

Jakbym miał za mało problemów, firma groziła mnie i Janet poważnymi oskarżeniami, które mogły oznaczać usunięcie z palestry albo nawet więzienie. Ale firma potrzebowała mojego podpisu na audycie, co dawało mi możliwość nacisku, choć ograniczoną. Na pewno mieli plan B, który prawdopodobnie zakładał zwerbowanie jakiegoś spolegliwego współpracownika, skłonnego podpisać audyt. Jednak stadko księgowych co dzień widziało, jakudzielam się w audycie, a prawnych subtelności nie wolno lekceważyć, więc ów spolegliwy współpracownik musiałby od nowa sprawdzić każdy aspekt audytu i na pewno nie skończyłby do piątku. W tej chwili byłem znacznie wygodniejszym rozwiązaniem, które jednak mogło doprowadzić do wielkiej niewygody.

Zadzwoniłem więc do Cya. Po wymianie fałszywych formułek grzecznościowych spytał prawie nonszalancko:

- Sean, mamy za sobą trudny poranek, prawda?

Nie, my nie mieliśmy za sobą trudnego poranka. Ale to spostrzeżenie wydawało się tak kretyńskie, że postanowiłem go nie wypowiadać.

Milczałem tak długo, aż Cy uświadomił sobie, że tym sposobem daleko nie zajędzie.

— No cóż, wydaje mi się, że piłka jest po twojej stronie.

— Chcesz powiedzieć: czego chcesz, żeby podpisać audyt?

— Nie będę owijał w bawełnę. Właśnie nad tym się zastanawiamy.

— Jestem niewinny i chcę oczyścić swe imię.

— Jasne. Harold powiedział ci, że będziesz miał taką możliwość.

— A Hal dał do zrozumienia, że to będzie parodia sądu.

— Hal bardzo stara się chronić firmę. Czasem wpada w melodramatyzm.

— Czy to jakieś nowe słowo oznaczające, że ktoś jest dupkiem?

Cy parsknął śmiechem.

— Ocena będzie sprawiedliwa, Sean. Masz na to moje słowo - obiecał.

— Ale to nie rozwiązuje problemu, prawda?

— Jakiego problemu?

— Żeby udowodnić, że jestem niewinny, muszę wejść na wasz serwer.

— Och, rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— I będę potrzebował jednego z waszych komputerowców, żeby przeprowadził mnie przez bazę danych.

— Nawet gdybym mógł na to pozwolić, jest za późno. Jutro musimy dostarczyć audyt do Departamentu Obrony.

— Żaden problem. Mogę pracować w nocy. Po dłuższej pauzie rzekł:

— W porządku. Ale Hal musi przy tym być.

- Błąd. Hal dostanie rano wydruk z serwera. Nie zapominaj, że serwer wszystko widzi i wszystko pamięta.

Cy uświadomił sobie, że to niska cena za mój podpis.

- Zgoda.

Godzinę później wyszedłem z wyłożonej boazerią windy i znalazłem się na siódmym piętrze, gdzie - za rzucającym się w oczy wyjątkiem pana Świńskiego Oczka - w gąszczu kwadratowych kojców tłoczył się cały personel administracyjny firmy. Cy poinformował mnie, że będzie na mnie czekał ekspert komputerowy imieniem Cheryl i rzeczywiście obok agregatu do chłodzenia wody siedziała koścista Murzynka w wieku około czterdziestu lat, z nosem wciśniętym w ostatni numer „Glamour”. Nie wyglądała na komputerowego czubka, wyglądała za to na zestresowaną, zmęczoną mamuszkę z przedmieścia. Ale komputerowe czubki występują pewnie w najróżniejszych odmianach.

Przedstawiłem się, a ona uprzedziła natychmiast:

— Zostawiłam małego synka pod opieką mojej mamy, nie chcę, żeby to trwało całą noc.

— Jeśli jest pani dobra, to nie będzie tyle trwało.

— Jestem dobra. - Otaksowała mnie wzrokiem i spytała: - Więc co chce pan zobaczyć?

Wyjaśniłem, że aktywne pliki Lisy Morrow zostały wykasowane, a ja chcę sprawdzić, czy w elektronicznych bebechach serwera zachował się magnetyczny ślad wysyłanych przez nią listów.

- Jasne, że jest - zapewniła mnie. Przedarliśmy się przez labirynt i wcisnęliśmy do jej kanciapy.

Cheryl klapnęła na fotel, wpisała kilka komend do komputera, wskazała mi krzesło i rozkazała:

- Siadaj. I buzia na kłódkę. Nie lubię, kiedy mi się przeszkadza przy pracy.

W to mi graj. Zdjąłem z krzesła stos podręczników, położyłem je na podłodze i usiadłem.

Cheryl już wstukiwiała komendy, a na ekranie ukazywały się długie szeregi niezrozumiałych symboli. Była naprawdę burkliwa.

- Niby jak szło to nazwisko? - spytała.

— Morrow... Lisa Morrow. Cheryl skinęła głową.

— Ta blond laska z armii, która zasuwiała na górze?

— Tak.

— Słyszałam, że nie żyje.

— Została zamordowana.

- A-ha. Słyszałam, że równa była z niej babka. – Zerknęła na ekran. - Co chcesz zobaczyć?

— Poczcie Lisy, powiedzmy trzy miesiące wstecz. Cheryl stukiała dalej.

— Wszystko jest zapisane dwa lata wstecz. Obserwowałem, co robi. W pewnym stopniu zazdroścę ludziom, którzy rozumieją działanie tej bizantyjskiej maszyny, ale w większym stopniu nie zazdroścę. Większość programistów to dziwacy. Kiedy byłem dzieckiem, powtarzano nam, żebyśmy nie siedzieli za blisko telewizora, bo włosy wyrosną nam na dłoniach - a może coś mi się pomerdało. W każdym razie myślę, że dzisiaj mamy powinny ostrzegać dzieci, że jeśli będą spędzały za dużo czasu przed komputerem, wyrosną na głupków.

— Psia jego mać - zaklęła nagle Cheryl. - Zobacz tylko.

— Co?

— Zapora ogniowa wokół jej pliku. - Pewnie spojrzałem na nią trochę tępo, bo wyjaśniła: - Zabezpieczenie hasłem. Jednowarstwowe, ale dobre, bardzo złożone.

— Co to znaczy?

— Że ktoś nie chce, żebyśmy to zobaczyli.

Popatrzyłem na ekran.

— Nie można obejść?

— Trzeba się włamać.

— Taak? Jak to zrobimy?

- My tego nie zrobimy. - Okręciła się na fotelu i spojrzała na mnie. - Administrator serwera może to załatwić... jutro.

Jakiś głos w mojej głowie spytał:

— A kto to jest?

— Pan Merriweather.

Co za niespodzianka, prawda? Właściwie żadna.

— To twój kumpel? - strzeliłem.

— Ten tłusty kretyn? On nie ma na tym piętrze przyjaciół. To też nie było zaskoczenie.

- Cheryl, jest bardzo możliwe, że w tej bazie danych będzie coś, co wprawi Merriweathera w zakłopotanie, może nawet

doprowadzi do tego, że go zwolnią. Ale jutro rano on będzie wiedział, że próbowaliśmy wejść do pliku Lisy, i może znaleźć sposób, żeby zablokować go na amen.

— To twój problem. Wiesz, jaki mam ja? Dziecko pod opieką babci.

— Kupię mu błyszczący nowy rower, rękawicę baseballową, cokolwiek.

Cheryl przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ekran komputera. Wreszcie powiedziała:

— Wiatrówka. Oto, czego chce.

— Umowa stoi.

Wszedłem schodami na górę. Chciałem zaparzyć espresso dla Cheryl i dla siebie, ale maszyna znów mnie pokonała, więc zadowolilem się zwykłą kawą. Potem wróciłem na miejsce i obserwowałem Cheryl w akcji. Mniej więcej co dziesięć minut z jej ust płynął strumień przekleństw. Nie uważałem tego za dobry znak.

Zaczęliśmy o dziesiątej, a o jedenastej zdawało mi się, że dostrzegłem na jej twarzy ślad uśmiechu. Była prawie północ, kiedy Cheryl wymamrotała:

- Och, maleństwo. - Odchyliła się na fotelu, przesunęła dłonią po włosach i mruknęła: - Psiakrew, dobra jestem.

Na ekranie ukazała się długa kolumna e-maili.

- Mogę? - zapytałem. Cheryl wstała i powiedziała: - Muszę iść siusiu. Tylko niczego nie zepsuj.

Przegląd zacząłem od najstarszych e-maili Lisy. W poczcie przychodzącej szukałem dwóch listów, a w wychodzącej odniesień do dwóch bostońskich spraw. Młodzi profesjoniści, tacy jak Lisa, wiele spraw zawodowych załatwiają pocztą elektroniczną. Ja jestem człowiekiem bardziej staroświeckim, czytaj: idiotą, w

dziedzinie nowoczesnej techniki. Ale nawet gdyby moje umiejętności komputerowe wykroczyły poza naciskanie guzika włącz/wyłącz, i tak wolałbym spotkanie w cztery oczy lub rozmowę telefoniczną. Leciutki skurcz mięśni twarzy lub niuans słowny pozwala się domyślić, co nie zostało powiedziane, a to jest często ważniejsze od tego, co zostało powiedziane. Lisa wysyłała i odbierała około stu e-maili dziennie.

Czułem się dziwnie i było mi trochę smutno, kiedy tak przeglądałem listy drogiej przyjaciółki, która już nie żyła. Na ekranie pojawiały się ślady jej osobowości: inteligencji, ciepła, sprawności, poczucia humoru. Raz czy dwa musiałem zdławić szloch.

Połowa listów trafiała do innych członków firmy i dotyczyła spraw zawodowych bądź codziennych kwestii administracyjnych. Znałem tylko garść prawników z kancelarii. Większość nazwisk nic mi nie mówiła.

Mniej więcej dwadzieścia razy dziennie Lisa wysyłała listy do przyjaciół, współpracowników i klientów spoza firmy, rozpoznałem kilka nazwisk oficerów JAG. Była lubiana i starała się utrzymywać kontakt z kolegami. Wymieniali się żartami i anegdotami, ale częściej były to krótkie, wesołe pozdrowienia, elektroniczne odpowiedniki buziaka przesłanego w powietrzu. Cheryl wróciła z łazienki z dwoma kubkami espresso. Popijaliśmy kawę i gawędziliśmy, a ja otwierałem kolejne listy, próbując znaleźć coś dziwnego lub podejrzanego. Kilka miało załączniki, które na wszelki wypadek otworzyłem, by sprawdzić, czy właśnie w ten sposób nie wpuszczono oficjalnych plików do poczty Lisy.

Zauważyłem kilkanaście e-maili do Janet i te oczywiście też otworzyłem. Nie było tam nic osobistego, choć z serdecznego, intymnego tonu listów

można było się domyślić, że Lisę i Janet łączyło coś więcej niż więzy krwi. Lisa informowała siostrę, co będzie robiła danego dnia, a Janet mówiła jej o tym, co nowego w rodzinie albo u wspólnych przyjaciół. W jednym z ostatnich e-maili od Lisy znalazła się obietnica, że lada dzień dotrze do Janet paczka. Sprawdziłem datę: było to jakieś dwa tygodnie przed śmiercią Lisy. Zakonotowałem sobie, żeby zapytać Janet o tę przesyłkę.

Po kolejnych trzydziestu minutach wszyscy przyjaciele i znajomi Lisy o imionach Jack, Harry, Barbara i Mary zaczęli zlewać się w mojej głowie w jeden wielki wir. Raz czy dwa przeczytałem jakiegoś e-maila i poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Ale nic ciekawego nie działo się przede mną.

O wpół do drugiej Cheryl skuliła się na krześle i zaczęła chrapać. Czytałem właśnie list wysłany przez Lisę na adres ANCAR@SEC.GOV. Jego treść brzmiała: „Droga A! spotkajmy się w Starbucksie jutro o 7 rano w związku z paczką. Zawsze Twoja przyjaciółka, Lisa”.

Następny e-mail poszedł na adres DCOULTER@AOL.COM i dotyczył jakiegoś pisemnego oświadczenia. Nagle w mojej głowie odezwał się jakiś dzwonek.

Wróciłem do poprzedniej wiadomości. Zastanawiałem się, o co chodzi... rozważałem jedną możliwość, potem drugą... I nic.

Sto dwadzieścia dwa listy dalej trafiłem na wiadomość wysłaną na adres JCUTH@JOHNSMATH.ORG. Jej treść brzmiała: „Droga J! Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoim zdaniem i doświadczeniem. Jutro wieczorem dostarczę paczkę do Twojego mieszkania. Zawsze Twoja przyjaciółka, Lisa”.

Dzyń, dzyń, dzyń. Co?!!! Popatrzyłem jeszcze raz. We wszystkich innych e-mailach Lisa zwracała się do adresata pełnym imieniem, a nie inicjałem. Ale nie, był jeszcze jeden: A. Wróciłem więc do A, a potem do J, i tak kilka razy. Bingo!

Trzasnąłem się w głowę tak mocno, że Cheryl podskoczyła na krześle.

Nie miałem pojęcia, czego dotyczyły e-maile Lisy do tych osób i właściwie mnie to nie obchodziło - liczyło się tylko to, że istniał między tymi osobami związek.

Pod J kryła się Julia Cuthburt z firmy Johnson and Smathers, zaś pod A - Annę Carrol z Komisji Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń.

Miałem przed oczami listy do drugiej i czwartej ofiary Zabójcy z LA.

ROZDZIAŁ 32

Była prawie druga rano, Janet nie odbierała, kiedy dzwoniłem do niej na komórkę, a ja siedziałem przy biurku Cheryl i z ogromną irytacją zastanawiałem się dlaczego. Zadzwoiłem jeszcze raz, usłyszałem trzy dzwonki, a potem jej nagrany gardłowy głos: „Mówi Janet Morrow. Proszę zostawić wiadomość, a ja oddzwonię”.

- Cześć, to ja - powiedziałem. - Znalazłem związek. Słuchaj... Julia, Annę i Lisa się znały... To ważne, prawda? Zadzwoń do mnie natychmiast.

Ale to mnie nie usatysfakcjonowało. Gdzie mogła być o tej godzinie samotna, piękna dwudziestodwuletnia kobieta, jeśli nie w swoim łóżku? No cóż, trudno było zignorować możliwość, że ona i George Przygłup całkowicie zasypali podziały, a Janet wyłączyła komórkę, żeby nie usłyszeć dzwonka

w trakcie szczytowania. To podejrzenie z jakiegoś powodu naprawdę mnie wkurzyło.

Sięgnąłem więc po książkę telefoniczną i poszukałem hotelu Four Seasons. Wybrałem numer i poprosiłem operatorkę, żeby połączyła mnie z Janet Morrow.

Bezosobowym tonem, który często przybiera służba, kobieta oznajmiła:

— Przykro mi, ale ta osoba się wymeldowała.

— Co?

— Sir, powiedziałam, że ta pani się wyprowadziła.

— Ale kiedy...?

— Dzisiaj.

— Dlaczego?

— Jestem pewna, że nie posiadam tej informacji, proszę pana.

— O której godzinie?

— Jestem pewna, że tej informacji również nie posiadam.

— Ale...

— Połączę pana z recepcją.

Tak też zrobiła. Facet w recepcji był bardziej ludzki i przyjazny. Powiedział, że Janet wyprowadziła się o osiemnastej.

Dziwne.

Nie, więcej niż dziwne. Nie poinformowała mnie, że wyjeżdża. A wyraźnie słyszałem, jak chłoptas z FBI umawiał się z nią na kolację.

— Jest naprawdę późno - poskarżyła się sennie Cheryl. - Muszę iść do domu i się trochę przespać.

— Jasne. Dzięki, Cheryl...

- W porządku. Znalazłeś to, czego szukałeś?

Wstałem i cmoknąłem ją w policzek.

— Więcej, o wiele więcej. - Wyciągnąłem portfel i wręczyłem jej banknot studolarowy. - Kup małemu wiatrówkę.

— Aż tyle nie kosztuje - powiedziała.

— Więc kup drugą mamusi. Będziecie mogli do siebie postrzelać.

Uśmiechnęła się.

- Dobry chłop z ciebie.

Wzięła torebkę i wyszła.

Zostałem tam jeszcze pięć minut, próbując poskładać wszystko do kupy. Istniał związek między

Lisą, Julią Cutfiburt i Annę Carrol. Nie znałem charakteru tego związku, lecz fakt, iż wszystkie trzy zostały zamordowane, bardzo silnie sugerował, że zabójca nie wybrał ich przypadkowo. Nie wykluczało to możliwości, że sprawcą był seryjny zabójca, lecz wskazywało... Nie, nie wskazywało - to świadczyło, że morderca wybrał je właśnie z powodu tego związku.

Więc gdzie jest Janet?

Popędziłem na parking i wyjąłem aktówkę z bagażnika jaguara. Pogrzebałem i znalazłem notes zawierający numer pana Morrowa, który natychmiast wybrałem na samochodowym telefonie.

Kilka razy rozmawiałem o różnych sprawach z ojcem Janet po pierwszym spotkaniu, więc wiedziałem, że numer jest dobry. Usłyszałem piętnaście lub dwadzieścia sygnałów, a pamiętałem, że mniej więcej po sześciu dzwonek włącza się sekretarka. Spróbowałem jeszcze raz. Tak, było późno, pan Morrow był stary i jego uszy nie sprawowały się już tak dobrze jak kiedyś, ale mieszkała z nim najmłodsza córka, Elizabeth... Chryste, przecież można oczekiwać, że jedno z nich usłyszy ten zakichany telefon.

Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Janet nagle znalazła się poza zasięgiem, a jej ojciec i siostrzyczka nie leżą w łóżkach, choć powinni.

Zbieg okoliczności? Możliwe.

Ale możliwe, że nie.

Zadzwoiłem na bostońską centralę, podałem adres pana Morrowa i powiedziałem, że potrzebny mi jest numer najbliższego posterunku policji. Operatorka połączyła mnie z dyżurką.

— Funkcjonariuszka Dianne Marino - odezwała się dyżurna. - Czym mogę służyć?

— Mówi major Sean Drummond ze stołecznej komendy Wojskowego Wydziału Spraw Kryminalnych. - Jeśli chodzi o to niewinne kłamstwo, to posłużyłem się nim dlatego, że gliniarze traktują serio tylko innych gliniarzy, a ja potrzebowałem pomocy tej kobiety. - Pracujemy nad sprawą Zabójcy z LA, Może pani słyszała?

— Żartuje pan? Przedwczoraj oglądałam specjalne wydanie *Nightline*. Rany, ten zabójca to jakiś

parszywy gnój, co?

— Po prostu brak słów. Dzwonię, bo wynikła sytuacja awaryjna i potrzebuję pani pomocy.

— Najlepsza policjantka w Bostonie na rozkaz, majorze. - Coś pięknego, prawda?

— Możliwe, że ojciec ofiary posiada bardzo ważną informację, a my nie możemy się z nim skontaktować.

— Hm, jest w pół do trzeciej. Poza nami, idiotami na nocnej zmianie, wszyscy kimają w łózkach.

— Pani Marino, Zabójca z LA nie patrzy na zegarek.

— Och, tak... przepraszam.

— Nie wypadajmy z gry, dobrze?

— Przepraszam. To się nie powtórzy.

Nie musiałem być aż tak oficjalny i ostry, ale ludzie wyobrażają sobie, że wojskowi mają ciut za ciasno pod kopułą i trzeba umacniać to przekonanie, bo inaczej mogą pomyśleć, że się podszywasz.

Podąłem jej adres pana Morrowa i poprosiłem, żeby radiowóz podjechał pod dom, obudził właściciela i poinformował go, że za chwilę ktoś do niego zadzwoni.

Da się zrobić, zapewniła, wyraźnie nadając już na mojej częstotliwości, a ja powiedziałem jej, że poczekam, aż dostanie potwierdzenie od patrolu. Przełączyła mnie na oczekiwanie. Upłynęło dziesięć minut. Wykorzystałem ten czas na rozeznanie się we wszystkich guzikach i kontrolkach w moim pięknym nowym jaguarze, jednocześnie kombinując, co mogło łączyć Lisę i inne ofiary. Zastanowiło mnie, że w poczcie Lisy nie znalazłem ani jednego listu do, od, ani o najślawniejszej ofierze, Carolyn Fiorio. Jednak trzy lub cztery zamordowane kobiety znały się, dość regularnie do siebie pisały, a Lisa podpisywała swoje e-maile „Zawsze Twoja przyjaciółka”. Puste sentymentalne formułki nie były w stylu Lisy, więc można przypuszczać, że chodziło o coś więcej aniżeli tymczasowe kontakty.

— Majorze, mamy problem... - przerwała moje

rozważania Marino.

— Słucham.

— Wypadek.

- Dom pana Morrowa spalił się wczoraj wieczorem.

Próbowałem to przyswoić, a tymczasem Marino rozwinęła wypowiedź:

— Przepraszam, że nie skojarzyłam adresu. Moja zmiana zaczęła się o północy. Pożar był wcześniej.

— Kiedy?

— Chwileczkę... zobaczę w komputerze. - Po kilku minutach oznajmiła: - Sąsiad zawiadomił o pożarze tuż po piątej. Te stare chaty na Beacon Hill są szpanerskie, ale to pułapki ogniowe. Drewniana konstrukcja, bez nowoczesnych żaroodpornych materiałów...

— Czy ktoś ucierpiał?

— Chwileczkę. - Z raportu przeczytała: - Jedna znana ofiara, John Morrow, doznał ciężkich poparzeń. Był na piętrze, strażacy musieli go ściągać...

— A młoda kobieta? Elizabeth Morrow?

— Nie jest wymieniona. - Po chwili Marino dodała: - Ale inspektorzy nie weszli do środka i nie sprawdzili, czy są jeszcze jakieś ofiary. Zgliszczą muszą ostygnąć. Jutro, kiedy...

— Znacie przyczynę pożaru?

— Nie, jeszcze nie. Rano oczywiście wyślemy tam specjalistę, który sprawdzi, czy nie było to podpalenie. Myśli pan, że...

— Dziękuję. - Rozłączyłem się.

Pożar wybuchł około piątej, a Janet wymeldowała się z hotelu o szóstej. Co to wszystko znaczy?

Uruchomiłem silnik i wyjechałem z parkingu,

nie mając pojęcia, dokąd właściwie jadę. Byłem tylko pewien, że dokądś powinienem pojechać.

Chłodne powietrze musiało odświeżyć mi umysł, bo nagle zacząłem myśleć o zaporze wokół pliku Lisy. Chyba powinienem był spytać Cheryl, czy jest to standardowa procedura postępowania z plikami wszystkich prawników, którzy odeszli z firmy. Kancelarie prawnicze zwracają większą uwagę na ochronę poufności niż inni pracodawcy, więc zamknięcie pliku byłej pracowniczki byłoby zrozumiałe. Ale założmy, że nie stosowano takiej procedury. Odpowiedź: ktoś w firmie wiedział, że na serwerze znajdują się dowody świadczące o tym, że istniał związek między trzema zabitymi kobietami, dowód, którego ze względów technicznych nie dało się usunąć, więc najlepszym rozwiązaniem było ukryć go i otoczyć zaporą ogniową. Ergo: ktoś z firmy musi być zamieszany w morderstwa.

To zaś prowadziło do następnej rewelacji. Lisa wspominała w listach o paczkach dla Julii i Annę, a e-mail do Janet też zawierał informację o przesyłce. Janet była pewna, że nigdy nie spotkała się z Annę ani Julią i ich nie znała. Ale wszystkie trzy dostały paczki od Lisy. Czy to właśnie je łączyło?

Boston. Musiałem błyskawicznie dostać się do Bostonu. Jechać samochodem? Za długo. A lotnisko Reagana wypluwało pierwszy samolot dopiero o szóstej.

Rozważałem inne opcje. Mijałem właśnie Biały Dom, kiedy nagle doznałem olśnienia. Zatrzymałem samochód, pogrzebałem w aktówce i wyłowilem wizytówkę. Wybrałem numer i po trzech dzwonek zachrypnięty głos odpowiedział:

— Spinelli.

— Tu Drummond. Obudź się.

— Chyba jestem, kurwa, przy telefonie, tak? Powiedziałbym, że zrzędzi, ale nastrój Spinellogo nigdy się nie zmieniał.

— Daję ci szansę zostania bohaterem.

— O kurde.

— Słuchaj uważnie. Co ty na to, gdybym ci powiedział, że Lisa Morrow, Julia Cuthburt i Annę Carrol się znały?

— Skąd to wiesz?

— Po prostu wiem. A Janet Morrow być może wie, dlaczego się znały.

— Nie chrzań.

— Ale zniknęła.

— Taak?

— Z innej beczki. Dom jej ojca spalił się wczoraj wieczorem. Możliwe, że pan Morrow nie żyje. Janet wymeldowała się z hotelu godzinę później. Należy zakładać, że pojechała do domu.

Spinelli pomyślał chwilę, po czym zasugerował:

— Więc zadzwoń do niej na komórkę.

— O kurna. Czemu na to nie wpadłem?

— Nie odpowiada, tak?

— I wolę nie myśleć dlaczego. Kapito? Teraz możesz zdobyć ostrogi.

— O czym ty gadasz?

— W bazie lotniczej Andrews i morskiej w Quantico, kwadrans lotu od Białego Domu i Pentagonu, zawsze czekają śmigłowce. Powiedz szefom, że potrzebujesz jednego, i to natychmiast.

— Lecieć do Bostonu?

— Pomyślałem, że możemy pójść spacerkiem, a śmigłowiec poleci za nami, ale teraz kiedy o tym wspomniałeś, przyszło mi do głowy, że lepiej polecieć.

— Wal się.

— Chcesz stracić kluczowego świadka?

— O czym ty gadasz?

— Wiemy, że zabójca okazał się bardzo sprytny i zaradny, prawda? - Dałem mu chwilę na przyswojenie tej informacji. - Nieważne, zapomnijmy o tym. Przepraszam, że zawracam ci głowę. Przekręcę do Meany'ego i niech FBI...

— Nawet o tym nie myśl. - Zastanowił się chwilę, a potem rzekł: - Więc słuchaj. Ja to rozegram i ja zgarnę laury.

— Nie obchodzi mnie, kto zgarnie laury.

— Ale mnie obchodzi. Niedługo posiedzenie komisji awansów.

— Jeśli Janet zginie, postaram się, żeby ta informacja trafiła do twoich akt.

— Za pół godziny na lądowisku obok Pentagonu. I nie pogrywaj sobie ze mną, bo...

— Co ja tu mam w ręku? Hm, wizytówka George'a Meany'ego.

— Pół godziny.

Zadzwońem jeszcze raz na numer Janet i zostawiem kolejną wiadomość, żeby do mnie oddzwoniła. Wtedy przyszła mi do głowy inna możliwość. Może J oznaczało Jeanie, zaś pod

A kryła się Alice. A biedny stary Morrow wrócił z pracy, wrzucił pizzę do piecyka, ale zapomniał wyjąć ją z tekturowego opakowania i gotowe, dzwonki alarmowe się urywają. Wiadomo, że starzy ludzie bywają zapominalscy.

Ale, jak powiadają Francuzi: *Uaudace, l'audace*, co z grubsza tłumaczy się jako: „Ruszaj do ataku, nie zważaj na ryzyko i zwyciężaj”. Puśćmy w niepamięć to, że Francuzi od kilku wieków nie wygrali ani jednej wojny.

ROZDZIAŁ 33

O szóstej dwadzieścia wylądowaliśmy na dachu centrum medycznego Uniwersytetu Harvarda, do którego przywieziono pana Morrowa po pożarze.

Spinelli przez cały czas lotu gadał do mikrofonu, wzywając bostonską policję, żeby zapewniła eskortę i ustaliła miejsce pobytu i obecny stan zdrowia pana Johna Morrowa - ciężkie poparzenie połowy ciała, stan krytyczny, pacjent został zawieziony na oddział intensywnej terapii centrum medycznego Harvardu. Spinelli usilnie tłumaczył też pełnym wątpliwości szefom, dlaczego wszystko to jest konieczne.

Wcisnąłem się na siedzenie w tylnej części blackhawka i spoglądając przez okno na światła w dole, znów próbowałem poskładać wszystko w całość. Co Janet, Annę Carrol i Julia Cuthburt miały ze sobą wspólnego? Myślałem o tym intensywnie i niczego nie wymyśliłem.

Znudzony gliniarz z patrolu czekał na nas na lądowisku na dachu, a potem sprowadził kilka pięter w dół na oddział intensywnej terapii. Zaprowadzono nas do sali bez okien. W środku na łóżku leżało ludzkie

ciało przykryte przewiewnym prześcieradłem, podłączone do respiratora i z kroplówkami w obu rękach. Dwie pielęgniarki i młody lekarz stali blisko siebie i o czymś dyskutowali.

Lekarz zauważył nas i podszedł.

-Mogę w czymś pomóc?

Przedstawiłem nas w krótkich słowach i spytałem:

— Jak pacjent?

— Na dwoje babka wróżyła - odparł lekarz, oglądając się przez ramię. - Doznał ciężkich poparzeń. Zwłaszcza dolnej części tułowia i nóg.

— Jakie ma szanse? - zapytał Spinelli.

— Poparzenia są dość ciężkie. - Zmarszczył czoło i wskazał palcem pacjenta. - W tej chwili stan jest stabilny. Ale to stary człowiek. A jak powiedziałem, poparzenia są ciężkie.

Innymi słowy, szanse Johna Morrowa były całkiem spore. Gdybym miał sparafrazować słowa młodego lekarza, to powiedziałbym: „Stawki ubezpieczenia od złamania zasad sztuki lekarskiej dają mi ostro w kość. Czy któryś z panów wspomniał, że jest prawnikiem?”.

- Szukamy córki pacjenta, Janet Morrow - wyjaśniłem. - Ciemne włosy, szczupła, bardzo atrakcyjna.

Lekarz skinął głową.

- Była tu dzisiaj. Dwie pozostałe siostry też. Spędziły tu całą noc. Wyszły mniej więcej... - Zerknął na zegarek. - ...godzinę temu, kiedy stan pacjenta się ustabilizował. – Dla zasady dodał: - Ale z oparzeniami nigdy nie wiadomo. Są ciężkie.

Podszedłem do stanowiska pielęgniarek i zadzwoniłem z ich służbowego na komórkową pocztę głosową Janet, żeby powiedzieć, że jestem w Bostonie. Zostawiłem jej też numer komórki Spinellego.

Odwróciłem się i wpadłem w jego objęcia:

- W porządku, Janet jest w mieście. Ale gdzie?

W odpowiedzi usłyszałem, że już załatwił z bostońską policją, żeby radiowóz podjechał do domu

Janet w centrum, a drugi do mieszkania Carol, które znajduje się gdzieś w Belmont. Gdyby siostry pojawiły się w którymś z tych miejsc, Spinelli miał zostać zawiadomiony telefonicznie.

Wiedzieliśmy zatem, gdzie ich nie było. Gdzie były, tego nie wiedzieliśmy. Janet zarabiała na życie walką z mordercami, więc może usłyszawszy, że coś jest nie tak, nabrała podejrzeń. Ale nie wiedziała jeszcze, że dwie ofiary łączyło coś z jej siostrą, więc może niczego nie podejrzewała. Może właśnie w tej chwili morderca skręcał jej kark.

Od tych wszystkich „może” rozboleła mnie głowa.

Zasugerowałem Spinellemu, żebyśmy poprosili bostońską policję o wszczęcie poszukiwań trzech sióstr przez wszystkie jednostki. Odparł, że jest to głupi i niewykonalny pomysł, że taki alarm wymaga legalnej autoryzacji, której nie uzyskamy przy tak wątplych argumentach, że siostry były całą noc na nogach, więc musiały wrócić do domów, żeby wziąć prysznic, przebrać się, najeść etc. Powiedziałem, że ma rację, ale jeśli Janet rzeczywiście coś podejrzewała, to prawdopodobnie okaże dość przytomności umysłu, by unikać domu, gdyż zabójca przypuszczalnie właśnie tam się na nią zaczai. Teraz z kolei Spinelli przyznał mi rację, ale zauważył, że bostońską policja podstawiła radiowóz pod jej dom. A ja na to: Tak, ale może Janet i jej siostry o tym nie wiedzą.

Pat. Obaj byliśmy zmęczeni i nasze nerwy zaczynały wysiadać. Byliśmy też głodni i spragnieni, więc zeszliśmy kilka pięter w dół i znaleźliśmy bar. Wzięliśmy kilka razowych bułek, po kubku kawy i usiedliśmy przy stoliku.

W związku z tym, że zostaliśmy czymś w rodzaju partnerów, uznałem, iż powinienem lepiej

poznać Spinellego.

— Co ściągnęło cię do armii, Danny?

— Bieda. A ciebie?

— Nie miałem nic lepszego do roboty.

Zachichotał. Chyba zaczynał mnie lubić. Nie
byłem pewien, czy ja zaczynam lubić jego.

- Zaczynałeś w żandarmerii wojskowej?

Spinelli skinął głową.

— Dochrapałem się sierżanta, a potem
oczywiście przeszedłem do CID.

— Podoba ci się?

— Bywają takie dni.

No dobra, dość tych głębokich, badawczych pytań. Znaliśmy się już blisko, wiedzieliśmy, co drugiego kręci i tak dalej.

— Ty jesteś tutaj ekspertem - powiedziałem. - Co się tu dzieje, twoim zdaniem?

— Nie mam bladego pojęcia.

— Przedwczoraj powiedziałeś, że ten facet to imitator.

— Taak.

— Wciąż tak myślisz?

— Taak. Czemu pytasz?

— Z ciekawości. Nawiasem mówiąc, nie znalazłem niczego, co by wskazywało, że Lisa знаła Carolyn Fiorió.

— Może jej nie znała. Może jest jakiś inny związek lub motyw, jeśli chodzi o Fiorio.

Zastanowiłem się nad tym. To miało sens: zabójca mógł załatwić Lisę, Julię Cuthburt i Annę Carrol z jednego powodu, a Fiorio z zupełnie innego. Zacząłem rozważać hipotezę, że mamy do czynienia z imitatorem.

Powoli dochodziłem do wniosku, że Spinelli jest gliną w moim typie. Pozostali przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości zaangażowani w tę sprawę podchodzili do niej tak intelektualnie, tak bardzo ją komplikowali, wymyślali tak wiele wyrafinowanych hipotez, że w końcu zaczęli gonić za własnym tyłkiem. Spinelli był typem od mięsa i kartofli.

Sączyłem kawę i myślałem o mięsie i kartoflach. Nie myśl za dużo, odpowiedź zwykle leży tuż przed twoim nosem. Trzasnąłem kubkiem o blat i powiedziałem:

- Chodź.

Popędziłem schodami na górę, a Spinelli ruszył sprintem za mną na oddział intensywnej terapii i do

stanowiska pielęgniarek.

Ciężko zbudowana czarna pielęgniarka wpatrywała się uporczywie w monitor, ale podniosła głowę, gdy powiedziałem:

— Przepraszam. Była siostra tutaj, kiedy wychodziły córki pana Morrowa?

— Tak.

— Czy zostawiły numer, pod którym można się z nimi skontaktować?

-Tak. - Wyjaśniłem, że sprawą zajmuje się policja, Spinelli mignął blaszką i kobieta podała numer.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Mogę skorzystać z telefonu?

— Proszę bardzo. Tylko nie za długo.

Wybrałem numer.

— Halo? - odezwał się kobiecy głos.

— Mówi Sean Drummond. Mogę spytać, z kim mam przyjemność?

— Ethel Morrow.

— Próbuję skontaktować się z Janet Morrow.

Może pani wie, gdzie mogę ją znaleźć?

— Jestem jej ciotką. Oczywiście, że wiem, gdzie można ją znaleźć.

— Oczywiście. Czy wobec tego mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie ona jest?

— Ona jest tutaj, młody człowieku. Ale to nie jest dobry moment na rozmowę.

Pamiętam, że Lisa wspomniała kiedyś o ciotce, starej panie, rodzinnym potworze, która pomagała w wychowywaniu dziewcząt po śmierci ich matki. Lisa powiedziała, że jest to wścibska, ekscentryczna stara kwoka o ostrym języku. Ale jednocześnie była chyba kimś w rodzaju zastępczej matki, więc nie zdziwiło mnie, że wszystkie trzy siostry udały się do niej w takiej chwili.

— Stoję przed drzwiami sali, w której leży pani brat - powiedziałem. - Przyleciałem tutaj wojskowym śmigłowcem. Muszę bardzo pilnie pomówić z Janet.

— No dobrze. Ale proszę nie przedłużać. Ona jest bardzo zdenerwowana.

Po chwili Janet wzięła słuchawkę.

— Tu Drummond. Jestem w szpitalu. A ty gdzie jesteś?

— W domu cioci. Co robisz w Bostonie? I w

szpitalu?

— Później ci to wyjaśnię. Podaj adres.

Podawała, ja zapisałem i przekazałem kartkę Spinellemu, a ten skoczył na poszukiwanie funkcjonariusza, który czekał na nas na lądowisku.

— Słuchaj uważnie - powiedziałem do Janet. - Lisa знаła Julię Cuthburt i Annę Carrol. Kilka razy wysyłała do nich e-maile, zanim wszystkie zostały zamordowane.

— O mój Boże.

— Spinelli tu jest. Nie wychodź z domu, niedługo tam będziemy.

ROZDZIAŁ 34

Wskoczyliśmy do radiowozu: gliniarz za kierownicę, Spinelli na przednie siedzenie, Drummond na tylne. Policjant włączył światło i syrenę i z piskiem opon wyjechaliśmy z parkingu. Nagle przyszło mi do głowy, że to wszystko nie tak.

Kazałem mu zatrzymać się i zgasić koguta i syrenę.

— Co ten facet teraz robi? - spytałem Spinellego.

— Diabli wiedzą. Pewnie obserwuje jej mieszkanie, tak myślę. - Podrapał się po nosie, przelotnie zaniepokojony. - Nie. Włamuje się do domu, kiedy stary jest w pracy, umieszcza środki zapalające i paliwo, i kilka minut po powrocie właściciela do domu odpala wszystko i dom staje w płomieniach. - Tak? - Skinąłem głową. - Znajduje punkt obserwacyjny i patrzy na pożar. Widzi, jak strażak wyciąga ciało, a potem jedzie za karetką do szpitala.

— I tam wpada na trop Janet - dopowiedziałem. - A później za nią jedzie, kiedy Janet wychodzi ze szpitala.

— Więc teraz prawdopodobnie obserwuje dom ciotki - dokończył Spinelli.

Przez kilka minut obracaliśmy na wszystkie

strony ten scenariusz. Oczywiście, było możliwe, że za pożarem nie stał morderca i goniliśmy cień, a Sean właśnie zapracowywał sobie na długą sesję na tapczanie z bardzo miłym i bardzo dociekliwym świrołapem. Ale instynkt podpowiadał mi, że zabójca tam jest. Spinelli też tak myślał.

Jeśli wobec tego wpadniemy tam z kogutem i syreną, wszystko diabli wezmą. Zebrane do tej pory dowody wskazywały, że przeciwnik jest bardzo, bardzo dobry. Nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda, więc on zobaczy nas, a my jego nie - i koniec zabawy.

— Wślizniemy się niepostrzeżenie - zaproponował Spinelli.

— Świetnie.

- Potrzebujemy samochodu bez znaków i przebrania.

Omówiliśmy szczegółowo ten plan.

Zwykle w takich wypadkach stosuje się przebrania hydraulików albo mechaników od klimatyzacji, lecz tym razem nie wchodziło to w grę, bo nie mieliśmy czasu. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł i odjechaliśmy.

Pół godziny później panowie Sean Drummond i Daniel Spinelli zaparkowali przed domem cioci Ethel w Cambridge zdezelowaną hondę civic pożyczoną od ojca Briana Mullraneya z parafii św. Maryi. Na szczęście była to nędzna dziura: mały, dwukondygnacyjny domek obłożony klepką, zaniedbany i zapuszczony, bez podwórka, z pięciostopniowymi schodkami wyrastającymi z popękanego chodnika.

Zapukaliśmy i ciocia Ethel otworzyła drzwi. Była po osiemdziesiątce, skurczona z powodu wieku do mniej niż metra pięćdziesięciu. Miała rzadkie białe włosy i kościstą twarz ściągniętą w nieprzyjemnym grymasie. Popatrzyła na nas surowo.

Dotknąłem nerwowo kołnierzyka.

— Jestem Drummond, to ja wcześniej dzwoniłem. A to chorąży Spinelli, oficer policji wojskowej. Proszę nas wpuścić.

— Dlaczego jesteście tak ubrani?

— Proszę - odparłem. - Później wszystko wyjaśnimy. Zmierzyła wzrokiem Spinellogo i powiedziała:

— Zakładam, że macie odznakę albo coś w tym rodzaju. Spinelli mignął blaszką, kiedy znaleźliśmy się w krótkim holu prowadzącym do kuchni. Dom wydzielał stęchłą, duszną woń, tak jak domy większości starych ludzi, i był zagrożony

staropameńskimi sprzętami: za bardzo wypchanymi fotelami, serwetkami, figurkami etc. Kuchnia była mała i ciasna i wyglądała jak mauzoleum staroświeckich sprzętów. Ciocia Ethel była starą kaczką-dziwaczką.

Janet odstawiła filiżankę i spokojnie przedstawiła sobie wszystkich obecnych, co zważywszy na okoliczności, było trochę sztuczne. Wszystkie trzy siostry siedziały przy stole, zmęczone i posępne.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, którą przerwała Janet.

- Dlaczego jesteście ubrani jak księża?

Zrelacjonowałem, czego dowiedziałem się z pliku komputerowego Lisy. Opowiedziałem o naszym podejrzeniu, że zabójca może być - i prawdopodobnie jest w pobliżu - i nie skończył dzieła.

Moje wyjaśnienia były bardzo zwięzłe. W kuchni, co zrozumiałe, zapadła cisza. Siostry Morrow dowiedziały się, że pożar w domu ojca nie był przypadkowy, że jedna z nich została naznaczona piętnem śmierci, a czarny zniwiarz może czaić się za śmietnikiem na podwórzu cioci Ethel. Były to twarde kobiety; żadna nie wpadła w panikę, ale nie wyglądały już na zmęczone.

Po *chwili* Janet zapytała:

— Dlaczego podpalił dom? Czemu próbował zabić ojca?

— Żeby się tutaj dostać - odparł Spinelli. - Twój ojciec jest przynętą.

— Dlaczego? Jeśli chciał mnie zabić, dlaczego nie zrobił tego w Waszyngtonie?

No właśnie, dlaczego? Dokładnie to pytanie nie dawało mi spokoju, kiedy lecieliśmy śmigłowcem. Nie byłem pewien, ale w szpitalu Spinelli podsunął mi

pewien pomysł.

- Spinelli wciąż uważa, że to imitator -
wyjaśniłem. - Dlaczego jedni mordercy naśladowają
innych?

Janet zastanowiła się nad tym ciekawym
pytaniem i po chwili odparła:

- Zwykle motywami są zazdrość, sympatia albo
przewrotne poczucie braterstwa. Niektórzy pragną
zakosztować sławy

i czynów sławnych zabójców, a inni chcą ich przewyższyć, stosując te same metody i techniki, lecz będąc lepszymi od swojego wzoru. Naśladownictwo i stymulowanie ego.

Skinąłem głową. Jej harwardzcy profesorowie byliby z niej dumni. Była to podręcznikowa odpowiedź, niemal słowo w słowo. Ale ja miałem trochę więcej czasu na przemyślenie tej kwestii i uderzyło mnie, że wszyscy za bardzo trzymali głowy w książkach.

— A może chodzi o przykrywkę? - zasugerowałem. - Morderca chce, żeby obwiniano kogoś innego.

— To mogłoby mieć sens - przyznała Janet.

— Do tej pory nikt nie znalazł związku między ofiarami - ciągnąłem - więc przeważa opinia, że takiego związku nie ma. Gdyby zabił ciebie, wszyscy musieliby zrewidować swoje hipotezy i założenia.

— Tak, ale zabicie mnie tutaj pociąga za sobą to samo ryzyko.

— On może myśleć inaczej. Boston leży poza zasięgiem działania i jurysdykcji zespołu śledczego z Waszyngtonu. Poza tym, zabójca nie wie o twoim... związku z szefem zespołu FBI. Ani twoim zaangażowaniu w śledztwo. - Janet skinęła głową, gdyż najwidoczniej było to oczywiste. - Więc być może zamierza zgładzić cię inaczej niż Lisę i wcześniejsze ofiary. Mógłby zaaranżować zabójstwo bez charakterystycznych cech poprzednich morderstw.

Janet zastanowiła się, po czym powiedziała:

— Snujesz dużo hipotez.

— Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale... - Nie byłem pewien, jak to ująć. - Zaczynam rozumieć, jak on działa.

— Faktycznie, bierzesz pomysły prosto z

sufitu.

— Okaż mi wyrozumiałość. A teraz zadzwońmy na komendę policji i wynośmy się stąd.

— Wynosić się? - zapytała ze zdziwieniem Janet.

— Tak. Byle dalej od niego.

Janet wymieniła spojrzenia z siostrami, a potem popatrzała na mnie i na Spinellego.

- Czy moglibyście na chwilę wyjść z kuchni?

Chcemy to omówić.

Zerknąłem na Spinellego i powiedziałem:

- Nie ma czego omawiać. Dzwon na komendę miejscowej policji.

Wskazała palcem drzwi.

- Myślę, że w stołowym będzie wam wygodnie.

Co nam pozostało? To był ich dom, więc wycofaliśmy się do saloniku i zaczęliśmy oglądać bogatą kolekcję porcelanowych i kryształowych figurek, która była niezmiernie interesująca, jeśli ktoś jest hobbystą. Było tam kilkanaście ręcznie malowanych baletnic, mnóstwo maleńkich, filigranowych koników, parę nadzwyczajnych jednorożców oraz... zresztą i tak gównie to kogo obchodzi.

— Powinniśmy byli zadzwonić na bostońską komendę - powiedziałem do Spinellego.

— Może.

Żadnych „może”, koleś. Cztery kobiety w kuchni opłakiwały śmierć siostry i próbę zamordowania ojca. Takie wydarzenia to szok, który nie poprawia zdolności trzeźwego myślenia i wyciągania logicznych wniosków. Czułem się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że za ostro to rozegrałem. Miałem nadzieję, że nie namawiają się, żeby zrobić to, co podejrzewałem. Po pewnym czasie Janet zawołała nas do kuchni. Wszystkie cztery siedziały przy stole, a mnie nie podobał się zacięty, wkurzony wyraz ich twarzy.

- Siadajcie - rzuciła Janet.

Krzesła były tylko cztery, wszystkie zajęte, więc przesunęliśmy ze Spinellem kilka gratów i posadziliśmy tyłki na blacie z tworzywa. Ciocia Ethel zmierzyła nas bardzo złym spojrzeniem.

— Mamy plan - powiedziała Janet.

— Jest tylko jeden plan - odparłem. - Dzwoni na policję. Natychmiast.

Carol, która była druga po Janet pod względem starszeństwa, rzekła:

- Najpierw omówmy nasz plan.

Elizabeth, najmłodsza, dodała:

— Ten człowiek zamordował naszą siostrę i posłał ojca do szpitala. Zapłaciliśmy za prawo zdecydowania, co dalej robić.

— To nie jest...

— Poza tym - podjęła Janet - zamordował trzy inne kobiety i kierowcę. A wszystko wskazuje na to, że chce zabić kolejne osoby. Jeśli macie rację, jeśli on tutaj jest... to mamy szansę zgarnąć go z ulicy.

— On uważa, że trzyma Janet w pułapce - podkreśliła Elizabeth. - To daje nam szansę odwrócenia szachownicy i złapania w pułapkę jego.

To, co wymyśliły, nie było specjalnie oryginalne. Ale Spinelli kiwał głową. Siostry i ciocia Ethel też kiwały głowami. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

- Dziękuję. To bardzo szlachetny gest. Bez wątplenia także bardzo głupi. Szanse są całkowicie po jego stronie. - Spojrzałam na Janet i dodałam: - Nawet nie myśl o tym, żeby wystąpić jako przynęta. Ten drań połknie cię z butami.

Kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybym wyraził swoje obiekcje w mniej prowokujący sposób. Nozdrza Janet się poruszyły.

— Nie powinieneś mnie nie doceniać, do jasnej cholery - rzuciła ciut gniewnym tonem. - Potrafię o siebie zadbać. I nie wąż się po raz drugi nazwać mnie głupią. Oczywiście, że zamierzam skorzystać z pomocy bostońskiej policji.

— Dobry pomysł - podchwycił natychmiast Spinelli. - Zrobimy blokadę i złapiemy bydlaka za jaja. Ale powiedz im, żeby przysłali tylko gliniarzy w cywilu i nie podchodzili bliżej niż na trzy przecznice. Ten facet jest dobry, od razu ich rozgryzie.

Gdybym miał gnata, rozwaliłbym Spinellego na miejscu. Nagle przyszło mi do głowy, że przygnał tutaj powodowany innymi motywami niż moje. To znaczy, Spinelli chciał oczywiście dopaść mordercę i zostać Człowiekiem Dnia, ale zasada „Chronić i służyć” po pierwsze oznacza „chronić”. Po drugie, pułapki z przynętą nie organizuje się na poczekaniu. Trzeba czasu, żeby wziąć pod uwagę wszystkie możliwe ewentualności i niespodzianki, wybrać najlepszych ludzi. Opracowuje się plan, potem go koryguje, później ćwiczy, a w końcu i tak przynęta może zostać połknięta.

Próbowałem jeszcze raz wyjaśnić moje uzasadnione wątpliwości, ale najwyraźniej byłem tutaj elementem niepasującym do pozostałych.

W każdym razie Janet straciła wreszcie cierpliwość i poinformowała mnie:

- Nie myśl, że nie jesteśmy ci wdzięczne, że to wszystko wykombinowałeś i że przybiegłeś nas ostrzec. Ale muszę ci przypomnieć, że to ja jestem prokuratorką w tym mieście i gliny pójdą za mną. - Skierowała na mnie palec i dodała: - Możesz wziąć udział w tej operacji albo zamknij buzię.

To był jeden z przypadków, w których wzięcie udziału w operacji było zarazem wpakowaniem się w sam środek kłopotów. Zamknąłem się więc i zacząłem knuć spisek. Janet wyszła do saloniku i zadzwoniła na policję. Właśnie na to czekałem. Gliny bez wątpienia podziękują jej za dobre chęci i powiedzą że nie jest odpowiednią osobą do tej roboty, i to będzie koniec.

Janet wróciła do kuchni i oznajmiła:

— Właśnie rozmawiałam z komisarzem Harrym O'Malleyem.

— Tak, i co...? - zainteresował się Spinelli.

— Pomysł bardzo przypadł Harry'emu do

gustu. Powiedział, żeby dać mu pół godziny na zorganizowanie kordonu, i zasugerował, żebyśmy wykorzystali ten czas na dopracowanie planu.

Psiakrew. Za pół godziny zabójca i ofiara znajdą się razem wewnątrz kordonu, zamknęci jak w butelce. Pierwszy problem był taki, że nie wiemy, jak zabójca wygląda. Drugi polegał na tym, że zabójca był dobry w te klocki. Nagle przypomniała mi się stara przypowieść o dwóch skorpionach w jednym pudełku; zadrżałem na myśl o zakończeniu - oba skorpiony pokąsały się na śmierć.

Kobiety siedziały więc przy stole, rzucając coraz to nowe pomysły, a ja słuchałem tego w milczeniu. Tymczasem na zewnątrz krążył zabójca i stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. Mógł zmęczyć się czekaniem i albo odejść, albo zaatakować wściekle dom. Gdyby odszedł, cały ten szalony pomysł spaliłby na panewce. Powiedzmy sobie, że byłoby to najlepsze rozwiązanie. Gdyby zaatakował, musiałby zabić cztery kobiety zamiast jednej, nie wspominając o dwóch duchownych. Moglibyśmy go dopaść, i to byłoby dobre. On dopadłby pewnie niektórych z nas, a to było gorsze.

Elizabeth proponowała, że wyjdą z domu ciotki Ethel wszystkie razem, ryzykując tak samo.

To był tak beznadziejny pomysł, że nawet Janet to rozumiała.

- On przyszedł tutaj po mnie - przypomniała siostrze. - Nie będziemy narażały nikogo więcej.

Elizabeth i Carol pokręciły głowami i zaczęły energicznie oponować.

Zerwałem więc śluby milczenia i wtrąciłem się.

— Janet ma rację.

— Oczywiście, że mam rację - poparła mnie Janet. - On czeka, żebym się oddzieliła. Wolałby uniknąć komplikacji i zdjąć mnie, kiedy będę sama.

— Wygląda na to, że taki jest jego sposób działania - zauważył Spinelli.

— Czyżby? - parsknąłem. - Żeby zabić Fiorio, rozwalił kierowcę limuzyny. On nie dostaje mdłości, kiedy musi wyeliminować gapiów.

Pomysł, żeby trzy siostry narażały się na niebezpieczeństwo, był czymś więcej niż głupotą. To naturalne, że trzy cele trudniej ochronić niż jeden. Ochrona to gra ryzyka i szans, a im więcej celów dodajesz do mieszanki, tym większe ryzyko, że

rozgrywka potoczy się w złą stronę.

Siostry bawiły się w przeciąganie liny, a ja siedziałem i obliczałem nasze szanse. Na plus można było zaliczyć to, że Spinelli, tak jak wielu agentów CID, był wyszkolony w ochronie. Jednym z zadań, które wypełnia personel CID, jest ochrona

wysokich rangą pracowników Departamentu Obrony. CID szczyli się tym, że żadnego z nich nigdy nie zabito. Bardzo krzepiące, nieprawdaż? Bardzo, dopóki nie weźmie się pod uwagę, że nikt nigdy tego nie próbował. Jednak agenci CID przechodzili specjalistyczne szkolenie, które i ja miałem za sobą jako uczestnik tajnych operacji. Moje umiejętności uległy atrofii, i z całą pewnością nie byłem już rozbuchanym ogierem, takim jak wtedy gdy miałem dwadzieścia pięć lat, ale nie zapomniałem wszystkiego, czego się nauczyłem. Pamiętałem na przykład lekcję numer jeden: w konfrontacji ze sprawnym zabójcą nie ma prawie żadnych szans ocalenia Przesyłki.

W końcu Elizabeth i Carol się wycofały, a Janet i Spinelli ułożyli zarys planu. Wtedy Janet znów zadzwoniła do komisarza i połączono ją z kapitanem, którego wyznaczono na szefa całej operacji. Porozmawiali jak starzy kumple, wymienili kilka ciepłych słów, a potem Janet oddała słuchawkę Spinellemu, który przez dwadzieścia minut ustalał szczegóły z bostońską policją; omawiali trasę, środki bezpieczeństwa i tym podobne. Przysłuchiwałem się temu. Zważywszy na to, co zamierzali osiągnąć, plan był chyba optymalny. Ale gwoli ścisłości proszę odnotować w aktach, że „optymalny” nie zawsze jest synonimem „wystarczająco dobrego”. Spinelli namawiał się przez telefon z glinami, a ja zabrałem Janet do saloniku.

- Uważasz, że wiesz, co robisz, ale to bardzo ryzykowna gra - powiedziałem.

Janet skinęła głową.

- Jestem tego świadoma. Ale jest to również słuszny wybór. Wiesz o tym.

Nie miało już znaczenia, czy to jest słuszny wybór.

— Jeśli chcesz to zrobić, dam ci kilka wskazówek.

— Byle konstruktywnych. Wskazałem na jej stopy.

— Ty i Carol macie podobny rozmiar butów. Daj jej swoje szpilki, a weź mokasyny.

— Słusznie. Tak zrobię.

— On lubi zabijać rękami. Nie pozwól nikomu się zbliżyć.

— Racja. Nikogo nie dopuszczać.

— W razie czego uciekaj.

— Tak właśnie zamierzam...

— Jeśli nie będziesz mogła, schyl głowę na piersi i padnij na ziemię. To da nam czas, żebyśmy mogli do ciebie dotrzeć.

Skinęła głową.

— Weź nóż z kuchni ciotki Ethel.

— Dobrze.

- I włóż go do kieszeni płaszcza.

Janet znów skinęła głową.

— Nie dłuższy niż dziesięć centymetrów.

Krótkie ostrze trudniej zablokować.

— Dziesięciocentymetrowe ostrze... słusznie.

— Trzymaj go przez cały czas w ręku. Kilka razy przeciwicz wyciąganie go z kieszeni. Jeśli przyjdzie ci go użyć, uderzaj od dołu w brzuch, a nie z góry. Tak robią amatorzy i giną.

Janet jeszcze raz skinęła głową i powiedziała:

— Jestem gotowa.

— Nie, nie jesteś. Jesteś pełną optymizmu amatorką, idącą w paszczę bezwzględnego zabójcy.

— Przestań mnie straszyć. Wpędzisz mnie w taką paranoję, że wszystko zepsuję.

Chciałem, żeby miała paranoję. Strach dawał jej jedyną szansę wyjścia cało z tej pułapki. Chciałem, żeby w razie najdrobniejszego zagrożenia wrzeszczała na cały głos i wzięła nogi za pas.

— Jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś pamiętać - powiedziałem.

— Jaka mianowicie?

— Że ten człowiek i te morderstwa... wszystko ma jakiś związek z kancelarią.

Podejrzewała to od samego początku, więc nie wyglądała na zaskoczoną. Mimo to musiała chwilę pomyśleć.

— Jaki związek?

— Tego jeszcze nie wiem. Może za tym stać firma, o której

ci wspomniałem. Ale nie jest to pewne. Wydaje mi się jednak, że ktoś z firmy jest zamieszany.

— Wiesz kto?

— Gdybym wiedział, nie musiałabyś robić tego, co zamierzasz zrobić.

Nagle przyszło mi do głowy coś nowego.

— W e-mailach od Lisy do ciebie, Annę Carol i Julii Cuth-burt były wzmianki o przesyłkach. Dostałaś jakąś przesyłkę?

— Kiedy to było?

— Jakieś... - Nie pamiętałem dokładnej daty. - Może ze trzy tygodnie temu.

— Tak, dostałam ją.

— Z...?

— To był prezent urodzinowy dla taty. Lisa chciała, żebym dołączyła go do mojego podarunku. - Zerknęła na zegarek. - Muszę skoncentrować się na jednej rzeczy. Później o tym pomówimy.

— Jeśli będzie jakieś później. Pamiętaj: jeśli się da, uciekaj, jeśli nie, padnij na ziemię.

Janet skinęła głową i wróciła do kuchni.

ROZDZIAŁ 35

Panowie Spinelli i Drummond wyszli z domu cioci Ethel głównymi drzwiami, wsiedli do rozklekotanej hondy civic i odjechali. Przejechaliśmy cztery przecznice, zaparkowaliśmy za skrzyżowaniem i wróciliśmy pieszo dwie przecznice.

Spinelli zaprowadził mnie do dwóch wozów bez policyjnych znaków; trzech detektywów kręciło się przed witryną fryzjera, usiłując wtopić się w tłum. Coś mi się jednak zdawało, że wyglądają jak spuchnięte paluchy.

Podeszliśmy. Jeden z dwóch detektywów, młody, piegowaty rudzielec, uśmiechnął się do nas.

— Dzień dobry, ojculkowie. Spinelli też się uśmiechnął:

— Kij ci w tył, kutafonie.

Chyba już wspomniałem, że Spinelli ma problem z nawiązywaniem kontaktów. Błysnął blaszką i powiedział:

- Gdybym był zabójcą, już bylibyście martwi jak zimne gówno. Gdzie wasze zasrane radio?

Młody detektyw zaprowadził Spinellego do samochodu. Wsiedli. Spinelli rozmawiał przez kilka minut z kapitanem dowodzącym akcją, omawiając szczegóły.

Oparłem się o latarnię. Zdążyłem już napędzić stracha siostrom Morrow, a teraz postawiłem na nogi całą bostońską policję. Jeśli pomyliłem się co do zabójcy i jego zamiarów, albo ten

zwęszył pułapkę i zniknął, kiepski dzień zamieni się w beznadziejny dzień. Ale dość tych radosnych myśli. Przełączyłem mózg na tryb analizy planu. W czasie bitwy uczysz się myśleć tak jak przeciwnik, a później wykorzystujesz tę umiejętność, żeby być o krok przed nim, nawet jeśli on próbuje myśleć tak jak ty. Armia nazywa to eufemistycznie przeniknięciem do cyklu decyzyjnego wroga. Ten, któremu uda się nawiązać połączenia między synapsami wcześniej od drugiego, pławi się w deszczu konfetti na defiladzie zwycięstwa, a ten dragi wraca do domu w czarnym worku.

Nasza przewaga polegała na tym, że próbowaliśmy myśleć jak zabójca. A ponieważ on nie wiedział, że tam jesteśmy, nie próbował myśleć tak jak my.

Tak czy owak, w czasie gdy Spinelli tłumaczył coś przez radio, uświadomiłem sobie, że jestem nieuzbrojony. Spróbowałem więc nakłonić słodką gadką przyjaznego, piegowatego detektywa, żeby pożyczył mi pistolet. Policjant nieco chłodnym tonem poinformował mnie, że policyjne przepisy ściśle zabraniają wydawania służbowej broni cywilom. Z bronią czułbym się bezpieczniej, ale prawdę powiedziawszy, zawsze strzelałem z pistoletu jak dupa. Ściślej rzecz biorąc, szanse przetrwania Janet w tym momencie wzrosły.

Kilka minut później podjechała nieoznakowana furgonetka, z której wysiadł kolejny ksiądz. Nazywał się detektyw sierżant Jack Pilcher i został przydzielony przez bostońską policję jako eskorta chorążemu Spinellemu, ten bowiem nie miał w tym mieście żadnej władzy.

Detektyw Pilcher odezwał się do Spinellego w te słowa:

- Słuchaj, żołnierzyku, to moje zasrane miasto. Ty załapałeś się na okazję. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby użyć broni albo aresztować tego skurwiela, jasne?

Mimo problemów z nawiązywaniem kontaktów Spinelli wiedział najwyraźniej, że należy ustąpić pola.

- Ty tu rządzisz - mruknął.

Pilcher zauważył mnie, też w przebraniu.

- Czy to jakiś cholerny sobór? Ty, kurwa, kto?

— Drummond.

— Też z CID?

Zignorowałem tę obelgę i wyjaśniłem:

— Jestem oficerem JAG.

— Bombowo. Co tu robisz?

— Gram w tym przedstawieniu.

— Takiego wała.

Zerknąłem na Spinellego, który odszedł kilka kroków i z całkowicie neutralną miną przypatrywał się czemuś po drugiej stronie ulicy. Czyżby mój partner zapomniał poinformować bostończyków, że jestem nieodłączną częścią zespołu? Jeśli tak, musiało to być zwykle przeoczenie.

- Panna Morrow powiedziała wyraźnie, że nie wyjdzie za próg, jeśli ja nie będę pilnował jej tyłka – poinformowałem sierżanta Pilchera. Po chwili dodałem głośniej: - Pan Spinelli słyszał, jak to mówiła, prawda?

Spinelli najwyraźniej był zajęty czym innym, bo nie zareagował. Żeby pomóc mu się skoncentrować na bieżących sprawach, złapałem go za ramię i powtórzyłem:

— Tak było, Spinelli?

— Mm... - mruknął. Ścisnąłem ramię trochę mocniej. - Mhm, tak powiedziała.

Odwróciłem się do Pilchera.

- Widzisz? A ja nie jestem nawet uzbrojony.

Detektyw sierżant Pilcher nadal kręcił na to wszystko nosem i nawet obmacał mnie, by upewnić się, że jestem nieuzbrojony i bezbronny. Potem przez dwie minuty instruował mnie, co mam robić. W zasadzie sprowadzało się to do tego, że mam nie wchodzić mu w drogę.

Czekaliśmy pięć minut, za bardzo podminowani, żeby się odzywać, wszyscy wytężyliśmy wzrok. Pilcher miał pod sutanną miniaturowe radio, z

mikrofonem przypiętym do piersi i małą słuchawką w uchu. Wykorzystał czas na sprawdzenie połączenia z centralą. Albo działało, albo Pilcher lubił gadać do swojej klatki piersiowej i kiwać głową. Wreszcie zadzwoniła komórka Spinellego.

- Taak... - powiedział chorąży. - Dobrze...
Ruszamy.

Spinelli rozmawiał z Janet. Nie rozłączył się, bo od tej pory mieli pozostać w kontakcie telefonicznym. Na myśl o zaimprovizowanych operacjach robi mi się zimno. Przez chwilę zastanawiałem się, co by było, gdyby któremuś z nich wyładowała się bateria albo gdybyśmy znaleźli się poza zasięgiem. Ruszyliśmy. Spinelli i Pilcher trzymali ręce w kieszeniach, bez wątplenia ściskając pistolety. Pilcher szedł jedną stroną ulicy, a ja i Spinelli drugą. Wreszcie wsunęliśmy się w załom muru tak, by widzieć dom cioci Ethel.

Pilcher poinformował centralę, że zajęliśmy pozycję, a Spinelli zadzwonił do Janet i powiedział, że czas zacząć przedstawienie, bo drzwi domu cioci Ethel się otworzyły. Janet wyszła, uściskała ciocię Ethel i ucałowała siostry, które zdołały jakoś ukryć niepokój, więc wyglądało to jak naturalne rozstanie.

Janet ruszyła w naszą stronę, jedną ręką przyciskając telefon do ucha, a drugą trzymając w kieszeni płaszcza. Miałem nadzieję, że ściska w niej nóż. Wstrzymałem oddech. Dzień był zimny i wietrzny; włosy rozwiały się wokół jej twarzy. Wyglądała pięknie. Czyżby ogarnęło mnie pożądanie?

Minęła Pilchera, nie zerkając w bok, i szła dalej. Rozejrzałem się, czy nikt za nią nie idzie. Dom cioci Ethel znajdował się trzy przecznice od placu Harvarda i Janet właśnie tam zmierzała. Potem skręciła w prawo i skierowała się w stronę rzeki Charles, oddzielającej obrzydliwie bogaty Harvard od odrażająco bogatej szkoły biznesu.

Szliśmy za nią oddzieleni jedną przecznicą. Na ulicach zrobiło się nagle gęsto od studentów Harvardu i przechodniów. Na kilka strasznych sekund straciliśmy Janet z oczu, więc przyspieszyliśmy i zbliżyliśmy się

na pół przecznicy.

To był najbardziej ryzykowny etap podróży. Zabójca mógł wmieszać się w tłum i przechodząc, wbić jej nóż w żebra. Długo rozważaliśmy to zagrożenie, lecz w końcu założyliśmy teoretycznie, że nie zrobi tego, gdyż ulica jest zbyt zatłoczona. Przy poprzednich zabójstwach nie było żadnych świadków, więc można przypuszczać, że zabójca starannie unika ujawnienia. Ale kłopot z założeniami i teoriami polega na tym, że są słuszne dopóty, dopóki nie okaże się, że są błędne.

Janet zważym krokiem minęła duży gmach z czerwonej cegły. Tablica informowała, że jest to Szkoła Administracji im. Johna F. Kennedy'ego. To tam właśnie uczy się jajogłowych, jak rżnąć rząd, bardzo mądrze przy tym gadając. Następnie skręciła w lewo i weszła na deptak sąsiadujący z rzeką Charles.

Zrobiliśmy to samo i po chwili szliśmy we trójkę obok siebie, kontemplując sielskie piękno boskiego dzieła. Albo coś w tym rodzaju. Po lewej stronie mieliśmy Harwardzki Wydział Prawa. Lisa i Janet skończyły tę uczelnię, a teraz w cieniu jej murów ścigaliśmy mordercę tej pierwszej.

Nie wierzę w przeznaczenie, *kismet* ani kosmiczne zbiegi okoliczności, ale przyspieszyłem i wyostrzyłem zmysły. Miałem dziwne przeczucie, że ten człowiek ma przewrotne poczucie ironii, jakąś skłonność do poetyckiej symetrii, i chce załatwić Janet właśnie tutaj. Ważna informacja: Massachusetts Institute of Technology znajduje się dwie mile od Harvardu w stronę, w którą zmierzała Janet. Most nad rzeką Charles łączy MIT z właściwym Harvardem, a od strony Bostonu znajduje się stacja metra. Janet przyleciała do Bostonu samolotem. Na lotnisku czekała na nią Carol, która szybko podwiozła siostrę

samochodem do szpitala. Wydawało się całkowicie naturalne, że Janet zostawi siostry z ciotką i wsiądzie do pociągu, by wrócić do domu. Tam będzie już na nią czekała bostońska policja, która zastawiła na zabójcę lepiej przygotowaną pułapkę. Oczywiście, jeśli przeżyje tę podróż. Jest dość oczywiste, że łatwiej jest ochraniać nieruchomy obiekt aniżeli taki, który się porusza. Mieliśmy nadzieję, że Janet dotrze do celu bez przeszkód.

Ale wybór nie należał do nas, rzecz jasna. Dlatego policja rozmieściła wzdłuż drogi nieumundurowanych funkcjonariuszy z jednostek do walki z handlem narkotykami. Gliniarze od narkotyków dają z siebie wiele, żeby wyglądać jak włóczędzy. Zapewniono mnie, że tam są, ale żadnego nie zauważyłem. Uznałem to za dobry znak. Chyba że doszło do poważnego nieporozumienia na linii i wszyscy znaleźli się po drugiej stronie rzeki. Czasem to się zdarza.

Tak czy owak, był to piękny dzień na przechadzkę nad rzeką: chłodno, czyste błękitne niebo. Lekki wietrzyk marszczył wodę, drobne fale błyszcząły w słońcu.

Od czasu do czasu po wodzie przemykał kajak. Obok nas przejechał rowerzysta, a potem jeszcze kilku. Później minął nas biegacz w średnim wieku, z nadwagą. W następnej minucie przebiegły, sapiąc, dwie puciołowate dziewczyny. Założenie było takie, że my będziemy pilnowali Janet od tyłu, a ona będzie uważała na to, co się dzieje z przodu. Wciąż trzymała przy uchu słuchawkę i co jakiś czas zamieniała parę słów ze Spinellim. Wyglądała jak nowoczesna młoda profesjonalistka, przywiązana do biura niewidzialną nicią, nieświadoma otaczającego ją piękna, zbyt ambitna i „nakręcona”, żeby zatrzymać się i powąchać

różę.

Minęli nas kolejni biegacze, tym razem facet i dziewczyna. Mężczyzna miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, długie ciemne włosy i był w doskonałej formie. Dziewczyna, szczupła blondynka o zgrabnym ciele byłej cheerleaderki, biegła lekkim, sprężystym krokiem. Rozmawiali i śmiali się, biegnąc. Współczesna wersja gry wstępnej.

Spinelli odwrócił się do mnie.

— Widziałeś ten śliczny tyłeczek?

— Taak, widziałem. Ale nie sądzisz, że facet był trochę dla ciebie za wysoki?

Spinelli parsknął śmiechem.

— Wal się.

— Byłby w sam raz dla kolegi Pilchera - dodałem.

— Wal się - warknął Pilcher.

Najwyraźniej obaj cieszyli się z mojego towarzystwa.

Spojrzałem na Janet. Kiedy cheerleaderka ze swoim roslym partnerem znaleźli się na jej wysokości, minęło nas trzech biegaczy.

Popatrzyłem na nich. Z nieprzyjemnym dreszczem spostrzegłem, że ten w środku jest dość niski, bardzo dobrze zbudowany, barczysty i ma potężnie umięśnione ręce. Moją uwagę zwrócił długi kołtuniasty kucyk, odbijający się od jego pleców. Facet idealnie pasował do rysopisu Zabójcy z LA. Przyszło mi do głowy, że hipoteza imitatora, wysunięta przez Spinello, może być błędna. Bo jak dotąd nie widziałem żadnych dowodów, które by go eliminowały. Spinelli musiał zauważyć Pana Kucyka, bo szturchnął mnie w żebra. Kiedy biegacze zaczęli zbliżać się do Janet, Spinelli powiedział do telefonu:

- Trzech facetów za tobą. Obejrzyj się i uważaj

na tego w środku, z kucykiem.

Janet zdołała jakoś zerknąć mimochodem przez ramię, nie zmieniając pozycji. Prawa dłoń Pilchera niemal wysunęła się zza sutanny. Gliniarz był gotów wpakować Panu Kucykowi kulę w plecy, gdyby ten zrobił jeden niewłaściwy ruch.

Kiedy trzech mężczyzn mijalo Janet, wciąż patrzyłem na Pana Kucyka, podobnie jak idący obok mnie gliniarze. Właśnie dlatego nie zauważyliśmy rosnącego biegacza, który zostawił cheerleaderkę, zawrócił i ruszył sprintem w stronę Janet.

Zauważyłem to, ale za późno. Był już o kilka kroków od niej.

- Janet! - krzyknąłem bez zastanowienia. Odwróciła głowę, ale fatalny błąd już został popełniony i Janet została sama. Facet nadbiegł z przeciwka, więc Janet znalazła się między nim a nami. Szansa trafienia jej była większa niż szansa trafienia jego.

Janet miała około metra pięćdziesięciu pięciu wzrostu, więc mężczyzna wyrósł nad nią jak góra. Jego ręka cofnęła się i zobaczyłem błysk. To musiał być nóż. Janet upuściła telefon, stojąc tyłem do nas, i znieruchomiała. Była zbyt zszokowana, żeby uciekać albo jakoś zareagować.

W chwili gdy robił krok w jej stronę, a jego ręka wystrzeliła do przodu, usłyszałem stuknięcie. Mężczyzna przekręcił się i usłyszałem drugie stuknięcie. Byłem czterdzieści kroków od niej i rwałem ile sił. Zobaczyłem, że mężczyzna opuszcza rękę i spada na Janet niczym potężny obrońca taranujący chuderlawego rozgrywającego. Przeleciała półtora metra w powietrzu, wylądowała na tyłku i przekoziółkowała.

Mężczyzna zerknął w moją stronę i bez najmniejszego wahania skoczył w stronę czteropasmówki biegnącej nad deptakiem. Był niewiarygodnie szybki i robił uniki jak piłeczka pingpongowa. Pilcher przyklęknął na kolanie i strzelał, Spinellii strzelał na stojąco. Z tego, co widziałem, żaden nie trafił.

Ruszyłem za nim w pościg, choć wiedziałem, że to bezcelowe. Miał nogi jak tłoki. Przebiegł przez autostradę i wpadł w uliczki Cambridge, zanim dobiegłem do Janet. Pilcher wrzeszczał coś do mikrofonu. Dwóch oberwańców, którzy kręcili się przy następnym moście, ruszyło biegiem w naszą stronę. Pewnie byli gliniarzami w cywilu, którzy mieli stać wzdłuż trasy naszego marszu.

Janet leżała nieruchomo. Biegając, widziałem, jak patrzy na mnie bladoniebieskimi oczami. Uznałem to za dobry znak.

- Jesteś ranna?

Nie odpowiedziała. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że rozpaczliwie próbuje nabrać powietrza w płuca. Uklęknąłem obok i obejrzałem ją błyskawicznie. Żadnych ran, żadnej krwi. Zabójca nie zdołał pchnąć jej nożem. Widziałem w jej płaszczu otwór po kuli, ale nie wyglądała na zranioną. Wreszcie usiadła i zakłęta kilka razy. To mnie uspokoiło.

— Uciekł - oznajmiłem.

— Jak? - zapytała Janet. - Strzeliłam do niego. Dwa razy. To tłumaczyło obecność dziur w płaszczu. Najwyraźniej miała w kieszeni pistolet i strzeliła przez materiał. Ale widziałem, jak poruszał się ten człowiek, i byłem pewien, że Janet chybiła. Wiedziałem nawet dlaczego. Nadbiegł Spinellii.

- Policja jest już blisko niego - wysapał. - Wiemy, dokąd uciekł. Nie wymknie się z kordonu.

Skinąłem głową i spojrzałem na Janet.

— Nic ci nie jest?

— Nie. Jestem wściekła. Usłyszałam, jak krzyczysz, i... strzeliłam. - Pokręciła głową. - Jak mogłam chybić z odległości metra?

- Skąd wzięłaś broń? - zainteresował się Spinellii.

Pomogłem jej wstać. Janet strząsnęła liście i piach z pleców.

— Ciągłe dostaję pogróżki, więc mam specjalne pozwolenie - odparła. - Nawet latam z bronią.

— Co to za broń? - spytałem.

Janet wyciągnęła z kieszeni pistolet kalibru 22. Popatrzyła na niego i powiedziała:

- Tak, to zabawka, ale celnie z niego strzelam. I nie ma odrzutu.

To miało sens. Tłumaczyło też, dlaczego, nawet jeśli trafiła zabójcę - w co mocno wątpiłem - ten zdołał uciec. Nie widziałem jego twarzy, ale zobaczyłem sylwetkę. Miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ze sto piętnaście kilo doskonale wyćwiczonych mięśni. Taki facet mógł przyjąć kilka pocisków z pistoletu tego kalibru i pomylić je z ukąszeniami pszczoły, jeśli nie przebiły jakiegoś ważnego organu.

— Dobrze mu się przyjrzałaś? - zapytałem Janet.

— Tak... aż za bardzo. Długie, ciemne włosy, gęste wąsy, kozia bródka i zielone oczy. Dajcie mi dobrego rysownika, a zrobimy porządny rysopis.

Pilcher krzyczał do telefonu.

- ...Taak... nie, nic jej nie jest! - Słuchał przez chwilę, po czym rzekł: - Mówi, że wpakowała w niego dwa naboje... a-ha. A niech to szlag. Dobra, dajcie mi znać.

Skrzywił się.

— Co? - zapytała Janet.

— Właśnie zabił dwóch naszych pięć przecnic stąd. Zaszedł ich z tyłu, jednemu poderznął gardło, a drugiego zaszlachtował. To wredny skurwiel.

— Uciekł? - spytałem.

— Jeszcze nie. Ale wymknął się z kordonu. Zmobilizowaliśmy wszystkich, gliny zjeżdżają się z całego miasta. Dopadniemy gnoja.

Spinelli gapił się pod nogi.

- Zero szans - rzucił w powietrze.

ROZDZIAŁ 36

W siedzibie federalnych w Bostonie dobrych wiadomości było jak na lekarstwo.

Przestępca zabił detektywa sierżanta Phiilipa Jansona i Horace'a O'Donnella, po czym zniknął. Dokładne badania ekipy technicznej wykazały, że nosił buty numer dwanaście, a do porannego biegania wybrał model new balance 715. Nie znaleziono jednak śladów krwi, włosów ani płynów ustrojowych, co było bardzo niekorzystną okolicznością, gdyż ustalenie DNA pozwoliłoby obciążyć go dwoma morderstwami i jedną próbą.

W całym stanie ogłoszono obławę. W wielu miastach na granicy stanu ustawiono blokady. Na lotniska i dworce autobusowe rozesłano faksem kopie rysopisu twarzy ustalonego na podstawie zeznania Janet. Wydano rozkaz zatrzymania każdego, kto w najmniejszym chociaż stopniu przypominał mordercę. Sprawdzone, czy w szpitalach znajdujących się w promieniu trzystu kilometrów nie ma rosnącego białego mężczyzny z jedną lub dwiema ranami postrzałowymi.

Mimo to wydaje mi się, że wszyscy wiedzieliśmy, iż morderca jest zbyt sprytny, by którekolwiek z tych działań przyniosło skutek. Rzecz jasna, federalni i policja musieli wykonać program obowiązkowy, tak jak drużyna piłkarska przegrywająca osiem do jednego, gdy do końca meczu zostało pięć minut.

Poza tym zabójca dorzucił do listy ofiar dwóch gliniarzy, a niebieskie bractwo patrzy na to krzywym okiem.

Od fiaska nad rzeką upłynęły cztery godziny. Z Waszyngtonu przyleciał samolot z ładunkiem fedziów z nadętymi czerwonymi gębami, mających przesłuchiwać wszystkich, którzy wzięli udział w akcji. Trzeba wiedzieć, że federalni, kiedy już wkroczą do akcji, traktują ją jako rodzaj feudalnej gry, w której oni są właścicielami zamków i placów zabaw, a wszyscy inni mają uprawiać dla nich ziemniaki i całować ich po tyłkach. Czuli się skrzywdzeni, oszukani i ogólnie wkurzeni.

A ponieważ to biuro prasowe FBI miało obsługiwać konferencje dotyczące tej sprawy, wszyscy mieli poczucie, że zacznie się zabawa w ratowanie własnego tyłka.

Potencjalnie najbardziej kłopotliwe dla bostońskiej policji było to, że miała na celowniku najgorszego skurczybyka w całym kraju. Podśluchałem w korytarzu niektóre rozmowy gliniarzy. Ich linia wciskania kitu polegała na tym, że stracili dwóch dzielnych ludzi w czasie ścigania mordercy, którym po pierwsze w ogóle się nie zajmowali - to ci ze stolicy podrzucili im go na próg. Krótko mówiąc, złożyli już datek na cele dobroczynne i niech wszyscy się od nich odczepią. Ale to był Boston, i na wypadek gdyby ten kit nie został kupiony, z ratusza zjawiono się paru gogusiów, których zadaniem było dyskretne przypomnienie FBI, że dwóch bardzo wpływowych senatorów z Massachusetts zasiada w komisjach sprawiedliwości i funduszy publicznych, więc jeśli ci z FBI chcą, żeby przeszedł ich następny budżet albo żeby następna spieprzona sprawa spotkała się z przychylnym odzewem, to niech przezornie zamiotą tę sprawę pod

dywan. I byłoby zgodne z duchem dobrej partnerskiej współpracy, żeby w swoich komunikatach umieścili kilka pochwalnych słów o bostońskiej policji. Naprawdę trudno wyjść z podziwu, kiedy się na to patrzy.

Spinelli również dzielnie się bronił, tłumacząc, że po tym, jak się z nim skontaktowałem, podjął wszystkie należyte kroki i środki bezpieczeństwa, żeby złapać mordercę, między innymi

przekazał sprawę w ręce miejscowej policji. Jego wersja miała tę wartość, że była prawdziwa.

A Janet? Każda opowieść, zwłaszcza tragiczna, potrzebuje seksownej, pięknej heroiny, a ona była stworzona do tej roli: *femme fatale*, dziewczyna z wymiaru sprawiedliwości, która dokopuje przestępcom, siostra zamordowanej, ryzykująca życie, by położyć kres publicznemu zagrożeniu. A później... No cóż, później miała odwagę, by stanąć w cieniu śliniącego się potwora i nafaszerować ołowiem jego cuchnące trzewia. Wszystko zostanie opisane w książkach i przedstawione w filmie.

Tak więc wszyscy mieli dobrą linię obrony, alibi lub powód do chwały.

Hm, nie wszyscy.

Każda związana z rządem opowieść wymaga przysłowiowego kozła ofiarnego, bo kiedy już wszyscy usnują swoje części historii, czarne strzały muszą skierować się na tego, który albo nie miał urody, albo instytucji, która stanęła za jego tyłkiem. Zacząłem to sobie uzmysławiać, gdy do sali, w której mnie przesłuchiowano, wślizgiwało się coraz więcej federalniaków ze skwaszonymi minami. Kiedy zebrało się ich dwudziestu, sala zamieniła się w pomieszczenie z miejscami stojącymi. Przy drzwiach postawiono gościa do wydawania biletów i przepustek do toalety. George Meany, nawiasem mówiąc, zajął centralną pozycję i od czasu do czasu, kiedy zdawało mu się, że nie patrzę, uśmiechał się krzywo.

Ten, który mnie przesłuchiwał, agent specjalny Arnold, mówił właśnie:

- ...przez was wszyscy zerwali strzał, Drummond, i dlatego straciliśmy jedyną szansę ujęcia zabójcy. To była amatorszczyzna. Bóg jeden wie, jak bardzo się przez was cofnęliśmy w tej sprawie... - Bła,

bla, bla.

Ten wykład nie brzmiał lepiej za trzecim razem, ale ja słuchałem uważnie, zwiesiwszy ze wstydem głowę. Poza tym chyba bezwiednie stukałem dłońmi w stół w rytm *In-A-Gadda-Da-Vida* i znosiłem to całkiem nieźle. Zauważyłem to, gdy

agent Arnold nagle wyciągnął ręce i przycisnął moje dłonie do blatu.

— Czy mam ci zakuć tyłek w dyby? - wycedził.

— Twoja żona to lubi?

— Zostaw moją żonę w spokoju...

— Podobało jej się, kiedy ją przelatywałem - powiedziałem z uśmiechem. Arnold się nie uśmiechnął.

Przesłuchujący nigdy nie powinni tracić panowania nad sytuacją, a on występował przed dużą publicznością, więc po kilku ciężkich sapnięciach wykrztusił:

- Majorze, proszę jeszcze raz wyjaśnić... W jaki sposób doszliście do wniosku, że morderca wyjechał z Waszyngtonu i zjawił się tutaj?

- Kiedy zobaczyłem nazwiska dwóch ofiar w skrzynce Lisy Morrow, wniosek nasunął mi się sam – odpowiedziałem po raz czwarty. - Lisa, Julia Cuthburt i Annę Carrol przyjaźniły się albo znały.

- To były inicjały J. i A. tak? Tak pan sądził?

— Nie. Stwierdziłem to jako fakt. Później próbowałem skontaktować się z panną Morrow, dowiedziałem się o pożarze i dodałem dwa do dwóch.

— O rany... Nie chciałbym się powtarzać, ale to spekulacje. Musi być coś, o czym nam pan nie mówi. - Odchylił się na krześle i wygładził klapy garnituru. - Co to takiego?

— Miałem przecucie.

- Zabójca do pana zadzwonił? Przysłał list? Nawiązał kontakt?

Rzecz jasna FBI, pełne prawników i księgowych, mające najlepsze laboratoria naukowe, uważa samo pojęcie przecucia za głupotę. Usłyszałem z widowni kilka pomruków. A także drwiące śmiechy. Zaczynałem się naprawdę wkurzać.

Arnold się pochylił.

- Tego pieprzenia o Sherlocku Holmesie nikt nie kupuje, Drummond. To my jesteśmy ci dobrzy. Więc mów.

- No dobra... ma pan rację.

- Tak?

— Nie dam rady was okpić, prawda?

— Cieszę się, że wraca wam rozum.

— Prawda jest taka, że... - Arnold nachylił się w moją stronę. - Kiedy byłem z twoją żoną, powiedziała, że... masz malutkiego fiuta.

Arnold ryknął i trzasnął rękami w stół. Wyraźnie usłyszałem chichoty z trzeciej ławki. A wiercie mi, nie jest łatwo grać przed czyjąś publicznością.

— Jesteście wściekli - powiedziałem. - Nie zadzwoniłem do was. Przykro mi, straciłem głowę.

— Czemu do nas nie zadzwoniliście?

— Wojskowi prawnicy dzwonią do CID.

— Gówna prawda. Agent specjalny Meany powiedział, że dał wam swoją wizytówkę. Gdybyście do nas zadzwonili, nie doszłoby do tej katastrofy. Pomyśl o tym, mądralo.

Pomyślałem. Śmierć dwóch bostońskich policjantów i ucieczka zbrodniarza spadają na moje barki, bo zadzwoniłem do niewłaściwego gliniarza? Czyja muszę wysłuchiwać tych bzdur?

Dwie godziny spędzone z fedziami przekonały mnie, że gdybym zadzwonił do nich zamiast do Spinello, po Janet Morrow zostałby kredowy obrys na deptaku nad rzeką Charles. Nie uwierzyliby w ani jedno słowo. Mimo moich argumentów i potwierdzenia rysopisu przez czterech świadków, wciąż twierdzili, że ten, który próbował zamordować Janet, nie był Zabójcą z LA.

Bez względu na to, w jaki sposób wydedukowałem, że morderca zjawi się w Bostonie, byli przekonani, że doszedłem do słusznego wniosku na podstawie idiotycznych założeń. Idąc tym tropem, należało stwierdzić, że teoria Spinello i moja, według której morderca jest imitatorem, była sprzeczna z

publicznymi enuncjacjami FBI. Było to bardzo niewygodne, rzecz jasna, a nikt w tej sali, a zwłaszcza pan Meany, nie chciał dostać jajkiem w twarz za wskazanie niewłaściwego człowieka. Poza tym w tak wielkiej biurokratycznej maszynie jak FBI wszystko musi być wypróbowane i przetestowane, zanim ktokolwiek dowie się, co myślą.

Nagle do sali wsunął się kolejny szary garnitur, podszedł do prowadzącego przesłuchanie, szepnął mu coś na ucho i cofnął się. Wielu z obecnych miało słuchawki w uszach. Nagle podniosło się mnóstwo rąk i zaczęło grzebać przy słuchawkach. Wyglądało to jak przedstawienie z dwudziestoma kłownami.

Agent specjalny Arnold wstał i wygładził garnitur.

- To przesłuchanie jest zakończone - poinformował mnie. - Zamierzacie wrócić do Waszyngtonu, tak?

Skinąłem głową.

- Wiemy, jak się z wami skontaktować. Będziemy kontynuowali w późniejszym terminie.

Po tej złowieszczej nucie postaci zaczęły przesuwać się w stronę drzwi. Co jest grane...? W jednej chwili jestem Człowiekiem Tygodnia, koniki w korytarzu zarabiają na mnie fortuny, i nagle zostaję w pustym pomieszczeniu. Nie pozostało mi nic innego, jak wstać i wyjść.

Janet i Danny Spinelli czekali w korytarzu, popijając kawę z papierowych kubków. Wyglądali na lekko podenerwowanych.

— Siedziałeś tam prawie dwie godziny - powiedziała Janet. - Coś jest nie tak?

— Nie tak? Ależ skąd, po prostu chcieli wyrazić swój podziw, że tak błyskotliwie zostało to wszystko pomyślane i wykonane. I że tak fantastycznie dla wszystkich się skończyło.

Janet potarła skronie i jęknęła:

— Przepraszam. Wiem, że miałaś rację. - Potem dodała: - A oni... znaleźli kolejne ciało.

— Czyje? Gdzie?

— Dziesięć przecznic od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki funkcjonariuszy. Mężczyzna nazywa

się Harold Boticher. Miał podejrzięte gardło, ukradziono mu portfel i kluczyki od samochodu. Ciało leżało w pojemniku na všmieci, tak jak zwłoki Annę Carrol.

Wniosek był oczywisty.

— Znają markę wozu?

— Markę, model i numery. - Stało się jasne, dlaczego sala opustoszała.

-Pieprzona strata czasu - burknął Spinelli. - On ma już inny samochód.

Oczywiście miał rację. Była w tym jakaś przewrotność, że Spinelli i ja zaczynaliśmy namierzać tego faceta. FBI wciąż tańczyło tak, jak im zagrał.

Jak na zawołanie, zza węgła wyszedł Dudek Akuratny w otoczeniu trzech pajaców. Agent specjalny Meany, bo o nim mowa, machał rękami i wywarkiwał polecenia, zaś agenci notowali zawzięcie i kiwali posłusznie głowami. To było takie oczywiste, że ten palant próbuje zrobić wrażenie na swojej byłej damie serca, pokazać, jakim to zabiegany, ogólnie podziwianym i zdecydowanym jest facetem.

Nagle spojrzął w naszą stronę, jakby właśnie nas zobaczył, i ruchem ręki odprawił swoich trzech paziów. Podszedł, kręcąc głową, cały ociekający troską.

- Kochanie, to było strasznie głupie z twojej strony. Masz szczęście, że żyjesz.

Kochanie? Czyżbym o czymś nie wiedział?

- Wtedy wyglądało to inaczej - odparła Janet. - Mieliśmy go, George. Strzeliłam do niego dwa razy.

Jego ręce znów wśliznęły się na jej ramiona.

- Rozumiem. I podziwiam twoją odwagę. Naprawdę cię nie obwiniam... - Zerknął na mnie. - Obwiniam tych idiotów, którzy cię narażali. Działałaś pod wpływem żalu... - Wciąż na mnie patrząc, zapytał: - Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Potrzebowałaś rady kogoś, komu mogłaś zaufać. Nie rób niczego bez konsultacji ze mną. To rozkaz, kochanie.

Pierdol się, George.

— Nie było czasu - powiedziała Janet. - Mieliśmy minimalną szansę i nie chcieliśmy zgubić tego drania.

— Rozumiem. - Spojrzawszy jej w oczy,

Meany dodał: - Nie chcę cię stracić. Nie po raz drugi... Teraz, kiedy rozwiązaliśmy nasz mały problem. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Błe. Po ulicach grasuje morderczy maniak, a ja patrzę, jak ten dupek odgrywa scenę z *Najlepszych dni naszego życia*. Proszę zmienić kanał.

Ale wydawało się, że Janet kupuje ten kit.

- Ze mną wszystko w porządku, George. Jakie są szanse, że go złapiecie?

- Trudno powiedzieć. Ogłosiłem alarm w kilku stanach. Będę kierował poszukiwaniami z bostońskiego biura. Poza tym rozesłałem rysopis, który podałaś. To broń, której przedtem nie miałem. - Zrobił krótką pauzę, jego twarz zmieniła się w jedną wielką słodycz. - Wiesz, nie mogę uwierzyć, że miałaś dość opanowania i przytomności, żeby tak dokładnie mu się przyjrzeć. Jesteś naprawdę niesamowita.

O Jezu. Miałem utarczki z byłymi, i rzeczywiście trzeba trochę popracować, jeśli chcesz odzyskać ich względy i wstęp do majtek. Ale jest pewna granica, za którą narażasz na zniesławienie całą swoją pleć. Meany pracował nad tym zbyt intensywnie. A ja zastanawiałem się dlaczego.

Jak gdyby tego było mało, George zrobił poważną minę i dodał:

- Kochanie, nie chcę cię martwić, ale istnieje możliwość, że on spróbuje zrobić to jeszcze raz. Uważamy, że uciekł z miasta, ale nigdy nie ma pewności. Jesteś jedynym żywym świadkiem, który może go zidentyfikować w sądzie. - Zrobił pauzę, jakby to, co miał powiedzieć, sprawiało mu ogromny ból. - Znasz standardową procedurę w takich wypadkach.

Janet już kręciła głową.

- Nie zgadzam się na areszt ochronny, George.

- Ale...

— Nawet o tym nie myśl. Patrzył na nią przez chwilę.

— Och, daj spokój. Wszystkim zainteresowanym byłoby łatwiej.

Janet spojrzała mu w oczy.

— Zrób, co mówi - powiedziałem, choć nie

cierpię zgadzać się z George'em. - On ma rację.

— Wszyscy wiemy, że nie można mnie zmusić do poddania się temu programowi - oznajmiła Janet nam obu. - Ten bydlak nie wpędzi mnie do aresztu.

Otworzyłem usta, ale Janet nie dała mi szansy.

- Nie. Sprawa zamknięta.

Spojrzałem na nią, próbując odgadnąć, co dzieje się w jej głowie. Spędzenie miesiąca w hotelowym pokoju i granie w karty z bandą federalniaków jest beznadziejne, ale śmierć jest jeszcze gorsza. Chyba że... Chyba że Janet chciała, by morderca znów ją zaatakował. Żeby go do siebie przyciągnąć, musiała pozostać w zasięgu, wystawiona na ciosy.

Meany kręcił głową.

— Wiedziałem, że tak powiesz.

— Więc miałeś rację.

— Ale będziesz pilnowana i chroniona, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Odmowa nie wchodzi w grę. - Janet nie powiedziała nie, ale też nie wyraziła zgody.

— Pamiętasz Boba Andersona z mojego dawnego biura? - ciągnął Meany. - Zostanie z tobą, dopóki nie będę mógł oddelegować więcej agentów. Ale w tej chwili, przy tak szeroko zakrojonych poszukiwaniach, po prostu nie mogę sobie na to pozwolić.

— Dziękuję, ale niczego mi nie trzeba, George - powiedziała Janet. - Sean i Danny też tutaj są.

Meany uśmiechnął się wyrozumiale.

- Tak. Poproszę Boba, żeby poprosił o wsparcie bostońską policję.

O rany, George zgarniał masę punktów. Nagle odezwał się jego pager. George oderwał go od paska, spojrzał na ekran, zmarszczył czoło i powiedział:

- Mamy nagły alarm, kochanie. Nowojorscy policjanci twierdzą, że zlokalizowali skradziony samochód na obwodnicy. Rozpoczynają pościg. - Z tymi słowami popędził.

Coś w związku z George'em naprawdę mnie martwiło. Wiele rzeczy w związku z nim mnie

martwiło, ale coś, czego nie potrafiłem zidentyfikować, martwiło mnie naprawdę. Nie wątpiłem, że jest bardzo bystry, a wszystkie te nagrody i awanse świadczyły o jakimś poziomie profesjonalizmu, prawda? Ale dlaczego Meany i jego ludzie nic umieli docenić pierwszorzęd-

nej roboty detektywistycznej, którą wykonaliśmy we dwóch ze Spinellim? Odsuńmy na bok fałszywą skromność. Może tak bardzo świrował na moim punkcie, że nie mógł przyznać mi racji.

A może odpowiedź była prostsza. FBI to wielka machina biurokratyczna - jest to zarówno siła, jak słabość Biura - i gdy wielcy bonzowie publicznie stwierdzają, że zabójcą jest ten sam facet z kucykiem, który terroryzował LA, ambitne typy takie jak Meany wiedzą, że nie jest dobre dla ich kariery sprzeciwiać się tym na górze. Czekają, aż tamci zmienią zdanie, i dopiero wtedy zmieniają swoje.

Wyszliśmy razem z budynku i patrzcie, patrzcie! Przy wyjściu czekał na nas młody, wyglądający na fajtlapę chłopak w niedopasowanym szarym garniturze.

Chyba rozpoznał Janet, bo podszedł do niej z szerokim uśmiechem.

- Nie wiem, czy mnie pani pamięta... Agent specjalny Bob Anderson. Pracowałem przy sprawie Sheltona, którą prowadziła pani kilka lat temu.

Janet też się uśmiechnęła.

— Oczywiście. Powołałam pana na świadka, prawda?

— Tak, zgadza się. Naprawdę mi przykro.

— Niech się pan nie martwi.

— Ten obrońca...

- Pamiętam - powiedziała Janet. - To się zdarza.

Bob spuścił wzrok na swoje stopy.

— Zasypał mnie pytaniami... i raz po raz błędnie cytował to, co powiedziałem...

— Zapomnij o tym, Bob. - Janet zerknęła na mnie i wyjaśniła: - Czasem zdarza się, że proces zostaje unieważniony.

— Pewnie tak - mruknął Bob.

Nie można było wykluczyć, że Meany wybrał swoich najlepszych agentów do ścigania zabójcy, bo uznał, że zapewni jej najlepszą ochronę, eliminując zagrożenie. Ale mniej wielkoduszna interpretacja byłaby taka, że Meany chciał dopaść najgorszego drania w kraju, zdobyć sławę i wspiać się na

kolejny szczebel kariery. A jeśli to oznaczało, że mogłaby zginąć była ukochana, bo do jej ochrony przydzielono najgorszego łamagę w bostońskim biurze FBI, to cóż, sukces wymaga czasem poświęceń. Zgadza się?

- Mówcie mi Bob - zwrócił się chłopak do Spinello i do mnie. - Wolę, żeby było na luzie. Ale niech to będzie jasne, ja tu dowodzę. Róbcie, co mówię, a wszystko będzie dobrze.

Spinelli przewrócił oczami.

Janet skierowała Boba do domu cioci Ethel. Ruch na ulicach robił się coraz większy, a Bob był przesadnie ostrożnym kierowcą. Nie jest to zbyt korzystne, kiedy pasażerką jest potencjalny cel ataku. Nie wspomnę już o tym, że jazda przeciągnęła się do prawie czterdziestu minut. Kiedy wysiadaliśmy z forda crown victoria, rozejrzałem się, bo coś mnie niepokoiło. Co? Janet i Spinelli już stali na schodach i otwierali drzwi. Bob trzymał rękę w kieszeni, a ja nie mogłem pozbyć się tego uczucia.

— Co się stało, Sean? - spytała Janet.

— Nic... - Ale coś mi nie grało.

Weszliśmy do domu cioci Ethel. Elizabeth, Carol i ciocia otoczyły Janet i, jak należało się spodziewać, było mnóstwo całowania i obściskiwania - to kolejna rzecz z kategorii „Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus”. Później wciągnęły Janet do kuchni i kazały jej opowiadać, jak było. Nie chciałem podsłuchiwać.

Wycofaliśmy się ze Spinellim i Bobem do saloniku, a ja próbowałem ustalić, co mnie gryzie. Poza tym zamierzałem pogadać z Janet o firmie Culper, Hutch i Westin, ale z dala od Boba.

Nawiasem mówiąc, Bob natychmiast stanął przy oknie na samym środku, z rękami na biodrach i

wysuniętą szczęką. Pewnie po to, żeby morderca zobaczył drania pozującego w oknie i wsiadł do następnego samolotu do Brazylii. Miałem nadzieję, że Bob ma na sobie kamizelkę kuloodporną.

- Hej, Danny, widziałeś już kolekcję porcelany cici Ethel? - spytałem. - Jesteś wielbicielem porcelany, więc na pewno ci się spodoba.

— Co...? Gównu mnie obchodzi porcelana tej starej zdziury... Szarpnąłem go w moją stronę.

— Musisz zobaczyć jednorożca z fiutem na czole. Pretekst był dość subtelny, lecz Spinelli załapał i poszedł za mną. Kiedy znaleźliśmy się wystarczająco daleko od Boba, powiedziałem:

— Zajmij go czymś. Muszę się wymknąć z Janet. Spinelli spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Dlaczego?

— Później ci powiem.

— Nie. Gadaj teraz.

Zauważyłem, że Bob zerka przez ramię.

— Nie wcinaj mi się. Spinelli podrapał się po brodzie.

— Ty coś wiesz, czuję to. I nie chcesz się podzielić.

— Musisz mi pomóc, Spinelli...

- Jesteś mi coś winien. Obiecałeś, że to ja dopadnę tego drania. Chcę wiedzieć o wszystkim.

Co miałem robić?

- Wszystko ci powiem - obiecałem, ale palce miałem skrzyżowane.

Spinelli patrzył na mnie przez chwilę, a potem podszedł do Boba.

- A więc od kiedy jesteś w agencji, młody?

Usatysfakcjonowany myślą, że Bob i Spinelli pogawędzą sobie jak dwaj gliniarze, wymknąłem się do kuchni. Powiedziałem Elizabeth i Carol, żeby nie przestawały rozmawiać, a Janet pociągnąłem w stronę tylnych drzwi.

Znaleźliśmy się na małym ganku na tyłach domu.

- Co jest grane? - spytała Janet.

— Trzeba porozmawiać. - Rozejrzałem się uważnie i zobaczyłem samochody zaparkowane na

ulicy. Nagle uprzytomniłem sobie, co mnie nurtowało.

- Zabójca ukradł samochód, prawda...?

— Na to wygląda.

- Jak dostał się do Bostonu?

— Samolotem, pociągiem, samochodem albo przyplynał, dojechał autostopem, zleciał na spadochronie. Czy o czymś nie wiem? - Pokręciłem głową. - W tej chwili na każdym dworcu w mieście pokazują jego rysopis.

— I tak powinno być.

Lecz Janet była bystra i szybko wyciągała wnioski.

— Sugerujesz, że przyjechał wynajętym samochodem?

— Mógł zaparkować wóz niedaleko, żeby wykorzystać go do ucieczki.

— Ale po tym, co się stało nad rzeką, nie mógł wrócić - dokończyła moją myśl Janet.

Wyszliśmy na ulicę i zaczęliśmy oglądać tablice rejestracyjne. Wynajęte wozy bywają dość nowe, dobrze utrzymane, czyste i błyszczące. Poza tym, jeśli zabójca przyjechał z Waszyngtonu, samochód powinien mieć numery z innego stanu.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, a Janet została na tej samej. Przeszliśmy jedną przecnicę, a później skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy poprzeczną ulicą. Sprawdziliśmy następną przecnicę i jeszcze jedną. To była dzielnica mieszkalna, popołudnie, więc samochodów nie było zbyt wiele. Janet przypomniała mi też, że w Bostonie notuje się bardzo dużo kradzieży aut, więc sprytniejsi mieszkańcy kupują niedrogie, brzydko wyglądające pojazdy, które łatwiej ubezpieczyć, a jednocześnie są mniej atrakcyjne dla złodziei. I rzeczywiście, większość samochodów, które widziałem, to były zdezelowane graty.

Szliśmy szybko. Wybraliśmy kilka podejrzanych wozów, ale wszystkie miały miejscowe numery rejestracyjne. Za trzecią przecnicą zauważyłem całkiem nowego, zielonego fordą taurusa

z numerami z Pensylwanii. Rejestracja z Wirginii lub dystryktu stołecznego bardziej by pasowała, lecz ten samochód stał nie dalej niż pięć metrów od skrzyżowania, czyli niezgodnie z przepisami. Było to spiytne posunięcie, bo gdyby zabójca chciał uciec tym wozem, nikt nie mógł zaparkować przed nim i go zablokować. Ale to jest Ameryka i za każdy przywilej trzeba zapłacić, więc na szybko tkwił mandat za parkowanie. Wyciągnąłem go i sprawdziłem godzinę. Został wystawiony przed pięcioma godzinami.

Odpowiedni samochód, w odpowiednim miejscu, a do tego stał tam tyle czasu, ile powinien. Zamachałem do Janet. Przybiegła. Zajrzeliśmy do środka. Nie było tam niczego oprócz cienkiej walizeczki leżącej na podłodze z tyłu.

Słusznym i właściwym posunięciem w tej sytuacji było wykonanie telefonu na komendę bostońskiej policji, która wysłałaby na miejsce radiowóz. Musielibyśmy poczekać na gliniarzy, ci zaś musieliby zadzwonić do urzędu prokuratora, trzeba byłoby wydać prawne uzasadnienie, jakiś prawnik musiałby spotkać się z sędzią i przekonać go do wydania nakazu rewizji i tak dalej, i tak dalej.

Tak czy owak, dwudziestkadwójka w kieszeni Janet miała widocznie własny pomysł na rozwiązanie tego problemu. To doprawdy zadziwiające, że pistolet wyskoczył z jej kieszeni i trzasnął rączką w szybę od strony kierowcy, która pękła do środka. Co mogłem zrobić?

Janet była zaszokowana.

- Sean, do cholery, jestem prokuratorem, a ty właśnie złamałeś prawo. - Mówiąc to, pospiesznie otwierała drzwi i gramoliła się na tylne siedzenie.

Wsiadłem za nią. Janet już otworzyła aktówkę i ostrożnie wyjmowała dwa szare segregatory. Trzymała je przez rękawy koszuli, żeby nie zostawić odcisków palców. Położyła na siedzeniu pierwszy segregator, z którego wysypała się zawartość.

— To ja - powiedziała, wskazując dużą czarno-białą fotografię.

— Świetne zdjęcie - zauważyłem. Trzy pozostałe też były dobre: ujęcia zostały zrobione pod różnymi kątami i pokazywały Janet na różnym tle i w różnym oświetleniu, w różnych ubraniach. Najwyraźniej była obserwowana co najmniej przez

kilka dni.

- Pamiętasz, kiedy miałaś na sobie te rzeczy?

Przyjrzała się zdjęciom i wskazała jedno.

- Nie do wiary. Miałam na sobie ten kostium, zanim pojechałam do Waszyngtonu.

Tego samego dnia, w którym zginęła Lisa.

Zastanowiliśmy się nad tym przez chwilę.

Pod zdjęciami znajdowały się trzy lub cztery wydrukowane arkusze. Rozłożyliśmy je, używając łożki i rękawów. Były starannie zapisane i wydrukowane, bez błędów ortograficznych, z poprawną interpunkcją. Zabójca musiał być jednym z tych dupków, którzy zawsze pisali wypracowania o trzy strony dłuższe, niż prosiła nauczycielka. Nigdy im nie ufałem: przyszli seryjni zabójcy, co do jednego.

Dwie strony zapisane były starannie uporządkowanymi informacjami o Janet: był tam adres, numer telefonu, rodzaj samochodu i numery rejestracyjne, członkowie rodziny, dane biograficzne etc. Prawie wszystkie informacje można było znaleźć w publicznie dostępnych źródłach, lecz ich liczba świadczyła o tym, że ktoś wiedział, gdzie szukać.

Ale następna strona nie wyglądała na taką, która pochodzi z ogólnie dostępnych źródeł.

Wskazałem listę nazwisk.

— Co to za ludzie?

— Bliscy przyjaciele - odparła Janet z przerażeniem w oczach. Pokazała kilka pozycji na dole strony. - Właściciel pralni... sali gimnastycznej... mój lekarz... właściciel delikatesów, w których zwykle kupuję lunch.

Janet odsunęła arkusze i wysypała na siedzenie zawartość drugiego segregatora.

Pierwszą rzeczą, która wypadła, było zdjęcie wyjątkowo przystojnego mężczyzny w szarym

garniturze od Braci Brooks, wsiadającego do zielonego jaguara.

ROZDZIAŁ 37

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, unikając kontaktu wzrokowego. Odkrycie mojego nazwiska na liście celów tego drania było dla mnie pewnym wstrząsem. Poza tym widziałem go w akcji i choć chciałbym powiedzieć, że przyjąłem tę nowinę do wiadomości z typową dla mnie nonszalancją, poczułem w piersi ścisnięcie strachu.

Lecz abstrahując od tego, nagle wszystko zaczęło układać się w całość. Oboje musieliśmy się nad tym przez chwilę zastanowić.

Janet obejrzała jeszcze dwa zdjęcia, wielkodusznie dając mi czas na przemyślenie zmiany wysokości składki ubezpieczenia na życie. Miałem na sobie ten sam garnitur, więc zdjęcia zostały zrobione przypuszczalnie tego samego dnia. Dane osobowe zajmowały zaledwie pół strony: adres, numer telefonu, typ samochodu, numery rejestracyjne, adres pracodawcy i tym podobne. Informacje o mnie były wyraźnie uboższe niż te, który dotyczyły Janet. Nie było nic o rodzinie, nawykach czy regularnie odwiedzanych miejscach.

— Miałem na sobie ten garnitur dwa dni temu - powiedziałem po odzyskaniu emocjonalnej równowagi.

— To projekt w fazie początkowej. On dopiero zaczął tworzyć twój profil.

— Tyle wiem. Ale dlaczego znalazłem się na jego liście?

— Zanim do tego dojdziemy, powiem ci, że jedno nie ulega wątpliwości: to nie jest Zabójca z LA. Ani maniak seksualny. W każdym razie nie tylko maniak.

— Zgoda. Ale dlaczego ja?

Janet zrozumiała, że moje pytanie nie jest retoryczne, że trafiliśmy na coś bardzo ważnego. Gdybyśmy tylko wiedzieli, co to znaczy. Janet oparła się na siedzeniu.

— Sean, ja zarabiam na życie, posyłając morderców do pudła. Są rozmaici i kierują nimi przeróżne motywy. Czasem sami nie wiedzą dlaczego zabijają. Jakiś głos każe im to robić, wymaga tego rytuał przyjęcia do gangu albo wypełniają rozkaz mafii. A czasem reagują w ten sposób na nudę lub gniew.

— Żaden z tych motywów nie pasuje do tego przypadku. Specjalizujesz się w ściganiu morderców, więc jaki morderca sporządza listy, bazy danych, metodycznie organizuje zabójstwa i stara się, żeby komuś innemu przypisano jego robotę?

— Zauważyłam jego... unikalność. - Właściwie byłam pewien, że zauważyła o wiele więcej i przypuszczalnie wiedziała dobrze, do czego zmierzam. Ale jako dobry prokurator chciała to usłyszeć z moich ust. - Myślisz, że wiesz, jakimi motywami kieruje się morderca?

— Myślę, że tak.

Janet zaczęła wkładać materiały do teczki.

— Co powinniśmy z tym zrobić?

— Dobre pytanie. - Jako prawnicy oboje wiedzieliśmy, że znaleźliśmy się w śliskiej sytuacji. No dobrze, to ja stworzyłem problem, ale Janet wielkodusznie o tym nie wspomniała. Nawiasem mówiąc, nie znoszę kobiet, które powtarzają ciągle: „A nie mówiłam”. Janet była bardzo miła. Uśmiechnęliśmy się.

Lecz dowody zdobyte w sposób nielegalny - na przykład przez włamanie do samochodu bez nakazu - są w sądzie niedopuszczalne. Trudno nie dostrzec w tym ironii, ale mogliśmy zostać oskarżeni o włamanie i

zniszczenie czyjejś własności, a sąd miałby prawo uznać kluczowy dowód za zbyt zanieczyszczony, by można go było wykorzystać. No cóż, na to nie chcieliśmy pozwolić.

-Wsuń to pod przedni fotel - powiedziałem. –
Zgłosimy włamanie policji i niech gliniarze ściągają
samochód na swój parking. Przynajmniej morderca nie
odzyska walizki. Jeśli kiedyś uda się go postawić przed
sądem, wymyślimy jakiś sprytny sposób, żeby ją
odkryto i wykorzystano jako dowód. - Oczywiście, jeśli
przeżyjemy, zapomniałem dodać.

Janet skinęła głową.

— Zadzwoń z komórki na policję. Nie podam
im nazwiska, powiem tylko, że widziałam, jak ktoś
wybija szybę w samochodzie i opiszę miejsce.

— Słusznie.

Zadzwoń i ruszyliśmy z powrotem w stronę
domu cici Ethel.

— Słuchaj - zacząłem. - Tam nad rzeką
zauważyłem kilka rzeczy...

— Słucham.

— Zanim wstąpiłem do JAG, zarabiałem na
życie, uczestnicząc w operacjach specjalnych. To
pozwała zauważyć talent i określić rodzaj człowieka.

— Do jakiego rodzaju on należy?

Nie byłem jeszcze gotów odpowiedzieć na to
pytanie, więc odparłem:

— Przypomnij sobie, co wydarzyło się tamtego
ranka. Znalazł sobie partnerkę do biegania, bardzo
atrakcyjną młodą damę, która miała ściągnąć na siebie
uwagę i sprawić, żeby on sam nie rzucał się w oczy.

— Już o tym pomyślałam.

— Pamiętasz ten moment, kiedy obok ciebie
przebiegli?

— Tak... I co?

— Rekonesans. Zabójca oceniał cel, dokonywał
rozpoznania, kombinował, w którym miejscu cię
podejść i którądy uciec. To takie ćwiczenie umysłowe.

— Okay.

— Wybrał taki moment, że znalazłaś się między nami a nim. Zauważył nas wcześniej i wykorzystał twoje ciało jako parawan, żebyśmy mało widzieli i nie mogli wystąpić jako naoczni świadkowie.

Janet się zastanowiła.

— Myślisz, że tak daleko posunął się w swoich kalkulacjach?

— To jeszcze nie wszystko. Co robił, kiedy do niego strzelałaś?

— Taak... - odparła po chwili Janet. - Wykonał jakiś dziwny obrotowy ruch.

— Zbliżył się do ciebie?

— Tak. A potem zaczął się obracać.

— Bo zdradziłaś, że masz broń. To mogło być tylko spojrzenie, ale założyłam się, że przycisnęłaś lufę do materiału, a zabójca to zauważył. Na niektórych kursach samoobrony uczy się, że w sytuacji bezpośredniego kontaktu trzeba zbliżyć się do strzelającego, a następnie wykonać szybki ruch stopami i dolną częścią tułowia, tak aby strzelec nie mógł dobrze wymierzyć.

— Myślisz, że chybiłam?

— Tak. - Wyglądała na rozczarowaną. - Przypomnij sobie, jak zrezygnował z zabicia cię, zmusił do pospiesznego strzału i powalił cię na ziemię. A później skakał to w jedną, to w drugą stronę jak pęknięta piłeczka pingpongowa. To jeszcze jedna technika, której uczy się na specjalistycznych kursach.

Janet pomyślała chwilę.

— Więc uważasz, że to były żołnierze?

— Możliwe. To nie są umiejętności, których nabywa się na ulicy. Wszystko robił odruchowo. Nie wahał się, nie zastanawiał, tylko zareagował, płynnie i automatycznie. Rozumiesz, o czym mówię? Taka koordynacja mięśni i nerwów jest wyjątkowo rzadką cechą. To naturalny talent. Poza tym ten człowiek nieustannie trenuje, żeby nie stracić tych umiejętności.

Po chwili Janet powiedziała:

— Sean, on nie jest maszyną, tylko

człowiekiem, więc może się pomylić. Wpadnie w naszą pułapkę.

— To się więcej nie powtórzy.

— Więc on wróci? - spytała.

— Żeby być tak dobrym, trzeba włożyć w tę robotę bardzo dużo ego. Oni nie uważają porażek za klęski, tylko wskazówki, dzięki którym następnym razem spiszą się lepiej.

Janet uśmiechnęła się lekko, potwierdzając moje wcześniejsze przypuszczenia. Bez wątpienia chciała odbyć jeszcze jedną rundkę z tym facetem. Po drugie, potwierdziła, że jest uważną słuchaczką i że zrozumiała, iż oboje powinniśmy wsiąść do najbliższego samolotu do Mongolii.

A ja wiedziałem, że nie da się jej do tego namówić, więc zapytałem:

— Co o tym myślisz?

— Jest najemnikiem. Ale czy został wynajęty przez kogoś z firmy?

— Ktoś z firmy jest zamieszany.

— Ktoś, z kim pracowała Lisa.

- Tak. A teraz wiemy, że jest to ktoś, z kim pracuję także ja.

Przez kilka minut opowiadałem Janet o wszystkim, czego dowiedziałem się o Morris Networks i Grand Vistas. Starannie doбираłem słowa: to wiem, tego się domyślam, a to są tylko niewydarzone rojenia chorego umysłu. Niestety, tych pierwszych było najmniej, ale w naszym biznesie poszlaki są często najlepszą rzeczą, na jaką można liczyć.

— To ma sens - stwierdziła Janet, kiedy skończyłem. - Pieniądze i skandal jako motywy.

— Może.

— Masz jakiś inny pomysł?

— Owszem, mam jedną niepewną teorię. Firma Morris Networks ma kilka kontraktów Departamentu Obrony i jest o krok od podpisania umowy z DARPA, organizacją, która zajmuje się większością naszych najtajniejszych projektów.

— Mów dalej.

— Morris Networks może czytać e-maile wszystkich klientów Departamentu Obrony i DARPA i monitorować wszystkie przechodzące informacje.

— Naprawdę?

— Sytuacja wygląda więc tak: wielka firma oddaje duszę w zastaw tajemnemu zagranicznemu holdingowi. Przez jej sieć przechodzi część najtajniejszych informacji w kraju. Plany wojen, tajne technologie, ruchy wojsk, wszystko. A jeśli ten

zagraniczny holding to tylko przykrywka? A jeśli należy do obcej agencji wywiadowczej?

— I podsłuchuje wymianę tajnych informacji? - Janet się zastanowiła. - Czy to możliwe?

— W czasie zimnej wojny odkryliśmy, że przez niektóre porty wojenne Rosjan bieżą podwodne kable. Dowiedzieliśmy się, że Rosjanie przesyłają przez nie część najpilniej strzeżonych tajemnic. Wysłaliśmy łodzie podwodne, żeby podłączyły się do tych kabli. Przez całe lata wpuszczaliśmy do ich portów łodzie podwodne, tuż pod ich nosem, monitorując przepływ informacji. To była żyła złota.

— I nie wpadliśmy?

— Do samego końca. Sugeruję możliwość, że Grand Vistas to przykrywka. Może mają jakiś układ z Morris Networks... pieniądze za pocztę Departamentu Obrony.

— Sean, to byłoby coś niesamowitego.

— Wiem.

— Skoro taka jest stawka, morderstwa stają się jeszcze bardziej zrozumiałe.

— Tak. Ale to tylko teoria, nie fakt.

— Lepiej zadzwonię do George'a i powiem mu.

— Jeszcze nie teraz.

— Wyczuwam, że ty i on macie ze sobą na pieńku... Ale nie powinieneś go nie doceniać.

Nie odpowiedziałem, więc Janet stwierdziła:

— Zna się na swojej robocie.

— Facet, który przysłał ci Boba do ochrony, zna się na robocie?

— Zrozum, George jest teraz bardzo zajęty. Widziałam go w akcji. Wierz mi, jest dobry.

— Nie kwestionuję jego kompetencji. Ale co zrobi z tymi informacjami?

Janet szybko wyciągnęła właściwy wniosek.

Nasz problem nie zniknął. Nie mieliśmy dowodów łączących zabójcę z firmą. Gdy tylko Meany i jego skauci zaczną migać blaszkami, dojdzie do katastrofy: firma nabierze wody w usta, podejrzani się

wystraszą, dyski komputerowe zaczną się psuć, a do niszczonek trafią tony papieru.

— Nie mogę też ujawnić tego, co wiem o firmie Grand Vistas, nie łamiąc zasady poufności w stosunku do klienta - zauważyłem. - Byłoby to nieetyczne i niedopuszczalne z prawnego punktu widzenia, no nie?

— Tak, masz rację.

Dałem jej chwilę na zastanowienie, a potem powiedziałem:

— Jednak prawo pozwala mi poinformować o tych sprawach mojego prawnika. Więc ty nim jesteś.

— Nie stać cię na mnie. - Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. - Mówisz poważnie? - Skinąłem głową. - Dlaczego potrzebujesz prawnika?

— Żeby zagrozić kancelarii Culper, Hutch i Westin pozwem.

— Pozwem?

— Chcę wykorzystać prawo do walki przeciw prawu.

— Nie chciałabym rzucać ci kłód pod nogi, ale kodeks wymaga, żebyś miał podstawy prawne.

Zerknąłem na zegarek.

— Mam podstawy. Omówimy to w drodze powrotnej do Waszyngtonu.

— W co się pakuję?

— Dziś wieczorem mam stanąć przed komisją dyscyplinarną w firmie. Będziesz mnie reprezentowała. Wracajmy więc do domu cioci. Powiesz Bobowi, żeby spakował walizki.

Zanim Janet weszła do środka, zapytałem:

— Słuchaj, czy mogłabyś pożyczyć mi swojej komórki? Chcę zadzwonić do biura.

— Jasne.

Zniknęła za drzwiami, a ja zadzwoniłem na informację w północnej Wirginii i zapytałem o numer

biura agencji Associated Press w Rosslyn. Wybrałem numer i poprosiłem operatorkę, żeby połączyła mnie z Jacobem Stynowitzem, którego nazwisko zauważyłem pod kilkoma artykułami poświęconymi seryjnemu zabójcy. Nawiasem mówiąc, były to bardzo dobre artykuły.

— Panie Stynowitz, jestem major Drummond, oficer JAG. Czytałem pańskie artykuły o Zabójcy z LA. Są znakomite.

— Dziękuję. Staram się.

— To widać. Pasjonująca lektura. - Nie chciałem zbyt grubo smarować, więc zapytałem: - Słyszał pan o zabójstwie dwóch gliniarzy dziś rano w Bostonie?

— Tak, oczywiście. Właśnie mówią o tym w CNN.

— Byłem tam.

— Był pan tam?

— Kilka metrów od tego miejsca. Wszystko widziałem. Faceta próbującego zabić dziewczynę na deptaku do biegania... szarżujących policjantów.

— Hm, to ciekawe. Ma pan jakiś powód, żeby do mnie dzwonić?

— Taak. Widzi pan, pomyślałem sobie, że... Jeśli pisze pan artykuł o tym wydarzeniu w Bostonie, mógłbym podrzucić panu kilka barwnych cytatów. Wiem, jak to jest, FBI kontroluje wszystko i mówi tylko to, co chce powiedzieć...

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Czy mogę jakoś potwierdzić, że był pan świadkiem? - spytał Stynowitz.

— Spędziłem cały ranek w budynku federalnym z agentami FBI. Może ich pan zapytać.

— Zapytam. A więc, panie... to znaczy, majorze...

— Drummond.

— Zgodnie z prawem informuję pana, że nagrywam tę rozmowę.

— Świetnie.

Zaczął zadawać pytania, siłą rzeczy dość ogólne, a ja udzielałem mu odpowiedzi zgodnych z

prawdą, choć niekompletnych, jak możecie się domyślić. Dziennikarz chciał trochę lokalnego kolorytu, ogólnego opisu zdarzenia etc.

Po kilku minutach tej wymiany Stynowitzowi skończyły się pomysły, więc zapytał:

— Chce pan dodać coś jeszcze?

— No cóż, nie poprosił pan, żebym go opisał.

— Chce pan powiedzieć, że widział pan tego człowieka?

— Bardzo dokładnie mu się przyjrzałem.

— Aha. Niski facet z kucykiem, tak?

— Nie.

— Nie?

— Około metra dziewięćdziesiąt wzrostu, prawie sto piętnaście kilo wagi. I nie miał kucyka.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Hm, ten rysopis nie zgadza się z podanym przez FBI rysopisem Zabójcy z LA.

— Tak, zauważyłem to. Proszę samemu wyciągnąć wnioski.

— Chce pan powiedzieć... że wskazali niewłaściwego człowieka?

— Powiedzmy, że to słuszny wniosek. - Po krótkiej chwili dodałem: - I jeszcze jedno... Ale to nieważne, zapomnijmy...

— Co takiego? Proszę mówić.

— Wielu ludzi boi się tego człowieka, prawda?

— Można tak powiedzieć.

— A mnie się wydaje... Widziałem go w akcji i powiedziałbym, że jego reputacja jest mocno przesadzona.

— Jak to?

— To dość głupie, zaatakować kobietę na otwartej przestrzeni, gdy wokół roi się od policji. A panna Morrow zdecydowanie go przechytryła. Szkoda, że nie widział pan, jak ten rośły, potężny idiota zmykał przed drobną kobietą.

— Mówi pan nie tylko, że on nie jest Zabójcą z LA, ale że jest też niekompetentny? - spytał podekscytowany Stynowitz.

— To właśnie chcę powiedzieć. Wiem, że może to zabrzmieć głupio i mało wiarygodnie, ale to, co

zobaczyłem dzisiaj rano na własne oczy, świadczyło o niesamowitej głupocie. Ten chory, zboczony kretyń zdołał zabić kilka kobiet tylko dlatego, że udało mu się do nich podkraść. Ale przy spotkaniu twarzą w twarz zmyka aż się kurzy. Można powiedzieć, że to zwyczajny tchórz.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę, ale ja powiedziałem już to, co chciałem powiedzieć, a Stynowitz zapytał na koniec, czy

może cytować mnie, podając moje nazwisko. Było to bardzo etyczne z jego strony, gdyż wielu dziennikarzy tego nie robi. Obiecał, że będzie grał ze mną uczciwie. Rozłączyliśmy się.

Musicie wiedzieć, że ludzie z Associated Press to wyrobnicy współczesnego dziennikarstwa, nauczeni szybkiego pisania, dostarczający artykuły, które są potem przekazywane wielu serwisom informacyjnym. Biorąc pod uwagę niezdrowe zainteresowanie przeciętnego Johna tą sprawą, słowa Seana Drummonda o najślawniejszym zabójcy w Ameryce trafią wieczorem do wielu kanałów.

Z materiałów, które znaleźliśmy w wynajętym samochodzie wynikało, że Janet znajduje się na liście zabójcy znacznie wyżej ode mnie. Gdyby posłuchała rady Meany'ego i zgodziła się na areszt ochronny, jej szanse na długie i owocne życie byłyby bardzo duże. Ale nawet prezydencka ochrona nie mogła zapewnić jej bezpieczeństwa na otwartej przestrzeni. Przed tym człowiekiem nikt nie mógł jej ochronić.

W czasie rozmowy z Janet nie przyciskałem zbyt mocno gazu. Wszyscy widzieli to, co widzieli, ale tylko ktoś, kto był kiedyś szkolony podobnie jak on może dobrze zrozumieć sposób myślenia takiego człowieka.

A więc po pierwsze, budowa ciała. Żeby tak wyglądać, trzeba spędzić tysiące godzin na siłowni, stosować starannie dobraną dietę, przypuszczalnie używać steroidów i mieć ogromną siłę woli. Pewnie miał małego fiuta i kompensował to sobie, ale rozpoznanie tej cechy charakteru to już zabawa dla świrolapów. Poza tym nikt nie osiągnie takiego mistrzostwa w sztuce zabijania bez anormalnego pociągu, dyscypliny i wściekłej potrzeby współzawodnictwa.

Psychotyczne umysły to indywidualiści, różnią ich fetysze i szczególne cechy. Zastanówmy się nad jego stylem. Chciał zaaranżować zabójstwo Janet tak, by nie można było zauważyć podobieństwa do wcześniejszych zabójstw, prawda? Więc dlaczego nie chciał wykończyć jej strzałem z jadącego samochodu? Albo z karabinka snajperskiego z dużej odległości? Rozerwać na kawałki bombą? Wszystkie te sposoby wiązały się z mniej-

szym ryzykiem, że ktoś go zobaczy, a jednocześnie były pewniejsze. Po drugie, skoro było powszechnie wiadomo, że Janet jest prokuratorem i często zajmuje się sprawami mafii, spalenie domu i zamordowanie jej łatwo mogły zostać przypisane cynglom. Ale on wolał użyć noża, więc trzeba zapytać: dlaczego? Moja hipoteza jest taka, że chciał, by Janet go zobaczyła, a on chciał zobaczyć strach w jej oczach. Ten facet karmi się strachem i czerpie z niego satysfakcję. Dla niego zabijanie musiało być doświadczeniem osobistym, starciem, w którym ofiara miała jakąś szansę zwycięstwa, lecz w końcu przegrywała.

Wszystko to wskazywało na przerośnięte ego napędzane osobiście skrzywionym kompleksem narcystycznym.

Mogłem sobie wyobrazić tego świra, podnoszącego duże ciężary i z lubością przyglądającego się swemu odbiciu w lustrze. Idąc dalej tym tropem, sądziłem, że chorobliwie śledzi wszystkie poświęcone sobie publikacje. Żył publicznym strachem i gniewem. Czuł się taki mądry i wspaniały, wiedząc, że przechytrzył FBI i całą wielką Amerykę. Ryzykując, że za bardzo pograży się w pogmatwanej metafizyce swoich zbrodni, spoglądał w swoje drugie lustro: swój publiczny wizerunek, przez samego siebie kreowany i manipulowany.

A teraz o moich motywach. On zrozumie, dlaczego strzępię sobie język. Dawałem mu do zrozumienia, że wiem, iż jestem na jego liście, i w podskórnym złośliwym sposobie, zalatujący *machismo* i konfrontacją jednego drania z drugim, sikam na jego lustreczko. Zadał sobie tyle trudu, żeby pozować na imitatora, a ja zdzieram jego maskę, ściągam w dół majtki i ogłaszam całemu światu, że morderca ma małego fiuta. Mówiąc metaforycznie. Trzy punkty dla

Drummonda. A on odczuje teraz potrzebę odegrania się. Po drugie, założy, że ja nie mam ochrony, a Janet ma, a każdy zawodowy zabójca wie, że najpierw trzeba sięgnąć po nisko wiszący owoc.

Naprawdę nie chciałem, żeby ten człowiek ruszył moim tropem. Kiedyś byłem całkiem niezły w te klocki - dawno temu, przed kilkoma poważnymi ranami i masą cheeseburgerów.

On tymczasem był u szczytu możliwości, w najwyższej formie, ostry jak brzytwa. Ale zdecydowanie nie chciałem też, by ruszył tropem Janet. W gruncie rzeczy chciałem powiedzieć George'owi Meany'emu, że nie mam nic przeciwko poddaniu się aresztowi ochronnemu, zwłaszcza jeśli FBI ma bezpieczny dom na Bermudach. Mając na uwadze dobro budżetu federalnego, zgodziłbym się nawet pobiedować w jednej kryjówce z Janet.

Ale Janet nie chciała iść do aresztu, więc i ja nie mogłem. Próbowałem zatem przekonać samego siebie, że szanse Janet w konfrontacji z tym potworem są mniejsze niż moje. Poza tym bardzo mocno zaczynałem czuć do niej miętę, mimo faktu, że była kiedyś zaręczona z George'em Osłem.

Wyjąłem z portfela zdjęcie Lisy.

Proporcje się przesunęły. Ten drań zdławił piękne życie, a właściwie więcej niż jedno. Kiedy myślałem, że zrobił to z powodu swego szaleństwa, byłem gotów zgodzić się, żeby aparat sprawiedliwości wymierzył mu karę, którą dwunastu mędrków uzna za stosowną. Ale teraz wiedziałem już, że zamordował moją piękną i utalentowaną przyjaciółkę z brudnej chciwości. Dlatego chciałem go udusić własnymi rękami.

ROZDZIAŁ 38

Zgodnie z przewidywaniami, George Meany zaczął się miotać, kiedy nieszczęsny Bob przekazał szefowi, że Janet wraca do Waszyngtonu w sprawach zawodowych. Wysłuchawszy sporej dawki obelg, szary jak popiół Bob podał Janet swoją komórkę.

- George, nie kłóćmy się o to - powiedziała Janet.

Meany coś odpowiedział, Janet skinęła głową i odparła:

- Tak, już zdecydowałam. Mam coś do zrobienia i zamierzam to zrobić.

Rozmawiali tak przez jakiś czas, niczym stare małżeństwo.

Ale najwyraźniej doświadczenie nauczyło Meany'ego, że z tą panią nie wygra ani tego sporu, ani żadnego innego. Osiągnięto coś w rodzaju kompromisu: Meany powiedział, że przyśle jeszcze dwóch agentów, którzy będą na nas czekać przy terminalu Deltę, a kiedy wylądujemy na lotnisku Ronalda Reagana, wzmocni ich kolejnych dwóch agentów.

Później Janet, jej siostry i ciotka oddały się bardzo emocjonalnemu pożegnaniu, a ja skorzystałem z okazji i wyciągnąłem Spinellego na ganek od podwórza. Zawarliśmy układ, więc by pokazać mu, że dotrzymuję słowa, opowiedziałem szybko o podejrzeniach dotyczących firmy, o tym, co znaleźliśmy w samochodzie etc. Usłyszał wersję oczyszczoną, rzecz jasna. Spinelli kierował się własnym interesem, a w celu zadbania

o swoje interesy zachowałem dla siebie kilka kluczowych szczegółów, których mógłbym potrzebować w zamian za ewentualne przyszłe przysługi. Wydawało się, że jest bardzo wdzięczny za zaufanie, więc wykorzystałem jego dobre nastawienie i zawarłem jeszcze jedną umowę.

Zgodnie z zapowiedzią, dwóch typów w nieciekawych ubraniach zdzierało obcasy przy krawężniku, kiedy podjechaliśmy czarnym samochodem Boba do terminalu Delty na międzynarodowym lotnisku Logana. Sądząc po ich wyglądzie, Meany albo doszedł do wniosku, że poszukiwanie zabójcy zabrnęło w maliny, albo jego szef stwierdził, iż bezpieczeństwo Janet ma wyższy priorytet, bo ci dwaj bez wątpienia należeli do pierwszego zespołu. Posępne twarze, płaskie nosy, mocna budowa ciała. Zdążyli już wypełnić papierki wymagane do wejścia na pokład samolotu z bronią. Przekonali nawet personel lotniska, żeby błyskawicznie sprawdzono nasze bilety i pozwolono zaczekać w poczekalni dla VIP-ów. Mieliśmy ją opuścić dopiero trzy minuty przed startem.

Lubię facetów, którzy nie ryzykują, kiedy chodzi o bezpieczeństwo. Poza tym byłem głodny, więc wypchałem sobie kieszenie darmowymi orzeszkami.

Ale najwyraźniej uprzedzono ich, że jesteśmy trudnym ładunkiem, bo prawie oponowali, kiedy Janet stwierdziła, iż mają usiąść sześć miejsc przed nami albo za, tak byśmy mogli swobodnie rozmawiać o poufnych sprawach zawodowych. Poza tym nic nie wskazywało na to, żeby zabójca podbiegł do nas między fotelami i załatwił, więc agenci spełnili prośbę Janet. Dzięki temu mieliśmy dwie godziny na rozważanie naszych dylematów i opracowanie strategii.

Dylemat był dość oczywisty: ktoś z firmy współpracował z mordercą. Janet zauważyła, że sytuacja

przypomina klasyczny kryminał, za którymi przepadają Anglicy: w zamkniętym domu ktoś zabił gospodarza - ale kto? Na krótkiej liście podejrzanych znaleźli się Harold Bronson, Cy Berger, Barry Bosworth, Sally Westin i Hal Merriweather. Chciałem, żeby to był Hal, Barry albo Harold. Gdybym miał wskazać kolejność, to byłiby to Hal, Barry i Harold. Chyba wspominałem już, że jestem trochę mściwy. Bestia domagała się, żeby ją nakarmić. Wytrzymałbym, gdyby okazało się, że to Sally, choć byłbym bardzo zaskoczony. Byłbym rozczarowany, gdyby to był Cy, ale nie bardzo zaskoczony.

Tak czy owak, poinformowałem moją nową pełnomocniczkę o podstawie mojego zarzutu, szybko omówiliśmy szczegóły i ustaliliśmy, w jaki sposób przedstawimy sprawę. Prawnicze niuansy i detale materiału dowodowego i tak były bez znaczenia: wszystko to blef.

W naszym fachu jest takie powiedzenie: Jeśli prawo jest po twojej stronie, wal w prawo; jeśli fakty są po twojej stronie, wal w fakty; jeśli ani jedno, ani drugie nie jest po twojej stronie, wal w stół. Nie mieliśmy prawa i faktów, a cholerny stół należał do nich, co oznaczało, że musimy walić w nich. Pomysł był taki, żeby rozwścieczyć, obrazić i zagrozić wszystkim, a później zobaczyć, kto się spoci. Ktoś w tym domu miał coś ważnego do ukrycia. Nadszedł czas, żeby zobaczyć, kto ukrywa i co.

A na lotnisku krajowym Reagana czekało na nas nie dwóch, lecz czterech agentów. Spinelli miał nas dość i pojechał sam taksówką. Janet i ja odjechaliśmy kilka minut później niepozorną karawaną złożoną z trzech błyszczących, czarnych fordów crown victoria: jeden wóz przed nami, drugi z tyłu, a my w środku. Mocno naciskając gaz, pojechaliśmy prosto na Con-§ necticut

Avenue 1616. Janet poinformowała naszych ochroniarzy, że udajemy się na poufne posiedzenie prawników, więc będą musieli poczekać w holu na dole.

Wpół do ósmej drzwi windy otworzyły się na ósmym piętrze. Hal Merriweather ustawił się sztywno obok długiego drewnianego biurka Elizabeth. Stojąc, wyglądał jak jajko na szczudłach.

- Patrzcie, patrzcie, toż to mój człowiek - mruknąłem. - Hal, to moja pełnomocniczka, panna Janet Morrow. Janet, to jest ten kretyń, który twierdzi, że wykradliśmy informacje z firmy.

Fałszywy uśmiezek na gębie Hala rozpułnął się.

— Janet Morr... Zglupiałeś, Drummond? Co ona tu, u diabła, robi?

— Nie daj się nabrać na jego wygląd - powiedziałem do Janet. - On jest jeszcze głupszy, niż wygląda.

Janet parsknęła śmiechem.

Gęba Hala przybrała ładny, różowawy kolorek.

- Uważaj, dupku. Mało masz kłopotów? To zadrzyj ze mną. - Maniery Hala pogarszały się lekko, gdy w pobliżu nie było nadzorców.

Roześmiałem się.

— Janet, ocal mnie przed tym człowieczkiem, proszę cię.

— Cwani ludzie nie ignorują moich ostrzeżeń, Drummond.

— Cwani ludzie ignorują ciebie, Hal.

— Pierdol się.

— Rusz tyłek, chłoptasiu na posyłki. Szefowie czekają.

— Za godzinę zobaczymy, kto się będzie śmiał.

— Ja będę się śmiał za każdym razem, gdy cię zobaczę, koleś.

Hal otworzył drzwi klatki schodowej i poprowadził nas na następne piętro.

- Janet, to nie jest sterowiec reklamowy Goodyeara. To tyłek Hala. - Nie mogłem się powstrzymać, żeby tego nie powiedzieć.

Ha, ha. O rany, ale jestem dobry. Doprowadziłem Hala do takiego stanu, że pienieł się z wściekłości. A o to nam właśnie chodziło.

Na dziewiątym piętrze Hal zaprowadził nas do dużej sali konferencyjnej. Pchnął drzwi i wkroczył do środka. Sala była duża, mniej więcej dziesięć metrów na piętnaście, i kosztownie umeblowana skórzanymi fotelami ustawionymi przy bardzo długim, rzeźbionym

stole konferencyjnym.

Cy, Harold Bronson i dwóch innych dżentelmenów siedziało na końcu stołu z groźnymi minami. Barry, nędzny współpracownik, garbił się na krzeselku pod ścianą. Hal podszedł szybkim krokiem i usiadł obok niego. Stanowili dobraną, śliczną parkę idiotów.

— To jest major Sean Drummond, jeśli jeszcze go nie poznaliście - rzekł Cy do dwóch nieznanych dżentelmenów. Odwracając się do mnie, powiedział: - Sean, będziemy musieli poprosić twoją przyjaciółkę o opuszczenie sali. To jest prywatne przesłuchanie.

— Mylisz się. To moja pełnomocnica, panna Janet Morrow.

Pozostali trzej wspólnicy przyglądali mi się badawczo. Cy poruszył się niespokojnie na krześle.

- Dobrze znałeś jej siostrę Lisę, prawda?.

Wobec nieoczekiwanej obecności Janet Cy zrozumiał podtekst.

- Przyjaźniliśmy się - odparł beznamietnym tonem. Ja jednak zauważyłem, że mój komentarz ściągnął na niego zaciekawione spojrzenia pozostałych wspólników, którzy dobrze znali reputację Cya, jeśli chodzi o stosunki z damami. Ale najwyraźniej nie wiedzieli o jego znajomości akurat z tą damą.

Celem tej krótkiej potyczki było ostrzeżenie Cya, że wiem o jego romansie w miejscu pracy, który stanowił poważne naruszenie etyki zawodowej. A ponieważ to posiedzenie miało dotyczyć mojej etyki, byłoby dobrze, żeby Cy się miarkował. Czy taki drobny szantaż może zaszkodzić przyjaźni? Choć w zasadzie nie byliśmy przyjaciółmi. A tak w ogóle, to szantaż wobec jednego człowieka często bywa zabezpieczeniem dla drugiego.

Cy odzyskał panowanie nad sobą.

- Panno Morrow, naprawdę mi przykro z powodu śmierci Lisy. Wszyscy bardzo ją ceniliśmy. A ja... zamierzałem wysłać rodzinie kartkę z kondolencjami, ale byłem ostatnio bardzo zajęty.

Janet beznamytnie skinęła głową.

- Czekamy na tę kartkę.

Cy chyba zrozumiał uwagę, więc powiedziałem:

- Obawiam się, że nie poznałem jeszcze pozostałych współników.

Jeden był w średnim wieku; ciemne, przerzedzone włosy

przetykane siwizną, okulary w złotych oprawkach, mięsista, dziobata twarz o wojowniczym wyrazie. Wyglądał jak cyngiel mafii w szarym wełnianym garniturze.

- Jestem Marcus Belknap, wspólnik zarządzający nowojorskiego biura.

Drugi był starszy, miał srebrzyste włosy i patrycjuszowską twarz z ciężkimi powiekami; pewnie skończył prawo na Harvardzie, ożenił się z córką milionera, lubił grę w squasha, szybką jazdę porsche i lunche z trzema kieliszkami martini.

- Harvey Weatherill, biuro w Filadelfii.

Ich nazwiska i tytuły nie miały dla mnie znaczenia, byli to ludzie z zewnątrz, sprowadzeni tu po to, by nadać temu spotkaniu pozory uczciwości i bezstronności. Będą głosowali tak, jak każą im Cy i Bronson. Zakładając, że dojdzie do głosowania. Ważne było to, że po drugiej stronie stołu siedzieli korporacyjni prawnicy przywykli do miękkich sal konferencyjnych i długich debat o tym, gdzie postawić przecinek w klauzuli kontraktu, a Janet i ja toczyliśmy w sądzie twarde boje z kryminalistami i nieobce nam było kopanie przeciwnika w kolano.

Przyglądaliśmy się sobie dłuższą chwilę, oceniając się wzajemnie. Wreszcie Bronson postanowił - zacząć licytację.

- Rozpoczniemy posiedzenie od wstępu i przedstawienia dowodów przez pana Hala Merriweathera. Potem przejdziemy do bardziej niepokojącej sprawy zatrważającego złamania etyki zawodowej. W tej sprawie także zostaną przedstawione dowody. - Zrobił teatralną pauzę, jak gdyby chciał podkreślić powagę posiedzenia. - Panie Merriweather.

Hal poderwał się z krzesła i przez dziesięć minut szczegółowo i z wielkim upodobaniem

opowiadał o moim zuchwałym włamaniu i kradzieży poufnych informacji z firmy, o złamaniu kilku praw i przepisów firmy, o niezbitych dowodach etc. A ja zamknąłem oczy i bujając się na krześle, pozwoliłem mu głądzić.

Ale chyba skończył, bo poczułem, że Janet daje mi kuksańca w żebra.

- Drummond? - rzucił Bronson.

— Co?

— Powtarzam: co masz do powiedzenia na swoją obronę? Spojrzałem na Janet, a ona spojrzała na mnie.

— Poczekamy na pełną prezentację drugiego oskarżenia. Cy spojrzał z zaciekawieniem na Bronsona i spytał:

— Haroldzie, jakie jest drugie oskarżenie?

Bronson napawał się faktem, że uwaga wszystkich skupiła się na nim.

- W biurówcu klienta Drummond dokonał napaści na prawnika nadzorującego jego pracę.

Pozostali partnerzy zgodnie z oczekiwaniami zrobili oburzone miny.

— Na kogo napadłem? - spytałem Bronsona.

— Drummond, ty dobrze wiesz. - Ale inni nie wiedzieli, więc powiedział: - Na Barry'ego Boswortha.

— Jak?

— Złapałeś go za... już ty wiesz, za co go złapałeś.

- Za jaja, panowie - wyjaśniła Janet.

Parsknąłem śmiechem. Uwielbiam to.

— Sean, to są bardzo poważne sprawy - upomniał mnie Cy. - Zachowuj się odpowiednio.

— Dostajesz szansę obrony - warknął Bronson. - Ja osobiście uważam to za kompletną stratę czasu.

— Nie wątpię, Haroldzie.

Wyczuwając, że poziom posiedzenia wymaga lekkiej korekty, Cy powiedział:

- Barry, przez wzgląd na współników, którym nie przedstawiono szczegółów wymienionego przewinienia, proszę cię o zrelacjonowanie zajścia.

Barry odchrząknął i wyprostował się.

- Incydent miał miejsce przed trzema dniami w siedzibie firmy Morris Networks. Audyt został

zakończony, a ja udałem się na miejsce, żeby dopilnować ostatniego etapu. Wyjaśniłem Drummondowi, jak ważne jest natychmiastowe dostarczenie dokumentu do Departamentu Obrony, poprosiłem, żeby go podpisał, a on powiedział, że musimy pomówić. Zaprowadził mnie do męskiej toalety. Myślałem, że chodzi o to, by nikt nam nie przeszkadzał. Jak tylko weszliśmy, pchnął mnie na ścianę i złapał za... za jądra i zagroził, że je urwie.

— Nie został spTowokowany? - spytał Cy.

— Mm... nie. To było całkowite zaskoczenie, Cy. Nie padły żadne pytania, więc Barry mówił dalej:

- Powiedział, że nie podpisze, jeśli firma nie cofnie zarzutów wobec niego. Odparłem, że nie pozwolimy się szan tażować. Powiedział mi, jak bardzo pogardza firmą. Nazwał cię napuszonym, podrobionym dupkiem, Haroldzie. – Spojrzał na mnie i dodał: - To są jego słowa, pamiętaj... Powiedział jeszcze, że wspólnicy w tej firmie to palanty i słabizny, wszyscy bez wyjątku, i żaden nie ma kręgosłupa, żeby wystąpić przeciw ko niemu.

Cy spojrzał na mnie.

— To prawda?

— Częściowo. - Na przykład było prawdą, że wspólnicy to palanty.

- Które części są prawdziwe? - spytał Cy.

Janet odpowiedziała za mnie pytaniem:

- Czy skończyliście, panowie, opisywanie rzekomych przestępstw i przewinień mojego klienta?

Wspólnicy spojrzeli po sobie.

— Chyba tak - odparł Cy.

— Jeśli ma pani do powiedzenia coś istotnego i związanego ze sprawą, wysłuchamy pani - oznajmił Bronson.

Janet skwitowała jego protekcyjny ton

uśmiechem.

— Istotnego?

— Jest pani prokuratorem, młoda damo. Powinna pani znać definicję.

— Jeśli mój klient odkrył poważne oszustwo, w które zamieszana jest wasza firma, to czy jest to istotne?

— Nie, nie jest. Nie pozwolę zamienić tego posiedzenia w cyrk.

— Jak pan sobie życzy - odparła Janet. - Rano wniosę oskarżenie z powództwa cywilnego przeciwko Barry'emu Bosworthowi za złośliwą i niczym niesprowokowaną napaść na mojego klienta.

— Co? - warknął Bronson.

— Pokaż panom swoje obrażenia - powiedziała do mnie Janet.

Posłusznie rozpiąłem koszulę i wskazałem ogromnego siniaka na lewej części klatki piersiowej. Wyglądał okropnie. Nic zresztą dziwnego. Poświęciłem dużo czasu i zadałem sobie wiele trudu w toalecie samolotu z Bostonu, za pomocą buta powiększając i dodając barwy niewyraźnemu siniakowi, który został po ciosach zadanych przez Barry'ego.

- Te odrażające rany zostały zadane przez pana Boswortha - ciągnęła Janet - który usiłował w ten sposób zmusić mojego klienta do podpisania wadliwego prawnie audytu. - Janet odwróciła się do mnie. - Proszę opisać pełny zakres obrażeń.

To prawniczy elementarz, że swoje wystąpienia trzeba nasycać przymiotnikami i przysłówkami. Janet wykonała swoją część zadania, więc zrobiłem odpowiednio zbolałą minę.

- Barry kazał mi wejść do łazienki. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, brutalnie pchnął mnie na ścianę, powodując silne wstrząśnienie mózgu. Następnie zaatakował mnie pięściami, zadając te poważne rany.

Nabawiłem się przez to krótkoterminowej utraty pamięci, zaburzeń widzenia, trudności z oddychaniem, silnych tików oraz szoku pourazowego. Oprócz tego mam trudności ze snem, apetytem, dręczy mnie niepokój i niska samoocena.

Przeciwnicy nie wiedzieli, czy się śmiać, czy wyć z rozpacz.

- Obrażenia zostały sfotografowane - dodała Janet. - Mojego klienta zbadał lekarz, mamy też orzeczenia dwóch renomowanych psychiatrów. Sean będzie musiał przejść wieloletnią kosztowną terapię. Jego błyskotliwa kariera wojskowa dobiegła końca, podobnie jak spokojne i unormowane życie, które wiódł do tej pory.

No cóż, nie osiągnęliśmy tego wszystkiego w czasie lotu, ale w prawniczym elementarzu jest też napisane, że trzeba przesadzać. Wszyscy z uwagą wpatrywali się w Janet, a ona mówiła dalej:

— Wasza firma oddała mojego klienta w ręce sadysty Boswortha, on zaś dopuścił się obrzydliwej, nie spowodowanej napaści, żeby osłaniać ciemne operacje finansowe firmy. - Janet dała im chwilę na przyswojenie tej rewelacji. - Będziemy się domagali stu milionów odszkodowania.

— To niedorzeczność - wrzasnął Bronson, podskakując na krześle.

Dwóch wspólników z Nowego Jorku i Filadelfii kręciło głowami, próbując zrozumieć cokolwiek z tego cyrku. Tymczasem Cy przyglądał nam się badawczo. Najwyraźniej był jedynym człowiekiem w tym pomieszczeniu, który miał dość oleju w głowie, żeby potraktować nas i tę farsę poważnie.

— Twierdzi pani, że Barry zaatakował Drummonda?

— Co do tego nie ma wątpliwości. - Skinęła

głową w stronę Barry'ego. - Rzecz sprowadza się do pytania, kto miał motyw. Jego kandydatura na stanowisko wspólnika będzie rozpatrywana w przyszłym miesiącu, i jest oczywiste, że Bosworth liczy tylko na to, że utrzyma firmę Morris Networks jako klienta. Wasza firma cieszy się zasłużoną niesławą ze względu na sposób traktowania współpracowników. Ten człowiek po prostu nie wytrzymał napięcia...

Janet zerknęła na Bronsona, który, nawiasem mówiąc, gotował się ze złości, i pouczyła go:

- Niech pan usiądzie i zachowuje się jak dorosły człowiek.

Bronson sapał i prychał, nieprzyzwyczajony do takiego traktowania, a Cy próbował zaprowadzić porządek.

- Cy, Harold... - wybełkotał Bosworth. - To jakaś parodia. Ja go nawet nie dotknąłem.

Janet, która radziła sobie doskonale, poczekała cierpliwie, aż skończy się zamieszanie.

- Rzecz jasna, dla dobra sprawy będziemy musieli ujawnić brudny spisek, który Bosworth próbował ukryć, spisek z udziałem firmy o nazwie Grand Vistas, która dopuszczała się oszustw wspólnie z waszym klientem, firmą Morris Networks. Wykażemy, że Barry Bosworth zapoczątkował ten spisek, że spotkał się z kierownictwem firmy Grand Vistas i doprowadził do podpisania odpowiednich umów. Barry Bosworth, a więc także starsi wspólnicy firmy, tkwią po uszy w działalności, która oznacza oszukiwanie tysięcy inwestorów. Cy spojrział na nią, zaskoczony.

— Nie bądź śmieszna.

— Firmy Morris Networks i Grand Vistas zostaną wymienione jako wspólnicy - odparła Janet. - Do napaści doszło w niewłaściwie chronionej placówce pierwszej z nich, a jej celem było ukrycie nielegalnej

działalności obu wspomnianych firm.

Janet wstała, a ja za nią. Popatrzyła na współników i powiedziała:

- Kiedy o tym wszystkim dowie się Pentagon, wszystkie kontrakty Morris Networks zostaną prawdopodobnie unieważnione. Podejrzewam, że pierwszą rzeczą, którą zrobi wówczas pan Morris, będzie poszukanie nowej kancelarii prawnej.

Cy spojrział na nas błagalnie.

- Usiądźcie, proszę. Porozmawiajmy o tym.

— On łże! - ryknął Barry.

— Młoda damo, jest pani głupia, jeśli myśli pani, że uda się jej zaszantażować tę firmę - powiedział Bronson.

Zasłiśmy tak daleko, jak pozwalały na to fakty i podejrzenia. Zanim zdążyliśmy wyrwać klęskę z zębów zwycięstwa, oznajmiłem:

- Przedłożymy sprawę jutro o dziesiątej w sądzie w Arlington. Zaraz potem wydamy oświadczenie dla „Wall Street Journal” i „New York Timesa”. Radzę skontaktować się z klientami i uprzedzić ich o tym.

ROZDZIAŁ 39

Ledwie zdążyliśmy wysiąść z windy, stanął przede mną George Meany, podtykając mi paluch pod nos.

- Drummond, mam już dość ciebie i twoich pierdoł.

Byłem trochę zaskoczony jego widokiem i bardzo wkurzony paluchem przed oczami. Właśnie wyciągałem rękę, żeby wetknąć ten paluch George'owi w tyłek, kiedy stanęła między nami Janet.

— Daj spokój, George. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to mnie.

— To ciebie nie dotyczy - warknął zaskoczony Meany, odsuwając się. - Tylko mnie i Drummonda.

— Skoro dotyczy was obu, to i mnie.

— Nieprawda - odparł z naciskiem George. Ale to była oczywiście prawda. Po chwili Meany powiedział: - Nie podoba mi się, że ten dupek namówił cię, żebyś tu przyleciała, narażałaś się. Ale nie dlatego tu jestem.

- Więc dlaczego?

Popatrzył na nią i odparł:

- Dyrektor zadzwonił do mnie przed godziną. Jest wściekły. Dyrektor, cholera... - Biedny Georgie wyglądał na ciut oszołomionego. Podejrzywałem, że rozmowa nie była zbyt przyjemna. - A wszystko dlatego, że twój kolega rozpuścił swoją głupią gębę przed jakimś reporterem z Associated Press.

Janet spojrzała na mnie, a potem na Meany'ego.

— O czym ty mówisz?

— O wiadomościach, Janet. - Patrzyła na niego pustym wzrokiem, więc wyjaśnił: - Wszędzie o tym trąbią. Ten kretyn Drummond powiedział dziennikarzowi, że zabójca to idiota, a FBI partaczy tę sprawę, bo nie zdołaliśmy go zatrzymać. Poinformował też dziennikarza, że FBI skupiło uwagę na niewłaściwym podejrzanym, że ten, który cię zaatakował, na pewno nie jest Zabójcą z LA. - Meany przeniósł wzrok na mnie. - Czy muszę wyjaśniać, jak bardzo FBI lubi, kiedy jakiś pajac wciska mu nos w gówno?

Nie przypominam sobie, żeby właśnie tak to określił. Ale sami widzicie, co się dzieje, kiedy człowiek próbuje wyświadczyć przysługę reporterowi.

Janet spojrzała na mnie i nieco ostrym tonem zapytała:

— Sean, powiedz, że tego nie zrobiłeś.

— Ależ oczywiście, że zrobiłem. Pomyśl o tych wszystkich kobietach, które oglądają się przez ramię ze strachu przed niskim, krępyim facetem z kucykiem. Taka informacja może nawet ocalić którejś życie. Czy ty albo twój szef pomyśleliście o tym kiedyś, George?

— On łże - odparł Meany. - Zadzwoił do tego dziennikarza tylko po to, żeby mnie upokorzyć i zaszkodzić mojej karierze.

Nieprawda. Po prostu nieprawda. A szkoda. Meany popatrzył na mnie i dodał:

- No to dowiedz się, mądralo, że dyrektor zadzwonił do twojego szefa. Generał Thomas Clapper, zgadza się? Teraz to ty będziesz miał kłopoty z karierą.

Miałem nadzieję, że Janet widzi, jakim mściwym i głupim kutafonem jest pan George Meany.

Ale jednocześnie przyszło mi do głowy, że

mogę wpaść w poważne tarapaty. Już miałem niepokojące wizje atolu Johnstona, na którym Sean Drummond ginie od bakterii węgliką, dusi się resztkami gazu musztardowego albo jeszcze innego świństwa.

Lecz z drugiej strony na ogonie siedział mi zabójca światowej klasy, a kilka pięter wyżej w tym budynku zgraja wkurzonych prawników usilnie myślała, jak mnie wykończyć - w takiej sytuacji atol Johnstona był najmniejszym z moich problemów. A sytuacja wyglądała tak, że wokół mnie w powietrzu latało mnóstwo armatnich kul, zaś moje życie zależało od tego, czy będę pamiętał, które zwiastują koniec, a które tylko katastrofę.

Meany tymczasem zaczął opowiadać Janet o wszystkich działaniach, które podjął, żeby złapać mordercę. Wszystko to brzmiało niezwykle imponująco, chyba że słuchało się naprawdę uważnie, bo wtedy wychodziło na to, że Meany po prostu obwąchuje własny tyłek.

Ta tyrada zajęła dłuższą chwilę, gdyż Meany to jeden z tych ludzi, którzy słowa i działania myślą z wynikami. Wreszcie skończył, mówiąc:

— Na takim właśnie etapie jesteśmy, kochanie.

— Dobrze - odparła Janet. - I co dalej?

— Teraz zajmiemy się tobą. Musimy cię stąd zabrać w jakieś bezpieczne miejsce. Dyrektor już wyraził zgodę. Poza tym wzmacniamy twoją ochronę do dziesięciu ludzi.

— George, to przesada.

Meany uśmiechnął się i dotknął jej ramienia.

- Ja dałbym ci dwudziestu, gdyby mi pozwolono. Jesteś najważniejsza w moim życiu. Nie będę ryzykował.

Nawet pozostali agenci kasłali w dłonie i przewracali oczami; George chyba to zauważył, bo powiedział:

- Dyrektor wyrażał się bardzo dobitnie, że trzeba podjąć wszelkie środki, by zapewnić ci bezpieczeństwo.

Więc jak to właściwie jest, George: miłość i pożądanie czy rozkaz z góry?

Musicie jednak zrozumieć, że głównie mnie obchodziły jego motywy i byłem bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Chciałem - a właściwie bardzo mi na tym zależało - żeby Janet znalazła się w jakimś odległym i bezpiecznym miejscu.

Pożegnaliśmy się więc, co w przypadku Janet oznaczało pocałowanie mnie w policzek. Trochę mnie to zaskoczyło i bardzo wkurzył George'a, który niezwłocznie zabrał damę do swojej górskiej fortecy.

Od tej chwili byłem jego dłużnikiem, i to nie na żarty.

Jakbym miał mało problemów, nagle przypomniałem sobie, że mój leasingowy jaguar wciąż stoi koło lądowiska śmigłowców w Pentagonie, wszyscy chłopcy Meany'ego właśnie odpłynęli w chmurze lśniących crown victorii, a żaden z prawników na górze nie jest w nastroju, żeby odwieźć starego drania Seana do domu. To naprawdę zaczynało mnie wkurzać. Wezwałem taksówkę.

Zapukałem do własnych drzwi, czego zwykle nie robię. Ale dobrze, że tym razem zapukałem, bo otworzył mi Danny w kamizelce kuloodpornej, który, nawiasem mówiąc, mierzył mi w twarz nieprzyjemnie czarną lufą pistoletu maszynowego M16.

- W porządku, to on - rzucił przez ramię.

Zrobił krok do tyłu i mogłem wejść. Na środku mojej jadalni stało jeszcze dwóch facetów w kamizelkach, obaj opuszczali lufy pistoletów.

Spinelli machnął ręką w ich kierunku.

— Chorąży Bill Belinowski i Charlie Waters. Skinęliśmy sobie na powitanie.

— Jakieś problemy? - zapytał Spinello.

- Żadnych. Komendant jest mi winien parę

przysług. Powiedziałem, że byłeś świadkiem zabójstwa żołnierza i potrzebujesz ochrony.

Spinelli mówił o komendancie Fort Myer i okręgu wojskowego Waszyngton, w stopniu pułkownika, szefa żandarmerii wojskowej, na którego barkach spoczywało niegodne pozazdroszczenia zadanie pilnowania prawa i porządku w całej społeczności wojskowej mieszkającej w Waszyngtonie i okolicach. Jest to trzydzieści tysięcy ludzi, więc facet utrzymuje się przy życiu tylko dzięki regularnym dostawom aspiryny i czopków. Z wdzięczności za przydzielenie ochrony będę musiał posłać mu moje pierworodne dziecko albo - w związku z tym, że moje szanse na szczęśliwy związek były takie, jakie były - pierworodne dziecko kogoś innego.

Weźcie pod uwagę, że zrobiłem wszystko, co przyszło mi do głowy, żeby ściągnąć na siebie uwagę zabójcy. Ale pani Drummond nie wychowała mnie na idiotę, o nie. Walka jeden na jednego ma oczywiście pewne niezaprzeczalne walory. Wszyscy wiemy, jak to wyglądało: rycerze dosiadający wiernych rumaków, z mieczami w dłoniach, szarżujący na siebie, by zmierzyć się w honorowym pojedynku odwagi, umiejętności i sprytu. Podręcznik piechoty mówi jednak wyraźnie, że jeśli stajesz do walki i okazuje się, że jest to równa walka, to coś źle zaplanowałeś.

Stałem przed moimi gośćmi i spytałem:

- Nawiasem mówiąc, czy ktoś pamiętał o kamizelce dla mnie?

Spinelli podniósł kamizelkę z podłogi i rzucił w moją stronę.

— Ale broni nie będziesz miał. Nie dostałem na to pozwolenia. - Po chwili spytał: - Jaką masz pewność, że on się zjawi?

— Właśnie wykupiłem sobie polisę na życie na milion dolarów.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem, bo w takich sytuacjach tak właśnie powinni zachować się mężczyźni. Wszyscy wiedzą, że goście z armii to twardziele odważni do szaleństwa, więc chcąc nie chcąc, musieliśmy wczuć się w rolę.

Lecz Bill, który miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ważył mniej więcej sto pięć kilo, a z hantlami był nie gorzej obznajomiony niż zabójca, na którego czekaliśmy, zapytał:

— Co może pan powiedzieć o tym popaprańcu, majorze? Jakie ma mocne i słabe punkty?

— Cieszę się, że pan zapytał. Obejrzelście rysopis?

— Danny pokazał nam obrazki.

— Więc wszyscy wiemy, jak wygląda... - Po chwili zastanowienia poprawiłem się: - A właściwie, jak wyglądał rano. Możliwe, że stosuje przebrania. Jestem przygotowany na randkę w ciemno. Więc jeśli zjawi się jakiś brzydki, gruby dryblas z dużymi cyckami...

— Taak?

— I zapyta o mnie...

— A-ha.

— Ten facet jest naprawdę sprytny... I istnieje tylko jeden sposób, żeby się naprawdę o tym przekonać. Wiecie, co mam na myśli? To pańska robota, Bill.

Fuj, fuj.

Wszyscy byliśmy spięci i podminowani, ale koniecznie trzeba zostawić tę fazę za sobą, bo chłodna głowa i spokojne nerwy były naszą jedyną szansą.

Kiedy przestaliśmy się śmiać, mówiłem dalej poważniejszym tonem:

— Rysopis nie pokazuje wszystkiego i nie wszystko można zamaskować. Facet jest mniej więcej twojego wzrostu, Bill... może trochę wyższy.

— Wyższy - mruknął Spinelli. - Drań jest zbudowany jak czołg.

Odchrząknąłem.

- Wiemy, że zabił osiem osób, ale poziom jego umiejętności wskazuje, że ma na koncie więcej. Możliwe, że o wiele więcej. Podejrzewamy, że jest wynajętym zawodowcem.

Zauważyłem, że Charlie przestępuje z nogi na nogę.

— Lubi zabijać rękami - ciągnąłem. - Czy umie posługiwać się bronią, to kwestia otwarta, ale jest dobrze wyszkolony, więc ostrożność każe zakładać, że radzi sobie z[®] wszystkimi rodzajami broni. Powiedziałbym, że ma dobry refleks, szybkość i jest bystry. Nie określiłbym go mianem łamagi. - Czy można sobie wyobrazić bardziej rażące niedomówienie?

— To zabójczy skurwiel - dodał Spinelli.

Nie w tym tonie, Danny, to nikomu nie pomoże. Oczy Billa trochę się rozszerzyły, więc posłałem mu

krzepiące spojrzenie i mówiłem dalej:

— No dobrze... Może przejdziemy teraz do jego słabości? Charlie skinął ochoczo głową.

— Właśnie. Jakie są jego słabości?

— No cóż... powiedzmy...

-Nie ma żadnych słabości - wtrącił Spinelli. - Ten facet to zajebicie doskonała maszyna do zabijania.

Bill i Charlie przełknęli ślinę.

- Śmieszne rzeczy opowiadasz, Danny. Po pierwsze, zabójca nie spodziewa się, że będzie nas czterech. Po drugie, jest wprawdzie zaradny, sprytny i dobrze wyszkolony, ale z analizy dotychczasowych zabójstw wynika, że zbytnio polega na zaskoczeniu. Jak dotąd mu się udawało, więc wątpię, żeby zrezygnował z tej metody. Bez elementu zaskoczenia straci sporo przewagi. - Dałem im chwilę na przemyślenie tego. - Powinniśmy się spodziewać, że spróbuje się tutaj dostać w jakiś niekonwencjonalny sposób.

Charlie uśmiechnął się szeroko; ja zrobiłem to samo, ale muszę przyznać, że Charlie mnie martwił. Miał około trzydziestki, przedwczesną łysinę, czarną skórę i był szczupły. Moją troskę budziła jego twarz: zbyt młodzieńcza, zbyt zdrowa i zbyt niewinna. Przypominał mi rozbrykanego szczeniaka, którego miałem jako dziecko. Psiak wybiegł przed ciężarówkę i zamienił się w naleśnik. Bill też wyglądał zdrowo, bo wszyscy żołnierze wyglądają zdrowo, lecz w jego oczach była twardość, która rozpraszała wrażenie łagodności. Charlie natomiast mnie martwił i zastanawiałem się, po co Spinelli przyprowadził go na tę zabawę. Chyba że był jednym z tych, którzy umieją trafić kulą monetę w powietrzu.

— Nie ma obawy - rzekł Charlie. - Mam nadzieję, że tego właśnie spróbuje.

— Naprawdę?

— Jasne. Właśnie dlatego tu jestem, majorze. Moja specjalność to ochrona obiektów.

Jest to bardzo ważne w armii, która posiada masę czołgów, pocisków i innych rzeczy z kategorii

bum-bum. Wujaszek Sam bardzo by się wkurzył na zieloną maszynę, gdyby jakiś Abdullah Dżihadysta podprowadził czołg Abrams lub śmigłowiec Apache i z pomocą którejś z tych maszyn zrobił parę dziur w Białym Domku. Dlatego tymczasowo rozstrzygnąłem wątpliwości na korzyść pana Watersa. Miałem nadzieję, że przynajmniej okaże

się kompetentny. Oby tak było, dla mojego dobra. Dla dobra nas wszystkich.

Zadzwoił telefon, więc wyszedłem do sypialni, żeby odebrać. Była to Jessica Moner, prawna harcowniczką Jasona.

— Drummond, ty palancie - zaczęła z typową dla siebie swadą. - Co to za pierdoły o pozwie, który zamierzasz jutro złożyć?

— Kto cię poinformował?

— Bosworth. A teraz ja informuję cię: dosyć tych głupich żartów. Stop.

— Jesteś wkurzona.

— Mogłabym cię zabić. - Zastanawiałem się, czy potraktować to dosłownie. - Nie wiem, co jest między tobą i twoją firmą, ale nie wciągaj nas w to gówna.

— Przykro mi, Jessico, ale moja pełnomocniczka twierdzi, że to jedyny sposób.

— Co ty, kurwa...

— Motywem, którym kierował się Bosworth, było utrzymanie waszej firmy jako klienta. To wy jesteście *casus belli* w tym sporze.

— Nie, to ty nas w to wciągasz, bo mamy głębokie kieszenie. Zły pomysł, koleś...

— Powiedz to Barry'emu. To on mnie zmlócił. Nigdy bym nie pomyślał, że taka z niego bestia.

— Bosworth ledwie potrafi dźwignąć fiuta, żeby się wysikać.

— Ćwiczy w domu, na dzieciach.

Było oczywiste, że tym tropem nigdzie nie dojdziemy, więc Jessica zamilkła na chwilę. Potem spytała:

- Wydaje ci się, że coś masz. Co to takiego? Niezłe kombinujesz, Jessico.

— Wszystko. Przyjdź rano do sądu, a usłyszysz

wszystko o waszym ciepłym układzie z Grand Vistas. Jak się zawiera kontrakt z diabłem, to idzie się do piekła.

— Czyżbyśmy zapominali o zasadzie poufności, Drummond? Nie wolno ci ujawnić tego, czego dowiedziałeś się jako nasz prawnik. Sąd wyda ci zakaz otwierania buzi, a ja złożę

przeciwko tobie pozew i skończy się wykluczeniem cię z palestry, głupi fiucie.

— Przeczytaj sobie zasady ujawniania korupcji w instytucjach.

— Zasady ujawniania korupcji? Jesteś prawnikiem, kretynie.

— No właśnie. Moja pełnomocniczka uważa, że właśnie to uczyni tę sprawę interesującą. Wiesz, nasze nazwiska mogą trafić do nazwy słynnego precedensu. Wyobraź sobie: „Drummond kontra Moner”. Brzmi nieźle, prawda?

Nastąpiła dłuższa pauza, a potem Jessica odezwała się zupełnie innym, przyjaznym tonem.

— Sean, posłuchaj. Oferta pracy u nas wciąż jest aktualna. Lubię twój styl. Spodoba ci się tutaj, będziesz bogaty. Nie spieprz tego.

— Nie zatrudnicie mnie, jeśli przeciwko wam wystąpię? Co za małostkowość, Jessico.

— No dobrze, teraz słyszę cię wyraźniej. Chodzi o forszę, tak? Wymień sumę, a ja ustalę wszystko z Jasonem.

— Świetnie. Dwa miliony rocznie.

— Co?

— Trzy miliony.

— Nie próbuj mnie szantażować, Drummond, bo cię zabiję...

— Cztery miliony.

— Ty cholerny palancie, ja...

— Pięć milionów.

Coś zatrzeszczało, a później nastąpiła pauza. Jessica zastanawiała się, ile może kosztować jej mielenie językiem.

— Pomyśl, Jessico, ile jest warte dla ciebie i Jasona utrzymanie w tajemnicy przed sądem i mediami waszego układu z Grand Vistas?

— No dobrze. Porozmawiam z Jasonem o trzech milionach. Dobrze?

— Nie. Dziesięć milionów.

— Więc teraz ty mnie posłuchaj, cienki kutasie. Nie igraj ze mną. Daję ci ostatnią szansę na życie w zdrowiu i bogactwie. Jeśli mnie wkurzysz, przysięgam, że będziesz tego żałował.

-Do zobaczenia w sądzie. - Odłożyłem słuchawkę.

Siedząc na łóżku, myślałem o rozmowie, którą właśnie odbyłem. Najwyraźniej Jessica była wtajemniczona. Ale czy miała jakiś związek z zabójcą? A może uczestniczyła tylko w przekręcie?

Zanim zdążyłem dokończyć tę myśl, znów zadzwonił telefon. To był Cy.

— Sean, musimy porozmawiać.

— Już rozmawialiśmy.

— Firma jest gotowa wycofać wszystkie zarzuty wobec ciebie i panny Morrow.

— Powinniście to zrobić wczoraj. A właściwie w ogóle nie powinniście ich stawiać.

— Może masz rację. - Cy najwyraźniej był lepszym negocjatorem od Jessiki, pobyt na Kapitolu wygląda człowiekowi kandy. - Czegoś nie rozumiem, Sean. O co chodzi z tym oszustwem, o którym mówiłeś?

— Nieźle kombinujesz, Cy.

— Wspomniałeś o współpracy z Grand Vistas. Barry się tym zajmował.

— Bo ty mu kazałeś.

— Tak. Ponieważ Jason poprosił mnie, żebym go wysłał. Co się dzieje? -

Cy jak zwykle sprawiał wrażenie szczerego, poważnego i obiektywnego, jakby był ponad tym wszystkim. Miał prawdziwy dar wciskania kitu w białych rękawiczkach. Chciał wybadać, ile dokładnie wiem - jak mało albo jak dużo - żeby mogli oszacować, jakie szkody mogę im wyrządzić.

W rzeczywistości wiedziałem bardzo mało. Jak już wspomniałem, zamysł był taki, żeby przycisnąć i zobaczyć, kto zareaguje, jak silnie i z jakich pozycji, może przy okazji dowiedzieć się, dlaczego reaguje.

Teraz na przykład okazało się, że firma jest gotowa wycofać zarzuty. Kiedy wychodziliśmy z Janet z siedziby kancelarii, panował tam inny nastrój, a to oznaczało, że osoba A musiała zadzwonić do osoby B, a osoba B powiedziała A, żeby dać sobie z tym spokój. Ale kim była osoba A? I kim była osoba B?

Ponadto wiedziałem już, że firma Morris Networks jest gotowa płacić mi trzy miliony rocznie, jeśli będę trzymał gębę na kłódkę - a może więcej, jeśli negocjowałbym z kimś bardziej spolegliwym niż Jessica Moner.

— Pytasz, co się dzieje, Cy? Więc ci odpowiadam: korporacyjny szwindel. Bez Grand Vistas firma Morris Networks byłaby warta tyle, co przynęta na sępy. Przyjdź do sądu, to o wszystkim usłyszysz.

— Sean, posłuchaj, Morris Networks to bardzo zyskowna i uczciwa firma.

Tak, a Cy bardzo się starał przekonać mnie, że o niczym nie wie, a co za tym idzie, że jest uczciwy.

— Udowodnij to w sądzie.

— Sean... nie rób nic, póki nie porozmawiamy.

- Jutro o dziesiątej - odparłem, odkładając słuchawkę.

Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie stary dowcip: Jak się nazywa zepsuty prawnik? Senator.

Poszedłem do kuchni i zaparzyłem kawę. Charlie rozciągał wzdłuż okien przewody alarmu elektronicznego. Toaletka została dosunięta do drzwi sypialni, które wzbogaciły się o dwa nowe zamki. Spinelli i Bill siedzieli przed ogromnym ekranem telewizora, oglądając powtórkę serialu *Nowojorscy gliniarze*. Spinelli jedną ręką drapał się po nosie, a w drugiej trzymał pistolet. Jeszcze jeden nudny dzień roboty w domostwie Seana Drummonda.

Zdażyłem sobie nalać kawę, kiedy znów zadzwonił telefon. Popędziłem do sypialni i złapałem słuchawkę przy czwartym dzwonku.

- Sean, tu Jason.

— Och, mam nadzieję, że nie odrywasz się od czegoś ważnego.

— Ależ skąd. Co się, do cholery, dzieje?

— Dzieje się tyle, że zostałem brutalnie napadnięty w biurcu twojej firmy przez prawnika reprezentującego twoją firmę, działającego pod naciskiem Jessiki Moner.

— To niedopuszczalne. Wywalę go.

— Ale to nie uleczy mnie z koszmarów.

— Och, daj spokój. - Roześmiał się. Ja milczałem. Przestał się śmiać, po czym powiedział:

— Sean, jesteś biznesmenem. Myśl jak biznesmen.

— Nie. Jestem oficerem armii amerykańskiej.

— Więc... Postaraj się myśleć jak biznesmen.

— O rany, czuję się jak ryba wyrzucona z wody. A jak wy, biznesmeni, myślicie w takich chwilach?

— Zadajesz sobie jedno pytanie: co w danym momencie jest dla ciebie najbardziej korzystne?

— Aha. Więc pomóż mi, Jason. Co by to miało być?

— Ugoda. Przecież wy, prawnicy, właśnie tak załatwiacie podobne sprawy, zgadza się?

— Jeśli oferta jest wystarczająco kusząca, tak.

- No dobrze, więc się zastanówmy. - W jego głosie słychać było pewność siebie i dreszczyk. Ten gość żył z targowania się, a ja byłem cielakiem utuczonym na społecznym korycie. Robił się czerwony ze złości, że jakiś nowicjusz może wyślizgać go na forsie.

Jakiś żart czy co?

Żeby utrzymać piłkę w grze, spytałem:

— Jakie warunki proponujesz, Jason?

— Tak naprawdę jeszcze o tym nie myślałem.

— Hm. Zaproponuj coś.

— Co byś powiedział na dziesięć milionów?

— A co byś powiedział na trzydzieści?

— Bądź poważny.

— Poważny? Pięćdziesiąt.

— Słuchaj... To mnóstwo forsy.

— Ups... Siedemdziesiąt. Trzaskaj dalej

dziobem, Jason, a za chwilę dojdziemy do stowy. Nawiasem mówiąc, taka właśnie suma znalazła się w naszym pozwie. Możliwe, że to nierealistyczna kwota, ale w razie czego zadowolę się tym, że stracisz parę miliardów na giełdzie. - Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać: - Teraz ty pomyśl jak biznesmen, Jason.

Nastąpiła długa pauza. Ten facet nie trząśł się, kiedy miał wydać kilkaset tysięcy dolców na ładny tyłeczek. Ale jeśli teraz będzie źle się targował, tysiące prawników i akcjonariuszy na wyścigi będzie walczyło o kawałek jego tyłka. Poza tym na pewno przypomniał sobie, że ostatnimi czasy paru rekinów przemysłu przespacerowało się w bransoletkach pod eskortą federalniaków.

- Siedemdziesiąt milionów jest możliwe - rzekł wreszcie. - Ale musiałbym znaleźć sposób, żeby zmieścić tę sumę w kosztach. Nie mogę tak po prostu wręczyć ci czeku... podatki, informacja dla komisji papierów wartościowych, zawiadomienie rady nadzorczej... Muszę to wszystko brać pod uwagę. Muszę jakoś wytłumaczyć, dlaczego wydałem taką kwotę. Może gdy byśmy przeprowadzili transfer akcji...

Jason mówił, a ja zastanawiałem się nad stawką i sumami, które padały. Siedemdziesiąt milionów.

To była niebezpieczna liczba, liczba trująca. Wiedziałem, że jeśli zacznę o niej myśleć, jeśli będę myślał przez jakiś czas, wyobrażał sobie, co można kupić za te pieniądze... Pacnąłem się w twarz.

— Jason, zastanowiłem się.

— Dobrze, Sean. Nie podoba mi się to, naprawdę, ale ja muszę mieć na względzie dobro ośmiu tysięcy ludzi, którzy u mnie pracują. Wall Street to ostatnio niebezpieczne miejsce. Nic złego nie zrobiłem, ale w tych czasach nawet plotka o jakichś nieprawidłowościach... Jezu, wystarczy szept i akcjonariusze naciskają spust.

Byłem zmęczony tym facetem i tą grą.

- Chciałem powiedzieć, że się rozmyśliłem co do pieniędzy. Do zobaczenia w sądzie, kolego.

Odłożyłem słuchawkę. Zadzwoiłem na komórkę Janet.

— Jak idzie? - spytałem, kiedy odebrała.

— Podle. Czuję się odstawiona na boczny tor.

— Niepotrzebnie. Zrobiłaś swoje, machina
poszła w ruch.

— Mów.

- Najpierw zadzwoniła Jessica Moner, później Cy, a potem Jason. Doszliśmy do siedemdziesięciu milionów za wycofanie pozwu.

Janet była twardą sztuką, a mimo to gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Chyba nie powinienem ci o tym mówić - dodałem - ale jesteś moją pełnomocniczką, więc zamierzałem odpalić ci połowę.

— Mm, to bardzo miło z twojej strony.

— Mam słabość do prawniczek. Oczywiście, nie zdążylibyśmy wydać nawet dziesięciu centów.

— To pocieszające - odparła Janet i po chwili spytała: - Sean, co jest grane?

— Wciąż nie wiem. Ale na pewno coś więcej niż omsknięcie w buchalterii.

— Masz rację. To dużo, żeby ukryć zwykłą nieprawidłowość finansową.

— Zacznijmy więc od początku - zasugerowałem.

— Dobrze. Co się stało na początku?

— Zaczęło się od tego, że Lisa, podobnie jak ja, została przydzielona do pracy na rzecz Morris Networks.

— Prawdopodobnie wybrali właśnie was ze względu na wasz brak doświadczenia w finansach firm.

— Słuszne założenie.

— Są prawnikami, a Barry na pewno - a być może także Cy, Bronson i pozostali - wiedział, że Morris drukuje firmowe księgi. Żaden z nich nie chciał zostawić na nich swoich odcisków palców. Chcieli naiwniaka, który wpadnie, na wypadek, gdyby do wpadki doszło.

— A gdyby wszystko wyszło na jaw - ciągnąłem myśl Janet - firma mogła zepchnąć brudy na nas. Wspólnicy powiedzieliby, że kierując się

patriotyzmem, zaproponowali swoje usługi armii w ramach programu i nie wiedzieli, że wojskowi prawnicy z JAG to niekompetentne oferty.

— Ale Lisa prawdopodobnie to odkryła, tak jak ty, i trzeba było ją wyeliminować.

— Właśnie.

— Jak wpadli na jej trop?

— Kiedy zaczęły ciekawić mnie wyniki audytu, przefaksowałem kopię bratu, który jest czarodziejem biznesu. On odczytał zestawienia finansowe i powiedział mi, w czym tkwi diabeł.

— A jak było z Lisa?

— Cały czas o niej mówimy. Jakie były specjalności pozostałych ofiar?

— Gwiazda telewizji, księgowa, prawniczka z Komisji Papierów Wartościowych i Ubezpieczeń... O cholera.

— Tak. Lisa natrafiła na coś podejrzanego, coś, czego nie rozumiała, więc przekazała dane finansowe Julii Cuthburt, która była księgową, i Annę Carrol, prawniczkę z SEC. One miały zinterpretować wyniki audytu.

— Ale jak firma się dowiedziała?

— Myślę, że to sprawka Hala Merriweathera.

— Dlaczego?

— Dwa razy dziennie dostaje wydruki z serwera. Podejrzewam, że kiedy Lisa wysłała e-maile do Cuthburt i Carrol, Merriweather rozpoznał adresy internetowe SEC i firmy, w której pracowała Cuthburt.

— A Fiorio?

— Może Lisa chciała z jej pomocą ujawnić ten przekręt. Nie wiem, jaka była jej rola, i dlaczego Fiorio została zamordowana.

— A ja? - spytała Janet. - Nigdy nie rozmawiałam z Lisa o tych sprawach.

— Zastanawiałem się nad tym.

— Mów.

— W e-mailach do ciebie, Cuthburt i Carrol Lisa wspominała o przesyłkach. Myślę, że chodziło o wyniki audytu. Przypuszczalnie Merriweather zakładał,

że ty też dostałaś kopię.

To były szalone spekulacje. Łączyłem punkty w powietrzu. Ale one naprawdę się łączyły. Po chwili Janet powiedziała:

- Więc wysłali zabójcę do Lisy i pozostałych, żeby pogrzebać dowody.

-Tak. A propos, zadzwoniłaś do swojego kolegi z Bostonu i poprosiłaś, żeby dowiedział się czegoś o Grand Vistas?

- Oczywiście. Powinam zadzwonić jeszcze raz, prawda?

Umówiliśmy się, że zadzwoni do niego, a zaraz potem do mnie. Wróciłem do pokoju stołowego, w którym Spinelli i jego kumple siedzieli na kanapie z gnatami w dłoniach, wlepiając wzrok w powtórkę *Policjantów z Miami*. Gliny uwielbiają filmy o glinach.

Poświęciliśmy kilka minut na omówienie przygotowań. Zaczęło się od sugestywnej rozprawy Charliego o słabych punktach mojego domu. Budynek wzniesiono mniej więcej przed pięćdziesięciu laty, gdy w budownictwie stosowano ciężkie stalowe dźwigary, ściany z bloków ze szlaki i bardzo grube warstwy betonu między piętrami. Gdyby dom był nowszy i mniej masywny, intruz mógłby wdrzeć się przez ścianę lub strop, ale tutaj to wykluczone. Wyjaśniłem Charliemu, że właśnie te cechy skłoniły mnie do kupienia tego mieszkania. Uznał to za bardzo śmieszne.

Potem pokazał mi urządzenie elektroniczne, które zainstalował na małym ganku przylegającym do saloniku: była to ciemna płytką działająca jak elektryczne ogrodzenie; prąd zaczynał płynąć pod wpływem dotknięcia i wibracji. Charlie zapewnił mnie, że gdybym przypadkiem zapuścił się na ganek, nic mi się nie stanie. Najwyżej podsmażą mi się końcówki włosów i poluzują zęby, ale napięcie jest tak dobrane, by sparaliżować człowieka, a nie zabić. Okna zostały pokryte ciemnym papierem, do którego podłączone zostały czujniki ruchu. Pod drzwiami Charlie umieścił miniaturową kamerę z przewodem światłowodowym, pokazującą przedpokój. Poza tym w saloniku stały naprzeciwko drzwi cztery metalowe tarcze stosowane

przez oddziały specjalne policji.

Kiedy już obejrzelśmy te wszystkie cacka i pułapki, Bill zapytał:

— Dlaczego uważasz, że on niedługo przyjdzie?

— Mam przeczucie.

- Skąd będzie w ogóle wiedział, że tu jesteś? – spytał Charlie.

— Oni śledzili Janet i mnie od kilku dni.

— Oni? - zdziwił się Spinelli. Chyba nie wspomniałem mu o tym, że zabójca miał pomocnika.

— Tak, oni. W walizce w samochodzie znaleźliśmy wiele zdjęć Janet i moich. Janet została sfotografowana tego samego dnia, w którym zginęła Lisa. Zdjęcie zostało zrobione w Bostonie. Weź to pod uwagę.

— Bez jaj.

— On nie działa sam. Ma wspólnika, który zbiera informacje, przypuszczalnie zajmuje się logistyką i przygotowuje zabójstwa.

Spinelli pokręcił głową.

— To dzięki temu udało mu się zabić tyle osób w tak krótkim czasie.

— Powinniśmy zakładać, że widzieli, jak wychodzę z firmy i wracam do domu.

Zadzwoił telefon, więc poszedłem do sypialni. To była Janet.

— Złapałam Johna w domu. Mówi, że w bazach danych nie ma żadnych informacji o Grand Vistas.

— Czy to jest dziwne?

— Jak na prywatną międzynarodową firmę, która nie robi wielkich interesów w Stanach, nie. John zadzwonił do amerykańskiego konsulatu na Bermudach. Konsulat znalazł adres i posłał tam człowieka. Grand Vistas zajmuje niewielkie biuro przy Hamilton Street. Wysłannik konsulatu rozmawiał z właścicielem domu i dowiedział się, że Grand Vistas wynajmuje biuro od czterech lat. Właściciel twierdzi, że rzadko widuje, żeby ktoś wchodził do siedziby firmy albo z niej wychodził.

— Co to znaczy?

— John mógł się tylko domyślać, ale

powiedział, że w biurze może się znajdować
przekaznik telefoniczny. Biuro spełnia wymogi
potrzebne do rejestracji, ale rozmowy telefoniczne
kierowane są gdzie indziej.

— Czy to nie dziwne?

— John uważa, że nie. Spółki chcące korzystać
z zasad

opodatkowania na Bermudach często rejestrują takie puste skorupki. Później zadzwonił do SEC i spytał swoich znajomych, czy wiedzą coś o Grand Vistas.

— I co?

— Nigdy nie słyszeli o takiej firmie.

— Coś jeszcze?

— Jedna rzecz. SEC wysłała otwarte zapytanie do swoich odpowiedniczek we wszystkich krajach europejskich. Wiadomość została oznaczona jako pilna, więc miejmy nadzieję, że odpowiedź nadejdzie szybko.

Nastąpiła dłuższa pauza, a później Janet powiedziała:

— Sean, czas powiedzieć o wszystkim George'owi.

— Czy on tam jest?... Z tobą?

— Nie. Podwiózł mnie tutaj i zaraz pojechał czegoś dopilnować. Zostawił mi numer swojej komórki.

— Na razie mu nie powiemy. Jeszcze nie teraz.

— Czego się obawiasz?

— Mówiłem ci, kto obsługuje bazy danych i połączenia internetowe FBI. Morris Networks.

— To brzmi strasznie.

Miała rację. To brzmiało strasznie.

Ja jednak cieszyłem się, że kawałki układanki wreszcie wskakują na swoje miejsca. Był zabójca, był motyw i byli wspólnicy, czyli odpowiedzi na podstawowe pytania w śledztwie: kto, dlaczego i jak. Zgadza się?

Bynajmniej. Nie mogłem uwolnić się od wrażenia, że brakuje czegoś bardzo istotnego i ważkiego, że próbując poskładać wszystko w całość, spoglądam w złą stronę.

ROZDZIAŁ 40

Siedzieliśmy więc sobie razem w moim saloniku, opatuleni w kamizelki kuloodporne, opowiadając sobie różne historie, oglądając telewizję na wielkim ekranie, gryząc popcorn - słowem uskutecznialiśmy rutynowe zajęcia wypełniające czas oczekiwania na wizytę zawodowego mordercy.

Armia zużywa mnóstwo energii i wydaje masę forsy, żeby zrozumieć rzeczy, które nie obchodzą nikogo prócz żołnierzy. Na przykład, jaka jest najlepsza pora na atak. Według ogólnej teorii jest to czas między trzecią a piątą rano, kiedy sen jest najgłębszy, księżyc świeci najślabiej, a programy telewizyjne najgorsze - co w naszym przypadku było ważne. Po Jayu Leno zaczyna się bezdenna czeluść. A czasem już przed Jayem.

Po drugiej zostały nam reklamówki informacyjne, a mnie brakowało pary, podobnie jak Spinellemu, bo wczorajszą noc obaj spędziliśmy na krucjacie, spiesząc na ratunek Janet.

Charlie trzymał nos przed małym ekranikiem podłączonym do kamery w holu.

O czwartej przyszła mi do głowy myśl, że zabójca spróbuje mnie sprzątnąć rano, kiedy będę jechał do sądu. Z wielu

powodów ruchome cele są łatwiejsze do zdjęcia niż stacjonarne. Ale może tylko szukałem pretekstu, żeby się przekimnąć.

Bardziej niepokojącą możliwością, o której starałem się za dużo nie myśleć, była ta, że nikt się na mnie nie czai. Trafnie odgadłem, że zamach na Janet nastąpi w Bostonie, lecz zgadywanie jest jak rzucanie monetą: szanse są pół na pół.

Pięć po czwartej Charlie odsunął nos od monitora.

— Ktoś tam jest - oznajmił. - Przy końcu korytarza. Nie widzę dokładnie, bo stoi za daleko.

— To może być sąsiad, który idzie pobiegać albo do pracy - odpowiedział mądrze Bill.

Oczywiście, mogło tak być. Mimo to wszyscy chwycili za karabiny i pistolety. Poprawiliśmy kamizelki i schowaliśmy się za tarczami. Zacząłem żałować, że nie mam broni.

- Strzelamy, żeby zabić - szepnął Spinelli.

Właściwa rada powinna brzmieć: „Używamy tylko tyle siły, ile to konieczne”, a ja, jako prawnik, powinienem czym prędzej pospieszyć z poprawką. Ale dałem sobie spokój. Ci, którzy w takich sytuacjach zajmują się drobiazgami, często giną.

Upłynęło kilka minut, w czasie których Charlie nie odrywał oczu od monitora. Trwało to tak długo, że wszyscy zaczęliśmy się odprężyć, gdy nagle na ganku rozległ się straszny, głośny wrzask. W tej samej chwili zgasł telewizor i światło. Najwyraźniej na ganku doszło do spięcia.

Spinelli odwrócił się momentalnie i zaczął walić raz po raz w szybę drzwi, która rozprysła się na zewnątrz.

Bill, który klęczał obok mnie, nagle złożył się wpół. Potem Charlie poleciał w tył i runął z łoskotem

na ziemię.

- Jasna cholera! - wrzasnął Spinelli, nie przestając strzelać z M16 przez rozwalone drzwi. Nagle zmaterializowały się tam trzy ciemne postaci zwisające na linach, mierząc do nas z wytłumionych karabinów, zasypując moje mieszkanie gradem pocisków.

Sekundę później drzwi mieszkania pękły od ogromnego wybuchu, który wyrzucił w powietrze chmurę drewnianych drzazg.

Dość tej zabawy w walkę bez broni. Sięgnąłem po karabin Billa, przetoczyłem się i wymierzyłem w drzwi. Strzeliłem dwa razy do ciemnej sylwetki, która wpadła do środka, ale nie byłem pewien, czy trafiłem. Pojawiła się następna, strzeliłem, i tym razem trafiłem w środek tułowia. Facet poleciał w tył.

Spinelli wystrzelał cały magazynek M16 i walił teraz z pistoletu. Wciąż strzelał, kiedy się obróciłem, mimo że ciemne postaci na linach znikły.

Zapadła cisza.

— Naładuj i leż na ziemi - rzuciłem.

— Coś mi wystaje z ramienia - odparł Spinelli.

Pomacałem dookoła siebie. Natrafiłem ręką na ciało, a potem na głowę z miękkimi włosami; to był Bill. Dotknąłem szyi i nacisnąłem, szukając pulsu. Usłyszałem jęk. Serce wciąż biło, chociaż słabo, ale to wystarczy. Szukałem dalej, aż wreszcie namacałem Charliego. Pulsu nie było. Niech to szlag.

Dzwoniło mi w uszach, ale po chwili uprzytomniłem sobie, że słyszę syreny. Próbowałem wyobrazić sobie, co się stało: trzech facetów wisiało na linach na ganku, a co najmniej jeszcze dwóch próbowało wdrzeć się do środka przez drzwi. Nie jeden, ale pięciu. Co jest, do cholery?

Nagle zadzwonił telefon. Podczołgałem się i podniosłem słuchawkę.

- Zawołaj Drummonda - rozkazał męski głos.

Baryton, lecz o dziwnym mechanicznym zabarwieniu, jak gdyby mówiący wypalił milion papierosów albo jakby głos przechodził przez skomplikowane urządzenie elektroniczne.

- Kto mówi, do cholery? - zapytałem. Nie wiedziałem, kto dzwoni, ale wiedziałem, po co: ktoś chciał sprawdzić, czy żyję, czy trzeba mnie załatwić. Nie jestem głupi, więc nie zamierzałem niczego

potwierdzać.

Po drugiej stronie rozległ się dziwny śmiech.

— Powiedz Drummondowi, że mówi ćwok z Bostonu. Przestań marnować mój czas i dawaj go.

— Mogę coś przekazać? - spytałem.

- He, he. Zabawny z ciebie gość, Drummond.
Cholera.

— A ty jesteś zasranym nieudacznikiem. Spartaczyłeś już drugi raz. Najpierw z Janet Morrow, a teraz ze mną. Twój szefowie już wiedzą o tej wpadce?

— To nie była moja robota. Ja tylko wpadłem, żeby sobie popatrzeć.

Co za palant. Miał jeszcze większe ego, niż sobie wyobrażałem.

— Zapomniałem. Ty zabijasz tylko nieuzbrojone kobiety.

— Zabijam, kogo chcę - odparł, po czym dodał groźnie: - Na przykład zabiję ciebie.

— Przed czy po tym, jak zawieszę na ścianie twoją obleśną dupę?

— A masz jeszcze jakieś ściany? - Roześmiał się. - Słyszałem głośny wybuch.

— Mieszkanie i tak potrzebowało remontu. Podziękuj kumplom w moim imieniu.

— Przekażę. Ale zapomnij o remoncie. Strata forsy.

— Nie jesteś w mojej lidze, dupku. Ty zabijasz nieuzbrojone kobiety.

— Zdziwiłbyś się, Drummond. Ciągle załatwiam facetów.

— Masz rację... Zdziwiłbym się. Pewnie wmawiasz sobie, że świństwa, które zrobiłeś tym kobietom, miały na celu wyprowadzenie w pole gliniarzy. Ale prawda jest taka, że jesteś małym chorym zbrodnicem i w głębi duszy cię to bawiło.

— Teraz jesteś świroląpem? Trzymaj się lepiej prawa. Roześmiałem się.

— Nie mogę się doczekać, kiedy cię spotkam.

— Nie zobaczysz, jak się zbliżam.

- Już cię widziałem. Duży, głupkowaty palant, który tak naźarł się sterydów, że jego malutki fiut przestał działać. Może dlatego z taką lubością zabijałeś te kobiety.

Milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Ksiądz... To ty byłeś tym, który krzyczał?

— Wypowiadaj się przede mną, popaprańcu. Opowiedz, jak mama cię poniewierała, jak zdradzała tatusia i jak pokiełbało ci się od tego we łbie.

— Zrobię coś lepszego. Opowiem ci historię mojego życia, obcinając ci jeden kawałek ciała po drugim.

— Będę się rozglądał za wielką cipą w damskich majtkach.

— Rozglądaj się, za czym chcesz, Drummond. Nigdy nie wyglądam tak samo.

— O swoich problemach z tożsamością porozmawiaj z kimś innym, bo mnie to gównu obchodzi. - Po krótkiej chwili ciszy zapytałem: - Nawiasem mówiąc, kto cię szkolił?

— Uczyłem się z podręczników samoobrony i z praktyki. A ciebie?

- Siostrzyczka. Ale to wystarczy, żebym złapał cię za dupę.

Roześmieliśmy się jak dwóch nastolatków, obrzucających się dziecinnymi obelgami i groźbami. Lecz my wypowiadaliśmy groźby poważnie. I obaj mogliśmy je spełnić, bez względu na to, kto nas szkolił.

- Ale gwoli ścisłości, Drummond, ty nie masz siostrzyczki. Brata Johna, matkę i ojca, którzy mieszkają w Kalifornii, ale nie siostrę. Mam w kieszeni ich adresy.

Nagle zrobiło mi się zimno.

- Nawet o tym nie myśl, kutasie. Spróbuj się do nich bliżyć, a zginiesz nieopisanie bolesną śmiercią.

Roześmiał się.

- Miło było. Naprawdę lubię poznawać ofiary. Dzięki temu moja robota o wiele lepiej zapada w pamięć i dużo więcej znaczy.

Zanim się rozłączył, o czymś sobie przypomniałem.

— Nie powinieneś czasem udzielić rabatu firmie Morris Networks? Czy nie miałeś mnie załatwić, zanim wpadłem na trop przekrętu i ujawniłem go?

— Nie wiem, o czym gadasz.

— O Morris Networks, pajacu. O tych fagasach, którzy przepłacają cię za wpadki i pudła. Wiem wszystko o Jasonie

Morrisie, o Halu Merriweatherze i... o prawnikach, którzy z nimi współpracują.

— Drummond, zaczynasz mnie wkurzać.

— Poczekaj, aż cię zabiję, łamago.

— I dam ci możliwość powiedzenia mi, jak bardzo żałujesz swoich wyzwick. - Zrobił krótką pauzę i dodał: - Nie zapomnij przekazać moich pozdrowień pannie Morrow. Powiedz, że o niej nie zapomniałem. - Rozłączył się.

W tej samej chwili do domu wpadły gliny i rozpętało się piekło.

ROZDZIAŁ 41

Wdarli się przez rozwalone drzwi niczym oddział antyterrorystyczny i poturlali się po podłodze, wrzeszcząc jak wariaci. Światła wciąż się nie paliły, więc krzyknąłem:

— Tu sami swoi.

— Drummond? - odpowiedział mi jakiś głos. Był znajomy, choć go nie rozpoznałem.

- A kogo się, kurwa, spodziewałeś, Martin?! – ryknął Spinelli. - To przecież jego cholerne mieszkanie!

Zapaliły się dwie latarki. Ktoś wrzasnął:

- Broń na ziemię, ręce nad głowę!

Położyłem karabin, podniosłem ręce i wstałem. Latarki i karabiny policjantów wciąż skierowane były w naszą stronę.

— Hej, palancie, powiedziałem ręce nad głowę!

- krzyknął policjant.

— Zamknij się, kurwa twoja mać - odparł kwaśno Spinelli. - Mam kawał drewna w ramieniu.

- Wrzućcie wszyscy na luz - powiedziałem.

Jakimś cudem tak właśnie zrobili.

Kiedy gliniarze zebrali broń i ustalili, że wszyscy są rozbrojeni, nieprzytomni albo martwi, drzwiami weszło jeszcze dwóch ludzi.

Najpierw wpadł do środka pielęgniarz. Skierowano go do Billa, któremu pomoc była bardziej potrzebna niż Charliemu, bo ten, niestety, nie żył. Następnie wkroczył George Meany w eleganckiej, granatowej kurtce FBI, czapce FBI i koszuli z takim samym napisem. Nie wątpię, że na tyłku też miał wytatuowane FBI.

Nie uszło też mojej uwagi, że Meany poczekał, aż Martin zabezpieczy miejsce napadu, i dopiero do nas dołączył. George był bystrzejszy, niż myślałem. Tylko troszkę tchórzliwy.

Gdy zerknąłem na zegarek, zauważyłem coś jeszcze. Pamiętam, że strzelanina zaczęła się o czwartej pięć; nie wiedziałem, jak długo trwała ani nawet jak długo gawędziłem z panem Dupkiem przez telefon, ale Martin i jego ludzie zjawili się diabelnie szybko. Było dopiero kwadrans po czwartej, a super-glina Meany - nie śpi i zjawia się na miejscu przestępstwa w pełnym rynsztunku.

Nim zdążyłem się nad tym głębiej zastanowić, zapaliły się światła i zobaczyłem jatkę. W przedpokoju leżały dwa ciała: jedno przy drzwiach, a drugie rozpląszczone na ścianie jak mucha trzaśnięta packą. Będę musiał zainwestować w nowe meble, naprawę ścian, dywany i tak dalej. Napastnicy, którzy wisieli na linach, mieli tłumiki, więc do tej pory nie miałem pojęcia, ile ołowiu wpakowali do mieszkania przez drzwi balkonowe. Ściany wyglądały jak posypane pieprzem, a z wielkiego telewizora zostało wielkie rzeszoto. To cud, że tylko Bill i Charlie dostali.

Zauważyłem też, że trzy czwarte gliniarzy było ubranych jak Meany. A więc miałem w domu najazd fedziów.

Porucznik Martin rozejrzał się.

— Jezu Chryste, co tu się stało?

— Dałem dupy. Pozwoliłem Spinellemu zostać u siebie na noc.

Spinelli i ja roześmieliśmy się. Wszyscy popatrzyli na nas jak na wariatów.

Wciąż byliśmy podenerwowani, nie wyszliśmy z szoku po tej zabawie, w której wystąpiliśmy w roli kaczek na strzelnicy. Zwłaszcza porucznik Martin nie docenił mojego czarnego humoru; wskazał na stos łusek z karabinu i pistoletu M16 i zapytał:

— Czyje to?

— Moje - odparł Spinelli. - Powiedz swoim palantom, żeby ich nie dotykali. - Danny w swoim stylu łagodził sytuację.

— Może wyśle pan swoich ludzi na dach? - zaproponowałem. - Trzech napastników wisiało na linach.

Martin pokrzykiwał na podwładnych, a tymczasem George Meany stanął w rogu i mówił coś cicho do telefonu. Wcale mi się to nie podobało.

Najbliższy karabin leżał półtora metra od mojej stopy. Czy udałoby mi się go podnieść i władować serię w tyłek George'a tak, żeby nikt nie zauważył?

Ale Martin zasypywał mnie pytaniami: czyje ciała leżą na podłodze, dlaczego leżą na mojej podłodze etc. Zignorowałem więc George'a Meany'ego i odparłem:

- Zanim cokolwiek powiem, muszę się skontaktować z moim prawnikiem.

Martin pokręcił głową.

- Przecież pan jest zakichanym prawnikiem.

Sfrustrował się jeszcze bardziej, kiedy wskazałem Spinellego i oznajmiłem:

- Tak. Jestem jego prawnikiem, a on nie ma nic do powiedzenia.

Meany usłyszał tę wymianę zdań i zatrzasnął telefon.

— Zapomnij o tym, Drummond.

— O czym mam zapomnieć, George? - Meany najwyraźniej postanowił wkroczyć do akcji i pokazać lokalnym półgłówkom, jak się postępuje z opornym świadkiem.

Widać było, że nie przypadła mu do gustu moja odpowiedź i jej ton.

- Będziesz się musiał gęsto tłumaczyć,

Drummond. Chyba masz mnie za głupka, jeśli myślisz, że pozwolę ci kręcić w sprawie twojego alibi.

W rzeczy samej wiedziałem, że jest głupkiem. Ale powstrzymałem się przed powiedzeniem mu tego w oczy.

- Czy ty przypadkiem masz dyplom prawnika?

— Mam dyplom z księgowości. I co z tego?

— Ale jesteś oficerem służby federalnej, więc na pewno cię nauczono, że nie można pozbawiać mnie prawa do ochrony prawnej.

— To coś innego...

— Dlaczego?

— Bo byłeś w to zamieszany... cokolwiek to było.

— Przepięstwo?

— Możliwe...

— Jestem podejrzanym?

— Możliwe...

— A jakiego przestępstwa się dopuściłem?

Meany uśmiechnął się; myślał, że umie grać w tę grę.

— Może żadnego.

— Słyszałeś, Danny - powiedziałem do Spinellego. - Możemy iść.

Zmierzałem do drzwi, kiedy Meany wrzasnął:

— Nie waż się, kurwa, ruszyć!

— Powiedziałeś, że nie popełniono żadnego przestępstwa. Wyjdę, jeśli zechcę.

— Istnieje możliwość, że popełniono przestępstwo.

— Naprawdę? Wobec tego prawo nakazuje ci poinformować mnie, jakie przestępstwo popełniłem. Poczytaj sobie poprawkę Mirandy, koleś.

— Nie wykluczam zabójstwa, strzelaniny, zakłócania spokoju... Nie będę wiedział, dopóki cię nie przesłuchamy i nie dotrzemy do sedna.

Spojrzałem na Martina.

- Słyszał pan, jakie zarzuty stawia mi ten człowiek? Podejrzewa, że jestem podejrzanym. To podejrzenie bez wątpienia obejmuje też mojego współnika, pana Spinellego. Domagamy się rozmowy z

pełnomocnikami.

Martin patrzył na Meany'ego i chyba uświadomił sobie, że spogląda na idiotę. Pękało mi serce, że nie ma przy tym Janet, bo mogłaby przekonać się na własne oczy, jaki z niego kretyn. Ja okazałem się sprytny i bystry, a on był durniem.

Jeśli chodzi o Martina, to lubiłem go i trochę go żałowałem. Cała ta sprawa była dla niego nieco zagmatwana.

Martin miał jednak dość oleju w głowie, by się połapać, że Meany właśnie zaprzepaścił szansę przesłuchania na miejscu przestępstwa. Porucznik przewrócił oczami i skinął głową.

Ja zaś zachowywałem się jak kutas zgodnie z ogólną prawniczą zasadą, że trzeba zachowywać się jak kutas. Poza tym nie byłem pewien, czy mam problem prawny, czy nie. Uzbrojeni napastnicy, kimkolwiek byli, wdarli się do mojego domu. Według prawa stanu Wirginia właściciel domu może podjąć odpowiednie kroki w celu ochrony siebie i swojej własności. A gdy drzwi twojego domu zostają wysadzone w powietrze, a oddział strzelców wali do ciebie seriami, pojęcie „odpowiednie kroki” staje się bardzo szerokie.

Spinelli i jego koimpre mieli pozwolenie na noszenie broni, więc na tym odcinku byliśmy koszerni. Poza tym mieliśmy zezwolenie dowódcy żandarmerii. Ale o tym jeszcze nie wspomniałem, bo wówczas ktoś musiałby się zastanowić, skąd wzięła się potrzeba wydania takiego zezwolenia. I dlaczego trzech uzbrojonych żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych z naładowanymi pistoletami rozbiło obóz w mieszkanku Seana Drammonda.

Martin i jego chłopcy nie byli głupcami. Obejrzawszy nasz arsenał, tarcze i systemy antywłamaniowe, zaczęli drapać się po zmarszczonych czołach i zastanawiać, co się tu, do cholery, dzieje.

George Meany był idiotą, a nawet on wiedział, że coś tu śmierdzi.

Ale na szczęście zapanował chaos. Wniesiono pięć par noszy, wokół ciał zgromadziło się sześciu pielęgniarzy, paru gliniarzy i detektywów. Ludzie

Martina obrysowywali kredą ciała, Billa wynoszono na noszach z kroplówką podłączoną do ręki, a jakiś sanitariusz próbował nakłonić rozeźlonego Spinello, żeby położył się na noszach. Nawiasem mówiąc, Spinelli miał rację: z jego ramienia wystawał spory kawałek drewna.

Właśnie wtedy w drzwiach stanęło dwóch facetów w szarych garniturach. Jeden z gliniarzy zagroził im drogą, a porucznik Martin zerknął w ich stronę i odpowiednio do sytuacji ryknął:

- Miejsce przestępstwa, panowie! W tył zwrot i do widzenia!

- Niech wejdą - powiedział Meany.

Co?

Starszy z dwóch podszedł pewnie do Martina, mignął dokumentami i rzekł:

- Może zamienimy słówko w przedpokoju, poruczniku.

Najbardziej zaniepokoiło mnie to, że ustawił się w taki sposób, żebym nie mógł zobaczyć dokumentów. Ale musiały być dobre jak cholera, bo Martin wzruszył ramionami i wyszedł posłusznie do przedpokoju. Drugi został i mi się przyglądał. Zauważyłem jednak, że skinęli sobie głowami z George'em. Niedobrze, bardzo niedobrze.

Zauważyłem też, że dwaj dżentelmeni w szarych garniturach nie wpisali się na listę mundurowemu stojącemu w drzwiach, a zgodnie z prawem musi to zrobić każdy, kto zjawia się na miejscu przestępstwa. A porucznik Martin w żaden sposób o tym nie wspomniał. To też źle wróżyło.

Mniej więcej po minucie Martin wrócił, a z nim dwaj nieznajomi.

- Ci dżentelmeni zabiorą pana w odpowiednie miejsce, gdzie zostanie z panem przeprowadzona rozmowa.

Gwoli wyjaśnienia: gliniarze przesłuchują, a inne agencje przeprowadzają rozmowy. To brzmi grzeczniej. Nie jest grzeczniej sze, ale tak brzmi.

- Może być - mruknąłem, jakbym miał coś do powiedzenia.

Spojrzałem na George'a i uśmiechnąłem się.
George wyjątkowo odpowiedział tym samym.

— Hej, George, zdaje mi się, że jeden z
napastników zostawił na ganku parę naboí. Sprawdziłeś
je już?

— Co? Nie... Zaraz... - Odwrócił się i wyszedł
na ganek. - Aaaa!

Stałem między dwoma dżentelmenami w szarych garniturach, którzy, nawiasem mówiąc, zapomnieli podać mi swoje nazwiska i pokazać dokumenty. Zauważyłem też, rzecz jasna, że oni także zjawili się diabelnie szybko, co jeszcze bardziej zwiększyło moją ciekawość.

No cóż, dobre rzeczy zdarzają się tym, którzy umieją czekać.

Złe również.

ROZDZIAŁ 42

Wyobraźcie sobie moją radość, kiedy znalazłem się w czarnej rządowej limuzynie pędzącej aleją George'a Washingtona. I moje absolutne zaskoczenie, gdy skręciliśmy w stronę Langley i minąwszy budkę strażniczą, zatrzymaliśmy się przed ogromniastą kwaterą główną Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Warto w tym miejscu powiedzieć parę słów o tak zwanych „rozmowach”. Lista pieniących się odmian federalniaków, którzy podejmują różne szemrane działania i noszą papiery stróżów prawa, zrobiła się dłuższa niż ręka. Jest DEA, NSA, DI A oraz kilka agencji antyterrorystycznych tak nowych, że ich inicjały nie są jeszcze rozpoznawalne, a ostatnio nawet IRS, inspektorzy pocztowi i celnicy wpychają się w szeregi tych, którzy strzegą bezpieczeństwa narodowego.

A jednak, kiedy pomyśli się o wymuskanych, napuszonych, cichociemnych palantach, to kto przychodzi do głowy?

Tak czy owak, ja i trzech moich opiekunów ze szczękościskiem wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy w stronę gmaszyska. Po chwili nadjechały trzy czarne crown victorie i z jednej z nich wysiadła Janet. Ucieszyłem się, że ją widzę, ale nie ucieszyło mnie, że widzę ją akurat tu. Cmoknęła mnie w policzek i ścisnęła za ramię, co mi się podobało. Rozmawialiśmy tylko przez chwilę. Janet powiedziała mi, że zadzwonił do niej George Przygłup i poinformował o incydencie w moim miesz-

kaniu. Roztrząsanie tego w obecności szarych garniturów nie było dobrym pomysłem, więc obiecałem jej, że później o tym pomówimy.

Ale wracając do kwestii CIA: armia i CIA grają w tej samej drużynie, a w mojej robocie, jak możecie sobie wyobrazić, często stykałem się z ludźmi z Agencji. I stwierdziłem, że prawie wszyscy bez wyjątku są lojalni, inteligentni, dzielni i pełni patriotycznych uczuć. Lecz gdyby zdarzyło się wam znaleźć z którymś z nich pod prysznicem, to trzymajcie jedną ręką za gałkę gorącej wody i broń Boże nie upuszczajcie mydła... Bo wiecie, to jest silniejsze od nich.

Nasi niemi ochroniarze skierowali nas do środka, załatwili przepustki i zaprowadzili do windy, która błyskawicznie zawiozła nas na czwarte piętro. Twarz Janet wyrażała zdumienie - można by rzec, przypominała buzię Dorotki po tym, jak trąba powietrzna rzuciła ją w sam środek nieznannej krainy pełnej dziwnych ludzi, złych wiedźm i czarodziejów. Ta metafora, nawiasem mówiąc, świetnie pasowała do naszej sytuacji; w tym gmachu nikt nie jest tym, na kogo wygląda, występują ciągłe trudności w dostawach serc, a czasem i mózgów, zaś za nieprzeniknionymi zasłonami dzieje się mnóstwo przedziwnych świństw.

Wprowadzono nas do sali przypominającej mały teatr i kazano usiąść, co też zrobiliśmy. Obejrzałem się; naszych ochroniarzy nie było. Pewnie zniknęli w zapadni albo w czymś podobnym.

Janet się rozejrzała.

— Co my tu robimy?

— Pierwszy raz tutaj jesteś?

— Oczywiście.

— Trzymaj skrzyżowane nogi, niczego nie podpisuj. I mam nadzieję, że bierzesz pigułki.

Pokręciła głową. Pewnie uważała, że próbuję być zabawny lub melodramatyczny. Myliła się.

Drzwi za nami się otworzyły. Weszli kobieta i mężczyzna. Mężczyzna wyglądał jak typowy agent CIA: średnia budowa ciała, nieokreślona waga, rysy twarzy i wiek; z takim mógłbyś spędzić długi weekend na nartach i nie zapamiętać, jak wygląda; mógłbyś też zapomnieć jego imienia i tego, że w ogóle jeździłeś na nartach. Pamiętałbyś tylko tyle, że ktoś zerznął cię pod prysznicem, ukradł dowód tożsamości i karty kredytowe.

Kobieta była starsza, dobiegała siedemdziesiątki. Białe włosy, delikatne, miękkie rysy. Wyglądała jak babcia, tak była ubrana i tak też się zachowywała. Ale jak wspomniałem, w CIA nic nie jest tym, na co wygląda. Babunia pewnie dla zabawy wtykała psiakom petardy w tyłek.

Usiedli w rzędzie przed nami. Mężczyzna odwrócił się i powiedział:

- Jestem Jack MacGruder, a to jest Phyllis Carney. Odpowiadam za operację „Koń trojański”. Phyllis jest moją szefową.

Nagle przyszło mi na myśl, że moje podejrzenia co do Grand Vistas były słuszne: jest to przykrywka jakiejś obcej agencji wywiadowczej, a ta pani też bawi się tymi klockami i teraz pogramy trochę w prawdę i fałsz.

Ale zanim zdołałem się odezwać, facet, który przedstawił się jako Jack MacGruder, odwrócił się do budki udającej kabinę projekcyjną.

- Zgaście światła i zaczynamy.

CIA uwielbia gry umysłowe. W tym wypadku chodziło o to, by nas zaszokować i spotęgować napięcie.

Światła zgasły posłusznie. Na ekranie pojawiło

się kilka rozbłysków, a później napis:

„Operacja «Koń trojański», TOP SECRET, sekcja L-5”.

Bez dalszych wstępów pan MacGruder zaczął:

- W roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym prezydent Clinton podpisał tajną decyzję nakazującą Centralnej Agencji Wywiadowczej utworzenie zespołu do śledzenia nielegalnych funduszy na całym świecie. Rozkaz ten był skutkiem ogólnej frustracji wywołanej działalnością baronów narkotykowych w Ameryce Południowej. Próbowano wielu metod, by ukrócić ich interesy i położyć kres potęgze i wpływowi. Wszystkie zawiodły. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku Kolumbia została zamieniona przez baronów w jedną wielką kostnicę; kartele były dosłownie silniejsze od państwa. Ostrzegliśmy prezydenta, że bałkanizacja Kolumbii może się rozprzestrzenić na inne kraje Ameryki Łacińskiej, co doprowadzi do destabilizacji nowych demokratycznych rządów, którym brakowało zarówno sił policyjnych, jak i zamożności, by przeciwstawić się pieniądzom z narkotyków.

Na ekranie ukazał się nowy obraz: mapa świata z setkami inicjałów w małych kwadracikach na terytoriach niektórych państw. Powinienem wspomnieć, że nikt nie robi takich slajdów jak amerykański rząd. Mam też dziwną teorię, według której wygraliśmy zimną wojnę dlatego, że tamci nie umieli upakować na stronie takiej ilości szajsu, jak my. Ale odłóżmy to na inną okazję.

Tymczasem facet nazwiskiem MacGruder mówił dalej:

- Ale my w CIA martwiliśmy się również powstawaniem innych międzynarodowych grup, takich jak mafia, która przejęła kontrolę nad znaczną częścią

rosyjskiej ekonomii, i organizacjami terrorystycznymi, takimi jak Al-Kaida. Tą ostatnią, jak wiadomo, dowodzi fanatyczny milioner, otrzymujący miliony dolarów w formie nielegalnych datków i inwestujący własne pieniądze w rosnącą siatkę. Na tym obrazie widzimy przyporządkowane poszczególnym krajom organizacje przestępcze i terrorystyczne, które uważamy za zagrożenie dla interesów Ameryki.

Cóż, lista była bardzo długa, ale po CIA nie można się spodziewać niczego innego. Nie chcę powiedzieć, że ktoś mnoży zestawienia łotrów czy coś w tym rodzaju, ale zauważyłem grupę o nazwie GSA, czyli Girl Scouts of America. Już nigdy więcej nie zjem na ulicy ciasteczka od harcerki. Kocham ojczyznę.

W tym momencie wtrąciła się Phyllis.

- Jak państwo widzą, mamy do czynienia ze zróżnicowanym problemem o ogromnym zasięgu. Zdziwilibyście się, jakie sumy nielegalnych pieniędzy przepływają każdego roku na

świecie. Oceniamy, że jest to ponad bilion dolarów. A są to oszczędne szacunki. Może to być dwa lub trzy razy więcej. Chińskie triady, japońska jakuza, generałowie z Birmy, bałkańscy watażkowie, afrykańscy władcy plądrujący swoje kraje... Lista nie ma końca.

— Widzą państwo nasz problem? - spytał MacGruder.

— Pieniądze? - odpowiedziałem pytaniem.

— Nielegalne pieniądze - poprawił MacGruder.

- W około dwustu walutach, przepuszczane przez banki, za pomocą transakcji elektronicznych, niewidzialne... Ich odseparowanie i wytropienie stało się niemożliwe. Ilekroć znajdziemy nowy sposób, oszuści stają się odrobinę sprytniejsi i wymyślają nowy przekręt. Współpracują z nimi najlepsi bankierzy na świecie z Genewy i Nowego Jorku. Zatrudniają absolwentów MBA z Harvardu i uniwersytetu Pensylwanii. Są wyrafinowani i pomysłowi, wierzcie mi.

— A fundusze wykorzystują, żeby kupować bomby, karabiny, materiały nuklearne, wpływy polityczne i śmierć - ciągnęła Phyllis. - Szekspir naprawdę miał rację: pieniądze są źródłem wszelkiego zła. Co rok sto tysięcy Amerykanów umiera z powodu narkotyków. Całe państwa - Meksyk, Rosja, wiele krajów Ameryki Środkowej i Afryki, oraz oczywiście Kolumbia, jak wspomniał Jack - są właściwie rządzone przez zbrodnicze kartele. Z niedawno przeprowadzonego badania w Rosji wynika, że przeciętny Rosjanin płaci w łapówkach połowę tego, co w postaci podatków. Potęga przestępczego świata w ciągu ostatnich czterdziestu lat rosła w postępie geometrycznym. Być może kapitalizm jest najlepszym mechanizmem ekonomicznym, jaki można wymyślić,

lecz ludzie chciwi i nikczemni czują się w nim jak ryby w wodzie.

MacGruder podszedł do ekranu. Pojawił się na nim nowy obraz: znów była to mapa świata, lecz niektóre kraje zostały oznaczone małymi czerwonymi gwiazdkami. MacGruder stuknął wskazówką w ekran i wyjaśnił:

- To są kraje i terytoria, których przepisy bankowe i finansowe faktycznie zachęcają do ich wykorzystywania element przestępczy, na przykład organizacje terrorystyczne. Rajów podatkowych jest całe mnóstwo, prawda?

Janet i ja skinęliśmy głowami. No i co z tego?

— I co z tego? - zapytała na głos Phyllis Carney, jakby czytając w naszych myślach. - Pytanie można zadać inaczej: Jak mamy spełnić zadanie, które postawił przed nami prezydent? Zawiodło już tyle strategii i technik. Intrygujące pytanie, nie sądzą państwo?

— Więc jak? - spytała Janet.

— Pieniądze to ich krew - odparł MacGruder. - Zaczęliśmy więc od tropienia ich pieniędzy. Kłopot z brudnymi pieniędzmi polega na tym, że zanim nabiorą prawdziwej wartości, trzeba je wyczyścić. A właściwie wyprać, bo tak to się fachowo nazywa, a później bezpiecznie zainwestować. Im więcej ich masz, tym trudniej to osiągnąć. Możesz się spodziewać, że twoje pieniądze stracą w trakcie tej operacji pięćdziesiąt, a czasem nawet osiemdziesiąt procent. Pośrednicy i ci, którzy piorą pieniądze, wiele ryzykują, dlatego domagają się sowitych nagród.

Phyllis odwróciła się do nas.

- Jakież pytania do tego punktu?

Myślałem, że żartuje. Pytań mieliśmy sporo, a pierwsze brzmiało: dlaczego tutaj jesteśmy? Ale

wiedzieliśmy, że dojdą do niego we właściwym czasie, więc spojrzawszy na siebie, pokręciliśmy głowami.

— To było dziecko Jacka - ciągnęła Phyllis. - Postanowiliśmy wybrać jedną z tajnych organizacji piorących pieniądze. Mniej więcej cztery lata temu DE A znalazła nam jedną. Miała mocną pozycję w Europie i zaczynała energicznie wchodzić na rynek handlu narkotykami w Ameryce Łacińskiej. Dokonaliśmy pobieżnego badania organizacji. Była imponująca: inteligentni ludzie, świetne systemy, doskonała znajomość zasad bankowości, handlu... Mam nadzieję, że was nie zanudzam.

— Ależ skąd - mruknąłem.

Phyllis skinęła głową na MacGrudera, żeby mówił dalej.

— Właśnie tego szukaliśmy. Wysmażyliśmy plan. Będziemy chronili ten syndykat przed DEA, Departamentem Skarbu i wścibskimi oczami naszych odpowiedników w Europie i Azji. Będziemy ją w niewidzialny sposób dokarmiali, pomagali jej rosnąć i osiągać sukcesy. Będziemy starali się wypychać z rynku inne spółki piorące pieniądze, tworząc układy rynkowe sprzyjające naszemu syndykatowi, ściągające do niego klientów. Spróbujemy zmienić ten syndykat w parowóz, w Microsoft albo General Electric prania brudnej forsy.

— Grand Vistas? - zapytałem.

— Tej nazwy syndykat używa we współpracy z Morris Networks. Jest to filia, jeśli można tak powiedzieć. Ma wiele innych, pod wieloma innymi nazwami. Naprawdę posiada kopalnie diamentów, armatorów i firmy leasingowe. A także banki i stalownie oraz znaczne udziały w zagranicznym producencie samochodów, które cieszą się wielkim powodzeniem wśród nowoczesnych yuppie. To niesamowita machina do produkcji pieniędzy.

Nagle zapaliły się światła.

- Rozumiecie teraz, dlaczego nie możemy pozwolić wam zdemaskować spółki Grand Vistas i jej współpracy z Morrisem?

Spojrzałem na Janet, która patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Wzmacnialiście organizację, która zabiła moją siostrę?

MacGruder i Phyllis wiedzieli, że to pytanie padnie, czekali na nie.

— Cóż, my nawet nie jesteśmy pewni, czy oni są zamieszani w morderstwo pani siostry - odparła gładko Phyllis.

— Nie jesteście pewni? - warknęła Janet. - To

znaczy, macie nadzieję, że tak nie jest? Kiedy to eksploduje, wasze tyłki też wylecą w powietrze.

— Panno Morrow, gdybyśmy uważali, że oni są w to zamieszani, nie zostałaby pani zaproszona na tę rozmowę i nie byłaby pani w stanie oskarżyć cielsko wskazać palcem na Agencję - rzekł spokojnie MacGruder.

Uznałem to za metodę zabezpieczania sobie tyłów. Tylko agent CIA może ci powiedzieć, żebyś mu ufał, bo zdradza ci

sekret, a jednocześnie wyznać, że gdyby wiedział, że przez to umoczy, nigdy by ci go nie zdradził.

Chyba nawet Phyllis zauważyła gafę MacGrudera, bo powiedziała:

- Bardzo nam przykro z powodu śmierci pani siostry, ale nie widzimy niczego, co łączyłoby mordercę z Grand Vistas.

A nasi ludzie bardzo wytężali wzrok.

Opowiedziała Janet o usilnych poszukiwaniach podjętych przez Agencję, o przewracaniu każdego kamienia, o szukaniu poszlak. To był oczywisty kit.

Kiedy przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, zapytałem:

- A może nam pani powiedzieć, w jaki sposób firma Morris Networks jest powiązana z tym syndykatem?

Phyllis skinęła głową MacGruderowi.

— Przez ostatnie trzy lata giełdy na całym świecie pęczniały. Tysiące firm, takich jak Morris Networks, za bardzo się rozrosło i wpadło w głębokie długi, ich zdolność kredytowa znacznie spadła, banki zaczęły odmawiać dalszych kredytów, zyski skurczyły się tak drastycznie, że firmy są na krawędzi przepaści.

— Spółki zajmujące się praniem brudnych pieniędzy nie przeoczyły ogromnych możliwości - mówiła dalej Phyllis. - Wiele z tych firm rozpaczliwie potrzebuje kapitału. Widmo bankructwa zagląda im w oczy, dyrektorzy są o krok od zawodowej katastrofy. Ten syndykat ma dziesiątki innych spółek takich jak Grand Vistas, współpracujących z innymi firmami. Niektóre biorą na cel amerykańskie firmy, inne przenikają na rynek operacji giełdowych.

— To, co powiedziała Phyllis, oznacza, że przestępcze kartele za pośrednictwem tego syndykatu

dokonują ogromnych inwestycji w gospodarki Stanów Zjednoczonych i Europy - wyjaśnił MacGruder. - Dzięki tym rozlicznym związkom nabywają akcje po okazjnych cenach, a kiedy gospodarka światowa odbije się od dna, ich bogactwo wzrośnie do niebotycznych rozmiarów.

Janet nic nie powiedziała. Albo zahipnotyzował ją widok

pustego ekranu, albo oszołomiło to, co usłyszała. Ja stykałem się już wcześniej z CIA, więc nic, dosłownie nic, co robią lub mówią ci ludzie, mnie nie zaskoczy.

Palące pytanie brzmiało: co się stanie, jeśli Janet i ja, albo któreś z nas, nie zgodzi się na śluby milczenia? Przywieziono nas tutaj i zarzucono taką masą kitu po to, byśmy zgodzili się w taki czy inny sposób zamknąć. Nafaszerują nas narkotykami i obudzimy się na jakimś odpowiedniku Wyspy Johnstona? Mniej więcej co miesiąc przyleci samolot i zrzuci nam prowiant na spadochronie.

Może jestem cyniczny, ale wyczułem, że czegoś mi w tym wszystkim brakuje. Z CIA jest tak, że zawsze czegoś brakuje, a tym czymś jest prawda. Ale CIA ceni swoje sekrety. Często trzeba im wywiercić dziurę w zębie do samego korzenia, żeby podali swoje prawdziwe nazwiska. A mimo to byliśmy tam, a oni zdradzali nam swój sekret. Dlaczego?

Musiało być coś jeszcze, byłem tego pewien. Ale co? Czyżby próbowali zatuszować operację, która spaliła na panewce? Jakiś nieautoryzowany przekręt? Czyżby ktoś z ich ludzi sięgnął do słoika z cukierkami tego syndykatu?

Można oszaleć, próbując przeniknąć CIA, która jest tak podzielona na szuflady i pocięta na plasterki, tak zbałkanizowana, że sama nie potrafi się przeniknąć. Nie byłem pewien, czy nawet Phyllis i MacGruder wiedzą, co ukrywają.

— A więc? - spytała Phyllis.

— A więc co?

— Myślę, że pan wie.

— Chyba wiem - odparłem. - Chcecie, żebyśmy przestali szukać zabójcy, bo może to zdemaskować waszą operację. Umknęło mi coś?

— Absolutnie nic. - Phyllis się uśmiechnęła. -
Wydaje mi się, że całkiem nieźle uchwycił pan sedno
zagadnienia.

— I mamy zapomnieć o brutalnym
zamordowaniu czterech niewinnych kobiet? - spytała
Janet. - Między innymi mojej siostry.

— Powiedziałam już pani, że nie jesteśmy pewni, czy istnieje związek - odparła Phyllis.

— Wsadźcie sobie tę propozycję.

— Nic ma potrzeby używać takiego języka.

— Więc padnijcie trupem.

Chyba było jasne, jaka jest odpowiedź Janet. Właśnie wtedy otworzyły się drzwi i weszło dwóch dżentelmenów.

ROZDZIAŁ 43

James Peterson był dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej od sześciu lat, czyli długo, jak na posadę w Waszyngtonie, zaś w CIA, organizacji podatnej na „wypadki” w stopniu wprost kosmicznym, była to wieczność.

Był niski, krępy, miał ciemne włosy, ciemne oczy o intensywnym spojrzeniu i grube, mięsiste wargi. Podobnie jak wielu ważnych ludzi roztaczał aurę kompetencji i pewności siebie. U niego łączyło się to z otwartością, szczerością, a nawet z przyjaznym nastawieniem, co było zaskakujące, jeśli weźmie się pod uwagę jego mroczny tytuł, wpływy i odpowiedzialność. Rzecz jasna, było to złudne wrażenie.

Wszedł i skierował wzrok na Phyllis.

- Jak idzie? - zapytał.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze - westchnęła.

Peterson skinął głową jej i MacGruderowi, a potem powiedział:

- To jest Tom.

Mnie akurat Toma nie musiał przedstawiać - a ja, jeśli pozwolicie, i tak nie będę nazywał go po imieniu, gdyż był to generał Thomas Clapper. W tej chwili był on ostatnim człowiekiem, którego się tam spodziewałem i którego chciałem zobaczyć. Clapper tymczasem podszedł prosto do mnie, wyciągnął rękę i powiedział, nieco zbyt oficjalnie:

— Jak się pan miewa, majorze Drummond?

— W porządku, generale. Wie pan, z pewnymi zastrzeżeniami.

Jego spojrzenie świadczyło o tym, że wie. Świadczyło też o tym, że w najbliższej przyszłości czeka mnie poważne posiedzenie poświęcone mojej dalszej karierze.

Sądząc po tym, jaki moment wybrali nowo przybyli na wejście do sali, obok musiało się znajdować pomieszczenie obserwacyjne.

Generał uśmiechnął się do Janet.

- Jestem Thomas Clapper, były szef Lisy. – Uśmiechnął się szerzej i zapytał: - Mogę nazywać panią Janet?

Jak wspomniałem, Clapper jest *bona fide* dżentelmenem z Południa. Kiedy nie jest na kogoś wkurzony, potrafi być całkiem miły, nawet ujmujący. Tak słyszałem.

— Tak, proszę - odparła Janet.

— Janet, bardzo mi przykro z powodu Lisy. Rozmawiałem z pani ojcem, a teraz chciałbym pani wyrazić moje współczucie. Pracowałem w JAG prawie trzydzieści pięć lat. Bardzo wysoko ceniłem pani siostrę. Była wspaniałym człowiekiem i jednym z najlepszych prawników, jakich znałem.

Zabrzmiało to absolutnie szczerze i takie prawdopodobnie było.

— Dziękuję - odpowiedziała Janet.

— To ja wysłałem Drummonda do Bostonu i przydzieliłem mu funkcję oficera opiekuńczego pani rodziny.

— Za to też dziękuję. Clapper zerknął na mnie.

— Za to proszę mi nie dziękować.

Janet uznała to mylnie za żart i zaśmiała się

grzecznie. Clapperowi nie było do śmiechu.

— Uratował mi życie - oznajmiła Janet. - Może go pan nie docenił.

— Wykluczone. - Tym razem Clapper się uśmiechnął, ale do niej, nie do mnie. Zły znak.

A skoro mowa o złych znakach, to zauważyłem, że Peterson

wykorzystał tę chwilę, żeby zabrać swoich adiutantów do kąta i wydać im szeptem kilka poleceń. Facet, który przedstawił się jako MacGruder, nie sprawiał wrażenia zachwyconego tymi poleceniami. Peterson nachylił się do niego i coś powiedział. MacGruder wzruszył ramionami i wycofał się. Najwyraźniej przegrał tę rundę.

Peterson podszedł do nas, podał rękę Janet i mnie, a potem kazał wszystkim usiąść. Sam stał i patrzył na nas z góry. Niscy faceci znają wszystkie sztuczki.

Zwracając się do Janet i do mnie, rzekł:

— Powiedziałem Jackowi i Phyllis, że nadeszła pora, by wtajemniczyć państwa w resztę historii. Macie świadomość, że nic, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie poza ściany tego pomieszczenia.

— Nie zgodzę się na to - odparła Janet.

— Jestem pewien, że pani się zgodzi, kiedy skończymy.

— A ja jestem pewna, że pan się myli.

— Zmieni pani zdanie. - Biedny dureń najwyraźniej nie wiedział tego co ja.

Istnieje jednak cienka linia oddzielająca pewność słów od uprzejmych gróźb, a ja nie byłem pewien, jak odczytać to, co przed chwilą usłyszałem.

Ale skoro powiedział już to, co chciał powiedzieć, odwrócił się do MacGrudera i polecił:

— Powiedz im, Jack. - O rany, może on naprawdę miał na imię Jack.

— Operacja „Koń trojański” - zaczął z pewną goryczą Jack. - Ten kryptonim dokładnie opisuje to, co się dzieje. Syndykat, o którym mówimy, stał się największą pralnią pieniędzy na świecie. W tym biznesie sukces rodzi sukces, więc stało się tak, że organizacje przestępcze i terrorystyczne ustawiają się w

kolejce, żeby syndykat prał ich pieniądze i się nimi zajmował.

Phyllis położyła dłoń na ręce MacGrudera i zapytała:

— Rozumieją państwo, dlaczego to zrobiliśmy?

— Proszę nam wytłumaczyć - odparła Janet.

-Wspieraliśmy ten rozwój, by umożliwić naszym ludziom i Agencji Bezpieczeństwa Narodowego dokonanie sekcji tego rosnącego syndykatu. Jest spory i silnie rozczłonkowany, ale udaje nam się śledzić dużą część jego połączeń telefonicznych, e-maili i przekazów pieniężnych. Nie nanieśliśmy jeszcze na mapę wszystkich jego kawałków, lecz każdego dnia, w którym prowadzi swój brudny proceder, dowiadujemy się więcej.

Rozwijając jej wypowiedź, MacGruder dodał:

— A co ważniejsze, dowiadujemy się, skąd pochodzą pieniądze, ile ich jest i dokąd trafiają.

— Więc przechwycie je i zamknijcie ten biznes - zasugerowałem.

— To ostatnia rzecz, jaką chcielibyśmy zrobić - odparł Peterson.

— Może powinna być pierwszą.

— Nie chodzi o pieniądze - powiedziała Phyllis. - W tej operacji nigdy o to nie chodziło.

— A o co?

— Pieniądze to tylko drukowany papier, rozprowadzany przez rządy. My interesujemy się klientami syndykatu. Chcemy wiedzieć, jacy ludzie i organizacje zarabiają te pieniądze, skąd się one biorą, dokąd trafiają i co jest za nie kupowane. Dowiadujemy się, gdzie lokują i kiedy wyciągają wyprane już pieniądze. Wykorzystujemy te informacje do likwidacji grup terrorystycznych i gangów przestępczych na całym świecie. Zgarniamy po kilku ludzi naraz, tak aby nie nabrali podejrzeń. Przywozimy tych ludzi, napędzamy im trochę stracha i dowiadujemy się więcej. Czasem robimy to my, a czasem inne agendy amerykańskiego rządu, czasami wystawiamy ich naszym odpowiednikom w innych krajach. - Zrobiła pauzę, dając nam czas na przyswojenie tych informacji.

- Ten syndykat stał się faktycznie przewodnikiem dla najgorszych organizacji kryminalnych na świecie.

— Jak myślicie, w jaki sposób udało nam się w ciągu kilku lat zgarnąć tyle komórek Al-Kaidy? - zapytał MacGruder. - Al-Kaida chętnie korzysta z usług naszego syndykatu. Bez tego

banku nigdy nie zdobylibyśmy tych informacji. Śledzimy przepływ pieniędzy kolumbijskich, meksykańskich, organizacji terrorystycznych...

- Wystarczy, Jack - wpadł mu nagle w słowo Peterson.

I Jack przestał akurat w momencie, kiedy robiło się naprawdę ciekawie.

Spoglądając na Janet i na mnie, Peterson zapytał:

- Rozumiecie, co usłyszeliście?

Faktycznie nie było to pytanie, tylko podkreślenie.

-,„Koł trojański” to najbardziej zyskowa operacja, jaką kiedykolwiek prowadziliśmy - ciągnął Peterson. - To współczesny odpowiednik operacji „Venoma”, pod którą kryło się złamanie kodu Sowietów, albo złamania japońskiego i niemieckiego kodu w czasie drugiej wojny światowej. W naszym poszatkiwanym współczesnym świecie ta operacja, ten syndykat jest kluczem do banku.

Zerknąłem na Janet. Dobrze, że przypatrywała się twarzy Petersona, a nie mojej, bo ja chyba doświadczałem potężnego ataku moralnej klaustrofobii. Musicie zrozumieć, że Clapper zjawiał się tam po to, by przypomnieć mi, jaki jest mój zawód, i dopilnować, żeby po kilku miesiącach paradowania w cywilnych ciuchach i włóczenia się wśród bogatych i uprzywilejowanych nie przewróciło mi się we łbie i żebym nie zaczął traktować z przymrużeniem oka pojęć Obowiązku, Honoru i Ojczyzny. Była też kwestia podpisania przysięgi wymaganej od wszystkich prawników biorących udział w akcjach specjalnych. Jeśli mnie pamięć nie myli, chodziło o ochronę tajemnic związanych z bezpieczeństwem narodowym, za których wydanie groziły Bóg wie jakie kary.

Siedziałem więc, walcząc z wyrzutami sumienia, poczuciem winy i konfliktem lojalności. Nie przychodził mi do głowy żaden sposób rozwiązania tego problemu tak, by wszystkich zadowolić albo nawet żeby zadowolić kogokolwiek. Bez względu na to, po której stronie bym stanął, narażałem się na rozterki i straty.

Janet przestała się zastanawiać i zapytała Petersona:

— Więc kto zamordował moją siostrę?

— Nie wiem.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Ale ma pan jakieś podejrzenia, prawda?

— Niech pani nie zapomina, gdzie się pani znajduje. Ten gmach to skarbnica podejrzeń. Mój dzień zaczyna się od podejrzeń, wypełniają go podejrzenia, a najgorsze z nich nie pozwalają mi spać. - Zrobił pauzę, po czym warknął: - Tak, mam pewne podejrzenia.

- Dobrze, więc proszę mi pomóc złapać morderców siostry.

To rozwiązanie mi pasowało.

Lecz Peterson zmarszczył brwi.

— CIA nie wolno angażować się w sprawy toczące się w granicach Stanów Zjednoczonych. Chciałbym pomóc, ale nie mogę.

— Chce pan powiedzieć, że nie chce pan narażać na zdemaskowanie swojej cennej operacji - uściśliła Janet.

— Oczywiście, że biorę ten czynnik pod uwagę - przyznał Peterson. - Jednak zabójca nie jest moim zmartwieniem. To sprawa wewnętrzna, a nie międzynarodowa. Mnie interesuje ten syndykat i ochrona milionów istnień ludzkich przed międzynarodowym terroryzmem, narkotykami i innymi katastrofami kryminalnymi.

I nagle coś eksplodowało gdzieś w głębi mojej głowy - bum! Ale co?

- To wielka szkoda - powiedziała Janet. - Mnie chodzi właśnie o moją siostrę. A jeśli pan myśli... - I tak dalej, i tak dalej. Nie spałem od dwóch dni. O czymś zapomniałem, byłem rozkojarzony, a

temperatura w sali też nie pomagała. A mimo to... Co jest?

Nagle podniosłem głowę.

- Chwileczkę.

Janet zamilkła, Peterson też.

- Gliniarze, Meany... Jak oni dotarli tak szybko do mojego

mieszkania, i to w nocy? I co, do jasnej cholery, robił tam Meany?

Peterson pokręcił głową.

- Kto to jest Meany? O czym pan mówi?

MacGruder zakaszłał. Phyllis siedziała i wyglądała jak dama i babcia zarazem; na jej kolanach brakowało tylko szydełka z jakąś robótką. Na przykład z garotą.

- Kto to jest Meany? - powtórzył Peterson.

Dopiero po dłuższej chwili MacGruder poinformował szefa:

- Wydaje mi się, że pan Drummond mówi o agencie specjalnym George'u Meanym, dowódcy grupy operacyjnej FBI, polującej na seryjnego mordercę.

W tej chwili kolejny fragment układanki wskoczył w swoje miejsce.

- Opowiedz nam o tuszowaniu sprawy, Jack. MacGruder nie odpowiedział. Poza skrzypieniem krzeseł i szuraniem butów w sali panowała absolutna cisza.

- Drummond, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówicie - rzekł Peterson.

Skinąłem głową w stronę Phyllis i Jacka.

- Ale oni mają.

Peterson popatrzył najpierw na Phyllis, a później na Jacka. Po dłuższej chwili Phyllis powiedziała gładko:

- Panie dyrektorze, może powinniśmy zamienić parę słów... na osobności.

Janet patrzyła na mnie.

Ale ja odwróciłem głowę i spojrzałem na Phyllis.

- A ty kiedy się dowiedziałas? - zapytałem.

Phyllis wciąż utrzymywała kontakt wzrokowy z

szefem.

- Odpowiedz mu, Phyllis - polecił Peterson. Po chwili dodał z naciskiem: - Ja też chciałbym się dowiedzieć.

Wszystkie te wzrokowe podchody skończyły się nagle, bo Phyllis odwróciła się do Jacka i powiedziała:

— Ty to wyjaśnij. - Gówno naprawdę toczy się w dół.

— My nie... - zająknął się Jack. - To znaczy, kiedy zamordowano kapitan Morrow, nie mieliśmy pojęcia... nie

złożyliśmy tego do kupy... odeszła z firmy kilka tygodni wcześniej. Policja uznała, że był to napad rabunkowy.

— A po zabójstwie Cuthbert? - podsunąłem.

— Wtedy też nie... Nie powiązaliśmy jej z kapitan Morrow. Dopiero kiedy zginęła Annę Carrol... Ona pracowała w SEC, więc FBI odkryło powiązanie. - Po krótkiej pauzie dodał: - Wtedy zwrócono na to naszą uwagę.

Janet zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

- Dlaczego?

MacGruder zerknął na Petersona, a ten skinął głową.

— „Koł trojański” to wspólna operacja, nasza i FBI. My zajmujemy się częścią zagraniczną, a FBI zbiera kawałki w kraju. Nasi partnerzy z FBI prowadzą operację w firmie Culper, Hutch i Westin. Kosztowało to mnóstwo wysiłku. To kluczowa operacja i trzeba ją chronić.

— Jakiego rodzaju jest to operacja? - chciałem wiedzieć.

— Wspomniałem o tym, że syndykat wykorzystuje trudną sytuację firm. Morris Networks była jedną z pierwszych... - Pokręcił głową. - Pierwszą, którą wykryliśmy. Bardzo nas to zaniepokoiło.

— Co dokładnie?

— Skąd syndykat wie.

— O czym?

— Musicie rozumieć, że korporacje przeżywające trudności finansowej cierpiące na odpływ gotówki, bardzo się starają ukryć tę informację. Jeśli wydostanie się chociaż słowo, konkurencja dowiaduje się i rzuca się na taką firmę, plądruje akcje i bankructwo jest nieuniknione. Weźcie na przykład Exxon, WorldCom, Global Crossing lub dowolną

korporację, o której ostatnimi laty było głośno. Naczelnicy dyrektorzy wiedzieli... dyrektorzy finansowi wiedzieli, wiedziały sekcje prawne. Reszta personelu nie miała pojęcia, że firma stacza się w otchłań. Nawet Wall Street i bankierzy niczego nie podejrzewali. Więc jak syndykat sięgał po te firmy? Skąd wiedział, jak je namierzyć? Musiał mieć dostęp do poufnych informacji.

— Słuchamy.

— Długo się nad tym zastanawialiśmy. To naprawdę bardzo misterny plan. Kiedy urzędnicy korporacyjni dowiadują się, że finansowej kraksy nie da się uniknąć, co robią? Zagląda im w oczy prawni koszmar: pozwy akcjonariuszy, udziałowców, banków, dochodzenie SEC i tym podobne. Wielu członków kierownictwa i rady zarządzającej musi się liczyć z odpowiedzialnością osobistą. Ryzyko jest ogromne. Trzeba je przeanalizować, opanować i zminimalizować, najlepiej z wyprzedzeniem.

— Konsultują się więc z prawnikami - powiedziałem.

- Właśnie. Przed ogłoszeniem bankructwa.

Pomyślałem o tym przez chwilę.

— Co chcesz powiedzieć, Jack? Że ta kancelaria zajmuje się poszukiwaniem talentów dla syndykatu?

— Właśnie to chcę powiedzieć. Korporacje przeżywające kłopoty zwracają się do firmy z prośbą o poradę i poczynienie przygotowań, a syndykat dowiaduje się o tym.

- Kto go zawiadamia? Cała firma? Wszyscy?

MacGruder parsknął śmiechem.

- Tak dzieje się tylko w powieściach Johna Grishama, majorze. Nie wszyscy.

Mnie nie było do śmiechu.

— Kto? - zapytałem.

— Nie jesteśmy pewni...

— Ale powiedział pan...

— Powiedziałem, że to FBI prowadzi tę operację.

— Co to znaczy?

— Znaczy to tyle, że FBI ma wtyczkę w firmie.

— Wtyczkę?

— Zakamuflowanego agenta.

— Wiem, co to jest wtyczka. Kto?

- To o wiele więcej, niż potrzebuje pan wiedzieć.

Nastąpiła długa pauza. Wreszcie Phyllis powiedziała:

- Musimy wiedzieć, z jakimi firmami syndykat nawiązuje kontakty. Weźmy na przykład pańskiego przyjaciela Jasona

Morrisa. Dokładne szczegóły nie są jasne, ale drogą domysłów zdołaliśmy z grubsza ustalić, jak to się stało. Jack podjął ten wątek:

— Kilka lat temu Morris znalazł się w poważnych tarapatkach. Cały jego osobisty majątek był zainwestowany w akcje firmy. Obroty drastycznie się skurczyły, cały sektor teleinformatyczny cierpiał na przerost wielkości, a banki okazały się bezwzględne. Zwrócił się więc do pańskiej kancelarii z prośbą o wstępną poradę w kwestii bankructwa.

— Dlaczego akurat do tej kancelarii?

— Tego nie wiemy. Ale ktoś z kancelarii poinformował syndykat, który nawiązał kontakt z Morrisem i dobili targu. Przepływ pieniędzy odbywa się za pomocą wymiany pojemności. To tylko przykrywka, rzecz jasna. Grand Vistas daje mu gotówkę, a on daje im akcje. A ponieważ transakcja jest księgowana jako wymiana, nie podlega kontroli takiej jak pożyczka lub sprzedaż.

Na chwilę zapadła cisza, wszyscy przyswajali znaczenie tej informacji.

Ale Phyllis uznała za stosowne to wyjaśnić, jakbyśmy byli zbyt głupi.

- To naprawdę sprytne. Pieniądze są prane za każdym razem, gdy Grand Vistas sprzedaje akcje. Ogromne ilości forsy. A kiedy akcje Morris Networks pójdą w górę, Grand Vistas i jej klienci zarobią jeszcze większe fortuny.

W tej sali rzeczywistość nieustannie zmieniała postać. Tama się otworzyła i Janet i ja byliśmy zalewani informacjami. Warto zauważyć, że informacji, o którą wyraźnie poprosiłem, nie uzyskaliśmy.

Krótko mówiąc, trzymaliśmy w rękach ich jaja, tylko nie wszystkie.

— Proszę wyjaśnić, dlaczego George Meany tak błyskawicznie zjawił się w nocy w moim mieszkaniu - powiedziałem.

— Będzie pan musiał zapytać o to George'a - odparła Phyllis.

— Pytam panią.

— Nie znam odpowiedzi.

- Myślę, że pani zna.

- Myli się pan. Współpracujemy w tej sprawie z FBI, ale nie dzielimy się z nimi wszystkimi informacjami. - Po chwili dodała: - Oni też nie.

Coś podobnego. CIA i FBI nie gadają ze sobą? Czy to możliwe? Prawdopodobnie kłamała, ale najlepsze kłamstwa są zawsze zakorzenione w najlepszej prawdzie.

Spojrzałem na Petersona, który przed chwilą uświadomił sobie, że jego podwładni ukrywają informacje nie tylko przed nami, ale i przed nim. Phyllis i Jack przypuszczalnie będą musieli odbyć z nim poważną rozmowę na temat dalszych losów swoich karier.

Peterson albo uznał, że usłyszeliśmy już dość, albo że nie musimy słyszeć następnej rewelacji, bo zabrzmiała ona bardzo źle i nijak nie da się jej obronić, ponieważ dotyczy złamania prawa. A może sam nie chciał słyszeć następnego fragmentu wyznania, gdyż jego zaprzeczenia straciłyby wiarygodność. Na jego stanowisku nie przetrwałby sześciu lat ktoś, kto nie wie, kiedy usłyszał wystarczająco dużo.

Zwrócił się do Janet i rzekł:

— Proszę powiedzieć, co mogę dla pani zrobić? Jak możemy rozwiązać ten problem?

— Chcę dostać zabójcę i tych, którzy odpowiadają za zbrodnię - odparła Janet.

— Prosi pani o zbyt wiele.

— Nie. Chcę sprawiedliwości dla mojej siostry i ojca. Morderca i ci, którzy go nasłali.

Peterson spojrzał na mnie.

- Potrafi pan przemówić panie Morrow do rozsądku?

A niech to diabli. Postawił mnie przed wyborem: albo oleję wspomnienie Lisy i naszą

przyjaźń, a przy okazji więzy, które łączyły mnie z Janet - jakiegokolwiek były - albo zdepczę żołnierską przysięgę, która zobowiązuje mnie do zachowania i strzeżenia tej straszliwej tajemnicy państwowej.

Czułem, że Janet zagląda mi w głąb serca, a Clapper świdruje spojrzeniem moją duszę.

— Morderca przysiągł, że mnie zabije, a także Janet i nasze rodziny - odparłem. - Rozumie pan to, prawda?

— Złapanie mordercy mi nie przeszkadza. To bezwzględny zabójca i zasługuje, żeby dosięgła go sprawiedliwość.

— Proszę określić bliżej, co rozumie pan przez sprawiedliwość.

Peterson był przygotowany na to pytanie.

- Proszę się tak nie spieszyć. Uściślimy to pojęcie, kiedy go złapiemy.

W tym momencie Clapper, który dotąd był milczącym świadkiem tej rozmowy, powiedział:

- Panie dyrektorze, myślę, że powinien pan odpowiedzieć na pytanie Seana.

Zerknąłem na niego, ale Clapper patrzył w drugą stronę.

- Dobrze. Nie będę udawał ani zaprzeczał, że byłoby bardzo korzystne, gdyby zabójca uniknął schwytania i wymusił dalszy rozwój wydarzeń. Istnieje jednak alternatywa. Gdybyśmy wzięli go żywego, dyrektor FBI i ja możemy uznać go za terrorystę, stwierdzić, że stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa i zamknąć proces. Zadowolony pan?

Nie byłem zadowolony. Chciałem drania ukatrupić i zakopać. Ale satysfakcjonowało mnie określenie warunków prawnych.

— A jeśli poznamy nazwiska jego bezpośrednich współników? - spytał Clapper.

— Co do tego nie mogę się ugiąć i się nie ugnę - odparł Peterson. - Jego współnicy muszą się czuć bezpieczni i zostać tam, gdzie są, by operacja „Koń trojański” nadal się toczyła. W swoim czasie, którego na tym etapie nie sposób określić, zostaną rozliczeni. Musicie się tym zadowolić.

Janet już otwierała usta, więc powiedziałem szybko:

— Nie zdemaskujemy powiązań firmy Morrisa z Grand Vistas. Ale dopóki zabójca nie zostanie powstrzymany, chcę ochrony dla Janet, dla mnie i naszych najbliższych.

— Możemy to załatwić.

— Nie zapominajmy o pozwie, którym Drummond zagroził firmie - przypomniał MacGmder.

— Skąd wiecie...

— Współpracownik FBI w firmie informuje nas o wszystkim - odparł z uśmiechem MacGruder. - Nieźle pan tam namieszał, Drummond. Niech pan znajdzie przekonujący sposób wycofania groźby. Sytuacja musi wrócić do normy.

— Możemy to zrobić. - Zerknąłem na Janet. Wyglądała na zaszokowaną, rozczarowaną, a do tego pozbawioną złudzeń. W ogólnym rozrachunku, jak przypuszczałem, mną. Przełknąłem ślinę i powiedziałem: - Janet, nie ma innego sposobu. Połowa bochenka jest lepsza niż...

— Zamknij się.

— Racja.

Peterson popatrzył na nią przez chwilę.

— Mogę uznać, że mam pani zgodę?

— A mam wybór? - Nie było to pytanie, tylko wyraz gorzkiej rezygnacji. - Zrobię, co będę musiała.

— Dziękuję pani. Naprawdę. Trudno się z tym pogodzić, ale chodzi o dobro kraju. Robię to z niesmakiem, ale muszę państwa ostrzec, że jeśli dojdzie do przecieku, jeśli ta operacja zostanie w jakikolwiek sposób zdemaskowana, będę wiedział, gdzie szukać. Nie mamy ustawy o tajemnicach państwowych, tak jak Brytyjczycy, ale istnieją pewne kroki karne i zapewniam, że zostaną przeciwko wam podjęte. Sami to rozumiecie.

Skinąłem głową. Janet patrzyła na niego przez chwilę, a potem na jej twarzy odmalował się wyraz rezygnacji.

Peterson miał instynkt i chyba rozumiał, że właśnie zapłaciłem bardzo wysoką cenę, żeby ten targ został dobity.

Chcąc to jakoś wynagrodzić, zakołysał się na obcasach i powiedział:

— Majorze, muszę pana pochwalić za znakomitą robotę detektywistyczną. To, że odkrył pan tę operację, że rozwiązał pan tajemnicę... daje doskonałe świadectwo pańskiej trzeźwości umysłu i inteligencji.

— Zanim Sean został prawnikiem, sporo dla was pracował - wtrącił Clapper.

Peterson skinął głową, jakby to wszystko tłumaczyło. Potem dodał:

- Kiedy to się skończy, Drummond, może powinien pan zastanowić się nad pracą tutaj.

Uśmiechnąłem się.

- Mogłoby mi się to spodobać, panie dyrektorze.

Kłamałem, oczywiście.

Ale w tym gmachu kłamstwa nie odbijają się echem.

ROZDZIAŁ 44

Było południe, kiedy Janet i ja wysiedliśmy z windy na dwunastym piętrze biurowca firmy Morris Networks.

Zadzwońłem do mamy, taty i brata Johna i powiedziałem, że ich życie przez kilka dni będzie inne, że głupi Sean narobił trochę bałaganu i w związku z tym mili chłopcy i dziewczęta z Federalnego Biura Śledczego będą kręcić się wokół nich i pilnować ich tyłków. Zasugerowałem Johnowi, że może to dobra okazja, by odwiedzić mamę i tatę - federalniakom będzie wtedy łatwiej. O zaznaczenie tego poprosili mnie moi nowi kumple z rządowych agend.

Mama kazała mi na siebie uważać, tata warknął, że sam potrafi zadbać o swój tyłek, a John powiedział, że zamiast odwiedzać ojca i wracać do trzydziestu lat waśni, poleci prywatnym samolotem na Tahiti albo do innej równie zapadłej dzimy.

Janet też zadzwoniła do rodziny, ale nie powiedziała, jak poszła rozmowa, bo w ogóle mało mi mówiła.

Pojechaliśmy moim samochodem. Nie zauważyłem, żeby ktoś za nami jechał, ale zapewniono mnie, że co najmniej pięć par federalnych oczu będzie obserwowało mnie i Janet, gdziekolwiek się znajdziemy.

Tiffany Allison nie uśmiechała się, kiedy otworzyły się drzwi windy. Panna Allison wyglądała oszalamiająco: fryzura, manicure, wszystko na wysoki połysk, lecz się nie uśmiechała.

Bez żadnych powitań i wstępów, z chłodną miną, zaprowadziła nas do drzwi gabinetu Jasona. Może to tylko moja wyobraźnia, ale jej tyłek - a był to tyłek światowej klasy - kręcił się jeszcze bardziej zmysłowo niż zwykle. Pożegnania i odprawy typu „wal się” przyjmują rozmaite formy.

Otworzyła drzwi gabinetu i nas wprowadziła. Posłała mi ostatnie lodowate spojrzenie, a później zamknęła drzwi.

Jason wstał zza okrągłego biurka i wyszedł nam naprzeciw. Jessica Moner siedziała przy szklanym stole konferencyjnym z wyrazem zimnej nienawiści na twarzy. Sean Drummond nie miał dobrego dnia, jeśli chodzi o względy dam.

Jason podszedł do Janet.

— Pani jest pewnie tą prawniczką, z którą rano rozmawiałem?

— Janet Morrow - przypomniała mu krótko i rzeczowo. - Cieszę się, że udało się to załatwić. Nie cierpię chodzić do sądu.

— Powinna się pani cieszyć. Jessica mówi, że nie miałyby pani szans. Nie jest ze mnie zadowolona.

- Proszę jej nie słuchać. Słusznie pan postąpił.

Jessica warknęła coś, co zabrzmiało jak „takiego wała”, ale może tylko poskarżyła się, że musiała wałkować tę sprawę przez cały wczorajszy dzień.

Jason wołał jednak, żeby spotkanie przebiegło w serdecznej i profesjonalnej atmosferze, więc uśmiechnął się do Janet.

- Mów mi Jason, proszę. - Płynnym ruchem ręki wskazał nam miejsca. - Możemy zaczynać?

Usiedliśmy więc przy szklanym stole, a Jessica wyciągnęła z teczki plik papierów i rozłożyła na blacie. Spojrzała na Janet i na mnie i powiedziała:

- To jest ugoda, którą Drummond musi podpisać, zanim wypłacimy wam choćby centa, dupki...
- I tak dalej, i tak dalej. W charakterystyczny dla siebie sposób Jessica przed stawiała nam warunki umowy. Były to głównie prawnicze formułki, sprowadzające się do stwierdzenia, że w zamian za to, że nie złożę pozwu i będę trzymał buzię na kłódkę, korporacja a Morris Networks wypłaci mi siedemdziesiąt milionów dolarów.

Mimo to słuchanie tego było surrealistyczne. Wcześniej przesłałem Jessice faksem numer mojego konta i za kilka minut siedemdziesiąt milionów dolarów popłynęło po miedzianym drucie i będzie moje, całe moje.

A właściwie, po tym jak Janet ukroiła sobie kawałek, w połowie moje.

Wujek Sam też sobie trochę ukroił i została ćwiartka.

Kochana Wspólnota Stanu Wirginia też trochę ukroiła, więc została mniej niż ćwiartka.

Co za kraj.

Jessica skończyła wreszcie tyradę i powiedziała:

- A teraz przeczytajcie tę pieprzoną umowę, żebyście mogli zgodzić się na wszystkie warunki i klauzule.

Zerknąłem na Janet, a ona na mnie. Stąpałem po cienkim lodzie, ale ona zmuszona była mnie tolerować i dla dobra zachodniej cywilizacji musieliśmy przez to przejść. Poza tym, jedna lub dwie osoby siedzące przy tym stole być może przyłożyły rękę do zabicia jej siostry i zamachu na ojca, nie wspominając o tym, że nasze nazwiska znalazły się na liście zabójcy, więc sytuacja była trudna. Ale, jak powiedziałem, musieliśmy odegrać swoje role i przeczytać umowę na wypadek, gdyby Jessica umieściła jakieś złośliwości

drobnym drukiem na dole strony.

Tak więc następnym razem dziesięć minut oboje, jako dobrzy prawnicy, zgłębialiśmy tekst umowy. Jason zachowywał się po swoim, to znaczy wiercił się i kręcił. Odbył trzy wycieczki do ogromnego biurka, żeby sprawdzić, co się dzieje na jego ukochanych monitorach. Raz czy dwa przyłapałem go na tym, że gapi się z zaciekawieniem na Janet - pewnie kalkulował, czy jest kandydatką do weekendu na Bimini. Żadnych szans, koleżko.

Jessica siedziała i kipiała w środku. Parę razy nasze spojrzenia się zetknęły, a ja kombinowałem, wcale nie akademicko, czy to ona jest tą, która wydawała polecenia zabójcy.

Z pewnością pasowała do takiego wizerunku. Miała poważne problemy ze swoim gniewem, jak powiedzieliby moi znajomi, zwolennicy New Age. Ja bym powiedział, że miała wielką kość w tyłku. Poza tym lubiła sprawiać wrażenie podłej suki, a w takiej sytuacji człowiek zawsze się zastanawia, co jest grą, a co prawdą. Jakie gadanie, takie działanie, ostrzegąłem mnie zawsze mama. Jessica bez dwóch zdań był *consigliere* Morrisa w kwestiach prawa i biznesu. Ale czy to obejmowało także kwestie życia i śmierci?

A może to sam Jason? Trudno było uwierzyć, że facet mający taką kasę i sławę, podjąłby takie ryzyko. Umoczył się jednak w korupcji, a zbrodnia to śliskie zbrocze - jeden krok prawie zawsze pociąga za sobą następny. Ludzkie sumienie to zabawna rzecz: jeśli raz zostanie podporządkowane elastyczności, nigdy całkiem nie wraca na swoje miejsce. Po drugie, Jason miał też najwięcej do stracenia, a największa wina niemal zawsze leży właśnie tam. Był wizjonerem z ogromnymi ambicjami, podobnie jak Hitler, Stalin i Mao. Wizja pochłania duszę, a niewinni, którzy staną jej na drodze, zostają stratowani i pogrzebani.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - oznajmiła wreszcie Janet.

— Więc jest do przyjęcia? - Jason spojrzał najpierw na nią, a potem na mnie. Skinęliśmy głowami.

— W takim razie chciałbym powiedzieć parę słów, jeśli nie macie nic przeciwko.

- Podest jest twój. Zapłaciłeś za to - odparłem.

Odniosłem wrażenie, że wcale go to nie rozbawiło. Przyjrzał mi się.

— Bardzo mnie rozczarowałeś, Sean. Myślałem, że powstała między nami więź.

— Ja tobą jestem o wiele bardziej rozczarowany. Nigdy bym nie pomyślał, że prowadzisz

taką niebezpieczną i szemraną firmę.

— Zaufałem ci.

— A ja wyświadczam ci wielką przysługę, że ta
sprawa nie trafi do sądu.

— Nie jestem pewien - odparł. - Wyglądasz mi na całkowicie zdrowego.

— Obrażenia wewnętrzne są podstępne, Jason. W środku jestem zdruzgotany, jestem wrakiem, zdeformowanym i nadpalonym.

Jason nie odpowiedział, ale jego oczy się zwężyły. Wziąłbym to za przejaw gniewu lub zniecierpliwienia, lecz była to raczej frustracja. Jessica najwyraźniej nakręciła go, żeby podjął jeszcze jedną próbę, więc musieliśmy odegrać tę scenę do końca. Ukryty gdzieś magnetofon lub jakieś inne urządzenie nagrywające pracowało. Gdybym przyznał się, a nawet dał do zrozumienia, że szantażuję firmę albo udaję obrażenia, straciłbym podstawę do złożenia pozwu cywilnego, a także szansę zagrożenia firmie zdemaskowaniem. A siedemdziesiąt milionów papierków trafiłoby z powrotem do skarbca Jasona.

Nabazgrałem nazwisko na trzech egzemplarzach urnowy i podsunąłem je Jasonowi. Westchnął i podpisał. Następnie nasi pełnomocnicy złożyli swoje podpisy, a Jessica podstemplowała statutową pieczęcią Wspólnoty Stanu Wirginii.

- Zdaje mi się, że powinniśmy dostać jeden egzemplarz - zauważyłem.

Jessica cisnęła papier na stół. Powiedziałem „dziękuję” i wyszliśmy.

ROZDZIAŁ 45

Akt drugi tej farsy rozegrał się na ósmym piętrze siedziby firmy Culper, Westin i Hutch. Elizabeth uśmiechnęła się wesoło na mój widok.

- Dzień dobry, majorze. Czy dobrze słyszę, że wraca pan do pracy?

- Praca? Ups, chyba zabłądziłem.

Elizabeth się roześmiała.

— Korytarze aż huczą od plotek. Jeśli o mnie chodzi, trzymałam z panem.

— Dziękuję.

- Bez pana byłoby tu okropnie nudno.

Oparłem się o jej biurko.

- Te czasy się skończyły. Dostałem ważną lekcję, jestem zreformowany i wyprany, jeszcze jeden szary garnitur bez życia. - Zamilkłem na chwilę, po czym zapytałem: - Mogę prosić o klucz do dziewiątego piętra? Muszę zamienić słówko z pani tłustym, skretyniałym szefem.

Elizabeth rzuciła mi klucz ze śmiechem.

- To mi się podoba.

Spojrzałem w stronę kamery i wysunąłem język. Znowu śmiech.

Parę minut później nacisnąłem guzik przy drzwiach gabinetu Hala. Usłyszałem brzęczyk i wszedłem. Przy biurkach siedziało

dwóch typków wyglądających na maniaków komputerowych. Gapili się w monitory.

— Jestem Drummond - oznajmiłem. -
Przyszedłem odwiedzić lorda Hala.

— Tak - odparł jeden z komputerowców.

Nacisnął przycisk, pchnąłem drzwi i znalazłem się w norze Hala. Merriweather siedział przy biurku, stukając w klawiaturę. Podniósł głowę.

— O, to ty.

— Pomyślałem, że wpadnę i powiem „bez urazy”.

— Pierdol się.

— Wyjąłeś mi to z ust. - Wymieniliśmy krótkie, lecz znaczące spojrzenia pełne nienawiści. - Cy powiedział ci, że jestem z powrotem w firmie?

— Powiedział.

— Że wszystkie zarzuty zostały wycofane?

— Słyszałem.

— Że mogę brykać po lokalu bez ograniczeń, włączać komputery i tak dalej?

- Słyszałem. I będę patrzył ci na łapy, Drummond.

- A ja tobie. Oparłem się o jego biurko.

— Hal, chciałem cię o coś zapytać. Pamiętasz moją koleżankę Lisę Morrow?

— Że niby co?

— Bo mam taką dziwną teorię... Ale nieważne, i tak cię nie zainteresuje.

— O czym ty chrzaniisz?

— No dobra. Wiem, że to może zabrzmieć śmiesznie... albo dziwnie... A więc, myślę, że morderstwo miało coś wspólnego z jej pracą tutaj.

— Ale ty masz nasrane. Słuchaj wiadomości. Załatwił ją seryjny morderca.

Nachyliłem się bliżej.

- Widzisz, Hal, otóż ja myślę, że ten seryjny zabójca to lipa. Tak naprawdę był to cyngiel, którego naślano na Lisę.

Hal spojrzał mi prosto w oczy.

— Nie mam pojęcia, o czym gadasz.

— Nie?

— Nawet jej nie znałem - powiedział z naciskiem, ale jego świńskie oczka zrobiły się jeszcze bardziej świńskie.

— Ale ona знаła ciebie.

— To duża firma, Drummond. Oskarżasz mnie o coś? Roześmiałem się.

— O rany... Hał, trudno z tobą pogadać jak z kumplem.

— Uważasz się za cwaniaka, co?

— Iloraz inteligencji dwieście to ogromny ciężar. Widać to po mnie?

— Skończyłeś, Drummond?

— Na pewno nie z tobą.

Wychodząc, czułem na plecach jego wzrok. Komputerowcy w sąsiednim pomieszczeniu wciąż gapili się w monitory.

Wziąłem kubek kawy z automatu i poszedłem do mojego luksusowego gabinetu. Ledwie zdążyłem uruchomić komputer, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi. Do środka wsunęła głowę Sally Westin.

— Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Elizabeth powiedziała, że przyszedłeś.

— Ależ skąd. Jak się miewasz?

- Świetnie. - Uśmiechnęła się i weszła. - Zmęczona i przepracowana.

- Kara za grzechy.

Sally zaszurała nogami.

- Barry mnie prosił, żebym zajrzała do ciebie, jak tylko się pokażesz. - Uniosła czarny segregator i dodała: - Audyt firmy Morris Networks... chodzi o twój podpis.

Podeszła i położyła segregator przede mną.

Otworzyłem go i sięgnąłem do kieszeni po pióro.

— Słyszeliśmy niepokojące plotki - rzekła Sally.

— Okropne, mam nadzieję.

— Chodziło o to, że napadłeś na Barry'ego albo on na ciebie.

— To śmieszne. Zastanawiamy się nad ślubem.

Coś jeszcze?

— Że miałeś problemy z audytem.

— Też bzdura. Było tak fajnie, że zapisałem się na wieczorowy kurs księgowości.

— Miałam na myśli zgodność audytu. Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

— Czy podpisałbym, gdybym nie był pewien?

Sally przysunęła sobie krzesło.

— Mogę?

— Nie krępuj się.

- Dziękuję. Słuchaj, Sean, wydaje mi się, że nasza znajomość źle się zaczęła.

Skończyłem podpisywanie audytu i podniosłem głowę. Sally wyglądała jak szmata: worki pod oczami, ciężkie powieki, zaniedbane włosy. Przerost ambicji trudno zamaskować, nawet makijażem.

— Czemu tak uważasz?

— Wiem, że myślisz, że jestem nakręcona i zaślepiona.

— Ty? - spytałem z uśmiechem. Sally też się uśmiechnęła. - Wiesz, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Co by było, gdybyś wyskoczyła na golasa z wielkiego tortu w czasie przyjęcia gwiazdkowego w firmie?

Sally zachichotała.

- Czy w ten sposób zasłużyłabym sobie na stanowisko wspólniczki?

- Dostawałabyś więcej zaproszeń na prywatki.

Sally spoważniała.

— Potrzebujesz przyjaciół w tej firmie. A ja się nie sprawdziłam. Powinam mieć cię na oku. - Przeniosła wzrok na podłogę. - Nie stanęłam na wysokości zadania.

— Trudny ze mnie pacjent. Oboje będziemy się bardziej starali.

Sally wstała i wzięła segregator.

— Jestem twoją przyjaciółką, Sean. Pamiętaj o

tym. Zaufaj mi. Jeśli będziesz miał jakiś problem, dzwoń.

— Tak zrobię. Dziękuję.

Sprawdziłem pocztę elektroniczną. Czekala na mnie długa lista e-maili: administracyjne badziewie, charakterystyki waż-

nych spraw prowadzonych przez firmę - było ich tyle, że usunięcie wszystkich zajęło mi prawie pięć minut. Usatysfakcjonowany, zająłem się odsłuchiwaniami wiadomości na sekretarce. A ponieważ żadnych nie było, nie trwało to długo. Było późne popołudnie, a ja nie spałem od dwóch dni. Uznawszy, że akt drugi dobiegł końca, wyłączyłem komputer i wyszedłem.

— Trochę wcześniej wymykamy się do domu, co, majorze? - zapytała Elizabeth.

— Ciii. - Wskazałem na kamerę i szepnąłem: - Proszę nikomu nie mówić.

Elizabeth zachichotała. Pochyliłem się w jej stronę.

— Elizabeth, od jak dawna pani tutaj pracuje?

— Od czternastu lat.

— I podoba się pani?

— Podoba mi się, że czeki nie są zbyt cienkie.

— Słusznie. A Hal? Kiedy przyszedł?

— Dwa, może trzy lata temu.

— Rozumiem.

— Robię to, co robię... To znaczy, z Halem. -

To znaczy co?

— Udaję po prostu, że go nie ma.

Zaśmiałem się i ruszyłem w stronę windy. Nagle coś przyszło mi do głowy i odwróciłem się.

— Kiedy przyszedłem, czy zawiadomiła pani Sally, że jestem?

— Nie. A powinnam?

- Tak. I nigdy więcej proszę o tym nie zapominać.

Znów się roześmiała. Dlaczego nikt nie traktuje mnie poważnie?

ROZDZIAŁ 46

Zaparkowałem samochód w podziemnym garażu koło hotelu Madison, wszedłem do holu i skierowałem się prosto do pokoju na trzecim piętrze, który sąsiadował z pokojem Janet. Numery obok i naprzeciwko zajmowali pajace z ochrony, pilnujący naszego zdrowia i dobrego samopoczucia. Cały korytarz był jak obóz uzbrojonego po zęby oddziału, pełen kamer i wykrywaczy ruchu. Było tam tyle środków wybuchowych, że mogłem się tylko modlić, żeby ktoś nie zapalił zapalki.

Hotel Madison, nawiasem mówiąc, nie był najgorszą meliną na przeczekanie do czasu złapania zabójcy. Jest to pięciogwiazdkowy zajazd wyposażony we wszelkie luksusy: są tam ładne pokoje, eleganckie restauracje etc. Bogu dzięki, że to nie FBI rządziła tym przedstawieniem, bo wylądowalibyśmy w jakiejś norze przy szosie, jedlibyśmy spaloną pizzę, a kablówkę zmodyfikowaliby nam tak, żebyśmy mogli oglądać tylko kanał Lifestyle. Musicie wiedzieć, że CIA ma do tych spraw całkowicie odmienne podejście. Dobrze jest posiadać utajniony budżet - to mniej więcej tak, jakbyście dostali czek in blanco od Wuja Sama. Poza tym istnieje przepaść kulturowa między FBI i CIA, taka jak między harcówką dla starszych harcerzy i fanklubem Machiavellego - może właśnie to sprawia, że

jedni drugich nie lubią i im nie ufają. Może dlatego też nie dzielą się zbyt chętnie informacjami.

Wszedłem do pokoju i zaraz potem usłyszałem pukanie do drzwi. To była Janet.

— Wcześniej wróciłeś - stwierdziła.

— Ten, który pierwszy przychodzi, dostaje coś do picia.

— Dla mnie też zdobądź.

Podszedłem posłusznie do barku, wyjąłem dla niej piwo, a dla siebie scotcha. Janet usiadła na krześle przy oknie. No więc zostaliśmy sami, twarzą w twarz.

Naprawdę potrzebowałem tego drinka.

— Jak poszło? - zapytała.

— Świetnie. W firmie wszyscy zadowoleni, że podpisałem audyt i wycofałem pozew. Ustawili się do mnie w kolejce, żeby przybijać piątki za oskubanie Morrisa z siedemdziesięciu milionów. Zastanawiają się, czy nie zaproponować mi stanowiska wspólnika.

— Więc kupili to?

— Tak. Ale Cy powiedział, że nie pracuję już dla Morrisa. Najwyraźniej Jessica do niego zadzwoniła i stwierdziła, że nie jestem miłym chłopcem.

— Jaka szkoda. A takie z nich kochane ludziska.

— Poza tym, pieniądze są już w moim banku. Mówiłem poważnie, że chcę, byś wzięła połowę. Załatwię to, kiedy minie przepisowe dziesięć dni.

— Zatrzymaj te pieniądze.

— Myślę, że ty...

- To pieniądze splamione krwią. Zatrzymaj je.

Zerknąłem na zegarek: bezwzględnie była już pora na drinka.

Janet wzięła piwo z mojej ręki i powiedziała:

- Nawiasem mówiąc, kobieta, którą spotkaliśmy przy windzie, sprawiała wrażenie szczególnie tobą

rozczarowanej.

Podrapałem się po głowie.

— Ach, panna Allison... Główna asystentka
Jasona.

— Nieważne - powiedziała Janet, przewracając
oczami. - To nie moja sprawa.

Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego o niej wspomniała.

— Zjedliśmy razem lunch. Raz, może dwa...
Uznałem, że jest kobietą samolubną i nieciekawą.

— Jest olśniewająca.

— Nie zauważyłem.

— Nic dziwnego, że między tobą i moją siostrą się nie ułożyło.

— Co to ma znaczyć?

— Nic, absolutnie nic.

Zrzuciłem buty i padłem na łóżko. Dwie noce bez snu, bitwy, strzelaniny, grill w FBI, pogawędka w CIA, a teraz jeszcze to. Jezu. Byłem nieco pod kreską i robiło mi się trochę gorąco pod kołnierzem.

— Puściłeś mnie kantem - rzekła w końcu Janet. Odchrząknąłem.

— Nie puściłem cię kantem.

— Ależ tak.

— Nie. Przyjąłem najlepszą propozycję, jaką mogliśmy dostać.

— Skąd wiesz?

— Bo znam Waszyngton. Bo ludzie tutaj myślą inaczej niż w Bostonie. „Stolica i przyległości” to nie jest geograficzny eufemizm, Janet, to sposób myślenia. Może uderzam w metafory, lecz Peterson i jego ludzie spędzają całe życie na porównywaniu większego dobra z mniejszym złem. To brudny interes. Oni też go nie lubią. Ale to robią i dzięki temu wszyscy mamy się lepiej.

— Ale zabójca to tylko wynajęty cyngiel. Odpowiedzialność za śmierć Lisy spoczywa na ludziach, którzy go opłacili.

— Wszyscy to wiemy.

— Skoro to wiesz, jak mogłeś im odpuścić?

— Bo mi rozkazano. Jak myślisz, dlaczego

zjawił się tam Clapper? - Pod wpływem jakiegoś impulsu dodałem: - I powiem ci coś jeszcze: gdyby Lisa, twoja siostra, moja przyjaciółka i towarzyszka broni znalazła się na moim miejscu, postąpiłaby identycznie. Pomyśl o tym.

Janet siedziała i patrzyła w szklankę z piwem, a ja siedziałem i rozwiązywałem krawat. Chciałem wiedzieć, co ona myśli. Prawdę powiedziawszy, trochę zawróciła mi w głowie. Może więcej niż trochę.

Chyba właśnie dlatego byłem zraniony i zareagowałem tak gwałtownie. Czułem się, jakbym utracił coś bardzo cennego, choć w istocie nigdy tego nie miałem. Pewnie nic by z tego nie wyszło z powodu George'a, śmierci siostry i sztuczności sytuacji, za sprawą której się zetknęliśmy. Ale po takim poranku wszystkie wątpliwości się rozwiały.

— Rano użyłeś słowa „tuszować” - przypomniała mi Janet.

— Naprawdę?

— A ja odniosłam wrażenie, że Peterson i jego ludzie je ominęli.

— Takie miałas wrażenie?

— O czym mówiłeś?

— O niczym. Strzelałem w ciemno.

— Nie, miałeś na myśli coś bardzo wyraźnego.

— Zapytaj swojego przyjaciela George'a.

— Czy George... myślisz, że jest wplątany? Dopilem scotcha.

— Jego o to spytaj.

Miała następne słowo na końcu języka, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Otworzyłem. Weszło dwóch drabów w szarych garniturach, a za nimi Jack MacGruder, głównodowodzący operacji „Koń trojański”. Gówniana nazwa, jak na mój gust. Kryptonim ma maskować cel operacji, prawda? A jeśli tamci dranie kiedykolwiek ją usłyszą, zaczną drapać się po głowach i powtarzać: Koń trojański...? Koń trojański...? Ci z CIA to takie mądrale i cwaniaki... Cóż to może znaczyć? Jak myślisz?

Tak czy owak, MacGruder wskazał na piwo

Janet i zapytał:

- Macie tego więcej?

Podszedłem do barku i wyjąłem następne piwo.

Draby stanęły przy drzwiach, MacGruder usadowił się w fotelu naprzeciwko Janet, a ja usiadłem na łóżku.

Objął spojrzeniem przestronny pokój i się uśmiechnął.

— Całkiem przyjemny hotelik, nie sądzicie? Możliwe, że spędzicie tu dużo czasu. Chcemy mieć pewność, że jest wam tu wygodnie i miło.

— Zabójca chce dobrać się nam do tyłków, moja kariera legła w gruzach, ojciec Janet leży w szpitalu, a jej siostra w kostnicy - przypomniałem mu. - Oszczędź nam głodnych kawałków o gościnności, Jack. Powiedz, co jest grane, i wynoś się w diabły.

MacGruder wziął głęboki oddech. Jeśli myślał, że będziemy radosnymi i grzecznymi pasażerami, to teraz już wiedział, że się pomylił.

- Dobrze. Pamiętajcie, że zabójca uciekł z Bostonu samochodem. Najnowsza wiadomość od FBI jest taka, że odnaleziono wóz skradziony panu Harry'emu Boticherowi w Bostonie. Był na parkingu Maryland House, przystanku obok trasy dziewięćdziesiąt pięć, który może znacie. Ukradziono tam następnego samochód, który znaleziono dziś po południu, zaparkowany niezgodnie z przepisami - uwaga! - jedną przecnicę od siedziby FBI. - Jack się roześmiał. - Ten gość ma poczucie humoru, co?

Wal się, Jack.

— Jakies odciski palców, włosy, włókna? - chciała wiedzieć Janet.

— Włókna z bawełnianej koszuli. Ale samochód został wytarty do czysta. Złodziej użył nawet środków dezynfekujących, uwierzylibyście?

- A zwłoki w moim mieszkaniu? - spytał.

Jack pokręcił głową.

- Żadnych wskazówek. Jeden był mężczyzną rasy białej, a drugi miał częściowo latynoskie pochodzenie. Nie znaleziono przy nich żadnych dowodów tożsamości, odcisków palców nie było w

bazie danych FBI, podobnie jak zdjęć. Obaj używali zmodyfikowanych karabinów uzi; nie udało nam się ustalić, skąd pochodzi broń. Na ganku twojego mieszkania znaleziono plamy krwi, ale nikt nie zgłosił się do okolicznych szpitali.

— A nasze rodziny? - zapytałem.

— FBI rozpięła nad nimi szczelną sieć. Wszyscy są zdrowi, czują się dobrze, a my postaramy się, żeby tak było nadal.

— Co ze Spinellim?

— Przez kilka miesięcy będzie chodził z ręką na temblaku. Mniej więcej godzinę temu wypuszczono go ze szpitala.

Przeciągnąłem się i ziewnąłem. Wiedziałem, że to ważne informacje, które powinienem znać, ale nie ufałem Jackowi MacGruderowi i chciałem, żeby zniknął. Lubiłem Janet i ufałem jej, lecz też chciałem, żeby zniknęła.

Janet chyba czytała w moich myślach, bo powiedziała:

— Jack, on jest wykończony. Może cię odprowadzę?

— Mm... W porządku.

Wysuszyłem szklankę scotcha, padłem na łóżko, a kiedy otworzyłem oczy, było rano. Jack wrócił. T przyprowadził ze sobą George'a.

ROZDZIAŁ 47

Wpuściłem ich. Meany zadzwonił do obsługi i zamówił śniadanie, a ja wysliznąłem się do łazienki, żeby wziąć prysznic, ogolić się i ubrać. Wiedząc, że w pobliżu kręci się MacGruder, nawet się nie schyliłem, żeby umyć palce u nóg.

Wyszedłem z łazienki, skrzypiąc czystością. Czułem się wypoczęty, wciąż miałem karty kredytowe i dziewictwo i wyglądałem całkiem wytwornie w granatowym garniturze z serży od braci Brooks. Meany siedział przy stole z MacGruderem; ktoś musiał pójść po Janet, bo ona też siedziała koło George'a. Obok nich stał zaparkowany wózek z talerzykami, na których piętrzyły się steki, jajka, bagietki, naleśniki, pączki i tym podobne.

Meany uśmiechnął się do mnie.

— Dzięki za śniadanie, Drummond. Jest wyborne.

— Có ty, do cholery, zamówiłeś?

— Wszystko, co było w menu. Odpręż się. Jesteś bogaty. Ha, ha. Palant. Za wszystko płaciła Agencja.

Meany wskazał krzesło.

- Może się przyłączysz?

- Taak. Mój pokój, moje żarcie... Bezwzględnie powinienem się przyłączyć.

Usiadłem. Wziąłem sobie coś jedzenia, a później Meany i MacGruder kazali mi opowiadać wszystko, co stało się wczoraj. Zasypywali mnie pytaniami o to, czy byłem przekonujący

i czy wszyscy kupili moje bujdy. Trwało to ze dwadzieścia minut i chyba dobrze wypadłem, bo ani Meany, ani MacGruder nie wyrazili wątpliwości ani niczego nie sugerowali.

Mimo to, kiedy skończyłem, Meany nie mógł się powstrzymać.

— Bardzo źle się stało, że musieliśmy przez to wszystko przechodzić. Gdybyś nie wsadzał swojego nosa, gdzie nie powinieś, Drammond... nie byłoby kłopotu.

— Co to ma znaczyć?

— To proste. Prawie zdemaskowałeś bardzo ważną operację, którą długo opracowywaliśmy. Niemal zdemaskowałeś jednego z naszych agentów. My naprawdę nie lubimy, jak bezmyślne pajace mieszają się w nasze sprawy.

Meany, rzecz jasna, pozował - wiadomo przed kim. Podejrzewałem, że drobny incydent na ganku mojego mieszkania zostawił pewne ślady. Meany przeżuwał śniadanie dość ostrożnie. Może nie mógł się powstrzymać, ale ja miałem go dość, a poza tym nazwał mnie pajacem o jeden raz za dużo. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale musiałem zapytać.

— Czy bardzo utrudniłem ci zadanie, George?

— Jak cholera.

— A jakie jest twoje zadanie?

— Dobrze wiesz, jakie jest moje zadanie.

— Wiem, co powiedziałaś. Ale ono było inne, prawda?

— Nie wiem, o czym mówisz.

Jak na gościa, który zgłasza wątpliwości natury czysto semantycznej, za bardzo się denerwował.

- Wciąż powtarzacie opinii publicznej, że szukacie Zabójcy z LA? - spytałem.

- O to ci chodzi? Wciąż próbujesz nas

przejrzeć?

Wiedziałem, że w tym momencie Janet zaczęła uważnie przysłuchiwać się temu, co mówię.

- Czy to prawda? - zapytała.

George zignorował ją i powiedział do mnie:

- W sprawie o takim zakresie i znaczeniu, wybór podejrzanych nie należy do mnie.

- Czyżby?

— Tak.

— A ty wierzysz, że to Zabójca z LA?

— Może mam kilka wątpliwości. W śledztwach w sprawie morderstwa zawsze mam wątpliwości. Spodziewam się, że jako prawnik to zrozumiesz. - Po chwili dodał: - Stanowisko Biura jest takie, że podobieństwa między tutejszymi morderstwami i tymi w Los Angeles są przekonujące.

— A co z różnicami w rysopisach?

— Cieszę się, że o tym wspomniałeś. Gdybyś przeczytał poranną gazetę, to wiedziałbyś, że kobieta, która trzy lata temu twierdziła, że widziała Zabójcę z LA, zmieniła zeznanie. Przyznała, że mężczyzna, którego zobaczyła, mógł być o wiele wyższy.

— Albo urósł od tej pory o trzydzieści centymetrów? - odpowiedziałem.

— Był schylony, wpychał ofiarę do środka, a ona mówi, że być może źle oceniła jego wzrost.

— Jakie to wygodne;

— Co insynuujesz, Drummond? Ja nie kontroluję tego, co mówią świadkowie.

Nadeszła pora, by zmienić taktykę.

— Jak to się stało, że tak szybko dotarłeś wczoraj do mojego mieszkania?

— Jak...? Pracuję non stop. Byłem w biurze Martina, koordynowałem operację, kiedy zadzwonił jeden z twoich sąsiadów i zawiadomił o strzelaninie. Sprawdziliśmy adres, zobaczyliśmy, że to twój dom. Pomyślałem, że powinienem tam być.

George właśnie popełnił fatalny błąd. I myślę, że o tym wiedział. Jako gliniarz z doświadczeniem w przesłuchiowaniu musiał wiedzieć, że cała sztuka polega na wydobyciu od podejrzanego pierwszego kłamstwa, którego nie sposób utrzymać.

— Kto zadzwonił? - zapytałem.

— Nie pamiętam... W ogóle się tego nie dowiedziałem. Ludzie Martina przyjęli zgłoszenie.

— To dziwne. Komenda w Alexandrii jest piętnaście minut drogi od mojego domu. A ty znalazłeś się u mnie w ciągu trzech minut. Wytłumacz to.

-Nie jestem tu po to, żeby cokolwiek tłumaczyć.
Nie będziesz mnie przesłuchiwał. Jesteś na to za krótki.

Janet nachyliła się do niego.

- Odpowiedz, George. Ja też chcę wiedzieć.

Meany spojrzał na nią.

- Kochanie, nie mogę uwierzyć, że trzymasz stronę tego palanta... Zapominasz... o nas...? O tym, ile dla mnie zna czysz?

Ale Janet już dodała dwa do dwóch. Odchyliła się i popatrzyła na George'a.

— Twoje zadanie polega na tym, żeby zatuszować sprawę. Masz wprowadzać w błąd opinię publiczną... Ukryć prawdziwą tożsamość zabójcy.

— To nieprawda, kochanie, ja...

— Nie zdziwiłbym się, gdyby to George był tym, który podsunął prasie informację o Zabójcy z LA - powiedziałem, przerywając mu. - A to jeszcze nie wszystko. Założę się, że George miał dopilnować, by zabójca nie został złapany, żeby zginął, nie mówiąc, dla kogo pracował.

Meany wyprostował się na krześle. Nie wiedziałem, co chodzi mu po głowie, ale gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że na początek chciał mi wpakować kulkę w czoło. Wyszłoby na to, że moja hipoteza jest prawdziwa.

Nie jestem z tych, którzy zostawiają innych w spokoju, więc ciągnąłem:

- Bystry z ciebie gość, George. Wykombinowałeś, że drażnię mordercę, że się wystawiam. Więc razem z Martinem... co zrobiliście? Zastawiliście pułapkę wokół mojego mieszkania.

Meany najwyraźniej jeszcze nie zdecydował się na ułatwienie mi roli.

— Twój ludzie - mówiłem - mieli rysopis zabójcy i dostali rozkaz, że jeśli go zobaczą, mają

strzelać tak, aby zabić. Zgadza się?

— Nie bądź idiotą. Mieliśmy cię chronić. Jesteś mi winien podziękowanie, Drummond.

— I świetnie się sprawiliście. Następnym razem, kiedy moje

życie znajdzie się w, niebezpieczeństwie, nie omieszkać do ciebie zadzwonić.

Meany nie odpowiedział.

- Jak przemknęli się przez wasz kordon, George?

- zapytałem.

— Taki z ciebie bystrzak, to sam się domyśl. Z przyjemnością, George.

— Nie musieli. Już byli w budynku. Meany skinął głową.

- Zgadłeś, Drummond. Tuż obok było puste mieszkanie. Włamali się do niego dzień wcześniej i się zainstalowali. Tego nie przewidzieliśmy, ani tego, że zabójca wynajmie podwykonawców, żeby się tobą zajęli.

George odwrócił się do Janet.

— Nie patrz tak na mnie. Oboje chcieliśmy tego samego.

— Czyżby?

— Tak, oczywiście. Zwróciłem się do dyrektora, żeby przydzielił mi tę sprawę. Chciałem dopaść zabójcę Lisy. Powiedziałem mu o nas, a on odparł, że mogę dostać śledztwo, ale pod jednym warunkiem: musiałem to rozegrać w ten sposób.

Niewykluczone, że Meany mówił prawdę. Przypuszczalnie tak właśnie było. Ale Janet i ja potrafiliśmy dopowiedzieć sobie resztę. George idealnie nadawał się do tego zadania ze względu na związek z siostrą ofiary, a gdy stało się jasne, że mnie i Janet trzeba utemperować, pasował jeszcze lepiej.

Janet spojrzała na George'a, później na MacGrudera i wreszcie na mnie. Chyba doszła do wniosku, że nie jest w najlepszym towarzystwie, że wszyscy mężczyźni, z którymi je śniadanie, na swój sposób ją zawiedli.

- Przepraszam, muszę iść do swojego pokoju - oznajmiła, wstając. - Dzisiaj chciałabym wrócić do

Bostonu. - Zrobiła krok, po czym odwróciła się i powiedziała: - Byłabym wdzięczna, agencje Meany, gdyby pańscy ludzie poczynili odpowiednie przygotowania.

Czy wspomniałem już, że wyglądała olśniewająco w szkarłatnym swetrze?

ROZDZIAŁ 48

Gdy tylko znalazłem się w siedzibie kancelarii, podszedłem do stanowiska Elizabeth i poprosiłem o klucz do dziewiątego piętra. Chciałem złożyć następną wizytę mojemu kumplowi imieniem Hal. Jego asystenci znów tkwili na miejscach, gapiąc się intensywnie w ekrany monitorów. Może mieli na twardych dyskach filmy dla dorosłych czy coś takiego.

Ten sam, który odezwał się do mnie wczoraj, podniósł głowę.

— Tak?

— Chcę się widzieć z Halem.

— Jeszcze go nie ma. Była dziesiąta.

— Kiedy się go spodziewacie?

- Zwykle jest o siódmej. Może poszedł do dentysty czy coś. Powiem Halowi, że pan był.

Znów wsadził twarz w ekran.

- Nie zapomnij pan.

Ruszyłem więc do biura Cya. Apartamenty wspólników miały taki sam układ, jak siedziba Hala, tylko że w przedsionku warowały asystentki albo sekretarki, a umeblowanie było o wiele bardziej eleganckie. Asystentka Cya miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat, doskonałe ciało i ładną twarz, choć jak na mój gust, wyglądała trochę za bardzo kurewsko. Kiedy wpuszczała mnie do środka, zastanawiałem się, czy ją też Cy obrabia.

Cy leżał na skórzanym fotelu, leniwie popijając kawę i czytając „Wall Street Journal”. Starannie złożył gazetę na kolanach i rzekł:

- Dzień dobry, Sean.

Powiedziałem, że znów wszystko idzie dobrze i że wszyscy w firmie patrzą na mnie łaskawym okiem. Uśmiechnął się krzywo, bo na mnie nigdy nie patrzono łaskawym okiem. Lecz Cy był politykiem, więc nie powiedział tego na głos.

— Jakie jest moje następne zadanie? - spytałem.

— Zastanawiamy się nad tym. Obawiam się, że Harold wciąż jest dotknięty. Obawiam się, że myśli o zawiadomieniu Tommy’ego, iż kancelaria nie chce już uczestniczyć w programie. To by oznaczało, że wrócisz do armii. Przykro mi. Chyba nie będę w stanie tego zablokować.

— O rany, jaka szkoda. Tyle się już nauczyłem. Powiedz mi o Halu.

- Już wiesz, że ma lekkiego świra. Ale jest dobry w tym, co robi.

— Dla kogo pracuje?

— Czemu pytasz?

— Myślę, że wciąż coś do mnie ma, i gdybym miał zostać, zastanawiałbym się, co mnie jeszcze spotka.

— Pracuje dla Harolda.

— Bronson go zatrudnił?

— Tak.

— Pamiętasz, w jakich okolicznościach?

— Ten, który był przed Halem, zginął w wypadku. To było bardzo niekorzystne dla firmy, rozpaczliwie potrzebowaliśmy następcy. Ktoś polecił nam Hala.

— Pamiętasz, kto?

— Ktoś z Morris Networks, tak mi się zdaje. Sean, wiem, że go nie lubisz, ale to robotny drań.

Rzadko wychodzi przed północą. Jego pracownicy też. Współpracownicy cenią sobie to, że informatycy zawsze są w miejscu, kiedy padnie twardy dysk albo potrzebują pomocy.

- A Sally?

Z jakiegoś powodu moje pytanie sprawiło, że Cy spojrzał na mnie dziwnie.

— Co mianowicie?

— Czy któryś ze starszych wspólników pamięta jej ojca?

— Kilku. Melvin Sperling z nim pracował. Jimmy Martino, Jack Clatterman... może jeszcze ktoś. Dlaczego pytasz?

— A ją pamiętają?

— Nie. Urodziła się dopiero po odejściu ojca. Zastanowiłem się nad tym.

— Gdzie jest jej matka?

— Masz jakiś powód, żeby o to pytać?

— Pracujemy razem. Chciałbym więcej o niej wiedzieć.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, ale jestem pewien, że mi się to nie podoba.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a potem mnie olśniło. O rany.

- Rany boskie, Cy, ją też posuwasz, tak?

Sytuacja nagle zrobiła się niewygodna. Milczeliśmy chyba przez pół minuty.

— Jesteś od niej ponad dwa razy starszy - powiedziałem wreszcie.

— Kto by uwodził kobiety w moim wieku?

Racja. Poza tym robienie Cyowi wykładu o seksualnej moralności i dyskryminacji było ewidentną stratą czasu, więc zapytałem:

- Czy Lisa cię z nią nakryła?

Cy się uśmiechnął, lecz był to wysilony uśmiech.

— Mniej więcej.

— A-ha. - Wykład o guście i wybieraniu kobiet byłby tu jak najbardziej na miejscu. - Powiedz mi o jej matce.

— O matce? - Cy spojrział na ścianę. -
Mówiłem ci, że jej ojciec popełnił samobójstwo?

— Taak.

— Policja znalazła go w garażu, wisiał na
belce. Matka była w sypialni. Zastrzelił ją, zanim się
zabił.

— To okropne.

— Tak... - Cy zacisnął pięść, aż strzeliły kostki, i dodał: - Zostawił testament, w którym napisał, że córka ma zostać oddana pod opiekę państwa. Że pod żadnym warunkiem nie może jej wychowywać jego ojciec, którym pogardzał. Sally miała wtedy dwa lata. Wychowywała się w sierocińcach i rodzinach zastępczych. - Nagle Cy zapytał: - Sean, co się dzieje? Dlaczego interesujesz się Sally?

— Po prostu chcę wiedzieć, z kim pracuję.

Cy obracał w palcach spinkę do mankietów i gapił się na ścianę. Pozwoliłem mu snuć domysły. Jest takie stare porzekadło, które mówi, że człowiek roztropny nigdy nie wchodzi między mężczyznę i jego kochanki. To może być trudne, jeśli ma się do czynienia z kimś, kto posuwa pół miasta. A jednak jest to dobra wskazówka.

Zostawiłem Cya i wróciłem do swojego gabinetu. Sekretarka przyniosła rai kubek espresso. Włączyłem telewizor i czekałem.

ROZDZIAŁ 49

Telefon odezwał się o drugiej, wcześniej, niż się spodziewałem. Ale w kontekście nieobecności Hala nie mogę powiedzieć, że mnie zaskoczył.

Głos należał do Jacka MacGrudera, i wyczuwało się w nim napięcie. To też nie było niespodzianką. MacGruder przedstawił się jako Thomas Pemberton, gdyż był sprawdzonym i wypróbowanym agentem i naprawdę wierzył w te bzdury o utrzymywaniu tajemnic i zacieraniu śladów. Przypomniał mi o tym, że umówiliśmy się na późny lunch, i dodał, że czeka na mnie niecierpliwie. Oznaczało to tyle, że mam ruszyć dupę i zjawić się tam natychmiast.

Wyszedłem więc z budynku firmy i pojechałem do hotelu Madison. Ale kiedy znalazłem się w pokoju, zastałem tam nie tylko Jacka, ale jego szefową Phyllis Carney i - jakże by inaczej - George'a Meany'ego. Wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy, w którym była konsternacja, zaniepokojenie, gniew i zmartwienie.

Meany wziął na siebie honory gospodarza. Machnął ręką i powiedział:

- Siadaj tutaj.

Wszyscy stali. Znałem tę grę, więc odrzekłem:

- Postoję.

Popatrzyli na siebie jak lwy, które widzą tylko jedno ścierwo do skonsumowania.

— Będiesz się gęsto tłumaczył, Drummond - powiedziała wreszcie Phyllis.

— Z czego?

— Z czego? - powtórzył Meany, spoglądając na pozostałych. - Słyszycie to? Z czego?

— Dziś rano znaleziono ciało Hala Merriweathera w jego mieszkaniu. Koło łóżka leżał list pożegnalny, Hal Merriweather trzymał w dłoniach glocka, a w jego czole ziała wielka dziura.

— O Boże! Hal...? Jesteś pewny...? Samobójstwo? - Pokręciłem głową. - O rany, trudno w to uwierzyć, prawda? Wyglądał na takiego szczęśliwego, kiedy go ostatnio widziałem, pełnego optymizmu...

— A kiedy to było, Drummond? - zapytał Meany.

— Wczoraj. Mieliśmy parę zatargów, naprawdę drobnych, więc wpadłem tam rano, żeby zakopać topór, no, wiecie. - Zrobiłem pauzę. - Zaraz, zaraz, do cholery. Wy chyba nie myślicie... Nie oskarżacie mnie... - Pokręciłem głową. - Jack, powiedz im. Ja tego nie zrobiłem. Nie mogłbym. Spędziłem w tym pokoju całą noc, pod waszym nadzorem. Wasi ludzie pojechali nawet ze mną do pracy. Założę się, że nawet podsłuchujecie moje telefony.

- Drummond, dobrze wiesz, że... - zaczął Meany.

Phyllis nie pozwoliła mu skończyć.

— Jason Morris wczesnym rankiem nurkował koło Florida Keys. Godzinę po jego wyjściu znaleziono ciało.

— Jason też? - Znów pokręciłem głową. - Wszystkim moim przyjaciołom powtarzam, trzymajcie się z daleka od ryzykownych interesów. Wiadomo, każdy lubi dreszczyk emocji, ale czy naprawdę warto?

Wiecie, o czym mówię? Facet z wielką forszą i ładną chatą, cieszący się życiem, tyle babek ślini się na myśl o nim... A on nagle zamienia się w kompost, no nie?

— Daj sobie spokój z tymi gierkami, Drummond - warknął MacGruder. - Nie traktuj nas jak idiotów.

— Ależ Jack, wczoraj widziałem Jasona... zdrowego, pełnego życia i nadziei. Zgoda, rozstawaliśmy się w lekkiej nie-

zgodzie, a jednak muszę przyznać, choć to dziwne, że na swój sposób go lubię. Naprawdę. Ale wiecie, co mówią o wypadkach. - Nikt nie odpowiedział, więc dokończyłem: - Los nie lęka się ani pieniędzy, ani władzy.

Meany, trochę rozkojarzony głupstwami, które wygadywałem, zapytał:

— Jak to zrobiłeś?

— Co, George?

Jego palec wystrzelił w górę.

- Przestań... - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Jak zaaranżowałeś te zabójstwa?

- Czyżbym znowu był podejrzany? Potrzebuję adwokata?

Ale George najwyraźniej pamiętał, że raz już się sparzył, więc z bolesnym wysiłkiem zaczął owijać w bawełnę.

— Morris został zamordowany. Ktoś przeciął rurkę doprowadzającą powietrze i trzymał go pod wodą tak długo, aż Jason się udusił. Ma siniaki na ramionach, które świadczą o tym, że stawiał opór.

— Nie powinieneś zakładać, że zrobił to człowiek. Jason lubił pływać z rekinami.

Wszyscy zrozumieli metaforę, ale nikt mi nie przyklasnął.

— Złamałeś naszą umowę i zdemaskowałeś tych ludzi, prawda? - powiedział MacGruder.

— Jack, dopełniłem umowy, którą zawarłem z panem Petersonem. Daję ci moje słowo.

Ale Phyllis okazała się bystrzejsza.

— A przed zawarciem umowy?

— Dobre pytanie.

— Więc odpowiedz. Meany pokręcił głową.

— Ty parszywy, kłamliwy skurwielu.

- Drummond, musimy wiedzieć, co ujawniłeś i

ile - powiedziała zniecierpliwiona Phyllis. - Na miłość boską, mamy ludzi w tym syndykacie. Musimy wiedzieć, czy trzeba ich stamtąd zabrać i zwinąć operację. Musimy wiedzieć, czy wywołałeś potężną katastrofę.

— Rozumiem wasze potrzeby. A czy wy rozumiecie moje?

— Nie obchodzi mnie to.

— A mnie tak.

Staliśmy przez chwilę bez ruchu, patrząc na siebie.

— Co proponujesz? - zapytała Phyllis.

— Układ. Dacie słowo, że nie będzie kłopotów prawnych, a ja powiem wam wszystko. Nie złamałem żadnego prawa. Ale jeśli uznacie inaczej, możecie mnie oskarżyć.

— Żadnych umów - powiedział Meany do kolegów z CIA. - Absolutnie żadnych.

Myślę, że George żywił do mnie jakąś urazę.

- Jakie masz argumenty, George? - naciskała Phyllis.

Meany odwrócił się do niej.

— Ten człowiek może być współnikiem w morderstwie. Żadnych układów. - Po chwili zastanowienia dodał: - Ta sprawa podlega jurysdykcji Biura, a nie Agencji. Morderstwo to zbrodnia i decyzja, czy ścigać podejrzanego, należy do mnie.

— Więc co proponujesz?

— Załamię się, jak złapię go za dupę, wrzucę do celi i oskarżę.

— O co mnie oskarżysz, George? Mam świadków. Powiedz mu, Jack. - Dla pewności dodałem: - Poza tym czas ma dla was krytyczne znaczenie, jeśli się nie mylę. Aresztuj mnie, a nie otworzę ust, póki piekło nie zamarznie.

Biednemu Jackowi MacGruderowi grunt palił się pod nogami i wcale mu się to nie podobało. Musiał jednak przyznać:

- To prawda. Był obserwowany i śledzony przez cały czas.

Sytuacja zrobiła się patowa. Po chwili Phyllis powiedziała:

- Jeśli pozwolicie, muszę omówić tę sprawę z dyrektorem Petersonem. - Ta dama miała klasę i maniery. Wyszła do łazienki i zamknęła drzwi. Podejrzewałem, że w torebce nosi bajerancki telefon rodem z *Batmana*, przez który może prowadzić bezpieczne pogawędki z szefem. Trwało to kilka minut, sami rozumiecie. A Peterson musiał porozmawiać z szefem Meany'ego, a ten pewnie z prokuratorem generalnym i tak w kółko. MacGruder, Meany i ja staliśmy przez cały ten czas z kciukami w tyłkach, gapiąc się na ściany.

Wreszcie Phyllis wynurzyła się z łazienki i oznajmiła:

— Dobrze. Nie będzie problemów, jeśli powiesz prawdę. Ale jeśli odkryję, że kłamiesz albo uprawiasz jakieś gierki...

— Nie przyszłoby mi to do głowy - wpadłem jej w słowo. Jak pewnie się domyślacie, nikt w tym pomieszczeniu tego nie kupił. Mimo to powiedziałem: - Wczoraj rano, tuż po strzelaninie, zadzwonił do mnie zabójca.

— Zadzwonił do ciebie? - spytał Meany.

— Tak. Sprawdzał, czy wciąż jestem jego celem. Więc pogadaliśmy sobie.

— O czym? - zapytała Phyllis.

— O tym, co on zrobi mnie, co ja chciałbym zrobić jemu i tym podobnych rzeczach. Ale w naszą rozmowę wkradło się nieco napięcia, a ja zasugerowałem, że wiem, kto go nasłał, czyje tyłki ma chronić i dlaczego. Jasona Morrisa i Hala Merriweathera.

Na chwilę zapadła głucha cisza. Pierwszy odezwał się Meany:

- O Boże, Drummond. Podpisałeś na nich wyrok śmierci.

Tak, zrobiłem to. Zdecydowanie tak. Ale byłbym naprawdę głupi, gdybym to potwierdził, więc poinformowałem ich:

— Merriweather był wtyczką syndykatu w firmie.

— Merriweather? - zdziwiła się Phyllis. - Skąd to wiesz?

— Zajmował się systemem informatycznym finny, więc miał prawo grzebać w serwerze. Kiedy przyłapał mnie na węszeniu, próbował mnie zrobić i doprowadzić do mojego zwolnienia. Stworzył też zaporę wokół poczty elektronicznej Lisy, żeby żaden intruz nie wykrył związku między nią, Julią i Anną.

— Mów dalej.

— Dwa razy dziennie dostawał z serwera wydruki z informacjami o wszystkich sprawach prowadzonych przez firmę i jej klientach. Jest taki punkt w firmowym podręczniku: gdy tylko zaczynasz rozmawiać z potencjalnym klientem, masz obowiązek zawiadomić kierownictwo pocztą elektroniczną, żeby wiedzieli o nadarzającej się okazji i wyznaczili zespół do prowadzenia sprawy. W ten sposób Merriweather dowiadywał się, kto zwraca się do firmy z prośbą o poradę prawną na wypadek bankructwa.

Meany zrobił minę pełną niedowierzania.

- W takim razie mnóstwo ludzi w firmie by wiedziało. Czy przyszło ci kiedyś na myśl, Drummond, że mogłeś skazać na śmierć niewinnego człowieka?

Phyllis naprawdę szybko myślała, i uporczywa złośliwość George'a zaczynała ją denerwować tak samo jak mnie.

- Nie bądź idiotą - prychnęła. - Ci z syndykatu wiedzą, kto jest ich człowiekiem. Jego śmierć tylko to

potwierdza.

Skinąłem głową, bo tak właśnie było. Ale by wzmocnić wymowę tej uwagi, dodałem:

- Ironia polega na tym, że zabójca bez wątpienia poinformował Merriweathera, że wskazałem jego i Morrisa. Zaś Merriweather poinformował syndykat, a czyniąc to, stał się zbędny. Sam podpisał swój wyrok śmierci. - Phyllis skinęła głową, a nawet się uśmiechnęła. Myślę, że przypadł jej do gustu ten przejaw niebiańskiej sprawiedliwości.

Lecz Meany w żadnym razie nie skończył i nie czuł się pokonany.

— Ale Morris to inna historia, co, Drummond? Jedyne podejrzenie, jakie wobec niego mieliśmy, dotyczyło uwikłania w korporacyjny szwindel. Ty wydałeś na niego wyrok śmierci.

— To on wszedł w układ z Grand Vistas - odparłem.

— Wiesz to na pewno?

— Tak. To on kazał Cyowi Bergerowi wysłać Barry'ego Boswortha do Włoch po kontrakt.

— To tylko poszlaka.

— Nie, George, to niezbity dowód. Morris znał kondycję finansową swojej firmy i po ratunek udał się do diabła. Sprawa zamknięta.

- To nie usprawiedliwia wyroku śmierci, prawda?

Czułem, że przez cały czas Phyllis przygląda się mojej twarzy.

— On ma rację, Drummond - powiedziała. - Nie masz żadnego dowodu przeciwko Morrisowi, zgadza się?

— To Morris zawarł układ.

— Oczywiście, ale jeśli chodzi o morderstwa...

— On wszystko zapoczątkował...

— A ty zagrałeś w ciemno - wtrąciła Phyllis. -
Założyłeś, że wie o morderstwach, więc pociągnąłeś za
spust. Zgadza się?

Nie zamierzałem jej odpowiadać. Ale tak, miała
rację. W ułamku sekundy musiałem zdecydować, które
nazwiska podać mordercy, rzuciłem więc kości i
wymieniłem też Jasona Morrisa. Nie byłem pewien,
czy Morris stał za morderstwami ani nawet czy o nich
wiedział. Instynkt podpowiadał mi, że tak, i poszedłem
za nim.

Wszyscy mi się przyglądali i próbowali
odgadnąć, co mi chodzi po głowie. Wiele myślałem o
tej sprawie w ciągu ostatniej doby. Dręczyła mnie.
Wiedziałem, że mogę w każdej chwili zatrzymać koła,
które puściłem w ruch. Mogłem poinformować o moim
małym spisku CIA albo Meany'ego, a oni poderwaliby
tyłki i w jakiś sposób otoczyli Morrisa i Merriweathera
murem ochronnym. Lecz człowiek, który podstępnie
doprowadził do zamordowania Lisy, zostałby ocalony.

Czyngis-chan rzekł ponoć kiedyś: „Zabij
wszystkich, a będziesz wiedział, że zabiłeś winnych”.
Amerykańskie prawo nie działa w ten sposób i nie
powinno; nie powinni też tak postępować pojedynczy
ludzie. Najbardziej fundamentalnym założeniem
amerykańskiego prawa jest domniemanie niewinności.
Ochrona niewinnych jest święta i właśnie to oddziela
cywilizowane społeczeństwo od bandy dzikusów.

Tłumaczyłem sobie racjonalnie, że Morris był
głównym architektem zbrodni, która doprowadziła do
śmierci niewinnych ludzi. Był winny, nawet jeśli nie
była to wina bezpośrednia, i to wystarczy. Ale to nie
wystarczyło. Tak więc pogodziłem się z nagim faktem,
że spędzę resztę życia, wiedząc, że skazałem na śmierć
niewinnego człowieka - a właściwie skorumpowanego
- za zbrodnię, której być może nie popełnił. Bo ja nie

wiedziałem tego na pewno, a z całą pewnością nie mogłem mu tego udowodnić.

- Jezu Chryste, Drummond, nie jesteś lepszy od nich - powiedział Meany.

Była to przesada, ale niedaleka od prawdy. Upłynęła długa chwila niezręcznego milczenia. Phyllis spojrzała na Jacka MacGrudera.

— No i co?

— Zasluguje na to, żeby żyć ze świadomością, że podjął taką decyzję - odparł MacGruder.

— Tak myślisz? - spytała niepewnie Phyllis.

— Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Nic mu nie zawdzięczamy.

— To niczemu nie zaszkodzi, Jack. Morris Networks to w tej chwili już tylko historia, nic więcej.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi Phyllis, lecz MacGruder najwyraźniej był typowym człowiekiem CIA: tajemnica aż po grób, zaciśnięte usta ratują armię i tym podobne bzdury. Nie podobała mu się decyzja przełożonej.

— Namierzaliśmy Morrisa - przyznał ze złością. - Podszuch na telefonach, monitorowanie poczty elektronicznej, wszystko. - Zrobił pauzę i oznajmił: - Morris wiedział.

— Wiedział? - zapytałem.

— Obawiam się, że parę dni temu musieliśmy troszkę wprowadzić w błąd ciebie i pannę Morrow - rzekła Phyllis. Długimi palcami dotknęła uroczej broszki w kształcie pająka, którą miała na szyi. - W e-mailu sprzed mniej więcej miesiąca Morris dostał informację od pewnego człowieka z Grand Vistas o poważnym przecieku, który trzeba zatkać. Dokładnie tak się wyraził, nawiasem mówiąc. - Po chwili zauważyła: - Nie uważacie za osobliwe, że przestępcy posługują się językiem hydraulików?

— Informacja była zbyt ogólna, żebyśmy mogli się domyślić, co znaczy - dodał MacGruder. - Dopiero po śmierci drugiej ofiary...

Phyllis nie pozwoliła mu skończyć.

— Jak wcześniej mówiłam, syndykat ma bardzo wyrafinowaną strukturę i jest bardzo ostrożny, jeśli chodzi o komunikację. Można przypuszczać, że sprawa została szczegółowo omówiona z Morrisem. Później, rzecz jasna. Prawdopodobnie w jego domu na Florydzie.

— Nasi przyjaciele z FBI widują czasem wchodzących do domu i wychodzących ludzi, którzy należą do syndykatu - wyjaśnił MacGruder. - Morris naprawdę wpakował się w wąskie gardło.

— To znaczy, wybór był taki: albo on, albo te kobiety? - spytałem.

— Właśnie. Syndykat nie mógł pozwolić mu żyć, gdyby sprawa wyszła na jaw. Wybuchłaby prawdziwa bomba, opinia publiczna by się dowiedziała, doszłoby do procesu, i Bóg raczy wiedzieć, do czego Morris by się przyznał.

Nie powiedziałbym, że westchnąłem z ulgą. W gruncie rzeczy to właśnie podejrzewałem. Ale skoro moje przypuszczenia się potwierdziły, mogłem dalej iść przez życie z aureolą nad głową. Otóż to.

— Dziękuję - powiedziałem do Phyllis. I było to bardzo szczere.

— Drobiazg. - Wzruszyła ramionami.- Nie ma się nad czym rozwodzić.

Więc się nie rozwodziłem.

- Jestem wam coś winien, więc się odwdzięczę. Na pewno zachodzicie w głowę, dlaczego Sally Westin nie odkryła, że to Merriweather był wtyczką syndykatu.

Popisywałem się, to prawda. Ale czasem dobrze jest pokazać drugiej stronie, że wciąż masz przewagę, a to była właśnie taka chwila. Poza tym, chciałem umieścić na tablicy wyników jeszcze jeden punkt.

— Nie wiem, o czym mówisz. Kim jest Sally Westin? - zapytała Phyllis. Ale chyba z mojego wyrazu

twarży odgadła, że nie kupuję tej bujdy. Poza tym
wzbudziłem jej ciekawość, więc odchrząknęła i
zapytała: - No dobrze. Skąd wiesz o Sally?

— Po pierwsze, beznadziejna z niej prawniczka.

Szóstka za

sumienność, jedyńka za efekty, prawda? Po drugie, Sally przysłała do firmy mniej więcej trzy lata temu, kiedy wy zaczynaliście operację, tak? A jeśli nie wiecie, dlaczego Sally nie zdołała namierzyć Merriweathera, wróćcie do punktu pierwszego. - Pozwoliłem im to przemyśleć. - Kim ona jest? Phyllis skinęła na Jacka.

- Nie Sally Westin, jeśli cię to ciekawi. Prawdziwa Sally została zakonnicą i mieszka w klasztorze na północ od Denver. Ale dobrze kombinowałeś. Kobieta, którą znasz jako Sally, jest agentką specjalną z Biura. I to wszystko, co potrzebujesz wiedzieć.

Jack patrzył przez chwilę na dywan, po czym westchnął.

— Jezu, a ja myślałem, że ma żelazną przykrywkę. Poświęciliśmy mnóstwo czasu na obserwację tej firmy. Cała historia rodziny Westinów... Kiedy się o tym dowiedzieliśmy... Bo jak często się zdarza, że wpada ci w ręce gotowa legenda? Nawet postaraliśmy się, żeby skończyła Duke, bo w firmie nie ma nikogo z tej uczelni.

— To świetna przykrywka - zapewniłem. - Całkowicie wyprowadziła ich w pole. Gdyby nie brać pod uwagę tej drobnej wpadki, można by uznać dziewczynę za profesjonalistkę w każdym calu.

Usta Phyllis drgnęły.

— Drobnej wpadki?

— Romansu z Cyem Bergerem. Ale przecież już o tym wiecie, no nie? Agentka tej miary na pewno poinformowała was, że sypia z potencjalnym podejrzanym.

Phyllis uniosła brew.

— Jesteś tego pewien?

— Sami ją zapytajcie.

- Zrobimy to. Na pewno to zrobimy.

Lisa z pewnością się w tej chwili uśmiechała. Rozgryzłem Sally dzięki temu, że jej żelazna przykrywka miała jedną szczelinę: dziewczyna drastycznie odstawała poziomem od prawników z czołowej firmy, to nie była jej liga. Ale jeśli sypiała z Bergerem, wszystkie jej problemy się rozwiązywały. W zamian za łóżkowe względy, których Cyowi nigdy nie było za wiele, załatwiał jej doroczne oceny - Sally się prześlizgiwała i nie musiała wracać do FBI z podwiniętym ogonem. A może po prostu damy nie umiały mu się oprzeć? Skąd mam to wiedzieć? Zdaje się, że mam kilka problemów na tym polu.

— Chcesz coś jeszcze dodać? - spytała Phyllis.

— Nie. Powiedziałem wam już wszystko.

Phyllis spojrzała na Jacka.

— No i co? MacGruder podrapał się po brodzie i odparł:

— Wydaje mi się, że syndykat zrozumiał, iż układ Grand Vistas-Morris Networks wymyka się z rąk, że ludzie zostali ujawnieni, i postanowił z nimi skończyć. Do jutra pewnie spieniężą wszystkie akcje Morris Networks, Grand Vistas skończy na śmietniku historii, a organizacja skieruje działalność w inną stronę.

— Zgadzam się z tą oceną, Jack - oznajmiła Phyllis. - Czy powinniśmy się martwić innymi szkodami?

MacGruder pokręcił głową.

- Nie, jeśli nie potraktujemy śmierci Morrisa i Merri-weathera jak morderstw. Ale jeśli uznamy je za niezwiązane ze sobą wypadki, czyli tak, jak miały wyglądać – samobójstwo i przypadkowe utonięcie - syndykat nie będzie miał powodu, by uważać, że jego działalność została zdemaskowana.

Wyglądało na to, że Phyllis też jest tego zdania.
Spojrzała na mnie.

— Już to przemyślałeś, prawda?

— Może.

— O Boże, ale z ciebie zimnokrwisty drań -
stwierdził Meany.

— Możliwe, George. Ale Morris i
Merriweather sami dokonali wyboru. Jeśli wchodzisz w
układ z diabłem, to diabeł liczy twój czas.

Cała trójka zastanowiła się nad tym chwilę.

Phyllis znów zaczęła bawić się pajęczkiem na
kołnierzu.

- Ale jest jeden problem, prawda?

— To znaczy ja.

— Tak... ty.

— Syndykat nie powinien się nim martwić - zauważył Jack. - Według ich wiedzy Drummond nie ma pojęcia o istnieniu organizacji i związku z Grand Vistas. Jeśli go przerwą dzisiaj lub jutro, Drummond będzie wolny i czysty.

Phyllis skinęła głową.

— Ty też tak to oceniasz?

— Jack ma rację. Syndykat nie będzie się mną martwił. Nie stanowią dla nich zagrożenia.

— Więc czemu widzę niepokój na twojej twarzy, młody człowieku? - zapytała Phyllis.

— Zabójca jest człowiekiem syndykatu czy miejscowym najemnikiem?

— Zakładamy, że jest miejscowy - odparł Jack. - Z oczywistych powodów zatrudniają miejscowych, kiedy zachodzi potrzeba. Rok temu tak samo postąpili w Pakistanie. Wszyscy zabójcy byli miejscowi.

Phyllis znów wykazała się inteligencją.

— Ale między tobą i nim sprawa przybrała wymiar osobisty, prawda?

— Wiem, że dla mnie tak. I myślę, że dla niego też.

— To niedobrze.

— Coś podobnego.

— Wobec tego się wpakowałeś. - Po chwili zapytała: - Czego od nas oczekujesz?

— Nie zdejmujcie ochrony z Janet i z naszych rodzin. Ten facet jest mściwy.

Meany, który po cichu lizał rany, postanowił wrócić na arenę.

- Stanowisko Biura, jak wiecie, jest takie, że zabójca musi stanąć przed obliczem sprawiedliwości. Brutalnie zamordował osiem osób i jest na czołówkach

wszystkich gazet w kraju. Musimy go dopaść, Phyllis.
Od tego zależy nasz wizerunek.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

Nie trzeba było być geniuszem, żeby wiedzieć,
o czym myślą.

ROZDZIAŁ 50

Za oknami klasy siekł zimowy deszcz. Moi studenci śnili na jawie, bazgrali coś z roztargnieniem, flirtowali, udawali, że puszczają bąki - jednym słowem robili wszystko, tylko mnie nie słuchali.

Od spotkania w hotelu upłynęły trzy bardzo długie i pełne napięcia dni.

Opuściliśmy Madison zaraz po rozmowie i udaliśmy się prosto do Pentagonu, do sali 2E535, w której mieściło się biuro generała Clappera. Phyllis wyjaśniła mojemu szefowi, że trzeba mnie wyciągnąć z firmy, natychmiastowo, i przydzielić do innych obowiązków, tak abym był narażony na atak, ale bez przesady. Nie byłem pewien, co to znaczy, lecz Clapper obiecał to załatwić, a potem bardzo serdecznie poprosił Phyllis, żeby zaczekała w przedpokoju, a my tymczasem wymienimy się przemyśleniami.

Ta wymiana okazała się nieco jednostronna, a zaczęła się od ciut sztywnej i przydługiej pogawędki o procedurach prawnych i potrzebie nienagannego profesjonalnego postępowania w czasie pracy w sektorze prywatnym, a tym bardziej w agendach rządowych. Clapper poczynił kilka bardzo trafnych i celnych spostrzeżeń, a ja, stojąc na baczność przed jego biurkiem, wskazałem kilka sfer, w których powinienem się poprawić.

Kiedy wreszcie zrzucił z piersi ten ciężar, powiedział:

-Teraz możecie usiąść, majorze Drummond.

Zasiedliśmy więc na tych samych skórzanych fotelach w rogu, na których siedzieliśmy kilka tygodni temu, kiedy to wszystko się zaczęło. Clapper założył nogę na nogę, uśmiechnął się i zapytał:

— Myślę, że jest jeszcze jedna sprawa, którą powinniśmy załatwić.

— Zdawało mi się, że całkiem dokładnie poruszył pan wszystkie kwestie.

— Pieniądze.

— Pieniądze?

— Siedemdziesiąt milionów dolarów.

— Ach, te pieniądze.

— Przypomnijcie mi, w jaki sposób weszliście w ich posiadanie?

— To owoc ugody prawnej.

— Chyba się mylicie, majorze. To owoc dochodzenia w sprawie o przestępstwo.

— Nie, panie generale. Zostałem zaatakowany i zastosowałem bardzo pospolite prawne lekarstwo.

— Może zachodzi jakieś nieporozumienie terminologiczne - odparł Clapper. - Wymusiliście te pieniądze od spółki publicznej. Do wymuszenia doszło w wyniku śledztwa w sprawie karnej. W żargonie środowiskowym nazywa się to „ukaszaniem”, zaś pieniądze należą nie do agenta, lecz do rządu, z którego upoważnienia agent działał. - Spojrzał na mnie ostrożnie i dodał: - Już zwróciłem się o opinię w tej kwestii do akademii JAG i otrzymałem zapewnienie, że szanse są tysiąc do jednego na korzyść rządu.

Ale to było przed trzema dniami, a ja nie lubię wracać do przeszłości. Clapper zdarł ze mnie, lecz jak się okazało, także ja zdarłem z niego. Nadwyrężyłem jego długą i serdeczną przyjaźń z Cyem, który, choć to dziwne, nie okazał wdzięczności za to, że stary kumpel

naślał na jego wspaniałą kancelarię Trefnego Seana. Kancelaria zaś nie okazała wdzięczności, że Cy zaproponował współpracę armii, i tak dalej. Dzień po tym, jak odszedłem z firmy, komisja zarządzająca poprosiła Cya o zmianę jego statusu z „aktywnego wspólnika” na „wspólnika doradzającego”. To drugie jest grzeczniejszą formą wysłania na emeryturę, choć w tym przypadku oznaczało wylanie z pracy. Barry’ego potraktowano tak samo, tyle że nie było mowy o stanowisku „wspólnika doradzającego”. Po prostu go wyrzucono.

Ale nie myślcie przypadkiem, że Clapperowi brakuje poczucia humoru. Reagując na prośbę Phyllis, wyznaczył mi funkcję tymczasowego instruktora w Fort Myer, gdzie miałem prowadzić seminarium dla oficerów JAG. Czego miałem uczyć? Księgowości korporacyjnej. Oficerowie JAG zostali nimi właśnie po to, by nie mieć nic wspólnego z prawem korporacyjnym. Zgadza się? A kiedy wykładowca czuje dokładnie to samo, co studenci, w sali wykładowej panuje bardzo ożywiona atmosfera.

Tak jak moi pupile, od dłuższego czasu zerkałem na zegar ścienny - do szczęśliwej godziny zostały trzy minuty. Przerwałem na chwilę pełen wigoru, fascynujący wykład o zabezpieczaniu się przed ryzykiem walutowym i myślałem właśnie o tym, by zakończyć wysokim C. To, rzecz jasna, oznaczało dobry żart. Wrzasnąłem więc, żeby się zamknęli. Co też zrobili.

- Słuchajcie. Trzech facetów idzie na rozmowę kwalifikacyjną do CIA. Wchodzą po kolei do sali. Mężczyzna przeprowadzający rozmowę mówi do pierwszego: „Tu ma pan pistolet. Za tymi drzwiami stoi pańska żona. Proszę wejść i ją zastrzelić”. Facet bierze gnata, przełyka ślinę i wchodzi. Po dziesięciu minutach wychodzi i mówi, że nie potrafi tego zrobić.. Facet z

CIA komunikuje mu, że brak mu zaangażowania, i odsyła. Wchodzi następny kandydat i wszystko się powtarza, tylko że ten wychodzi po trzech minutach. Wchodzi trzeci kandydat, bierze gnata i znika za drzwiami. Po chwili rozlegają się trzy strzały. Po pięciu minutach facet wreszcie wychodzi, rzuca pistolet pracownikowi CIA i mówi; „Ty palancie, jakiś kretyn załadował gnata ślepakami. Musiałem zdziżyć udusić”. Gruchnęła salwa śmiechu, poleciały na mnie papierki.

- Klasa jest wolna. - Wszyscy uciekli.

Zebrałem materiały dydaktyczne i upchnąłem w teczce. Na szczęście prowadziłem wykłady w budynku świetlicy garnizonowej, więc nie miałem daleko do kwater dla kawalerów, zwanych potocznie BOQ, gdzie mieszkałem w małym zagraconym pokoiku. Akurat padał deszcz.

Mój pobyt w BOQ miał być przejściowy, do czasu gdy zabójca zostanie złapany, a moje mieszkanie wyremontowane. Lecz wyglądało na to, że ten tymczasowy okres bardzo się przedłuży. Uwierzylibyście, że firma, do której należał budynek, złożyła do sądu wnioski o wysiedlenie mnie? Osobiście uważałem, że ich prawnicy mają dość chwiejne i wątpliwe podstawy, ale oni uważali, że wybuch i strzelanina uzasadniają przymusową wyprowadzkę.

Mimo to byłem zadowolony, że znów jestem w armii, z ludźmi, którzy ubierają się i myślą tak samo jak ja. A najbardziej byłem zadowolony z tego, że nie pracuję już w firmie. Tęskniłem za Elizabeth. Chyba podbiła moje serce, tak jak pani Robinson serce Dustina Hoffmana w *Absolwencie*. Prawdziwym wstrząsem była utrata jaguara. Ale na szczęście została mi ładna garderoba, której nawet Clapper nie mógł mi wydrzeć.

Rozległo się pukanie do drzwi, jakiś żołnierz wsunął głowę.

— Skończył pan, majorze?

— Taak. Jeszcze kilka minut. Muszę się spakować.

— Sprzątam dzisiaj w ramach służby. Chciałbym wcześniej zacząć. Mam randkę wieczorem.

- Proszę się nie krępować.

Odwrociłem się. Zacząłem wyjmować slajdy z projektora i chować do teczki. Żołnierz zabrał się do

ustawiania krzeseł i ławek.

— Jak długo pan służy? - zapytałem.

— Za długo. Staż kończy się za dwa miesiące, a ja nie przedłużam. Nic z tego, mam dość.

— Taak? Zastanów się, kolego. Mówię panu, w sektorze prywatnym wcale nie jest tak słodko, jak mówią.

— Nie?

— Powiadam panu...

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim otworzyłem oczy. Ale kiedy się ocknąłem, siedziałem na krześle, ociekając wodą, i strasznie bolała mnie głowa. Podniosłem więc rękę, żeby się pomasować, i co? Okazało się, że ręce mam, niestety, związane za plecami.

Spoglądał na mnie z góry, trzymając w dłoni pusty stoik. Uśmiechnął się i powiedział:

- Niespodzianka.

Ale dupek. Nie wyglądało to dobrze. Było po siedemnastej, piątek, świetlica prawie opustoszała, a drzwi z pewnością były zamknięte. Przyglądałem mu się przez chwilę. Miał na sobie wojskowy mundur z insygniami młodszego sierżanta na kołnierzyku i nazwiskiem Smith, lipnym, rzecz jasna.

Był naprawdę ogromny: potężne bary, szerokie ramiona, grube nogi i kark. Nic dziwnego, że żadna z ofiar nie zdołała stawić mu oporu. Był naprawdę przystojny, miał mocną szczękę, prosty nos i niesamowite niebieskie oczy. Wcale nie wyglądał jak morderca, co z pewnością pomagało mu w podchodzeniu ofiar. Miał dokładnie ogoloną głowę, ale to nic dziwnego w wojsku. Obok jego nogi leżała podłużna zielona torba. Zastanawiałem się, co w niej jest.

— To nie jest dobry pomysł, żebyś mnie zabił - powiedziałem.

— Tak?

— Jestem świetnym adwokatem, a tobie na pewno ktoś taki będzie potrzebny.

— Nie stać cię na nic lepszego?

— A co mam powiedzieć? Oszukałeś. Podszedłeś mnie z tyłu.

— Daj spokój, Drummond. Obiecałem ci, że przyjdę.

— Myślałem, że wyjechałeś.

— Niby dokąd?

— Do tej zasranej dziury, z której się wyczołgałeś. Roześmiał się.

— To będzie cię kosztowało jeden palec.

— Super - odparłem z uśmiechem. - Środkowy palec prawej ręki.

— Masz załatwione. - On też się uśmiechnął. Rozumieliśmy się doskonale.

— Kim ty jesteś, tak a propos?

— Mam wiele imion. Bill, Tom, Jack... możesz mnie nazywać, jak chcesz.

— Dupek?

— Hm, to będzie cię kosztować następny palec.

— Dobra. Środkowy drugiej ręki.

— Podziwiam cię. Trudno zachować humor w tak napiętej sytuacji.

— Wiesz coś o tym.

Schylił się i popatrzył na mnie.

— Obiecałem ci, że opowiem ci historię mojego życia, ale chyba wspomniałem, że w trakcie tej opowieści będę ci ucinał kolejne części ciała?

— Taak. Ale może powinieneś to przemyśleć? Postaram się słuchać z uwagą, ale jeśli będziesz głądził, mogę mieć problemy ze skupieniem się.

Schylił głowę na znak, że docenia przenikliwość tej uwagi, i odparł:

— Taak... Ale wiesz, trochę zależy mi na czasie. No dobra. Masz pięć pytań, zanim zacznę.

— Tylko pięć?

— Mhm. - Roześmiał się. - Ups, zostały cztery.

— O kurwa.

— To było następne pytanie?

— Mm, nie... - Znów się roześmiał, a ja naprawdę miałem ochotę zacisnąć ręce na tym grubym karku. - Dlaczego?

— Co dlaczego? Dlaczego zabijam? Dlaczego zabijam kobiety? Dlaczego Oliver Stone nie potrafi zrobić dobrego filmu? - Ściągnął brwi. - Proszę uściślić, panie mecenasie. Nie uczą was tego na prawie,

głaby?

— Dobrze. Dlaczego zabiłeś te kobiety?

— Dla pieniędzy. W ten sposób zarabiam na życie. Byłem

żołnierzem, tak jak ty. Szkolono mnie, żebym zabijał dla idei i z powodu kretyńskich decyzji politycznych. Znudziło mi się. Pusty portfel mi się znudził. Przeszedłem więc do sektora prywatnego i otworzyłem własny biznes. Podróże, przygody, dreszczyk emocji i pieniądze... Nie uwierzyłbyś, jaka to forsa... Super. Oferuję dobrą, szybką usługę, rzetelność i gwarancję sukcesu. I wiesz co?

— Co mian... Nie, nie. Nie wiem. Roześmiał się.

— Brawo za refleks. Dwa punkty.

To było prawie śmieszne. Siedzę związany i rozmawiam z psychopatą, który uważa się za Jaya Leno. Znałem ten typ. On musiał mi opowiedzieć, jaki jest inteligentny, o ile wszystkich przerasta, jak zajebiście dobry jest w tej grze. Bo dla niego, jak dla typowego psychopaty, to była gra. Musiał dominować, wygrywać jako morderca i - takie odniosłem wrażenie - jako cwaniak. W tym pierwszym był poza moim zasięgiem, ale w drugim mogłem mu dokopać. Przyszło mi na myśl, że powinienem zacząć zadawać ciosy, dopóki jest w dobrym nastroju i ma ochotę gadać. I póki nie zaczął kroić mnie na kawałki. A więc.

— No dobra - powiedziałem. - Czemu zabiłeś te kobiety w taki sposób?

— Wiedziałem, że o to teraz zapytasz. Było tak, że Merri-weather wpadł na te e-maile od Morrow z informacją o paczkach. Więc Lisa musiała być pierwsza, bo gdybym zabił najpierw Julię albo Annę, wiedziałyby. Rozumiesz to, prawda? - Przerwał na chwilę. - A wpadłeś na to, mądralo, jak te trzy się poznały?

- Nie. Ale nie chcę tracić na to pytania.

Uśmiechnął się.

- Uczysz się. Ale odpowiem ci gratis. Były

wszystkie w jakiejś grupie młodych profesjonalistek. No wiesz, to takie kółka, na których feministyczne sukki spotykają się raz w miesiącu i narzekają na szklane sufity, męską dominację i na to, że tak trudno jest coś osiągnąć bez rozkładania nóg. Gdyby banda białych palantów zebrała się w podobnym celu, nazwano by to zachowaniem dyskryminacyjnym. Pojebany kraj, co?

Nie interesowały mnie te socjologiczne wynurzenia idioty, więc powiedziałem:

— Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

— Ależ skąd, najlepsze zachowałem na koniec.

- Roześmiał się. - A ostatnia będzie Janet. Pomyślałem sobie: nie jest księgową ani prawniczką z SEC, więc nawet gdyby zrozumiała znaczenie tych zestawień finansowych, to i tak długo będzie się zastanawiała, co z nimi zrobić.

— Hej, mam dobre wiadomości - oznajmiłem.

— Taak?

— Jej paczką był prezent urodzinowy, który Lisa chciała dać ojcu.

— Taak?

— Poważnie. Całkowite nieporozumienie. Więc sprawa kończy się na mnie. - Nie odpowiedział, więc dodałem: - Ona jest pod ścisłą ochroną, wiesz? A teraz nie masz powodu, żeby ją zabijać.

Wyglądało na to, że kupuje moje argumenty.

- Nie musisz ryzykować. Dobre wyjście dla niej, dobre wyjście dla ciebie.

Pokręcił głową.

— Nie, ona umrze. - Popatrzył na mnie i zapytał: - Hej, ty coś do niej czujesz?

— Przypomnij sobie naszą umowę, popaprańcu. Nie powiedziałem, że będę odpowiadał na twoje pytania.

Roześmiał się.

- Teraz jesteś wkurzony. Za parę dni nie omieszkać przekazać jej pozdrowień od ciebie.

Szlag by to trafił.

— Ale, ale. Całkiem byśmy zapomnieli o Fiorio, nie? - zapytał. - Nie ciekawi cię ona?

— Nie.

Pewnie, że mnie ciekawiła. Ale wiedziałem, że i tak musi mi powiedzieć. Nie przeliczyłem się.

- Rozgrywka umysłów, Drummond. - Zaczął odginać palce jeden po drugim. - Fiorio nie miała z tym nic wspólnego, ale była sławna, więc wiedziałem, że gliny i FBI będą wylaziły ze skóry, żeby znaleźć sprawcę, i kompletnie się zagubią. Poza tym, trochę uległem czarowi gwiazdy - wyznał. - Szalałem na punkcie jej programu. Naprawdę chciałem ją poznać. Ale teraz tego żałuję. Codziennie w pół do siódmej wieczorem w moim życiu zaje wielka dziura. - Zaśmiał się. - Uwierzysz, że dostałem od niej autograf, zanim ją zabiłem? - Zerknął na zegarek i nieco nonszalancko powiedział: - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że rozpocznę przygotowania. - Schylił się i zaczął wyjmować przedmioty z torby. - Następne pytanie proszę.

Spojrzałem na to, co wyjmuje. W tej sytuacji powinienem był go poprosić, żeby przeczytał mi *Wojnę i pokój*. Ale nie zrobiłem tego.

— Kto cię wynajął?

— Jeszcze nie wiesz?

— Może wiem.

— Na początku Merriweather. Nie powiedział, dla kogo pracuje, a w tym biznesie nie zadaje się takich pytań. Zaproponował dużą kasę. Dziesięć milionów z góry i pięć milionów premii, jeśli robota całkowicie usatysfakcjonuje zleceniodawcę. Objął sytuację, a ja przedstawiłem mój plan. Spodobał mu się.

- Hala zachwycała nawet kanapka z serem.

Ściągnął brwi.

- Nadal jesteś na mnie zły za Morrow, co? Spróbuj spojrzeć na to z punktu widzenia profesjonalisty. Cztery ofiary jedna po drugiej, i musiałem je załatwić szybko. Zastanawiałem się, czy nie zaaranżować wypadków, ale arytmetycznie rzecz biorąc, to nie ma szans powodzenia. Wiesz, jaki jest

kłopot z wypadkami? Duże ryzyko, nigdy nie masz pewności. Kiedy jest do zrobienia seria, jedyne rozwiązanie to zabawa w imitatora. Odpowiedzialność spada na kogo innego, nikt się nie zastanawia, jakie były faktyczne motywy, a gliny uganiają się za swoim ogonem.

- Kto zlecił ci zabicie Merriweathera i Morrisa?

- zapytałem.

Roześmiał się.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Wszystko zostało załatwione przez telefon. Pięć milionów za obu.

Wyprostował się i zaczął ściągać mundur. Aha. Plan gry był najwyraźniej taki, że musiał być na golasa w czasie krojenia. Było widać, że obmyślił to wcześniej i o wszystkim pamiętał. Na podłodze leżał stos narzędzi: kilka ostrych noży, piłka do metalu, nożyce do cięcia drutu i tym podobne. Oprócz tego trzy puchate ręczniki i cztery pudełka chusteczek do pielęgnacji niemowląt, którymi zamierzał się wytrzeć, zanim się znów ubierze, spakuje narzędzia do torby, wyjdzie spokojnie z budynku i zniknie.

Był już całkiem nagi, tylko na nogi założył klapki kąpielowe. Przy tym facecie nawet mój brat John wyglądałby jak ogier rozplodowy. Dlaczego mężczyźni z małymi fiutami zawsze uważają, że muszą coś udowodnić? To nie rozmiar się liczy, tylko technika - każda kobieta wam to powie.

Co z tego, że kłamią?

Naprawdę ślinka mi ciekła na myśl, że zacznę drążyć ten temat, ale niestety nie mogłem, bo ledwie skończyłem pytać o Merriweathera i Morrisa, pan Dupek zakleił mi usta taśmą. To chyba oznaczało, że nasza konwersacja dobiegła końca i przyszedł czas na prawdziwą zabawę.

Możecie sobie wyobrazić, że bardzo mnie to zirytowało i zaniepokoiło.

Schylił się nade mną, wziął ząbkowany nóż i popatrzył na mnie.

- Chyba umówiliśmy się, że zacznę od środkowego palca twojej prawej dłoni - powiedział. Skinąłem głową. - Nie chcę cię rozczarować,

Drummond, ale bujałem. Zacznę od twojego kutasa.

Sięgnął ręką w dół i rozpiął mi rozporek. Schylony, właśnie zamierzał wyciągnąć Williego, kiedy pocisk z karabinu wbił mu się w tyłek. Pan Dupek wyprostował się i upuścił nóż. Wyglądał na bardzo zaskoczonego.

Nastąpiły dwa dalsze strzały, które prawie rozerwały go na pół. Trysnęła na mnie krew i wnętrzności.

- Policja wojskowa - usłyszałem. - Proszę rzucić broń i położyć ręce na głowie. W przeciwnym razie będę musiał strzelać.

Wielki bydlak stał już wtedy trochę niepewnie na mocnych nogach, kołyszając się i chwiejąc. Z ogromnym zaskoczeniem patrzył na swój brzuch, z którego sporymi dziurami wylewały się wnętrzności. Przeniósł wzrok na mnie. Taśma, która zaklejała mi usta, nie pozwalała mi się uśmiechnąć. Ale bardzo się starałem, żeby moje oczy miały szczęśliwy wyraz.

Ugięły się pod nim nogi.

Spojrzałem na okno, z którego padły strzały. Danny Spinelli spoglądał na mnie i się uśmiechał. W następnej chwili drzwi klasy otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło dwóch żandarmów wojskowych z taranem, a za nimi ukazali się federalniacy w charakterystycznych kurtkach i jeszcze więcej żandarmów.

Upłynęło kilka minut, nim sytuacja się uspokoiła. Rozwiązano mnie i odklejono taśmę z ust, a zespół medyczny wydał oficjalny werdykt o stanie zdrowia pana Dupka: ponad wszelką wątpliwość martwy. Ale szczerze powiedziawszy, byłem trochę wkurzony i moi wybawiciele pożałowali, że rozwiązali mnie, zanim odkleili mi taśmę. Zacząłem wrzeszczeć na każdego, kto znalazł się w pobliżu.

Wreszcie zjawili się ci, z którymi chciałem rozmawiać, czyli Spinelli i Meany. Szczególnie wściekły byłem na Spinellego. Moja umowa z Phyllis była taka, że zostanę przynętą dla zabójcy, ale pod jednym warunkiem: w akcję musiało być zaangażowane wojsko, a oddziałem miał dowodzić

Spinelli. Nie znaczy to, że całkowicie ufałem Spinellemu. Bynajmniej. Ale absolutnie nie ufałem Meany'emu.

Nigdy nie wolno pokładać całkowitej wiary w człowieku, z którym masz nie załatwione porachunki. Nie myślałem, że Meany zostawi mnie na lodzie lub coś w tym rodzaju, ale w takich sytuacjach często decydują sekundy, a jakiś głos w jego

głowie mógł powiedzieć: „No dobra, George, poczekaj jeszcze chwilę... Patrz, on chce obciąć Drummondowi fiuta... rozumiesz, George? Fiuta... Przypomnij sobie, co Drummond zrobił tobie i Janet... Jeszcze chwileczkę...”. I zanimbym się obejrzał, nie potrzebowałbym już rozporka.

Spojrzałem na Spinellogo i powiedziałem:

— Brakowały dwa cale do tego, żeby ten facet zmienił całe moje życie, palancie.

— Rany boskie, aleś ty niewdzięczny - westchnął Spinelli.

— Czemu tak długo to trwało?

— A skąd, do kurwy nędzy, mieliśmy wiedzieć, że on się tu dostanie?

Może zacznijmy od tego, że w ogóle nie miał się tu dostać?! Budynek był obstawiony, podobnie jak BOQ. Sensowne pytanie? Dla mnie jak najbardziej.

Ale żandarm, który oglądał narzędzia na podłodze, spojrzał na nas i rzekł:

- Panie chorąży, ten typ nosił mundur. Nic dziwnego, że się przemknął. To wojskowy, nazywa się Smith.

Spinelli popatrzył na mnie.

- Widzisz, z kim ja muszę pracować? - Pokręcił głową i dodał sarkastycznie: - Facet nazywał się Smith, tak jest napisane. Myślisz, że dostanę z tego powodu awans?

Pokręciłem głową.

Meany, na którego gębie nie było cienia wyrzutów sumienia, oznajmił:

- Po wyjściu klasy postanowiliśmy dać ci kwadrans. Myśleliśmy, że się pakujesz albo jakiś kursant został, żeby porozmawiać czy coś.

Pewnie. A George przekonywał wszystkich, żeby dać mi pół godziny. Ale nic nie powiedziałem.

Było diabelnie blisko, nogi wciąż mi trochę drżały. Podeszedłem chwiejnie do okna i popatrzyłem przez chwilę na niebo. Wszyscy czuli, że muszę spędzić chwilę w samotności, więc dali mi spokój.

Jestem katolikiem, jak już wspomniałem. Mimo to muszę

przyznać, że żywię kilka poważnych wątpliwości co do istnienia nieba i piekła. Miałoby to sens, gdyby Bóg miał duszę prawnika od spraw kryminalnych: święty Piotr przy bramie ze spisem grzechów, wieczna sprawiedliwość, zbawieni i przekłęci, dobrzy w jednej komnacie, źli wtrąceni do drugiej.

Brzmi to przyjemnie, ale trochę pusto. Na pewno wierzę jednak w istnienie ducha po śmierci i miałem nadzieję, że Lisa widziała, jak ten sukinsyn dostał, co mu się należało.

ROZDZIAŁ 51

Dzień był przenikliwie zimny, śnieg padał smugami zamarzniętych, białych łez.

Ceremonia w kaplicy trwała na szczęście króciutko. Lisa byłaby za to wdzięczna: nie miała zwyczaju przesadzać, kiedy przedstawiała dowody przysięgłym, mówić za długo i zostawać tam, gdzie nie była już mile widziana. Zabójca został powstrzymany, śledztwo dobiegło końca, więc koroner wreszcie zezwolił na pochowanie ciała. Pastor episkopalny, który przyleciał z Bostonu, znał Lisę od urodzenia, więc przeplatał mowę wspomnieniami z jej dzieciństwa, mówił o jej prawym życiu, dobroci i duchowym pięknie. Kiedy skończył, niczyje oczy nie pozostały suche.

Warta honorowa jak zwykle spisała się doskonale, a później wszyscy ruszyliśmy za karawanem, dostosowując krok do równego stąpania końskich kopyt.

A ja spojrzałem na wszystkie zgromadzone tam dusze, które w mniejszy lub większy sposób zetknęły się z Lisa. Był Clapper i duży orszak oficerów JAG w wojskowych mundurach. Widziałem Imeldę Pepperfield, moją niesforną asystentkę prawną, która próbowała zachować stoicki spokój i poniosła druzgoczącą klęskę. Zauważyłem twarze Jacka MacGrudera i jego szefowej, Phyllis, która spoglądała na mnie w sposób odrobinę niepokojący. Chyba zrobiłem na niej wrażenie sprytem i bezwzględnością. Wszedłem za drzwi i udusiłem żonę, a CIA o takich ludziach nie zapomina.

Widziałem rodzinę Lisy, rzecz jasna: pana Morrowa na wózku, ciocię Ethel zerkającą gniewnie na

niebo, Elizabeth, Carol, i oczywiście Janet. Jadąc na pogrzeb, zabrałem Feliksa, dozorcę domu Lisy. Nie widziałem go, ale był. Cy przysłał kwiaty, ale nie przyszedł.

Objąłem wzrokiem tę spokojną, zbitą ludzką masę, a potem spojrzałem na czarną trumnę nad prostokątnym otworem.

- Przypadł mi wielki zaszczyt powiedzenia ostatnich słów. Obiecuję, że nie będę mówił długo, bo tego nie życzyłaby sobie Lisa. Seneka powiedział kiedyś: „Ludzie nie dbają o to, by żyć szlachetnie, lecz tylko by żyć długo, choć każdy potrafi zdobyć się na to, by żyć szlachetnie, a żaden nie ma mocy sprawić, aby żył długo”. - Zrobiłem pauzę. Wszyscy patrzyliśmy na płatki śniegu odbijające się od trumny Lisy. - Ona żyła szlachetnie, jako żołnierz i prawnik była ucieleśnieniem tego, co najlepsze w jednych i drugich. Była naszą przyjaciółką, przyjaciółką nas wszystkich. - Odwróciłem się do kapitana dowodzącego wartą. - Zaczynajcie.

Dwóch sierżantów zdjęło amerykańską flagę i złożyło ją w trójkąt. Wręczyli flagę kapitanowi, a ten przekazał ją Janet, siostrze, która była cieniem Lisy. Takie życzenie wyraził ich ojciec.

Strzały wstrząsnęły powietrzem i zebrani podskoczyli, jak to się zawsze dzieje. Trąbka zagrała żalną pieśń i wszyscy zapłakali, patrząc, jak czarna trumna opada z nieubłaganą surowością w ciemny otwór w ziemi. Taki los zgotował Lisie bezwzględny morderca.

Stałem i patrzyłem na grób, podczas gdy żałobnicy przesuwali się powoli obok, zmierzając w stronę wzgórza cmentarnego Arlington, po którym kroczyło już tak wielu ludzi. Wreszcie złożyłem w całość wszystkie kawałki układanki, ostatnią tajemnicę,

jeśli tak można powiedzieć. Lisa wiedziała, że w kancelarii dzieje się coś bardzo złego. Zgodziła się, kiedy zaproponowano jej stanowisko współpracownicy, bo chciała zdobyć zaufanie firmy i zdemaskować przekręt. Taką miała naturę: pragnęła uwalniać świat od zła. Ale nie rozumiała, z jakim złem zadarła, i zapłaciła za to życiem.

Wrócę tu za kilka dni i odbędziemy długą, przyjacielską pogawędkę. Powiem jej, jak to wszystko się skończyło i jak bardzo mi jej brakuje. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem wojskowe zdjęcie Lisy; pogmiotło się i pozałamywało. Pocałowałem je i wrzuciłem do grobu.

Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że koło mnie stoi Janet.

Patrzyła na mnie i pewnie się zastanawiała, jak łagodnie przerwać ciszę. Zetknęło nas morderstwo i burzliwe wydarzenia, które spowodowało, podszyte dziwnymi prądami emocjonalnymi. Strach, rozpacz, miłość, zazdrość i wielkie fale chciwości. Ale to wszystko było już przeszłością i nikt nie wiedział, co z tego pozostało.

- Pięknie to powiedziałaś, Sean - szepnęła Janet.

- Dziękuję.

Milczałem. Spojrzała na trumnę.

— Media podały, że Zabójcę z LA zabito przy próbie aresztowania.

— Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

— I że Jason Morris utonął przypadkowo.

— Czytałem.

— I że Hal Merriweather popełnił samobójstwo.

— Odpowiedni koniec dla podłego małego człowieka. Janet spojrzała w niebo, a potem na mnie.

— Jak to zrobisz?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Wiesz. Ja też chcę wiedzieć.

— Powinnaś uwierzyć w to, co podają gazety. -

Po chwili dodałem: - *Qui facit per alium facit per se.*

— Ten, który przez innego czyni, sam czyni -
rzekła po chwili Janet.

— Tak się to tłumaczy?

Janet się uśmiechnęła.

- Lisa powiedziała mi kiedyś, że najbardziej lubi w tobie to, że jesteś lojalny.

Wzruszyłem ramionami.

— A co ty lubisz we mnie najbardziej?

— Kto powiedział, że w ogóle coś w tobie lubię?

— Racja.

Położyła dłoń na moim ramieniu.

— Żartowałam.

— Jak się miewa George? - zapytałem po chwili.

— Nie został zaproszony na pogrzeb.

— Słusznie.

— A tak przy okazji, dziękuję za pieniądze. Postanowiliśmy przekazać je na cele dobroczynne. Dwadzieścia dwa miliony na Dom Starego Żołnierza, w imieniu Lisy i ku jej pamięci.

A, tak, pieniądze. Pamiętacie, jak wspomniałem o mojej rozmowie z Clapperem? Zgodziłem się oddać mój łup, ale nalegałem, żeby moja pełnomocniczka, Janet Morrow, dostała swoją działkę za dobrą i fachową usługę prawną. Nie była pracowniczką agencji federalnej, a ja wynająłem ją do wykonania konkretnej usługi, więc żadne prawo nie mogło jej pozbawić zarobionych pieniędzy. Clapper pomknął na sygnale do akademii JAG i dowiedział się, że mam rację. Ale połowa sumy to przesada, ocenili akademicy, stwierdzili, że byłem zbyt hojny. Nie mogłem się z tym spierać i nie próbowałem. Powszechnie przyjęło się, że honorarium prawnicze wynosi jedną trzecią, czyli w tym przypadku około dwudziestu dwóch milionów.

— Lisie by się to spodobało - powiedziałem do Janet. Zauważyłem starego Feliksa stojącego na szczycie wzgórza. - Miała słabość do starych

wiarusów.

— Tak, chyba masz rację.

- Słuchaj, powinienem wrócić do pracy. Znow
zajmuję się sprawami karnymi, nawiasem mówiąc.

Już chciałem odejść, kiedy Janet powiedziała:

- Mogę cię o coś spytać?

— Tak?

— Czy myślisz... że Lisa gniewałaby się, gdybym się z tobą związała?

— Powiedziałyby, że ci odbiło.

— Pewnie masz rację.

Zrobiłem trzy kroki, po czym się odwróciłem.

— W jakim hotelu się zatrzymałaś?

— W Four Seasons, tak jak ostatnio.

— Ładny hotelik. Skinęła głową.

Przeszedłem jeszcze trzy kroki i znów się odwróciłem.

— Punktualnie o siódmej. Przysięgam, że się nie spóźnię. Janet pokręciła głową.

— Nie musisz się spieszyć. Wciąż mam broń.

„KB”